

NELSON DEMILLE

AUTOR **BESTSELLERÓW** *GRA ŻYWI* I *POWRÓT ŻYWI*

Honor, krzywda, miłość i zemsta – splątany węzeł niewinności...



CÓRKA GENERAŁA

 Fabryka
sensacji

Nelson DeMille

Córka generała

*Dla Mamy, Taty, Dennisa
i Lillian, Lance i Joanie*

Wielkie podziękowania dla moich consiglieri,
Dave'a Westermanna, Mike'a Tryona,
Lena Ridibni, Toma Eschmanna, Steve'a Astora,
Johna Bettsa i Nicka Ellisona.
Mille grazie.

A to, czego zmarli nie umieli wyrazić póki żyli,

Mogą powiedzieć tobie teraz, gdy są martwi:

obcowanie zmarłych językiem ognia wyraża się

ponad językami żywych.

T. S. Eliot „Little Gidding”

(tłum. Krzysztof Boczkowski)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czy to miejsce jest wolne? - zapytałem atrakcyjnej, młodej kobiety siedzącej samotnie w sali klubowej. Podniosła na mnie wzrok znad gazety, ale nie odpowiedziała. Usiadłem po drugiej stronie koktajlowego stołu, na którym postawiłem piwo. Powróciła do gazety i swego drinka. Był to bourbon z colą.

- Często tu przychodzisz?

- Zmiataj.

- Jaki jest twój znak zodiaku?

- Nie twój interes.

- Czy my się czasem nie znamy?

- Nie.

- Jednak tak. Dowództwo NATO w Brukseli. Spotkaliśmy się na koktajlu.

- Może masz rację - ustąpiła. - Upiłeś się i strąciłeś wazę z ponczem.

- Świat jest mały - stwierdziłem. I naprawdę był. Cyntnia Sunhill, kobieta, która siedziała w tej chwili naprzeciw mnie, była kimś więcej niż tylko przygodną znajomą. Prawdę mówiąc, pamiętałem czasy, kiedy byliśmy ze sobą - jak się to mówi - związani. Najwyraźniej wolała o tym nie pamiętać.

- To ty ją zrzuciłaś. Zawsze źle na ciebie działał bourbon z colą.

- Raczej ty na mnie źle działasz.

Z jej zachowania można by wnioskować, że to ja ją zostawiłem, a było dokładnie odwrotnie.

Siedzieliśmy w sali klubu oficerskiego Fortu Hadley w Georgii. Była właśnie pora dnia nazywana w wojsku Czasem Wolnym i wszyscy poza nami wydawali się wolni i swobodni. Ja miałem na sobie niebieski cywilny garnitur, ona dżersejową różową sukienkę, podkreślającą jej opaleniznę, kasztanowe włosy, piwne oczy i wdzięcznie wspominaną przeze mnie anatomię.

- Dostałaś tutaj przydział? - zapytałem.

- Tajemnica służbowa.

- Gdzie mieszkasz?

Brak odpowiedzi.

- Jak długo tutaj zostaniesz?

Pogrążyła się znowu w czytaniu.

- Wyszłaś za tego faceta, z którym spotykałaś się na boku?

Odłożyła gazetę i spojrzała na mnie.

- To z tobą spotykałam się na boku. Z nim byłam zaręczona.

- Niech będzie. Czy nadał jesteś zaręczona?

- Nie twój interes.

- Mógłby być.

- Nie w tym życiu - poinformowała mnie i znowu ukryła się za zadrukowaną płachtą papieru.

Nie widziałem na jej dłoni ani zaręczynowego pierścionka, ani obrączki, ale w naszych zawodach nie znaczyło to wiele. Tego nauczyłem się jeszcze w Brukseli.

A tak przy okazji, Cynthia Sunhill ma pod trzydziestkę, ja zaś skończyłem niedawno czterdzieści lat. Nasz romans nie był szalonym przeżyciem nastolatków, lecz raczej dojrzałym romansem. No, prawie.

Przez rok oboje stacjonowaliśmy w Europie, podczas gdy jej narzeczony, major sił specjalnych, przebywał w Panamie. Takie życie nie sprzyja bliskim związkom, a obrona zachodniej cywilizacji dla wielu wojskowych kończy się rogami.

Od naszego ostatniego spotkania z Cynthią, trzeba przyznać, dość burzliwego, minęło trochę ponad rok. Najwyraźniej żadne z nas nie uporało się jeszcze z przeszłością. Ja wciąż byłem urażony, ona wściekła jak wszyscy diabli. Zdradzony narzeczony, kiedy widziałem go ostatnim razem w Brukseli z pistoletem w dłoni, też wyglądał na nieco rozgniewanego.

Klub oficerski w Hadley utrzymany jest trochę w stylu hiszpańskim albo może mauretańskim i pewnie dlatego przyszła mi na myśl „Casablanka”. Nawet wyrwało mi się: - Na wszystkie szklaneczki dżinu tego świata, ona do mnie idzie. Albo nie złapała, albo nie była w nastroju do śmiechu, nadal bowiem wpatrywała się w gazetę. Był to Gwiazdzisty Sztandar, którego nikt nigdy nie czyta, przynajmniej publicznie. Ale Cynthia jest takim prostodusznym, oddanym, lojalnym i pełnym entuzjazmu żołnierzem bez śladu cynizmu i znużenia, którymi zazwyczaj skażeni są mężczyźni po kilku latach pracy.

- Serca wypełnione namiętnością, zazdrością i nienawiścią - odpowiedziałem.

- Odejdź, Paul - rzekła Cynthia.

- Przykro mi, że zniszczyłem twoje życie - oznajmiłem poważnie.

- Nie jesteś w stanie zniszczyć nawet jednego dnia mojego życia.

- Złamałaś mi serce - oświadczyłem z jeszcze większą powagą.

- Z chęcią skręciłabym ci kark - rzuciła z nie ukrywanym entuzjazmem.

Widać było, że budzę w niej jakieś uczucia, ale nie o taką namiętność mi chodziło.

Przypomniałem sobie wiersz, który zwykłem jej szeptać w bardziej intymnych momentach. Pochyliłem się teraz ku niej i powiedziałem cicho:

Nie ma miłszego widoku dla mych oczu niż Cynthia

Nic nie jest miłsze mym uszom niż Cynthia

Nikt nie włada mym sercem, tylko Cynthia

Zapomniałem o wszystkim,

co mogło przynieść mi szczęście

i stoję tu teraz,

gotów na śmierć,

jeśli jej to sprawi przyjemność.

- Dobrze. Więc umrzyj. - Wstała i odeszła.

- Zagraj to jeszcze raz, Sam. - Skończyłem piwo, podniosłem się i poszedłem do baru.

Przeciskałem się pomiędzy mężczyznami, którzy wyglądali na takich, co przeszli trochę w życiu. Ich piersi ozdobione były medalami i bojowymi odznakami piechoty, baretkami znaczącymi kampanie w Korei, Wietnamie, Grenadzie, Panamie i w Zatoce. Facet po mojej prawej ręce, pułkownik o siwej czuprynie, powiedział:

- Wojna to piekło, ale prawdziwe piekło poznasz, kiedy wżgardzisz kobietą.

- Amen.

- Widziałem całą scenę w lustrze nad barem - poinformował mnie.

- Lustra w barach zazwyczaj pokazują interesujące scenki - odparłem.

- Co prawda to prawda. - W tej chwili też przyglądał się mojemu odbiciu w lustrze. Widząc cywilne ubranie, zapytał:

- Zwolniony ze służby?

- Właśnie. - Ale prawdę mówiąc, wcale tak nie było. Wygłosił swoją opinię na temat kobiet w wojsku:

- Sikają w kucki. I próbują to robić z obciążeniem trzydziestu kilogramów. No, muszę zdrenować smoka - ogłosił nagle. I wycofał się do toalety, gdzie na pewno nie kucnął.

Wyszedłem z klubu w gorącą sierpniową noc i skierowałem się do swego chevy blazera. Przejechałem przez centralny teren bazy, który w formie jest czymś w rodzaju śródmieścia otoczonego przeróżnymi budynkami, począwszy od poczty poprzez kościół aż do baraków i opuszczonych warsztatów remontowych czołgów.

Sam Fort Hadley to niewielka placówka na południu stanu Georgia, powstała w roku 1917 jako obóz przygotowawczy dla oddziałów wysyłanych potem na zmiecenie w wielkich żarnach zachodniego frontu. Jednak teren należący do wojska - ponad sto tysięcy akrów w większości zalesionych - nadaje się znakomicie do prowadzenia gier wojennych, różnych „szkół przetrwania”, treningu w warunkach partyzanckich i tak dalej.

Szkoła Piechoty obecnie jest stąd przenoszona gdzie indziej, przez co cała jednostka wygląda na opuszczoną. Ale pozostała Szkoła Operacji Specjalnych, której cele są dość niejasne lub przynajmniej, delikatnie mówiąc, eksperymentalne. O ile byłem w stanie to ocenić, zajmowano się tu psychologią wojny, morale żołnierzy, ich stanem psychicznym w warunkach osamotnienia i utraty wiary w wartości, stresem związanym z podejmowaniem decyzji i innymi rozgrywającymi się w głowie sztuczkami. Może to zabrzmieć groźnie, ale jeśli chodzi o wojsko, wiadomo, że każdy, nawet najbardziej błyskotliwy pomysł, zamieni się wreszcie w musztrę i lśniące buty.

Na północ od Fortu Hadley leży średniej wielkości miasto Midland, typowa osada wojskowa, zamieszkała przez emerytowanych żołnierzy, personel pomocniczy bazy, ludzi utrzymujących się z handlu z wojskiem, a także kilku takich, którzy nie mają z nim nic wspólnego i całkiem im z tym dobrze.

Już w 1710 roku w Midland miała siedzibę angielska misja handlowa. Jeszcze wcześniej był to przyczółek hiszpańskiej kolonii świętego Augustyna. A na początku znajdowało się w tym miejscu indiańskie miasto, centrum plemienia Upatów. Hiszpanie spalili miasto Indian, Anglicy spalili przyczółek hiszpański. Francuzi spalili angielską misję handlową, armia brytyjska spaliła ich fort w czasie rewolucji, ale miasteczko pozostawiła, a wreszcie w 1864 spalili je Jankesi. Kiedy dzisiaj spojrzeć na Midland, człowiek się zastanawia, o co było to całe zamieszanie. Tak czy siak obecnie mają tu pierwszorzędną ochotniczą straż pożarną.

Wjechałem na międzystanową szosę prowadzącą od Fortu Hadley i Midland na północ przez szczerze pola w stronę opuszczonego terenu z przyczepami mieszkalnymi. Tam właśnie czasowo mieszkałem i to odosobnienie odpowiadało wymaganiom mojej pracy.

No właśnie, moja praca. Jestem oficerem Armii Stanów Zjednoczonych. Moja ranga nie ma znaczenia, a w robocie, którą wykonuję, jest na dodatek tajna. Pracuję w CID*. Chociaż całe wojsko zbudowano na hierarchii, w mojej działce najlepiej nie mieć żadnego stopnia. Prawdę jednak mówiąc, jak większość pracowników CID jestem chorążym, który to stopień plasuje się jakoś pomiędzy oficerami a podoficerami. To bardzo wygodna ranga, ponieważ ma się większość przywilejów wynikających ze stopnia oficerskiego, ale bez obowiązków podoficera i wszystkich pułapek z tym związanych. Do takich jak my inni zwracają się per „proszę pana”, a pracownicy CID często noszą cywilne ubrania, tak jak ja tego wieczoru. Bywają nawet chwile, że ulegam złudzeniu, iż jestem cywilem.

Są jednak okazje, które wymagają munduru. W takich wypadkach, dowództwo sił zbrojnych wyposaża mnie w rozkazy na nowe nazwisko, stopień odpowiedni do przydzielonego zadania i pasujący do tego mundur. Wtedy melduję się do służby w jednostce, gdzie przebywa moja ofiara, i wypełniam zadania służbowe wynikające z przydziału,

** Criminal Investigation Division - służba śledcza, wydział dochodzeń kryminalnych.*

zbierając jednocześnie informacje dla Sądu Wojskowego.

W takiej pracy trzeba umieć wszystko. W swojej karierze zajmowałem najróżniejsze stanowiska: od kucharza po inżyniera od broni chemicznej - choć trzeba przyznać, że w wojsku między tymi dwoma specjalnościami nie ma większej różnicy. Niektóre role nie są najłatwiejsze, ale wtedy polegam na swym wdzięku. Tak czy siak to wszystko udawanie. Z moim wdziękiem włącznie.

Są cztery stopnie chorążego, a ja osiągnąłem już czwarty i najwyższy. Wszyscy z naszej paczki czekamy, by Kongres zatwierdził stopień piąty i szósty. Niektórzy czekając umarli ze starości.

W każdym razie wchodzę w skład specjalnego oddziału CID, nazwijmy go oddziałem elitarnym, chociaż ja zawahałbym się przed użyciem tego słowa. Jesteśmy uznawani za wyjątkowych, ponieważ każdy ma na swoim koncie sporo aresztowań. I jeszcze jedno odróżnia nas od całej reszty wojskowych. Nie obowiązuje nas hierarchia ani biurokracja, co - w kategoriach wojska - jest

podobne do posiadania czarodziejskiej różdżki. I oznacza między innymi, że możemy aresztować każdego wojskowego na całym świecie, niezależnie od jego stopnia. Nieprzemyślane aresztowanie któregoś z dowódców połączonych sztabów byłoby może lekkim przeciągnięciem struny, ale zawsze korciło mnie, by sprawdzić, jak daleko mogę się posunąć. Właśnie nadarzała się okazja.

Moją macierzystą jednostką jest kwatera główna CID w Falls Church, w Wirginii, ale bez przerwy jeżdżę po całym świecie. Podróże, przygody, wolny czas, wyzwania dla ciała i umysłu, żadnego kierownictwa nad sobą - czego człowiek może chcieć więcej? No tak, kobiet. Kilka przewinęło się przez moje życie tu i ówdzie. Bruksela nie jest ostatnim miejscem, gdzie byłem z kobietą, ale ostatnim, gdzie miało to dla mnie znaczenie.

Niestety istnieją też ludzie, których podnieca i bawi coś zgoła odmiennego. Napastowanie seksualne. Morderstwa. I to właśnie wydarzyło się owej gorącej, sierpniowej nocy w Forcie Hadley, w Georgii. Ofiarą padła kapitan Ann Campbell, córka generała porucznika Josepha Campbella, „Walczącego Joe”. Jakby tego wszystkiego jeszcze nie dość, była młodą, piękną, utalentowaną, błyskotliwą absolwentką West Point. Dumą Fortu Hadley, ulubienicą ludzi zajmujących się utrwalaniem wizerunku wojska w opinii publicznej, dziewczyną z plakatów, które zachęcały młodych ludzi, żeby wstępowali do armii Stanów Zjednoczonych, rzeczniczką nowego, nie odrzucającego kobiet wojska, weteranką wojny w Zatoce i tak dalej, i tak dalej. Dlatego nie byłem specjalnie zdziwiony, kiedy dowiedziałem się, że została zgwałcona i zamordowana. To było jej pisane. Zgadza się? Nie.

Ale kiedy siedziałem podczas Czasu Wolnego w klubie oficerskim, o niczym jeszcze nie wiedziałem. Gdy gawędziłem z Cynthią, a potem rozmawiałem z pułkownikiem przy barze, kapitan Ann Campbell wciąż żyła. Znajdowała się nie dalej niż o dwadzieścia metrów ode mnie, w jadalni klubu, gdzie kończyła kolację składającą się z sałaty, kurczaka, białego wina i kawy, czego dowiedziałem się w czasie późniejszego śledztwa.

Wjechałem do sosnowego zagajnika na teren kempingu dla przyczep i zaparkowałem blazera niedaleko mojego ruchomego domku. Tu i ówdzie stały jeszcze puste przyczepy, ale teren był właściwie opustoszały, tylko betonowe słupki znaczyły miejsca, gdzie kiedyś tłoczyły się setki domów na kółkach.

Telefony i światło wciąż były podłączone, podobnie jak bieżąca woda, którą uzdatniałem szkocką whisky. Ciemną ścieżką po zbutwiałych deskach dobrnąłem do mojej przyczepy.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka i zapaliłem światło, które ujawniło dwa połączone pomieszczenia. Jedno służyło za kuchnię-jadalnię, drugie za sypialnię-salon.

Przyczepa przywodziła na myśl wehikuł czasu, w którym nic nie zmieniło się od 1970 roku. Meble były z zielonego jak owoc awokado plastiku, a szafki kuchenne miały kolor musztardy, nazywany, zdaje się, barwą dojrzałego zboża. Ściany wyłożono ciemnymi płytami spilśnionymi, a podłogę wykładziną w czerwono-czarną szachownicę. Ktoś wrażliwy na kolory mógłby w takim otoczeniu popaść w depresję i wreszcie popełnić samobójstwo.

Zdjąłem marynarkę i krawat, włączyłem radio, wyjąłem piwo z lodówki i rozsiadłem się w

przymocowanym do podłogi fotelu. Na ścianach wisiały trzy obrazki. Walka byków, krajobraz marynistyczny i reprodukcja Rembrandta „Arystoteles kontemplujący popiersie Homera”. Popijałem piwo i kontemlowałem Arystotelesa kontemplującego popiersie Homera.

Miejsce to nazywano Szepczącymi Sosnami, choć już dzisiaj nikt na tę nazwę nie zwracał uwagi. Kemping założyła pod koniec lat sześćdziesiątych grupa energicznych sierżantów na emeryturze. Wtedy wydawało się, że wojna w Azji będzie trwała wiecznie. Fort Hadley, jako centrum treningowe piechoty, pękał w szwach od żołnierzy i ich bliskich. Pamiętam czasy, kiedy Szepczące Sosny zamieszkiwało całe mrowie rodzin oficerów, którzy otrzymali zezwolenie, ba, wręcz byli zachęceni do przeniesienia się poza jednostkę. Znajdował się tu basen z chlapiącymi się dziećmi, który obsiadały młode żony żołnierzy, piło się za dużo, panowała wszechogarniająca nuda, wszyscy mieli za mało pieniędzy, a przyszłość zasłaniała mgła wojny.

American dream nie powinien tak wyglądać i kiedy mężczyźni szli na wojnę, zbyt często inni zjawiali się pod osłoną ciemności w sypialnej części przyczepy. Prawdę mówiąc sam wtedy tutaj mieszkałem i poszedłem na wojnę, a ktoś zajął moje miejsce i zabrał mi młodą żonę. Ale od tego czasu upłynęło już kilka lat i przetrwała jedynie gorycz, że skurwiel zabrał mi także psa.

Przejrzałem kilka pism, wypilem parę piw, trochę myślałem o Cynthii, a trochę o niej nie myślałem.

Zazwyczaj przyjemniej spędzam swoje wieczory, ale następnego dnia miałem się stawić w arsenale jednostki o piątej rano.

ROZDZIAŁ DRUGI

Magazyn broni, ten róg obfitości amerykańskich dóbr militarnych na najwyższym poziomie technologicznym, najlepiej prosperuje w nocy. Tym razem mój fałszywy przydział polegał na pracy w magazynie broni. Tam właśnie znajdowałem się we wczesnych godzinach porannych, kiedy to Ann Campbell została zamordowana, i dlatego też załapałem się na ciąg dalszy, jakby to powiedzieli moi odpowiednicy w cywilu.

Kilka tygodni wcześniej przyjąłem na siebie obowiązki i postać pewnego przemytnika broni małego kalibru o nazwisku Franklin White. I jako on doprowadziłem do bardzo konkretnych rozmów, prawdę mówiąc już kończyłem transakcję z rzeczywiście grubą rybą w przemyśle, sierżantem Dalbertem Elkinem. Chodziło o sprzedaż z wojskowego magazynu paruset karabinów M-16, granatników i rozmaitych innych groźnych przedmiotów grupie kubańskich partyzantów, którzy walczyli o wolność i chcieli doprowadzić do obalenia pana Fidela Castro, Antychrysta. Tak naprawdę hiszpańskojęzyczni dżentelmeni byli kolumbijskimi przemytnikami narkotyków, ale uważali, że ta informacja mogłaby zaszkodzić transakcji. W związku z tym wszystkim o godzinie

szóstej rano siedziałem w arsenale i rozmawiałem ze swym współnikiem, sierżantem sztabowym Elkinem. Zastanawialiśmy się, na co wydamy każdy swoją połowę 200 000 dolarów. Sierżant Elkin nie wiedział jeszcze, że resztę życia spędzi w więzieniu, więc na razie mógł sobie pomarzyć. Moim niemiłym obowiązkiem było stać się jego najczarniejszym koszmarem.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę, zanim mój nowy kumpel zdołał po nią sięgnąć.

- Arsenał jednostki, mówi sierżant White - odezwałem się.

- A, jesteś - zabrzmiał głos pułkownika Williama Kenta, komendanta miejscowej żandarmerii, najważniejszego gliniarza Fortu Hadley. - Cieszę się, że cię znalazłem.

- Nie wiedziałem, że się zgubiłem - odparłem. Poza Cynthia, którą spotkałem przez czysty przypadek, pułkownik Kent był jedyną osobą na terenie bazy, która wiedziała, kim jestem naprawdę. Musiało, wydarzyć się coś, co zagrażało powodzeniu prowadzonej przeze mnie sprawy, ponieważ nie telefonowałyby z żadnego błahego powodu. Nie spuszczałem wzroku z sierżanta Elkina, jednocześnie usiłując obserwować drzwi.

Ale, na szczęście czy nieszczęście, sprawa nie była taka prosta.

- Popełniono morderstwo - poinformował mnie pułkownik Kent. - Ofiarą jest kobieta-kapitan. Być może mamy do czynienia także z gwałtem. Czy możesz mówić?

- Nie.

- A spotkać się ze mną?

- Może. - Kent był całkiem przyzwoitym gościem, ale podobnie jak większość żandarmów nie najbardziej błyskotliwym. Wobec pracownika CID czuł się dość nieswojo. - Jestem na służbie - powiedziałem.

- To sprawa priorytetowa, panie Brenner. Duży kaliber.

- A więc to tak. - Zerknąłem na sierżanta Elkina, który przyglądał mi się uważnie.

- Chodzi o córkę generała Campbella - dodał Kent.

- O mój Boże. - Przez chwilę zastanawiałem się. Intuicja podpowiadała mi, by trzymać się jak najdalej od sprawy dotyczącej morderstwa i gwałtu na córce generała. Niebezpieczna gra. Moje poczucie obowiązku, honoru i sprawiedliwości zapewniało mnie, że jakiś inny frajer ze specjalnej jednostki CID poradzi sobie z tym. Ktoś, czyja kariera i tak już wisiała na włosku. Od ręki mogłem wymienić kilku kandydatów. Ale zapomniałem o obowiązku i honorze, pozwalając zwyciężyć mojej wrodzonej ciekawości.

- Gdzie możemy się spotkać? - zapytałem.

- Na parkingu przed budynkiem żandarmerii, zawiozę cię na miejsce wydarzeń.

Będąc na fałszywych papierach, powinienem się trzymać jak najdalej od biura żandarmerii, ale Kent bywa denerwująco prostolinijny.

- Nie u ciebie - powiedziałem.

- O... A co powiesz na baraki piechoty. Dowództwo trzeciego batalionu. To po drodze.

Elkin, już wcześniej spięty, stawał się coraz bardziej nerwowy.

- W porządku, malutka - powiedziałem do Kenta. - Za dziesięć minut. - Odwiesiłem słuchawkę i spojrzałem na sierżanta Elkina.

- Moja dziewczyna. Zebrało jej się na pieszczotki.

Elkin spojrzał na zegarek.

- Trochę późno... albo wcześniej.

- Nie dla tej dziewczynki.

Elkin uśmiechnął się.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w arsenale, miałem przy sobie broń. Zadowolony, że Elkin uspokoił się, rozpiąłem pas z pistoletem i zostawiłem go, co było również zgodne z przepisami. Nie wiedziałem jeszcze, że ta broń przydałaby mi się później.

- Może jeszcze wrócę - powiedziałem do Elkina.

- Dobra. Postaraj się i za mnie, stary.

- Nie ma sprawy.

Zostawiłem blazera na kempingu, a moim PW (wojsko ma manię skrótów i posługuje się własnym kodem, w tym wypadku chodzi mi o mój prywatny wóz, nie Punkt Widzenia), przydzielonym ze względu na wykonywane zadanie, był pikap Ford. Wyposażony we wszystko, co można sobie wymarzyć, od wieszadła na broń po wysokie do bioder rybackie buty.

Przejechałem przez centrum bazy. W ciągu kilku minut znalazłem się w strefie treningowej piechoty. Stały tam długie drewniane baraki, jeszcze z czasów drugiej wojny światowej, teraz w większości opuszczone. Wyglądały jakoś niesamowicie. Zimna wojna była już za nami, a liczebność wojska zdecydowanie została ograniczona. Jednostki bojowe - piechotę, wojska pancerne i artylerię, czyli kwintesencję armii - poddano najostrzejszym cięciom. Natomiast CID, zajmująca się łamaniem prawa, była organizacją rozrastającą się.

Jako młody szeregowiec wiele lat temu ukończyłem Szkołę Piechoty właśnie tutaj, w Forcie Hadley. Potem trafiłem do Szkoły Transportu Lotniczego i Szkoły Komandosów - stałem się pistoletem najwyższej klasy, maszyną do zabijania, piorunem z jasnego nieba i tak dalej, i tak dalej.

Ale teraz jestem trochę starszy i CID jak najbardziej mi odpowiada.

Koniec końców nawet rządowa instytucja musi usprawiedliwić swoją egzystencję, a wojsko radzi sobie całkiem nieźle, wpisując się w nową rolę polegającą na przykopywaniu kraikom, które wchodzi nam w drogę. Ale zauważyłem, że niektórzy oficerowie, zwłaszcza ci, co uważali, że są jedyną tarczą i ochroną przed ruskimi hordami, utracili cel w życiu. A za tym szła utrata dobrego samopoczucia. Przestali być pupilkami. Jak bokser, który przez całe lata trenował do meczu o najwyższy tytuł, ale zanim do niego doszło, przeciwnik padł martwy. Człowieka ogarnia wtedy ulga, ale równocześnie czuje zawód, a miejsce, które pompuje adrenalinę, wydaje się pustą dziurą.

W każdym razie była to ta pora dnia, którą w wojsku nazywamy pierwszym świtem. Niebo Georgii poróżwiało, powietrze było ciężkie od wilgoci, już teraz można było powiedzieć, że w dzień osiągnie ona ponad dziewięćdziesiąt procent. Rozchodziły się zapachy mokrej gliny, sosen i kawy serwowanej w pobliskiej kantynie, czy raczej, jak to się mówi dzisiaj, stołówce.

Skreśliłem z drogi na porośnięte trawą pole przed starym budynkiem dowództwa piechoty. Pułkownik Kent wysiadł z oliwkowo-brązowego samochodu służbowego, a ja ze swego pikapa.

Kent ma około pięćdziesiątki, jest wysoki, średniej budowy, ma dziobatą twarz i niebieskie oczy o chłodnym spojrzeniu. Czasami bywa dość sztywny, jak już powiedziałem nie grzeszy sprytem, ale to ciężko pracujący i solidny facet. Jego stanowisko w wojsku odpowiada w cywilu komendantowi policji. Stoi na czele wszystkich mundurowych gliniarzy w Forcie Hadley. Ma bzika na punkcie regulaminu i wszelkich instrukcji, i chociaż nie jest nie lubiany, z nikim się specjalnie nie przyjaźni.

W swym mundurze komendanta żandarmerii prezentuje się niezwykle szykownie. Na pewno wiecie, jak to wygląda: biały hełm, biały pas na pistolet i lśniące buty.

- Sześciu żandarmów pilnuje miejsca zbrodni. Nikt niczego nie dotykał.

- Dobry początek. - Znamy się z Kentem dobre dziesięć lat i nauczyliśmy się ze sobą współpracować, chociaż prawdę mówiąc, widuję go średnio raz na rok, kiedy obowiązki wzywają mnie do Fortu Hadley. Kent ma wyższy stopień od mojego, ale umiem potraktować go czasem z góry, a niekiedy nawet dać mu popalić, kiedy to ja jestem oficerem śledczym. Widziałem go w roli świadka w sądzie. Lepszego nie można sobie wymarzyć: wiarygodny, logiczny, nie daje się ponieść emocjom i na dodatek potrafi składnie zeznawać. A jednak jest w nim coś takiego, że prokurator oddychał z ulgą, gdy Kent zniknął ze sceny. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie. Może jest po prostu zbyt sztywny i beznamiętny. Kiedy odbywa się sąd wojskowy nad kimś z własnego grona, dobrze widziana jest odrobina współczucia, a przynajmniej zainteresowania. Ale Kent to jeden z tych gliniarzy, którzy dzielą wszystko na czarne i białe, a każdy, kto łamie prawo w Forcie Hadley, czyni osobisty afront pułkownikowi Kentowi. Na własne oczy widziałem, jak uśmiechał się pełen zadowolenia, gdy pewien rekrut, który w stanie ciężkiego upojenia alkoholowego spalił opuszczony barak, dostał za to dziesięć lat. Ale prawo jest prawem i nawet ktoś o tak delikatnej osobowości jak William Kent musi znaleźć miejsce dla siebie. Dlatego też byłem lekko zdumiony stwierdziwszy, że wypadki poranka wstrząsnęły nim nieco.

- Czy poinformowałeś generała Campbella? - zapytałem.

- Nie.

- Chyba byłoby lepiej, gdybyś się udał do jego domu.

Kiwnął głową, choć bez entuzjazmu. Prawdę mówiąc, wyglądał okropnie, z czego wyciągnąłem wniosek, że widok ciała musiał być bardzo nieprzyjemny.

- Generał nogi ci z dupy powyrywa, jeśli go nie zawiadomisz.

- No cóż - zaczął się tłumaczyć - nie miałem pewności, o kogo chodzi, dopóki sam nie zobaczyłem ciała. Przecież nie mogłem pójść do jego domu i powiedzieć, że córka...

- Kto przeprowadził wstępną identyfikację?

- Sierżant St. John. On znalazł ciało.

- Że nie wspomnimy o nazwisku na plakietce munduru i w dokumentach.

- No cóż, tego nie było.

- Nie było?

- Nie... ten, kto to zrobił, zabrał jej mundur i dokumenty...

Kiedy ma się nosa do takich rzeczy albo po prostu widziało się już wystarczająco wiele spraw, które układały się w pewien wzór, i usłyszysz się coś takiego, natychmiast pojawia się pytanie: „Co nie pasuje w tym obrazku?”

- Bielizna? - zapytałem pułkownika Kenta.

- Co? No tak... została. Zazwyczaj zabierają bieliznę. Prawda? - zapytał. - To obrzydliwe.

- Czy sierżant St. John jest podejrzany?

Pułkownik Kent wzruszył ramionami.

- To twoja robota.

- No cóż, ponieważ nazywa się St. John, na razie zastosujemy zasadę domniemania niewinności. - Rozejrzałem się po opustoszałych barakach, kwaterze dowództwa batalionu, stołówce i całym tym porośniętym zielskim terenie w szarym świetle poranka. Mogłem sobie świetnie wyobrazić młodych żołnierzy, padających tu po wielekroć na rozkaz. Dotąd nie zapominałem, jak wtedy zawsze przed śniadaniem byłem zmęczony, zmarznięty i głodny. Pamiętam też, że bałem się. Wiedziałem, że dziewięćdziesiąt procent z nas wyślą do Wietnamu. Znałem też procent ofiar na froncie. Był tak wysoki, że bukmacher z Midland nie dawał więcej niż dwa do jednego, że wrócisz nienaruszony.

- Tu stacjonowała moja kompania. Kompania Delta - powiedziałem do Kenta.

- Nie wiedziałem, że służyłeś w piechocie.

- Dawno temu. Zanim zostałem gliną. A ty?

- Zawsze w żandarmerii. Ale zobaczyłem co nieco w Wietnamie. Siedziałem w amerykańskiej ambasadzie, kiedy wdarł się tam Vietcong. Styczeń 68. - Po chwili dodał: - Jednego sam załatwiłem.

Kiwnąłem głową.

- Czasami wydaje mi się, że w piechocie było lepiej. Żli chłopcy to nigdy nie byliśmy my. Ta robota jest inna.

- Żli chłopcy to zawsze źli chłopcy - poinformował mnie Kent. - Wojsko to wojsko. A rozkaz to rozkaz.

- Właśnie. - W tym, co powiedział, tkwi esencja wojskowej mentalności. Nie mamy prawa pytać dlaczego i wytłumaczyć się z porażki. W czasie walki to działa całkiem nieźle, zresztą w większości sytuacji typu wojskowego również, ale nie w CID. Praca w sekcji kryminalnej wymaga, żeby nie słuchać rozkazów, ruszać własną głową, nie zwracać uwagi na szarżę, a ponad wszystko odkrywać prawdę. To nie zawsze pasuje do wojska. Wojsko lubi myśleć o sobie jako o jednej wielkiej rodzinie, w której wciąż jeszcze panuje przekonanie, że wszyscy bracia są mężni, a wszystkie siostry cnotliwe.

Jakby czytając w moich myślach, pułkownik Kent powiedział:

- Wiem, że ta sprawa wygląda na bardzo śmierdzącą, Ale niekoniecznie taka jest. Może zrobił to jakiś cywil i wszystko rozwiąże się raz dwa.

- Na pewno, Bill. Ty i ja otrzymamy listy pochwalne, które legną po wsze czasy w naszych teczkach personalnych, a generał Campbell zaprosi nas na koktajl.

Kent był wyraźnie zakłopotany.

- No cóż, mój stołek stoi na linii strzału, to jasne. To jest moja jednostka. Ty możesz dać nogę i przysłać innego faceta od zabójstw. Ale tak się zdarzyło, że byłeś na miejscu i pracowaliśmy wcześniej razem, i z przyjemnością umieszczę twoje nazwisko obok mojego we wstępnym raporcie.

- I nawet nie przyniosłeś mi filiżanki kawy.

Uśmiechnął się szeroko.

- Kawy. Niech to diabli! Jeśli czegoś mi potrzeba, to czegoś mocniejszego. - Po chwili namysłu powiedział: - Dzięki tej sprawie możesz się wywindować.

- Jeśli miałeś na myśli zjechać w dół, to najprawdopodobniej masz rację. Gdybyś mówił o awansie, to przypominam ci, że jestem na samej górze.

- Przepraszam, wyleciało mi z głowy. Kiepski system.

- Starasz się o gwiazdkę? - popatrzyłem na niego.

- Może - wyglądał na zmartwionego, jakby błyszcząca w jego snach generalska gwiazdka właśnie zgasła.

- Czy powiadomiłeś miejscową CID?

- Nie.

- Dlaczego nie, na litość boską?

- No wiesz... przecież i tak to nie oni będą prowadzili tę sprawę... Chodzi mi... Jezu, ostatecznie to jest córka komendanta tej jednostki, a szef tutejszej CID, major Bowes, znał ją tak, jak każdy inny tutaj. Musimy pokazać generałowi, że mamy najlepszego gościa z Falls Church... najlepszego...

- Wyrażenie, którego szukasz, brzmi: kozioł ofiarny. Ale w porządku, powiem moim szefom z Falls Church, żeby przysłali kogoś, tylko nie jestem pewien, czy ja chciałbym być tym kimś.

- Chodź zobaczyć ciało, a potem się zdecydujesz.

Kiedy ruszyliśmy do jego samochodu, dobiegł nas huk armatni - zagrzmiało dawno odstawione działo artyleryjskie. Stanęliśmy, z twarzami zwróconymi w tamtym kierunku. W głośnikach przyczepionych do pustych baraków rozległ się głos trąbki na pobudkę. Oddaliśmy salut - dwaj samotni mężczyźni w świetle poranka, mający we krwi odwieczny wojskowy obyczaj i ceremoniał.

Starożytny dźwięk trąbki, pamiętający wyprawy krzyżowe, niósł się echem po uliczkach i alejkach między koszarami, po placu apelowym, gdzie wciągano właśnie flagę na maszt.

Pobudka już od lat nie zastała mnie na dworze, ale są chwile, gdy cieszy mnie ta cała wojskowa pompatyczność. To ceremoniał, który przypomina o łączności żywych z umarłymi, niesie przesłanie, że istnieje coś większego i ważniejszego ode mnie, czego jestem częścią.

Nie istnieje odpowiednik tego w cywilu, chyba że nazwać tradycją oglądanie porannego „Dzień Dobry Ameryko”, i chociaż moje życie toczy się na peryferiach armii, chyba nie byłbym jeszcze gotowy przenieść się do cywilnego życia. Ale ta decyzja mogła już się rodzić.

Zamilkły ostatnie dźwięki pobudki. Kent i ja podeszliśmy do samochodu.

- Rozpoczął się kolejny dzień w Forcie Hadley, ale jedna osoba już go nie zobaczy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jechaliśmy na peryferie terenu wojskowego.

- Kapitan Ann Campbell i sierżant Harold St. John odbywali służbę w budynku dowództwa - zaczął opowiadać pułkownik. - Ona była oficerem dyżurnym, a on sierżantem dyżurnym.

- Czy się znali?

- Może przelotnie - Kent wzruszył ramionami. - Nie pracowali razem. On jest w jednostce zmotoryzowanej. Ona pracowała jako instruktor w Szkole Operacji Specjalnych. Spotkali się przypadkiem.

- Czego uczyła?

- Psychologii. Ona jest - urwał - była magistrem psychologii.

- Nadal jest. - Jeśli rozmawia się o niedawno zmarłych, zawsze wynika problem, jakiego czasu używać. Zapytałem Kenta: - Czy instruktorzy często odbywają tego typu służbę?

- Zazwyczaj nie. Ale Ann Campbell wpisywała się na listy dyżurów, choć nie musiała. Dla przykładu. Córka generała.

- Rozumiem. - W wojsku istnieją listy dyżurów dla oficerów, podoficerów i szeregowców. Są to kompletnie przypadkowe spisy, zapewniające wszystkim możliwość udziału w różnego rodzaju zajęciach. Był czas, kiedy damski personel nie obowiązywały niektóre z tych zajęć. Kobiety zwolnione były na przykład z wart. Ale to już się zmieniło. Nie zmieniło się tylko jedno: nadal młode damy spacerujące samotnie w nocy wystawiały się na niebezpieczeństwo. Serca podłych mężczyzn pozostały te same. Przymus, by wykorzystać najbardziej kobiecą część ciała, jeśli tylko była pod ręką, opierał się wszelkim wojskowym regulacjom.

- Czy była uzbrojona?

- Jasne. Miała rewolwer.

- Mów dalej.

- No cóż, jakoś tak o pierwszej w nocy Campbell powiedziała do St. Johna, że bierze dżipa, aby sprawdzić posterunki...

- Dlaczego? Czy to nie należy raczej do sierżanta albo oficera Straży? Oficer na służbie powinien

zostać przy telefonach.

- St. John powiedział, że oficerem straży był jakiś młody porucznik, który wciąż jeszcze sika wodą z West Point - odparł Kent. - Campbell, jak już ci mówiłem, była entuzjastką, więc chciała pojechać i sprawdzić wszystko sama. Znała hasło i odzew, więc mogła to zrobić. - Kent skręcił w Drogę Strzelnic. - St. John o trzeciej nad ranem zaczął się denerwować...

- Dlaczego?

- Nie wiem... Że to kobieta i... może był niezadowolony. Pewnie miał ochotę pójść do latryny, a nie mógł zostawić telefonów, bo jej wciąż nie było.

- Ile ten facet ma lat? - zapytałem.

- Pięćdziesiąt z hakiem. Żonaty. Dobra opinia.

- Gdzie jest teraz?

- W budynku żandarmerii. Kazałem mu tam zostać. Może się wreszcie trochę zdrzemnąć.

Minęliśmy strzelnicę pierwszą, drugą, trzecią i czwartą, wszystkie położone po prawej stronie drogi na płaskim otwartym terenie, osłoniętym wałem ziemi. Dwadzieścia lat temu nie było tu tego, ale samo miejsce pamiętałem.

- Więc St. John zadzwonił do strażnicy, ale kapitan Campbell tam nie było - kontynuował pułkownik Kent. - Poprosił sierżanta straży, żeby podzwonił po posterunkach i sprawdził, czy Campbell przejeżdżała obok nich. Sierżant oddzwonił chwilę później z odpowiedzią, negatywną. Więc St. John poprosił go o wysłanie do budynku dowództwa kogoś odpowiedzialnego, by przypilnował telefonów. Kiedy przyszedł strażnik, St. John wziął swój samochód i kolejno zaczął sprawdzać posterunki, klub podoficerów, klub oficerski i tak dalej - ale nigdzie nie widziano kapitana Campbell. Około czwartej jechał w stronę ostatniego posterunku, którym jest skład broni. Po drodze, przy strażnicy numer sześć, zauważył jej dziopa... o, właśnie tutaj.

Przed nami, po prawej stronie wąskiej drogi stał wiekowy łazik, którego my, starzy weterani, nadal nazywaliśmy dzipem. Nim to najprawdopodobniej Ann Campbell pojechała na spotkanie ze śmiercią. Obok łazika stał jakiś samochód na cywilnych numerach - czerwony mustang.

- Gdzie jest posterunek i strażnik? - zapytałem Kenta.

- Skład broni znajduje się kawałek dalej przy drodze. Wartownik, szeregowiec Mary Robbins, nic nie słyszała, ale widziała światła samochodu.

- Przepytałeś ją?

- Tak.

- Dziękuję. Gdzie jest teraz szeregowiec Robbins? Notabene zauważyłeś, że jeśli się tak powie,

to trudno domyślić się płci.

- Na pryczy w budynku żandarmerii.
- Robi się tam dość tłoczno. Ale rozumiesz dobrze.

Kent zatrzymał samochód koło łazika i czerwonego mustanga. Było już dość jasno. Widziałem sześciu żandarmów - czterech mężczyzn i dwie kobiety - obstawiających teren. Każda strzelnica miała otwarte, bielone trybuny, na których oddziały były instruowane, zanim przystępowały do strzelania. Na najbliższej ławeczce siedziała kobieta w dżinsach i wiatrówce. Zapisywała coś w notatniku. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, Kent zwrócił się do mnie.

- Pani Sunhill. Kobieta.

To wiedziałem.

- Skąd się tutaj wzięła? - zapytałem Kenta.
- Wezwałem ją.
- Po co?
- Występuje jako adwokatka w sprawach gwałtów.
- Ofiara nie potrzebuje adwokata. Nie żyje.
- Tak - zgodził się Kent - ale pani Sunhill zajmuje się także badaniem spraw związanych z gwałtem.
- Naprawdę? Co w takim razie robiła w Hadley?
- Chodziło o tę pielęgniarkę, niejaką porucznik Neely. Słyszałeś o tym?
- Tyle tylko, ile było w gazetach. Czy może być jakiś związek między tymi dwiema sprawami?
- Nie. Wczoraj dokonano aresztowania.
- O której?
- Około czwartej po południu pani Sunhill osobiście zatrzymała przestępcę, a już przed piątą oskarżony przyznał się do winy.

Pokiwałem głową. Pani Sunhill piła drinka w klubie oficerskim, samotnie świętując sukces, a jak miałem dowiedzieć się później, w tym samym czasie Ann Campbell jadła kolację. Ja natomiast stałem w barze i patrzyłem na Cynthię, nie wiedząc jeszcze, czy zdołam się zebrać na odwagę, by się z nią przywitać, czy też zniknę po angielsku.

- Sunhill miała dzisiaj wyjechać. Czekają ją jakaś nowa robota - mówił dalej Kent. - Ale powiedziała, że w związku z tym, co się stało, zostaje.

- Ależ mamy szczęście.

- Tak, to dobrze, gdy przy takiej sprawie pracuje kobieta. A ona jest naprawdę dobra. Widziałem ją w akcji.

- No tak. - Zauważyłem, że czerwony mustang, który był prawdopodobnie samochodem Cynthii, miał numery z Wirginii, tak jak mój samochód. To znowu sugerowało, że pracowała w Falls Church, tak jak ja. Przeznaczenie, które nie skrzyżowało naszych ścieżek w biurze, kazało nam się spotkać w takich okolicznościach. Co zresztą było nieuchronne.

Rozejrzałem się po strzelnicy, na której osiadała poranna mgła. Przed wałem ziemi stały naszykowane w różnych odległościach cele: makiety kilkunastu ponurych typów z karabinami. Dawniejsze ciemne sylwetki zastąpiono teraz ludzkimi postaciami. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby przyzwyczajać się strzelać do ludzi. Chociaż z przeszłych doświadczeń wiem i mogę wam powiedzieć, że nic nie przygotowuje do zamordowania człowieka poza zamordowaniem człowieka. W przypadku makiet zazwyczaj efekt psuły obsiadające je ptaki, przynajmniej do czasu, dopóki pierwszy ćwiczący pluton ich nie przegonił.

Kiedy ja przechodziłem trening w piechocie, strzelnicą była zwykła porośnięta chwastami zielona łąka ziemi, która nie przypominała żadnego pola bitwy, z jakim mieliśmy się zetknąć, może poza pustynią. Teraz sadzono na niej różnego typu roślinność, by częściowo utrudnić strzelanie. Jakies pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie stałem, kiwała się na wprost zasłonięta wysoką trawą i zielonym krzakiem sylwetka. Koło niej i krzaków stało dwoje żandarmów, mężczyzna i kobieta. Przy podstawie zauważyłem coś, co leżało na ziemi i wyraźnie nie pasowało do tego miejsca.

- Ten facet był chory - powiedział pułkownik Kent. I dodał, jakbym mógł nie zrozumieć, co chciał mi powiedzieć: - Chodzi mi o to, że on jej to zrobił na strzelnicy, koło postaci człowieka jakby patrzącego na nią.

Gdyby tylko sylwetka potrafiła mówić. Rozejrzałem się wokół. W pewnej odległości od ławek i wież kontrolnych widniała linia drzew, można tam było dostrzec latryny. Odwróciłem się do pułkownika Kenta.

- Przeszukałeś ten teren, żeby sprawdzić, czy nie ma przypadkiem innych ofiar?

- Nie... no cóż... nie chcieliśmy pozacierać śladów.

- Ale przecież jeszcze ktoś może nie żyć, a co gorsza być ranny i potrzebować pomocy. Ślady to sprawa drugorzędna, najpierw trzeba nieść pomoc ofiarom. Tak stoi w regulaminie.

- Zgoda... - Obejrzał się i zawołał sierżanta żandarmerii. - Wezwij pluton porucznika Fullhama, niech przyjdą tutaj z psami.

Zanim sierżant zdążył odpowiedzieć, doszedł nas głos z górnej ławki.

- Już to zrobiłam.

Podniosłem wzrok na panią Sunhill.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Chciałem ją zignorować, ale wiedziałem, że to nie będzie możliwe. Odwróciłem się i ruszyłem na strzelnicę. Kent poszedł za mną. Nie dogonił mnie jednak, tylko został nieco z tyłu. Dwoje żandarmów stało na spocznij, wyraźnie starając się nie patrzeć na miejsce, gdzie leżała kapitan Ann Campbell.

Zatrzymałem się kawałek od jej ciała ułożonego na plecach. Była naga, tak jak to powiedział Kent, tylko na lewym nadgarstku miała sportowy zegarek. Kilka kroków dalej leżał jej biustonosz. Również zgodnie z tym, co powiedział Kent, mundur kobiety zniknął ze sceny wydarzeń. Podobnie jak jej buty, skarpetki, hełm, pas, kabura i rewolwer. Jednak bardziej interesujące wydało mi się, że Ann Campbell rozciągnięta była na ziemi z rozpostartymi rękami i nogami. Nadgarstki i kostki miała przywiązane linką do namiotowych śledzi z zielonego plastiku. Linka też była plastikowa i zielona - z wyposażenia wojskowego.

Ann Campbell miała około trzydziestki i była dobrze zbudowana - typ instruktorki aerobiku, z wyraźnymi mięśniami ramion i nóg, bez grama zbędnego tłuszczu. Nawet w tych warunkach rozpoznałem twarz, którą wielokrotnie widziałem na wojskowych plakatach. Była całkiem atrakcyjna w taki normalny sposób, z prostymi blond włosami do ramion, zapewne o kilka centymetrów dłuższymi, niż na to zezwalał regulamin. Ale w tej chwili był to jej najmniejszy problem.

Na szyi miała taką samą zieloną linkę, którą związano jej nadgarstki i kostki. Pod linką widać było nogawkę majtek, które naciągnięto przez głowę, by linka nie wpijała się bezpośrednio w szyję. Wiedziałem, co to oznacza, ale nie sądzę, by poza mną ktokolwiek z tu obecnych dysponował tą wiedzą.

Cynthia podeszła do mnie, ale nie odezwała się.

Uklęknąłem koło ciała. Skóra zamordowanej była woskowa i jakby przezroczysta, puder na policzkach wyraźnie widoczny. Paznokcie u rąk i nóg, pomalowane bazbarwnym lakierem, straciły swój naturalny różowy kolor. Na twarzy żadnych zadrapań, skaleczeń czy śladów po ugryzieniach, podobnie wyglądała reszta ciała, przynajmniej ta, która była widoczna. Poza obscenicznym ułożeniem ciała nic nie wskazywało na gwałt. Żadnej spermy na udach czy włosach łonowych, żadnych śladów walki, krwi, ziemi czy skóry za paznokciami, nawet jej włosy nie były potargane.

Pochyliłem się i dotknąłem twarzy i szyi, gdzie zazwyczaj rigor mortis występuje najwcześniej. Nie wyczułem zeszywnienia, przedramiona były jeszcze ciepłe. Dało się już zauważyć pewne zsinienie na udach i pośladkach; ciemnofioletowa barwa była wynikiem uduszenia, co by się zgadzało z obecnością linki na gardle. Przycisnąłem palcem fioletową skórę powyżej miejsca, gdzie

pośladki stykały się z ziemią, i naciśnięte miejsce pobieleało. Kiedy cofnąłem palec, siny kolor powrócił. Byłem prawie pewien, że śmierć nastąpiła w czasie ostatnich czterech godzin.

Już dawno nauczyłem się jednego - nigdy nie traktować zeznań świadków jak prawdy objawionej. Ale na razie to, co powiedział sierżant St. John, mniej więcej trzymało się kupy.

Pochyliłem się bardziej i spojrzałem w wielkie niebieskie oczy Ann Campbell, patrzące prosto w słońce. Kąciki nie zamglily się jeszcze, co potwierdzało moją diagnozę, że śmierć nastąpiła stosunkowo niedawno. Podniosłem jedną powiekę i przyjrzałem się liniom wokół gałki. Zobaczyłem małe czerwone punkciki, występujące przy śmierci przez uduszenie. To, co powiedział mi Kent, oraz to, co zobaczyłem na miejscu, wskazywało na słuszność moich przypuszczeń.

Poluzowałem linkę wokół szyi Ann Campbell i obejrzałem majtki. Nie były podarte ani zabrudzone. Natomiast brakowało plakietki identyfikacyjnej. Linka odcisnęła tylko słabą obręcz, którą trudno było zauważyć. A jednak śmierć nastąpiła przez uduszenie i tylko dzięki podłożonemu pod linkę materiałowi nie powstały normalne w tych warunkach uszkodzenia.

Podniosłem się i obszedłem ciało. Stopy ofiary zabrudzone były ziemią i trawą, a więc przynajmniej kilka kroków musiała przejść na bosaka. Pochyliłem się i przyjrzałem baczniej. Na prawej nodze tuż pod dużym palcem odkryłem maźnięcie smołą czy czymś takim. Wszystko wskazywało na to, że zdjęła ubranie, a przynajmniej buty i skarpetki koło łazika, a potem zmuszono ją, by przyszła tutaj, pięćdziesiąt metrów dalej, bez butów, a może nawet całkiem naga, chociaż biustonosz i majtki nie zostały wcześniej porzucone. Starannie obejrzałem górną część bielizny. Biustonosz miał zapięcie z przodu, nie naruszone, nie rozerwane i nie złamane, nie było też zabrudzeń na samym materiale ani nic, co świadczyłoby o użyciu siły.

Przez ten cały czas nikt nie odezwał się ani słowem. Słysząc było poranne trele ptaków na drzewach, słońce wzniosło się ponad sosny, których długie cienie kładły się na trybuny i strzelnice.

- Kto z żandarmów pierwszy pojawił się na scenie wydarzeń? - zapytałem.

Kent krzyknął do młodej szeregowej, która stała niedaleko nas.

- Złóż raport temu człowiekowi.

Kobieta-żandarm, na której tabliczce identyfikacyjnej widniało nazwisko Casey, spojrzała na mnie i zameldowała:

- O czwartej pięćdziesiąt dwie otrzymałam przez radio informację, że na terenie strażnicy numer sześć, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od łazika zaparkowanego na skraju drogi znaleziono ciało kobiety. Byłam w pobliżu, więc skierowałam się do wskazanego miejsca i zjawiłam się tu o piątej jeden. Zobaczyłam łazik. Zaparkowałam własny samochód, wzięłam mój M-16 i ruszyłam przez teren strzelnicy, gdzie zlokalizowałam ciało. Zbadałam puls, przez chwilę nasłuchiwałam, czy serce bije, sprawdziłam oddech i poświeciłam latarką w oczy ofiary, ale nie było żadnej reakcji. Stwierdziłam, że ofiara nie żyje.

- I co wtedy pani zrobiła? - zapytałem.
- Wróciłam do samochodu i wezwałam pomoc.
- Czy do i od ciała przeszła pani tą samą drogą?
- Tak jest, sir.
- Czy dotykała pani czegoś poza ciałem? Linki, śledzi, bielizny?
- Nie, sir.
- Czy dotykała pani pojazdu ofiary?
- Nie, sir. Nie dotykałam niczego, tylko sprawdziłam ciało.
- Czy chciałaby pani coś jeszcze nam powiedzieć?
- Nie, sir.
- Dziękuję.

Szeregowa Casey zsalutowała, zrobiła zwrot i wróciła na swoje wcześniejsze stanowisko.

Kent, Cynthia i ja popatrzyliśmy na siebie, jakby próbując dociec, co myślą lub czują pozostali. Takie momenty jak ten są prawdziwą próbą dla duszy i zapisują się płonącymi zgłoskami w pamięci. Nigdy nie zapominałem scen śmierci i nigdy nie chciałem zapomnieć.

Patrzyłem na twarz Ann Campbell przez dobrą minutę. Wiedziałem, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Ta chwila jest ważna, pomyślałem, ponieważ rodzi porozumienie między żywymi i martwymi, pomiędzy prowadzącym śledztwo a ofiarą. To w jakiś sposób dopomaga - nie jej, ale mnie.

Wróciliśmy na drogę i obeszliliśmy łazik, którym przyjechała córka generała. Zajrzeliśmy na siedzenie kierowcy przez otwarte okno. W wielu wojskowych samochodach nie ma stacyjki na kluczyk, tylko przełącznik startera. W tym wypadku był on ustawiony na pozycji „wyłączony”. Na przednim siedzeniu pasażera leżała czarna cywilna torebka.

- Przejrzałabym jej zawartość - powiedziała Cynthia - ale nie chciałam tego robić bez twojego pozwolenia.

- To będzie dobry początek. Sięgnij po nią.

Obeszła samochód, żeby się znaleźć po stronie fotela dla pasażera i używając chusteczki otworzyła drzwi. Również posługując się chusteczką, wyjęła torebkę, potem podeszła do ławek, usiadła na najniższej i zaczęła wyjmować to, co było w środku.

Wsunąłem się pod łazik, ale nic nadzwyczajnego nie zauważyłem. Dotknąłem rury wydechowej, miejscami była lekko ciepła.

Kiedy się podniosłem, pułkownik Kent zapytał:

- Wymyśliłeś coś?

- Przyszło mi do głowy kilka możliwych scenariuszy. Ale poczekam, co powie lekarz. Mam nadzieję, że go już wezwałeś.

- Oczywiście. Zaraz się zjawi ktoś z Gillem.

- Dobrze.

Fort Gillem leży w pobliżu Atlanty, jakieś trzysta kilometrów na północ od Hadley. Tamtejsze laboratorium medycyny sądowej CID obsługuje całą Północną Amerykę. Pracują w nim dobrzy fachowcy i, podobnie jak ja, jeżdżą wszędzie, gdzie są akurat potrzebni. Zbrodnie główne wciąż jeszcze nie zdarzają się w wojsku często, więc miejscowe laboratorium zazwyczaj musi ściągać posiłki, jeśli trafi się taka poważna sprawa. Przy morderstwie połączonym z gwałtem zjawia się najprawdopodobniej całym autobusem.

- Kiedy przyjadą, powiedz im, żeby zwrócili uwagę na czarną plamkę na jej prawej nodze. Chciałbym wiedzieć, co to takiego.

Kent skinął głową, prawdopodobnie myśląc: typowe gówno CID. I nawet mógł mieć rację.

- Chciałbym także, by szczegółowo przebadali teren. Powiedzmy, w promieniu dwustu metrów od ciała, z wyłączeniem terenu w promieniu najbliższych pięćdziesięciu metrów. - Zdepczą co prawda wszystkie ślady stóp, ale i tak na strzelnicy są ich tysiące, a jeśli chodzi o ślady butów, to interesowały mnie tylko te w zasięgu pięćdziesięciu metrów od ciała.

- A twoi ludzie - zwróciłem się znowu do Kenta - niech zbiorą wszystko, co nie jest naturalną florą - niedopałki, papiery, butelki i zaznaczą miejsce znalezienia. Dobrze?

- Nie ma sprawy. Ale przypuszczam, że ten facet przyszedł i wyszedł, nie zostawiając żadnych śladów. Pewnie przyjechał samochodem, tak samo jak ofiara.

- Może masz rację, ale zaczynamy tworzyć akta sprawy.

- Chronimy własne tyłki.

- Racja. Zgodnie z regulaminem. - Takie postępowanie było bezpieczne, a nieraz nawet efektywne. Ale przede wszystkim pozwalało na odrzucenie wszystkiego, co nieważne. Na tym polegała cała zabawa.

- Będę potrzebował osobowych i medycznych akt kapitan Campbell. Niech czekają zapieczętowane w twoim biurze przed dwunastą.

- Dobrze.

- Poza tym potrzebny mi będzie pokój i pracownik.

- Jedno biurko czy dwa?

Zerknąłem na Cynthię.

- Chyba dwa, ale nie chcę się jeszcze do niczego zobowiązywać.

- Nie ze mną takie numery, Paul. Wchodzisz w to czy nie?

- Zobaczymy, co na to powiedzą w Falls Church. W porządku, poczekaj jeszcze chwilę i nie informuj na razie oficera do kontaktów zewnętrznych. Wyślij dwóch ludzi do biura kapitan Campbell, niech wyniosą wszystko, co tam jest, biurko i inne meble, każdy przedmiot, który do niej należał. Każ to wszystko zamknąć w pomieszczeniu dla dowodów. I przytrzymaj sierżanta St. Johna i szeregowca Robbins w budynku żandarmerii do czasu, kiedy przyjdę się z nimi zobaczyć. Nie chcę, żeby rozmawiali o sprawie z kimkolwiek, dopóki nie spotkają się ze mną. No i jeszcze jedno, pułkownika. Twoim nader nieprzyjemnym obowiązkiem jest złożyć oficjalną wizytę generałowi i jego małżonce w ich domu. Idź bez wcześniejszego anonsowania się, weź ze sobą kapelana odpowiedniego wyznania i lekarza, na wypadek gdyby potrzeba było podać coś na uspokojenie. Lepiej, żeby nie oglądali ciała w takim stanie, w jakim zostało znalezione. Dobrze?

Kent przytaknął i głęboko westchnął.

- Jezu Chryste...

- Amen. A na razie poinstruj swoich ludzi, żeby pary z ust nie puścili o tym, co się tu wydarzyło, a ekipie badawczej przygotuj odciski palców szeregowca Casey i ślady obuwia wszystkich, którzy pojawili się tutaj w związku ze sprawą, z tobą włącznie.

- Dobrze.

- Poza tym, zabezpieczcie taśmą klejącą latryny i nie pozwólcie nikomu z nich korzystać. Nie wpuszczaj tam ekipy medycyny sądowej, dopóki ja ich nie sprawdzę.

- Dobrze.

Podszedłem do Cynthii, która wkładała wszystkie przedmioty z powrotem do torebki, wciąż używając chusteczki.

- Coś interesującego?

- Nie. Podstawowe rzeczy. Portfel, pieniądze, klucze. Wygląda na to, że nikt nic nie ruszał. Tutaj jest kwit z klubu oficerskiego. Jadła tam wczoraj kolację. Sałatka, kurczak, białe wino i kawa. - Po chwili Cynthia dodała: - Prawdopodobnie dokładnie w tym samym czasie, kiedy piliśmy razem drinka.

Podszedł do nas Kent.

- Piliście razem drinka? Znacie się?

- Piliśmy osobno - odpowiedziałem. - Kiedyś przelotnie się poznaliśmy. - I zwróciłem się do Cynthii: - Jaki jest adres Campbell?

- Niestety, poza jednostką. Ogrody Zwycięstwa przy Alei Zwycięstwa w Midland. Numer czterdzieści pięć. Wydaje mi się, że znam to miejsce. Taki bliźniak.

- Zadzwoń do Yardleya - powiedział Kent. - To szef policji w Midland, postara się o nakaz rewizji i poczeka na was u niej.

- Nie. Zatrzymamy to w rodzinie, Bill.

- Nie możesz przeszukiwać jej prywatnego domu bez pozwolenia władz cywilnych...

Cynthia wręczyła mi kluczyki wyjęte z torebki Ann Campbell.

- Ja poprowadzę - powiedziała.

Kent wciąż usiłował protestować.

- Nie możecie prowadzić śledztwa poza terenem jednostki, nie informując odpowiednich władz.

Odczepiłem z kółka kluczyki do samochodu Ann Campbell i podałem je Kentowi razem z torebką ofiary.

- Zajmij się jej samochodem.

Kiedy szliśmy w stronę mustanga Cynthii, krzyknąłem jeszcze:

- Powinieneś tu zostać i wszystkim kierować. Kiedy będziesz pisał raport, możesz nadmienić, że zamierzałem skontaktować się z policją w Midland. Fakt, że zmieniłem zdanie, to już moja sprawa.

- Yardley to twardy skurczybyk - poinformował mnie Kent. - Dopadnie cię, Paul.

- Będzie musiał ustawić się w kolejce i poczekać. - Ale nie chcąc dłużej drażnić Kenta, żeby nie zrobił nic głupiego, dodałem: - Posłuchaj, Bill. Muszę pierwszy rozejrzeć się w mieszkaniu Ann Campbell. Usunąć wszystko, co mogłoby zawstydzić ją, jej rodzinę, armię i kolegów z wojska. Prawda? Potem pozwolimy Yardleyowi wejść do domu. Zgoda?

Chyba to zaakceptował, bo skinął głową. Cynthia siedziała już za kierownicą mustanga, więc zająłem miejsce obok.

- Może zadzwonię stamtąd do ciebie - zawołałem jeszcze. - Głowa do góry.

Cynthia wrzuciła pierwszy bieg, zawróciła i odjechaliśmy. Już po sześciu sekundach pruliśmy sześćdziesiątką Drogą Strzelnic. Nie na darmo samochód miał pięciolitrowy silnik.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Wreszcie Cynthia powiedziała:

- Niedobrze mi.

- Okropna sprawa - zgodziłem się.

- Obrzydliwa. - Zerknęła na mnie. - Przyzwyczyłeś się?

- Boże, nie. - I dodałem: - Nie widziałem znowu tak wiele morderstw, a już na pewno nie takich jak to.

Kiwnęła głową i westchnęła głęboko.

- Wydaje mi się, że w tej sprawie mogę ci pomóc. Ale nie chcę się znaleźć w niezręcznej sytuacji.

- Nie ma sprawy - powiedziałem. - Ale zawsze mamy jeszcze Brukselę.

- Gdzie?

- W Belgii. To stolica. - *Dziwka.*

Jechaliśmy w milczeniu, wreszcie Cynthia zapytała:

- Dlaczego?

- Dlaczego Bruksela jest stolicą? Czy dlatego zawsze ją mamy?

- Nie, Paul. Dlaczego została zamordowana?

- Och... no wiesz, motywami morderstwa - zacząłem - mogą być: zysk, zemsta, zazdrość, chęć ukrycia zbrodni, uniknięcia upokorzeń czy złego traktowania i mania prześladowcza. Tak piszą w instrukcji.

- A co ty myślisz?

- No cóż, w wypadkach kiedy gwałt poprzedza morderstwo, zazwyczaj ma się do czynienia z zemstą lub zazdrością. Zawsze istnieje też prawdopodobieństwo, że chodzi o ukrycie tożsamości gwałciciela. Mogła go znać lub później zidentyfikować, jeśli nie miał maski czy przebrania. Z drugiej strony - mówiłem dalej - to zabójstwo wygląda na zbrodnię namiętności, działanie morderczego gwałciciela - osoby czerpiącej seksualne zadowolenie z samego aktu zabijania. Jego penis nie musiał brać w tym udziału. Tak to wygląda, ale przecież jeszcze nie wiemy.

Cynthia przytaknęła, nie komentując moich słów.

- A co ty myślisz? - zapytałem. Odpowiedziała dopiero po dobrej chwili.

- Najwyraźniej działanie z premedytacją. Napastnik miał wszystko, co potrzebne mu było do gwałtu - śledzie od namiotu, linkę i najprawdopodobniej jakieś narzędzie do wbijania kołków w ziemię. Musiał też być uzbrojony, jeśli rozbroił ofiarę.

- Mów dalej.

- Sprawca chyba ją sterroryzował, zmusił, by rzuciła broń, rozebrała się i przeszła na teren strzelnicy.

- Dobrze. Zastanawiam się jednak, jak mu się to udało bez szarpaniny. Nie wydaje mi się, żeby należała do uległych.

- Mnie też nie - odparła Cynthia. - Ale mogło ich być dwóch. I nie zakładałabym, że sprawcą był mężczyzna, dopóki nie będziemy mieli jakiegś sugestii z laboratorium.

- No dobrze. Dlaczego nie było żadnych śladów wałki?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Zazwyczaj ofiara ma na ciele ślady fizycznego wymuszenia. Przyznasz jednak, że linka nie świadczy o przyjacielskich zamiarach.

- Nie - odparłem - ale ten gość nie czuł do niej nienawiści.

- Trudno też powiedzieć, żeby ją lubił.

- Mógł. Posłuchaj, Cynthia, zajmujesz się tą robotą od lat. Czy ten przypadek przypomina ci coś, z czym się już kiedyś spotkałaś?

Przez chwilę się nad tym zastanawiała.

- Są tu pewne elementy - powiedziała wreszcie - czegoś, co nazywamy gwałtem zorganizowanym. Napastnik zaplanował ten gwałt. Ale nie wiadomo, czy ją znał, czy też trafiła mu się przez przypadek.

- Mógł mieć na sobie mundur. Dlatego na początku nic nie podejrzewała.

- To możliwe.

Wyjrzałem przez otwarte okno. Wdychałem świeżość wilgotnego poranka i zapach sosen, czułem słońce na twarzy. Zamknąłem okno i usiadłem prosto. Oczami wyobraźni widziałem, jak Ann Campbell wyrywa kołki, które przytrzymują ją na ziemi, wstaje naga, idzie do dzipa i tak dalej. Jak w filmie puszczonej do tyłu.

Głos Cynthiai przerwał tok moich myśli.

- Paul, na mundurze było wypisane jej nazwisko, tak samo na plakietce identyfikacyjnej. I być może także wewnątrz hełmu i butów. Więc co mają ze sobą wspólnego wszystkie zaginione rzeczy? Jej nazwisko. Zgadza się?

- Zgadza. - Kobiety wnoszą do sprawy inny sposób myślenia. I tak powinno być. Naprawdę.

- O co temu facetowi może chodzić? Zbiera trofea? Potrzebuje dowodów? Lubi pamiątki? To potwierdzałoby tezę o przestępstwie zorganizowanym.

- Ale zostawił jej bieliznę i torebkę. - Zastanawiałem się chwilę. - Wspólną cechą wszystkich brakujących przedmiotów jest to, że były na wyposażeniu armii, jak i kabura, i rewolwer, które na pewno nie nosiły jej nazwiska. A zostawił przedmioty cywilne, w tym zegarek i torebkę, gdzie znalazłoby się kilka rzeczy z nazwiskiem. Zgadza się?

- Czy to współzawodnictwo?

- Nie, Cynthia. Śledztwo w sprawie morderstwa. Burza mózgów.

- W porządku. Przepraszam. Tak właśnie powinni zachowywać się partnerzy w sprawie morderstwa.

- Właśnie. - Partnerzy?

Cynthia milczała przez moment.

- Znasz się na tej robocie - powiedziała wreszcie.

- Mam nadzieję.

- Dobrze, w takim razie dlaczego zabrał tylko przedmioty pochodzenia wojskowego?

- Starożytni wojownicy obdzierali martwych wrogów z broni i zbroi. Opaskę na biodra zostawiali.

- I dlatego zabrał przedmioty pobrane z magazynów wojskowych?

- Niewykluczone. To tylko takie przypuszczenie. Może chciał zostawić fałszywy trop. Albo trafiliśmy na taki typ degenerata, z jakim się jeszcze nie spotkałem.

Przeniosła wzrok z szosy na mnie.

- Mógł jej wcale nie zgwałcić - dodałem. - Ale położył ją w takiej pozycji, żeby skierować naszą uwagę na akt seksualny albo pozbawić ją honoru, pokazując jej nagość światu.

- Dlaczego?

- Jeszcze nie wiem.

- Może i wiesz.

- Muszę się nad tym zastanowić. Zaczynam myśleć, że on ją znał. - Tak naprawdę to wiedziałem, że on ją znał. Chwilę jechaliśmy w milczeniu. - Nie wiem dlaczego to się stało, ale co byś powiedziała na taką wersję: Ann Campbell opuszcza budynek dowództwa, jedzie prosto na teren strzelnicy, zatrzymuje się daleko od posterunku, żeby szeregowiec Robbins nie mogła jej zobaczyć. Umówiła się tam wcześniej na rendez-vous z kochankiem. To się zdarza. On udaje uzbrojonego bandytę, każe jej się poddać, a potem rozebrać. Taka dziecinna odmiana zabawy w sadystę i masochistkę. - Spojrzałem na Cynthię. - Wiesz, o co mi chodzi.

- Nie wiem nic na temat zboczeńców seksualnych. To twoja działka.

- Słusznie.

- Twój scenariusz wygląda na męską fantazję - dodała po chwili. - Trudno wyobrazić sobie kobietę, która zgodziłaby się na to całe zawracanie głowy z kładzeniem się na zimnej ziemi i uważała je za podniecające.

Wiedziałem, że to będzie długi dzień, a ja jeszcze nie jadłem nawet śniadania.

- Czy wiesz, czemu miała założone na szyję majtki? - zapytałem.

- Nie, dlaczego?

- Sprawdź w instrukcji o maniakach mordercach pod hasłem seksualne duszenie.

- Zrobię to.

- A czy zauważyłaś na jej prawej nodze czarną kropkę od asfaltu?

- Nie.

- Mogła zabrudzić się przechodząc przez jezdnię, ale po co miałyby iść na bosaka po drodze?

- Mógł jej kazać rozebrać się koło samochodu albo nawet jeszcze zanim z niego wysiadła.

- W takim razie dlaczego jej bielizna znalazła się na strzelnicy?

- Sprawca mógł ją zmusić - powiedziała Cynthia - żeby zdjęła ubranie, a potem zaniósł bieliznę tam, gdzie kazał się jej położyć.

- Dlaczego?

- Część scenariusza. Maniacy seksualni żyją fantazjami, które sami sobie wymyślają. To, co ich silnie pobudza seksualnie, dla innych ludzi jest bez znaczenia. Zmuszenie kobiety, żeby się rozebrała, a potem przemaszerowała nago, niosąc własne rzeczy na miejsce, w którym sprawca zamierzał ją zgwałcić, może być osobistą fantazją takiego maniaka.

- Więc jednak znasz się na tym. Nie tylko mnie obciąża wiedza o perwersjach.

- Wiem co nieco o patologicznym seksie i dewiacjach uznawanych za wykraczające poza normy prawne. Nie jestem ekspertem od perwersji seksualnych uznanych za dopuszczalne.

- Granica między nimi jest dość cienka, niekiedy nawet niedostrzegalna - zauważyłem.

- Nie wierzę, by Ann Campbell zrobiła to z własnej woli. A już z całą pewnością nie zgodziłaby się na uduszenie.

- Istnieje parę możliwości - zastanawiałem się - i najlepiej do żadnej za bardzo się nie przywiązywać.

- Potrzebne nam wyniki ekipy badawczej i sekcji, a potem musimy przesłuchać ludzi.

Nam? Jechaliśmy w milczeniu, patrzyłem na krajobraz. Starłem przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem o Cynthii. Pochodziła z rolniczej Iowy, ukończyła stanowy uniwersytet ze stopniem magistra kryminologii. Możliwość wykształcenia zapewnił jej specjalny program sponsorowany przez wojsko. Wielu kobietom, podobnie jak przedstawicielom mniejszości narodowych, których poznałem w wojsku, armia oferowała większe pieniądze, wykształcenie, prestiż i możliwości kariery, niż farmy, getta czy jakiegokolwiek inne miejsca, z których się wywodzili. Z tego, co pamiętałem, Cynthia miała bardzo pozytywny stosunek do armii - podróże, przygody, bezpieczeństwo, uznanie i tak dalej. Jak dla dziewczyny z farmy, to wcale nieźle.

- Myślałem o tobie.

Milczenie.

- Co słyhać u twoich rodziców? - zapytałem, chociaż nie widziałem ich na oczy.

- Wszystko w porządku. A u twoich?

- Dobrze. Wciąż czekają, żebym skończył z tym, wydorósł, dał się złapać i zrobił ich dziadkami.

- Najpierw skoncentruj się na dorostaniu.

- Dobra rada. - Cynthia potrafi być czasami sarkastyczna, ale to tylko mechanizm obronny w chwilach zdenerwowania. Ci, których łączyło łóżko, jeśli są wrażliwi i ludzcy, respektują fakt, że ten związek kiedyś istniał, a nawet potrafią okazywać trochę czułości dawnemu partnerowi. Ale co zrobić ze skrepowaniem, kiedy się siedzi tak jak my teraz, nie bardzo wiedząc, jak się do siebie zwracać? Spróbowałem znowu.

- Myślałem o tobie. Chciałbym, żebyś mi na to odpowiedziała.

- Ja też o tobie myślałam - przyznała się. Zapadło długie milczenie. Jechaliśmy nie odrywając oczu od szosy.

Słowo na temat Paula Brennera, pasażera. Południowy Boston, pochodzenie irlandzkie, katolik, nie umiałby rozpoznać krowy, gdyby ją zobaczył, bardzo dobre wyniki w szkołach i na uniwersytecie. Pochodzenie robotnicze. Nie wstąpiłem do wojska, żeby uciec z południowego Bostonu. To wojsko przyszło do mnie, kiedy zaangażowało się w potężną wojnę w Azji i ktoś powiedział, że z synów twardych robotników da się zrobić dobrych piechociarzy.

Widocznie musiałem być rzeczywiście dobry, ponieważ udało mi się tam przeżyć cały rok. Od tego czasu skończyłem różne kursy uniwersyteckie, a dzięki uprzejmości armii, także kursy kryminologii, a potem inne doksztalające w licznych dziedzinach. Zmieniłem się na tyle, że przestałem się czuć swobodnie w południowym Bostonie, ale równie niezręcznie czuję się w domu pułkownika, gdzie za dużo piję i ucinam sobie pogawędki z żonami oficerów, które albo są za brzydkie, żeby w ogóle z nimi rozmawiać, albo za ładne, żeby ograniczyć się do krótkiej rozmowy.

I oto Cynthia Sunhill i Paul Brenner, dwoje ludzi z dwóch końców kontynentu amerykańskiego i z różnych światów, byli kochankowie z Brukseli, spotkali się znowu na najgłębszym Południu. A ich ostatnim wspólnym doświadczeniem było oglądanie ciała nagiej córki generała. Czy w takich warunkach może rozkwitnąć miłość i przyjaźń? Nie dałbym za to złamanego grosza.

- Wczoraj twój widok mnie zaskoczył - powiedziała. - Przepraszam, jeśli byłam niegrzeczna.

- Żadne jeśli.

- W takim razie przepraszam. Ale nadal cię nie lubię.

- Ale lubiłabyś pracować przy tej sprawie - uśmiechnąłem się.

- Tak, więc będę dla ciebie miła.

- Będiesz dla mnie miła, ponieważ jestem oficerem wyższym stopniem. Jeśli nie będziesz miła, po prostu cię odeślę.

- Przestań błaznować, Paul. Nigdzie mnie nie odeślesz, a ja też nigdzie się nie wybieram. Mamy sprawę do rozwiązania - dodała - i stosunki osobiste do naprawienia.

- W tej kolejności.

- Tak, w tej kolejności.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Aleja Zwycięstwa, dawniej Sosnowej Dziupli, została tak przechrzczona podczas drugiej wojny

światowej, gdy nastąpiło Orwellowskie szaleństwo zmiany nazw. Była to kiedyś dwupasmowa szosa prowadząca z Midland na południe, ale kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy w roku 1971, powoli zamieniała się już w ulicę, przy której stały domy z mieszkaniami do wynajęcia i sklepikami. Teraz, prawie ćwierć wieku później, nie było nawet śladu po ulicy Sosnowej Dziupli.

Jest coś wyjątkowo brzydkiego i psującego nastrój w komercjalizacji starego Południa. Wielkie parkingi, motele, bary szybkiej obsługi, sklepy oferujące zniżkę, dealerzy samochodów i lokale, które przy dużej dawce dobrej woli można nazwać nocnymi klubami. Stare Południe, tak jak ja je pamiętam, było pewnie nie tak bogate, ale za to malownicze ze swymi małymi stacjami benzynowymi, gdzie przy automacie z colą można było kupić przynętę na ryby, z drewnianymi podupadającymi domkami, wiejskimi sklepikami i belami bawełny na bocznicach linii kolejowych. To było coś, co wyrastało wprost z tej ziemi, drewno z lasu, żwirowa droga z pobliskich kamieniołomów, a sami ludzie też jakby wyrosli z tutejszych korzeni. Nowe rzeczy wydawały się sztuczne, przesadzone tu z innej gleby. Wygodne magazyny z ogromnymi plastikowymi napisami nie miały żadnego związku z tymi ludźmi, z ich historią i lokalnymi zwyczajami.

Ale, oczywiście, nowe Południe przyjęło to wszystko. Nie tak szybko jak my na Północy, ale jednak przyjęło. I w jakiś dziwny sposób lśniące reklamy kojarzą się teraz bardziej z Południem niż z jakąkolwiek inną częścią kraju. Jankesi nareszcie zwyciężyli.

W piętnaście minut od wyjazdu z jednostki byliśmy już w Ogrodach Zwycięstwa i zaparkowaliśmy mustanga przed numerem czterdzieści pięć.

Prawdę mówiąc Ogrody Zwycięstwa były całkiem przyjemnym miejscem. Obejmowały jakieś pięćdziesiąt połączonych domków, które otaczały centralny plac z zadbanym i obszernym parkingiem. Nie było żadnych napisów typu: „Tylko dla oficerów”, ale czuło się, że na czynsze tutaj mogli prawdopodobnie pozwolić sobie tylko porucznicy i kapitanowie. A nawet jeśli pominąć pieniądze, istnieją jeszcze nie pisane zasady określające, gdzie oficerowie, którym pozwolono zamieszkać poza jednostką, wybierają sobie kwaterę. Dlatego też Ann Campbell, córka generała i sama żołnierz wyborowy, nie wynajęła mieszkania w starej części miasta ani nie wybrała anonimowości nowszych budynków, które - tutaj przynajmniej - kojarzyły się z osobami samotnymi. Ale nie została też w dużym służbowym domu rodziców na terenie bazy, co oznaczało, że miała własne życie. A ja zamierałem odkryć, jakie ono było.

Rozejrzeliśmy się z Cynthią. Chociaż dzień pracy w wojsku zaczyna się wcześnie, wciąż jeszcze kilka samochodów stało zaparkowanych przed domami. Większość oznaczona była niebieskimi naklejkami - te należały do oficerów. Zielone plakietki oznaczały przynależność do cywilnych pracowników jednostki. Ale poza tym miejsce wyglądało na opuszczone tak samo jak koszary, gdy odbierałem poranny telefon w arsenale.

Miałem na sobie ciągle ten sam mundur polowy, natomiast Cynthia ubrana była, jak już chyba powiedziałem, w dżinsy i wiatrówkę. Kiedy podchodziliśmy do frontowych drzwi domku numer czterdzieści pięć, jednego z wielu o ceglanych fasadach, zapytałem:

- Jesteś uzbrojona?

Skinęła głową.

- Dobrze. Czekaj tutaj. Ja zajdę od tyłu. Jeśli przepłoszę kogoś, zatrzymaj go.

- W porządku.

Obszedłem rząd domków i zaszedłem je od tyłu. Rozciągał się tam pas trawy, ale każdy domek miał werandę oddzieloną drewnianym płotem od sąsiedniej. U Ann Campbell stał tam standardowy grill do barbecue i ogrodowe meble, w tym leżak, na który rzucona była tubka olejku do opalania i katalog jakiegoś biura podróży.

Na ganek prowadziły rozsuwane drzwi, a przez żaluzje widziałem wewnątrz jadalni i kawałek salonu. W domu najwyraźniej nie było nikogo. Z całą pewnością nie było tu Ann Campbell, a jakoś nie mogłem wyobrazić sobie, by u córki generała mieszkał na stałe kochanek czy nawet przyjaciółka. Z drugiej jednak strony nigdy nie wiadomo, kto jest w domu, gdy właściciel został zamordowany, trzeba więc było zachować ostrożność.

Tam, gdzie trawa stykała się z tylną ścianą domu, widniało wgłębienie na okienko. Oznaczało to, że domki posiadają piwnice, z czego znowu wynikało, że trzeba będzie zejść po nie osłoniętych schodach, a to się zawsze wiąże z ryzykiem. Może powinienem wysłać Pannę Entuzjastkę na pierwszy ogień. W każdym razie z zewnątrz okienko miało osłonę pleksiglasową przyczepioną do ścian, tak że tędy nikt do środka nie mógł się dostać.

Na prawo od rozsuwanych drzwi znajdowały się drugie, kuchenne. Przy nich widniał dzwonek, który nacisnąłem. Odczekałem chwilę i zadzwoniłem jeszcze raz, potem spróbowałem klamki, co zawsze warto zrobić, zanim się człowiek włamie.

Oczywiście powinienem był pójść prosto na policję w Midland, co zresztą sugerował Kent. Policja bardzo chętnie dałaby mi nakaz rewizji, a jeszcze chętniej w niej uczestniczyła. Ale ja nie chciałem im sprawiać kłopotu, więc teraz odszukałem na kółku klucz do domu Ann Campbell i otworzyłem zamek. Wszedłem do kuchni, zamknąłem za sobą i przekręciłem klucz.

Na wprost zobaczyłem solidnie wyglądające drzwi, które najprawdopodobniej prowadziły do piwnicy. Były zamykane na zasuwę, więc ją zasunąłem. Jeśli ktoś schował się na dole, to był już zamknięty.

Po zabezpieczeniu sobie tyłów lub może raczej odcięciu odwrotu, ruszyłem przez dom do drzwi frontowych, żeby wpuścić do środka Cynthię. Przez chwilę staliśmy w chłodnym, klimatyzowanym holu, rozglądaliśmy się i nasłuchiwalismy. Dałem znak Cynthii, żeby wyjęła pistolet, co zrobiła. Był to Smith & Wesson 38. Wtedy dopiero krzyknąłem:

- Policja! Pozostać na miejscu i odezwać się!

Ale nikt nie odpowiedział. Wtedy poleciłem Cynthii:

- Zostań tutaj i bądź gotowa w każdej chwili użyć broni.

- A myślisz, że po co noszę tego cholernego grata?

- Słusznie. - *Dziwka*. Najpierw podszedłem do szafy, otworzyłem ją, ale nie było tam nikogo gotowego do ataku śledziami namiotowymi. Przechodziłem przez kolejne pomieszczenia parteru. Czuję się trochę głupio. Byłem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewny, że dom jest pusty, ale pamiętałem przypadki, kiedy nie był.

Z holu na pierwsze piętro prowadziły schody, a schody, jak już chyba wspomniałem, są niebezpieczne, szczególnie jeśli skrzypią. Cynthia ustawiła się u ich stóp, a ja wspinałem się po trzy stopnie naraz, przywierając do ściany. Na podeście piętra było troje drzwi, jedno otwarte, dwoje zamkniętych. Powtórzyłem rozkaz, by pozostać w miejscu i ujawnić głosem swoją obecność, ale znowu nikt mi nie odpowiedział.

Cynthia zawołała mnie, więc spojrzałem na dół. Była w połowie schodów i podawała mi smitha & wessona. Złapałem go i nakazałem gestem, by została na miejscu. Otworzyłem pchnięciem na oścież jedno z zamkniętych drzwi, przyjąłem pozycję strzelecką i krzyknąłem:

- Nie ruszać się!

Nie sprowokowałem jednak żadnej odpowiedzi. Rozejrzałem się po nie oświetlonym pokoju, który wyglądał jak dodatkowa sypialnia, umeblowana tylko najbardziej niezbędnymi sprzętami. Zamknąłem drzwi i powtórzyłem całą procedurę z drugimi zamkniętymi drzwiami, za którymi objawiła się duża szafa na bieliznę pościelową. Mimo wszystkich akrobatycznych sztuczek, które wyczyniałem, nie było wątpliwości, że gdyby znajdował się tam ktoś z pistoletem, gotów go użyć, byłbym już martwy. Ale trzeba postępować zgodnie z zasadami. Więc obróciłem się i zajrzałem do trzeciego pokoju, otwartego. Była to duża sypialnia, a w niej jeszcze jedno drzwi, prowadziły tym razem do łazienki. Skinąłem na Cynthię, żeby weszła na schody i oddałem jej broń.

- Oslaniaj mnie - powiedziałem i wkroczyłem do dużej sypialni, nie spuszczać wzroku z rozsuwanych drzwi do szafy i drugich, półuchylonych do łazienki. Wziąłem z toaletki butelkę perfum i cisnąłem nią do łazienki. Usłyszałem brzęk szkła. Rekonesans ogniowy, jak to nazywaliśmy w piechocie. Ale i teraz nie było żadnej reakcji.

Rozejrzałem się szybko po sypialni i łazience, potem wróciłem do Cynthii. Stała w pozycji strzeleckiej przy bocznych drzwiach, skąd widać było cały podest. Na wpół oczekiwałem, na wpół chciałem, żeby w domu znalazł się ktoś, kogo można by zaarrestować, zakończyć sprawę i wrócić do Wirginii. Ale nikogo nie było.

Cynthia rozejrzała się po obszernej sypialni.

- Posłała łóżko - stwierdziła.

- Wiesz, jacy są ci z West Point.

- To takie smutne. Była porządna i zorganizowana. A teraz nie żyje i wszystkie jej rzeczy wywrócą do góry nogami.

Spojrzałem na Cynthię.

- Zaczniemy od kuchni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rzeczywiście było coś złowieszczonego i smutnego we wdzieraniu się do domu martwej osoby, chodzeniu po pokojach, których ona już nie zobaczy, otwieraniu sekretarzyków, szaf i szuflad, przekładaniu jej rzeczy, czytaniu jej poczty, a nawet odsłuchiwaniu skierowanych do niej informacji nagranych na automatyczną sekretarkę. Ubrania, książki, kasety wideo, jedzenie, napoje, kosmetyki, rachunki, lekarstwa... całe życie tak nagle zakończone z dala od tego wszystkiego. Dom pełen rzeczy, które dźwigają, definiują i wyjaśniają czyjeś życie - pomieszczenie za pomieszczeniem, bez żywego przewodnika, który by wskazał ulubiony obraz na ścianie, zdjęcia w albumie, zaproponował drinka i wytłumaczył, dlaczego kwiaty są od dawna nie podlane i umierają.

W kuchni Cynthia zauważyła zaryglowane drzwi. - Prowadzą do piwnicy - poinformowałem ją. - Ponieważ można je było zamknąć, zostawiłem ją na koniec.

Skinęła głową.

Kuchnia zdradzała bardzo niewiele poza tym, że Ann Campbell była bardzo porządnicka i jadła to, co dzisiaj nazywamy zdrowym pożywieniem - jogurty, kiełki, otręby i takie tam. Na sam widok robiło mi się niedobrze. W lodówce spiżarni znaleźliśmy niezły zapas dobrego wina i piwa.

Jedna półka zastawiona była butelkami z mocnym alkoholem, też znakomitej jakości, nawet w kantynie ich ceny nie były małe. Prawdę mówiąc, z niektórych nie zdarto jeszcze nalepek z ceną, i widać było, że wcale nie pochodziły z kantyny.

- Dlaczego płaciła cywilne ceny za alkohol?

Cynthia, która była osobą wrażliwą, znalazła odpowiedź.

- Może nie chciała, żeby ją ktoś widział w sklepie z trunkami na terenie jednostki. Wiesz - samotna kobieta, córka generała. Mężczyźni nie przejmują się takimi sprawami.

- Potrafię to zrozumieć - powiedziałem. - Złapano mnie kiedyś w kantynie z kwaterką mleka i trzema kubeczkami jogurtu. Przez całe tygodnie nie pokazywałem się potem w klubie oficerskim.

Cynthia tylko wzniosła oczy do góry. Najwyraźniej działałem jej na nerwy.

Przyszło mi do głowy, że mężczyzna niższy stopniem nie okazywałby mi w taki sposób braku

szacunku. Zresztą inna partnerka-kobieta też nie. Ta poufałość najwyraźniej miała coś wspólnego z faktem, że kiedyś sypialiśmy razem. Musiałem się nad tym zastanowić.

- Chodźmy obejrzyć inne pomieszczenia - zaproponowała. Tak też zrobiliśmy. Toaleta na dole była niepokalana, chociaż deska i kłapa sedesu tkwiły w pionowej pozycji, a ponieważ dopiero co dowiedziałem się paru rzeczy od tego pułkownika w klubie oficerskim, doszedłem do wniosku, że niedawno był tu mężczyzna. Cynthia też to zauważyła.

- Przynajmniej nie pokapał, jak to się często zdarza starszym facetom.

Mogliśmy sobie teraz pożartować na temat pokoleń. Miałem kilka ripost na końcu języka, ale czas płynął i midlandzka policja, mogła się pokazać lada chwila, co doprowadziłoby do poważniejszych rozbieżności w opiniach niż te między panią Sunhill i mną.

W każdym razie przeszukaliśmy salon i wnękę jadalni, utrzymane w dawnym stylu, choć unowocześnione jak się tylko dało. Mimo wyposażenia współczesnego, jak w wielu domach wojskowych, można tu było znaleźć pamiątki z całego świata: japońskie emalie, dzbanki cynowe z Bawarii, włoskie szkło i tak dalej. Obrazy na ścianach pasowały w sam raz do szkolnej pracowni geometrii - bryły, koła, linie, ten styl. Wszystko przeważnie w podstawowych kolorach. Nie komunikowały nic i o to chyba chodziło. Jak do tej pory nie wyczuwałem Ann Campbell. Pamiętam, że kiedyś przeszukiwałem dom mordercy i już po dziesięciu minutach wiedziałem, co to za facet. Czasami wystarcza jakaś drobna rzecz - zbiór płyt albo wizerunki kotów na ścianach czy brudny podkoszulek na podłodze. Kiedy indziej mogą to być książki na półce albo ich brak, album ze zdjęciami, a niekiedy - eureka! - dziennik. Ale tutaj, w tym miejscu, miałem wrażenie, że trafiłem przez pomyłkę do domu przygotowanego do wynajęcia.

Ostatni pokój na parterze był gabinetem pełnym książek. Stało tam biurko, sofa i fotel. Była też konsola z odbiornikiem telewizyjnym: i wieża stereo. Na biurku stał telefon z sekretarką - jak pokazywało światelko, włączoną - ale na razie to zostawiliśmy.

Gabinet przeszukaliśmy dokładnie, przetrząsnęliśmy książki zajrzeliśmy do szuflad i pod biurko, a wreszcie przeczytaliśmy nawet tytuły książek i płyt kompaktowych. Były tam publikacje wojskowe i książki kucharskie, poradniki dotyczące dobrej kondycji, zdrowia i zdrowego żywienia. Za to nie było w ogóle literatury pięknej. Znalazłem komplet dzieł Nietzschego oraz duży wybór książek z zakresu psychologii, co przypomniało mi, że mam do czynienia z osobą, która nie tylko była psychologiem, ale zajmowała się najbardziej niesamowitym aspektem tej dziedziny: psychologią wojny. To mogło okazać się najważniejsze dla sprawy. Albo najmniej ważne.

Kiedy odrzuci się emocje i namiętności, wszystkie zbrodnie i zbrodnicze zachowania rodzą się w mózgu. Tam mają swój początek; wezwanie do popełnienia każdego uczynku przychodzi właśnie stamtąd, a ukrycie czynu nagannego również zajmuje cały umysł zbrodniarza. Tak więc my, którzy zajmujemy się przestępstwami, musimy dotrzeć do umysłów wielu ludzi. Dlatego gdybym pojął, co się działo w mózgu córki generała, zrozumiałbym, dlaczego została zamordowana. A w takich sprawach, jeśli się wie dlaczego, zazwyczaj wie się również kto.

Cynthia przerzucała płyty kompaktowe.

- Muzyka lekka, kilka standardów, Bitelsi i jeszcze klasyka, przeważnie wiedeńskie orkiestry.
- Zygmunt Freud grający Straussa na oboju?
- Coś w tym rodzaju.

Włączyłem telewizor, spodziewając się, że jest ustawiony na jeden z kanałów sportowych lub wiadomości. Ale był to kanał wideo. Przejrzałem zbiór kaset. Znalazłem kilka czarno-białych klasyków, parę taśm z ćwiczeniami i jeszcze inne opisane jako „Psychologia, seria wykładów”.

Włożyłem jedną z nich do magnetowidu i wcisnąłem klawisz.

- Popatrzmy sobie.

Cynthia odwróciła się i zobaczyliśmy oboje, jak wizerunek kapitan Ann Campbell wypełnia obraz. Ubrana była w mundur polowy i stała na mównicy. Naprawdę była bardzo przystojna. Ale poza tym miała inteligentne oczy, które spoglądały dobrą chwilę w kamerę, zanim uśmiechnęła się i zaczęła mówić.

„Witam panów. Dzisiaj przedyskutujemy kilka psychologicznych sposobów albo zasad wojny psychologicznej, które mogą być zastosowane przez dowódcę piechoty w celu osłabienia morale wroga i zmniejszenia jego efektywności bojowej. Podstawowym celem tych działań jest ułatwić panom dowodzenie. Wasz cel - doprowadzić do kontaktu z wrogiem i zniszczyć go - nie jest łatwy, dlatego wspomagają was inne rodzaje wojsk, takie jak artyleria, siły powietrzne, wojska pancerne i wywiad. Jednakże macie do swojej dyspozycji jeszcze jedno narzędzie: operacje psychologiczne. Jest to narzędzie, o którym zazwyczaj wie się najmniej i dlatego jest najrzadziej wykorzystywane.

Wola walki wroga to prawdopodobnie najważniejszy element, który musi być w kalkulowany w wasze plany. Jego broń, pojazdy pancerne, artyleria, wyszkolenie, wyposażenie, a nawet liczebność są wtórne w stosunku do woli walki. - Rozejrzała się po swej niewidocznej publiczności i pozwoliła, by upłynęła dłuższa chwila, zanim podjęła przerwana myśl. - Nikt nie chce umierać. Ale wielu ma dość siłą motywację, by bronić swojego kraju, swoich rodzin, a nawet czegoś tak abstrakcyjnego jak wartości wręcz filozoficznych. Obrona demokracji, religia, duma rasowa, honor jednostki, lojalność, perspektywa rabunku i, no tak, gwałcenie kobiet - wszystko to znajdziemy w historii wśród motywów walki.”

Kiedy mówiła, na ekranie za nią migały sceny starożytnych bitew z reprodukcji rycin i obrazów. Rozpoznałem „Porwanie Sabinek”. To jeden z nielicznych klasycznych obrazów, którego nazwę jestem w stanie przytoczyć. Czasami sam się nad sobą zastanawiam.

Kapitan Campbell mówiła dalej:

„Celem wojny psychologicznej jest osłabić te motywacje, nie całkowicie usunąć. Często bowiem są zbyt mocne, by propaganda psychologiczna mogła przynieść taki rezultat. Możemy najwyżej liczyć na to, że zasiejemy jakieś ziarno niepewności. Jednakże to nie osłabi morale do tego stopnia, by doprowadzić do masowej dezercji i kapitulacji. Natomiast zbuduje podstawę do etapu drugiego

wojny psychologicznej, a polega on na wzbudzeniu strachu i paniki w szeregach wroga. Strach przed śmiercią, przed kalectwem, strach przed strachem. Panika - najmniej zrozumiany stan umysłu ludzkiego. Panika - głęboki i trwały niepokój, często bez rozsądnego powodu i logicznej podstawy. Nasi przodkowie używali bębnów, piszczałek, ścinających krew w żyłach wrzasków, urągów, a nawet bicia się w piersi, by wywołać panikę w obozie wroga.”

Obraz za jej plecami przedstawiał teraz rzymską armię w ucieczce przed przerażającą hordą barbarzyńców.

„W naszej pogoni za doskonałością narzędzi wojny i technicznymi rozwiązaniami problemów pola bitwy zapomnieliśmy o pierwotnym krzyku.” - Ann Campbell nacisnęła guzik na mównicy i wysoki, przeraźliwy wrzask wypełnił pokój. Uśmiechnęła się i powiedziała:

„To rozluźni wasze zwieracze.”

Kilku mężczyzn roześmiało się, mikrofon pochwycił czyjeś słowa: „Jak moja żona, kiedy ma orgazm.”

Rozległo się więcej śmiechów, a kapitan Campbell reagując na tę uwagę, zaśmiała się również rubaszenie, w sposób nie licujący z jej wyglądem. Na chwilę spuściła głowę, jakby patrząc na notatki, a kiedy znowu podniosła wzrok, na jej twarzy gościł profesjonalny spokój, uśmiech całkiem zniknął.

Odniosłem wrażenie, że steruje nastrojami zebranych, rozbudzając sympatię do siebie. Podobnie jak większość mężczyzn-instruktorów w amerykańskiej armii; gdy padał jakiś bezpośredni dowcip czy komentarz, jakby zapominali o swoim stopniu. Najwyraźniej Ann Campbell umiała nawiązać kontakt ze swoją publicznością, dzieliła z nimi tę chwilę zrozumienia, ujawniła człowieka kryjącego się pod mundurem. Ale tylko na chwilę. Wyłączyłem magnetowid.

- Interesujący wykład.

- Kto by chciał zabić taką kobietę? - zapytała Cynthia. - Chodzi mi o to, że naprawdę była pełna życia. Taka witalna i pewna siebie...

Co równie dobrze mogło być powodem zabójstwa. Przez chwilę staliśmy w milczeniu, chyba w ten sposób wyrażając respekt, jakby duch Ann Campbell wciąż jeszcze unosił się w tym pokoju. Prawdę mówiąc zrobiła na mnie potężne wrażenie. Była z tego typu kobiet, które się zauważa, a kiedy już raz się zauważy, nigdy nie zapomina. Nie chodziło tylko o jej wygląd, ale wrażenie, jakie wywierała. Poza tym miała jeszcze dobry władczy głos, głęboki, wyraźny, a jednak kobiecy i seksowny. Miała, jak ja to nazywałem, akcent dziecka armii - wynik przenoszenia z jednej jednostki do drugiej, i to na całym świecie, ale chwilami zaskakiwała cię jej południowa wymowa. Ogólnie rzecz biorąc była z niej kobieta, która mogła zdobyć szacunek i uwagę mężczyzn lub wywoływać w nich niepokój.

Stosunek kobiet do niej najlepiej określiła reakcja Cynthii, która była wyraźnie pod wrażeniem. Podejrzewam jednak, że niektórym, szczególnie gdy ich mężowie lub narzeczeni zbliżali się do niej, Ann Campbell mogła wydawać się zagrożeniem. Jak ona reagowała na inne kobiety? To było jeszcze

tajemnicą. Wreszcie, żeby przerwać ciszę, powiedziałem:

- Skończmy z tym.

Wzięliśmy się znowu do przeszukiwania gabinetu. Oboje zaczęliśmy oglądać album z fotografiami znaleziony na półce. Wszystkie zdjęcia wyglądały na rodzinne: generał i pani Campbell, młody mężczyzna, najprawdopodobniej ich syn. Fotki tatusia i Ann po cywilnemu. Wujkowie i ciotki. West Point, piknik, Gwiazdka, Dzień Dziękczynienia. Miałem wrażenie, że ten album był prezentem od matki. Niby dokument stwierdzający, że Campbellowie są najszcześniejszą, najbardziej kochającą się, najbardziej scementowaną rodziną. Prawie jak Ojciec, Syn i Duch Święty z Maryją uwiecznieni na fotografiach.

- Papka - stwierdziłem. - Ale jednak coś nam to mówi

- Co? - zapytała Cynthia.

- Muszą się najprawdopodobniej nienawidzić.

- Jesteś cyniczny - powiedziała. - I zazdrosny - dodała - ponieważ nie masz takiej rodziny.

Zamknąłem album.

- Wkrótce będziemy wiedzieli, co się kryje za tymi szerokimi uśmiechami.

I w tej chwili Cynthia odczuła cały koszmar tej sprawy.

- Paul... - szepnęła - musimy zadać pytania generałowi Campbellowi... i pani Campbell.

- Już samo morderstwo nie jest przyjemnym wydarzeniem - odparłem. - Ale jeśli zdarzył się i gwałt, i morderstwo i w dodatku jedno z drugim wydaje się powiązane, a ojciec ofiary jest bohaterem narodowym, to lepiej, żeby idioci, którzy zaczynają grzebać w tej sprawie, wiedzieli, co robią. Rozumiesz?

Przez chwilę zastanawiała się.

- Naprawdę chcę tej sprawy - powiedziała wreszcie. - Czuję z Ann Campbell... wiesz... jakieś pokrewieństwo. Nie znałam jej, ale wiem, że życie tej kobiety w tej waszej męskiej armii nie było najłatwiejsze.

- Daruj sobie, Cynthia.

- Paul, ty tego nie możesz zrozumieć.

- Tak? To spróbuj być w dzisiejszych czasach białym mężczyzną.

- Daj spokój.

- Teraz już pamiętam, o co się kłóciliśmy.

- Neutralne narożniki.

Przeszliśmy w dwie przeciwne strony pokoju, chociaż nie w narożniki, i szukaliśmy dalej. Oglądałem wiszące na ścianie różne papiery w ramach: dyplom West Point, patent oficerski, świadectwa ukończenia rozmaitych kursów, pochwały, jakieś zaświadczenia z Departamentu Wojska i Departamentu Obrony, w tym jeden potwierdzający jej udział w operacji „Piaskowa Burza”, chociaż nie było napisane, w jakim charakterze tam się znalazła. Odchrząknąłem i zwróciłem się do pani Sunhill:

- Czy słyszałaś kiedyś o operacji „Szaleństwo” podczas „Piaskowej Burzy”?

- Nie przypominam sobie - odpowiedziała.

- Jakiś spryciarz psycholog wpadł na pomysł zrzuć na pozycje irackie ostro pornograficznych zdjęć. Większość tych biednych skurczybyków od miesięcy, a nawet od lat nie widziała kobiety, więc ten mądrała-sadysta chciał ich zasypać rozgrzanymi, różowymi ciałkami, które doprowadziłyby wojsko do szaleństwa. Pomysł rozważany był przez całe zjednoczone dowództwo i wszyscy byli nim zachwyceni do chwili, kiedy usłyszeli o tym Saudyjczycy. Wiesz, oni nie są tak oświeceni jak my w sprawach gołych biustów i pup. Cała sprawa została wyciszona, ale mówiło się, że pomysł był wprost genialny i skróciłby wojnę na ziemi z czterech dni do piętnastu minut. - Uśmiechnąłem się.

- To obrzydliwe - powiedziała Cynthia lodowato.

- Zgadzam się, w teorii. Ale gdyby to uratowało czyjeś życie, byłoby usprawiedliwione.

- Cel nie uświęca środków. Dlaczego o tym mówisz?

- A co byś powiedziała, gdyby pomysł bombardowania pornosami wyszedł od kobiety, a nie od jakiejś świni rodzaju męskiego?

- Chodzi ci o kapitan Campbell?

- Z całą pewnością koncepcja narodziła się w Szkole Operacji Specjalnych, która się mieści tutaj. Sprawdźmy to.

Cynthia popadła w jeden ze swych kontemplacyjnych nastrojów. Wreszcie spojrzała na mnie.

- Czy znałaś ją?

- Słyszałem o niej.

- Co słyszałaś o niej?

- To, co wiedziała większość ludzi, Cynthio. Była doskonała pod każdym względem, produkt USA. Pasteryzowana i homogenizowana przez Biuro Informacji Publicznej, a potem dostarczana pod

twoje drzwi świeża, biała jak śmietanka i zdrowa niby multiwitamina.

- A ty w to nie wierzysz?

- Nie, nie wierzę. Ale jeśli się okaże, że się mylę, będzie to oznaczało, że wybrałem sobie nieodpowiednią pracę i zrezygnuję.

- Możesz w ten sposób skończyć i w innym przypadku.

- Bardzo prawdopodobne. - Po chwili dodałem: - Rozważ proszę, w jaki sposób umarła. A także jakie to dziwaczne i nieprawdopodobne, żeby ktoś zaskoczył żołnierza, który jest na służbie, czujnego, inteligentnego, uzbrojonego i gotowego do strzału.

Przytaknęła, a potem powiedziała jakby do siebie:

- Zastanawiałam się już nad tym. Kobietom-oficerom zdarza się, i to wcale nie tak rzadko, prowadzić podwójne życie. To publiczne bywa nieskazitelne, a prywatne... odmienne. Ale widziałam też ofiary gwałtu, mężatki i samotne kobiety, których życie prywatne było wprost przykładowe, a nieszczęście padło na nie w wyniku czystego przypadku. Spotykałam też takie, które żyły na granicy występku, zgwałcone wcale nie z powodu ich stosunków pozamałżeńskich czy szaleństw, którym się oddawały. Tylko znowu przez czysty przypadek.

- To jest tylko możliwość, którą biorę pod uwagę.

- I nie bądź sędzią, Paul.

- Oczywiście. Nie jestem również święty. A ty?

- Przecież wiesz. - Podeszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu, co właściwie bardzo mnie zaskoczyło.

- Czy możemy to zrobić? - zapytała. - Chodzi mi o to, czy możemy to zrobić razem. Czy nie spieprzymy?

- Nie. Rozwiążemy tę zagadkę.

Cynthia puknęła mnie palcem w brzuch, tak jakbym nie zakończył zdania kropką. Odwróciła się i odmaszerowała do biurka Ann Campbell.

Ja skupiłem się znowu na ścianach. Teraz zauważyłem oprawioną pochwałę od Amerykańskiego Czerwonego Krzyża za jej zasługi jako dawcy krwi, obok podziękowanie z miejscowego szpitala za pracę z ciężko chorymi dziećmi oraz za nauczanie analfabetów poprzez organizację wolontariuszy. Jak ta kobieta znajdowała czas, żeby to wszystko robić poza swoją regularną pracą, gdzie również zgłaszała się na ochotnika do dodatkowych zajęć? A nie zapominajmy też o obowiązkach towarzyskich, których w wojsku nie da się tak łatwo unikać, no i wreszcie o życiu prywatnym. Czyżby to było możliwe, zastanawiałem się, że ta wyjątkowo piękna kobieta nie miała życia prywatnego?

- Mam jej notes z adresami - oświadczyła Cynthia.

- To mi coś przypomina. Dostałaś moją świąteczną kartkę? Gdzie teraz mieszkasz?

- Posłuchaj, Paul, jestem pewna, że twoi kumple w dowództwie przepatrzyli moje akta i opowiedzieli ci szczegółowo, co się ze mną działo w zeszłym roku.

- Nie zrobiłbym czegoś takiego, Cynthia. To nieetyczne i niezgodne z zasadami mojego zawodu.

Spojrzała na mnie.

- Przepraszam.

Schowała notes z adresami do swojej torebki, podeszła do telefonu i nacisnęła guzik automatycznej sekretarki. Odezwał się męski głos:

- Ann, tu pułkownik Fowler. Miałaś wpaść do domu generała rano, kiedy wracałaś ze służby. - Głos pułkownika brzmiał obcesowo. - Pani Campbell przygotowała dla ciebie śniadanie. No cóż, teraz prawdopodobnie śpisz. Kiedy wstaniesz, zadzwoń proszę do generała lub pani Campbell. - Usłyszeliśmy trzask odkładanej słuchawki.

- Może ona zabiła sama siebie - powiedziałem. - Ja bym tak zrobił na jej miejscu.

- Na pewno nie jest łatwo być córką generała - skomentowała Cynthia. - Kto to jest pułkownik Fowler?

- Wydaje mi się, że adiutant. Jak ta wiadomość zabrzmiała w twoich uszach? - zapytałem.

- Oficjalnie. Ton sugerował pewną familiarność, ale brakowało ciepła. Tak jakby po prostu wykonywał obowiązek, dzwonił do zapominalskiej córki swego szefa, nad którą góruje stopniem, ale która mimo wszystko jest córką szefa. A w twoich?

Zastanowiłem się przez moment.

- Sztucznie - odpowiedziałem.

- O... jak telefon-alibi?

Nacisnąłem jeszcze raz guzik odtwarzania i słuchaliśmy.

- Może zaczynam sobie coś wymyślać.

- Może nie.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer biura żandarmerii. Pułkownik Kent był na miejscu i podszedł do telefonu.

- Jesteśmy jeszcze w domu nieboszczki - poinformowałem go. - Rozmawiałeś już z generałem?

- Nie... ja... czekam na kapelana...

- Bill, oni tak czy siak wkrótce się dowiedzą. Poinformuj rodzinę zmarłej. I nie listem czy telegramem.

- Posłuchaj, Paul, siedzę tu jak w bajorze z aligatorami, zadzwoniłem po kapelana i on już jest w drodze...

- Dobrze. Czy zaczęliście działać?

- Tak. Złożyłem wszystko w nie używanym hangarze na Polu Jordana.

- Dobrze. Teraz zdobądź ciężarówki i pluton żandarmów, którzy nie boją się ciężkiej pracy, umieją trzymać buzie na kłódki i opróżnij ten dom tutaj. Chodzi mi o to, pułkowniku, żeby zabrali stąd wszystko - meble, dywany, lampy do ostatniej żarówki i klapy na sedesie. Łącznie z lodówką i jedzeniem. Zróbcie zdjęcia tego miejsca i ułóżcie wszystko w hangarze w takim mniej więcej porządku, w jakim zostało znalezione. Rozumiesz?

- Czyś ty zwariował?

- Całkowicie. I zadbaj o to, żeby ci ludzie mieli rękawiczki. I niech eksperci sądowi sprawdzą to wszystko, co zwykle sprawdzają.

- Dlaczego chcesz przenieść tu cały dom?

- Bill, tutaj nie sięga nasza jurysdykcja, a ja nie wierzę, żeby miejscowa policja grała z nami w uczciwe karty. Dlatego kiedy przedstawiciele władz Midland zjawią się w tym domu, niech zastaną tylko tapety na ścianach. Zaufaj mi. Miejsce zbrodni należy do armii. Więc wszystko jest w stu procentach legalne.

- Nie, nie jest.

- Albo robimy to po mojemu, albo odchodzę, pułkowniku.

Na długą chwilę zapadło milczenie, a potem usłyszałem chrząknięcie, które przypominało „Dobrze”.

- I wyślij oficera do telefonów, niech przełączą numer Ann Campbell na teren bazy. A ściśle mówiąc do linii w tym hangarze, o którym mówiłeś. Podłącz do niego automatyczną sekretarkę i załóż do niej nową taśmę. Starą zatrzymaj. Jest na niej wiadomość. Wpisz ją na listę dowodów.

- Kto do niej zadzwoni, kiedy wszystkie gazety zaczną trąbić o śmierci?

- Nigdy nic nie wiadomo. Czy ekipa medycyny sądowej już przyjechała?

- Tak. Są tu. Ciało również.

- A co z sierżantem St. Johnem i szeregowiec Robbins?

- Ciągłe jeszcze śpią. Umieściłem ich w oddzielnych celach. Nie zamkniętych. Chcesz, żebym im przeczytał ich prawa?

- Nie, nie są podejrzanymi. Ale możesz ich trzymać jako świadków do czasu, aż się zjawią.

- Żołnierze mają pewne prawa - poinformował mnie Kent. - St. John jest żonaty, a oficer, u którego służy Robbins, prawdopodobnie myśli, że opuściła samowolnie posterunek.

- W takim razie zadzwoń i wyjaśnij sprawę. Ale im na razie nie wolno się z nikim komunikować. Jak tam z personalnymi i lekarskimi aktami kapitan Campbell?

- Mam je tutaj.

- O czym zapomnieliśmy, Bill?

- O konstytucji.

- Nie zwracaj mi głowy drobiazgami.

- Ty wiesz, Paul, że ja muszę pracować z komisarzem Yardleyem. Wy przychodzicie i znikacie. Yardley i ja dogadywaliśmy się całkiem nieźle, jeśli się weźmie pod uwagę problemy...

- Powiedziałem, biorę to na siebie.

- Żebyś wiedział, że bierzesz. - I zapytał: - Znalazłeś tam coś interesującego?

- Jeszcze nie. A ty?

- Przeszukujący teren zgarnęli tylko trochę śmieci.

- A psy?

- Brak innych ofiar. - Chwilę milczał. - Dano im poniuchać w samochodzie i psy poprowadziły prosto do ciała, potem wróciły do łazika, następnie przeszły przez drogę, minęły trybuny i dotarły do latryn pod drzewami. Potem straciły ślad i znowu wróciły do łazika. Nie wiemy, czy psy złapały trop tego faceta, czy jej. Ale ktoś, może ofiara razem ze sprawcą albo któreś z nich samo, był przy latrynach. - Zawahał się i powiedział: - Mam uczucie, że morderca przyjechał własnym samochodem, a ponieważ nie było śladów opon, może to oznaczać, że zaparkował na drodze, zanim albo po tym, jak ona się zatrzymała. Oboje wysiedli, sterroryzował ją i zaprowadził na strzelnicę, gdzie zrobił to, co zrobił. Potem wrócił na szosę...

- Niosąc jej ubranie.

- Tak. Wrzucił rzeczy do swego samochodu, następnie...

- Udał się do latryny, umył się, uczesał,, poszedł do samochodu i odjechał.

- Tak to mogło wyglądać - powiedział Kent. - Ale to tylko teoria.

- Mam teorię, że przydałby nam się dodatkowy hangar na trzymanie teorii. Dobra, sześć ciężarówek powinno wystarczyć. I przydziel im wrażliwą kobietę-oficera, która wszystkiego przypilnuje. I jeszcze kogoś, kto zna sąsiadów, żeby ich uspokoił, kiedy żandarmi będą opróżniać dom. Do zobaczenia później. - Odłożyłem słuchawkę.

- Masz szybki i analityczny umysł, Paul - powiedziała Cynthia.

- Dziękuję.

- Gdybyś miał trochę współczucia i serce, byłbyś lepszym człowiekiem.

- Nie chcę być lepszym człowiekiem. Czyżbym w Brukseli nie był dobrym człowiekiem? Kto ci kupował czekoladki?

Nie od razu odpowiedziała.

- Tak, robiłeś to. No cóż, może byśmy poszli na górę, zanim zwieje ją na Pole Jordana?

- Dobra myśl.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Główna sypialnia, jak już powiedziałem, była schludna i czysta, tylko podłogę łazienki zalegały odłamki potłuczonego szkła z rozbitej butelki po perfumach. Umieblowana była nowocześnie i funkcjonalnie - można to pewnie nazwać stylem skandynawskim - bez żadnych ciepłych elementów, które sugerowałyby, że jest to damski buduar. Przyszło mi nagle do głowy, że nie miałbym ochoty kochać się w tym pokoju. Dywan również nie nadawał się do sypialni. Był to szorstki chodnik, na którym nie odciskały się ślady stóp. Coś jednak odstawało od tej atmosfery surowości: dwadzieścia butelek perfum (Cynthia stwierdziła, że bardzo kosztownych) i cywilne ubrania w szafie, które (również jej zdaniem) były wyjątkowo szykowne, a co za tym idzie, niezwykle drogie. Drugą szafę, znacznie mniejszą - przeznaczoną zwykle na ubrania męża lub kochanka - wypełniały schludnie powieszony różnego typu mundury na lato, obok których leżały wszystkie niezbędne dodatki. Bardziej zainteresowało mnie to, że w kącie szafy stał karabin maszynowy M-16 z pełnym magazynkiem i nabojem w komorze, załadowany, gotowy do strzału.

- To jest z wyposażenia, pełny automat - powiedziałem.

- Nie wolno czegoś takiego trzymać poza jednostką - stwierdziła Cynthia.

- Mój Boże. - Poszperaliśmy jeszcze przez chwilę i właśnie otworzyłem szufladę z bielizną, kiedy usłyszałem głos Cynthii: - Tam już patrzyłeś.

- Szukam jej sygnetu z West Point - odparłem poirytowany. - Nie miała go na palcu, a w szkatułce na kosztowności także go nie było.

- Sprawca ściągnął sygnet z palca Ann Campbell. Widziałam biały ślad.

Zatrzasnąłem szufladę.

- Nie mądrz się - powiedziałem.

- Biorę przykład z ciebie - odszczeknęła.

Łazienka była przestronna, a poza tym można było tu jeść z podłogi, jak przystało na łazienkę absolwentki West Point. Nawet umywalka została wytarta do sucha, jakby zgodnie z regulaminem, na kafelkach nie było nawet włoska, a już z pewnością włoska jakiegoś smagłego gościa.

Otworzyliśmy szafkę, gdzie stał zwyczajny zestaw kosmetyków i środków pielęgnacji. Żadnych lekarstw, w każdym razie nic silniejszego od aspiryny. Nie było też męskich przyborów toaletowych i tylko jedna szczoteczka do zębów.

- Co byś wydedukowała z czegoś takiego? - zapytałem swoją partnerkę.

- No cóż, nie można jej posądzić o hipochondrię, jej cera nie była ani sucha, ani tłusta, nie rozjaśniała włosów, a środki antykoncepcyjne trzymała w innym miejscu.

- Może wymagała od swoich mężczyzn używania prezerwatyw - powiedziałem. I dodałem: - Nie wiem, czy słyszałaś, ale kondomy znowu weszły w modę ze względu na AIDS. W dzisiejszych czasach trzeba partnera wygotować, zanim się z nim pójdzie do łóżka.

Cynthia ignorując moją uwagę mówiła dalej:

- Albo była cnotliwa.

- To mi w ogóle nie przyszło do głowy. Myślisz, że taka możliwość istnieje?

- Tego się nigdy nie wie, Paul. Nigdy.

- Albo może była... jak to się mówi w dzisiejszych czasach. Lesbijką? Czy to społecznie słuszne określenie?

- A obchodzi cię to?

- Potrzebuję odpowiedniego słowa do mojego raportu. Nie chcę mieć kłopotów z feministkami w

policii.

- Daruj sobie, Paul.

Wyszliśmy z łazienki.

- Chodź, obejrzymy tę drugą sypialnię - zaproponowała Cynthia.

Przeszliśmy podestem do mniejszego pokoju. Nie spodziewałem się tam spotkania z nikim, ale Cynthia wyciągnęła pistolet i osłaniała mnie, gdy zaglądałem pod podwójne łóżko. Poza tym meblem w pokoju znajdowała się tylko toaletka, nocny stolik i lampka. Niewielkie drzwi prowadziły do łazienki, która wyglądała, jakby nikt nigdy z niej nie korzystał. Zresztą i pokój był nie używany, widocznie Ann Campbell traktowała go jako gościnny.

Cynthia ściągnęła z łóżka kapę, pod którą ukazały się gołe materace.

- Tutaj nikt nie spał - powiedziała.

- Najwyraźniej nie. - Wyciągnąłem szufladę toaletki. Pusta. Cynthia podeszła do podwójnych dużych drzwi w ścianie. Stałem przy jednym skrzydle i nagłym szarpnięciem otworzyłem je. Wewnątrz automatycznie zapaliło się światło, co mnie zaskoczyło, zresztą Cynthię także, bo nagle przykucnęła i wymierzyła z broni. Podniosła się po sekundzie lub dwóch. Staliśmy przed ogromną garderobą z cedrowego drzewa. Oboje weszliśmy do środka. Pachniało tu chyba tanią wodą kolońską, jakiej kiedyś używałem, by trzymać z daleka mole i kobiety. Po obu stronach biegły długie żerdzie, z których zwisały odpowiednie dla każdego możliwego klimatu na ziemi, porządnie zapakowane w torby cywilne ubrania i jeszcze więcej mundurów, począwszy od tych starych z West Point, przez polowe, używane na pustyni, do białych, które wojsko nosi w Arktyce. Na koniec niebieskie mundury wizytowe i rozmaite inne, rzadko używane typy mundurów, plus jej szabla z West Point. Na górnej półce leżały odpowiednie nakrycia głowy, a na podłodze stały szeregiem buty.

- Cóż za uporządkowany żołnierz. Gotowa zarówno na żołnierski bal jak na walkę w dżungli.

- Czy twoja szafa na ubrania tak nie wygląda?

- Moja szafa na mundury wygląda jak na trzeci dzień po wyprzedaży. A właściwie jeszcze gorzej. Mam uporządkowany umysł, ale na tym koniec. Tymczasem kapitan Campbell wygląda, przynajmniej z pozoru, na niezwykle schludną, porządną i zorganizowaną na wszelkie możliwe sposoby. W takim razie w jej umyśle mógł panować kompletny chaos. Ale niekoniecznie. Ta kobieta wymyka się ocenie.

Kiedy schodziliśmy w dół schodami, powiedziałem do Cynthii:

- Zanim dostałem się do CID, nie potrafiłem znaleźć wskazówki, póki na nią nie wlażem.

- A teraz?

- Teraz we wszystkim widzę wskazówki. Brak wskazówki jest wskazówką.

- Naprawdę? Nie dotarłam jeszcze na ten poziom. Brzmi to jak zen.

- Ja uważam to za szerlokinadę. Pamiętasz? Pies, który nie szczeka w nocy. - Weszliśmy do kuchni. - Dlaczego pies nie szczekał?

- Ponieważ nie żył.

Trudno dostosować się do nowego partnera. Nie lubię młodych, podlizujących się ludzi, którzy podczepią się do każdego słowa. Ale nie lubię też takich, co pozjadali wszystkie rozumy. Doszedłem do tego wieku i stopnia, którym okazuje się szacunek, i to zasłużony. Ale od czasu do czasu nie mam nic przeciwko temu, by rzeczywistość wstrząsnęła mną nieco.

Przyglądaliśmy się z Cynthia zamkniętym drzwiom do piwnicy. Powiedziałem, nie a propos drzwi, tylko w ogóle życia:

- Moja żona wszędzie zostawiała wskazówki.

Nie odpowiedziała.

- Ale ja ich nigdy nie zauważałem.

- Na pewno zauważałeś.

- No... kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, to tak. Ale młodość oznacza pewną nieprzenikalność. Człowiek jest tak pełen samego siebie, że nie za bardzo czyta innych ludzi. I nawet jeśli nie jest oszukiwany i okłamywany zbyt często, brak mu niezbędnej dozy cynizmu i podejrzliwości, żeby być dobrym detektywem.

- Dobry detektyw, Paul, potrafi oddzielić życie zawodowe od osobistego. Nie chciałabym mężczyzny, który za mną węszy.

- Jeśli wnosić z przeszłych zdarzeń, to na pewno nie chciałabyś.

- Odpieprz się.

Punkt dla Paula. Odsunąłem zasuwkę.

- Twoja kolej.

- Dobrze. Szkoda, że nie masz swojego pistoletu, - Wręczyła mi smitha & wessona i otworzyła drzwi do piwnicy.

- Może powinienem pójść na górę i wziąć M-16 - zastanawiałem się.

- Nigdy nie ufaj dopiero co znalezionej i nie sprawdzonej broni. Tak mówi regulamin. Po prostu krzyknij, a potem mnie osłaniaj.

Krzyknąłem w dół schodów:

- Policja! Wejść na schody z rękami na głowie, - To jest wojskowa wersja „Ręce do góry” i na dobrą sprawę chyba jednak bardziej sensowna. W każdym razie nikt nie wszedł na schody, więc Cynthia musiała zejść w dół.

- Nie zapalaj światła. Skoczę na prawo. Poczekaj pięć sekund.

- Ty poczekaj teraz jedną. - Rozejrzałem się, żeby znaleźć coś, czym mógłbym cisnąć i zauważyłem toster, ale Cynthia już przeskakiwała po kilka stopni w dół. Widziałem, jak przebiegła na prawo i znikła mi z oczu. Ruszyłem za nią, kierując się na lewo, wylądowałem w pozycji strzeleckiej, wyęzając wzrok w ciemnościach. Oczekaliśmy tak pełne dziesięć sekund, potem krzyknąłem:

- Ed, John, osłaniajcie nas!

Nie miałbym nic przeciwko obecności Eda i Johna, ale w tej sytuacji trzeba stworzyć nie istniejące bataliony w umysłach wrogów - jak mogłaby powiedzieć kapitan Campbell.

Teraz wiedziałem już, że jeśli ktokolwiek znajduje się na dole, nie szykuje się w zasadzce do ataku, lecz drży ze strachu. Wszystko na to wskazywało, no nie?

W każdym razie Cynthia, którą niecierpliwiła moja ostrożność, zbiegła po schodach i nacisnęła przycisk włączający światło. Fluorescencyjny blask zapełzał w żarówkach na suficie, a potem uderzył białym światłem, które kojarzyło mi się z nieprzyjemnymi miejscami.

Zszedłem za Cynthia na dół i rozejrzeliśmy się. Było to typowe pomieszczenie na pralkę i suszarkę, warsztat stolarski, magazyn, urządzenia do ogrzewania i klimatyzacji. Podłoga i ściany z betonu, a po suficie biegły gołe przewody i rury.

Przyjrzelśmy się uważnie warsztatowi i ciemnym kątom, ale wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie. Tyle że Ann Campbell miała sporo sportowego sprzętu. Prawdę mówiąc, cała ściana na prawo od warsztatu nadzłgana była kołkami, na których wisiały od podłogi do sufitu narty, rakietki tenisowe, rakietki do squasha, rękawica do baseballu, aparat do nurkowania i tak dalej. W absolutnym porządku. Wisiał tam również przyczepiony kołeczkami plakat zachęcający rekrutów do wojska, długi na dwa metry, a na nim nie kto inny tylko kapitan Ann Campbell w całej krasie: mundur polowy, pełne wyposażenie bojowe, M-16 pod prawym ramieniem, radiotelefon przy uchu, sprawdza sztabówkę i zerkając jednocześnie na zegarek. Twarz wysmarowana maścią kamuflażową, ale tylko eunuch byłby nieczuły na subtelność zmysłowości tego zdjęcia. Napis u szczytu plakatu głosił: „Czas uporządkować swoje życie”. A na dole: „Idź już dziś do swojej komisji poborowej”. Natomiast nie było tam napisu: „Spotkaj ludzi przeciwnej płci w warunkach prawdziwej bliskości, śpij razem z nimi w lesie, kąp się wspólnie w strumieniach, tam gdzie nikt nie może ci zatrzaskać drzwi przed nosem”.

Może to była projekcja moich własnych marzeń seksualnych, ale myślę, że ludzie od propagandy, którzy stworzyli ten plakat w celu zwabienia cywilów w szeregi wojska, domyślali się, co zobaczy

mój brudny umysł. Kiwnąłem głową w stronę plakatu i zapytałem Cynthii, co o nim myśli.

- Dobry poster - wzruszyła ramionami.
- Czy zauważyłaś przekaz seksualny do podświadomości?
- Nie. Pokaż mi,
- No... to działa na podświadomość. Jak mogę ci pokazać?
- Wy tłumacz mi to.

Poczułem się jak złapany na wędkę, więc odpowiedziałem:

- Kobieta z karabinem. Karabin jest substytutem penisa. Mapa i zegarek to podświadome pragnienie seksu, ale na jej warunkach, zgodnie z jej wyborem miejsca i czasu. Rozmawia przez radiotelefon z mężczyzną, podaje mu swoje koordynaty i mówi mu, żeby przyszedł do niej za piętnaście minut.

Cynthia spojrzała na zegarek.

- Myślę, że już czas stąd zmykać.
- Dobrze.

Ruszyliśmy w stronę schodów, ale odwróciłem się i spojrzałem jeszcze raz na piwnicę.

- Tu mi czegoś brakuje - powiedziałem.

Jak na sygnał oboje zawróciliśmy do ściany z kołkami, jedynej pokrytej deskami, pod którymi nie było widać betonowej ściany fundamentu. Zastukałem w drewno, wydawało się solidne. Znalazłem w skrzynce narzędzia długie szydło i wsadziłem je w jedną z dziur przygotowanych na kołek. Weszło jakieś pięć centymetrów i trafiło na coś twardego. Popchnąłem mocniej i koniec szydła zagłębił się w czymś miękkim, w czymś, co na pewno nie było betonem.

- To jest fałszywa ściana - poinformowałem Cynthię. Ponieważ nie odpowiedziała, spojrzałem na nią. Stała po mojej lewej ręce i patrzyła na plakat dla poborowych. Złapała drewnianą ramę posteru, pociągnęła, a on otworzył się jak drzwi odsłaniając ciemną przestrzeń. Przesunąłem się szybko za nią i staliśmy tak przez chwilę, nic nie widząc, bo kontrast z jasnością jarzeniówek w piwnicy był zbyt silny.

Po kilku sekundach, w czasie których nie zostaliśmy poszatkwani kulami, moje oczy przywykły do ciemności. Byłem w stanie rozróżnić kształty w pomieszczeniu, które okazało się umeblowane. Widziałem także lśnienie wskazówek zegara wiszącego na przeciwległej ścianie. Na oko wnętrze to miało pięć metrów na piętnaście. Ten drugi wymiar pokrywał się z długością domu od frontu do tyłu.

Wręczyłem Cynthii jej trzydziestkę ósemkę i zacząłem macać ręką po wewnętrznej ścianie

szukając kontaktu.

- Tutaj najpewniej Campbellowie trzymają swoich oszalałych krewnych - szepnąłem. Znalazłem kontakt, włączyłem światło; zapaliła się stojąca na stole lampa. Naszym oczom ukazał się całkowicie umeblowany pokój. Zrobiłem ostrożnie krok do przodu, widząc kątem oka Cynthię, która mierzyła z trzydziestki ósemki omiatając wzrokiem pomieszczenie.

Ukląknęłam i zajrzałam pod łóżko, potem wstałam, sprawdziłam szafę, następnie małą łazienkę. Cynthia cały czas mnie osłaniała. Wreszcie stanęliśmy naprzeciwko siebie.

- No i mamy - powiedziałam.

I rzeczywiście mieliśmy. Stało tu podwójne łóżko, obok stolik nocny z lampą i długi stół, a na nim wieża stereo, telewizor, magnetowid i wideokamera na statywie. Podłogę zakrywał gruby, biały, pluszowy dywan, wcale nie taki czysty jak te na górze. Ściany wyłożone były boazerią z jasnego drewna. Na lewo od wejścia stała szpitalna leżanka na kółkach, nadająca się, na przykład, do masażu. Do sufitu umocowane było lustro, a w otwartej szafie dostrzec można było stopy koronkowej i szyfonowej bielizny, na widok której wielu by się zaczerwieniło. Na dodatek wisiał tam schludny fartuch pielęgniarski, który, jak sądzę, nie był używany w szpitalu, a także spódnica i marynarka z czarnej skóry, kurewska czerwona kiecka z cekinami i - co najbardziej interesujące - mundur polowy. Taki sam pewnie nosiła na chwilę przed śmiercią.

Cynthia, Panna Świętoszkowata, rozglądała się po pokoju z nieszczęśliwą miną, jakby Ann Campbell pośmiertnie wymierzyła jej kopniaka.

- Dobry Boże...

- To, jak umarła, ma jednak chyba pewien związek z tym, jak żyła - powiedziałam. - Ale nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków.

Łazienka również nie była tak czysta jak te na górze, a w szafce znaleźliśmy kapturek, kondomy, żel antykoncepcyjny i inne takie... wystarczająca liczba kontrolerów urodzin, by w znacznym stopniu zmniejszyć populację Indii.

- Czy nie należy się raczej trzymać jednego sposobu? - zapytałam.

- Zależy od nastroju - odparła Cynthia.

- Rozumiem.

Obok środków antykoncepcyjnych stał płyn do płukania ust, kilka szczoteczek do zębów w różnych kolorach, pasta do zębów i sześć gruszek do lewatywy. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że ktoś, kto zajada się kiełkami, ma problemy z obstrukcją.

- Na Boga - powiedziałam, biorąc do ręki niewielką buteleczkę z płynem do kąpieli o zapachu truskawek. Nie był to mój ulubiony zapach.

Cynthia wyszła z łazienki, a ja zajrzałem pod prysznic. Tutaj też było brudnawo, a ręcznik na wieszaku jeszcze nie wysechł. Interesujące.

Wróciłem do Cynthii. Sprawdziła zawartość szuflady nocnego stolika: galaretka, wazelina, podręczniki erotyczne, jeden wibrator o typowych rozmiarach z założonymi bateriami oraz jeden sztuczny członek o proporcjach godnych herosa.

Wysoko, na fałszywej ścianie, która dzieliła sypialnię od warsztatu stolarskiego w piwnicy, wisiał zestaw skórzanych kajdanów, a na podłodze poniżej leżał skórzany rzemień, pęk różeg i niestosowne tutaj - choć może i nie - długie strusie pióro. Mój umysł niechętnie oderwał się od wizji, które, jak sędzę, wywołały rumieniec na moich policzkach.

- Zastanawiam się - powiedziałem - do czego służą te rzeczy?

Cynthia milczała, wpatrując się jak zahipnotyzowana w kajdanki.

Ściągnąłem narzutę. Prześcieradło wyglądało na nieco zużyte. Tu było do woli włosów, zarówno zwykłych jak i łonowych, i różnych śladów, które dadzą zajęcie laboratorium co najmniej na tydzień.

Cynthia jakby niechętnie przeniosła wzrok na prześcieradło. Ciekaw byłem, co też chodzi jej po głowie. Wstrzymałem się od powiedzenia „a nie mówiłem”, ponieważ sam w pewnym momencie prawie miałem nadzieję, że nic nie znajdziemy. Jak już wspomniałem, Ann Campbell zdążyła umościć sobie wygodne gniazdko w moim sercu. Ja sam nie czułem się w prawie być sędzią w sprawach związanych z zachowaniami seksualnymi, ale mogłem sobie łatwo wyobrazić, że niejednen chętnie wskoczy w skórę moralizatora.

- Wiesz co - powiedziałem - właściwie czuję ulgę, że nie była taką bezpłciową albo raczej dwupłciową dziewczyną z wojskowego plakatu, jaką chciała z niej zrobić armia.

Cynthia spojrzała na mnie i chyba przytaknęła.

- Psychoterapeuta miałby co robić z tak oczywistym przypadkiem podziału osobowości. Ale jak sama wiesz, każdy z nas idzie co najmniej dwiema drogami równocześnie. Rzadko jednak stwarzamy dla swego alter ego osobny pokój. - Po chwili namysłu dodałem: - Właściwie to i ona była terapesem.

W tym momencie oboje ruszyliśmy w stronę telewizora. Wybrałem kasetę na chybił trafił i włączyłem magnetowid.

Obraz pojaśniał i oczom naszym ukazała się Ann Campbell ubrana w czerwoną sukienkę z cekinami, na wysokich obcasach i w biżuterii. Stała w tym właśnie pokoju. W tle śpoczyła się piosenka „Striptizerka”. Męski głos, prawdopodobnie należący do osoby, która trzymała kamerę, zażartował:

- Czy to samo robisz na generalskich przyjęciach?

Ann Campbell uśmiechnęła się i zakołysała biodrami w stronę kamery. W tej chwili była już tylko w majteczkach i bardzo ładnym francuskim biustonoszu. Sięgała właśnie do zapięcia, gdy

wyłączyłem magnetowid, czując, że powinienem to zrobić.

Przejrzałem inne taśmy, wszystkie opisane ręcznie. Tytuły raczej nie pozostawiały złudzeń co do zawartości: „Pieprzonko z J”, „Co znajdziesz pod ubrankiem B.”, „Badanko R.” i „W odbycik z J.S.”.

- Chyba widzieliśmy już dość - powiedziała Cynthia.

- Prawie wszystko. - Otworzyłem górną szufladę toaletki. Leżał tam stos polaroidowych fotek. Przemknęło mi przez głowę, że mogę tu trafić główną wygraną i przerzucałem zdjęcia, szukając wizerunków jej przyjaciół. Ale do wszystkich pozowała tylko ona. Zdjęcia były różne: od prawie artystycznych, przez erotyczne, do obscenicznych.

- Gdzie ci faceci?

- Za aparatem.

- Tu muszą być... - nagle zauważyłem drugi stosik. Na tych zdjęciach widnieli dobrze zbudowani nadzy mężczyźni, których twarze zakrywały skórzane kaptury. Jedna fotografia przedstawiała mężczyznę leżącego na Ann i zrobiona była najprawdopodobniej z samowyzwalaczem albo przez osobę trzecią. Następne zdjęcie - nagiego faceta przywiązanego do ściany, plecami do kamery. Prawdę mówiąc wszyscy ci mężczyźni - a na zdjęciach uwieczniono co najmniej dwadzieścia różnych ciał - byli albo odwrócenie od kamery, albo mieli zasłonięte twarze. Najwyraźniej chłopcy nie chcieli, żeby jakiegokolwiek zdjęcie ich twarzy zostało tutaj, i prawdopodobnie oni również nie posiadali żadnego zdjęcia, na którym można by było rozpoznać twarz Ann Campbell. Większość ludzi zachowuje pewną ostrożność przy tego typu fotografiach, a jeśli mają wiele do stracenia, stają się nawet bardzo ostrożni. W miłości powinno się mieć do siebie zaufanie, ale coś mi się zdawało, że tu raczej chodziło tylko o pożądanie; po takiej sesji mogła nie pamiętać nawet imienia partnera. Chodzi mi o to, że gdyby miała chłopaka z prawdziwego zdarzenia, człowieka, którego by naprawdę lubiła i szanowała, nie przyprowadziłaby go do tego pokoju.

Cynthia także przeglądała zdjęcia, ale trzymała je tak, jakby samo dotknięcie groziło zarażeniem jakąś paskudną chorobą.

- Wszystko biali mężczyźni, w większości szatyni, kilku blondynów. Czy możemy ich jakoś uszeregować?

- To byłby interesujący szereg - przyznała Cynthia. Wrzuciła zdjęcia do szuflady. - Może nie powinniśmy wpuszczać żandarmów do tego pomieszczenia.

- Mam nadzieję, że go nie znajdą.

- Chodźmy.

- Poczekaj minutkę. - Otworzyłem kolejne trzy szuflady, w których znalazłem dalsze przedmioty użytku seksualnego. W specjalnych sklepach nazywa się je zabawkami dla kobiet. Były tam także majtki, podwiązki, kot o dziewięciu ogonach, ochraniacz na genitalia i kilka rzeczy, których

zastosowania nie umiałem odgadnąć. Szperając w tym wszystkim na oczach pani Sunhill, czułem się, prawdę mówiąc, dość zmieszany. Ona prawdopodobnie zastanawiała się, po co tu nadal sterczę, bo zapytała wreszcie:

- Co chcesz jeszcze znaleźć?

- Linkę.

- Linkę? Och...

Była tam. Leżała zwinięta w najniższej szufladzie. Nylonowy zielony sznur. Wyjąłem go i obejrzałem uważnie.

- Taki sam? - zapytała Cynthia.

- Raczej tak. Wygląda jak linka ze strzelnicy - standardowa zielona linka namiotowa. Ale na terenie jednostki jest jej dobre sześć milionów kilometrów.

Spojrzałem na łóżko w starym stylu, z czterema kolumnami, bardzo odpowiednie do zniewalania. Na temat dewiacji seksualnych wiem niewiele więcej od tego, co przeczytałem w podręczniku CID, ale nie mam wątpliwości, że zniewolenie jest ryzykowną sprawą. Chodzi mi o to, że duża zdrowa kobieta, taka jak Ann Campbell, mogłaby prawdopodobnie obronić się, gdyby sprawy zaczęły wymykać się jej z rąk. Jeśli jednak ktoś leży rozciągnięty na łóżku lub ziemi z nadgarstkami i kostkami przywiązanymi do czegoś, to lepiej znać dobrze faceta, bo może wydarzyć się coś nieprzewidzianego. No i zdarzyło się.

Zgasiłem światło i wyszliśmy z pokoju. Cynthia przesunęła rekrucki plakat na miejsce. Znalazłem w skrzynce z narzędziami tubkę kleju do drewna i wlałem go w szparę. To mogło trochę pomóc, ale kiedy ktoś zorientuje się, że piwnica nie jest taka duża, jak być powinna, domyśli się też całej reszty. Jeśli jednak nie zauważy, że brakuje trochę powierzchni, to plakat też nie wzbudzi podejrzeń.

- Na chwilę dałem się nabrać - powiedziałem do Cynthii. - Jak sprytni są ci z żandarmerii?

- Tu bardziej chodzi o zmysł orientacji przestrzennej niż spryt. A jeśli oni nic nie znajdą, może to potem odkryć policja. Komuś na przykład podoba się plakat. Wydaje mi się, że albo powinniśmy wpuścić tu żandarmów, żeby zabrali wszystko z tego pokoju dla ekspertów z CID, albo wejść w porozumienie z policją, zanim dostaną się tutaj.

- Myślę, że nie zrobimy ani jednego, ani drugiego. Zaryzykujemy. To będzie nasz sekret. Dobrze?

- Zgoda, Paul - przytaknęła. - Może instynkt ci dobrze podpowiada.

Weszliśmy na górę schodami, pogasiliśmy światła i zamknęliśmy drzwi.

Kiedy staliśmy już w holu na parterze, Cynthia powiedziała:

- Zdaje mi się, że co do Ann Campbell... miałeś nosa.

- Uważałbym się za szczęściarza, gdybym znalazł pamiętnik albo parę liścików miłosnych. Nie oczekiwałem wcale sekretnych drzwi, które poprowadzą do pokoju przygotowanego dla Madame Bovary przez Markiza de Sade. Pewnie każdemu z nas przydałoby się takie sekretne miejsce. Świat byłby lepszy, gdybyśmy mieli pomieszczenie na spełnianie naszych fantazji.

- Zależy od scenariusza, Paul.

- To prawda.

Wyszliśmy przez frontowe drzwi. Wsiadliśmy do mustanga Cynthii i ruszyliśmy znowu Aleją Zwycięstwa. Kiedy dojeżdżaliśmy do bazy, minął nas konwój wojskowych ciężarówek zmierzających w przeciwną stronę.

Cynthia prowadziła, a ja spoglądałem przez okno, zatopiony w myślach. Chore, pomyślałem.

Chore. Chore przedmioty tuż za ideowo słusznym plakatem dla rekrutów, przedstawiającym młodą entuzjastkę. I to miało stać się symbolem całej sprawy. Lśniące guziki odprasowane mundury, wojskowy porządek i honor, ludzie bez skazy, ale jeśli wejdiesz nieco głębiej, otworzysz odpowiednie drzwi znajdziesz tak całkowitą demoralizację, jak bezwstyd w łóżku Ann Campbell.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cynthia prowadząc dzieliła swą uwagę między drogę a notes adresowy Ann Campbell, głównie kosztem drogi. - Daj mi go - powiedziałem.

Rzuciła mi notes na kolana gestem wyraźnie agresywnym.

Przerzuciłem kartki. Oprawa była skórzana, dobrej jakości, papier elegancki i zapisany starannym pismem. Do ostatniej linijki wypełniony adresami i nazwiskami, z których sporo przekreślono, by wprowadzić je kolejny raz pod nowym adresem, gdy jej znajomi zmieniali przydział, dom, męża, żonę, jednostkę, kraj lub odchodzili z tego świata. Prawdę mówiąc przy dwóch nazwiskach zobaczyłem litery ZPA, co oznaczało, że zostali zabici podczas akcji. Był to typowy notes wojskowego, opisujący karierę za pomocą dat i różnych miejsc na świecie. I chociaż wiedziałem, że jest to jej notes oficjalny, a nie czarna książeczka, której jeszcze nie znaleźliśmy, byłem całkowicie przekonany, że figuruje w nim ktoś, kto wie coś znaczącego na temat interesującej nas sprawy. Gdybym miał dwa lata do pracy nad tą sprawą, mógłbym ich wszystkich przesłuchać. Teraz mogłem jedynie odesłać notes do dowództwa w Falls Church w Wirginii, na ręce mojego bezpośredniego przełożonego, pułkownika Karla Gustava Hellmanna, który roześle wici po całym świecie i otrzyma cały stos odpowiedzi, stos wyższy niż jego teutoniczne ego. Może nawet zdecyduje się je przeczytać i przestanie wtrącać się do sprawy.

Słowo na temat mojego szefa. Karl Hellmann urodził się jako obywatel niemiecki, w pobliżu bazy armii amerykańskiej koło Frankfurtu, i jak wiele głodnych dzieci, których rodziny zniszczyła wojna, pozwolił zrobić z siebie coś w rodzaju maskotki amerykańskich oddziałów, a wreszcie wstąpił do amerykańskiej armii, żeby utrzymać rodzinę. Kilka lat temu w wojsku Stanów Zjednoczonych można było znaleźć sporo tych germańskich Amerykanów, wielu z nich zostało oficerami, a niektórzy są w wojsku do dziś. Na ogół znakomici z nich żołnierze i armia może jest szczęśliwa, mając takich ludzi w swoich szeregach. Jednak ci, którzy z nimi pracują, nie są równie szczęśliwi. Ale dość marudzenia. Kart jest efektywny, oddany swojej pracy, lojalny i poprawny pod każdym względem. O ile wiem, popełnił w życiu tylko jeden błąd. Uznał, że ja go lubię. Mylisz się, Karl. Ale szanuję go i powierzyłbym mu swoje życie. Co się zresztą przydarzyło.

Najwyraźniej ta sprawa wymagała jakiegoś wyłomu, skrótu, który by mnie doprowadził do końca, zanim zostanie zniszczona dobra reputacja wojska. Żołnierze są zachęceni do zabijania, ale w odpowiednim miejscu i czasie. Natomiast zabijanie we własnych szeregach traktuje się jako policzek

wymierzony porządkowi i dyscyplinie. Rodzi się zbyt wiele pytań na temat cienkiej granicy między ścinającym krew w żyłach atakiem na bagnety (Cóż bowiem kieruje bagnetem? Krzyk: Zabij, zabij!) a spokojnym życiem w garnizonie. Dobry żołnierz musi czuć szacunek dla szarży, płci i wieku. Tak jest napisane w Poradniku Żołnierza.

W tej sprawie najlepsze, czego mógłbym sobie życzyć, to żeby się okazało, iż morderstwa dokonał jakiś obśliniony cywil recydywista, notowany od dobrych dziesięciu lat. Najgorsze, co mogłem sobie wyobrazić, to... no cóż, wszystko, co dotychczas odkryliśmy, wskazywało na właśnie takie rozwiązanie.

Cynthia nawiązała do notesu z adresami:

- Miała mnóstwo przyjaciół i znajomych.

- A ty nie masz?

- Nie przy tej pracy.

To prawda. Właściwie znajdowaliśmy się trochę na uboczu głównego nurtu życia w armii, więc rzadko zawieraliśmy przyjaźnie. Gliny na całym świecie trzymają się osobno, a jeśli jest się w dodatku giną wojskowym przez dwadzieścia cztery godziny na służbie, nie zawiera się zbyt często przyjaźni, natomiast związki z płcią przeciwną najczęściej są krótkie i napięte, jak i charakter samej pracy.

Z mapy wynika, że Midland leży o dziesięć kilometrów na południe od Fortu Hadley, ale jak powiedziałem, miasto rozrosło się wzdłuż Alei Zwycięstwa ozdobionej ogromnymi płachtami reklam, domkami w ogrodach, hangarami sprzedawców samochodów, tak że główna brama jednostki budzi skojarzenia z Bramą Brandenburską, jest granicą między nieporządnie rozrzuconymi prywatnymi budowlami i spartańską sterylnością. Za bramą nie potkniesz się już o puszkę po piwie.

Mustang Cynthii miał plakietkę parkingu dla gości, został więc przepuszczony przez żandarma, który tylko machnął ręką i po paru minutach byliśmy już w centrum bazy, gdzie ruch samochodowy i możliwości parkowania były tylko odrobinę lepsze niż w centrum Midland.

Podjechaliśmy pod budynek komendy, jeden z najstarszych, z czerwonej cegły, postawiony w czasach pierwszej wojny światowej, kiedy jeszcze Fort Hadley był Obozem Hadley. Bazy wojskowe, podobnie jak miasta, powstają z jakiejś konkretnej potrzeby. Najpierw buduje się miejsca do mieszkania, więzienie, szpital, kościół. Niekoniecznie w tej właśnie kolejności.

Myśleliśmy, że nas oczekują, ale ponieważ byliśmy tak ubrani, jak byliśmy - mężczyzna w mundurze sierżanta i kobieta po cywilnemu - chwilę trwało, zanim dopuszczono nas przed oblicze najwyższego w tym miejscu majestatu. Jak dotąd zachowanie Kenta i jego całkowita nieumiejętność przewidywania nie wprawiały mnie w zachwyty. Kiedy uczyłem się w szkole dowodzenia, mówili nam, że jak się nie ustali priorytetów, to się sprze sprawę. Teraz wymyślili na to nawet słowo. Nie bądź reaktywny, mówią, tylko proaktywny. Ale ja skorzystałem z nauk w starej szkole, więc wiem, o czym mówią. Zapytałem Kenta:

- Czy masz już pomysł, jak ugryźć tę sprawę, pułkowniku?

- Uczciwie mówiąc, nie.

Kent także jest ze starej szkoły i ja to szanuję.

- Dlaczego nie? - zapytałem.

- Ponieważ to ty ją prowadzisz na swój sposób, używając tylko moich ludzi.

- W takim razie ty ją prowadź.

- Nie próbuj mnie zastraszyć, Paul.

Więc przez minutę lub dwie wymienialiśmy poglądy. Typowa rozmowa między uczciwym gliną mundurowym a krętaczem w przebraniu.

Cynthia przysłuchiwała się temu cierpliwie, ale wreszcie nie wytrzymała:

- Pułkowniku Kent, panie Brenner, na terenie strzelnicy leży martwa kobieta. Została zamordowana, a prawdopodobnie również zgwałcona. Jej morderca pozostaje na wolności.

W reakcji na to, mówiąc obrazowo, i Kent, i ja zwiesiliśmy głowy.

- Za jakieś pięć minut idę do rezydencji generała Campbella razem z kapłanem i lekarzem - powiedział Kent. - Numer telefonu z domu ofiary został przełączony na Pole Jordana, a ludzie z ekipy badawczej nadal są na miejscu wydarzeń. Tutaj masz akta personalne i medyczne kapitan Campbell. Dane lekarskie muszą trafić z powrotem do koronera, więc zwróć mi je.

- Zrób fotokopie - odpowiedziałem. - Masz moją zgodę.

O mały włos, a pokłóciłibyśmy się znowu, ale pani Sunhill, Zawsze Czyniąca Pokój, wtrąciła się jeszcze raz. - Ja skopiuję te cholerne papiery.

Zepsuła nam całą przyjemność, więc zajęliśmy się pracą. Kent zaprowadził nas do pokoju przesłuchań.

- Kogo chcecie widzieć najpierw? - zapytał.

- Sierżanta St. Johna - odpowiedziałem. Stopień ma swoje przywileje.

Wprowadzono sierżanta Harolda St. Johna. Wskazałem mu krzesło przy małym stole, gdzie już siedzieliśmy z Cynthia.

- To jest pani Sunhill, a ja nazywam się Brenner - przedstawiłem nas.

Spojrzał na plakietkę mojego munduru, gdzie widniało nazwisko White, i na moje naszywki

sierżanta. Przez chwilę nie mógł się połapać, co jest grane.

- A... - powiedział wreszcie - CID.

- To nieważne - oświadczyłem i kontynuowałem: - Nie jest pan podejrzany w sprawie, w której przeprowadzane jest śledztwo, więc nie odczytam panu praw ujętych w artykule 31 Kodeksu Prawa Wojskowego. Natomiast ma pan rozkaz odpowiedzieć na wszystkie pytania w sposób wyczerpujący i zgodny z prawdą. Oczywiście docenimy, jeśli będzie pan mówić dobrowolnie, a nie pod presją rozkazu. Jeśli podczas tego przesłuchania powie pan coś, co według mnie albo pani Sunhill zmieni pana w podejrzanego, odczytamy panu przysługujące mu prawa i wtedy będzie pan mógł zachować milczenie. - *Nie licz na to, Harry.* - Czy to jest zrozumiałe?

- Tak jest, sir.

- Dobrze. - Przez pięć minut rozmawialiśmy o nieważnych drobiazgach, a ja starałem się go ocenić. St. John był łysiejącym mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, o ciemnej cerze, co mogło być wynikiem używania w znacznych ilościach kofeiny, nikotyny i bourbona. Życie i kariera w jednostce zmotoryzowanej ukształtowały go tak, że spoglądał na świat, jakby ciągle wymagał on konserwacji, a rozwiązanie leżało w Poradniku Mechanika. Być może nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że istnieją ludzie, którzy potrzebują czegoś więcej niż tylko wymiany oleju i zestrojenia, by prawidłowo działać.

W czasie naszej pogawędki o niczym Cynthia coś notowała. W pewnym momencie nagle nie wytrzymała!

- Niech pan posłucha, sir, wiem, że jako ostatni widziałem ją żywą, i zdaję sobie sprawę, że to nie jest bez znaczenia, ale przecież gdybym ją zabił, nie meldowałbym o znalezieniu ciała. Prawda?

To brzmiało rozsądnie.

- Ostatnią osobą, która ją widziała, był morderca - odpowiedziałem. - On też pierwszy ujrzał ofiarę martwą. Pan był drugą osobą, która widziała ją nieżywą. Zgadza się?

- Taaa... tak jest, sir. Chodziło mi...

- Sierżancie, proszę nie wyprzedzać pytań, bardzo byłbym wdzięczny. Dobrze?

- Tak jest, sir.

Panna Pełna Współczucia odezwała się:

- Sierżancie, ja wiem, że jest pan dość zmęczony, a to, co pan odkrył, na pewno było wstrząsem nawet dla weterana... Był pan na wojnie?

- Tak jest, proszę pani. W Wietnamie. Widziałem mnóstwo zabitych, ale nic takiego jak to.

- I kiedy odkrył pan ciało, nie mógł pan wprost w to uwierzyć, zgadza się?

Energicznie przytaknął,

- Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Nie myślałem nawet, że to ona. To znaczy, na początku wcale jej nie poznałem, ponieważ... ja nigdy... nigdy nie widziałem jej takiej... Jezu Chryste, nie widziałem nigdy nikogo takiego. Zeszłej nocy księżyc świecił mocno, zauważyłem łazik, wysiadłem z samochodu, rozejrzałem się naokoło, no i zobaczyłem... wiecie co. Coś leżało na strzelnicy, a ja podchodziłem bliżej i bliżej i nagle wiedziałem, co to jest, i podszedłem do niej, żeby zobaczyć, czy żyje czy nie.

- Ukląkł pan koło ciała?

- Do licha, nie, proszę pani. Zmykałem co tchu w piersi, wskoczyłem do samochodu i pogałem prosto do budynku żandarmerii.

- Jest pan pewien, że nie żyła?

- Wiem, kiedy ktoś jest martwy.

- O której wyjechał pan z budynku dowództwa?

- Około czwartej nad ranem.

- O której znalazł pan ciało? - zapytała Cynthia.

- No, to musiało być jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut później.

- Zatrzymywał się pan przy jakichś posterunkach?

- Przy niektórych. Nikt jej nie widział. Wtedy pomyślałem, że może zaczęła od ostatniego. Dlatego ominąłem niektóre i pojechałem od razy na drugi koniec bazy.

- Czy przyszło panu do głowy, że mogła się urwać ze Służby?

- Nie.

- Niech pan się jeszcze raz nad tym zastanowi, sierżancie.

- No... to nie było w jej stylu. Ale może coś takiego przemknęło mi przez myśl. Na pewno jednak pomyślałem, że mogła się zgubić w terenie. W nocy to nie takie trudne.

- Czy myślał pan, że mogła mieć wypadek?

- Przyszło mi to do głowy.

- A więc kiedy pan ją znalazł, nie był pan całkowicie zaskoczony?

- Może i nie. - Sięgnął po papierosa i zapytał: - Można zapalić?

- Jasne. Tylko zaciąganie się jest niezdrowe.

Uśmiechnął się, zapalił papierosa, wydmuchał kłęb dymu i spojrzał przeproszająco na panią Sunhill. Jedyne, czego mi nie brakuje z czasów dawnej armii, to paczki papierosów za dwadzieścia pięć centów i niebieskich dymków unoszących się wszędzie, może tylko poza magazynami amunicji i paliw.

Pozwoliłem mu odetchnąć i teraz ja zadałem pytanie:

- Czy słowo „gwałt” nie przemknęło panu przez myśl, kiedy jeździł pan w poszukiwaniu tej kobiety?

Przytaknął.

- Ja jej nie znałem - przyznałem się. - Była ładna?

Zerknął na Cynthię, potem spojrzał na mnie.

- Bardzo ładna.

- Taka, co to się mówi, że sama się prosi o gwałt?

Na ten temat wyraźnie wolał się nie wypowiadać. Odparł więc tylko: .- Nigdy się nie puszyła. Naprawdę zimna sztuka. Jeśli facet miał coś na myśli, szybko go spławiła. Zawsze słyszałem o niej same dobre rzeczy. Wie pan, córka generała.

Najbliższe tygodnie miały zweryfikować sąd Harry'ego, ale rzeczą interesującą było dowiedzieć się, że ogół uważał Ann Campbell za damę.

St John całkiem niepotrzebnie dodał:

- Niektóre z tych kobiet, jak na przykład pielęgniarki, wie pan... one powinny być bardziej... no wie pan?

Wprost czułem, jak siedząca koło mnie Cynthia płonie z wściekłości. Gdybym był naprawdę mężczyzną z jajami, powiedziałbym mu, że kobiety w CID są jeszcze gorsze. Ale przeżyłem Wietnam i nie miałem zamiaru znowu ryzykować. Uznałem, że najlepiej będzie wrócić do sprawy.

- Kiedy już znalazł pan ciało, dlaczego nie udał się pan na najbliższy posterunek, gdzie znajdowała się szeregowiec Robbins? Mógł pan tam skorzystać z telefonu.

- Nie pomyślałem o tym.

- I nie pomyślał pan także, by postawić Robbins na straży?

- Nie, sir. Byłem naprawdę wstrząśnięty.

- Dlaczego w ogóle wyszedł pan, żeby szukać kapitan Campbell?

- Nie było jej już bardzo długo, nie wiedziałem, gdzie się mogła podziać.

- Czy sprawdzanie przełożonych leży w pańskim zwyczaju?

- Nie, sir. Ale miałem wrażenie, że coś jest nie w porządku.

Aha.

- Dlaczego?

- No... przez całą noc... wydawała się jakaś nerwowa.

Kolej na Cynthię.

- Mógłby pan opisać jej zachowanie?

- Taaa... No cóż, tak jak powiedziałem, była... no, nerwowa. Jakby nie mogła usiedzieć na miejscu. Może zmartwiona.

- Znał ją pan wcześniej?

- Tak... chociaż niezbyt dobrze. Ale przecież każdy ją znał. Córka generała. Występowała w reklamówkach telewizyjnych dla rekrutów.

- Czy rozmawiał pan z nią kiedyś wcześniej?

- Nie.

- Czy widywał ją pan na terenie bazy?

- Tak.

- A poza nią?

- Nie.

- Więc właściwie nie mógł pan porównać jej normalnego zachowania z zachowaniem tego wieczoru?

- Nie, ale poznam przecież, kiedy ktoś jest zmartwiony. - I dodał, jakby doznając olśnienia: - Widziałem, że wszystko wykonuje sprawnie i na chłodno, ale od czasu do czasu popadała w zamyślenie. Wyraźnie widać było, że coś ją męczy.

- Czy rozmawiał pan z nią na ten temat?

- Oczywiście, że nie. Chybaby mi urwała mój pieprzony łeb. - Uśmiechnął się trochę głupawo do

Cynthii, ujawniając dwa dziesiątki lat pod nadzorem wojskowych dentystów. - Przepraszam panią.

- Proszę mówić swobodnie - powiedziała pani Sunhill, zmuszając się do uśmiechu, który ujawnił dobrą opiekę cywilnego stomatologa.

To było mądre ze strony Cynthii. Połowa tych starych weteranów nie umie wyrazić nic bez przeklinania, popadania w żargon, wtrącania obcych słów, których się nauczyli w jakichś dalekich stronach i wyrażen z dialektu Południa, nawet gdy nie pochodzą z tych stron.

- Czy dzwoniła gdzieś albo odbierała jakieś telefony? - zapytała Cynthia.

Dobre pytanie, ale znałem na nie odpowiedź, zanim St. John zdążył się odezwać.

- Gdy byłem z nią w pokoju, nigdzie nie dzwoniła. Ale może to zrobiła, kiedy mnie tam nie było. Za to do niej był telefon. Poprosiła mnie, żebym wyszedł i pozwolił jej swobodnie porozmawiać.

- Która to była godzina?

- No, jakieś... jakieś dziesięć minut przed tym, zanim pojechała sprawdzić posterunki.

- Czy coś pan usłyszał z tej rozmowy?

Potrząsnął głową ze smutkiem.

- Nie.

- W porządku. Powiedźcie mi sierżancie, jak blisko podszedł pan do ciała?

- No... na parę metrów.

- Nie bardzo rozumiem, po czym pan poznał, że nie żyła.

- Cóż... po prostu widziałem... Miała otwarte oczy... Zawołałem

do niej...

- Czy był pan uzbrojony?

- Nie.

- Czy na służbie nie powinien pan nosić przy sobie broni?

- Chyba zapomniałem wziąć ze sobą.

- A więc zobaczył pan ciało, stwierdził, że ona nie żyje, i uciekł z podwiniętym ogonem.

- Tak jest, sir... Pewnie powinienem był to lepiej sprawdzić.

- Sierzancie, u pańskich stóp leży martwa kobieta, oficer wyższy stopniem, ktoś kogo pan zna, a pan nawet się nie pochyła, żeby sprawdzić, czy ona żyje czy nie.

Cynthia kopnęła mnie pod stołem.

Ponieważ to ja byłem złym gliną, przyszedł czas, żebym oddał świadka w ręce dobrego gliny. Wstałem i powiedziałem:

- Rozmawiajcie dalej we dwoje. Może jeszcze wrócę. Opuściłem pokój i poszedłem w stronę cel. W jednej z nich na pryczy leżała szeregowiec Robbins, w drelichu, z gołymi stopami. Czytała gazetę jednostki, owoc cotygodniowego wysiłku Biura Informacji Publicznej, zajmującego się głównie wymyślaniem dobrych wieści. Ciekaw byłem, jak uda im się przedstawić śmierć córki komendanta jednostki, w dodatku połączoną z gwałtem. Może „Brak porozumienia z nie zidentyfikowaną kobietą na terenie strzelnicy”.

Pchnąłem nie zamknięte drzwi celi i wszedłem do środka. Szeregowiec Robbins przez chwilę spoglądała na mnie, potem odłożyła gazetę i usiadła, opierając się o ścianę.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Jestem Brenner z CID. Chciałbym zadać kilka pytań dotyczących ubiegłej nocy.

Zlustrowała mnie uważnym wzrokiem.

- Pańska plakietka podaje nazwisko White - poinformowała mnie.

- To mundur mojej ciotki. - Usiadłem na plastikowym krześle. - W tej sprawie nie jest pani podejrzana - wygłosiłem tradycyjny wstęp. Nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia.

Zacząłem pogawędkę o niczym. Odpowiadała monosylabami. Przyjrzałem się uważniej szeregowiec Robbins. Mniej więcej dwadzieścia lat, krótkie jasne włosy, czujne spojrzenie, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę nie przespaną noc. Całkiem niebrzydka. Akcent z głębokiego Południa, pewnie pochodziła z tych okolic. Przypuszczałem też, że jej socjoekonomiczny status musiał być dużo niższy, zanim wstąpiła do armii. Teraz była równa każdemu innemu szeregowcowi, stała wyżej od każdego rekruta, a przed sobą miała drogę w górę.

Zadałem jej pierwsze istotne pytanie:

- Czy widziała pani wczoraj wieczór kapitan Campbell?

- Zjawiała się w wartowni około dwudziestej drugiej. Rozmawiała z oficerem na służbie.

- Wiedziała pani, że to kapitan Campbell?

- Każdy znał kapitan Campbell.

- Czy widziała ją pani jeszcze potem?

- Nie.
- Nie zjawiała się na pani posterunku?
- Nie.
- O której stanęła pani przy magazynie amunicji?
- O pierwszej w nocy. Miałam zostać zmieniona o piątej trzydzieści.
- I od chwili, kiedy zjawiała się tam pani, do czasu gdy przyszedł żandarm, nikt inny tamtędy nie przechodził?
- Nie.
- Czy słyszała pani coś niezwykłego?
- Tak.
- Co?
- Krzyk sowy. Rzadko zdarza się w tych stronach.
- Rozumiem. - *Hej, Cynthia, teraz twoja kolej.* - Czy zauważyła pani coś niezwykłego?
- Widziałam światła samochodu.
- Jakie światła?
- Prawdopodobnie tego łazika, którym ona jechała.
- Która to była godzina?
- Druga siedemnaście.
- Proszę dokładnie opisać, co pani widziała.
- Światła nadjeżdżającego samochodu. Zatrzymał się jakiś kilometr ode mnie i światła zgasły.
- Czy zgasły w tej samej chwili, kiedy samochód się zatrzymał, czy trochę później?
- Od razu. Zobaczyłam światła nadjeżdżającego samochodu, stanął, a w tej samej chwili zgasły.
- Co pani pomyślała?
- Że ktoś jedzie w moją stronę.
- Ale przecież się zatrzymał.

- Właśnie. Wtedy nie wiedziałam, co mam myśleć.

- Czy przyszło pani do głowy, żeby złożyć raport?

- Jasne. Złapałam za telefon i złożyłam raport.

- Komu?

- Sierżantowi Hayesowi. Sierżantowi na służbie.

- Co on powiedział?

- Że tylko tam, gdzie ja stoję, da się coś ukraść, więc żebym została na miejscu.

- I co pani na to?

- Że to mi nie wygląda za dobrze.

- A on?

- Powiedział, że w pobliżu są latryny. Ktoś mógł się zatrzymać, żeby z nich skorzystać. I jeszcze, że może to jakiś węszący oficer, więc żebym była czujna. - Zawahała się, a potem dodała: - Powiedział jeszcze, że tam chodzą się pieprzyć w letnie noce. To jego własne słowa.

- Mocno powiedziane.

- Nic dodać, nic ująć.

- Właśnie. - Patrzyłem przez chwilę na tę młodą kobietę. Była szczerą i prostolinijną, a kiedy połączyć te cechy ze zdolnością obserwacji, którą obdarzyła ją natura lub wyrobił w niej trening, otrzymamy najlepszy typ świadka. Ale najwyraźniej ja nie pasowałem do jej wyobrażeń o oficerze śledczym i z niczym nie zamierzała się sama wrywać.

- Szeregowiec Robbins - przywołałem ją do porządku. - Wiecie, co przydarzyło się kapitan Campbell?

Skinęła głową.

- Przydzielono mi zadanie znalezienia mordercy.

- Słyszałam, że została również zgwałcona.

- To możliwe. Dlatego musicie rozmawiać ze mną, mówić mi również to, o co nie pytam. Opowiedzieć mi o swoich... uczuciach, wrażeniach.

Jej twarz przestała być maską. Zagryzła dolną wargę, z prawego oka stoczyła się łza.

- Powinnam była pójść sprawdzić, co się dzieje - powiedziała. - Mogłam coś pomóc. Ten głupi

sierżant Hayes... - Przez minutę czy dwie cicho płakała, a ja siedziałem i wpatrywałem się w swoje buty. Wreszcie odezwałem się:

- Zgodnie z rozkazami musiała pani pozostać na stanowisku do chwili regulaminowego zwolnienia. Wykonała pani rozkazy.

Odzyskała nad sobą panowanie.

- Taaa - powiedziała - ale każdy, kto by miał odrobinę oleju w głowie i karabin, poszedłby sprawdzić, co się dzieje. A potem, kiedy te światła się nadal nie zapalały, ja stałam jak ta głupia i bałam się zadzwonić jeszcze raz. Wreszcie zobaczyłam zbliżające się inne światła, samochód się zatrzymał, a następnie bardzo szybko zawrócił, i ktokolwiek to był, pomknął drogą jak strzała. Wtedy już wiedziałam, że stało się coś bardzo złego.

- Która to była godzina?

- Czwarta dwadzieścia pięć.

Co zgadzało się z czasem, kiedy St. John znalazł ciało.

- A między drugą siedemnaście a czwartą dwadzieścia pięć nie pojawiły się żadne inne światła?

- Nie. Dopiero trochę później. Około piątej. To był ten żandarm, który znalazł dało. Piętnaście minut później przyszedł inny żandarm i powiedział mi, co się wydarzyło.

- Czy słyhać było, jak te samochody nadjeżdżały?

- Nie.

- Trzaśnięcie drzwiczek?

- Gdyby wiatr wiał w moją stronę, to może coś bym słyszała, ale wiał w przeciwną.

- Czy pani poluje?

- Tak.

- Na co?

- Oposy, wiewiórki, króliki.

- Ptaki?

- Nie, lubię na nie patrzeć.

Podniosłem się.

- Dziękuję, była pani bardzo pomocna.

- Nie wydaje mi się.

- A jednak tak. - Podeszedłem do drzwi celi, a gdy przekraczałem próg, odwróciłem się.

- Jeśli pozwolę pani wrócić do koszar, czy da mi pani słowo, że nie będzie z nikim rozmawiać na temat tej sprawy?

- Komu mam dać słowo?

- Oficerowi armii Stanów Zjednoczonych.

- Ma pan naszywki sierżanta i nie zna pan własnego nazwiska.

- Skąd pani pochodzi?

- Z kraju generała Lee. Z Alabamy.

- W takim razie dostaje pani przepustkę na tydzień. Proszę podać swojemu dowódcy telefon, pod którym można będzie panią zastać.

Wróciłem do pokoju przesłuchań. Zastałem Cynthię samą. Z twarzą opartą na dłoni wpatrywała się w notatki, a może po prostu myślała.

Porównaliśmy informacje i doszliśmy do wniosku, że śmierć musiała nastąpić między drugą siedemnaście a czwartą dwadzieścia pięć. Przez chwilę rozważaliśmy, czy morderca, ewentualnie mordercy, znajdowali się z Ann Campbell w samochodzie, czy może oczekiwali jej na miejscu wydarzeń. Jeśli zabójca przyjechał swoim własnym pojazdem, to ze zgaszonymi światłami lub zaparkował dość daleko od miejsca, gdzie szeregowiec Robbins stała na straży. W tej chwili skłaniałem się ku teorii, że Ann Campbell sama przywiozła mordercę, którego zabrała gdzieś po drodze, ale nie odrzucałem też możliwości wcześniej zaaranżowanego rendez-vous na miejscu zbrodni. Przypadkowe spotkanie, które przybrało tak fatalny obrót, wydawało się mało prawdopodobne, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę fakt, że światła zgasły natychmiast, gdy łazik stanął. Gdyby Ann Campbell została zatrzymana, chwilę potrwałoby, zanim zgaszono by światła.

- Jeśli była to tajna schadzka, czemu w ogóle jechała z zapalonymi światłami? - zapytała Cynthia.

- Prawdopodobnie po to, żeby nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Mogła wytłumaczyć swoją obecność w tamtym miejscu, ale gdyby spotkał ją patrol żandarmerii, a ona jechałaby bez świateł, wzbudziłaby zaniepokojenie.

- To prawda. Ale szeregowiec Robbins zaniepokoiła się właśnie na widok świateł. Dlaczego więc Campbell nie sprawdziła przedtem posterunku? Mogła wrócić na miejsce umówionego spotkania uspokoiwszy strażniczkę.

- Słuszne pytanie.

- I w ogóle dlaczego umawiała się w odległości kilometra od posterunku? Miała do dyspozycji

setki tysięcy akrów terenu wojskowego.

- Właśnie, ale w tamtym miejscu znajdują się latryny z bieżącą wodą i zgodnie ze słowami szeregowiec Robbins, która cytowała sierżanta, ludzie chodzą tam się pieprzyć, Mają się gdzie umyć, kiedy już jest po wszystkim.

- Istnieje jeszcze możliwość, że została zaatakowana przez zboczeńca, który nie zdawał sobie w ogóle sprawy, gdzie znajduje się posterunek.

- Istnieje, aczkolwiek wszystkie dowody wskazują na coś innego.

- I dlaczego robiła to w nocy, kiedy miała służbę? - dodała Cynthia.

- To należało do gry. Ta kobieta lubiła różne dziwne zabawy.

- Kiedy była na służbie, wykonywała sumiennie obowiązki. Tamto było częścią jej innego życia.

Skinąłem głową.

- Słusznie. - I zapytałem: - Czy myślisz, że St. John coś zataił?

- W każdym razie nie ukrywa swoich opinii. Myślę, że raczej powiedział nam wszystko, co wie. A co z Robbins?

- Powiedziała mi więcej, niż wie. Trzeba przyznać, że niebrzydka. Takie świeże dziewczę z Alabamy.

- Jeśli jest szeregowcem, to znaczy, że mogłaby być twoją prawnuczką.

- I na dodatek dziewicą.

- Jeśli biega szybciej niż jej wujowie i bracia.

- Ho, ho, czyżbyśmy byli w jednym ze swych rzadkich nastrojów?

Pomasowała skronie,

- Przepraszam, ale działasz mi na nerwy.

- Może lepiej poszłabyś coś zjeść, a ja tymczasem zadzwonię do Karla Gustava, zanim usłyszysz o nas od kogoś postronnego i zastrzeli mnie.

- Dobrze. - Wstała. - Nie odsuwaj mnie od tej sprawy, Paul.

- Ta decyzja należy do Herr Hellmanna.

Znowu wymierzyła mi kuksańca.

- To jest twoja decyzja. Powiedz mu, że mnie chcesz.

- A co, jeśli tego nie zrobię?

- Zrobisz.

Odprowadziłem ją do samochodu. Kiedy usiadła za kierownicą, powiedziałem:

- Przyjemnie mi się pracowało z tobą przez ostatnie sześć godzin i dwadzieścia dwie minuty.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Muszę przyznać, że ja również dobrze się z tobą czułam przez jakiś kwadrans. Gdzie mam się z tobą spotkać i kiedy?

- Tutaj, o czternastej.

Wyjechała z parkingu. Przyglądałem się, jak czerwony mustang wtapia się w sznur innych samochodów.

Wróciłem do biura żandarmerii i znalazłem przygotowane dla siebie biuro. Kent przydzielił nam pomieszczenie bez okien. Kazał postawić w nim dwa biurka, dwa krzesła, jedną szafę na akta. Zostawało akurat tyle miejsca, że można było wcisnąć jeszcze kosz na śmieci.

Usiadłem przy biurku i przejrzałem oprawny w skórę notes na adresy. Potem odłożyłem go i starałem się zastanowić nad tym wszystkim - nie nad samą sprawą, ale jej aspektem politycznym, związanymi z nią relacjami interpersonalnymi i drogą działania, pozwalającą chronić własne cztery litery. Dopiero potem pomyślałem o samej sprawie.

Musiałem przed telefonem do Hellmanna uporządkować wszystkie fakty, a teorie zatrzymać dla siebie. Karl zajmuje się faktami, ale weźmie pod uwagę osobistą opinię, jeśli może być ona wymierzona przeciwko podejrzanemu. Karl nie jest zwierzęciem politycznym i podskórne problemy takiego przypadku jak ten, z jakim miałem właśnie do czynienia, nie robią na nim wrażenia. Zakłada też, że wszyscy będą zgodnie pracować, jeśli on wyda takie polecenie. Zeszłego roku w Brukseli poprosiłem go, żeby nie przydzielał mnie do żadnej sprawy, do której już skierowano Cynthię Sunhill. Wyjaśniłem, że mieliśmy osobiste nieporozumienia. Nie rozumiał, co to właściwie znaczy, ale solennie obiecał, że rozważy moją prośbę.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer do Falls Church z pełną satysfakcją świadomością, że zepsuję Karlowi dzień.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Oberführer był u siebie. Jego sekretarka, Diana, połączyła mnie bez zwłoki.

- Cześć, Karl.

- Witaj, Paul - odparł. W jego głosie nadal czaił się cień niemieckiego akcentu.

Darowałem sobie wstępne grzeczności i od razu przystąpiłem do rzeczy:

- Wydarzyło się morderstwo.

- Tak?

- Córka generała Campbella, kapitan Ann Campbell.

Cisza.

- Prawdopodobnie zgwałcona - mówiłem dalej - w każdym razie miało miejsce nadużycie seksualne.

- Na terenie bazy?

- Tak. Na strzelnicy.

- Kiedy?

- Dziś rano pomiędzy drugą siedemnaście a czwartą dwadzieścia pięć - odparłem. Co było jednocześnie odpowiedzią na pytania kto, co, gdzie i kiedy.

Zostało jeszcze pytanie dlaczego, więc je zadał:

- Motyw?

- Nie znany.

- Podejrzani?

- Żadnych.

- Okoliczności.

- Była oficerem na służbie i pojechała sprawdzić posterunki. - Zagłębiłem się w szczegóły, opowiedziałem o wciągnięciu mnie w sprawę przez pułkownika Kenta, o spotkaniu z Cynthią Sunhill i wspólnej z nią wyprawie na miejsce zbrodni, a potem do domu

ofiary. Wiedziałem, że nasza rozmowa może być rejestrowana, więc mówiąc o siedzibie prywatnej nie wspominałem pokoju wypoczynkowego w piwnicy. Uważałem, że jest to informacja poufna. Po co stawiać Karla w niezręcznej sytuacji?

Przez dobrą chwilę milczał.

- Kiedy tylko ciało zostanie usunięte z miejsca zbrodni - powiedział wreszcie - udasz się tam i używając takich samych śledzi od namiotu przyszpilisz do ziemi panią Sunhill.

- Słucham?

- Nie rozumiem, dlaczego zdrowa kobieta nie miałaby poradzić sobie z tymi kołkami.

- No, powiedzmy, że ja rozumiem. Śledzie były wbite dość daleko od niej, a ona nie miała żadnej dźwigni, a na dodatek najwyraźniej był tam ktoś, kto trzymał linę na jej szyi i myślę - zakładam - że na początku to były tylko takie ostrzejsze figle-migle...

- Może tak, a może nie. W jakimś momencie musiała zrozumieć, że to wcale nie jest zabawa. Wiemy z przeszłych doświadczeń, czego potrafi dokonać kobieta, kiedy jej życiu zagraża niebezpieczeństwo. Ale mogła być pod wpływem narkotyków albo innych środków odurzających. Przypilnuj, niech toksykolodzy to sprawdzą. A tymczasem, ty i pani Sunhill spróbujcie odtworzyć zbrodnię od początku do końca.

- Mam nadzieję, że mówisz o symulacji.

- Oczywiście. Nie gwałć jej ani nie duś.

- Stajesz się miękki, Karl. Ale dobrze, przekażę twoją sugestię.

- To nie jest sugestia, tylko rozkaz. A teraz opowiedz mi bardziej szczegółowo, co znalazłeś w domu kapitan Campbell.

Powiedziałem mu. Nie skomentował faktu, że nie poinformowałem o zamiarze rewizji władz cywilnych. Więc zapytałem:

- Czy będziesz miał jakieś problemy w związku z tym, że wkroczyłem do domu i kazałem wynieść całą jego zawartość? Pytam ze względu na raporty.

- Jeśli naprawdę obchodzą cię przepisy, to przyjmij do wiadomości, że poinformowałeś najbliższą rodzinę, która zgodziła się, a nawet wręcz zasugerowała podjęcie takiej akcji. Naucz się kryć własną d..., Paul. Nie zawsze będziesz miał mnie pod ręką. A teraz daję ci pięć sekund na mordercze zamyślenie.

W czasie tych pięciu sekund wyobraziłem sobie z lubością, jak moje dłonie zaciskają się na szyi Karla. Widziałem jego wywalony język, wytrzeszczone oczy...

- Wróciłeś?

- Jeszcze sekunda - ...jego skóra robi się niebieska i wreszcie... - Jestem z powrotem.

- Dobrze. Chcesz do pomocy FBI?

- Nie.

- Czy przydałby ci się inny śledczy z naszego biura albo oddziału CID w Hadley?

- Zaczniemy od początku. Ja nawet nie chcę tej sprawy.

- Dlaczego nie?

- Jeszcze nie skończyłem poprzedniej.

- Skończ ją.

- Karl, czy ty nie rozumiesz, że to morderstwo jest bardzo delikatne... bardzo...

- Czy byłeś osobiście związany z ofiarą?

- Nie.

- Przefaksuj mi wstępny raport jeszcze dzisiaj przed siedemnastą. Diana założy akta sprawy i przydzielili numer. Coś jeszcze?

- No tak. Media. Oficjalne oświadczenie Departamentu Wojska, biura szefa Sądu Wojskowego, Departamentu Sprawiedliwości, osobiste wypowiedzi generała i jego żony. Sprawa dalszego wykonywania przez generała jego obowiązków...

- Ty zajmij się tylko rozwiązaniem sprawy.

- To właśnie chciałem usłyszeć.

- No to usłyszałeś. Coś jeszcze?

- Tak. Chciałbym, żeby pani Sunhill została odsunięta od sprawy.

- Ja jej do niej nie przydzielałem. Jak ona się tam znalazła?

- Mniej więcej tak samo jak ja. Byliśmy na miejscu. Nie jesteśmy związani z miejscowymi ani zawodowymi, ani osobistymi układami. Kent poprosił nas, żebyśmy mu pomagali do czasu oficjalnego wyznaczenia zespołu śledczego.

- Jesteś oficjalnie wyznaczony. Dlaczego nie chcesz, żeby ona z tobą pracowała?

- Nie lubimy się.

- Nigdy razem nie pracowaliście. Gdzie więc leży źródło waszej antypatii?

- Spotkaliśmy się na gruncie prywatnym i to spotkanie nie należało do najbardziej udanych. Nic nie wiem na temat jej zawodowych możliwości.

- Jest całkiem kompetentna.

- Nie ma doświadczenia w sprawach o morderstwo.

- Ty masz niewielkie, jeśli chodzi o gwałt. A ponieważ mamy tu do czynienia z morderstwem na tle seksualnym, będziecie stanowić znakomity zespół.

- Karl, myślałem, że już to ustaliliśmy. Obiecałeś, że nie będziesz nas przydzielał w to samo miejsce w tym samym czasie. Dlaczego ona się tu znalazła?

- Nigdy nic takiego nie przyrzekałem. Potrzeby armii stawiam zawsze na pierwszym miejscu.

- Świetnie. Najlepiej przysłużysz się interesom armii, jeśli każesz pani Sunhill jeszcze dzisiaj stąd wyjechać. Ona skończyła swoją sprawę.

- Wiem, otrzymałem jej raport.

- Więc?

- Poczekaj chwilę.

Podniósł słuchawkę drugiego telefonu. Karl staje się niezwykle niedelikatny i niekomunikatywny, kiedy chce dać do zrozumienia, że pokłada całkowite zaufanie w moich zdolnościach. Jednak przy takim trudnym przypadku miło byłoby usłyszeć słowo zrozumienia, a nawet może i dwa. *Tak, Paul, wiem, że ta sprawa jest bardzo delikatna, bardzo trudna i może zniszczyć twoją karierę. Ale cały czas jestem z tobą. Mógłby też dodać kilka słów na temat ofiary i jej rodziny. Tragiczna historia, prawdziwie tragiczna. Taka młoda, piękna, inteligentna kobieta. Jej rodzice muszą być w koszmarnym stanie.* Karl, bądźże choć raz człowiekiem.

- Paul?

- Tak?

- Dzwoniła pani Sunhill. To właśnie podejrzewałem.

- Nie widzę powodu, żeby wtrącała się w moje sprawy...

- Oczywiście, zwróciłem jej uwagę.

- Dobrze. Rozumiesz, dlaczego ja nie...

- Powiedziałem jej, że nie masz ochoty z nią współpracować. Ale pani Sunhill twierdzi, że dyskryminujesz ją ze względu na jej płeć, wiek i religię.

- Co? Ja nawet nie wiem, jaka jest jej religia.

- To drobiazg.

- Karl, czy ty mnie teraz wrabiasz?

- To jest poważny zarzut przeciwko tobie.
- Mówię ci, że to całkiem osobista sprawa. Nie dogadujemy się.
- Z tego, co mi mówiono, w Brukseli dogadywaliście się znakomicie.

A niech cię, Karl.

- Słuchaj, czy mam ci to opowiedzieć ze szczegółami?

- Nie, ktoś już opowiedział mi to ze szczegółami w zeszłym roku w Brukseli, a pani Sunhill powtórzyła minutę temu. Ufam, że moi oficerowie prowadzą się porządnie w życiu osobistym i chociaż nie wymagam życia w celibacie, oczekuję, żebyś się zachowywał dyskretnie i nie kompromitował siebie, wojska i swojej jednostki.

- Nigdy tego nie zrobiłem.

- No cóż, gdyby narzeczony pani Sunhill władował ci kulkę w łeb, ja musiałbym się zdrowo tłumaczyć.

- Tym właśnie zamartwiałbym się, zanimby mi mózg eksplodował.

- To dobrze. Widać, że jesteś profesjonalistą i zadbasz o właściwe zawodowe stosunki z panią Sunhill. Koniec dyskusji.

- Tak jest, sir. - I zapytałem: - Czy jest mężatką?

- A cóż to za różnica?

- Chcę to wiedzieć dla celów prywatnych.

- Ani ty, ani ona nie macie życia prywatnego do zakończenia tej sprawy. Coś jeszcze?

- Czy powiedziałeś pani Sunhill o swoim dość dziwnym eksperymencie?

- To już należy do ciebie. - Karl Gustav odwiesił słuchawkę. Przez chwilę siedziałem rozważając możliwości: od złożenia rezygnacji do kontynuowania sprawy. Pracuję w wojsku już ponad dwadzieścia lat i w każdej chwili mogę odejść, wziąć połowę pensji i zacząć żyć.

Są też inne sposoby zakończenia kariery w wojsku. Większość mężczyzn i kobiet spędza ostatni rok lub dwa w jakiejś spokojnej jednostce i idzie w zapomnienie. Niektórzy oficerowie pozostają za długo na swych stanowiskach, nie wdrapawszy się na kolejny szczebel i ci proszeni są o dyskretnie odejście. Kilku szczęściarzy schodzi ze sceny w pełnej glorii. Ale są też i tacy, dla których blask chwały przemienia się w eksplozję. Najważniejsze to wstrzelić się w dobry moment.

Odrzuciłem myśl o karierze, bo wiedziałem, że jeśli zrezygnuję, ta sprawa będzie mnie prześladować do końca życia. Dałem się złapać na haczyk i, prawdę mówiąc, nie wiem co bym

powiedział lub zrobił, gdyby Karl chciał mi ją zabrać. Ale Karl lubił robić na przekór, więc jak mu powiedziałem, że nie chcę prowadzić tej sprawy, dostałem ją, a kiedy powiedziałem, że nie chcę Cynthii, też podał mi ją jak na talerzu. Karl nie jest tak sprytny, jak myśli.

Na biurku w moim nowym lokum leżały personalne i medyczne akta kapitan Ann Campbell. Wziąłem się za te pierwsze. Znajdował się w nich opis całej kariery wojskowej dziewczyny, wiele cennych informacji. Chronologicznie: Ann Campbell dostała się do West Point dwanaście lat temu. Ukończyła uczelnię, plasując się w dziesięciu procentach najlepszych studentów swego rocznika. Potem otrzymała tradycyjne trzydzieści dni wolnego, a wreszcie pojechała - na własną prośbę - do Fortu Huachuca w Arizonie, gdzie ukończyła kurs wywiadu wojskowego. Stamtąd trafiła prosto na uniwersytet w Georgetown i uzyskała magisterium z psychologii. Następnym jej krokiem była prośba o przydział do - jak my to nazywamy - strefy działania, co w jej przypadku oznaczało operacje psychologiczne. Ukończyła wymagany kurs w Szkole Specjalnych Działań Wojennych im. Johna F. Kennedy'ego w Forcie Bragg. Stamtąd pojechała do Niemiec, po czym wróciła znowu do Bragg. Potem była Zatoka, Pentagon i wreszcie Fort Hadley.

Raporty z jej działań wyglądały na pierwszy rzut oka nienagannie.

Ale niczego innego nie oczekiwałem. Znalazłem wyniki badań, z których wynikało, że zgodnie z IQ można ją było zakwalifikować do kategorii geniuszy, górnych dwóch procent ludzkiej populacji. Z mojego zawodowego doświadczenia zaś wynikało, że niezwykle dużo ludzi spośród tych dwóch procent trafiało przed moje oblicze w roli podejrzanych, zazwyczaj w sprawach o morderstwo. Geniusze niezbyt dobrze znoszą bliźnich, którzy ich irytują lub stają im na drodze. Często też myślą, że nie obowiązują ich te same zasady, co szarych ludzików. Bywają nieszczęśliwi i nie mają cierpliwości do innych, mogą być także socjopatami, a czasami psychopatami, którzy uważają, że mają prawo sądzić innych, a niekiedy nawet wykonać wyrok.

Ale tym razem miałem do czynienia nie z podejrzaną, lecz z ofiarą z tej dwuprocentowej grupy, co mogło być dla sprawy bez znaczenia. Ale instynkt podpowiadał mi, że Ann Campbell dokonała przestępstwa, zanim zamieniła się w ofiarę.

Otworzyłem akta lekarskie i od razu spojrzałem na koniec, gdzie zazwyczaj umieszcza się informacje o psychice. Znalazłem stary raport, wymagany od kandydatów do West Point. Psychiatra, który przeprowadził badanie, napisał:

Badana osoba wykazała bardzo wysoki stopień motywacji, równie wysoki poziom inteligencji i znakomite przystosowanie społeczne. W oparciu o dwugodzinną rozmowę i przeprowadzone testy stwierdzam, że nie odkryłem u niej żadnych zaburzeń wywołujących fałszywy obraz rzeczywistości, wahań nastrojów, zaburzeń osobowości lub zaburzeń seksualnych.

Dalej w raporcie stwierdzono, że Ann Campbell nie ma żadnych problemów psychologicznych, które mogłyby przeszkadzać jej w wypełnianiu obowiązków w Akademii Wojskowej Stanów

Zjednoczonych. Opisano ją jako całkiem zwyczajną osiemnastoletnią Amerykankę, cokolwiek to znaczy pod koniec dwudziestego wieku. W każdym razie same superlatywy.

Ale dalej znalazłem kilka stron poświęconych sylwetce psychologicznej Ann Campbell. Był to krótki raport sporządzony podczas jesiennego semestru trzeciego roku jej pobytu w West Point. Ann Campbell otrzymała rozkaz, aby się udać do wydziałowego psychiatry. Nigdzie nie zostało zaznaczone, dlaczego wydano to polecenie. Psychiatra, dr Wells, napisał:

Kadet Campbell skierowana została na badanie i/lub terapię. Kadet Campbell twierdzi: Ze mną jest wszystko w porządku. Podczas rozmowy nie współdziałała ze mną, choć nie do tego stopnia, żebym miał podstawę złożyć na nią raport do jej dowódcy. Podczas czterech rozmów, z których każda trwała średnio dwie godziny, powtarzała, że jest tylko przemęczona w związku z wysokimi wymaganiami programu, niespokojna o swoje wyniki i w ogóle przepracowana. Jest to dość typowe u kadetów na pierwszym lub drugim roku studiów, rzadko spotyka się taki poziom psychicznego i fizycznego stresu u studenta trzeciego roku. Zasugerowałem, że być może coś spowodowało dodatkowy stres, na przykład problemy uczuciowe lub domowe. Zapewniła mnie, że w domu wszystko jest w jak najlepszym porządku, a nie jest związana z nikim uczuciowo ani na terenie akademii, ani poza nią.

Młoda kobieta, z którą rozmawiałem, jest wyraźnie wychudzona, wytracona z równowagi i pogrążona w depresji. Podczas spotkań kilkakrotnie rozplakała się, ale za każdym razem odzyskiwała kontrolę nad sobą i przepraszała za swoje zachowanie.

Chwilami zdawało się, że ma zamiar wyjawic coś więcej, niż tylko powtarzać zwyczajne skargi kadeta, ale za każdym razem wycofywała się. Tylko raz powiedziała: „Pójdę na zajęcia czy nie, to nie ma znaczenia. To co robię, w ogóle nie ma znaczenia. I tak otrzymam dyplom.” Zapytałem, czy uważa się za uprzywilejowaną, ponieważ jest córką generała Campbella. „Nie, odpowiedziała, to dlatego, że zrobiłam im przysługę.”

Kiedy zapytałem, co ma na myśli i kim są „oni”, odpowiedziała tylko: „Stara wiara”. Na kolejne związane z tym pytania nie odpowiedziała.

Uważam, że byliśmy na dobrej drodze do rozwiązania problemu, ale nasze spotkania, zalecone jej przez bezpośredniego dowódcę, skończyły się. Polecenie takie, nie podając powodu, wydał oficer wyższy rangą, którego nazwiska mi nie podano.

W moim przekonaniu kadet Campbell wymaga dalszej terapii, niezależnie od tego, czy ona sama zgadza się na nią czy nie. Zalecam powołanie komisji, która oceniłaby, czy kadet Campbell powinna zostać usunięta z akademii ze względu na swój stan psychiczny. Polecam dokończenie badań i dokonanie ostatecznej oceny.

Spoglądałem na ten krótki raport zastanawiając się, jak znakomicie przystosowana osiemnastolatka zamieniła się w zestresowaną dwudziestolatkę. Można to było oczywiście wyjaśnić rygiorem panującym w West Point, ale najwyraźniej dr Wells nie kupił tej wersji i ja również nie.

Przerzuciłem akta. Wiedziałem, że muszę je przeczytać od deski do deski, i to wkrótce. Kiedy

miałem zamknąć teczkę, wpadł mi w oko skrawek papieru z odręczną notatką: „Kto walczy z potworami, powinien sam uważać, by nie zamienić się w potwora. Kiedy zagładasz w otchłań, ona również spogląda na ciebie.” - Nietzsche.

Nie wiedziałem, co tutaj robi ten cytat, ale wydawał się odpowiedni w aktach oficera wyspecjalizowanego w psychologii. Równie odpowiedni byłby w aktach pracownika CID.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie miałem ani potrzeby, ani ochoty być dłużej sierżantem White'em, zwłaszcza że sierżant White musiał salutować każdemu oficerowi, nawet największym żółtodziobom. Przeszedłem więc do Centrum Treningowego Piechoty, żeby odzyskać mojego pikapa, a potem udałem się do Szepczących Sosen z zamiarem przebrania się w cywilne ciuchy.

Minąłem po drodze arsenał jednostki, ale nie zauważyłem samochodu sierżanta Elkina. Trapiła mnie myśl, że Elkin zakończył interes za moimi plecami, a ja będę musiał się tłumaczyć, czemu kilkaset M-16 i wyrzutni granatów trafiło do rąk kolumbijskich bandytów.

Ale są pewne priorytety. Wyjechałem z jednostki i skręciłem na autostradę. Droga do Szepczących Sosen zajęła mi jakieś dwadzieścia minut i w tym czasie usiłowałem zrekonstruować wszystkie wydarzenia tego poranka od chwili, gdy w arsenale zadzwonił telefon. Robiłem to, ponieważ mój pracodawca, Armia Stanów Zjednoczonych, kocha się w chronologiach i faktach. Ale w śledztwie dotyczącym morderstwa to, co się widzi i słyszy, nie wystarczy. W naturze morderstwa leży to, że wszystko, co najważniejsze, zdarza się, zanim zdążysz zająć się sprawą. Istnieje jakiś duchowy świat, który koegzystuje ze światem postrzeganym empirycznie, i musisz do niego dotrzeć przez coś, co można uznać za detektywistyczny ekwiwalent seansu spirytystycznego. Nie używa się kryształowej kuli - chociaż nie odmówiłbym, gdyby ktoś podarował mi ją, pod warunkiem żeby działała - natomiast trzeba się nastawić na nasłuchiwanie tego, co nie zostało wypowiedziane, i wypatrywanie tego, czego nie widać.

Poza wszystkim innym Karl potrzebował raportu, więc przygotowywałem go w myślach: *W uzupełnieniu naszej rozmowy telefonicznej informuję, że córka generała była dziwką, i to na wielką skalę. Nie mogę pozbyć się jej z myśli. Gdybym był w niej szaleńczo zakochany*

i dowiedział się, że sypia z każdym, kto tylko nawinie jej się pod rękę, popełniłbym samobójstwo. A teraz zamierzam znaleźć skurwiela, który ją zabił i postawić go przed plutonem egzekucyjnym. Dziękuję za przydział sprawy. (podpisane) Brenner.

Oczywiście wymagało to jeszcze pewnego szlif. Ale uważam, że trzeba przyznać się przed sobą samym do tego, co się czuje. Wszyscy inni zamierzają kłamać, pozować, udawać.

Właśnie w związku z tym pomyślałem o Cynthii. Prawdę mówiąc to nie mogłem przestać o niej myśleć. Ciągle widziałem jej twarz i słyszałem jej głos, już teraz za nią tęskniłem. To był dowód poważnego zaangażowania uczuciowego, być może nawet obsesji seksualnej albo, Boże broń, miłości. Stan moich uczuć bardzo mnie martwił, nie tylko dlatego, że nie byłem na coś takiego przygotowany, ale także ponieważ nie miałem pewności co do charakteru jej uczuć do mnie. Poza tym mieliśmy jeszcze sprawę morderstwa. Takiej robocie należy poświęcić się całkowicie, każdą odrobiną energii, którą rad byś zużyć gdzie indziej. A kiedy już wyschniesz na wiórek, zjawiają się tacy jak Cynthia, młodzi, przepelnieni poczuciem obowiązku i entuzjazmem i mówią ci, żeś zimny, nieczuły i cyniczny. Temu oczywiście zaprzeczam, gdyż uważam, że jestem zdolny do emocji i potrafię okazać miłość i ciepło innym. Taki byłem na przykład w Brukseli w zeszłym roku. I co mi to dało? Tak czy siak morderstwo potrzebuje niepodzielnej uwagi.

Przez boczne okienko widziałem już parking w Szepczących Sosnach. Przede mną, po lewej stronie robotnicy naprawiał drogę. Przypomniałem sobie, jak dwadzieścia pięć lat temu pierwszy raz widziałem przy tej robocie grupę aresztantów skutych łańcuchem. Chyba już ich nie wykorzystują do tego, w każdym razie mam nadzieję, że nie. Ale wspomnienie pozostało wyraźne i niezatarte: więźniowie, plugawi i zgarbieni, połączeni łańcuchem skuwającym ich kostki, a wokół strażnicy w przepoconych mundurach, z karabinami. W pierwszej chwili nie chciałem wierzyć własnym oczom. Paul Brenner, ostatnio z południowego Bostonu, po prostu nie mógł pojąć, że skuwa się ludzi łańcuchami i każe pracować niby niewolnikom w skwarze słonecznym, i to tutaj, w Ameryce. W żołądku poczułem wtedy ból, jakby mnie ktoś uderzył.

Ale tamten Paul Brenner już nie istniał. Świat zmiękł, a ja stwardniałem. Gdzieś po drodze, przez jakiś rok czy dwa, żyliśmy ze światem w zgodzie, ale potem znowu się rozłączyliśmy. Być może mój problem polegał na tym, że światy, do których trafiałem, zmieniały się zbyt często: dzisiaj Georgia, w zeszłym roku Bruksela, za tydzień Pago Pago. Teraz pragnąłem znaleźć miejsce, w którym mógłbym na chwilę przystanąć, być z kobietą dłużej niż jedną noc, tydzień czy miesiąc.

Przejechałem pomiędzy dwiema sosnami, do których był przybity ręcznie malowany, dziś zatarty, napis „Szepczące Sosny”. Zaparkowałem pikapa w pobliżu domku na kółkach należącego do właściciela parkingu i ruszyłem w kierunku mojej aluminiowej przystani. Ubóstwo Południa bardziej mi się podoba, kiedy ma postać drewnianego domu z fotelem na biegunach na werandzie i dzbanem kukurydzy na progu.

Obszedłem przyczepę naokoło, sprawdziłem, czy nie ma śladów butów czy innych oznak obecności intruzów, na przykład otwartego okna. Wróciłem do wejścia i zbadałem lepkie włókna, które umieściłem w poprzek drzwi i na framudze. To nie dlatego, że widziałem za dużo filmów, w których detektyw wchodzi do domu i dostaje pałą w łeb. Ale spędziłem pięć lat w piechocie, z czego jeden w Wietnamie, a potem kolejne dziesięć w Europie i Azji, wchodząc po kolei w drogę handlarzom narkotyków, szmuglerom broni, a nawet zwykłym mordercom, i tylko dlatego byłem jeszcze żywy, że wiem, jak uważać na siebie. Innymi słowy, jeśli nosisz głowę powyżej swoich czterech liter, cztery z pięciu zmysłów nie działają.

Wszedłem do przyczepy, ale zostawiłem drzwi otwarte i sprawdzałem, czy jestem w niej sam. Wyglądało na to, że nie mam towarzystwa, wszystko było takie samo, jak w momencie kiedy o świcie stąd wychodziłem.

Dodatkowej sypialni na końcu przyczepy używałem jako biura, tutaj trzymałem pistolety, notesy, raporty, książki kodowe i inne narzędzia przydatne w mojej pracy. Kazałem założyć skobel i kłódkę na drzwiach do sypialni, tak że nikt, nawet właściciel parkingu, nie miał tu wstępu. Jedyne okno zalepiłem żywicą epoksydową.

Otworzyłem kłódkę i wszedłem do środka. Nie zmieniłem umeblowania pokoju poza tym, że wstawiłem tu biurko i krzesło z jednostki. Na biurku stał telefon z automatyczną sekretarką, palące się światelko oznaczało, że nagrała się jakaś rozmowa. Nacisnąłem przycisk odtwarzania. Męski głos o nosowym brzmieniu poinformował mnie: „Jest do ciebie wiadomość”. Potem inny męski głos powiedział: „Panie Brenner, tu mówi pułkownik Fowler, adiutant. Generał Campbell pragnie się z panem spotkać. Proszę zameldować się u niego w domu, najszybciej jak to możliwe. Życzę dobrego dnia.”

Raczej zwięźle. Wszystko, co potrafiłem z tego wydedukować, to że pułkownik Kent dotarł wreszcie do najbliższej rodziny ofiary. Najwyraźniej też poinformował ich, całkiem zbytecznie, iż niejaki Brenner z Falls Church został wyznaczony na oficera śledczego w tej sprawie, i na dodatek jeszcze podał pułkownikowi Fowlerowi mój numer telefonu. Dzięki, Kent.

W tej chwili nie miałem czasu dla generała Campbella ani pani Campbell, wymazałem więc wiadomość zarówno z kasety, jak z myśli.

Wyjąłem z szafy automatyczny glock, kaliber 9 mm. Potem wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi na kłódkę. W głównej sypialni przebrałem się w lekki niebieski garnitur, założyłem kaburę, przeszedłem do kuchni, wyjąłem zimne piwo i opuściłem przyczepę. Zostawiłem pikapa tam, gdzie stał, i wsiadłem do blazera. Tak przynajmniej zewnętrznie odmieniony byłem gotów do zmagania z morderstwem i gwałtem, chociaż przydałaby mi się jeszcze mała drzemka.

Jadąc pociągnąłem kilka łyków piwa. W tym stanie obowiązuje prawny zakaz noszenia otwartych butelek i puszek z alkoholem. W opinii tubylców oznacza to, że jeśli się już butelkę otworzyło, to trzeba ją opróżnić przed wyrzuceniem przez okno.

Wjechałem między przygnębiająco brzydkie podmiejskie domki. Skręciłem na jeden z podjazdów i kilka razy zatrąbiłem. To zastępuje wysiadanie z samochodu i dzwonienie do drzwi, a w tych okolicach jest bardzo popularne. W drzwiach pokazała się gruba kobieta, na mój widok pomachała ręką, a potem znikła. Kilka minut później z domku wyłonił się sierżant Elkin. Jedną z zalet służby w nocy jest wolne następnego dnia. Elkin, najwyraźniej zadowolony ze swobody, ubrany był w szorty, koszulkę z krótkimi rękawami i sandały. W obu rękach trzymał piwo.

- Wsiadaj - powiedziałem do niego. - Musimy spotkać się z jednym facetem na terenie jednostki.

- A niech to.

- Wskakuj, przywiozę cię z powrotem tak szybko, jak to możliwe.

Krzyknął w stronę domu:

- Muszę jechać!

Potem wdrapał się na miejsce pasażera i odjechaliśmy. Sierżant Elkin miał do mnie cztery pytania: Skąd wziąłem tego blazera? Gdzie wytrzasnąłem taki garnitur? Jak się ma moja mała pieszczoszka? Z kim mamy się spotkać?

Odpowiedziałem, że blazer jest pożyczony, garnitur z Hongkongu, jeśli chodzi o dziewczynę, to było pierwsza klasa, a jedziemy spotkać się z jednym facetem w więzieniu.

- W więzieniu?

- Facet jest w porządku. Zamknęli go w budynku żandarmerii. A muszę się z nim zobaczyć, zanim go zabiorą dalej.

- Dlaczego? Po co?

- Zamknęli go za jazdę po pijanemu. Trzeba mu odstawić samochód pod dom, bo jego kobita jest w dziewiątym miesiącu i potrzebuje czterech kółek. Mieszkają niedaleko ciebie. Poprowadzisz z powrotem tego blazera.

Sierżant Elkin kiwnął głową, jakby takie sprawy nie były dla niego czymś nowym.

- A teraz opowiedz mi o swojej dziewczynce - powiedział.

Chciałem, żeby się dobrze poczuł, więc zaserwowałem mu żołnierską gadkę.

Elkin ryczał ze śmiechu. Prawdę mówiąc, nie byłem w tym wcale taki zły. Nikt by nie powiedział, że jestem z Bostonu. Boże, naprawdę byłem dobry.

Jechaliśmy, gadaliśmy o niczym i piliśmy piwo. Kiedy wjeżdżałem do jednostki, trzymaliśmy puszki przy podłodze, żeby żandarmi nic nie zobaczyli. Potem schowaliśmy je pod siedzeniami. Zaparkowałem przed budynkiem żandarmerii, wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy do środka.

Sierżant na służbie poderwał się, a ja mignąłem mu moją legitymacją CID, nie przystając nawet. Sierżant Elkin albo tego nie zauważył, albo wszystko działało się dla niego za szybko. Szliśmy korytarzem prowadzącym do cel. Znalazłem jedną pustą, z otwartymi drzwiami, i wepchnąłem tam sierżanta Elkina. Wydawał się zmieszany i trochę niespokojny.

- Gdzie jest twój kumpel? - zapytał.

- Ty jesteś moim kumplem. - Zamknąłem drzwi celi, zamek automatycznie się zatrzasnął. Powiedziałem do kumpla przez kraty: - Jesteś aresztowany. Pokazałem mu swoją legitymację. - Pod zarzutem planowania zagarnięcia i sprzedaży mienia armii Stanów Zjednoczonych. - I dodałem: - A

ponadto nie zapiął pasów w samochodzie.

- O Jezu... Boże...

Wyraz twarzy człowieka, którego informujesz, że został aresztowany, jest bardzo interesujący i wiele wyraża. Jego reakcja pozwala osądzić, jakie powinno być następne zdanie. Elkin wyglądał, jakby mu się właśnie pokazał święty Piotr spisujący go na straty.

- Chcę ci dać szansę, Dalbert - poinformowałem go. - Napiszesz przyznanie się do winy i podpiszesz je. A potem będziesz współpracował z rządem w celu przygwożdżenia tych facetów, o których rozmawialiśmy. Jeśli to zrobisz, wyciągnę cię z więzienia. Zostaniesz tylko zwolniony z wojska z utratą stopnia i wszystkich płynących z tego korzyści. Jeśli nie, dokończysz życia w Leavenworth. Umowa stoi?

Rozpłakał się. Stawałem się miękki i wiedziałem to. Dawniej nigdy bym nikomu nie zaproponował tak wspaniałomyślnego układu. A gdyby podejrzany się rozpłakał, po prostu bym mu przyłożył i tak długo by obrywał, aż by się zamknął. Ale starałem się okazywać większe zrozumienie dla potrzeb kryminalistów i nie myśleć o tych dwustu M-16 i wyrzutniach granatów i co one mogłyby zrobić policjantom i niewinnym ludziom. Już nie wspominając o drobnym fakcie, że sierżant sztabowy Elkin zawiódł pokładane w nim zaufanie.

- Umowa? - powtórzyłem. Kiwnął głową.

- Niegłupio robisz, Dalbert. - Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem Kartę Praw. - Masz. Przeczytaj to i podpisz. - Wręczyłem mu kartę i długopis. Wytarł łzy i zaczął czytać swoje prawa oskarżonego. Powiedziałem: - Podpisz ten cholerny papier, Dalbert.

Podpisał i podał mi kartkę i długopis. Karl zamienił się w słup soli, kiedy mu powiem, że przerobiłem Elkina na świadka strony rządowej. Zgodnie z filozofią Karla, każdy przestępca powinien iść do więzienia, żadnych tam układów. Sędziowie wojskowi w czasie rozprawy nie lubią tego słuchać. Wiem o tym, ale musiałem tę sprawę zakończyć na skrótach, by wskoczyć w inną, która mnie prawdopodobnie załatwi. Karl kazał mi ją zakończyć. No, to zrobiłem, co chciał.

W tej chwili podszedł do mnie porucznik żandarmerii. Poprosił, żebym się wylegitymował i wyjaśnił, co tu właściwie robię. Pokazałem mu legitymację CID i powiedziałem:

- Przynieście temu facetowi papier i długopis, chce napisać zeznanie, potem zawieźcie go na posterunek CID na terenie jednostki, niech tam zostanie do dalszego przesłuchania.

Sierżant sztabowy Elkin siedział teraz na pryczy. Wyglądał bardzo smutno w swoich szortach, podkoszulku i sandałach. Widziałem wielu mężczyzn siedzących w podobny sposób za kratkami. Zastanawiałem się nieraz, jak oni na mnie patrzą.

Odszedłem korytarzem i udałem się do przydzielonego mi biura. Przekartkowałem notes adresowy Ann Campbell. Zawierał około stu nazwisk, mojego tam nie było. Nie używała żadnych gwiazdek czy serduszek, żeby zaznaczyć romansowe zainteresowania, ale jak już wcześniej

mówiłem, istniała prawdopodobnie inna lista nazwisk i telefonów. Mogła znajdować się w pokoju wypoczynkowym w piwnicy lub w osobistym komputerze.

Niedbale i niechętnie wyskrobałem lapidarny raport dla Karla - nie ten, który układałem sobie w myślach, tylko taki, do którego nie mógł się później przyczepić ani sąd, ani obrońca. W tym kraju nie istniał już żaden bezpieczny dokument, a jeśli coś było oznaczone jako poufne, stawało się tym bardziej godne zainteresowania szerokich rzesz.

Skończyłem pisać i nacisnąłem przycisk interkomu.

- Niech się zamelduje u mnie ktoś z biura.

Urzednicy w wojsku są mniej więcej tacy sami jak w cywilu, tylko że na ogół to mężczyźni, chociaż ostatnio sytuacja uległa pewnej zmianie. W każdym razie, podobnie jak w cywilu, tak naprawdę to od nich zależy funkcjonowanie każdego biura. Do mnie zgłosiła się kobieta w połowym mundurze, który składał się z zielonej spódnicy i bluzy, stosownych w gorącym wnętrzu. Zameldowała się poprawnie, energicznie zaszalutowała i oznajmiła rześkim głosem:

- Specjalistka Baker, sir.

Wstałem, chociaż nie miałem obowiązku i wyciągnąłem rękę.

- Chorąży Brenner, CID. Zajmuję się morderstwem Campbell. Czy pani wie o sprawie?

- Tak jest, sir.

Przez chwilę przyglądałem się specjalistce Baker. Miała około dwudziestu jeden lat, wyglądało na to, że ma się na baczności. Nie była piękna, ale miała jasne oczy i zuchwały wyraz twarzy. Mogła okazać się niegłupia.

- Czy chce być pani przydzielona do tego dochodzenia?

- Pracuję dla kapitana Reddinga w drogówce.

- Tak czy nie?

- Tak, sir.

- Dobrze. Od tej pory będzie się pani meldowała tylko mnie lub pani Sunhill, która jest także przydzielona do tej sprawy. Wszystko, co pani usłyszy lub zobaczy, jest w najwyższym stopniu tajne.

- Rozumiem.

- Dobrze. Proszę przepisać ten raport, zrobić fotokopie z notesu z adresami i wysłać je na ten numer faksu do Falls Church, a oryginał zostawić na moim biurku.

- Tak jest, sir.

- Na drzwiach proszę przyczepić napis: „Wstęp tylko dla upoważnionego personelu”.

- Tak jest, sir.

W wojsku uczciwość, honor i posłuszeństwo nadal są w cenie i teoretycznie nie ma potrzeby zamykania drzwi, chociaż w dzisiejszych czasach widzi się tu coraz więcej zamków. Ponieważ jednak ja należę do starej szkoły, nie żądałem tego typu zabezpieczeń na moich drzwiach. Mimo wszystko poprosiłem specjalistkę Baker.

- Codziennie przed wyjściem będzie pani opróżniała ten kosz i wkładała zawartość do rozdrabniacza.

- Tak jest, sir.

- Jakież pytania?

- Kto porozmawia z kapitanem Reddingiem?

- Załatwię to z pułkownikiem Kentem. Jeszcze coś?

- Nie, sir.

- Może pani odejść.

Wzięła ode mnie notes z adresami i mój odręcznie napisany raport, zasalutowała, odwróciła się i wyszła.

Kiedy się ciągle zmienia miejsce zamieszkania, nie jest łatwo być upierdliwym. U siebie każdy to potrafi, ale potrzeba wyjątkowych zdolności, by pokazać, co się potrafi, w nowym środowisku, gdzie wszystko ma już swoje miejsce. Jeśli człowiek nie okaże się twardzielem od pierwszego dnia, to już przegrał. A wtedy jest kompletnie bezużyteczny.

Władzę można zdobyć na wiele zgodnych z prawem sposobów. Nauczyłem się tego. A skoro instytucja nie wyposażyła cię w dostateczne prerogatywy, ale za to przydzieliła zadanie, które jest naprawdę ważne, musisz sięgnąć po władzę sam. Myślę, że wojsko wręcz tego oczekuje, cały czas przecież powtarza się tu, że masz wykazać inicjatywę. Ale trzeba też zachować ostrożność, ponieważ ten system działa tylko wtedy, kiedy wszystko się dobrze kończy. Jeśli sprawę umocysz, sam też popłyniesz. Najbardziej jednak nie lubię, kiedy po zakończonej sukcesem robocie klepią cię po głowie jak wyczerpanego psa pociągowego, dopóki nie zagłuszcą. Dlatego nigdy nie bywam na koktajlach po zamknięciu dochodzenia. Karl twierdzi, że przez tydzień chowam się u niego pod biurkiem, co nie jest prawdą, ale zdarzało mi się zmykać na kilka tygodni do Szwajcarii.

Była godzina czternasta, a podoficer Sunhill nie pojawiła się jeszcze w biurze. Wobec tego wyszedłem i właśnie wsadałem do samochodu, kiedy zobaczyłem, że moja partnerka siedzi w swoim mustangu przed budynkiem i śpi, oparta o kierownicę. W radiu wyśpiewywał zespół o nazwie „Wdzięczny Nieboszczyk”, co wydawało się dość odpowiednie w tej sytuacji.

Podszedłem i trzasnąłem drzwiczkami. Obudziła się.

- Śpisz? - zapytałem.

- Nie, pozwalałam na chwilę odpocząć oczom.

To było jej stałe powiedzonko, więc wymieniliśmy krótkie uśmiechy.

- Na strzelnicę numer sześć poproszę - powiedziałem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy wjechaliśmy na leśny teren, Cynthia wrzuciła wyższy bieg.

- Ładny garnitur - powiedziała.

- Dziękuję. - Wdzięczny Nieboszczyk śpiewał „Odrobinę szarości”. Wyłączyłem radio.

- Zjadłeś coś? - zapytała.

- Nie.

Zadała następne pytanie.

- Zrobiłeś coś użytecznego?

- Prawdopodobnie nie.

- Czy coś cię zirytowało?

- Tak.

- Karl potrafi być denerwujący.

- Jeśli jeszcze raz zadzwonisz do niego w związku ze sprawą, zaskarżę cię.

- Tak jest, sir.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, wreszcie powiedziała:

- Potrzebny jest mi twój numer telefonu i adres.

Podałem jej.

- Ja mieszkam w gościnnych kwaterach oficerskich. Dlaczego się tam nie wprowadzisz? To znaczy do kwater. Tam jest wygodniej - dodała.

- Lubię kemping w Szepczących Sosnach.

- Mnie takie tereny w lesie wydają się złowieszcze.

- Dla prawdziwego mężczyzny nie są.

- To znaczy, że nie mieszkasz sam? - Widocznie uważała to za zabawne, ponieważ roześmiała się z własnego żartu, potem zakryła usta teatralnym gestem. - Ooo, przepraszam - powiedziała. - Postaram się zwracać uwagę tylko na twoje dobre strony.

- Nie trać czasu.

Cynthia nie jest manipulantką, ale znana była z manipulowania. Drobną różnicą, ale istotną. Jest w zasadzie prostolinijna i szczerą, i jeśli podoba jej się wygląd lub postępowanie mężczyzny, mówi mu to wprost. Mówiłem jej, że powinna być mniej bezpośrednia, bo niektórzy mężczyźni traktują to jako zachętę. Ale nie zrozumiała, o co mi chodzi. I ona zajmuje się przypadkami gwałtów!

- Mam pracownika do spraw biurowych - powiedziałem.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Nie zwracam uwagi na takie drobiazgi. - Ale po chwili dodałem: - Specjalistka Baker. A tak przy okazji, jakiego jesteś wyznania?

Uśmiechnęła się, wyciągnęła dokumenty z kieszeni bluzy i czytała je, nie przerywając prowadzenia.

- Co my tu mamy... AB.... Amerykańscy baptyści? Nie, to moja grupa krwi... O, tutaj jest. Prezbiterianka.

- Nie uważam, żeby to było zabawne.

- Przepraszam. Karl wiedział, że to żart.

- Karl nie potrafi rozróżnić żartu, jeśli nie ma wokół siebie gromady zaśmiewających się ludzi.

- Daj spokój, Paul. I tak przecież nie bierzesz tych bredni poważnie. Ale jeśli mogę ci coś radzić - uważaj. Nie musisz mówić nowomową ani zwierzać się z własnych uprzedzeń, ale nie naśmiewaj się z nowych trendów i zwyczajów. Od nich nie ma odwrotu. Mówię poważnie.

- Czy jesteś komisarzem?

- Nie, twoją partnerką. - Poklepała mnie po ramieniu. - Nie zgrywaj się przy mnie na starego wyjadacza.

- W porządku. - Najwyraźniej Cynthia była w znacznie mniej konfrontacyjnym nastroju niż wcześniej. Albo przytrafiło jej się coś miłego w czasie ostatnich dwóch godzin, albo po przemyśleniu wszystkiego uznała, że Paul Brenner nie jest ostatecznie taki zły. Żeby wrócić do sprawy, zapytałem:

- Czy sprawdziłaś termin „duszenie seksualne”?

- Oczywiście. Dość złowieszcze.

- Jeśli się nad tym zastanowić, to seks jest w ogóle złowieszczy.

- Może dla ciebie.

- Opowiedz mi o duszeniu seksualnym.

- Dobrze... zazwyczaj polega ono na zaciskaniu sznura na szyi osobie podnieconej seksualnie. Najczęściej robią to mężczyźni sami sobie w czasie masturbacji. Ale znane też są przypadki takich praktyk u kobiet. Zdarza się, że heteroseksualni lub homoseksualni partnerzy robią to sobie wzajemnie podczas stosunku. Zazwyczaj za zgodą zainteresowanych, ale nie zawsze. Nieraz sprawa przybiera tragiczny obrót, czasami przypadkiem, kiedy indziej jest to akt zamierzony. I wtedy wkracza policja.

- Zgadza się. Widziałaś to kiedyś w praktyce?

- Nie. A ty?

- Robiłaś coś takiego?

- Ależ nie, Paul. A ty?

- Nie, ale raz widziałem. Jeden taki powiesił się podczas masturbacji, gdy oglądał film porno. Nie zamierzał się zabijać, ale stołek, na którym stał, przewrócił się i facet powiesił się naprawdę. Żandarmi oczywiście myśleli, że to samobójstwo. Ale jeśli ofiara jest naga, a wokół znajdują się różne przedmioty związane z seksem, wtedy możesz być prawie na sto procent pewny, że masz do czynienia z wypadkiem. I spróbuj to wyjaśnić rodzinie.

- Wyobrażam sobie. - Potrząsnęła głową. - Nie rozumiem, jak to może sprawiać przyjemność. Tego w książce nie napisali.

- Poszukaj w innych. Ale powiem ci, na czym polega zabawa: kiedy przerwiesz dopływ krwi - a co za tym idzie, tlenu - do mózgu, pewne wrażenia potęgują się, częściowo jako rezultat zmniejszenia kontroli nad ego. Czasowy brak tlenu powoduje zawroty głowy, uczucie lekkości, nawet ożywienie.

Jest się na haju bez narkotyków czy alkoholu. W takim stanie ludzie doświadczają intensywniejszych przeżyć seksualnych. - I dodałem po chwili: - Słyszałem, że jeśli się w tym stanie dojdzie do szczytu, to jest to prawdziwy szczyt, ale jeśli się pomyliś, zamiast szczytu następuje upadek. I człowiek przechodzi do historii.

- To mało zabawne.

- Fakt. Poza tym tylko część tej zabawy leży w psychice. Reszta to rytualne zachowanie, które towarzyszy większości aktów seksualnego duszenia - nagość lub zakładanie dziwnych ubrań, seksualne przedmioty, fantazje, miejsce i wywołanie poczucia zagrożenia.

- Kto to wymyślił?

- Na pewno stało się to przez przypadek. Może istnieje jakiś rysunek w egipskiej piramidzie. Ludzkie istoty cechuje niewinna niedbałość jeśli chodzi o samoocenę.

Prowadziła w milczeniu, potem spojrzała na mnie i wreszcie powiedziała:

- I ty uważasz, że coś takiego przydarzyło się Ann Campbell.

- No... majtki na szyi świadczą, że nie chciano, by został ślad zdradzający charakter zabawy. Bardzo typowe, ale jeśli nie planuje się zbrodni. To tylko jedna z interpretacji sceny, którą widzieliśmy. Poczekajmy, co powiedzą ci z laboratorium medycyny sądowej.

- Co zrobiła z ubraniami?

- Mogła je gdzieś rzucić.

- Dlaczego?

- Element niebezpiecznej gry, to się zgadzało z odgrywaną fantazją. Sama powiedziałaś wcześniej, że nie wiemy, co miało dla niej znaczenie seksualne ani jakie skomplikowane scenariusze erotyczne budowała w swoim umyśle. Pomyśl o własnych sekretnych ogrodach rozkoszy i zastanów się, jak by zareagowali na nie inni ludzie. - Żeby wypełnić niezręczną ciszę, dodałem: - Ludzie o takim typie osobowości osiągają tylko wtedy pełną satysfakcję, gdy przełożą na rzeczywistość swoje wyobrażenia, z udziałem partnera lub nie. Zaczynam myśleć, że to, co widzieliśmy na strzelnicy numer sześć, było wymyślone, zaaranżowane i wyreżyserowane przez Ann Campbell, a nie przez jej partnera lub zabójcę.

Ponieważ Cynthia nadal milczała, ciągnąłem:

- Najprawdopodobniej był to akt seksualnego duszenia, wykonany za jej pełnym przyzwoleniem, i partner zadusił ją albo przez przypadek, albo celowo, w przyływie złości. Nieznany obcy zabójca nie zwracałby sobie głowy wkładaniem na szyję majtek w celu zmniejszenia uszkodzeń skóry.

- Nie, ale rozważ i inną sytuację: partner nie zabija jej wcale w momencie gniewu, ale całkowicie z premedytacją. Natomiast ona myśli, że to gra.

- Istnieje taka możliwość.

- Ciągłe myślę o tym pokoju w piwnicy - przyznała się Cynthia. - Może jakiś mężczyzna powodowany zazdrością albo chęcią zemsty pragnął jej śmierci. A może ona kogoś szantażowała.

- Zgadza się. Sama się o to prosiła. Ale aby to rozgryźć, potrzebujemy więcej informacji. Zapiszesz to wszystko w swoim zeszycie, dobrze?

Znowu kiwnęła głową bez słowa. Najwyraźniej Cynthia zajmująca się dotąd podwórkowymi gwałtami, które nie prowadziły do morderstw, była nieco przytłoczona ciężarem ludzkiej deprawacji i seksualnych dewiacji. Chociaż nieraz musiała się spotkać z kobietami zaatakowanymi brutalnie przez mężczyzn, jakoś ułożyła sobie te zbrodnie i uporządkowała tak, że potrafiła sobie z tym radzić. Nie czuła nienawiści do mężczyzn - prawdę mówiąc lubiła płęć przeciwną - ale widziałem, że pewnego dnia może nas wszystkich znieawidzić.

- W sprawie Neely. Co to był za facet? - zapytałem.

- Och... młokos ze Szkoły Piechoty. Zakochał się w tej pielęgniarce i pewnej nocy poszedł za nią do samochodu, kiedy wyszła ze szpitala. Przyznał się i wyraził skruchę, zostanie uznany za winnego i dostanie od pięciu do dziesięciu lat.

Kiwnąłem głową. Nie było to w stylu wojskowym, ale coraz częściej moda wymagała, żeby przestępca przeproszał ofiarę tub jej rodzinę, a także jej (lub swego) dowódcę. Kojarzyło mi się to bardziej z japońskim obyczajem niż z prawem angielskim, ale nie miałem nic

przeciwko niemu. Jak na ironię, to generał Campbell wprowadził ten zwyczaj w Forcie Hadley.

- Dobry Boże, nie chciałbym być w skórze tego faceta, który pójdzie przeprosić generała za to, że zgwałcił i zamordował jego córkę - powiedziałem.

- Trudno mu będzie znaleźć właściwe słowa - zgodziła się Cynthia. - No i wróciliśmy do gwałtu i morderstwa.

- Właśnie. Chociaż mogliśmy wrócić do morderstwa i gwałtu. Masz ochotę porozmawiać o nekrofilii?

- Dziękuję. Mam dość.

- Amen.

W niewielkiej odległości przed nami ukazał się duży zielony namiot z odsłoniętą z jednej strony płachtą. Wyglądał jak pawilon przygotowany na letnie przyjęcie. Ludzie z ekipy laboratorium medycyny sądowej zabezpieczali w ten sposób dowody.

Cynthia odezwała się:

- Doceniam, że powiedziałeś to Karlowi. Że pokładasz we mnie zaufanie.

Nie przypominałem sobie rozmowy na ten temat, więc pozostawiłem uwagę bez komentarza. Po chwili jednak powiedziałem:

- Karl chce, żebyśmy zrekonstruowali zbrodnię. Dokładnie: ze śledziami, liną i tak dalej. Ty masz być Ann Campbell.

- W porządku - odparła po chwili namysłu. - Robiłam to już wcześniej...

- Cudownie. Nie mogę się już doczekać.

Byliśmy na miejscu, Cynthia zaparkowała za wozem ekipy ludzi z laboratorium.

- Czy pójdziemy jeszcze raz obejrzeć ciało? - zapytała.

- Nie.

Do tego czasu ciało musiało już być wzdęte i wydzielać pewien odór. Może zachowywałem się irracjonalnie i nieprofesjonalnie, ale wolałem zapamiętać Ann Campbell taką, jaka była.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na wąskiej drodze stało kilkanaście samochodów osobowych i ciężarówek należących do ekipy CID lub miejscowej żandarmerii.

Przeszliśmy z Cynthia po zielonym brezencie w stronę otwartego pawilonu.

Było typowe dla Georgii gorące popołudnie, od czasu do czasu za wiewała lekka bryza, nasycając wilgotne powietrze żywicznym zapachem sosen.

Śmierć nie zatrzymuje aktywności wojska - strzelnice po prawej i lewej stronie były używane mimo kłopotów na szóstce. Dochodziły odgłosy strzelaniny z M-16, ostre staccato. Jak zwykle przywoływały koszmarnie wspomnienia. Ale właśnie one pozwalały zobaczyć fakty w odpowiedniej perspektywie. Chodzi mi o to, że ta sprawa była niewątpliwie bardzo nieprzyjemna, ale walka w dżungli znajdowała się na skali przyjemności znacznie niżej. Mogło być gorzej. W końcu ja żyłem, a młoda kobieta, leżąca o pięćdziesiąt metrów ode mnie, nie.

Wewnątrz i wokół pawilonu kręciło się co najmniej trzydziestu ludzi płci obojga, wszyscy zajęci.

Ekipy badawcze opierały się w swojej pracy głównie na teorii przekazania i wymiany. Byli przekonani, że sprawca zabiera ze sobą ślady związane z ofiarą i miejscem czynu, a sam z kolei na miejscu zbrodni i na ofierze pozostawia własne ślady. Sprawdza się to szczególnie w sprawach

seksualnych, gdyż wtedy sprawca i ofiara muszą się znaleźć w bliskim kontakcie.

Zdarza się jednak, że przestępca jest wyjątkowo błyskotliwy i bardzo uważa, by nie zostawić nawet takich śladów jak włos łonowy, kropla śliny czy spermy, ba, cienia zapachu wody po goleniu. To, co widziałem o świcie, wskazywało, że mamy do czynienia z takim właśnie przypadkiem. Jeśli badania to potwierdzą, będę musiał oprzeć się jedynie na staroświeckiej metodzie zadawania pytań i na intuicji. A wtedy gdybym nawet znalazł sprawcę, skazanie go bez dowodów było mało prawdopodobne.

Zatrzymałem się, zanim doszedłem do pawilonu. Niski łysy mężczyzna oddzielił się od tłumu skupionego nad ciałem i ruszył w naszą stronę. Rozpoznałem chorążego Cala Seivera, który był tu chyba najważniejszą osobą. Seiver jest właściwie w porządku: zawodowiec, znakomicie potrafi wyczuć, który kawałek włosa lub jaka odrobina kurzu okaże się ważna w śledztwie. Ale jak wiele osób myślących technicznie, żyje wśród szczegółów, nie widzi lasu, tylko drzewa. No i dobrze, ponieważ ja pracuję w lesie, a on między drzewami. Nie lubię, jak technicy zaczynają się zgrywać na detektywów.

Cal był nieco blady, jak zwykle gdy widział ciało. Wymieniliśmy uściski dłoni i przedstawiłem mu Cynthię, ale okazało się, że znali się już wcześniej.

- Cały pieprzony świat spacerował sobie wokół tego ciała, Paul - powiedział Cal.

Przechodziliśmy przez to samo za każdym razem.

- Nikt jeszcze nie nauczył się lewitować - odparłem.

- Zdeptaliście wszystko.

- Jakież odciski niewojskowych butów?

- Tak, tenisówek. - Spojrzał na sportowe obuwie Cynthii. - Czy ty...?

- Oczywiście - odparła. - Dam ci odcisk swojego buta. Są jakieś inne ślady na ziemi?

- Mhm. Odkryłem odciski bosej stopy, prawdopodobnie nieboszczki, ale reszta to buty, buty i jeszcze raz buty. Podeszwy różnią się między sobą, wiecie, ludzie chodzą inaczej, może się trafić jakieś nacięcie, inny rodzaj obcasa...

- Chyba już mi to kiedyś mówiłeś - przypomniałem mu.

- Taaa... Musimy pobrać odciski od wszystkich, którzy się tu plątał, ale mówię wam, zbyt dużo tego, a poza tym teren strzelnicy porośnięty jest trawą i krzakami.

- To widzę.

- Nienawidzę zbrodni popełnionych w terenie. - Wyciągnął chusteczkę, ściągnął czapkę i wytarł spoconą głowę.

- Nowa wiadomość z Pentagonu, Cal - powiadomiłem go. - Już nie jesteś niski i łysy - jesteś poszkodowanym w pionie człowiekiem, który nie dał sobie odebrać skalpu.

Spojrzał na Cynthię.

- Musisz pracować z tym facetem?

- On próbuje dokuczyć mnie, nie tobie. Właśnie wygłosiłam mu wykład na temat wrażliwości.

- Naprawdę? Nie trać czasu.

- Słusznie - zgodziła się Cynthia. - Czy masz coś w związku ze sprawą Neely?

- Mam. DNA nasienia pobranego z jej pochwy i tego, które przysłałaś wczoraj, zgadza się. To bez wątplenia ten sam facet, który się przyznał. Gratulacje.

Dodałem swoje.

- Jakież ślady nasienia na tej ofierze? - zapytałem.

- Sprawdziłem ultrafioletem i nie znalazłem nic. Za pół godziny będziemy mieli wyniki badań pochwy, ust i odbytu. Ludzie od odcisków palców skończyli już z ciałem, łazikiem, torebką, śledziami namiotowymi i liną. Fotografowie kończą, a teraz mam serologów, zajmują się próbkami krwi, śliny i wszystkich innych wydzielin. Chemicy badają ciało pod namiotem próżniowym, ale mówię wam, nie wydaje mi się, żeby znaleźli choćby włoszek, a jeśli, to jej własny. Sprowadziłem też zespół z laboratorium narzędziowego, sprawdzają teraz śledzie i liny, ale to standardowe wyposażenie, wszystko stare, używane. Tak więc, nie mamy żadnego klucza do sprawy.

Cal na początku zawsze widzi wszystko w ciemnych barwach. Dopiero później oznajmia, że po wielu godzinach ciężkiej i wymagającej niezwykle błyskotliwości pracy laboratoryjnej coś się znalazło. W tym tkwi właśnie sekret, jak należy dorabiać sobie chwały. Trzeba umieć pokazać, że praca jest cięższa niż w rzeczywistości. Sam od czasu do czasu stosuję ten trik. Cynthia jeszcze się nie nauczyła.

- Wyciągnąłeś śledzie z ziemi? - zapytałem.

- Tylko jeden, ten przy lewej kostce, żeby pobrać próbki i stwierdzić, czy ziemia na śledziu różni się od tej z terenu strzelnicy. Ale nie różni się niczym od tej cholernej czerwonej gliny, na którą w Georgii wszędzie się natykasz.

- Sprawdź, czy ofiara zdołałaby wyciągnąć któryś ze śledzi koło nadgarstków, gdyby chciała. I jeszcze, czy któryś z węzłów na nadgarstkach jest zaciskowy. Chciałbym też, żebyś stwierdził, czy miała lub mogła mieć koniec sznura w ręku.

- Teraz?

- Proszę.

Cal odwrócił się i odszedł.

- Jeśli nic z tego nie okaże się prawdziwe lub przynajmniej możliwe - powiedziała Cynthia - będziemy mogli wyłączyć przypadek aranzacji fantazji erotycznej. Zgadza się?

- Tak.

- Wtedy zaczniemy szukać przestępcy.

- Przestępcy lub współwinnego. Nadal wygląda na to, jakby wszystko się zaczęło od zabawy. - I dodałem. - To nie jest wiadomość do rozgłaszania.

- Jasne - powiedziała. - Ja nie mam nic przeciwko powtórnemu obejrzeniu ciała. Wiem, czego szukamy. - Ruszyła brezentową ścieżką do pawilonu, gdzie wmieszała się w tłum ludzi, by wreszcie uklęknąć koło ciała. Ja tymczasem wróciłem do drogi i stanąłem koło łazika. Spojrzałem w stronę, gdzie w nocy pełniła straż szeregowiec Robbins, ale nie mogłem dostrzec magazynu na amunicję. Ostatecznie był o kilometr stąd. Odwróciłem się i spojrzałem w kierunku, z którego przyjechaliśmy. Zauważyłem, że droga skręca w prawo, tak więc gdyby samochód zatrzymał się sto metrów dalej, koło strzelnicy numer pięć, Robbins nie mogłaby zobaczyć świateł. Coś mnie niepokoiło w związku z kolejnością pojawiania się świateł. Musiałem rozważyć możliwość, że pierwsze światła, które zobaczyła Robbins, nie były światłami łazika Ann Campbell - a w takim razie co kapitan robiła między opuszczeniem budynku dowództwa o godzinie pierwszej a godziną drugą siedemnaście, gdy Robbins zobaczyła światła?

Podeszli do mnie Cynthia i Cal. Cal przekazał informacje, o które prosiłem:

- Śledzie są wbite w ziemię na mur. Facet w chirurgicznych rękawiczkach o mało nie dostał przepukliny, wyciągając je z ziemi. Zastosowano węzły, które nazywamy w naszym żargonie węzłami babuni. Z trudem je rozwiążesz za pomocą narzędzi. Jeśli zaś chodzi o linkę, to jej koniec sięga do dłoni ofiary, ale jak chcesz usłyszeć moją opinię, nie sądzę, by zaciągnęła ją sama. Sprawdzasz, czy to czasem nie wypadek podczas duszenia seksualnego?

- To tylko taki domysł. Niech pozostanie między nami.

- Wszystko wskazuje raczej na to, że miała zeszłej nocy towarzystwo, chociaż jeszcze nie trafiliśmy na żaden ślad tej osoby.

- Gdzie znalazłeś odcisk bosej stopy?

- Mniej więcej w połowie drogi między jezdnią a ciałem. O tam - pokazał na miejsce, gdzie jeden z jego ludzi wykonywał właśnie odlew śladu.

Kiwnąłem głową.

- Jak została ucięta lina?

Na to odpowiedziała Cynthia:

- Czyste cięcie. Jak siekierą czy toporem rzeźniczym, może na powierzchni drewnianej. Prawdopodobnie przecięto ją gdzie indziej. Ekipa sprawdza teraz ślady na trybunach. Ale można założyć, że linka została przygotowana wcześniej. - Skrzywiła się. - Podręczny zestaw gwałciciela. - Nie użyła określenia „gwałt z premedytacją” lub „gwałt zorganizowany”. Lubię, kiedy ludzie trzymają się tego, na czym się znają. Prawdę mówiąc to, co wyglądało na podręczny zestaw gwałciciela, mogło być wypożyczone z domu ofiary i służyło do ostrych zabaw seksualnych. Ale lepiej, żeby wszyscy myśleli o tym jako w gwałcie.

- Chciałeś dowiedzieć się czegoś o czarnej kropce na jej prawe stopie - odezwał się Cal.

- Tak.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że to asfalt. Na pewno będziemy wiedzieć za godzinę. Mogę porównać z materiałem na jezdni tutaj, ale to nie będzie rozstrzygające.

- W porządku.

- Dlaczego ta sprawa trafiła akurat do ciebie? - spytał.

- Błagałem o przydział.

Roześmiał się.

- Nie chciałbym być w twojej skórze - powiedział.

- Zwłaszcza jeśli znajdziesz moje ślady w łaziku. Uśmiechnął się, jakby odpowiadało mu moje poczucie humoru

Wiec mu przypomniałem:

- Jeśli coś spartaczysz, zastanów się, gdzie uda ci się żyć za połowę pensji. Sporo chłopców przenosi się do Meksyku.

- Daj spokój, jeśli ja sfuszeruję, będę umiał się obronić, natomiast jeśli wam się nie uda, pułkownik Hellmann przejedzie się po to jak walec drogowy. Już nie wstaniesz.

To była niemiła prawda. Lekko poirytowany powiedziałem:

- Biuro ofiary, a także wszystko z jej domu, z osobistymi drobiazgami włącznie, znajduje się w hangarze na Polu Jordana. Jak skończysz tutaj, przenieś się tam.

- Wiem. Tu posiedzimy do wieczora, więc do hangaru trafię na noc.

- Czy był u was pułkownik Kent?

- Przed chwilą.

- Czego chciał?

- Tego samego co ty, tylko bez dowcipów. Poza tym masz spotkać z generałem - dodał. - Odebrałeś wiadomość?

- Nie. Dobra, Cal, będę w biurze żandarmerii. Wszystkie raporty mają trafiać bezpośrednio do Cynthii i do mnie, opieczętowane i z napisem „tajne”. Albo ty sam wpadnij lub zadzwoń. Pracuje dla nas specjalistka Baker. Nie rozmawiaj na temat tej sprawy z nikim, nawet z nikim z żandarmerii. Jeśli ktoś cię o coś zapyta, odeślij go do mnie albo do Cynthii. I poleć swoim ludziom, żeby robili to samo. W porządku?

Cal skinął głową, ale zapytał:

- Czy dotyczy to także pułkownika Kenta?

- Nawet generała.

Wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie.

- Idziemy rozejrzeć się po latrynach, potem możesz tam wpuścić swoich ludzi.

- Dobra.

- Kiedy oddasz ciało koronerowi do autopsji? - zapytała Cynthia.

Poskrobał się po łysej głowie.

- No... myślę, że za jakieś trzy godziny.

- Czemu nie zadzwonisz do miejscowego szpitala? - zapytała. - Mógłbyś sprowadzić koronera, żeby zbadał ciało na miejscu. I powiedz mu, że bardzo chcielibyśmy dostać jak najszybciej wyniki, nawet gdyby to miało oznaczać pracę do późna. Dobrze byłoby, gdyby wstępny raport koronera trafił na nasze biurko jeszcze dzisiaj wieczorem. Powiedz mu, że generał byłby bardzo wdzięczny, ponieważ rodzina ofiary pragnie zająć się przygotowaniem do pogrzebu.

- Dobra - zgodził się Cal.

Cynthia stawała się bardzo sprawna, widać byłam dobrym nauczycielem.

Minęliśmy trybuny, przeszliśmy przez otwarte pole porośnięte gęstą trawą, na której nie pozostawały żadne ślady, a wreszcie znaleźliśmy się pomiędzy drzewami, gdzie stały dwa budynki latryn. Kent kazał ogrodzić cały ten teren żółtą taśmą. Starszy budynek oznaczony był napisem: „Personel Męski”, nowszy zaś: „Personel Damski”. Słowo „personel” wydawało się zbyteczne, ale regulaminy w wojsku wykluczają zwyczajność i zwykły rozsądek. Weszliśmy do latryny dla personelu męskiego. Przekręciłem kontakt przez chusteczkę.

Podłoga była betonowa, ściany drewniane, a miejsca, gdzie ściany łączyły się z sufitem, okrywały ekrany. Trzy umywalki, trzy kabiny i trzy pisuary, wszystko niezwykle czyste. Doszedłem do wniosku, że jeśli strzelnica była używana poprzedniego dnia, najpewniej ta sama drużyna, która tutaj ćwiczyła, została wyznaczona do sprzątnięcia latryny. Kosz na śmieci był pusty, nigdzie żadnych mokrych plam, a wszystkie deski sedesowe podniesione.

Cynthia zwróciła moją uwagę na jedną z umywalek. Były tam ślady wody i mały włos.

- Tu jest coś - przywołałem Cala. Podszedł i pochylił się nad umywalką.

- Włos białego człowieka, z głowy. - Przyjrzał się uważniej. - Wypadł, może został obcięty, ale nie wyrwany. Brak cebulki. Jako próbka nie najlepszy, ale może da się określić grupę krwi, a nawet płęć, choć bez cebulki nie poznamy kodu genetycznego.

- A co z nazwiskiem właściciela?

Cał nie wydawał się ubawiony. Rozejrzał się.

- Kiedy tam skończymy - powiedział - w pierwszej kolejności zajmę się latrynami.

- Otwórzcie sitka w umywalkach.

- Czy naprawdę musisz mi to mówić?

- Chyba nie.

Przeszliśmy do latryny dla kobiet, równie czystej. Tutaj było sześć kabin, w każdej kłapa podniesiona, zgodnie z zasadami obowiązującymi w wojsku, mimo faktu, że kobiety je opuszczają.

- Chcę wiedzieć, czy kapitan Campbell używała latryny.

- Może natrafimy przynajmniej na odrobinę potu na toalecie lub komórki skóry na sitku umywalki - odparł. - Zobaczą, co się da zrobić.

- I nie zapomnij o odciskach palców na kontakcie.

- Czy nie zapominasz o oddychaniu?

- Czasami.

- Ja nie zapominam o niczym.

- Dobrze. - Rozejrzałem się wokoło, ale nie ujrzałem nic, co mogłoby się skojarzyć z ofiarą, morderstwem ani mordercą. Ale jeśli wierzyć teorii o przekazywaniu i wymianie, miejsce może okazać się pełne dowodów.

Wyszliśmy na światło dnia i ruszyliśmy z powrotem w stronę drogi.

- Nie obrażaj się - powiedziałem do Cala - ale muszę ci przypomnieć, żebyś we właściwy sposób zabezpieczył dowody, opisywał i dokumentował wszystko, na co natrafisz, ponieważ grozi ci krzyżowy ogień pytań jakiegoś dzikusa adwokata, który dostaje pieniądze za to, by uzyskać werdykt „niewinny”. Dobra?

- O to się nie martw. Dostarcz mi tylko podejrzanego, a obskrobiemy go ze skóry, wyssiemy z niego krew, wyrwiemy włosy i każemy mu złożyć nasienie do kawałka gumy, tak jak temu fecetowi Cynthii.

- Mam nadzieję, iż wtedy coś potwierdzi, że podejrzanym jest sprawcą.

- Zawsze się coś znajdzie. A tak przy okazji, co się stało z jej ubraniem?

- Znikło. Miała na sobie mundur polowy.

- Jak każdy. Jeśli więc znajdę włókno materiału, z którego szyją mundury polowe, praktycznie nic to nie będzie znaczyło.

- Nie będzie.

- Praca badawcza nie jest łatwa, kiedy wszyscy noszą takie same ubrania i buty.

- Najprawdziwsza prawda. Czy dostałeś odciski stóp eliminujące żandarmów, którzy byli na terenie strzelnicy?

- Taaa.

- W tym pułkownika Kenta?

- Jasne.

- Pamiętaj, Cal - powiedziała Cynthia - Tylko my możemy cię naciskać w tej sprawie. Nikt inny się nie liczy.

- Słyszę, co mówisz. - Rzucił wzrokiem w stronę miejsca, gdzie leżało ciało i nieoczekiwanie powiedział: - Była bardzo ładna. Mamy jeden z tych plakatów rekrutacyjnych w laboratorium. - Spojrzał na mnie, potem na Cynthię i dodał: - No, życzę szczęścia.

- My tobie też - odparła Cynthia.

Cal Seiver odwrócił się i poszedł w stronę pawilonu.

My wsiedliśmy do samochodu.

- Gdzie teraz? - zapytała Cynthia.

- Pole Jordana.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czas, czas, czas. Im starsza sprawa, tym zimniejszy trop. Im zimniejszy trop, tym trudniejsza sprawa.

Przeniesienie i wymiana. Oficjalnie odnosi się to do dowodów materialnych, tych drobiazgów natury fizycznej. Ale dla śledczego w sprawie o morderstwo może to oznaczać coś wręcz metafizycznego. Analizując psychikę przestępców i różne typy brutalnych zbrodni, zaczyna się znać mordercę, zanim się go spotka. Analizując ofiary i stosując sekcję ich psychiki, zaczyna się wiedzieć więcej na temat osoby zamordowanej, niż mówią przepytywani ludzie. I wreszcie można określić związek ofiary z mordercą, stwierdzić czy się znali, co zresztą zdarza się bardzo często. Opierając się na teorii, że istnieje emocjonalna i psychiczna więź między zamordowanym a mordercą, można zawęzić listę podejrzanych. Z drugiej jednak strony nie miałbym nic przeciwko markerom DNA i odciskom palców od Cala Sewera.

Ruszyliśmy na północ w stronę centrum jednostki, ale skręciliśmy przy drogowskazie „Pole Jordana”.

- To, co powiedział Cal na temat śledzi i liny, zwalnia nas chyba od przeprowadzania na tobie eksperymentu - powiedziałem do Cynthii.

- Karl jest typowym detektywem, który rozwiązuje zagadki siedząc w fotelu - odparła.

- To prawda. - Jedną z najbardziej nieznośnych cech naszego przełożonego było to, że przychodziły mu do głowy bardzo błyskotliwe pomysły. Siedział sobie tam w Falls Church, czytał raporty laboratoriów, zeznania świadków, oglądał zdjęcia, a potem formułował teorie. Ci, którzy pracowali w terenie, wprost je uwielbiali. Karl uważał się za kogoś w rodzaju europejskiego uczonego i fakt, że był nadmuchanym zerem, mało go wzruszał.

Ale był też dobrym komendantem. Kierował ważnymi operacjami, nikomu się nie podlizywał i nie wystawiał swoich ludzi. W tym szczególnym przypadku, pułkownik Karl Gustav Hellmann na pewno zostanie wezwany do złożenia raportu w Pentagonie. Kiedy stanie, tak to sobie wyobrażam, w pokoju szefa połączonych sztabów przed sekretarzem do spraw armii, szefem FBI, Sądu Wojskowego oraz innymi szefami i doradcami prezydenta, wlepi w nich stalowoniebieskie oczy i oświadczy: „Tą sprawą zajmuje się mój najlepszy człowiek, chorąży Paul Brenner. I on twierdzi, że nie potrzebuje żadnej pomocy z zewnątrz. Zapewnił mnie również, że zakończy sprawę w ciągu kilku dni. Aresztowanie nastąpi wkrótce”. Nie mylisz się, Karl. Tyle tylko, że moje.

- Wyglądasz trochę blado. - Cynthia obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Jestem po prostu zmęczony.

Zbliżaliśmy się do Pola Jordana. Większa część Fortu Hadley jest otwarta, ludzie mogą chodzić, gdzie im się żywnie podoba, ale Pole Jordana to teren zamknięty, więc przy bramie zatrzymali nas żandarmi. Jeden z nich obejrzał dokumenty Cynthii.

- Czy pani zajmuje się tym morderstwem? - zapytał.

- Tak - odparła. - A to mój ojciec.

Żandarm uśmiechnął się.

- Hangar trzeci.

Cyntbia wrzuciła bieg i pojechaliśmy. Wszystko na Polu Jordana pamiętało lata trzydzieste, zostało wzniesione dawno przez nie istniejące już jednostki lotnictwa, i dzisiaj wyglądało jak dekoracje do filmu o drugiej wojnie światowej: zbyt małe, by zadowolić jakiegokolwiek współczesne jednostki powietrzne, ale o wiele za duże dla potrzeb jednostek pomocniczych, takich jak transport, i tak już nadmiernie rozdmuchany. Prawdę mówiąc, gdyby ten cały wojskowy kompleks, razem z Fortem Hadley, należał do General Motors, połowa urządzeń zostałaby przeniesiona do Meksyku, a druga połowa zamknięta. Ale wojsko nie przedstawia listy strat i zysków, zaś wytwarzany przez nie końcowy produkt, czyli bezpieczeństwo narodowe, jest raczej abstrakcyjny, podobnie jak spokój sumienia, i w związku z tym bezcenny. W rzeczywistości jednak Hadley i Jordan to nic więcej tylko rządowe projekty dla miejscowej ekonomii. To, co stworzył boom wojenny, pokój miał zamiar utrzymać.

Na polu startowym stały dwa helikoptery typu Huey i trzy samoloty wywiadowcze artylerii. Przed hangarem z numerem trzecim, do którego się zbliżaliśmy, stał zaparkowany służbowy samochód Kenta i biało-niebieski ford z oznaczeniami policyjnymi. Prawdę mówiąc, na złotej tarczy ozdabiającej drzwiczki policyjnego samochodu widniały słowa: „Szef policji w Midland”.

- To jest samochód Yardleya - powiedziała Cynthia. - Kiedyś z nim pracowałam. A ty?

- Nie, i nie mam zamiaru zaczynać teraz.

Wkroczyliśmy do ogromnego hangaru, gdzie jako pierwszy rzucał się w oczy wielki biały BMW 325, kabriolet, przypuszczalnie samochód Ann Campbell. W drugim końcu hangaru ułożono przedmioty z domu zamordowanej, najprawdopodobniej w takim porządku, w jakim były wynoszone z kolejnych pomieszczeń. Rozerwany dywan zaznaczał plan domu. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem również meble z jej biura, a dalej długi stół pokryty zdjęciami zrobionymi polaroidem. Przedstawiały jej dom i biuro. Wokół tego wszystkiego stało kilku żandarmów, między innymi pułkownik Kent, a poza tym facet w kowbojskim kapeluszu, który wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać szef policji Yardley, i który najprawdopodobniej nim był. Potężnie zbudowany mężczyzna wręcz rozsadzał popelinowy mundur. Widok jego czerwonej twarzy nasuwał pytania: opalony, ma wysokie ciśnienie czy też po prostu w tej właśnie chwili buzuje w nim wściekłość.

Yardley rozmawiał z Kentem, obaj spoglądali w naszą stronę. Wreszcie Yardley ruszył ku nam, witając mnie słowami:

- Nie będzie ci się łatwo z tego wytłumaczyć, synu.

Pomyślałem, że się myli, i poinformowałem go:

- Jeśli dotykał pan czegokolwiek tutaj lub wszedł z czymś w kontakt, będę potrzebował pańskich odcisków palców i próbki ubrania.

Yardley stanął tuż przede mną, przez chwilę gapił się na mnie, a potem ryknął śmiechem.

- Ty skurwielu. - Odwrócił się do Kenta. - Słyszałeś?

Kent zmusił się do uśmiechu, ale nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Proszę nie zapominać - ciągnąłem - że jest pan na terenie wojskowym i że ja odpowiadam całkowicie za tę sprawę.

Kent, chyba nieco za późno, powiedział:

- Komendancie Yardley, czy mogę panu przedstawić chorążych Brennera i Sunhill?

- Możesz - odparł Yardley - ale prawdę mówiąc nie jestem zachwycony.

Miał, czego można się było spodziewać, charakterystyczny dla farmerskich okolic Georgii miejscowy akcent, który nawet w najlepszych okolicznościach działa mi na nerwy. Mogłem sobie tylko wyobrażać, jak mój południowobostoński brzmi w jego uszach.

Yardley odwrócił się do Cynthii. Teraz był południowym dżentelmenem w każdym calu. Podniósł dłoń do swego kowbojskiego kapelusza.

- Myśmy już się kiedyś spotkali proszę pani.

Zdaje cię, że ten facet nie bardzo rozumiał, co się dzieje.

- Czy może mi pan powiedzieć, jaki jest oficjalny powód pańskiej wizyty tutaj? - zapytałem.

Znowu się uśmiechnął. Wyraźnie go rozbawiłem.

- No cóż, przyjechałem, żeby zapytać, dlaczego ściągnął pan to wszystko na teren jednostki

Przypomniałem sobie prawie inteligentną radę Karla, a ponieważ bardzo chciałem się pozbyć faceta, powiedziałem:

- Rodzina zmarłej poprosiła mnie, żebym się zajął wszystkim, co do niej należało i przetransportował to tutaj.

Przez chwilę przeżuwał moje słowa.

- Zgrabnie to sobie wymyśliłeś, chłopaczku - powiedział wreszcie. - Załatwiłeś mnie.

- Dziękuję. - Właściwie ten gość podobał mi się. Lubię takich dupków jak on.

- Coś ci powiem - powiedział Yardley - jeśli pozwolisz mnie i laboratorium stanowemu zająć się wszystkim, co tutaj zgromadziłeś, to wyrównamy rachunki

- Rozważę to, kiedy już laboratorium CID skończy swoją pracę.

- Nie stawaj mi na drodze, synu.

- Nawet mi się to nie śni

- Posłuchaj, a co byś powiedział na taki układ: ty dopuścisz nas do sprawy, a ja pozwolę ci wejść do domu zamordowanej, który właśnie zabezpieczyłem i mam go pod strażą.

- Nie obchodzi mnie dom. - No, może poza piwnicą. Facet był w posiadaniu diamentu, o którym nawet nie wiedział.

- No dobra, mam pewne oficjalne dane na temat zmarłej.

Propozycja robiła się coraz bardziej interesująca, ale powiedziałem:

- Wezwę pana przez sąd, to mi je pan dostarczy.

Yardley odwrócił się do Kenta.

- Ale twardziel. - Znowu spojrzał na mnie. - Mam trochę historyjek tutaj - klepnął się w głowę, która wydała głuchy odgłos - a tego nie da się ściągnąć przez sąd.

- Znał pan ofiarę?

- Do diabła, jasne, że tak. A pan?

- Nie miałem przyjemności. - Być może rzeczywiście było czego żałować.

- Jej starego też znam. Słuchaj pan, co mu powiem - wykrzyknął Yardley, używając najbardziej irytującego mnie zwrotu - przyjdź pan do mnie do biura, to obgadamy sprawę.

Przypomniało mi się, jak wsadziłem biednego Dalberta Elkina do celi, i odparłem:

- Jeśli mamy rozmawiać, to tylko w budynku żandarmerii wojskowej.

Na wzmiankę o własnej siedzibie Kent jakby się obudził i powiedział:

- Będziemy współpracować we wszystkim, co dotyczy danych, poszlak i raportów.

Po raz pierwszy odezwała się Cynthia.

- Rozumiem, że w pana mniemaniu - rzekła patrząc na Yardleya - zachowaliśmy się niestosownie, ale niech pan tego nie bierze za obrazę osobistą lub zawodową. Gdyby ofiara była kimkolwiek innym, zaprosilibyśmy pana do wspólnej dyskusji, jaką drogą iść

najlepiej.

Yardley wyduł wargi, jakby zastanawiał się nad tym albo też powstrzymywał się od powiedzenia „gówno prawda”.

- Nam też się nie podoba - mówiła dalej słodko Cynthia - kiedy jakiś nasz chłopiec zostaje aresztowany w mieście za wykroczenie, za które ktoś inny nie otrzymałby nawet mandatu.

Oczywiście, jeśli nie jest to czarny. Tylko tego nie powiedz, Brenner.

- Tak więc - głos Cynthii płynął miętową strugą - spotkamy się jutro w dogodnym dla obu stron czasie i ustalimy warunki dobrej współpracy. - I tak dalej, i tak dalej.

Yardley kiwnął głową, ale myślami był wyraźnie gdzie indziej. Wreszcie powiedział:

- To brzmi rozsądnie. - Odwrócił się do Kenta. - Dzięki, pułkowniku. Zadzwoń wieczorem do mnie do domu. - Odwrócił się i klepnął mnie po ramieniu. - Załatwiłeś mnie, chłopcze. Muszę ci postawić drinka. - Długimi krokami skierował się do wyjścia z hangaru. Wyglądał jak człowiek, który ma zamiar wrócić.

Kiedy zniknął za wąskimi służbowymi drzwiami, Kent powiedział:

- Mówiłem ci, że będzie wściekły.

- A kogo to obchodzi? - zapytałem.

- Nie mam najmniejszej ochoty bawić się w obrzucanie błotem z tym gościem. Prawdę mówiąc, niekiedy bywa bardzo pomocny. Połowa wojskowych z jednostki i dziewięćdziesiąt procent pracowników cywilnych mieszka w jego rewirze. Kiedy dostaniemy listę podejrzanych, będziemy potrzebować Yardleya.

- Może. Ale ja sądzę, że każdy podejrzany kiedyś wreszcie wyląduje na naszym terenie, a jeśli nie, to go porwiemy.

Kent potrząsnął głową, jakby mieszając mózg, a potem spytał:

- Powiedz, widziałeś się już z generałem?

- Nie. A powinienem?

- Chce się z tobą zobaczyć. Tak szybko jak to możliwe. Jest u siebie w domu.

- Dobrze. - Pograżeni w żałobie mają zazwyczaj sporo spraw na głowie, a rozmowa z oficerem śledczym zwykle do nich nie należy. Ale podejrzewam, że generał Campbell jest istotą innego rodzaju i być może czuje potrzebę udowodnienia, że ciągle jeszcze jest komendantem.

- Właśnie widziałem się z Calem Seiverem - powiedziałem do Kenta. - Spotkałeś się z nim?

- Tak - odparł. - Wydaje się, że ma sprawy pod kontrolą. Wpadł już na coś?

- Jeszcze nie.

- A ty?

- Mam wstępną listę potencjalnych podejrzanych.

Kent spojrział na mnie prawie zaskoczony.

- Już? Kto na niej jest?

- No, na przykład ty.

- Co? O czym ty, u diabła, Brenner, mówisz?

- Na mojej liście podejrzanych znajdują się wszyscy, którzy mieli jakiś kontakt z miejscem zbrodni albo domem ofiary. Ekipa badawcza zbierze wszystkie ślady, odciski stóp i odciski palców, a ja nie mam jak sprawdzić, czy te ślady powstały przed, w czasie czy po dokonaniu zbrodni. - I dodałem: - Do podejrzanych należy więc także sierżant St. John, szeregowiec Casey, ty, inni żandarmi, którzy zjawili się na strzelnicy, Cynthia i ja sam. To nie są bardzo prawdopodobni podejrzani, ale muszę wziąć pod uwagę dowody, które otrzymam z laboratorium.

- W takim razie lepiej zacznij sobie przygotowywać alibi - powiedział Kent.

- Jasne. A co z twoim?

- No dobrze... Kiedy zadzwonił do mnie sierżant na służbie, byłem we własnym domu, w łóżku.

- Mieszkasz na terenie bazy, zgadza się?

- Zgadza.

- O której godzinie dotarłeś do domu?

- Mniej więcej o północy. Jadłem kolację w mieście, potem wróciłem do biura, pracowałem do późna, a wreszcie wróciłem do domu.

- Czy twoja żona może to potwierdzić?

- No... ona jest u swoich rodziców w Ohio.

- Aha.

- Odchrzań się, Paul, dobrze? Po prostu się odchrzań.

- Pułkowniku, spokojnie.

- Może dla ciebie to śmieszne, ale dla mnie na pewno nie. Nie ma nic zabawnego w dowcipach na temat morderstwa i osób podejrzanych.

Spojrzałem na niego. Był naprawdę poruszony.

- I tak będzie za dużo gadania o tej całej sprawie - ciągnął. - Za dużo szeptów, wskazywania palcami i podejrzeń. Po co sobie jeszcze bardziej utrudniać sprawę?

- No, dobra - powiedziałem - przepraszam. Ale zakładam, że przynajmniej my troje możemy powiedzieć to, co naprawdę myślimy. Nic nie wyjdzie poza ten hangar, Bill, więc kiedy zastanawiamy się, a nawet gdy robimy jakieś idiotyczne uwagi, rozumie się, że to zostaje między nami. W porządku?

- Tak.

Ale wcale nie wyglądał na uspokojonego.

- A gdzie ty byłeś ostatniej nocy? - zachnął się jeszcze.

- Do mniej więcej czwartej trzydzieści sam w moim domku. O piątej dotarłem do arsenału. Żadnych świadków.

- Bardzo prawdopodobna historia - powiedział sucho Kent, najwyraźniej uszczęśliwiony, że ja również nie mam alibi. Odwrócił się do Cynthii. - A ty?

- Tuż przed dziewiętnastą wróciłam do kwater oficerskich, mniej więcej około północy skończyłam pisać raport w sprawie Neely, potem poszłam do łóżka. Sama. Obudził mnie o piątej trzydzieści żandarm pukający do drzwi.

- Nigdy w życiu nie słyszałem o trzech słabszych alibi - skomentowałem. - Ale na razie muszą wystarczyć. Chodzi o to, że ta jednostka jest jak małe miasteczko, a krąg przyjaciół, rodziny i znajomych zamordowanej to najważniejsze szczyty tej społeczności. - Zwróciłem się do Kenta. - Chciałeś, żeby tę sprawę poprowadził ktoś z zewnątrz. Prawda?

- Zgadza się. Ale nie przesadzaj, Paul.

- Dlaczego wezwałeś także panią Sunhill?

- Z tego samego powodu, co ciebie. Talent spoza miasta. Pomyślałem, że ściągnięcie ludzi z zewnątrz to też sposób, żeby mieć śledczych nieświadomych lokalnych stosunków i brudów, które każdy miejscowy dobrze zna.

- Jak dobrze znałeś Ann Campbell? - zapytałem.

Zawahał się na moment, jakby dobierając słów, a potem powiedział:

- Całkiem dobrze.

- Możesz powiedzieć coś więcej?

Twarz pułkownika Kenta, który przewyższał mnie rangą i również był policjantem, nie wyrażała zachwytu. Ale był profesjonalistą i w związku z tym wiedział, czego od niego oczekuję. Z wymuszonym uśmiechem powiedział:

- Czy powinniśmy przeczytać sobie nawzajem nasze prawa? Odpowiedziałem mu uśmiechem. Sytuacja była niezręczna, ale musieliśmy przez to przejść.

Odchrząknął i powiedział:

- Kapitan Campbell przyjechała tu jakieś dwa lata temu. Byłem już w tym czasie w Forcie Hadley, podobnie jak generał i pani Campbell. Zaprosili mnie, a także kilku innych oficerów, do swego domu, żebyśmy poznali ich córkę. Działaliśmy na różnych odcinkach, ale jako psychologa interesowało ją zachowanie przestępców, a mnie z kolei ciekawiło, co się dzieje w ich umysłach. To dość typowe, że oficer odpowiedzialny za porządek prawny i psycholog mają wspólne zainteresowania.

- Zaprzyjaźniliście się więc.

- Coś w tym rodzaju.

- Wspólne lunche?

- Czasami.

- Kolacje? Wypadki na drinka?

- Niekiedy.

- Tylko we dwoje?

- Raz czy dwa.

- Ale nie wiedziałeś, gdzie ona mieszka?

- Wiedziałem, że poza jednostką. Ale nigdy nie byłem u niej w domu.

- A ona u ciebie?

- Tak. Kilka razy. Przy różnych okazjach towarzyskich.

- Czy twoja żona ją lubi?

- Nie.

- Dlaczego?

- Sam sobie odpowiedz, Brenner.

- Dobrze. Sam sobie odpowiem. - Cynthia miała na tyle zdrowego rozsądku, że nie włączyła się do przesłuchiwania oficera starszego rangą, więc teraz zwróciłem się do niej. - Jakies pytania do pułkownika Kenta?

- Tylko jedno, i to dość oczywiste. - Spojrzała na niego.

- Nigdy nie byłem z nią w intymnych stosunkach - rzekł. - Gdybym był, powiedziałbym wam to od razu.

- Można by mieć przynajmniej nadzieję - odparłem. - Czy miała stałego narzeczonego?

- Nic o tym nie wiem.

- Czy miała otwartych wrogów?

Zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział:

- Niektóre kobiety jej nie lubiły. Myślę, że czuły się zagrożone. Byli też mężczyźni, którzy nie darzyli jej sympatią. Czuli...

- ...że nie spełniają wymagań.

- Tak. Coś w tym guście. A może była trochę zanadto chłodna w stosunku do młodszych, nieżonatych oficerów, którzy smalili do niej cholewki. Ale nie słyszałem, żeby miała takich zaciętych, prawdziwych wrogów. - Zawahał się, a potem dodał: - Biorąc pod uwagę to, jak umarła... mogło to być morderstwo z pożądaniami. Chcę powiedzieć, że są kobiety, o których się marzy w taki zdrowy, męski sposób, a Ann Campbell prowokowała u niektórych mężczyzn groźne fantazje. I pewnie ktoś po prostu wprowadził je w czyn. Już po gwałcie do faceta dotarło, że jest w poważnych tarapatach. Może Ann naśmiewała się z niego. To byłoby w jej stylu. Facet wyobraził sobie życie w Leavenworth i zadusił ją. - Kent spojrzał na mnie, potem na Cynthię. - Wielu facetów zeszło na złą drogę przez tego gorącego diabła, który z nich czasem wychodzi, by poprowadzić prosto do piekła. Widziałem tego aż za dużo w mojej pracy. Wy zresztą też.

To najprawdziwsza prawda. Ale w tej sprawie skupiałem się bardziej na tym, czego mógł ten diabeł szukać. Zapytałem:

- Czy ona się z kimś spotykała? Czy była aktywna seksualnie?

- Nie mam pojęcia, czy była aktywna seksualnie. Znałem tylko jednego nieżonatego oficera, który się z nią umawiał - porucznik Elby, jeden z adiutantów generała - ale ona nigdy nie rozmawiała ze mną na temat swego prywatnego życia, nigdy też nie słyszałem żadnych plotek na jej temat. No, ale musiała coś robić w wolnych chwilach.

- I co, twoim zdaniem, robiła?

- To, co ja bym robił na jej miejscu. Oddzielałbym życie zawodowe od towarzyskiego, to znaczy przyjaźnił się z cywilami.

- Jakie akta ma na jej temat Yardley?

- No... chyba chodzi mu o to, że jakiś rok temu została zaarrestowana w Midland. Zanim jeszcze cokolwiek znalazło się w księdze z meldunkami, Yardley zadzwonił do mnie. Pojechałem do miasta i wyciągnąłem ją.

- Tak więc musiałeś się nią zainteresować zawodowo.

- Coś w tym rodzaju. Chociaż nieoficjalnie. Yardley powiedział, że nie będzie żadnego zapisu na temat tego aresztowania.

- Najwyraźniej skłamał. Za co została zatrzymana?

- Yardley powiedział, że zakłócała porządek publiczny.

- W jaki sposób Ann Campbell zakłócała spokój mieszkańcom Midland?

- Posprzeczała się z jakimś facetem na ulicy.

- Jakież szczegóły?

- Nie. Yardley nic nie powiedział. Tylko tyle, żebym ją zabrał do domu.

- Więc zabrałeś ją do domu.

- Nie, powiedziałem ci przecież, Brenner, że nie wiedziałem, gdzie mieszka. Nie próbuj ze mną takich sztuczek. Zabrałem ją do jednostki. To było o jedenastej wieczór. A tak przy okazji: była trzeźwa jak świnia. Więc zabrałem ją na drinka do klubu oficerskiego. Nigdy mi nie opowiedziała, co się wtedy stało, a ja nie pytałem. Potem zawołałem dla niej taksówkę i mniej więcej o północy odjechała.

- Nie znasz nazwiska faceta z ulicy ani policjanta, który ją zaarrestował?

- Nie, ale pewnie Yardley zna. Zapytaj go - Kent uśmiechnął się. - Teraz, kiedy zdobyłeś obietnicę pełnej współpracy... Jeszcze jakieś pytania?

Teraz włączyła się Cynthia:

- Jak się czułeś, kiedy poinformowali cię o jej śmierci?

- Ogłuszony.

- Smutny?

- Oczywiście. Żał mi też generała i pani Campbell. I byłem jeszcze wściekły, że stało się to pod moim nosem. Lubiłem ją, ale nie byliśmy ze sobą aż tak blisko, żeby to mną wstrząsnęło, jednak pod względem zawodowym poczułem się źle.

- Doceniam twoją uczciwość - powiedziałem.

- Docenisz ją jeszcze bardziej, gdy inni zaczną ci wciskać kit.

- Na pewno, - I zagadnąłem go: - Masz do mnie jakieś pytania?

Uśmiechnął się.

- Jak długo jedzie się z Szepczących Sosen do jednostki?

- Pół godziny. Rano, kiedy nie ma ruchu, trochę krócej.

Skinął głową, potem rozejrzał się po zebranych w hangarze meblach i sprzętach gospodarstwa domowego.

- Jak to wygląda z punktu widzenia twoich potrzeb?

- W porządku. Dobra robota. Ale połóżcie wyżej te przedmioty, które się da przenieść, powieście obrazki i rozwieście ubranie w tych miejscach, gdzie znajdowały się szafy. Czy przywieźli rzeczy z piwnicy? - zerknąłem na Cynthię.

- Tak - odpowiedział Kent. - Tutaj to leży, jeszcze w pudłach. Postawimy stoły i półki, żeby odtworzyć powierzchnię piwnicy. - Przez chwilę zastanawiał się, a potem zauważył: - Wydawać by się mogło, że powinno... być tego nieco więcej. Czy zauważyliście, że na przykład... nie było tam żadnych przedmiotów użytku osobistego?

- Chodzi ci o coś do antykoncepcji? Listy od mężczyzn, zdjęcia chłopaków, różne drobiazgi związane z życiem erotycznym?

- Nie jestem pewien, czy samotna kobieta przechowuje takie rzeczy... i nie szukałem listów czy innych pamiątek... ale chyba chodzi mi o pigułki antykoncepcyjne czy coś w tym rodzaju. Dotykałeś tutaj czegoś, Bill?

- Nie - Wyciągnął z kieszeni spodni parę chirurgicznych rękawic. - Ale mogłem dotknąć czegoś gołą ręką, kiedy doglądałem rozładowywania. Yardley też dotknął kilku rzeczy przypadkiem.

- Lub celowo.

- Lub celowo - przytaknął Kent, - Dodaj następnego podejrzanego do swej listy.

- Już to zrobiłem. - Przeszedłem tam, gdzie znajdowały się meble z biura Ann Campbell.

Spartańskie, w tym stylu, jaki lubi wojsko, które jednocześnie wyciąga od kongresu trzy miliony dolarów na każdy czołg.

Stało tu stalowe biurko, jedno krzesło obrotowe, dwa składane, półka na książki, dwie szafki na akta oraz komputer. Wszystkie książki były z zakresu psychologii, w tym publikacje wojskowe traktujące o psychologicznych operacjach, badaniach nad więźniami wojennymi i innych pokrewnych problemach.

Otworzyłem szufladę z aktami i przeczytałem kilka adnotacji tytułowych; chyba były to notatki do wykładów. Następna szuflada opatrzona była napisem: „poufne”, więc ją otworzyłem. Zobaczyłem, że tutaj teczki nie są opisane, lecz ponumerowane. Wyciągnąłem jedną, przerzuciłem papiery. Był w nich wywiad z osobą oznaczoną jedynie inicjałami R.J. Pytającego oznaczono po prostu literą P, zapewne ze względu na funkcję. Wyglądało to na typową psychologiczną sesję, ale zgodnie z informacją na stronie pierwszej, osoba udzielająca odpowiedzi została skazana za zbrodnię na tle seksualnym, a pytania były w rodzaju: „Jak wybierasz swoją ofiarę?” i „Co ci odpowiedziało na propozycję oralnego seksu?” Zamknąłem teczkę. Raczej typowy materiał, który można znaleźć na każdym posterunku policji lub w biurze psychologa więziennego, ale nie bardzo wiedziałem, co ma wspólnego z wojną psychologiczną. Wyglądało to na prywatne zainteresowania Ann Campbell.

Zamknąłem szufladę i przeszedłem do komputera. Nie wiem nawet, jak się je włącza, ale powiedziałem do Kenta:

- W Falls Church jest kobieta, która potrafi wycisnąć mózg każdemu komputerowi. Ściągnę ją tutaj, nie chcę, żeby wcześniej ktokolwiek tego dotykał.

Cynthia przeszła do miejsca, w którym teraz znajdowała się biblioteka Ann Campbell. Patrzyła na automatyczną sekretarkę telefonu.

- Jest nagrana jakaś rozmowa.

Kent kiwnął głową.

- Telefon był koło południa, kilka minut po tym, jak przełączono tutaj numer.

Cynthia nacisnęła guzik i męski głos powiedział: - Ann, tu Charles. Próbowałem dzwonić wcześniej, ale twój telefon nie działał. Wiem, że nie będzie cię rano w pracy, ale powinnaś wiedzieć, że przyszli tutaj żandarmi i wynieśli całe twoje biuro. Nie chcieli mi nic powiedzieć. Proszę, zadzwoń do mnie albo spotkaj się ze mną w klubie oficerskim na lunchu. To wszystko jest bardzo dziwne. Zadzwoń bym na policję, ale to oni są policją. - Parsknięcie śmiechem, ale jakby na

siłę, Potem jeszcze: - Mam nadzieję, że to nic poważnego. Odezwij się do mnie.

- Kto to jest? - zapytałem Kenta,

- Pułkownik Charles Moore. Szef Ann.

- Co o nim wiesz?

- No, to teraps, tak jak i ona. Typ doktorka. Trochę jakby szurnięty, Całą ta szkoła jest pełna wariatów. Czasami myślę sobie, że należałoby ją ogrodzić i postawić wieże z wartownikami.

- Przyjaźnili się? - zapytała Cynthia.

- Chyba byli ze sobą dość blisko - przytaknął. - On był kimś w rodzaju mentora, co nie najlepiej świadczy o jej umiejętności oceny ludzi. Przepraszam.

- Podczas śledztwa w sprawie morderstwa - przypomniałem mu - nie da się mówić o zmarłych tylko dobrze.

- Tak, ale to było nie na temat. - Kent potarł oczy. - Chyba jestem trochę... zmęczony.

- To był dla ciebie ciężki dzień - rzekła Cynthia. - Informowanie rodziców o śmierci córki nie należy do przyjemności.

- Nie. Zadzwoiłem do Campbellów do domu, odebrała pani Campbell. Poprosiłem, żeby oboje z generałem oczekiwali mnie w domu. - Zamilkł na moment. - Wiedziała, że coś się stało. Poszedłem z głównym kapłanem, majorem Eamesem i oficerem medycznym, kapitanem Swickiem. Kiedy nas zobaczyli... No, człowiek nieraz już składał kondolencje, ale gdy chodzi o śmierć na polu chwały, łatwo o odpowiednie słowa. Gdy wydarzy się morderstwo... niewiele jest do powiedzenia.

- Jak oni to przyjęli? - zapytała Cynthia.

- Dzielnie, Tego właśnie się można spodziewać po zawodowym żołnierzu i jego żonie. Byłem tam tylko kilka minut, a potem zostawiłem ich z kapłanem.

- Czy wdawałeś się w szczegóły? - zapytałem.

- Nie. Po prostu powiedziałem im, że znaleziono nieżywą Ann na terenie strzelnicy numer sześć i że wszystko wskazuje na morderstwo.

- I co na to generał?

- Powiedział... „Zginęła na służbie” - Kent umilkł, a potem dodał; - Ta myśl zapewne była mu podporą.

- Nie powiedziałeś nic na temat możliwego gwałtu?

- Nie... Zapytał, jak umarła, i powiedziałem, że najprawdopodobniej została uduszona,

- A co on na to?

- Podałeś mu moje nazwisko i numer telefonu?

- Owszem. Zapytał, czy CID zajęło się sprawą. Powiedziałem mu, że korzystając z twojej i pani Sunhill obecności tutaj poprosiłem o to was.

- I co on na to?

- Chciał, by śledztwem zajął się major Bowes, komendant tutejszej CID, i żeby was zwolnić z tego obowiązku.

- A co ty na to?

- Nie zamierzałem się spierać, ale dałem mu do zrozumienia, że nie nad wszystkim w tej jednostce ma kontrolę.

- Rzeczywiście nie.

- A jak przyjęła to pani Campbell?

- Stoicko - odparł Kent - ale widać było, że ledwie się trzyma. Pozory są bardzo ważne dla generałów i ich żon, szczególnie dla tych ze starej szkoły.

- Dobra, Bill. Ekipa medycyny sądowej zjawi się tu zaraz po zmroku i zostanie do rana. Powiedz swoim ludziom, że nikt poza nami nie ma tutaj wstępu.

- Dobrze. - I dodał: - Nie zapomnij... generał chciałby spotkać się z tobą u siebie w domu, jak najszybciej.

- Po co?

- Prawdopodobnie chce poznać szczegóły dotyczące śmierci córki. Pewnie też będzie cię prosił, żebyś wprowadził w sprawę majora Bowesa i sam ustąpił mu miejsca.

- Świetna myśl. To mogę załatwić telefonicznie,

- Tyle tylko, że miałem wiadomość z Pentagonu. Szef Sądu Wojskowego zgadza się z twoim przełożonym, że ty i pani Sunhill, jako ludzie z zewnątrz i na dodatek bardziej doświadczeni niż lokalne CID w Hadley, najlepiej nadajecie się do rozgryzienia tej sprawy. To ostateczna decyzja. Możesz powtórzyć ją generałowi Campbellowi, kiedy go zobaczysz. I radziłbym ci nie zwlekać.

- Wolalbym teraz porozmawiać z Charlesem Moore'em.

- Zrób wyjątek, Paul. Raz zachowaj się politycznie.

Spojrzałem na Cynthię, która potaknęła głową. Wzruszyłem ramionami.

- Niech będzie. Generał i pani Campbell.

Kent przeszedł z nami przez hangar.

- Wiesz - powiedział - co za ironia... Ulubionym wyrażeniem Ann, czymś w rodzaju jej osobistego motto, które zapożyczyła od... jakiegoś filozofa... Nietzschego, były słowa: „Jeśli coś nie może nas zniszczyć, to czyni nas silniejszymi”, - A po chwili dodał: - A teraz została zniszczona,

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Skierowaliśmy się do kwater generalskich poza centrum bazy.

- Zaczyna mi się, pojawiać przed oczyma obraz torturowanej, nieszczęśliwej kobiety - powiedziała Cynthia.

- Popraw boczne lusterko.

- Przestań, Paul.

- Przepraszam.

Musiałem na chwilę odpłynąć, ponieważ następną rzeczą, którą pamiętam, było klepięcie po ramieniu.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

- Tak. Przestań.

- Powiedziałam, że moim zdaniem pułkownik Kent wie więcej, niż mówi.

Usiadłem wygodniej i ziewnąłem.

- Sprawia takie wrażenie. Możemy zatrzymać się gdzieś na kawę?

- Nie. Powiedz mi, czy Kent naprawdę jest podejrzany?

- No... teoretycznie. Nie podoba mi się, że jego żona wyjechała z miasta, więc on nie ma nikogo, kto by potwierdził jego alibi. Większość żonatych mężczyzn wczesnoporanne godziny spędza w łóżku z własnymi żonami. Kiedy żona wyjeżdża albo coś w tym rodzaju, zaczynasz się zastanawiać, czy to zwykły pech, czy może coś zupełnie innego.

- A Yardley?

- Nie jest taki głupi, na jakiego się zgrywa, co?

- Nie, nie jest - potwierdziła Cynthia. - Jakiś rok temu, jak wróciłam z Europy, pracowałam z nim przy sprawie gwałtu. Podejrzewano żołnierza, ale ofiarą była dziewczyna z Midland, więc miałam przyjemność poznać miejscowego szefa policji.

- Zna się na swojej robocie?

- Siedzi w tym już od dawna. Jak słusznie powiedział mi wtedy, oficerowie i żołnierze przychodzą do Hadley i odchodzą, ale on jest gliniarzem w Midland od trzydziestu lat i zna każdą piędź ziemi na swoim terenie. Kiedy chce, potrafi być wprost czarujący. I jest niezwykle przebiegły.

- Pozostawia swoje odciski palców na przedmiotach, gdy podejrzewa, że mogły już wcześniej tam się znaleźć.

- To samo zrobił Kent. I my również.

- Zgadza się. Ale ja wiem, że nie zabiłem Ann Campbell. A jak jest z tobą?

- Spałam - powiedziała lodowato Cynthia.

- I to sama. Co za pech. Powinnaś była mnie zaprosić. Wtedy oboje mielibyśmy alibi.

- Już wolę być podejrzana o popełnienie morderstwa.

Ulica była długa, prosta i wąska, czarny pas asfaltu między wysokimi sosnami. Pachniało rozgrzaną smołą.

- Czy w Iowa też bywa tak gorąco?

- Owszem - odparła - tylko bardziej sucho.

- Myślisz czasami o powrocie do domu?

- Nieraz. A ty?

- Wracam tam dość często. Ale za każdym razem jest go mniej. Południowy Boston zmienia się.

- Iowa jest ciągle taka sama. Ale ja się zmieniłam.

- Jesteś dość młoda, by odejść z wojska i zacząć karierę w cywilu.

- Lubię swoją pracę - odparła.

- Rób to w Iowa. Dołącz do stanowej policji. Z entuzjazmem przyjmą kogoś z takim

doświadczeniem.

- Ostatni przestępca zmarł tam z nudów dziesięć lat temu. A na posterunku pracuje już teraz dziesięciu facetów. Musiałabym im robić kawę i mizdrzyć się.

- No, przynajmniej robisz dobrą kawę. |

- Odczep się, Paul.

Znowu coś nie tak. Już mówiłem, że nie jest łatwo uderzyć w odpowiedni ton, gdy mówi się do kogoś, kogo się oglądało na golasa, było z nim w łóżku i przegadało kilka nocy. Nie możesz być zimny i sztywny, jakby to wszystko nigdy się nie działo, nie możesz być także zbyt bezpośredni, ponieważ już się nie dzieje. Uważasz na to, co mówisz, i na to, co robisz. Nie uszczypniesz takiej osoby w policzek ani nie trzepniesz jej po pupie, chociaż możesz mieć na to ochotę. Ale trudno unikać uścisku dłoni, wydaje mi się też, że można położyć dłoń na ramieniu albo wpakować palec w żołądek, tak jak mi robiła Cynthia. Naprawdę przydałby się tu podręcznik albo przynajmniej prawo, które mówi, że eks-kochankowie nie powinni się zbliżać do siebie bliżej niż na sto metrów. Chyba że starają się znowu zejść ze sobą.

- Zawsze miałem uczucie, że nie zakończyliśmy wszystkich spraw - powiedziałem.

- A ja zawsze miałam uczucie - odparła - że postanowiłeś uniknąć konfrontacji z moim... narzeczonym i po prostu odszedłeś. Nie byłam warta takiego kłopotu.

- To śmieszne. Facet groził, że mnie zabije. Dyskrecja ma swoje zalety.

- Może. Ale czasami trzeba walczyć o to, czego się pragnie. Jeśli się naprawdę tego chce. Czy mi się tylko zdawało, czy byłeś odznaczony za odwagę?

Nie powiem, że bym był tą rozmową zachwycony. Czułem się tak, jakby ktoś podawał w wątpliwość moją męskość.

- Otrzymałem Brązową Gwiazdę za odwagę, pani Sunhill, za zdobycie pieprzonego wzgórza, którego ani nie potrzebowałem, ani nie chciałem. Ale niech mnie, jeśli miałbym robić z siebie widowisko. A poza tym nie pamiętam, żebyś mnie do tego zachęcała.

- Nie byłam całkiem pewna, którego z was wolę, więc pomyślałam sobie, że zostanie mi ten, który przeżyje.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że się uśmiecha.

- To nie jest zabawne, Cynthia - powiedziałem.

Ponieważ nie odpowiedziała, dalej jechaliśmy w milczeniu. Gdy dotarliśmy na peryferie bazy, naszym oczom ukazał się zespół starych betonowych budynków, a na nich napis: „Wojskowa Szkoła Operacji Psychologicznych - Wstęp tylko dla upoważnionego personelu”.

- Moglibyśmy tutaj wpaść po wizycie u generała - zaproponowała Cynthia.

Spojrzałem na zegarek.

- Spróbujemy. - Czas płynął nieubłaganie. Przede wszystkim tropy stawały się coraz chłodniejsze, ale czułem też, że im więcej damy czasu tym w Waszyngtonie i Forcie Hadley, tym bardziej prawdopodobne, że postanowią ukreślić łeb sprawie. Zanim miną siedemdziesiąt dwie godziny, będziemy się potykać o facetów z FBI i szuchy z CID, a każdy będzie próbował zdobyć jak najwięcej punktów na własne konto. Że nie wspomnę o mediach, które najprawdopodobniej już teraz próbują w Atlancie dojść, co też mogło się tutaj wydarzyć.

- Co zamierzamy zrobić z rzeczami z piwnicy? - zapytała Cynthia.

- Nie wiem. Może nam to nie będzie potrzebne. Na to właśnie liczę. Niech sprawa przyschnie na kilka dni.

- A jeśli Yardley znajdzie pokój?

- Wtedy on będzie miał problem, co z tym fantem zrobić. Widzieliśmy ów pokój i to wystarczy, żeby mieć materiał do przemyśleń.

- Klucz do zbrodni może znajdować się właśnie w tym pokoju.

Gapilem się przez okno. Po jakiejś minucie powiedziałem:

- W tym pokoju jest dość kompromitujących dowodów, żeby zniszczyć komuś życie i karierę, na przykład jej rodzicom. Że już nie wspomnę o reputacji samej nieboszczki. Nie wiem, czy potrzebujemy czegoś z tego pokoju.

- Czy to mówi Paul Brenner?

- To mówi Paul Brenner, oficer Armii Stanów Zjednoczonych. Nie Paul Brenner, policjant.

- Dobra, ja to rozumiem. Niech będzie.

- Jasne. - I dodałem: - Ty też możesz oczekiwać ode mnie dyskrecji.

- Dzięki. Tylko że ja nie mam nic do ukrycia.

- Jesteś mężatką?

- Nie twój interes.

- Prawda.

Zajechaliśmy pod oficjalną rezydencję generała, zwaną Beaumont. Jest to wielki murowany dom w stylu starego Południa, z białymi kolumnami. Wokół parę akrów parku. Oaza magnolii, potężnych

dębów, a między nimi rabat kwiatowych - kontrast w stosunku do wojskowej prostoty otoczenia.

Beaumont jest reliktem przeszłości, dawną siedzibą klanu Beaumontów, którzy nadal żyją w tym stanie. Ich dom uniknął skutków Marszu Shermana, ponieważ leżał nieco na uboczu, ale potem został zdewastowany przez jankeskich maruderów. Miejscowi powiedzieliby wam, że wszystkie kobiety z tego domu zostały zgwałcone, ale zgodnie z przewodnikiem Beaumontowie umknęli - tuż przed przybyciem barbarzyńców z Północy.

Dom został zarekwirowany przez siły Unii na dowództwo, a potem w jakimś punkcie historii wrócił nawet do właścicieli. W 1916 roku odprzedano go wraz z plantacją rządowi federalnemu, który wyznaczył to miejsce na Obóz Hadley. Więc, jak na ironię, budynek znowu stał się własnością wojska, a otaczające go 100 000 akrów lasu terenem ćwiczeń.

Trudno oceniać, jak bardzo wydarzenia historyczne wpłynęły na tutejszą ludność, ale podejrzewam, że znacznie bardziej, niż mogą to sobie w ogóle wyobrazić jakikolwiek chłopak z południowego Bostonu czy dziewczyna z Iowy. Starasz się wkalkulować to w swoje myślenie, ale potem spotykasz kogoś takiego jak Yardley i wspólnota umysłów i dusz okazuje się fikcją.

Wysiedliśmy z samochodu.

- Kolana mi się trzęsą - powiedziała Cynthia.

- Pospaceruj po ogrodzie. Ja się tym zajmę.

- Nic mi nie będzie.

Wspięliśmy się po schodach na ganek z kolumnami. Nacisnąłem dzwonek. Drzwi otworzył przystojny młody mężczyzna. Miał na sobie mundur porucznika, a plakietka informowała, że nazywa się Elby.

- Chorążowie Brenner i Sunhill przyszli spotkać się z generałem i panią Campbell na życzenie generała - zaanonsowałem nas.

- Ach, tak. - Widocznie zaskoczył go nieformalny strój Cynthii, bo dopiero po chwili odsunął się, wpuszczając nas do środka. - Jestem młodszym adiutantem. Pułkownik Fowler, adiutant generała, chce z wami rozmawiać.

- Jesteśmy tutaj na życzenie generała, który chce rozmawiać z nami.

- Wiem, panie Brenner. Proszę najpierw zobaczyć się z pułkownikiem Fowlerem.

Ruszyliśmy za nim przez obszerny hol, udekorowany zgodnie ze stylem i epoką, w której powstawał ten dom. Podejrzewałem jednak, że te przedmioty nie należały do Beaumontów, ale zebrano je z różnych miejsc, kiedy wojsko nabyło tę posiadłość. Porucznik Elby zaprowadził nas do niewielkiego pokoju od frontu, czegoś w rodzaju oficjalnej poczekalni pełnej krzeseł, za to bez żadnych innych mebli. Jestem pewien, że życie właściciela plantacji różniło się od życia współczesnego generała, ale jedno ich łączyło: suplikanci, rzesze suplikantów. - Handlarze

wędrowali prosto do drzwi kuchennych, szlachetnie urodzonych prowadzono od razu na salony, ale suplikanci trafiali do tego właśnie pokoju, oczekując pokornie na decyzję pana domu, który zastanawiał się, jaki im nadać status.

Elby wyszedł zostawiając nas samych. Nie usiedliśmy.

- To był ten młody człowiek, który, zdaniem Kenta, spotykał się z Ann Campbell. Niczego sobie.

- Wygląda na takiego, co się moczy w łóżku.

Zmieniła temat:

- Czy kiedykolwiek chciałeś być generałem?

- Staram się jedynie utrzymać na swojej belce oficerskiej.

Próbowała się uśmiechnąć, ale była wyraźnie zdenerwowana. Ja też nie czułem się najswobodniej. Żeby przełamać napięcie, rzuciłem stare wojskowe powiedzonko:

- Pamiętaj, że generał tak samo jak ty wkłada po jednej nogawce naraz.

- Zazwyczaj siadam na skraju łóżka i wciągam dwie nogawki jednocześnie.

- No, wiesz przecież, o co mi chodziło.

- Może porozmawiamy tylko z adiutantem i pójdziemy sobie?

- Generał będzie bardzo uprzejmy. Oni wszyscy już tacy są.

- Bardziej boję się spotkania z jego żoną. Może powinnam była się przebrać.

Dlaczego staram się wyobrazić sobie tych ludzi?

- To może zniszczyć jego karierę, prawda? - powiedziała Cynthia.

- Zależy, co wyjdzie na jaw. Jeśli nie znajdziemy zabójcy i nikt nie natrafi na ten pokój w piwnicy i jeśli nie wyciągną wszystkich brudów, nic mu się nie stanie. Raczej będą mu współczuć. Ale jeśli zrobi się grząsko, on zrezygnuje.

- Co będzie oznaczało koniec jego politycznych ambicji.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle je ma.

- Przynajmniej tak piszą w gazetach.

- To już nie mój problem. - Choć, prawdę mówiąc, mógł być. Generała Josepha Iana Campbella wymieniano jako ewentualnego kandydata na wiceprezydenta, a także jako potencjalnego kandydata na senatora w jego rodzinnym stanie Michigan lub jako kandydata na gubernatora tego stanu. Ponadto

jego nazwisko pojawiała się, gdy była mowa o zastępstwie obecnego wiceministra obrony - co oznaczało czwartą gwiazdkę - lub kandydatach do grona doradców wojskowych prezydenta.

Wszystko to było bezpośrednim rezultatem zasług generała Campbella podczas wojny w Zatoce, przed którą nikt o nim nawet nie słyszał. Jednakże teraz, gdy wspomnienia trudnych chwil zatarły się, jego postać również zniknęła ze świadomości społecznej. Albo to był chytry plan Josepha Campbella, albo ucziwie nie chciał brać udziału w tych wszystkich nonsensach.

Jak i dlaczego Walczący Joe Campbell trafił do tego bajora, który cała armia nazywała Fort Hades, a urzędnicy Fort Skaranie Boskie, było jedną z tajemnic Pentagonu i tylko najwięksi intryganci mogli ją wyjaśnić. Nagle pomyślałem, że ci w Pentagonie, ludzie, w których mocy leży obdarzać władzą, musieli mieć świadomość, iż generał Campbell jest w posiadaniu bomby z opóźnionym zapłonem, której na imię Ann. Czy było to możliwe?

Do pokoju wkroczył wysoki mężczyzna w mundurze na większe okazje, z orłami pułkownika, insygniami korpusu adiutantskiego i naszywką z nazwiskiem Fowler. Przedstawił się jako adiutant generała Campbella. Na służbie, kiedy się jest w mundurze, przedstawianie się jest zupełnie zbyteczne, ale ludzie, z którymi się ma w przyszłości współpracować, powinni to docenić,

Wymieniliśmy uściski rąk i pułkownik Fowler powiedział:

- Istotnie, to generał chciał was zobaczyć, ale ja pragnę porozmawiać z wami najpierw. Może byśmy usiedli?

Skorzystalismy z krzeseł, a ja przyglądałem się pułkownikowi Fowlerowi. Ponieważ był mężczyzną czarnoskórym, wyobraziłem sobie, że pokolenia byłych właścicieli niewolników przewracają się w grobie. W każdym razie Fowler wyrażał się gładko, miał nienaganne maniere i znakomitą wojskową prezencję. Wyglądał na doskonałego adiutanta.

Zajęcie to jest połączeniem kadrowego, starszego doradcy, pośrednika przyjmującego i przekazującego rozkazy generała, i tak dalej. Adiutant to nie zastępca komendanta, który podobnie jak wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, tak naprawdę nie wykonuje żadnej pracy z prawdziwego zdarzenia.

Fowler miał długie nogi. Fakt pozornie bez znaczenia, ale adiutant musi mieć specjalny krok adiutanta, co oznacza, że powinien pokonywać długimi krokami przestrzeń między generałem a jego podwładnymi, przekazując im rozkazy lub odbierając od nich raporty. W takich sytuacjach nie należy biegać, więc niezbędny jest krok adiutanta. Jest to ważne szczególnie na wielkim placu apelowym, gdzie krótkie, serdelkowate nóżki potrafią zepsuć cały efekt. Fowler był w każdym calu oficerem i dżentelmenem W odróżnieniu od białych oficerów, którzy bywają niekiedy zaniedbani, jak na przykład ja, czarny oficer, podobnie jak oficer kobieta, ma coś do udowodnienia. To bardzo interesujące: zarówno czarni jak i kobiety starają się dążyć do ideału, jakim jest właśnie biały oficer. Prawda jest jednak taka, że wzorce, którym chcą sprostać, są tylko mitem. Ale dzięki temu istnieje wysoka poprzeczka i to się liczy. W wojsku i tak pięćdziesiąt procent to wielka iluzja.

- Jeśli macie ochotę, możecie zapalić - powiedział pułkownik Fowler. - Chcecie się czegoś

napić?

- Nie, sir - odparłem.

Fowler kilka razy uderzył ręką w poręcz fotela, a potem zaczął:

- To, co się wydarzyło, jest niewątpliwie tragedią dla generała i pani Campbell. Nie chcemy, by stało się również tragedią dla wojska.

- Tak jest, sir. - Oczywiście im mniej zostanie powiedziane, tym lepiej. Ale on wyraźnie chciał dalej mówić.

- Śmierć kapitan Campbell - ciągnął - na terenie bazy, i to tej samej bazy, którą dowodzi jej ojciec, niewątpliwie wywoła sensację. Także ze względu na swój charakter.

- Tak jest, sir.

- Myślę, że nie muszę wam mówić, byście nie rozmawiali na ten temat z prasą.

- Oczywiście, że nie.

Fowler spojrzał na Cynthię.

- Z tego, co wiem, to pani dokonała aresztowania w tej drugiej sprawie o gwałt. Czy myśli pani, że może być między nimi jakiś związek? A jeśli było ich dwóch? Czy nie zaarrestowała pani przypadkiem niewłaściwej osoby?

- Na pewno nie, pułkowniku.

- Ale przecież taka możliwość istnieje. Czy pani to sprawdzi?

- Nie, pułkowniku. To są dwie różne sprawy.

Najwyraźniej zdążył się już zebrać sztab ludzi z otoczenia generała i jakiś mądrała wysunął hipotezę lub raczej pobożne życzenie, a może raczej oficjalną wersję, według której gang młodych rekrutów biegnie za oficerami płci żeńskiej i nie zważając na ich protesty, chce sobie zrobić dobrze.

- Tego nie da się wybielić - powiedziałem do pułkownika Fowlera. Wykonał gest dość podobny do wzruszenia ramion i skierował swoją uwagę na mnie.

- Podejrzewa pan kogoś?

- Nie, sir.

- Jakież ślady?

- Jeszcze nie teraz.

- Ale musiało panu coś przyjść do głowy, panie Brenner.

- Tak, pułkowniku. Ale są to tylko teorie i każda z nich zasmuciłaby pana.

Pochylił się do przodu wyraźnie niezachwycony moimi słowami.

- Jedyne co mnie martwi w związku z tą sprawą, to że kobieta-oficer została zgwałcona i zamordowana, a sprawca tego przestępstwa pozostaje na wolności. Nic innego.

A założymy się?

- Powiedziano mi, że generał chce odsunąć mnie i panią Sunhill od tej sprawy.

- Wydaje mi się, że to była jego pierwsza reakcja. Ale potem rozmawiał z ludźmi w Waszyngtonie i przemyślał swoją decyzję. Dlatego właśnie chce się z wami zobaczyć.

- Rozumiem. Rodzaj rozmowy kwalifikacyjnej.

- Może. - I dodał: - Chyba że nie chcecie tej sprawy. Jeśli odmówicie, w waszych aktach nie znajdzie się żadna negatywna opinia. Prawdę mówiąc, zostanie tam zamieszczona pochwała za wasze wysiłki w początkowym stadium dochodzenia. Oboje też otrzymacie trzydzieści dni urlopu, począwszy od tej chwili. - Przeniósł wzrok ze mnie na Cynthię i z powrotem na mnie. - Wtedy nie będzie powodu, by spotykać się z generałem. Będziecie mogli wyjść stąd natychmiast.

Nie najgorsza propozycja, jeśli się nad tym zastanowić. Lepiej więc było nie zastanawiać się.

- Mój dowódca, pułkownik Hellmann - odparłem - przydzielił tę sprawę mnie i pani Sunhill, a my zaakceptowaliśmy przydział. To zamyka dyskusję, pułkowniku.

Skinął głową. Nie potrafiłem rozgryźć Fowlera. Za nieruchomą fasadą krył się zręczny manipulant. Musiał nim być, jeśli udało mu się utrzymać na tym najtrudniejszym stanowisku. Ale generałem można zostać tylko służąc wcześniej u innego generała, a najwidoczniej pułkownik Fowler był o krok... o włos, naprawdę niedaleko swojej pierwszej srebrnej gwiazdy.

Fowler wyglądał na głęboko zamyślonego. W pokoju panowała cisza. Ponieważ już wygłosiłem swoją kwestię, pozostawało mi tylko czekać na jego odpowiedź. Oficerowie wyżsi rangą mają denerwujący zwyczaj długiego milczenia, zanim przemówią, ale tylko niemądry oficer niższego stopnia ryzykowałby przerwanie go, narażając się na karę: lodowate spojrzenie lub wręcz reprimendę. To było jak zasadzka w futbolu albo na wojnie i chociaż samego pułkownika Fowlera nie znałem dobrze, ten typ oficera nie był mi obcy. W tej chwili poddawał mnie testowi, sprawdzał moje nerwy i zdecydowanie, być może chciał dowiedzieć się, czy ma do czynienia z nadmiernie entuzjastycznym dupkiem, czy kimś tak samo sprytnym jak on. Cynthia, trzeba jej to oddać, również pozwoliła, by milczenie przeciągnęło się.

Wreszcie zwrócił się do mnie:

- Wiem, dlaczego panna Sunhill znalazła się w Forcie Hadley. Ale cóż przywiodło śledczego

CID do naszej skromnej placówki?

- To był tajny przydział. Jeden z podoficerów z arsenału wziął się za robienie interesów na własną rękę. Należałoby zaostriżyć przepisy bezpieczeństwa w magazynie. Chyba pan wie, że zaoszczędziłem wam kłopotów. - Po chwili dodałem; - Jestem pewien, że dowódca żandarmerii złożył raport w tej sprawie.

- Prawdę mówiąc, tak. Kilka miesięcy temu, gdy przybył pan na teren jednostki.

- A więc wiedział pan, że tu jestem.

- Tak, ale nie znałem przyczyny.

- Jak pan myśli, czemu pułkownik Kent chciał, żebym zajął się sprawą morderstwa, skoro wszyscy inni sobie tego nie życzą?

Zastanowił się przez chwilę.

- Żeby być z panem zupełnie szczerym - powiedział wreszcie - pułkownik Kent nie przepada za naszym miejscowym komendantem. CID, majorem Bowesem. A poza tym zdawał sobie sprawę, że ludzie z Falls Church natychmiast zlecą sprawę panu. Zrobił to, co wydawało mu się najlepsze dla wszystkich.

- W tym dla pułkownika Kenta. Co jest między nim a majorem Bowesem?

Potrząsnął głową.

- Prawdopodobnie po prostu wchodzą sobie w drogę. Wyścigi.

- Nic osobistego?

- Nie wiem. Proszę ich zapytać.

- Zrobię to. - A na razie zapytałem pułkownika Fowlera: - Czy znał pan osobiście kapitan Campbell?

Przez chwilę patrzył na mnie, potem odparł:

- Tak. Prawdę mówiąc, generał prosił mnie o wygłoszenie mowy na pogrzebie.

- Rozumiem. Czy współpracował już pan z generałem wcześniej?

- Owszem, pracuję z nim od czasu, gdy objął dowództwo dywizji pancерnej w Niemczech. Byliśmy razem w Zatoce i teraz tutaj.

- Czy on prosił o przydział do Fortu Hadley?

- Uważam, że pytanie nie ma związku ze sprawą.

- Zakładam, że znał pan Ann Campbell, zanim przyjechała tutaj.

- Tak.

- Mógłby pan powiedzieć, jak blisko się znaliście? Czy mieliście jakieś starcia?

Fowler znowu pochylił się do przodu i spojrzał mi prosto w oczy.

- Przepraszam, panie Brenner. Czy to jest przesłuchanie?

- Tak, sir.

- A niech mnie diabli.

- Mam nadzieję, że nie, pułkowniku.

Roześmiał się, a potem podniósł z krzesła.

- Przyjdźcie oboje jutro do mojego biura i możemy pobawić się dalej. Teraz już czas na spotkanie. Proszę za mną.

Poszliśmy za pułkownikiem Fowlerem z powrotem do holu, potem w głąb domu, wreszcie zatrzymaliśmy się przed zamkniętymi drzwiami. Pułkownik Fowler zwrócił się do nas:

- Nie ma potrzeby salutować, złożcie zwięzłe kondolencje. Generał poprosi, żebyście usiedli. Pani Campbell nie będzie obecna. Zażyła środki uspokajające. Postarajcie się szybko zakończyć sprawę. Daję wam pięć minut. - Zapukał do drzwi, otworzył je, wszedł do środka i zaanonsował przybycie chorążych Brennera i Sunhill z CID. Czuję się jak bohater serialu telewizyjnego.

Znaleźliśmy się w pokoju, gdzie królowało lśniące drewno, skóra i mosiądz. Wnętrze było ciemne, ani jeden promień nie wpadał przez opuszczone zasłony. Jedyne źródło światła stanowiła ocieniona zielonym abażurem lampka na biurku. Za biurkiem stał generał porucznik Joseph Campbell, a na jego zielonym mundurze lśniły rzędy medali. Pierwsze, co się rzucało w oczy, to że był wielki. Nie tylko wysoki, ale grubokościsty, jak przywódcy szkockich klanów, z których się musiał wywodzić. Skojarzenie było tym silniejsze, że w pokoju czuło się wyraźnie szkocką whisky.

Generał Campbell wyciągnął rękę do Cynthii. Ujęła ją i powiedziała;

- Moje najgłębsze wyrazy współczucia, sir.

- Dziękuję.

Potem przyszła kolej na mnie. Nawet jego dłoń była potężna. Złożyłem kondolencje i dodałem:

- Przykro mi, że niepokoiimy pana w takiej chwili, - Jakbym ja wpadł na pomysł tego spotkania.

- Nic nie szkodzi. - Usiadł. - Siadajcie.

Zapadliśmy w skórzane fotele przed jego biurkiem. Przyglądałem się twarzy generała w słabym świetle lampki. Miał dużą głowę, okoloną siwymi włosami twarz, przejrzyste niebieskie oczy, ostre rysy i potężną szczękę z dołeczkiem w brodzie. Przystojny mężczyzna, ale Ann Campbell musiała odziedziczyć urodę po matce. Poza oczami.

W towarzystwie generała nie rozmawia się, tylko się odpowiada. Ale generał milczał. Wpatrywał się w jakiś punkt poza mną i Cynthią. Potem skinął głową, prawdopodobnie na Fowlera, ponieważ usłyszałem odgłos zamykanych drzwi.

Teraz generał Campbell przyjrzał się najpierw Cynthii, potem mnie i wreszcie przemówił do nas cichym głosem, który znałem z radia i telewizji. Nie był to jego normalny głos.

- Rozumiem, że nie chcecie zrezygnować z tej sprawy - rzekł.

Oboje kiwnęliśmy głowami, a ja powiedziałem:

- Tak jest, sir.

Spojrzał na mnie.

- Czy jestem w stanie was przekonać, że byłoby lepiej, gdyby zajął się nią major Bowes z Fort Hadley?

- Przykro mi, generale - odparłem. - Ta sprawa wykracza poza Fort Hadley i pański osobisty ból. Nikt z nas nie może tego zmienić.

Generał Campbell przytaknął.

- W takim razie możecie państwo oczekiwać pełnej współpracy z mojej strony, przyrzekam wam także współdziałanie wszystkich moich podwładnych.

- Dziękuję, sir.

- Czy domyśla się pan, kto to mógł zrobić?

- Nie, sir. - A pan?

- Czy obiecujecie mi, że będziecie pracować szybko, mając na uwadze zminimalizowanie sensacyjnych aspektów tego incydentu, tak by wasza działalność przyniosła więcej korzyści niż szkody?

- Zapewniam pana, że naszym jedynym celem jest jak najszybsze dokonanie aresztowania - odparłem.

- Od samego początku - dodała Cynthia - podjęliśmy kroki mające ograniczyć zaangażowanie w

sprawę sił zewnętrznych. Przetransportowaliśmy całe wyposażenie domu kapitan Campbell na teren bazy. Szef policji z Midland, Yardley, nie wyglądał na zachwyconego. Podejrzewam, że przyjdzie się panu poskarżyć. Gdyby mógł pan potwierdzić, że sprawa była przez pana autoryzowana, byłibyśmy bardzo wdzięczni. Pańska rozmowa z szeryfem Yardleyem może przynieść dalekosiężny efekt, jeśli chodzi o ograniczenie sensacji, a co za tym idzie, szkód dla fortu i armii.

Generał Campbell przyglądał się Cynthii przez kilka długich sekund. Patrząc na młodą atrakcyjną kobietę, nie mógł nie widzieć w niej swojej córki. Nie wiedziałem jednak, co myślał o swojej córce.

- Proszę uważać tę sprawę za załatwioną - powiedział wreszcie.

- Dziękuję, generale.

- Z tego, co wiem, generale - odezwałem się - oczekiwał pan wizyty córki rano, po zakończeniu przez nią służby.

- Tak... - odpowiedział - mieliśmy zjeść razem śniadanie. Ponieważ się nie zjawiała, zadzwoniłem do pułkownika Fowlera do dowództwa, ale tam też jej nie było. Wydaje mi się, że telefonował do niej do domu.

- Która to była godzina, sir?

- Nie jestem pewien. Oczekiwałem, że przyjdzie tutaj o siódmej. Do dowództwa zadzwoniłem najprawdopodobniej o jakiejś siódmej trzydzieści.

Nie drążyłem dalej tego tematu. Powiedziałem:

- Generale, doceniamy pańską obietnicę pełnej współpracy i liczymy na nią. Chciałbym porozmawiać z panem dłużej, kiedy tylko to będzie możliwe. Z panią Campbell również. Może jutro?

- Obawiam się, że jutro będziemy zajęci przygotowaniem do pogrzebu i innymi sprawami osobistymi. Odpowiadałby mi dzień po pogrzebie.

- Dziękuję. - I dodałem: - Rodzina często wie coś, co może okazać się kluczowe dla sprawy.

- Rozumiem. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem zapytał: - Czy myśli pan... czy to mógł być ktoś, kogo znała?

- To całkiem możliwe - odparłem. Nasze spojrzenia się spotkały. Nie spuszczać wzroku oświadczył:

- Ja też mam takie wrażenie.

- Czy ktoś - zapytałem - poza pułkownikiem Kentem rozmawiał z panem na temat okoliczności śmierci córki?

- Nie. No tak, pułkownik Fowler. Złożył mi raport.

- O możliwości gwałtu i w jakich okolicznościach została znaleziona?

- Zgadza się.

Zapanowała długa cisza. Z poprzednich doświadczeń z generałami wiedziałem, że nie czeka, abym ja się odezwał, ale że spotkanie dobiegło końca.

- Czy jest coś, co moglibyśmy dla pana zrobić w tej chwili? - zapytałem.

- Nie... po prostu znajdźcie tego skurwiela. - Wstał i nacisnął przycisk na biurku, potem powiedział:

- Dziękuję, że zechcieliście poświęcić mi trochę czasu.

Oboje z Cynthia podnieśliśmy się.

- Dziękuję, generale - powiedziałem. Uścisnąłem jego dłoń. - I jeszcze raz najgłębsze wyrazy współczucia dla pana i pańskiej rodziny.

Ujął dłoń Cynthia. Może to tylko moja wyobraźnia, ale wydało mi się, że trzyma ją bardzo długo, patrząc dziewczynie w oczy.

- Wiem, że zrobi pani wszystko, co będzie w jej mocy - zwrócił się bezpośrednio do niej. - Moja córka polubiłaby panią. Ceniła pewne siebie kobiety.

- Dziękuję, generale - odparła Cynthia. - Ma pan moje słowo, że zrobię wszystko, żeby znaleźć mordercę. I ja również składam moje najgłębsze kondolencje.

Drzwi za naszymi plecami otworzyły się. Pułkownik Fowler odprowadził nas przez główny hol ku frontowym drzwiom.

- Rozumiem, że ma pan specjalne uprawnienia, jeśli chodzi o aresztowania - powiedział do mnie. - Ale chciałbym prosić o poinformowanie mnie, gdyby zdecydował się pan kogoś zaaresztować.

- Dlaczego?

- Ponieważ - odparł dość gwałtownie - nie chcę, żeby ktoś aresztował mi personel za plecami.

- To się zdarza całkiem często - poinformowałem go. - Najprawdopodobniej wie pan już, że nie dalej jak dzisiaj zamknąłem w areszcie sierżanta z magazynu broni. Ale jeśli pan sobie życzy, poinformuję pana.

- Dziękuję, panie Brenner. - Po chwili dodał: - Robotę zawsze można wykonać na trzy sposoby: dobrze, źle i po wojskowemu. Mam wrażenie, że pan próbuje robić ją dobrze, a to oznacza źle, panie Brenner.

- Wiem o tym, pułkowniku.

Spojrzał na Cynthię.

- Jeśli zmieni pani zdanie na temat trzydziestu dni urlopu - powiedział - proszę mi dać znać. Jeśli nie, proszę być ze mną w kontakcie. Pan Brenner jest tak pochłonięty pracą, że może zapomnieć o protokole.

- Tak jest, sir - odparła Cynthia. - I prosimy, żeby pan nas umówił jak najszybciej z generałem i panią Campbell. Będziemy potrzebowali co najmniej godzinę. A jeśli natrafi pan na coś, co mogłoby mieć znaczenie dla sprawy, proszę dzwonić do nas do biura żandarmerii.

Otworzył drzwi i wyszliśmy na zewnątrz. Zanim zdążył je zamknąć, odwróciłem się do niego i powiedziałem:

- A tak przy okazji, przesłuchaliśmy pańską wiadomość dla kapitan Campbell, tę nagraną na automatycznej sekretarce.

- Teraz to wydaje się nieco głupie.

- O której pan zadzwonił do niej, pułkowniku?

- Około ósmej. Generał i pani Campbell oczekiwali, że córka zjawi się u nich na śniadaniu o siódmej.

- Skąd pan telefonował?

- Byłem w pracy... w budynku dowództwa.

- I nie sprawdził pan wcześniej, czy kapitan Campbell nie ma czasem w tym samym budynku, czy nie zatrzymały jej jakieś obowiązki?

- Nie... przyjąłem po prostu, że zapomniała o śniadaniu i poszła do domu. To nie zdarzyłoby się po raz pierwszy - dodał.

- Rozumiem. Ale wyjrzał pan przez okno, żeby sprawdzić, czy stoi tam jej samochód?

- Nie... rzeczywiście powinienem był.

- Kto poinformował pana o szczegółach śmierci kapitan Campbell? - zapytałem.

- Rozmawiałem z dowódcą żandarmerii.

- I on opowiedział panu, w jakich warunkach została znaleziona?

- Zgadza się.

- Tak więc zarówno pan, jak i generał Campbell wiecie, że była związana, uduszona i napastowana seksualnie?

- Tak. Czy jest coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć?
- Nie, sir. Jak mogę się z panem kontaktować poza służbą?
- Mieszkam w osiedlu oficerskim na terenie jednostki. Wzgórze Bethany. Wie pan, gdzie to jest?
- Chyba tak. Na południe stąd, w stronę strzelnic.
- Zgadza się. Mój numer telefonu znajdzie pan w spisie jednostki.
- Dziękuję, pułkowniku.
- Życzę dobrego dnia.

Zamknął drzwi, a my z Cynthia podeszliśmy do jej samochodu.

- Co sądzisz o pułkowniku Fowlerze? - zapytała.

- Nie tak dobrze, jak pułkownik Fowler myśli sam o sobie.

- Wygląda wręcz imponująco. Częściowo dzięki wypolerowanej na glans zawodowej pompatyczności, ale przypuszczam, że jest rzeczywiście tak zimny, gładki i sprawny, na jakiego wygląda.

- W niczym nam nie pomoże. Jest lojalny w stosunku do generała i tylko w stosunku do niego. Jego przyszłość i generał są ze sobą mocno powiązane. Otrzyma srebrną gwiazdę jedynie wtedy, gdy nic nie zniszczy kariery Campbella.

- Innymi słowy, będzie kłamał, by go chronić.

- Z całym przekonaniem. Prawdę mówiąc, już skłamał mówiąc o swoim telefonie do domu Ann Campbell. Dotarliśmy tam o ósmej, a wiadomość już była nagrana.

- Wiem - Cynthia skinęła głową. - Coś się nie zgadza z tym telefonem.

- Wpisz na listę kolejnego podejrzanego - powiedziałem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Teraz szkoła? - zapytała Cynthia.

Mój cywilny zegarek wskazywał piątą pięćdziesiąt. Niedługo zaczynał się Czas Wolny.

- Nie, podrzuć mnie do klubu oficerskiego.

Ruszyliśmy w stronę klubu O. Jest on położony na wzgórzu, w pewnym oddaleniu od innych budynków jednostki, ale na tyle blisko, żeby wszystkim było wygodnie.

- Jak nam dotąd idzie? - dopytywała się Cynthia.

- Chodzi ci o sprawy osobiste czy zawodowe?

- Jedne i drugie.

- No, odwaliłem kawał cholerne roboty. A ty?

- Pytam ciebie.

- Jak na razie wszystko dobrze. Jesteś prawdziwym zawodowcem. To robi wrażenie.

- Dziękuję. A prywatnie?

- Prywatnie twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność.

- Mnie twoje również.

Po kilku sekundach znaczącej ciszy zmieniła temat i zapytała:

- Jak ci się podobał generał Campbell?

Zastanowiłem się. Reakcja przyjaciół, rodziny i współpracowników na wiadomość o śmierci jest ważna. A pierwsze wrażenie najważniejsze. Rozwikłałem niejedną sprawę zabójstwa tylko dzięki temu, że zauważyłem, kto zachował się nie tak, jak trzeba, a potem drążyłem sprawę dalej.

- Nie wyglądał na rodzica pogrążonego w nieutulonym żalu po śmierci dziecka - powiedziałem Cynthii. - No, ale on jest tym, kim jest.

- Ale kim on jest? - zapytała.

- Żołnierzem, bohaterem, dowódcą. Im wyżej się wdrapiesz na drabinę władzy, tym bardziej oddalasz się od innych.

- Może. - Na chwilę ucichła.

- Jeśli się weźmie pod uwagę, jak umarła Ann Campbell... - powiedziała wreszcie. - Chodzi mi o to, w jakim stanie została znaleziona... To niemożliwe, żeby zabójcą był ojciec.

- Nie wiemy, czy umarła tam, gdzie została znaleziona, ani czy umarła w ubraniu czy bez niego. Sprawy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają. Jeśli zabójca jest sprytny, widzisz - tylko to, co on chce, żebyś zobaczyła.

- I tak trudno mi uwierzyć, że udusił własną córkę.

- Nie jest to takie powszechne, ale jednak zdarza się. Gdyby była moją córką - dodałem - i wiedziałbym o jej kąciku rozkoszy, tak właśnie bym to zaaranżował.

- Ale nie napadłbyś w morderczym szale na swoją córkę.

- Nie, tego nie zrobiłbym. Choć nigdy nie wiadomo. Staram się tylko zrozumieć motyw.

Podjechaliśmy pod klub oficerski, który, jak już wcześniej wspomniałem, jest budowlą w hiszpańskim stylu, ozdobioną sztukaterią. Był to widocznie styl modny w latach dwudziestych, kiedy to zamieniano Obóz Hadley w Fort Hadley. Wojna, która miała położyć kres wszystkim wojnom, dobiegła końca, ale gdzieś w głębi kolektywnego mózgu musiała czaić się myśl, że armia potrzebuje potężnej twierdzy na czas następnej wojny, która położy kres wszystkim wojnom. Gnębiła mnie pesymistyczna myśl, że obecna redukcja sił jest tylko chwilowa. Otworzyłem drzwiczki i powiedziałem do Cynthii:

- Nie jesteś ubrana odpowiednio do klubu, a chciałbym cię zaprosić na obiad.

- No... mogę się przebrać, jeśli chcesz. Chyba że wolisz zjeść samotnie.

- Spotkamy się w barze przy grillu. - Wsiadłem z samochodu, a ona odjechała.

Wszedłem do klubu w chwili, kiedy przez radio ogłaszano Czas Wolny. Znalazłem biuro sekretarza, pokazałem moją legitymację CID i poprosiłem o telefon oraz książkę adresową jednostki. Ponieważ nie znalazłem w niej pułkownika Charlesa Moore'a, zadzwoniłem do Szkoły Operacji Psychologicznych. Było już trochę po szóstej, ale jedną z zalet wojska jest to, że o każdej porze można zastać kogoś na służbie. My zawsze czuwamy. Odebrał dyżurny sierżant, który połączył mnie z biurem pułkownika Charlesa Moore'a.

- Szkoła Operacji Psychologicznych, przy aparacie pułkownik Moore.

- Pułkowniku Moore, tu chorąży Brenner. Jestem z *Czasu Armii*.

- Och...

- Dzwonię w sprawie śmierci kapitan Campbell.

- Tak... o Boże, to straszne... po prostu tragiczne.

- Właśnie. Czy mógłbym chwilę z panem porozmawiać?

- Oczywiście. Ja... byłem przecież dowódcą kapitan Campbell.

- Wiem o tym. Pułkownik, czy mógłby się pan spotkać ze mną teraz w klubie oficerskim? Nie zajmę panu więcej niż dziesięć minut. - *Chyba że pan mnie zainteresuje, pułkowniku.*

- Ja...

- Mam złożyć artykuł za dwie godziny i chciałbym zamienić przynajmniej kilka słów z jej dowódcą.

- Oczywiście. Gdzie?

- W barze. Mam na sobie niebieski cywilny garnitur. Dziękuję, pułkowniku. - Odłożyłem słuchawkę. Prawie każdy Amerykanin wie, że nie musi rozmawiać z policją, jeśli sobie tego nie życzy, ale wszyscy czują się zobligowani do rozmów z prasą. Ponieważ przez prawie cały dzień występowałem jako Paul Brenner z CID, czułem przemożną potrzebę kłamstwa.

Sięgnąłem po książkę telefoniczną Midland i stwierdziłem, że Charles Moore mieszka na tym samym osiedlu co Ann Campbell. Nie było to całkiem niezgodne z regulaminem, chociaż typowy pułkownik nie wybrałby Ogrodów Zwycięstwa jako miejsca zamieszkania. Może miał długi albo terapsowi nie przeszkadzało obijanie się o poruczników i kapitanów na parkingu przed domem. Ale może chciał być blisko Ann Campbell.

Przepisałem jego adres i telefon, potem zadzwoniłem do kwater oficerskich i złapałem Cynthię w chwili, kiedy weszła do pokoju.

- Spotykamy się z pułkownikiem Moore'em. Jesteśmy z *Czasu Armii*. I jeszcze sprawdź, czy nie znalazłby się dla mnie jakiś wolny pokój. Nie mogę wrócić do Szepczących Sosen, kiedy grasuje tam komisarz Yardley. Zatrzymaj się przy sklepie i kup mi szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia i wszystko co potrzeba. Także slipy, rozmiar M i skarpetki. Może jeszcze świeżą koszulę, piętnasty numer kołnierzyka, a nie zapomnij o butach sportowych dla siebie, bo potem pojedziemy na strzelnicę. I o latarce. Dobrze? Cynthia? Halo?

Chyba coś przerwało połączenie. Odłożyłem słuchawkę i zszedłem na dół do baru z grillem, gdzie nie jest tak formalnie jak w sali jadalnej, a w dodatku można dostać jedzenie na poczekaniu. Zamówiłem piwo, które zagryzałem chrupkami i orzeszkami, przysłuchując się rozmowom. Ich tematem była Ann Campbell. Opinie wyrażano ostrożnie. Ostatecznie znajdowałem się w klubie oficerskim. W barach Midland będzie się dziś rozmawiać na ten sam temat, ale zdania będą mniej wyważone.

W drzwiach stanął mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie zielony mundur pułkownika. Omiótł wzrokiem salkę. Przyglądałem mu się przez pełną minutę, a przez ten czas nikt do niego nie zamachał ani nie zawołał „cześć”. Najwyraźniej pułkownik Moore albo był mało znany, albo mało lubiany. Wstałem i ruszyłem w jego stronę. Uśmiechnął się do mnie niepewnie.

- Pan Brenner?

- Tak. - Uścisnęliśmy sobie dłonie. Mundur pułkownika Moore'a był pomięty i kiepsko skrojony, typowe dla oficera pomocniczej specjalizacji. - Dziękuję, że pan przyszedł - powiedziałem. Pułkownik Moore miał około pięćdziesiątki, czarne kręcone włosy, chyba nieco przydługie, i robił wrażenie cywilnego terapsa, który dopiero co został zwerbowany w szeregi armii. Wojskowi

lekarze, prawnicy, psychologowie, dentyści zawsze mnie intrygują. Często się zastanawiałem, czy schronili się w wojsku, bo coś przeskrobali, czy też są po prostu patriotami. Poprowadziłem go do stolika w najodleglejszym kącie sali i usiedliśmy.

- Napije się pan?

- Tak.

Machnąłem na kelnerkę i pułkownik zamówił sherry. To nie był najlepszy początek.

Moore spoglądał na mnie, jakby oceniał stan mojego umysłu. Chcąc go zadowolić, powiedziałem:

- Wygląda na to, że załatwił ją jakiś psychopata. Może maniackalny morderca.

Zgodnie z zawodowym nawykiem odbił piłeczkę, sam zadając pytanie:

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Po prostu zgaduję.

- Nie było podobnych gwałtów i morderstw w tym rejonie - poinformował mnie.

- Podobnych do czego?

- Do tego, co przydarzyło się kapitan Campbell.

To, co się jej dokładnie przydarzyło, nie powinno być na tym etapie powszechnie wiadome, ale wojsko słynie z plotkarstwa. Tak więc to, co wiedzieli pułkownik Moore, pułkownik Fowler i generał Campbell, to, kiedy się tego dowiedzieli, i to, skąd się tego dowiedzieli, było tematem dnia.

- Co jej się przydarzyło? - zapytałem.

- Została zgwałcona i zamordowana - odparł. - Na terenie strzelnicy.

Wyciągnąłem swój notes i sięgnąłem po piwo.

- Dopiero co zadzwonił do mnie szef i mam jeszcze zbyt mało danych. Ale słyszałem, że znaleziono ją nagą i związaną.

Przez chwilę rozważał odpowiedź.

- Lepiej, żeby to pan sprawdził na żandarmerii - powiedział wreszcie.

- Dobra. Jak długo był pan jej dowódcą?

- Od czasu jak się zjawiała w Forcie Hadley, mniej więcej dwa lata temu.

- Musiał ją pan niezle znać.

- Tak. To nieduża szkoła. Tylko dwudziestu oficerów i trzydziestu żołnierzy.

- Rozumiem. Jak pan przyjął wiadomość o morderstwie?

- Do tej pory jestem w szoku - odparł. - Ciągle trudno mi uwierzyć, że to się stało. - I tak dalej.

Mimo wspomnianego szoku wyglądał na zupełnie spokojnego. Od czasu do czasu zdarza mi się pracować z psychologami i psychiatrami, więc wiem, że mają tendencję nieodpowiednio się zachowywać, jednocześnie mówiąc odpowiednie rzeczy. Wierzę także, że pewne zawody przyciągają określone typy osobowości. Sprawdza się to szczególnie w wojsku. Oficerowie piechoty, na przykład, bywają arogancy, trzymają się na uboczu i są pewni siebie. Ludzie z CID natomiast są fałszywi, sarkastyczni i bardzo inteligentni. Przeciętny teraps świadomie wybiera życie wśród ludzi, którzy mają kłopoty z własną osobowością. Może to i stereotyp, ale często oni sami mają nie po kolei w głowie. Charles Moore, specjalista od wojennych operacji psychologicznych, którego zadanie polegało na zamienieniu zdrowych umysłów wroga w chore, był odpowiednikiem lekarza hodującego zarazki tyfusu dla celów wojny biologicznej.

Kiedy tak rozmawialiśmy, spostrzegłem, że Charles Moore nie jest tak całkiem spokojny. Chwilami umykał myślami w jakieś odległe rejony, potem przyglądał mi się zbyt badawczo, jakby chcąc wyczytać coś z mojej twarzy lub przeniknąć do mojego mózgu. Czulem się przy nim niepewnie, a to nie zdarza mi się za często. W dodatku jego oczy były dziwaczne - bardzo ciemne, bardzo głębokie, a niezwykle przenikliwe. No i jeszcze głos. Aksamitny, kojący, na pewno uczyli ich tak mówić na studiach.

- Czy znał pan kapitan Campbell, zanim zjawiała się tutaj? - zapytałem.

- Tak. Spotkałem ją sześć lat temu w Forcie Bragg. Uczęszczała tam na kurs, a ja byłem jej instruktorem.

- To było zaraz po tym, jak skończyła wydział psychologii w Georgetown?

Spojrzał na mnie jak człowiek, który zorientował się, że mówisz coś, czego nie spodziewał się od ciebie usłyszeć.

- Chyba tak - odparł.

- Więc byliście razem w Bragg, gdzie kończyła kurs operacji psychologicznych?

- Pracowałem w tej szkole, a ona zdobywała czwartą specjalizację,

- A potem?

- Niemcy. Byliśmy tam mniej więcej w tym samym czasie. Następnie wróciliśmy do szkoły im. JFK w Bragg, gdzie oboje przez pewien czas wykładaliśmy, a wreszcie znowu razem trafiliśmy nad Zatokę, potem na krótko do Pentagonu, a dwa lata temu przyjechaliśmy tutaj do Fortu Hadley. Czy wszystkie te informacje są niezbędne?

- Co pan robi w Forcie Hadley, pułkowniku?

- To poufne.

- Aha - kiwnąłem głową i szybko coś nabazgrałem. Rzadko się zdarza, aby dwie osoby miały tyle wspólnych przydziałów, nawet jeśli specjalizują się w czymś takim jak operacje psychologiczne. Znałem małżeństwa wojskowych, które nie miały tyle szczęścia. Weźmy na przykład biedną Cynthię. Co prawda nie była żoną tego faceta z sił specjalnych, tylko narzeczoną, ale kiedy ona siedziała w Brukseli, jego wysłano w strefę Kanału Panamskiego.

- Mieliście dobre układy zawodowe? - zapytałem.

- Bardzo. Kapitan Campbell była bardzo zaangażowana, inteligentna i godna zaufania.

Zabrzmiało to tak, jakby składał swój półroczny raport. Widocznie stanowili stały zespół.

- Czy była pańską *protege*? - zapytałem.

Wpatrywał się we mnie, jakby użycie jednego francuskiego słowa mogło sugerować, że za chwilę padnie następne, takie na przykład jak *paramour* albo inne świństwo.

- Była moją podkomendną - odparł.

- Dobrze. - Zapisałem to pod nagłówkiem „Śmieci”. Irytowała mnie świadomość, że ten pajac przez tyle lat kręcił się w pobliżu Ann Campbell. Już miałem mu powiedzieć: „Słuchaj no, Moore, nie powinieneś nawet mieszkać na tej samej planecie, co ta bogini. To ja mogłem uczynić ją szczęśliwą. Jesteś chorym, małym dziwołagiem.” Zamiast tego zapytałem:

- A czy zna pan jej ojca?

- Tak, choć niezbyt dobrze.

- Ale spotkał go pan, zanim przybył do Fortu Hadley?

- Tak, natykałem się na niego tu i ówdzie. Widzieliśmy się z nim kilka razy nad Zatoką.

- My?

- Ann i ja.

- Aha. - To zapisałem.

Zadałem mu jeszcze parę pytań, lecz dla nas obu rozmowa przestała być interesująca. Musiałem w czasie tego spotkania wyrobić sobie o nim zdanie, zanim dowie się, kim jestem. Gdy świadkowie usłyszą, że mają do czynienia z gliną, zaczynają grać. Z drugiej strony reporterzy *Czasu Armii* nie mogą zadawać pytań w stylu: „Czy był pan jej partnerem seksualnym?” Ale policjant może. Więc zapytałem:

- Czy był pan jej partnerem seksualnym?

Wstał.

- A to co za pytania? Mam zamiar złożyć na pana skargę.

Wyciągnąłem legitymację.

- CID, pułkownika. Proszę usiąść.

Przez chwilę przyglądał się legitymacji, potem popatrzył na mnie, jego oczy rzucały złe błyski jak na kiepskich horrorach,

- Proszę usiąść, pułkownika - powtórzyłem.

Rozejrzał się ukradkiem po na pół wypełnionej salce, jakby w obawie, że jest otoczony czy coś w tym rodzaju. Wreszcie usiadł.

Są pułkownicy i pułkownicy. Na przykład pułkownik Fowler posiada autorytet i władzę, i trzeba przy nim uważać. Natomiast pułkownik Moore nie jest powiązany z żadną strukturą władzy, o której bym wiedział.

- Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania kapitan Campbell - powiedziałem. - Ponieważ nie jest pan podejrzanym w tej sprawie, nie będę panu odczytywał pańskich praw. Zatem proszę odpowiadać na moje pytania zgodnie z prawdą i wyczerpująco. Czy to jasne?

- Nie miał pan prawa przedstawiać się jako...

- Moje rozdwojenie osobowości niech już zostanie moim problemem. Pierwsze pytanie...

- Będę rozmawiał tylko w obecności mojego adwokata.

- Naoglądał się pan za wiele filmów o cywilach. Nie ma pan prawa do adwokata ani do zachowania milczenia, chyba że jest pan podejrzanym. Jeśli odmówi pan współpracy, potraktuję pana jako podejrzanego, odczytam pańskie prawa, zaprowadzę pana do budynku żandarmerii, tam poinformuję, że jest pan podejrzanym i potrzebuje adwokata. Zaplątał się pan w coś, co nazywamy wojskowym węzłem. Więc?

Zastanowił się przez chwilę, potem powiedział:

- Nie mam nic do ukrycia, i nie zgadzam się, aby mnie pan traktował jak człowieka broniącego się.

- Dobrze. Pierwsze pytanie. Kiedy ostatni raz widział pan kapitan Campbell?

Odchrząknął, wyprostował się i odparł:

- Ostatni raz widziałem ją wczoraj mniej więcej szesnastej trzydzieści. Powiedziała, że idzie do klubu coś zjeść, a potem miała się zgłosić na służbę.

- Dlaczego zgłosiła się na ochotnika na służbę ostatniej nocy?

- Nie mam pojęcia.

- Czy dzwoniła do pana zeszłej nocy z budynku dowództwa? A może pan dzwonił do niej?

- Niech się zastanowię...

- Wszystkie rozmowy telefoniczne na terenie jednostki mogą być sprawdzone w książce oficera dyżurnego. - Prawdę mówiąc, wewnętrzne rozmowy nie są rejestrowane, a kapitan Campbell na pewno nie zapisała by własnej, prywatnej.

- Tak - odparł Moore - dzwoniłem do niej...

- O której godzinie?

- Około dwudziestej trzeciej.

- Dlaczego tak późno?

- Chciałem porozmawiać na temat pracy, która czekała nas następnego dnia, a wiedziałem, że o tej godzinie będzie spokojnie.

- Skąd pan do niej dzwonił?

- Z domu.

- Gdzie znajduje się ten dom?

- Poza jednostką. Aleja Zwycięstwa.

- Czy to nie jest to samo miejsce, gdzie mieszkała zamordowana?

- Tak.

- Czy był pan kiedyś u niej w domu?

- Oczywiście. Wiele razy.

Próbowałem wyobrazić sobie tego faceta nagiego, tyłem do kamery lub w skórzanej masce. Ciekawe, czy laboratorium medycyny sądowej byłoby w stanie porównać jego naturalne wyposażenie z tym, co jest na zdjęciach. W każdym razie zapytałem:

- Czy odbywał pan z nią stosunki seksualne?

- Nie. Ale na pewno usłyszysz pan plotki na nasz temat. Wszędzie, gdzie się pojawiliśmy, ludzie gadali.

- Czy jest pan żonaty?

- Byłem. Rozwiodłem się jakieś siedem lat temu.

- Spotyka się pan z kimś?

- Okazjonalnie.

- Czy Ann Campbell podobała się panu?

- No... podziwiałem jej umysł.

- Czy zauważył pan jej ciało?

- Nie podoba mi się ten kierunek pytań.

- Mnie też nie. Czy uważał ją pan za atrakcyjną seksualnie?

- Stałem wyżej od niej w hierarchii służbowej, a na dodatek jestem o prawie dwadzieścia lat starszy, jej ojciec jest generałem. Nigdy w życiu nie powiedziałem do niej nic, co by świadczyło, że chciałbym ją wykorzystać seksualnie.

- Nie prowadzę śledztwa w sprawie wykorzystania seksualnego, pułkownika. Ta sprawa dotyczy gwałtu i morderstwa. Dlaczego ludzie plotkowali na wasz temat?

- Ponieważ ludzie mają brudne myśli. Nawet oficerowie. -Uśmiechnął się. - Tak jak pan.

Zamówiłem następne drinki: drugą sherry, żeby rozluźnić jego, i piwo, żeby uspokoić siebie.

Zjawiła się Cynthia ubraną w czarne spodnie i białą bluzkę. Przedstawiłem ją pułkownikowi, a potem poinformowałem ją:

- Już nie jesteśmy z *Czasu Armii*. Tylko z CID. Pytałem pułkownika Moore'a, czy był seksualnie związany z nieboszczką, a on zapewnił mnie, że nie. W tej chwili panuje nastrój konfrontacyjny.

Cynthia uśmiechnęła się i powiedziała do Moore'a:

- Pan Brenner jest potwornie zmęczony i spięty. - Usiadła i przez kilka minut rozmawialiśmy tak, jakby to było zwykłe spotkanie. Cynthia zamówiła bourbona z colą, sandwicza klubowego dla siebie, a cheeseburgera dla mnie. Wie, że lubię cheeseburgery. Pułkownik Moore odmówił zjedzenia z nami, nadal był zanadto wytrącony z równowagi. Cynthia zapytała:

- Czy jako jej przyjaciel znał pan kogoś, z kim mogła być bliżej związana?

- Seksualnie?

- Chyba o tym właśnie rozmawiamy?

- No... niech pomyślę... Spotykała się z pewnym młodym człowiekiem.- cywilem. Rzadko umawiała się z żołnierzami.

- Co to za cywil? - zapytała Cynthia.

- Chłopak nazwiskiem Wes Yardley.

- Yardley? Szef policji Yardley?

- Nie, nie. Wes Yardley, jeden z synów Burta.

Cynthia spojrzała na mnie.

- Od jak dawna się spotykali?

- Od czasu, kiedy tu przyjechała, ale z przerwami. To był bardzo gwałtowny związek. Nie chcę na nikogo wskazywać palcem, ale on jest chyba człowiekiem, z którym powinniście porozmawiać.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Przecież to oczywiste. Byli ze sobą związani. Gryźli się jak pies z kotem.

- O co?

- O... mówiła coś, że źle ją traktował.

To mnie zaskoczyło.

- Źle ją traktował? - powtórzyłem z niedowierzaniem.

- Tak. Nie dzwonił, spotykał się z innymi kobietami, pojawiał się tylko wtedy, kiedy jemu to odpowiadało.

Tu mi się coś nie zgadzało, Jeśli ja kochałem się w Ann Campbell, dlaczego inni mężczyźni nie biegali za nią jak zwariowani?

- Dlaczego miałyby się na to godzić? - zapytałem. - Chodzi mi o to, że była... godna pożądania, atrakcyjna... - Niezwykle piękna, seksy, ciało, dla którego mężczyzna gotów umrzeć, Albo zabić.

Moore uśmiechnął się, jakby posiadał jakąś tajemną wiedzę. Facet: mnie denerwował.

- Jest taki typ osobowości. Mówiąc po prostu: Ann Campbell lubiła złych chłopców. Każdego, kto okazał jej choć odrobinę uwagi, traktowała jako niegodnego jej słabeusza. To dotyczyło większości mężczyzn. Pociągali ją ci, którzy traktowali ją niedobrze, byli agresywni. Wes Yardley to

taki właśnie typ. Policjant jak jego ojciec, ale także miejscowy playboy, przystojny, zawsze otoczony licznymi przyjaciółkami. Przypuszczam, że ma też ten wdzięk dżentelmena z Południa, prawdziwy macho. Ale najlepszymi określeniami byłoby łobuz i kanalia.

Ciągle nie mogłem sobie tego poukładać.

- I Ann Campbell była związana z nim od dwóch lat? - zapytałem.

- Z przerwami.

- Rozmawiała o tym z panem? - spytała Cynthia.

- Tak.

- Profesjonalnie?

Skinął głową, jakby aprobując jej wnikliwość.

- Tak, byłem jej terapeutą.

Ja nie wykazałem się taką wnikliwością, może dlatego, że miałem w głowie mętlik. Ann Campbell zawiodła mnie wprost okrutnie. Pokój w piwnicy i zdjęcia nie ubodły mnie. Prawdopodobnie podświadomie wiedziałem, że tych mężczyzn traktowała i wykorzystywała jak przedmioty. Ale wieść, że jej chłopak, kochanek obrażał ją, a na dodatek był krewnym Burta Yardleya, naprawdę mną wstrząsnęła.

- Właściwie wie pan wszystko, co należy o niej wiedzieć - odezwała się znowu Cynthia.

- Tak mi się wydaje.

- W takim razie poprosimy, żeby nam pan pomógł w psychologicznej sekcji.

- Pomógł wam? Nie zadrapaliście nawet powierzchni, pani Sunhill.

Wziąłem się w garść i powiedziałem do niego:

- Będę potrzebował wszystkich notatek i zapisów z waszych sesji.

- Nigdy nie robiłem żadnych notatek. Taka była umowa.

- Ale czy będzie pan z nami współpracował? - nie ustępowała Cynthia.

- Po co? Ona nie żyje.

- Czasami znajomość psychiki ofiary pomaga w odtworzeniu psychologicznego portretu mordercy. Przypuszczam, że pan to wie.

- Słyszałem, o tym. Nie znam się na psychologii zbrodni. Jeśli jednak chcecie znać moje zdanie,

w większości są to bzdury. Wszyscy jesteśmy potencjalnymi kryminalistami, ale na szczęście posiadamy sprawnie działające mechanizmy kontroli wewnętrznej i zewnętrznej. Kiedy ich zabraknie, otrzymamy mordercę. Widziałem bardzo dobrze funkcjonujących w społeczeństwie mężczyzn, którzy w Wietnamie mordowali dzieci.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Po prostu siedzieliśmy, każde zatopione we własnych myślach.

- Ale oczekujemy - powiedziała wreszcie Cynthia - że pan jako jej powiernik powie nam wszystko, co wie o mej, o jej przyjaciółach, jej wrogach i jej umyśle.

- Chyba nie mam wyboru.

- Nie, nie ma pan - zapewniła go Cynthia. - Chociaż wolelibyśmy kogoś współpracującego z nami z własnej woli, jeśli nawet nie z entuzjazmem. Ale chyba pan chce, żeby jej morderca stanął przed obliczem sprawiedliwości,

- Chciałbym, aby został złapany, przede wszystkim dlatego, że ciekawi mnie, co to za człowiek. Jeśli chodzi o sprawiedliwość... to pewien jestem, że zdaniem zabójcy, to on ją wymierzał.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - zapytała Cynthia.

- Że jeśli taka kobieta jak Ann Campbell zostaje zgwałcona i zamordowana prawie pod nosem własnego ojca, można być pewnym, że ktoś miał pretensje do niej, do jej ojca albo do obojga naraz, i to zapewne poważne. Przynajmniej w przekonaniu mordercy, - Podniósł się, - Ta sprawa wytrąciła mnie z równowagi. Taka bolesna strata... Będzie mi Ann brakowało. Więc jeśli mi teraz wybaczycie...

Oboje z Cynthia wstaliśmy również. Mimo wszystko był przecież pułkownikiem.

- Chciałbym porozmawiać z panem jutro - powiedziałem. - Proszę zarezerwować dla mnie trochę wolnego czasu. Pan mnie interesuje, pułkowniku.

Odszedł, a my usiedliśmy.

Przynieśli nam jedzenie, sięgnąłem po cheeseburgera.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Cynthia.

- Tak.

- Widziałam, że wybór Ann Campbell wstrząsnął tobą, Myślałam, że go uderzysz, kiedy powiedział o Wesie.

Spojrzałem na nią.

- Powtarzają ci, by się nie angażować uczuciowo w stosunku do świadków, podejrzanych lub ofiar. Ale czasami trudno temu zapobiec,

- Ja zawsze czuję się związana emocjonalnie z ofiarą gwałtu. Ale one żyją i cierpią, Ann Campbell jest martwa.

Milczałem,

- Przykro mi to mówić - ciągnęła dalej Cynthia - ale znam ten typ kobiet. Czerpała sadystyczną przyjemność w psychicznym torturowaniu mężczyzn, którzy nie mogli oderwać od niej wzroku i myśli, a potem masochistycznie oddawała się tym, którzy traktowali ją jak ścierkę. Najprawdopodobniej w głębi duszy Wes Yardley zdawał sobie z tego sprawę i dobrze odgrywał swoją rolę. Była zazdrosna o jego inne kobiety, a na nim nie robiły wrażenia groźby, że weźmie sobie innego chłopaka. W niezdrowym świecie, jaki sobie stworzyli, ich związek był całkiem udany. Wes Yardley jest więc najmniej podejrzany.

- Skąd to wszystko wiesz?

- No... ja nie byłam nigdy w takim układzie, ale znam mnóstwo kobiet, które były. Widziałam ich aż za dużo.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ty też znasz takich mężczyzn.

- Może i tak.

- Widzę u ciebie typowe oznaki zmęczenia. Stałeś się otepiały. Idź się przespać, obudzę cię później.

- Nic mi nie jest. Załatwiłaś mi pokój?

- Tak. - Otworzyła torebkę. - Tu masz klucz. Wszystko, o co prosiłeś, jest w samochodzie.

- Dzięki, ile ci jestem winien?

- Wpiszę to na listę moich wydatków służbowych. Karl ubawi się, jak przeczyta o slipach. Przejdiesz się stąd do kwater, czy chcesz pożyczyć ode mnie samochód?

- Ani jedno, ani drugie. - Wstałem. - Jedziemy do biura żandarmerii.

- Przydałoby ci się małe odświeżenie, Paul.

- Co sugerujesz?

- Nawet taki zimny facet jak ty poci się w Georgii w sierpniu.

- Dobra. Zapisz jedzenie na mój rachunek.

- Dzięki.

- Obudź mnie o dwudziestej pierwszej.

- W porządku.

Odszedłem kilka kroków od stołu, ale zawróciłem.

- Jeśli nie zadawała się z oficerami z jednostki i miała szmergla na punkcie gliniarza z Midland, to gdzie są ci wszyscy faceci ze zdjęć?

Cynthia podniosła wzrok znad kanapki.

- Paul, idź do łóżka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Telefon zadzwonił w moim pokoju o dwudziestej pierwszej, budząc mnie z niespokojnego snu. Głos w słuchawce powiedział:

- Będę na dole.

- Daj mi dziesięć minut. - Odłożyłem słuchawkę, poszedłem do łazienki i umyłem twarz. Kwatery dla odwiedzających Fort Hadley oficerów znajdują się w piętrowym budynku z cegły, który przypomina nieco gospodę przy autostradzie. Wszystko jest niby w porządku, pokoje czyste, tyle że na modłę militarną. Nie ma klimatyzacji, a łazienki są wspólne dla dwóch sąsiadujących ze sobą pokój. Kiedy się z niej korzysta, należy zaryglować drzwi do sąsiedniej sypialni, potem gdy się już wychodzi, trzeba pamiętać o ich odryglowaniu, by druga osoba mogła wejść. Rzadko to wszystko gra.

Umyłem zęby szczoteczką z zestawu kupionego przez Cynthię, potem przeszedłem do sypialni i rozwinąłem nową koszulę. Zastanawiałem się, jak przewieźć tutaj swoje rzeczy z Szepczących Sosen, nie natykając się na miejscowych gliniarzy. Nie pierwszy to raz stawałem się personą non grata w mieście i zapewne nie ostatni. Zazwyczaj w finale łagodzimy napięcia, tak że po zakończeniu śledztwa udaje mi się odjechać. Ale raz, w Forcie Bliss w Teksasie, musiałem ewakuować się helikopterem i potem przez całe tygodnie nie miałem własnego samochodu, póki ktoś nie przyprowadził go do Falls Church. Chciałem odzyskać przynajmniej po dziewiętnaście centów za kilometr, ale Karl taktycznie odrzucił moją prośbę.

Slipy miały rozmiar mały, nie średni. Kobiety potrafią być małostkowe, Ubrałem się, nie zapominając o broni i wyszedłem na korytarz. Cynthia wychodziła akurat z sąsiednich drzwi.

- Czy to jest twój pokój?

- Nie, sprzątam go dla jakiegoś całkiem obcego człowieka,

- Nie mogłaś znaleźć mi czegoś trochę dalej?

- Tak się składa, że ten hotel wypełniony jest rezerwistami na dwutygodniowych letnich kursach. Musiałam skorzystać z legitymacji CID, żeby w ogóle zdobyć coś dla ciebie. - Po chwili dodała: - Nie mam nic przeciwko dzieleniu łazienki akurat z tobą.

Wyszliśmy.

- Strzelnica numer sześć? - zapytała.

- Zgadza się. - Ciągle jeszcze miała na sobie czarne spodnie i białą bluzkę, ale założyła tenisówki i biały sweter. Latarka, o którą poprosiłem, leżała między siedzeniami w mustangu.

- Masz broń? - zapytałem.

- Tak. Dlaczego pytasz? Oczekujesz kłopotów?

- Zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni.

- Nonsens.

Słońce już zaszło, wschodził księżyc w pełni i miałem nadzieję, że warunki tej nocy są podobne do wczesnych godzin porannych zeszłej doby. Liczyłem na natchnienie.

Minęliśmy kino, z którego właśnie wylewał się tłum, potem klub dla podoficerów, gdzie drinki są lepsze niż w klubie O, jedzenie tańsze, a kobiety przyjaźniejsze.

- Byłam w biurze żandarmerii - powiedziała Cynthia - i widziałam się z pułkownikiem Kentem.

- Inicjatywa godna pochwały. Coś nowego?

- Parę spraw. Po pierwsze, on chce, żeby się obchodzić łagodnie z pułkownikiem Moore'em. Pewnie Moore skarżył się na twoje agresywne zachowanie.

- Ciekaw jestem, komu wypłakiwał się Kent?

- Jest więcej dobrych wieści. Masz wiadomość od Karla. Pozwala ci zadzwonić do siebie do domu. Wprost po królewsku wkurwił go jakiś Dalbert Elkin, którego zamieniłeś z kryminalisty w świadka strony rządowej z immunitetem.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia ktoś zrobi coś podobnego dla mnie. Jeszcze jakaś rewelacja?

- Tak, Karl po raz drugi. Musi jutro zameldować się w Pentagonie u szefa Sądu Wojskowego i chciałby otrzymać raport nieco mniej enigmatyczny od tego, który mu dzisiaj przesłałeś.

- Niech go uskrzydli. Ja nie mam czasu.

- Wystukałam raport i przefaksowałam mu go do domu.

- Dziękuję. Co napisałaś?

- Na twoim biurku leży kopia. Ufasz mi czy nie?

- Oczywiście. Tylko jeśli coś w tej sprawie pójdzie nie tak, lepiej żeby na niczym nie było twojego nazwiska.

- Zgoda. Podpisałam się twoim.

- Co?

- Żartuję. Pozwól, że sama będę się troszczyć o własną karierę.

- W porządku. Jakież wiadomości od ekipy medycyny sądowej?

- Tak. Szpital przesłał wstępny protokół do biura żandarmerii. Śmierć nastąpiła nie wcześniej niż o połnocy i nie później niż o godzinie czwartej.

- To wiem. - Raport z sekcji zwłok, na który nie wiedzieć czemu mówiło się protokół, zazwyczaj pokrywał się z tym, do czego dochodziła wcześniej ekipa lekarska.

- Ustalono też, że przyczyną śmierci na pewno było uduszenie. Odkryto wewnętrzne urazy szyi i gardła, ponadto ofiara ugryzła swój język. Wszystko to występuje w przypadku zadzierzgnięcia.

Bywałem świadkiem sekcji zwłok, a - możecie mi wierzyć - nie są to najmiłsze widoki. To, że człowiek stał się nagim trupem, już wystarczająco go pozbawia godności, ale być pokrojonym na kawałki przez grupę obcych ludzi to prawdziwy gwałt.

- Co jeszcze? - zapytałem.

- Zsinienie i zeszywnienie zgadza się z pozycją, w jakiej znaleziono ciało, co oznacza, że nie było ono przenoszone z innego miejsca. Poza tym nie ma żadnych ran, tylko te od linki na szyi, nie ma też urazów ani na skórze, ani na kościach, w mózgu, pochwie, odbycie, ustach i tak dalej.

Kiwnąłem głową nie komentując.

- Co jeszcze?

Cynthia podała mi skład zawartości żołądka, pęcherza i jelit oraz stan wewnętrznych organów denatki. Na szczęście nie skończyłem tamtego cheeseburgera, bo zawartość żołądka zaczęła podjeżdżać mi do gardła.

- Odkryto uszkodzenie szyjki, co mogło być wynikiem wcześniejszej aborcji, choroby lub ingerencji dużego przedmiotu.

- Czy.... to wszystko?

- Jak na razie tak. Koroner nie przeprowadził jeszcze mikroskopowego badania tkanki i płynów ani badań toksykologicznych, które chce wykonać niezależnie od naszego laboratorium. - Po chwili Cynthia dodała: - Niczego się nie ukryje, prawda?

- Tylko jedno.

- Tak. Są jeszcze wstępne dane od Cala. Zakończyli test serologiczny i nie znaleźli we krwi żadnych śladów narkotyków ani trucizny, jedynie odrobinę alkoholu. Odkryli ślad śliny biegnący od kącika jej ust, w kilku miejscach plamy potu i wyschniętych łez, które spłynęły w dół po policzkach zgodnie z ułożeniem ciała. Wszystkie te płyny przebadano i pochodzą od ofiary.

- Łzy?

- Tak - odparła Cynthia. - Była zapłakana.

- Nie zauważyłem tego,

- Nie szkodzi. Oni zauważyli.

- Dobrze... ale łzy nie zgadzają się z brakiem obrażeń ciała i niekoniecznie muszą być skutkiem duszenia.

- Nie - zgodziła się Cynthia - ale pasują do sytuacji, w której związuję cię szalenie, i mówi ci, że umrzesz. Natomiast rzeczywiście nie pasują do twojej teorii, że brała w tym udział dobrowolnie. Więc może musisz zmienić teorię.

- Dopiero ją buduję. - Przez chwilę zastanawiałem się. - Ty jesteś kobietą. Co ją mogło zmusić do płaczu?

- Nie wiem, Paul. Nie było mnie tam.

- Ale postawmy się na jej miejscu. Ta kobieta nie zalewała się łatwo łzami.

- Z tym się zgadzam - powiedziała Cynthia. - Coś ją chyba bardzo dotknęło.

- Tak. Ktoś, kogo znała, zranił ją, nawet nie dotykając.

- Właśnie, Ale istnieje też możliwość, że sama doprowadziła się do płaczu. Tego nie wiemy.

- To prawda. - Wyniki badań są obiektywne. Czytamy w raporcie: wyschnięte łzy obecne w dużych ilościach. Łzy ofiary. To, że popłynęły od oczu w stronę uszu, wskazuje, że osoba płacząca leżała wtedy na wznak. Koniec opisu. Nadawca: Cal Seiver, odbiorca: Paul Brenner. Łzy świadczą o płaczu. A w takim razie, kto ją doprowadził do płaczu? Co wywołało jej płacz? Kiedy płakała? Czy to wszystko jest w ogóle ważne? Czasami wydawało mi się, że tak.

- Znalezione nitki z jej bielizny - mówiła dalej Cynthia - i z munduru, prawdopodobnie również należącego do niej, choć niekoniecznie. Ani śladu innych ubrań. Także włosy, które odkryto na jej ciele, są jej włosami.

- A co z włosem w umywalce?

- To nie jej włos. Jest czarny, nie farbowany, nie był wyrwany ani ucięty. Udało się z jego trzonu określić grupę krwi, Zero. Ponieważ nie było cebulki, a zatem także znaczników DNA, nie dało się jednoznacznie ustalić płci, ale Cal zakłada, biorąc pod uwagę długość, brak śladów farby, wygląd, ukształtowanie i tak dalej, że należał do białego mężczyzny. Został scharakteryzowany jako kręcony, nie prosty czy falisty.

- Dopiero co widzieliśmy się z facetem, który ma takie włosy.

- Właśnie. Powinniśmy zdobyć włos pułkownika Moore'a do porównania.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Nie znaleziono nawet odrobiny spermy na jej skórze ani przy żadnych otworach. Nie było także nawet śladu smarowania przy pochwie lub odbycie, który sugerowałby użycie jakiegoś obcego ciała lub kondomu.

Kiwnąłem głową.

- Nie nastąpiło zbliżenie seksualne żadnego rodzaju.

- Mężczyzna ubrany w mundur tego samego typu, jaki nosiła ofiara, mimo kontaktu mógł nie zostawić na niej własnych włosów, śliny i potu. Użył zwykłego kondomu bez smarowania lub nie użył go wcale, ale nie doprowadził do wytrysku. Coś takiego mogło się zdarzyć.

- Ale się nie zdarzyło. Nie było żadnego zbliżenia seksualnego. Przeniesienie i wymiana musi nastąpić w jakimś, choćby minimalnym, stopniu. Przynajmniej w takim, który dostrzeże mikroskop.

- Chyba się z tobą zgadzam. Ale nie możemy wykluczyć jakiejś stymulacji. Lina wokół szyi, tak jak sam zasugerowałaś, miała wywołać zwiększenie przyjemności seksualnej, więc sytuacja erotyczna była przynajmniej oczekiwana.

- To brzmi logicznie. Ale w tym przypadku odrzucam logikę. Dobra, a co z odciskami palców?

- Na jej ciele nie ma ani jednego. Z nylonowej liny nie dało się zdjąć żadnych wyraźnych ani pełnych odcisków, za to mają kilka ze ślodzi namiotowych.

- Czy byli na tyle sprytni, żeby je przesłać do FBI?

- Nie, ale porównali je ze znanymi odciskami. Niektóre z nich należą do samej Ann Campbell. Pozostałe nie i mogą pochodzić od sprawcy.

- Mam nadzieję.

- A więc niosła śledzie - powiedziała Cynthia - co może oznaczać, że robiła to pod presją lub z własnej woli, uczestnicząc w fantazji seksualnej czy czymś takim.

- Skłaniam się ku tej drugiej wersji.

- Ja bym się też skłaniała, gdyby nie płacz.

- Szczęście. Ekstaza - odpowiedziałem. - Przyczyny płaczu mogą być przeróżne. - Po namyśle dodałem: - Niektórzy płaczą po orgazmie.

- Słyszałam o tym. W każdym razie wiemy więcej, niż wiedzieliśmy o wschodzie słońca, ale jak spojrzeć na to z drugiej strony, wiemy o wiele mniej. Nic nie pasuje do siebie tak jak powinno.

- To jeszcze za mało powiedziane. Jakież odciski z łazika?

- Mnóstwo. Jeszcze pracują nad nim i nad latryną. Cal zabrał samochód i dolną ławkę z trybun do hangaru. Jest tam już niezły składzik.

- Dobrze. - Przez moment zastanawiałem się. - Tylko w dwóch przypadkach zabójstw, które rozwiązałem, nie mogłem nikogo postawić pod sąd. I w obu tych przypadkach w sprawę wplątani byli bystrzy ludzie, którzy postarali się nie zostawić żadnych śladów. Nie chciałem, żeby to morderstwo okazało się kolejnym takim przypadkiem.

- Posłuchaj, Paul, mówi się, że na długo przedtem, zanim były dowody naukowe, istniały konfesjonały. Często przestępca czuje potrzebę zwierzeń, po prostu czeka, aby go zapytać, co zrobił.

To właśnie mówili podczas inkwizycji, procesu czarownic z Salem i popisówek w Moskwie. Ja wolałbym zobaczyć parę dowodów.

Coraz bardziej oddalaliśmy się od centrum bazy, teraz już jadąc w milczeniu. Otworzyłem okno po swojej stronie i owiało nas chłodne nocne powietrze.

- Lubisz Georgię?

- Nigdy nie kierowano mnie tutaj na długo - spojrzała na mnie. - Przyjeżdżałam i odjeżdżałam. Ale lubię. A ty?

- Budzi we mnie stare wspomnienia.

Wyjechaliśmy na peryferie i Cynthia bez kłopotu trafiła na Drogę Strzelnic. Ponad wierzchołkami drzew nadal wisiał księżyc, ale poza tym drogę oświetlały tylko reflektory samochodu. Słysząc było świerszcze, rechot żab, cykady i wszystkie inne nocne dźwięki, które o tej porze wydają się tak złowieszcze. Żywiczny zapach przywiódł mi na pamięć Szepczące Sosny sprzed wielu lat: siadywaliśmy wieczorami na leżakach, piliśmy piwo z innymi młodymi żołnierzami i ich żonami, słuchaliśmy Jimiego Hendrixa, Janis Joplin i kogo tam jeszcze, oczekując na wydrukowany na

powielaczu papierek z tekstem zaczynającym się od słów: „Niniejszym rozkazujemy stawić się...”

- Co myślisz o pułkowniku Moorze? - zapytała Cynthia.

- Prawdopodobnie to samo co ty. Dziwoląg.

- Tak, ale uważam, że on potrafi odpowiedzieć na pytanie „dlaczego Ann Campbell została zamordowana”.

- Możliwe. Czy bierzesz go pod uwagę jako podejrzanego?

- Oficjalnie nie. Dla nas jest przydatny tak długo, jak mówi. Ale tak między nami, owszem, widzę go w roli podejrzanego. Szczególnie jeśli to jego włos był w umywalce - dodałem.

- Czym miałby się kierować? - zapytała Cynthia.

- No, nie była to klasyczna zazdrość.

- Czy uwierzyłeś mu, kiedy powiedział, że nigdy z nią nie spał ani nawet nie proponował jej tego?

- Tak. To tylko potwierdza, że jest naprawdę szurnięty.

- Ciekawa obserwacja. Im więcej przebywam z mężczyznami, tym więcej się uczę.

- Dobrze. A jaki twoim zdaniem mógłby mieć motyw?

- Zgadzam się z tobą, że pułkownik Moore jest jakby aseksualny. Ale gdyby go postraszyła, że zniszczy ich platoniczny czy terapeutyczny związek, to by go załamało.

- Ale dlaczego miałby ją zabijać w ten sposób? - zapytałem.

- Skąd mam wiedzieć? Mamy do czynienia z dwojgiem szurniętych.

- Właśnie. Ale idę o zakład, że Moore wie, dlaczego zginęła, chociaż sam mógł tego nie zrobić. Możliwe, że zaproponowałby jej jako dobrą terapię uprawianie seksu na otwartej przestrzeni z obcym mężczyzną. Słyszałem już o takich sprawach.

Cynthia skinęła głową.

- Chyba jesteś bliski czegoś.

- Jeszcze jedna teoria, którą można wrzucić do hangaru.

Po chwili ciszy odezwałem się do niej, bez związku z czymkolwiek, poza moim życiem.

- Wyszłaś za tego, jak mu tam, majora z pistoletem?

- Tak - odpowiedziała, ale zabrzmiało to w moich uszach niezbyt entuzjastycznie.

- No, to gratulacje. Bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa, Cynthio, i życzę wam wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

- Złożyłam pozew o rozwód.

- To dobrze.

Przez chwilę jechaliśmy znowu w milczeniu.

- Po Brukseli czułam się winna - powiedziała - więc przyjął jego oświadczenia. A poza tym byłam przecież zaręczona, a to pierwszy krok do małżeństwa, więc wyszłam za mąż. Ale... nigdy nie pozwolił mi zapomnieć, że już mi nie ufa. Od czasu do czasu powracało twoje imię.

- Czy powinienem poczuć się winny? Nie mam wyrzutów sumienia.

- Nie powinien. Tak czy siak okazał się manipulatem ogarniętym manią posiadania.

- Nie widziałaś tego?

- Nie. Najlepsze w długotrwałych związkach jest to, że długo trwają. Są bardzo romantyczne. Wspólne życie to zupełnie inna sprawa.

- Na pewno naginałaś się, by mu sprawić przyjemność.

- Jeśli to ma być sarkazm, to się mylisz. Naprawdę próbowałam. Ale ilekroć musiałam wyjechać, stawał się nieprzyjemny, a gdy wracałam, przepytawał mnie, a właściwie prowadził śledztwo. Nie lubię być przesłuchiwana.

- Nikt nie lubi.

- Nigdy go nie oszukiwałam.

- No, raz.

- Wiesz, o co mi chodzi. Tak czy siak zaczęłam myśleć, że życie w wojsku i życie w rodzinie nie idą w parze. On chciał, żebym zrezygnowała z kariery, a ja powiedziałam: nie. Zachował się tak gwałtownie, że musiałam wyciągnąć pistolet.

- Mój Boże! Miałaś szczęście, że nie miał automatu, z którego mierzył do mnie.

- Miał, tylko kilka miesięcy wcześniej wyjęłam iglicę. To wszystko jest takie niesmaczne, że głupio mi nawet o tym mówić. Ale myślę, że winna ci jestem przynajmniej sprawozdanie z mojego życia między Brukselą a dniem dzisiejszym.

- Dziękuję. Czy teraz ma znowu iglicę w pistolecie?

Roześmiała się.

- Wszystko jest dobrze. Przyjął to z wdzięcznością. Napady zazdrości musiały go nieźle męczyć. Zajął się znowu swoją karierą i ma dziewczynę.

- I gdzie wylądował ten szczęśliwy psychopata?

- W szkole komandosów w Benning.

- To dość blisko stąd.

- On nawet nie wie, że tu jestem. Martwisz się?

- Nie. Po prostu lubię wiedzieć, na czym stoję. Podstawowy wywiad.

- A na czym stoisz?

- Na przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jak zawsze.

- Czy możemy być przyjaciółmi, nie będąc kochankami?

- Oczywiście. Poradzę się pułkownika Moore'a, gdzie nauczyć się bezstronności.

- Jesteś taki zasadniczy. - Myślała przez chwilę, a potem dodała: - Nie chcę kolejnego zazdrosnego furiata.

- Porozmawiajmy o tym jutro albo za tydzień.

- Dobrze.

Po jakiejś minucie czy dwóch zapytałem:

- Spotykasz się z kimś?

- Czy mamy już przyszły tydzień?

- Po prostu nie chcę, żeby mnie ktoś zastrzelił.

- Nie, z nikim się nie spotykam.

- Dobrze. Bo nie chcę być zastrzelony.

- Paul, zamknij się albo ja sama cię zastrzelę. Boże, ale mnie wnerwiasz.

- Nie strzelj. Roześmiała się.

- Przestań już.

Ostatnie pół kilometra przejechaliśmy w milczeniu.

- Zatrzymaj się tutaj, zgaś światła i wyłącz silnik

Niebo było bezchmurne, księżyc świecił jasno, zrobiło się nieco chłodniej, ale mimo wilgotności można było wytrzymać. Miły wieczór, znakomicie nadający się do romantycznych wycieczek.. Przysłuchiwałem się nocnym ptakom i szumowi sosen.

- Nie tylko myślałem o tobie, ale tęskniłem za tobą powiedziałem.

- Wiem. Ja też.

Skinąłem głową.

- Wiec co zrobiliśmy nie tak? Dlaczego nasze drogi się rozeszły?

Wzruszyła ramionami.

- Może po prostu to spartaczyliśmy. - I dodała: - Ja też cię pragnęłam... no, ale przeszło, minęło.

- Czego wtedy oczekiwałaś ode mnie?

- Chciałam, żebyś nie zgodził się na moją decyzję o zerwaniu. Chciałam, żebyś mnie zabrał od niego.

- To nie mój styl, Cynthia. Ty podjęłaś decyzję. Ja ją zaakceptowałem.

- Och, Boże, Paul, jesteś takim znakomitym detektywem, prawda? Potrafisz odczytać myśli zabójcy ze stu metrów i rozpoznać kłamcę po mrugnięciu okiem. Ale nie umiesz zrozumieć swego serca i na pewno nie masz zielonego pojęcia o kobietach.

Siedziałem jak idiota, którym byłem, i wiedziałem, że ma rację. Ale choć moje serce przepełniało uczucie, brakowało mi słów, a może nie chciałem przełożyć uczuć na słowa. Pragnąłem powiedzieć: „Cynthia, kocham cię, zawsze cię kochałem i będę kochał. Ucieknij razem ze mną.” Ale nie potrafiłem. Więc powiedziałem powoli, starannie dobierając słowa:

- Wiem, co próbujesz mi powiedzieć, zgadzam się z tobą, będę nad tym pracował. Razem będziemy.

Ujęła moją dłoń i trzymała ją przez chwilę.

- Biedny Paul - powiedziała wreszcie. - Czy denerwujesz się w mojej obecności?

- Tak.

- I nie lubisz tego, prawda?

- Prawda.

Ścisnęła moją dłoń.

- Ale widzę pewną poprawę od zeszłego roku w Brukseli.

- Staram się.

- Raczej wypróbujesz moją cierpliwość.

- Wszystko będzie dobrze.

Pochyliła się i pocałowała mnie delikatnie, a potem wypuściła moją dłoń ze swojej.

- Co teraz?

- Zabieramy się do pracy. - Otworzyłem drzwi samochodu.

- To nie jest strzelnica numer sześć - zauważyła.

- Nie, to jest piątka.

- Dlaczego przyjechaliśmy tutaj?

- Weź latarkę. - Wysiadłem, a ona za mną.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Staliśmy kilka kroków od siebie nasłuchując, przyzwyczajając się do nocy, tak jak uczono nas w szkole.

- Męczyła mnie myśl - powiedziałem wreszcie - że światła samochodu, które szeregowiec Robbins zobaczyła o drugiej siedemnaście, nie były światłami dżipa Ann Campbell. Ona, tak jak sugerowałaś, podjechała na strzelnicę numer sześć ze zgaszonymi światłami. Wiedziała, gdzie są rozstawione straże, i oczywiście nie chciała zwracać na siebie uwagi. Wyłączyła światła mniej więcej w tym miejscu, gdzie my teraz stoimy, i dalej już pojechała bez nich, a drogę oświetlał księżyc. Z budynku dowództwa przyjechała bezpośrednio tutaj o godzinie pierwszej, żeby się z kimś spotkać. Dlatego nie widziano jej na żadnym posterunku. Logiczne?

- Jeśli założymy, że miała wcześniejsze rendez-vous, niż myśleliśmy, to istotnie, wszystko na razie brzmi logicznie.

- Załóżmy to. Mogła tutaj być już o pierwszej piętnaście.

- To możliwe.

- Dobra - mówiłem, jeszcze raz rozważając ten wariant. - Osoba, z którą była umówiona, przybyła tu najprawdopodobniej nieco wcześniej.

- Dlaczego?

Ponieważ Campbell sobie tego życzyła. Wiedziała, że coś ją może zatrzymać. Zadzwoiła z budynku dowództwa i powiedziała: „Bądź tam nie później niż o wpół do pierwszej. I czekaj na mnie.”

- Niech będzie.

- Sama obecność tej osoby w tym miejscu lub fakt, że zjawiła się tutaj prywatnym samochodem, mogła zaalarmować wartowników, o czym ten ktoś również wiedział. Dojechał więc do strzelnicy numer pięć i skręcił z drogi na lewo. - Skręciliśmy na wysypany żwirem parking. - Z tego miejsca korzystają żołnierze ćwiczący na strzelnicy czwartej, piątej i szóstej. Ciężarówki przywożą wszystkich tutaj. Ćwiczący wysiadają, samochody odjeżdżają, a potem idą na przydzielone miejsca. Pamiętam to z moich czasów.

- Tyle że teraz nie używają już muszkietów.

- Właśnie. Tak więc facet, z którym miała się tutaj spotkać, zjechał na żwir, by nikt potem nie rozróżnił śladów jego samochodu. Idź za mną. - Szliśmy parkingiem, który był tak poprzecinany koleinami opon, że z żadnej nie było można nic odczytać. Jednak przy trybunach strzelnicy numer pięć, gdzie żwirek był drobniejszy, w świetle latarki zobaczyliśmy ślady w miejscu, do którego ciężarówki nie mogły już dojechać. Koleiny biegły aż do rzędu sosen. - Samochód zaparkowany w tym miejscu nie był widoczny z drogi, ale za to zostawił ślady.

- Paul, to niesamowite. Przecież to mógł być samochód mordercy.

- Rzeczywiście są to najprawdopodobniej ślady kogoś, kto spotkał się z kapitan Campbell na terenie „strzelnicy. Ten ktoś nie chciał, żeby jego samochód został zauważony przez patrol żandarmerii albo przez wartowników, którzy przejeżdżają tędy o godzinie pierwszej zmienić strażę w magazynie amunicji kilometr stąd, tam gdzie stała szeregowiec Robbins. Osoba, która się miała spotkać z Ann Campbell w tym czasie była już tutaj, właśnie zaparkowała samochód, następnie przeszła tyłami strzelnic na teren szóstki i zaczęła w latrynie. Skorzystała z ubikacji, a potem umyła twarz i ręce, pozostawiając plamy wody i włos. Jak dotąd logiczne?

- Jak dotąd.

- Przejdźmy się. - Znaleźliśmy drózkę z drewnianych bali, leżących poprzecznie jeden przy drugim. W wojsku buduje się zazwyczaj tą metodą przejścia przez moczary. Na takiej powierzchni nie zostają żadne ślady. Przeszliśmy jakieś sto metrów. Dotarliśmy do latryn na terenie strzelnicy numer sześć. - Dobrze. Facet czeka tutaj, w środku albo na zewnątrz. Najpierw widzi ciężarówkę z wartownikami jadącą do magazynu broni, niewiele później ciężarówka wraca z ludźmi z poprzedniej

zmiany. W magazynie pozostała Robbins. Ciężarówka nie dojeżdża do centrum bazy, gdzie mogłaby się minąć z jadącą w tym kierunku Ann Campbell, lecz skręca w stronę Pola Jordana, żeby zmienić strażników przy hangarach, na co trzeba trochę czasu, co również pamiętam z dawnych czasów. Tak więc droga Ann Campbell nie krzyżuje się z drogą ciężarówki. Ona jedzie prosto do strzelnicy numer sześć. W którymś momencie gasi światła i parkuje swój łazik w miejscu, gdzie go znaleźliśmy. Zgadza się?

- Póki co. Ale to tylko spekulacje.

- Oczywiście. Odtworzenie sytuacji zazwyczaj na tym właśnie polega. Ty jesteś tu po to, żeby znaleźć dziury w moim rozumowaniu, a nie mówić mi, że mogą gdzieś być.

- Dobrze. Mów dalej.

- Mężczyzna, który czeka koło latryn, zobaczywszy Ann Campbell, zatrzymującą swojego łazika przy drodze, idzie przez otwartą przestrzeń... - Ruszyłem w stronę drogi, a Cynthia podążyła za mną. - Podchodzi do niej, kiedy jest jeszcze w łaziku albo przy nim, i mówi, że teren jest już bezpieczny. Jediną jeszcze osobą, jaka może się tu napatoczyć jest oficer na służbie, a tej nocy oficerem na służbie była kapitan Ann Campbell. Nadążasz?

- Na razie tak. Ale dlaczego miałyby zatrzymać się tutaj? Czemu nie ukryła samochodu, jeśli zjawiała się na rozbieraną randkę? I dlaczego, do diabła, miałyby to robić na terenie strzelnicy, tak blisko drogi?

- Nie wiem, ale jeśli to zrobiła, to tego właśnie chciała. Nic tu nie jest przypadkowe, wszystko zostało zaplanowane, również zgłoszenie się na ochotnika do służby podczas tej jasnej, księżycowej nocy. W takim razie musiała mieć też powód, żeby zostawić samochód właśnie tutaj, i powód, by wybrać na randkę właśnie to miejsce, pięćdziesiąt metrów od drogi.

- Dobrze... zostawmy to na razie.

- Nie mam bladego pojęcia, co zaszło między nią a osobą, którą spotkała, ale w pewnej chwili jeszcze tutaj, na drodze, zdjęła pas z pistoletem, a potem całe ubranie poza biustonoszem i majtkami. Zabrudziła stopę asfaltem. Ona i ta druga osoba przeszły dobrze wydeptaną ścieżką między stanowiskami. Ubranie i pistolet Campbell zostały chyba w łaziku. Ona - a może ta druga osoba - niesie śledzie, odcięty kawałek liny i mały młotek. Wybierają miejsce u podstawy sylwetki. - Oboje popatrzyliśmy na strzelnicę. Namiot był wciąż rozbity, a na ziemi, w miejscu gdzie znaleziono ciało, nadal leżał brezent. Zapytałem Cynthii: - Jak to brzmi?

- Ma swoją wewnętrzną logikę. Ale nie przemawia do mnie.

- Do mnie też nie. Ale to dość wierne odtworzenie sytuacji - stwierdziłem. - Przejdźmy się. - Ruszyliśmy wzdłuż brezentu i zatrzymaliśmy się pod namiotem. Cynthia oświetliła latarką obrys ciała Ann Campbell, wykonany za pomocą kredy. W miejscach, gdzie wcześniej tkwiły śledzie, wbito żółte chorągiewki.

- Czy nie powinien tego pilnować żandarm? - zapytała Cynthia.

- Powinien. Kent nawalił. - Rozejrzałem się po oświetlonej blaskiem księżyca strzelnicy, gdzie stało jakieś pięćdziesiąt kształtów z dykty, niczym pluton piechoty przedzierający się przez busz. - Najwyraźniej musiało to mieć dla Ann Campbell jakieś symboliczne znaczenie - rozważałem. - Uzbrojeni mężczyźni gotowi do zbiorowego gwałtu albo przyglądający się jej leżącej nago na ziemi, czy co tam innego starała się stworzyć lub wyrazić.

- No dobrze - powiedziała Cynthia - stoją tutaj. Ann Campbell w majtkach i biustonoszu, ten mężczyzna z zestawem do gwałtu lub do ostrych zabaw seksualnych, w zależności od nastawienia drugiej osoby. On nie jest uzbrojony, a ona bierze we wszystkim udział dobrowolnie.

- Tak. Wspólnie przywiązują po jednym końcu liny do nadgarstków i kostek. Prawdopodobnie w tej właśnie chwili ona zdejmuje biustonosz, majtki wciąga sobie na szyję. Trzeba pamiętać, że nie znaleźliśmy na nich śladów ziemi.

- Dlaczego została do tego czasu w biustonoszu?

- Tego nie jestem pewien, ale może zrobiła to automatycznie, a potem po prostu rzuciła go na ziemię, gdzie później został znaleziony. Wprawdzie wszystko było zaplanowane, ale trochę się denerwowali, to rozumiąle.

- Ja denerwuję się nawet myśląc o tym.

- Tak więc miejsce u podstawy celu-sylwetki zostało wybrane, ona kładzie się na ziemi z rozłożonymi rękami i nogami, a on wbija cztery śledzie w ziemię.

- Czy wbijanie nie robi hałasu?

- Śledzie są z poliwinylu. Poza tym mógł się posłużyć chusteczką, żeby stłumić uderzenia. Wiatr wiał od strony posterunku, szeregowiec Robbins nie słyszała nawet trzaśnięcia drzwiczek samochodu.

- W porządku - powiedziała Cynthia. - Śledzie są już wbite, a on przywiązuje jej nadgarstki i kostki.

- Zgadza się. Potem obwiązuje długą linę wokół jej szyi, osłoniętej majtkami.

- Więc kapitan Campbell znajduje się w takiej pozycji, w jakiej ją znaleziono.

- Właśnie - odparłem. - Leży dokładnie tak, jak ją później znaleziono, poza tym że jeszcze żyje.

Cynthia, głęboko zamyślona, jedną rękę wetknęła w kieszeń spodni, w drugiej trzymała latarkę mierząc snopem światła w ziemię. Wreszcie powiedziała:

- On klęka koło niej i zaciąga linę, by zwiększyć seksualną przyjemność. Palcami lub jakimś przedmiotem podnieca ją. Ona przeżywa orgazm... Mógł się w tym czasie masturbować - dodała po chwili Cynthia - chociaż nie znaleźliśmy na niej śladów spermy. Mógł też robić zdjęcia, zadali sobie przecież tyle trudu, więc pewnie chcieli to uwiecznić. Na moment zamilkła, a potem ciągnęła dalej: - Dobrze, ona osiągnęła szczyt, on również, teraz ona chce, żeby ją odwiązał. W tym momencie on korzysta z okazji i dusi ją, choć może i planował to od samego początku. Istnieje też możliwość, że zadzierzgnął linę przez przypadek podczas zabawy. - Spojrzała na mnie. - Tak to właśnie wyglądało?

- Przynajmniej tak sądzę.

- Ale jest coś więcej - przypomniała mi Cynthia. - Zniknęło jej ubranie, jej plakietka z nazwiskiem, sygnet z West Point i pistolet.

- I to jest problem - zgodziłem się. - Doszliśmy do pamiątek.

- Wiem, że zabierają pamiątki. Ale nie sądzę, by ktoś, kto właśnie zabił córkę generała na strzelnicy, celowo lub przypadkiem zabierał jej ubranie i obciążał się dowodami, które mogą zaprowadzić prosto przed pluton egzekucyjny.

- Mało prawdopodobne, co? I pamiętaj, że zostawił jej zegarek. Dlaczego?

- Nie wiem - odparła Cynthia. - To może być bez znaczenia.

- Może. Chodźmy dalej. - Skierowaliśmy się do drogi, gdzie Ann Campbell zaparkowała swój łazik. - Dobra - powiedziałem - on wraca tutaj do samochodu. Zabiera jej mundur, hełm, plaketkę, skarpetki, buty i całą resztę, ale zostawia na siedzeniu pasażera torebkę.

- Mógł zapomnieć o torebce. Mężczyznom to się zdarza.

Spojrzałem w stronę latryn.

- Niosąc te przedmioty idzie po trawie, mija trybuny, przechodzi obok latryn i znajduje wyłożoną drewnem ścieżkę. Nie szedł drogą.

- Nie.

- Dobra. Jeśli zaczęli o jakiejś pierwszej piętnaście, to teraz mamy powiedzmy plus minus drugą. Nie może być dużo później, ponieważ szeregowiec Robbins widziała światła o drugiej siedemnaście.

- A ty jesteś pewny, że to nie były światła samochodu Ann Campbell.

- Zakładam, że przyjechała wcześniej, i to na zgaszonych światłach. Tak więc nadjeżdża jakiś pojazd. Kierowca widzi zaparkowany łazik, zatrzymuje się, gasi światła i wysiada z samochodu. To właśnie zobaczyła Robbins o godzinie drugiej siedemnaście.

- I ta osoba zauważa ciało Ann Campbell z drogi, tak?

- Sierżant St. John zobaczył. Była prawie pełnia. Każdy, kogo by zastanowił widok zaparkowanego łazika, zatrzymałby się i rozejrzał. Ta osoba widzi coś na terenie strzelnicy, pięćdziesiąt metrów od siebie. Człowiek instynktownie rozpozna kształt ludzki, szczególnie nagi. Oboje słyszeliśmy tego typu historie, ktoś wchodzi do lasu i zauważa na ziemi leżącego człowieka, i tak dalej,

- Dobrze. Co więc ta osoba robi?

- Podchodzi do leżącej na ziemi, widzi, że Ann Campbell nie żyje, wraca pędem do samochodu, zawraca i odjeżdża pełnym gazem.

- Nie włączając świateł.

- Najwyraźniej. To światła zaalarmowały szeregowiec Robbins, która zaintrygowana stała i patrzyła, co się stanie dalej, ale zobaczyła dopiero światła samochodu sierżanta St. Johna o czwartej dwadzieścia pięć.

- Dlaczego ta osoba miałaby nie włączać świateł odjeżdżając? A przede wszystkim czemu je w ogóle zgasiła? Tutaj jest ponuro jak cholera, Paul. Gdybym ja miała wysiąść z samochodu,

zostawiłabym światła włączone. I kim jest ta nowa osoba, którą wprowadziłeś do akcji, i czemu nie zameldowała o tym, co zobaczyła?

- Jedyna odpowiedź, jaka mi przychodzi do głowy, to że Ann Campbell przygotowała to wszystko nie na pojedynczą randkę. Fantazjowała na temat wielokrotnego gwałtu. Może więc była umówiona z kilkoma mężczyznami.

- To okropne - rzekła Cynthia i dodała: - Ale możliwe.

- Przejdźmy się drogą, którą przeszedł kochanek lub zabójca Ann Campbell - powiedziałem. Zawróciliśmy drewnianą ścieżką między krzakami, a potem skręciliśmy w lewo i wróciliśmy na teren strzelnicy numer pięć.

- Tutaj, w tych krzakach, pewnie leży torba z jej ubraniem. - Wskazałem dłonią zarośla.

Cynthia spojrzała na mnie.

- Na dodatek zostałeś medium?

- Ponieważ przeszukiwanie terenu nie dało nic, a psy także niczego nie wywęszyły, to znaczy, że ubranie zapakowano do plastikowego, tłumiącego zapach worka, prawdopodobnie na śmieci. Porzucony musiał zostać gdzieś poza obszarem poszukiwań. Kiedy znajdziemy się bliżej strzelnicy, oświetl latarką krzaki. Może będziemy musieli wrócić tutaj jutro...

Cynthia zatrzymała się.

- Poczekaj.

- Co?

- Śmietnik latryny.

- A niech to! Masz rację.

Wróciliśmy do latryn. Między dwoma budynkami stał rząd metalowych pojemników. Odwróciłem jeden do góry dnem i wdrapałem się po nim na dach. Nie było tam nic, ale kiedy podniosłem się z klęczek, zobaczyłem na dachu sąsiedniej latryny plastikową torbę na śmieci błyszczącą w świetle księżyca. Rozpędziłem się, przeskoczyłem na drugi dach i kopnąłem torbę, tak że stoczyła się na dół, a ja za nią. Błyskawicznie przypomniały mi się ćwiczenia skoków na spadochronach, podciągnąłem kolana, zrobiłem przewrót przez bark i wylądowałem na stopach.

- Nic ci nie jest? - zapytała Cynthia.

- Wszystko w porządku. Weź chusteczkę.

Wyjęła chustkę z kieszeni, uklękła i rozplatała drut, a potem otworzyła torbę i oświetliła wnętrze latarką. Starannie, z dłonią nadal owiniętą w chusteczkę, Cynthia po kolei wyjmowała skłębione

ubranie, parę butów i białe skarpetki, pas z bronią tkwiącą w kaburze. Na końcu wyciągnęła metalową plakietkę. Podniosła ją do góry, oświetliła latarką i przeczytała: „Campbell, Ann Louise”. Wrzuciła blaszkę do torby i podniosła się. Spojrzała na dach latryny.

- Najstarsza z możliwych sztuczek. Ale dlaczego ten facet chciał ukryć jej ubranie?

Zastanowiłem się przez moment.

- Wygląda na to, że ktoś miał je zabrać później.

- Kto? Przystępca? Ktoś trzeci?

- Nie wiem. Ale podoba mi się pomysł z osobą trzecią.

Na drodze pojawiły się światła, chwilę później usłyszałem odgłos silnika, a potem zobaczyłem samochód. Wojskowy dżip oliwkowej barwy zatrzymał się. Silnik pracował nadal, a światła pozostały włączone. Sięgnąłem po pistolet, Cynthia również.

Otworzyły się drzwi samochodu, a wewnętrzne światło ujawniło postać Billa Kenta, który celował z pistoletu w stronę naszej latarki. Zatrzasnął drzwiczki i zażądał:

- Podajcie swoją tożsamość.

- Brenner i Sunhill, pułkowniku - odkrzyknąłem. Może zabrzmiało to nieco formalnie, ale nie należy wygłupiać się, gdy ktoś do was mierzy z pistoletu.

- Idę do was - powiedział.

- Zrozumieliśmy. - Staliśmy bez ruchu, dopóki nie podszedł bliżej. Schował pistolet do kabury i powiedział:

- Poznaję was.

Trochę to wszystko wydaje się głupie, tyle tylko że od czasu do czasu ktoś niepotrzebnie obrywa kulkę, jeśli nie uważa za stosowne podać na czas swego nazwiska.

- Co tutaj robicie? - zapytał Kent.

- To jest miejsce zbrodni, Bill. Detektywi i zbrodniarze zawsze na nie wracają - odparłem. - A co ty tu robisz?

- Podtekst twojego pytania jest dla mnie obraźliwy, mądralo. Jestem tu z tego samego powodu co wy. Chciałem zobaczyć, jak to miejsce wyglądało w chwili morderstwa.

- Pułkowniku, proszę zostawić robotę detektywa mnie. Dlaczego nie ma tu żandarma na straży?

- Chyba rzeczywiście powinienem był kogoś postawić. Ale są patrole.

- Nie widziałem żadnego. Czy mógłbyś sprowadzić tutaj kilku ludzi?

- Dobrze. - Zwrócił się do Cynthii: - Dlaczego twój samochód stoi tak daleko stąd?

- Chcieliśmy się przejść w świetle księżyca.

Spojrzał się na nas, jakby chciał zapytać dlaczego, ale nagle zauważył torbę.

- Co to jest?

- Jej ubranie.

Przyglądałem się Kentowi, ciekaw, jak na to zareaguje. Przyjął wiadomość prawie obojętnie.

- Gdzie na to trafiliście? - zapytał.

- Na dachu damskiej latryny. Twoi ludzie musieli przeoczyć to miejsce.

- Na to wygląda. - I zapytał: - Jak myślicie, dlaczego jej ubranie tutaj zostało?

- Kto wie?

- Skończyliście?

- Jak na razie.

- Co teraz?

- Spotkajmy się na Polu Jordana za godzinę - odparłem.

- Dobrze. - Spojrzał na mnie. - Bardzo zdenerwowałeś pułkownika Moore'a.

- W takim razie powinien złożyć formalną skargę, zamiast wyplakiwać ci się w mankiet. Znasz tego faceta?

- Tylko przez Ann. - Spojrzał na zegarek. - O pierwszej?

- Dobrze.

Rozstaliśmy się. On wrócił do swojego samochodu na drodze, a my poszliśmy drewnianą ścieżką. Niosłem plastikową torbę.

- Nie ufasz mu, prawda? - zapytała Cynthia.

- Ja... znam Billa Kenta ponad dziesięć lat. Ale teraz... sam nie wiem. Nie podejrzewam go o popełnienie morderstwa, ale nie mam również wątpliwości, że - jak wszyscy inni w tej sprawie - coś ukrywa.

- Wiem, ja też czuję coś w tym rodzaju. To jest tak, jakbyśmy znaleźli się w małym miasteczku, gdzie każdy zna sekrety wszystkich i wiadomo, że w szafie jest trup, tylko szafy nie można znaleźć.

- Coś w tym guście.

Wrzuciłem torbę do bagażnika. Wsiadliśmy, Cynthia włączyła silnik, a potem strząsnęła jakiś niewidzialny pyłek z mojego ramienia.

- Macie coś złamanego, żołnierzu? Czy mam was zawieźć do szpitala?

- Nie, ale z moją głową jest coś nie tak. Trzeba ją przebadać. Jedziemy do Szkoły Operacji Psychologicznych.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W Szkole Operacji Psychologicznych zjawiliśmy się około dwudziestej trzeciej. Cynthia zaparkowała przy głównym budynku. Szkoła składała się z mniej więcej trzydziestu betonowych budynków, wszystkich w przygnębiającej szarzyźnie, kolorze samobójców i Seattle.

Trawników przed budynkami prawie nie było, tylko kilka drzew, za to paliły się tu mocne lampy. Takie oświetlenie nie byłoby dopuszczalne dla obiektu cywilnego, ale wojsko nie przejmowało się wysokimi kosztami.

Większość kompleksu, poza dwoma domami, które wyglądały na mieszkalne, pogrążona była w ciemnościach. Kiedy podchodziliśmy do komendy szkoły, Cynthia zapytała:

- Co oni właściwie robią?

- Ten obiekt podlega Szkole Działań Wojennych imienia JFK w Bragg. Tak naprawdę, to nie jest wcale szkoła, nazwa to tylko przykrywka.

- Przykrywka czego?

- Jednostki badawczej. Oni uczą, ale sami siebie.

- Czego się uczą?

- Prawdopodobnie przede wszystkim starają się odkryć, dlaczego człowiek żyje. A potem, jak przerwać to życie bez użycia kulki. - I dodałem: - Głównie eksperymenty.

- Brzmi to dość makabrycznie.

- Zgadza się. Kule i materiały wybuchowe działają zawsze jak należy. Gdy coś pójdzie nie tak z wywoływaniem paniki, nagle wszystko wymyka się z rąk.

Zza rogu wyjechał łazik. Zatrzymał się przed nami, oświetlając nas, i od strony pasażera wysiadł żandarm. Kierowca pozostał w samochodzie. Kapral o nazwisku Stroud zgodnie ze zwyczajem zasalutował i zapytał:

- Czy macie tutaj jakąś sprawę do załatwienia?

- Tak - odpowiedziałem. - CID. - Podałem mu swoją legitymację. Obejrzał ją uważnie w świetle latarki, potem równie skrupulatnie sprawdził papiery Cynthia i wreszcie zgasił latarkę.

- Z kim chce się pan widzieć, sir?

- Z sierżantem na służbie. Może nas pan zaprowadzić, kapralu?

- Tak jest, sir. - Ruszył z nami w stronę budynku i zapytał: - Morderstwo Campbell?

- Obawiam się, że tak.

- Cholerny wstyd.

- Znał ją pan? - spytała Cynthia.

- Tak, proszę pani. Niezbyt dobrze, ale czasami widywałem ją w nocy. Tutaj bardzo często pracują po nocach. - I dodał: - Miła kobieta. Trafiliście już na jakiś trop?

- Jeszcze nie - powiedziałem.

- Przyjemnie widzieć, że pracujecie nad sprawą nawet w nocy.

Weszliśmy do budynku. Sierżant na służbie - na plakietce widniało nazwisko Corman - siedział w małym biurze oddzielonym szybą od korytarza. Na nasz widok wstał i zasalutował. Po wstępnych formalnościach zwróciłem się do niego:

- Sierżancie, chciałbym obejrzeć biuro pułkownika Moore'a.

Sierżant Corman poskrobał się po głowie, potem spojrział na kaprala Strouda, a wreszcie powiedział:

- Nie mogę pana tam wpuścić, sir.

- Ależ oczywiście, że pan może. Idziemy.

Nie ustępował.

- Naprawdę nie mogę bez specjalnego zezwolenia. To jest teren zamknięty.

W wojsku w gruncie rzeczy nie potrzebujesz prawdopodobnego powodu albo nakazu rewizji, a jeśli już go masz, taki papier nie jest wystawiony przez sędziego wojskowego, ponieważ oni nie mają władzy poza sądem. W tym momencie potrzebowałem kogoś wyższego rangą. Zwróciłem się do sierżanta Cormana:

- Czy pułkownik Moore trzyma przedmioty osobistego użytku w swoim biurze?

Zawahał się, a potem odpowiedział:

- Tak.

- Dobrze, proszę iść i przynieść mi jego szczotkę lub grzebień.

- Sir?

- Pułkownik Moore musi się uczesać. Zostaniemy tutaj i przypilnujemy telefonu.

- Sir, to jest teren zamknięty. Muszę prosić, żebyście go opuścili.

- Czy mogę skorzystać z telefonu? - zapytałem.

- Tak.

- Na osobności.

- Ja nie mogę pozostawić...

- Kapral żandarmerii Stroud zostanie tutaj. Dziękuję.

Sierżant zawahał się, ale wreszcie wyszedł z biura. Zwróciłem się do Strouda:

- To, co pan usłyszy, jest poufne.

- Tak jest, sir.

Znalazłem numer telefonu pułkownika Fowlera w książce jednostki. Fowler odpowiedział po trzecim dzwonku.

- Pułkowniku - powiedziałem - mówi Brenner. Przykro mi, że zawracam panu głowę o tej godzinie. - Prawdę mówiąc wcale nie było mi przykro. - Ale potrzebuję pana zezwolenia na zabranie czegoś z biura pułkownika Moore'a.

- Gdzie, u diabła, pan jest, Brenner? - Głos pułkownika brzmiał tak, jakbym wyrwał go ze snu.

- W Szkole Operacji Psychologicznych, pułkowniku - odparłem.

- O tej godzinie?

- Musiałem stracić poczucie czasu.

- Co chce pan zabrać z biura pułkownika Moore'a?

- Tak naprawdę to chciałbym przenieść całą zawartość na Pole Jordana. Nie wspominałem, że mam już na Polu Jordana biuro Ann Campbell.

- Na to nie mogę się zgodzić. Ta szkoła podlega Fortowi Bragg i jej teren jest zamknięty dla osób z zewnątrz. W biurze pułkownika Moore'a znajduje się mnóstwo tajnych dokumentów. Ale mogę zadzwonić rano do Bragg i zobaczę, co się da zrobić.

Tak właśnie się dzieje, kiedy w wojsku poprosisz o jakieś pozwolenie. Odpowiedź jest zawsze nie, dopiero potem zaczynają się pertraktacje.

- W takim razie poproszę, pułkowniku, o pozwolenie na opieczętowanie drzwi biura.

- Opieczętowanie biura? Co, u diabła, tam się dzieje?

- Śledztwo w sprawie morderstwa.

- Może pan sobie przy mnie darować dowcipy, panie Brenner.

- Tak jest, sir.

- Rano zadzwonię do Bragg. To wszystko, co mogę zrobić.

- To nie wystarczy, pułkowniku.

- Panie Brenner, doceniam pańską ciężką pracę i inicjatywę, ale miota się pan jak byk, siejąc spustoszenie, gdziekolwiek pan stąpnie. Zdarzyło się tylko jedno morderstwo i musi pan mieć na względzie uczucia innych ludzi w tej jednostce. A w dodatku dobrze by było, gdyby pamiętał pan o regulaminach, obyczajach, protokołach i zwykłej grzeczności. Czy rozumie pan, co usiłuję panu powiedzieć, panie Brenner?

- Tak jest, sir. Naprawdę potrzebuję w tym momencie próbki włosów pułkownika Moore'a dla porównania z innym włosem, znalezionym na miejscu morderstwa. Są dwa wyjścia. Mogę zadzwonić do pułkownika Moore'a do domu i kazać mu stawić się na Polu Jordana, gdzie mu włos wyrwą, albo otrzymać próbkę z jego szczotki lub grzebienia tutaj, na miejscu, co byłoby wygodniejsze, ponieważ nie mamy dużo czasu. Poza tym wolałbym, aby pułkownik Moore nie wiedział jeszcze, że jest podejrzanym. - Zauważyłem, że oczy kaprala Strouda rozszerzyły się.

Zapadła długa cisza. Wreszcie pułkownik Fowler powiedział:

- Dobrze, pozwolę panu zabrać z biura szczotkę lub grzebień, ale jeśli jeszcze coś tam zostanie dotknięte, oskarżę pana.

- Tak jest, sir. Czy wyda pan odpowiednie polecenie sierżantowi na służbie?

- Niech pan mu odda słuchawkę.

- Tak jest, sir. - Dałem znak Stroudowi, żeby przywołał Cormana, a gdy wszedł, zwróciłem się do mego: - Pułkownik Fowler, adiutant generała chce z panem mówić.

Ujął słuchawkę bez entuzjazmu. Ta część rozmowy, którą usłyszeliśmy brzmiała: „Tak jest, sir. Tak jest, sir. Tak jest, sir.” Potem odwiesił słuchawkę i powiedział do mnie:

- Jeśli przypilnuje pan telefonu, pójdę poszukać szczotki lub grzebienia.

- Dobra. Niech pan go zawinie w chusteczkę.

Wziął pęk kluczy i wyszedł z biura. Słyszałem, jak jego kroki oddalają się w głębi korytarza.

- Będziemy na zewnątrz - powiedziałem do kaprała Strouda. - Niech pan poczeka tutaj i odbierze dowód.

- Tak jest, sir.

Kapral Stroud z widocznym zadowoleniem pomagał nam w pracy. Wyszliśmy z Cynthia na dwór i stanęliśmy w światłach samochodu żandarmerii.

- To miejsce jest nieźle uszczelnione - stwierdziła Cynthia.

- Jeśli przeprowadza się eksperymenty z praniem mózgow, technikami śledczymi, destrukcją morale, wywoływaniem strachu i paniki, można sobie nie życzyć obcych węszących wokół.

- W to właśnie była zamieszana, prawda?

- Tak mi się wydaje - skinąłem głową. - W niektórych budynkach trzymają tutaj wolontariuszy do swoich eksperymentów, a na terenie mają makietę całego obozu jenieckiego.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Pracowałem jakiś rok temu przy jednej sprawie z psychologiem, który kiedyś tutaj stacjonował. Poprosił o przeniesienie.

- Przypuszczam, że takie miejsce może zaleźć człowiekowi za skórę.

- Tak. Wiesz, co znalazłem w papierach personalnych Ann Campbell? Jeszcze jeden cytat z Nietzschego: „Ten, kto walczy z potworem, powinien uważać, by podczas zmagania sam się potworem nie stał. Bo kiedy długo spoglądasz w otchłań, otchłań także spogląda na ciebie.”

- Jak, na litość boską, coś takiego mogło się tam znaleźć?

- Nie wiem, ale chyba rozumiem, co to znaczy.

- Tak... przypuszczam, że oboje to wiemy - skrzywiła się. - Czasami chciałabym zarabiać na życie w inny sposób. Czuję się zmęczona wymazami z pochwy, ustalaniem DNA ze spermy i spisywaniem oświadczeń gwałcicieli oraz ofiar gwałtu.

- Właśnie. Dziesięć lat to górny limit. Ja robię to już prawie dwadzieścia. To jest moja ostatnia sprawa.

- Czy mówisz to za każdym razem?

- Tak.

Z budynku wyszedł kapral Stroud. Trzymał coś w ręku. Kiedy podszedł bliżej, zobaczyliśmy, że się uśmiecha.

- Znalazł! - wykrzyknął.

Spotkaliśmy się na chodniku, gdzie wręczył mi szczotkę owiniętą w oliwkowego koloru chustkę.

- Wie pan, jakie są wymagania - powiedziałem do mego. - Potrzebuję pańskiego oświadczenia, jak ten dowód został znaleziony, kiedy, przez kogo i tak dalej.

- Tak jest, sir.

- Podpisane, w zaklejonej kopercie proszę to złożyć na nazwisko Brenner w biurze dowódcy żandarmerii przed godziną szóstą.

- Tak jest, sir.

- Czy nie wie pan czasem, czym jeździ pułkownik Moore? - spytała Cynthia.

Zastanowił się przez moment.

- Niech pomyślę... to stary samochód... właściwie można powiedzieć, że dość zajeżdżony... szary sedan... co to może być, u diabła. Już wiem, duży ford fairlane z 85 albo 86 roku.

- Bardzo nam pan pomógł - powiedziała. I dodała: - Wszystko to jest całkowicie tajne.

Kapral Stroud przytaknął i zaproponował:

- Gdybyście chcieli dowiedzieć się jeszcze czegoś na temat pułkownika Moore'a, zapytajcie mnie. Jeśli nawet nie wiem, to się dowiem.

- Dziękujemy - powiedziałem. Proszę, znaleźliby się i tacy, którzy z radością ujrzeliby pułkownika Moore'a w rowach śmierci w Leavenworth.

Wymieniliśmy saluty i wróciliśmy do swych samochodów. Cynthia wrzucając bieg zapytała:

- Pole Jordana?

- Zgadza się.

Skierowaliśmy się na teren rezerwatu. Sto tysięcy akrów należących do rządu to w większości teren nie zamieszkały. Pojawiają się na nim jednak ludzie: kłusownicy, myśliwi, traperzy. Poza tym z czasów poprzedzających Obóz Hadley pozostały opuszczone miasta, stare cmentarze, wiejskie kościołki, nieczynne kamieniołomy i tartaki, a także jakieś budynki, które kiedyś składały się na majątek plantacji Beaumont. Było to wyjątkowe środowisko, jakby zastygłe w chwili, kiedy rząd wystąpił o prawa do terenu, który sprostałby wymaganiom narodu na wypadek największej wojny, która miała być ostatnią z wojen.

Tak jak powiedziałem, miałem podstawowe, a następnie rozszerzone ćwiczenia piechociarza właśnie tutaj i nadal pamiętam teren: niegościnne i złowieszczo spokojne zalesione wzgórza, jeziora i stawy, bagna i moczary, hiszpański mech zwisający z drzew, fosforyzujący w księżycowej poświacie i wywołujący w nocy utratę orientacji.

Same ćwiczenia polegały na szkoleniu partyzanckim, którego celem było zamienić normalne amerykańskie dzieciaki w efektywnych, umotywowanych, lojalnych i gotowych do walki żołnierzy, napędzanych zdrowym pragnieniem mordowania. Wszystko to odbywało się w cztery tygodnie, które nam wydawały się wiecznością. Jeśli się nie traciło czasu, można było dołączyć do armii w czerwcu, zaraz po uzyskaniu dyplomu, tak jak to ja zrobiłem - i znaleźć się w dżungli z M-16 na ramieniu jeszcze przed Gwiazdką, co również mi się przytrafiło. Dostałem nowe ubranie, a mój umysł był jak odmieniony, Zadziwiająca metamorfoza.

Milczałem, więc odezwała się Cynthia:

- Czy głowisz się nad sprawą?

- Nie, wspominam. Odbywałem tutaj staż przygotowawczy w piechocie.

- Przed drugą wojną światową, czy przed Koreą?

~ Stosujesz niedopuszczalny wiekoizm. Uważaj na to, co mówisz.

- Tak jest, sir,

- Czy zagłębiałaś się kiedyś w te lasy?

- Nie. Strzelnica numer sześć stanowi granicę mojej znajomości terenu.

- To nie wiesz nic. Gdybyś pojechała tą drogą, która odchodzi tutaj w lewo - Drogą Generała Pershinga - doprowadziłaby cię ona do głównych terenów ćwiczebnych. Jest tam poligon artyleryjski i moździerzowy, a także wydzielone obszary dla specjalnych ćwiczeń

treningowych jak na przykład „kompania strzelców w ataku” i „połączone działania sił pancernych i piechoty”, „w buszu”, „nocny patrol” i tak dalej.

- Żadnych miejsc na pikniki?

- Ja przynajmniej sobie takich nie przypominam. Jest także stary obóz komandosów, fałszywe miasto europejskie dla ćwiczeń w warunkach miejskich, fałszywa wioska wietnamska, w której zginąłem jakieś sześć razy.

- Musiałeś być pojętym uczniem.

- Na to wygląda. Jest tam także pozorowany obóz jeniecki, który przejęła Szkoła Operacji Psychologicznych. Używany do dziś, na terenie zamkniętym.

- Rozumiem. - Przez chwilę zastanawiała się, a potem powiedziała: - Wyjaśnij mi w takim razie, czemu Ann Campbell mając do wyboru setki tysięcy akrów, wybrała sobie tak uczęszczane miejsce jak strzelnicę o pięćdziesiąt metrów od drogi, po której jeżdżą ciężarówki z patrolami żandarmerii i o kilometr od posterunku.

- Zastanawiałem się nad tym i trzy rzeczy przychodzą mi do głowy. Pierwsza, że spełniała swe obowiązki służbowe i została napadnięta. To wcale nie ona wybrała miejsce. On to zrobił. Tak w każdym razie każdy tutaj będzie myślał, ale my się nie damy nabrać.

- Nie, nie damy. Skoro jednak to ona wybrała miejsce, kierowała się tym, żeby jej partner nie miał kłopotów z jego znalezieniem. Jeśli bowiem nie jesteś dobrym komandosem czy kimś w tym rodzaju, możesz nie trafić na miejsce randki w ciemnym lesie.

- Zgadza się. To była właśnie moja druga myśl. Facet nie czuł się najlepiej nocą w lesie. I dodałem: - Tutaj masz zjazd na Pole Jordana.

- Widzę. - Skręciła w prawo na drogę przez lotnisko i zapytała: - A twoja trzecia myśl?

- Ann Campbell wybrała miejsce prawie publiczne dlatego właśnie, że bawiło ją ryzyko. Element gry, a może, tylko może, chciała sprawdzić, do czego jest zdolna na terenie, którego królem i władcą był jej własny ojciec. - Spojrzałem na Cynthię, która słuchając potakiwała.

- Może coś w tym jest, Paul - powiedziała. - Prawie na oczach ojca.

- Właśnie. Ale to by oznaczało, że Ann i jej tatuś serdecznie się nie lubili - podsumowałem.

- To samo sugerowałeś, kiedy przeszukiwaliśmy jej dom.

- Właśnie. Coś takiego przyszło mi do głowy. Może po prostu pomyślałem, że nie jest łatwo dziecku mężczyzny dysponującego wielką władzą żyć w jego cieniu. To dość powszechny syndrom.

- Tak... Nie ma najmniejszego dowodu, który by to potwierdzał, dlaczego więc myślę, że tak właśnie było?

- Ponieważ jak się nie widzi jednej strony medalu, trzeba spojrzeć na drugą. Czy ktokolwiek powiedział, że generał i jego córka byli nierozłącznymi, bliskimi, kochającymi się, a nawet tylko

dobrymi przyjaciółmi?

- No cóż, generał powiedział, że jego córka polubiłaby mnie.

- Ale nikt nie powiedział nic na temat serdeczności ich uczuć - ani Kent, ani Fowler, ani Moore, ani Yardley, ani nawet sam generał Campbell. Tak więc teraz powinniśmy się dowiedzieć, co generał i kapitan Campbell myśleli jedno o drugim.

Jeszcze raz skinęła głową.

- Mam uczucie - powiedziała - że w torbie z poszlakami już wiele się nie znajdzie i najwyższy czas, byśmy zaczęli składać części w całość, zanim odepchną nas ci z FBI.

- Masz absolutną rację. Daję nam na tę sprawę góra dwa do trzech dni. Potem możemy tylko szybko się okopywać. Jak podpowiada podręcznik dowódcy czołgów, na naszą przewagę składa się szybkość uderzenia, ruchliwość i siła ognia. Musimy trafić najmocniej w najsłabsze miejsce wroga i zjawić się szybko tam, skąd on najwolniej się wycofuje.

- I połączyć siłę z szybkością.

- Właśnie.

Podjechaliśmy do budki strażniczej przy wjeździe na Pole Jordana, wylegitymowano nas i wpuszczono.

Cynthia zaparkowała samochód pomiędzy furgonetkami i ciężarówkami laboratorium medycyny sądowej. Przy użyciu chusteczki wyjąłem plastikową torbę z bagażnika. Cynthia niosła szczotkę.

- Jeśli ona sama się rozbierała, to on trzymał torbę - powiedziała. - Na butach, kaburze, pasie i ubraniu może nie być śladów innej ręki. Chyba że na samej torbie.

- Wkrótce się dowiemy.

Ruszyliśmy w stronę hangaru.

- Twój mózg działa jak brzytwa, Brenner. Zaczynam cię podziwiać.

- Ale czy mnie lubisz?

- Nie.

- A kochasz mnie?

- Nie wiem.

- W Brukseli mówiłaś, że tak.

- W Brukseli cię kochałam. Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu, a może dziś w nocy, ale później.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Hangar trzeci tonął w jasnym świetle reflektorów i kipiał aktywnością speców od medycyny sądowej przetransplantowanych tutaj z Fortu Gillem. Pułkownik Kent jeszcze się nie zjawił, co na razie mi odpowiadało.

Wręczyłem plastikową torbę i szczotkę do włosów Calowi Sewerowi, który nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Oddał je technikowi od odcisków palców i polecił mu po skończonej pracy przekazać wszystko do sekcji opisującej dowody materialne.

W tej chwili, po dostarczeniu torby z ubraniami, w hangarze trzecim znajdowały się wszystkie przedmioty związane z Ann Campbell, z wyłączeniem szczątków samej ofiary, za to z jej samochodem, zawartością biura i domu. Stał tutaj także łazik, którym jeździła tamtej tragicznej nocy. Kiedy weszliśmy w głąb hangaru, zobaczyłem świeżo wywołane zdjęcia miejsca zbrodni, wszystkie przypięte do tablic, a także szkice i diagramy, stos raportów laboratoryjnych i kompletny protokół z kolorowymi zdjęciami zmarłej, na które nie chciałem patrzeć, odlewy śladów butów, celofanowe torebki z dowodami, sprzęt laboratorium medycyny sądowej i jakieś trzydzieści osób personelu płci mieszanej.

W jednym rogu hangaru stało kilkanaście prycz, a w drugim umieszczono bar kawowy. Wojsko, oczywiście, może bez ograniczeń korzystać ze sprzętu i ludzi, nie trzeba się martwić nadgodzinami, za które należy dodatkowo płacić, a co więcej, żadna inna zbrodnia pierwszego stopnia najprawdopodobniej nie zmusiłaby nas do podzielenia się teraz tym wszystkim. Czasami nawet ja staję w podziwieniu, widząc jak wiele można osiągnąć za pomocą zaledwie kilku słów. To tak jak wtedy, kiedy Roosevelt powiedział do Eisenhowera: „Zbierz siły na inwazję w Europie.” Prosto, bezpośrednio i na temat. To właśnie jest najlepsze w wojsku. Najgorsze zdarza się, gdy politycy próbują udawać żołnierzy, a żołnierze polityków. Podczas wojny, ale także przy śledztwach w sprawach kryminalnych. I dlatego też wiedziałem, że mój czas liczy się w dniach i godzinach.

Cal Seiver pokazał mi egzemplarz *Gońca Midland*, lokalnej gazety codziennej, gdzie wielki nagłówek obwieszczał: CIAŁO CÓRKI GENERAŁA ZNALEZIONO NA TERENIE JEDNOSTKI.

Przeczytaliśmy z Cynthią artykuł, który informował bardziej niż dokładnie o tym, że kapitan Campbell została znaleziona na terenie strzelnicy naga, związana, uduszona i najprawdopodobniej zgwałcona. Opowieść była w połowie zgodna z prawdą, choć artykuł mógł powołać się jedynie na wypowiedź kapitan Hillary Barnes, rzeczniczki prasowej Fortu Hadley, która poza oficjalnym komunikatem, że popełniono morderstwo i że jest prowadzone śledztwo, nie podała żadnych szczegółów.

Jednak znalazł się tam jeszcze cytat z wypowiedzi szefa miejscowej policji, Burta Yardleya: „Zaproponowałem swoją pomoc pułkownikowi Kentowi, komendantowi żandarmerii z Fortu Hadley, i jesteśmy w bliskim kontakcie.”

Zapomniał napomknąć o przeniesionej zawartości domu, jak również o tym, że byłby uszczęśliwiony, gdyby otrzymał moją głowę na srebrnej tacy, ale prawdopodobnie zacznie się wypłakiwać prasie na mój temat po naszym następnym spotkaniu.

- Czy w tych butach chodziłaś po miejscu zbrodni? - zapytał Cal Cynthię.

- Tak. Chcesz same buty, czy odcisk mojej obutej nogi?

- Wystarczy but.

Cynthia siadła na składanym krześle, ściągnęła tenisówki i wręczyła je Calowi.

- A gdzie są buty, w których ty chodziłaś po szóstce? - zapytał mnie.

- W mojej kwaterze poza jednostką, zapomniałem je przywieźć,

- Czy mógłbym je wkrótce dostać?

- Jasne, na dniach. Na pewien czas jestem, niestety, przywiązany do jednostki.

- Znowu? Jezu, Brenner, za każdym razem kiedy pracuję z tobą i masz do czynienia z miejscową policją, doprowadzasz ich do białej gorączki.

- Nie za każdym razem. Dobra, Cal, poślij ludzi na teren strzelnicy numer pięć, żeby zbadali ślady opon samochodu. - Powiedziałem mu, gdzie znajdują te, o które mi chodziło. Natychmiast porwał się, żeby załatwić sprawę. - Jeszcze jedno - powstrzymałem go. - Kiedy już tam skończą, wyślij ich do Ogrodów Zwycięstwa przy Alei Zwycięstwa, niech zdejmą ślady opon forda fairlane, prawdopodobnie szarego, rocznik 1985 lub 86, z nalepką oficerską. Nie mam numerów samochodu, ale numer domu powinien być około trzydziestu dziewięciu.

Przyglądał mi się przez chwilę.

- Jeśli samochód należy do żołnierza - powiedział - możemy poczekać, aż przyjedzie do jednostki.

- Chcę mieć wyniki dziś w nocy.

- Daj spokój, Brenner, nie mogę zbierać dowodów poza terenem należącym do rządu bez pozwolenia od władz miejscowych. A ty już postarałeś się o to, że od nich nic nie dostaniemy.

- Masz rację. Nie bierz wojskowego samochodu. Domek czterdzieści pięć, miejsce zamieszkania ofiary, jest pod opieką policji z Midland, ale strażnik będzie prawdopodobnie wewnątrz. Powiedz swoim chłopakom, żeby zrobili to szybko i sprawnie.

- To może poczekać, aż samochód znajdzie się na terenie jednostki.

- Dobra. - Położyłem rękę na jego ramieniu. - Rozumiem. Mam tylko nadzieję, że te opony nie znikną do rana. Właściwie to mam nadzieję, że cały samochód nie zniknie do rana. Ale wszystko w porządku. Poczekajmy do jutra.

- Niech ci będzie, zrobimy to na terenie Ogrodów Zwycięstwa. Ale nie prowokuj za bardzo swojego szczęścia, gorąca pałko. - Odszedł w stronę ludzi, którzy opisywali odciski butów i zaznaczali coś na mapie miejsca zbrodni. Cal podał im tenisówki Cynthii i coś do nich powiedział, prawdopodobnie na temat nocnej misji, bo cały czas wskazywał palcem w moją stronę, a technicy zerkali na nas.

Zrobiłem kawę dla siebie i dla Cynthii, która przerzucała raporty laboratoryjne. Wzięła filiżankę i powiedziała:

- Dzięki. Spójrz na to. - Pokazała mi raport ludzi od śladów stóp. - Znaleźli odcisk buta o gładkiej podeszwie, numer siedem, chyba damskie obuwie cywilne. To raczej rzadkość na terenie strzelnicy, prawda?

- Raczej tak.

- Czy coś ci przychodzi na myśl?

Przebiegłem wzrokiem raport. Odcisk powstał stosunkowo niedawno.

- Interesujące - powiedziała. - Może jednak mieć kilka dni. Ponad tydzień nie padało.

Przeglądaliśmy przez jakieś piętnaście minut raporty różnych jednostek medycyny sądowej, potem zawołał nas Cal. Stanęliśmy koło niego przy stole, gdzie kobieta-technik spoglądała w mikroskop.

- Możliwe, że trafiliście w dziesiątkę z tym włosem. Skąd go macie?

Poklepałem go po łysinie.

- Nie z twojej głowy.

Laborantka zaśmiała się i szybko ukryła twarz, pochylając się nad mikroskopem. Cal wcale nie był ubawiony.

- Ponieważ to ty reprezentujesz mózg waszego zespołu - zwrócił się do Cynthii - może byś popatrzyła.

Kobieta odsunęła się, a Cynthia usiadła przy stole. Laborantka, specjalistka Lubbrick, jak głosiła naszywka na jej fartuchu, powiedziała:

- Włos, który widać po prawej stronie, został znaleziony w umywalni męskiej latryny na strzelnicy numer sześć. Włos po lewej zdjęłam z przyniesionej przez was szczotki.

Cynthia patrzyła w mikroskop, a specjalistka Lubbrick mówiła dalej:

- Zbadałam dwadzieścia włosów zdjętych ze szczotki i nie ma wątpliwości, że wszystkie należą do jednej osoby. Opierając się na statystyce i logice można stwierdzić, że nie ma włosów innych osób na szczotce, chociaż oczywiście sprawdzę wszystkie, zanim napiszę raport.

Chciałem powiedzieć „przejdźmy do sedna”, ale trzeba tym technicznym typom pozwolić się wygadać, bo inaczej popadają w całkowite milczenie.

Specjalistka Lubbrick ciągnęła swoje:

- Włosy dzielimy na pewne klasy. Żaden nie jest identyczny jak próbka. Mogą być użyte do wyeliminowania podejrzanego, ale nie można ich traktować jako dowodu w sądzie, chyba że obie próbki mają korzenie, wtedy da się określić płeć danego osobnika i znacznik genetyczny.

- Wydaje mi się, że oni to wiedzą - wtrącił się Cal.

- Tak jest, sir. W każdym razie włos znaleziony w latrynie nie miał korzenia, ale z trzonu udało mi się ustalić, że to włos osoby o grupie krwi Zero. Co więcej, obie próbki należą do białego człowieka, są wyraźnie podobne jeśli chodzi o budowę, kolor i tak dalej.

Cynthia podniosła wzrok znad mikroskopu.

- Rzeczywiście są podobne.

- Moim zdaniem - stwierdziła specjalistka Lubbrick - pochodzą od tej samej osoby, chociaż próbka pobrana z umywalki jest zbyt mała, by dało się przeprowadzić takie testy, jak analiza spektralna, która mogłaby ujawnić więcej podobieństw. Kolejne testy zniszczyłyby pojedynczy włos znaleziony w latrynie, - I dodała: - Niektóre z włosów na szczotce mają korzenie i za jakąś godzinę będę w stanie podać płeć osoby, z której głowy pochodzą, i znacznik DNA.

- Rozumiem - skinąłem głową.

Cynthia wstała i zwróciła się do Lubbrick:

- Proszę opisać i włożyć do torebki ten, a potem dołączyć do swego raportu.

- Czy wystarczy ci to jako podstawa do aresztowania? - zapytał Seiyer.

- Nie, ale będzie znakomitą wskazówką, że należy się temu facetowi bliżej przyjrzeć.

- Jakiemu facetowi?

Odszedłem z nim na stronę, z dala od techników.

- Ten facet to pułkownik Charles Moore i właśnie ślady jego opon masz zbadać. Biuro Moore'a znajduje się na terenie Szkoły Operacji Psychologicznych. Był szefem ofiary.

Cynthia, która podeszła do nas, dodała:

- A na razie, Cal, porównaj odciski palców znalezionych na łaziku z tymi na szczotce pułkownika Moore'a, a także ze śladami na plastikowej torbie i przedmiotach, które w niej były.

- Dobrze. - Przez chwilę zastanawiał się, a potem powiedział: - Ale nawet fakt, że będą pasować, nie oznacza, że pułkownik Moore przebywał na miejscu morderstwa, jeśli znał ofiarę. Bardzo łatwo może wyjaśnić, dlaczego odciski jego palców znalazły się na kaburze jej pistoletu lub na łaziku.

- Wiem - zgodziłem się z nim - ale znacznie trudniej mu będzie wyjaśnić, dlaczego znajdują się one na torbie lub dlaczego ślady opon jego samochodu odkryliśmy na terenie strzelnicy numer pięć.

Cal kiwnął głową.

- Ale wciąż jeszcze będziesz musiał udowodnić, że znajdował się tam w chwili morderstwa.

- To prawda. Dlatego też chciałbym, żebyś porównał odciski palców na szczotce z częściowymi odciskami na śledziach namiotowych. Jeśli będziemy mieli ślady opon i wystarczająco wiele pasujących fragmentów odcisków palców, to wystarczy, by lina zacisnęła się mocniej na jego szyi. Zgadza się?

Cal przytaknął.

- Tak. Ty tu jesteś detektywem. Ja bym głosował, że jest winny, ale w dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo. - Odwrócił się i ruszył w stronę zespołu badającego odciski palców.

- Jeśli przesłuchamy Moore'a i zademonstrujemy mu dowody, jest szansa, że przyzna nam się do tego, co zrobił - rozważała Cynthia.

- Właśnie. Albo powie nam, że tego nie zrobił. Wtedy wstrzymamy oddechy, a skład sędziowski Sądu Wojskowego podejmie decyzję, czy pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych zadusił córkę generała Campbella, czy też chorążowie Brenner i Sunhill wskazali na niewłaściwego chłopaczka, całkowicie zblamowali siebie, wojsko, i spartolili sprawę.

Cynthia przez moment zastanawiała się.

- Jeśli wszystkie dowody z laboratorium medycyny sądowej będą wskazywać na Moore'a, czy

będziesz miał wątpliwości?

- A ty?

- Raczej tak. Jakoś trudno mi uwierzyć, że Ann Campbell cokolwiek robiła z tym facetem. Nie potrafię też sobie wyobrazić, że to on ją udusił. Wygląda na tak psychicznie skrzywionego, że mógłby wsypać truciznę do kawy, ale nie zamordowałby gołymi rękami.

- To mnie właśnie dręczy. Ale nigdy nie wiadomo... mogła go poprosić, żeby to zrobił. Błagać, by ją zamordował. Miałem kiedyś taką sprawę. - Spojrzałem ponad ramieniem Cynthii. - A tymczasem przybywa przedstawiciel prawa.

Pułkownik Kent pokonywał hangar długimi krokami. Spotkaliśmy się w pół drogi.

- Coś nowego? - zapytał.

- Zbliżamy się do czegoś, Bill. Czekam na odciski palców i ślady opon.

- Żartujesz? - Jego oczy stały się zupełnie okrągłe. - Kto?

- Pułkownik Moore.

Przez chwilę rozważał moje słowa, a potem przytaknął.

- Pasuje.

- Dlaczego ci to pasuje, Bill?

- No... byli ze sobą bardzo blisko, miał okazję, a poza tym nie dałbym za niego złamanego dolara. To świr. Tylko nie wiem, jaki mógłby mieć motyw.

- Ja także nie. - I zapytałem Kenta: - Powiedz mi coś o stosunkach między kapitan i generałem Campbell.

- Co mam ci o nich powiedzieć?

- Czy byli ze sobą blisko?

Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

- Nie byli.

- Mów dalej.

- No... lepiej, żebyśmy porozmawiali o tym innym razem.

- Wolisz porozmawiać w Falls Church?

- No, no, nie strasz mnie.

- Posłuchaj, pułkowniku, jestem oficerem śledczym w sprawie o morderstwo. Możesz uważać, że obowiązują cię jakieś nakazy towarzyskie albo zawodowe, ale tak nie jest. Twoim obowiązkiem jest odpowiedzieć na moje pytania.

Kent nie wyglądał na najszcześniejszego, ale jednocześnie czuł chyba ulgę, że ktoś powiedział mu wprost, by zrzucił z siebie ciężar. Ruszył w kierunku środka hangaru, a my za nim.

- Dobra - powiedział. - Generał Campbell nie aprobował wyborów córki. Ani wyboru jej specjalności zawodowej, ani wyboru mężczyzn, ani decyzji mieszkania poza jednostką, ani jej związków z takimi ludźmi jak Charles Moore i najprawdopodobniej dziesiątków innych spraw, o których nie mam pojęcia.

- Nie był z niej dumny? - zapytała Cynthia.

- Nie sądzę.

- Wojsko było - nie ustępowała.

- Wojsko miało tyle samo do gadania, co generał Campbell - odparł Kent. - Mówiąc bez ogródek, Ann Campbell jedną ręką trzymała za jaja generała, a drugą wojsko.

- A cóż to ma niby znaczyć? - zapytała Cynthia.

- Że jako kobieta, córka generała, absolwentka West Point i właściwie osoba publiczna, mogła sobie na wiele pozwolić. Zabrała się za tę całą rekrucką robotę, zanim jej ojciec zorientował się, co się dzieje. Całkiem nagle uzyskała prawo do publicznych wypowiedzi, zaczęła występować w radiu i telewizji, zwracać się do kolegów-żołnierzy, walcząc o pozycję kobiet w armii. Wszyscy ją uwielbiali. Tyle tylko że ona wcale nie dbała o wojsko. Po prostu chciała być nietykalna.

- Dlaczego? - zapytała Cynthia.

- Jeśli generał nie aprobował wyborów swojej córki, ona tym bardziej nienawidziła jego stylu życia. Robiła, co mogła, by publicznie stawiać go w niezręcznej sytuacji, a wszystko to wymierzone było w jego karierę.

- Mój Boże - jęknąłem - to dopiero informacja. Musiałeś o tym zapomnieć, kiedy skręcałeś się na myśl o przekazaniu generałowi wiadomości o śmierci córki.

Kent rozejrzał się i powiedział ściszym głosem:

- To tylko między nami. Oficjalnie, po prostu się ubóstwiali. - Zawahał się i dodał: - Żeby już powiedzieć całą prawdę, generał nie aprobował tego czy tamtego, ale nie nienawidził jej. Posłuchajcie, to są tylko pogłoski i powtarzam je wam w zaufaniu, żebyście wiedzieli, co tu się w ogóle dzieje. Nie słyszeliście tego ode mnie, ale możecie pójść tym tropem.

- Dzięki, Bill - skinąłem głową. - Coś jeszcze?

- Nie.

Ale oczywiście coś było.

- Których to mężczyzn - zapytałem - nie aprobował generał, poza pułkownikiem Moore'em?

- Nie wiem.

- Czy jednym z nich był Wes Yardley?

Przyglądał mi się dość długo, wreszcie przytaknął.

- Tak sędzę - powiedział.

- Czy w tę awanturę w Midland zamieszany był właśnie Wes Yardley?

- To możliwe.

- Dlaczego chciała zawstydzić ojca?

- Nie wiem.

- Czemu go nienawidziła?

- Jeśli to odkryjesz, daj mi znać. Ale to musiał być potężny powód.

- Jakie były jej stosunki z matką?

- Napięte - odparł Kent. - Pani Campbell miotła się między rolą żony generała i matki bardzo niezależnej kobiety.

- Innymi słowy - powiedziałem - pani Campbell była domatorką, a Ann Campbell próbowała obudzić ją z letargu.

- Coś w tym sensie, ale to nieco bardziej skomplikowane. Powinieneś porozmawiać z panią Campbell.

- Mam zamiar. Powiedz mi jeszcze raz, że nigdy nie byłeś u Ann Campbell, a będę musiał tłumaczyć, czemu odciski twoich palców znalazły się na butelce alkoholu w jej domu.

- Mówiłem ci, Brenner, dotknąłem kilku rzeczy przy pakowaniu.

- Butelka była zapakowana przez twoich ludzi i otwarta dopiero godziną temu.

- Nie wciągniesz mnie w tę pułapkę, Paul. Ja też jestem gliniarzem. Jeśli masz dowód, porozmawiajmy z Seiverem i niech mi go pokaże.

- Posłuchaj, Bill. Oczyśćmy tu trochę atmosferę, żebyśmy mogli zająć się poważniejszymi sprawami, na przykład pułkownikiem Moore'em, Zadaję ci pytanie i pamiętaj, że masz obowiązek odpowiedzieć na nie zgodnie z prawdą, a jeśli to nie robi na tobie wrażenia, weź pod uwagę, że mogę tę prawdę odkryć. Dobra? Oto więc wielkie pytanie; chodziłeś z nią do łóżka?

- Tak.

Przez kilka sekund nikt nic nie mówił. Zauważyłem, że Kenta nie wzruszyło specjalnie własne wyznanie. Nie przypomniałem mu, że powinien był mi to powiedzieć od razu, bo lepiej przyjąć, że właśnie teraz jest to od razu, niż zastanawiać się, czy poprzednie oświadczenia były kłamliwe.

Wreszcie odezwała się Cynthia:

- Czy to był jeden ze sposobów, w jaki Ann Campbell usiłowała wprowadzić w zakłopotanie swego ojca?

- Taaa... - Kent skinął głową - zawsze w ten sposób na to patrzyłem. Generał wiedział... już ona się o to postarała. Ale moja żona nie. Dlatego wolałem milczeć.

Mój Boże, pomyślałem, jakie rzeczy ludzie mówią ci w środku nocy pod wpływem napięcia. Próbują uporządkować swoje życie, ponieważ czyjeś właśnie dobiegło końca, starają się uratować to, co pozostało z ich kariery i małżeństwa. Najwyraźniej pułkownik William Kent potrzebował mojej pomocy.

- Postaramy się nie zamieszczać tego w raporcie - powiedziałem.

Znowu skinął głową.

- Dzięki. Ale kiedy Ann już nie ma, generał może wreszcie wyrównać dawne rachunki. Otrzymam propozycję odejścia ze służby. Może uda mi się przynajmniej uratować małżeństwo.

- Zrobimy, co w naszej mocy - powiedziała Cynthia.

- Doceniam to.

- Jakie dawne rachunki generał będzie chciał wyrównywać?

Kent uśmiechnął się ponuro.

- Chryste, pieprzyła się z całym męskim personelem jednostki.

- Co?

- Z każdym. No, prawie. Począwszy od tego młodego porucznika, Elby'ego, adiutanta generała,

przez wszystkich oficerów, prawników z Sądu Wojskowego aż do ludzi z dowództwa, takich jak ja.

- Mój Boże... - jęknęła Cynthia. - Nie żartujesz?

- Obawiam się, że nie.

- Ale dlaczego?

- Mówiłem ci. Nienawidziła ojca.

- W takim razie - powiedziała Cynthia - o sobie też nie była najwyższego mniemania.

- Nie, nie była. I jeśli chodzi o ścisłość, mężczyźni, którzy szli z nią do łóżka, później nie byli w najlepszym nastroju. - Po chwili dodał: - Nie było łatwo jej odmówić. - Spojrzał na mnie i spróbował się uśmiechnąć. - Czy rozumiesz to, panie Brenner?

Pytanie wprowadziło mnie w lekkie zakłopotanie, ale odpowiedziałem uczciwie.

- Tak, rozumiem. Ale nie jestem żonaty i nie pracuję dla generała Campbella.

Uśmiechnął się szerzej.

- W takim razie nie znalazłbyś się na jej liście i nie musiałbyś przechodzić tego testu.

- No...

- Jeśli nie masz władzy - dodał Kent - futerko nie dla ciebie.

- I ona opowiadała ci... - wtrąciła się Cynthia - mówiła wszystkim, z kim sypia?

- Tak. Sądzę, że to była jedna z reguł gry: siać demoralizację, niszczyć zaufanie, wzbudzać lęk, niepokój i tym podobne. Ale przypuszczam, że czasami kłamała, opowiadając kogo obsłużyła.

- Więc na przykład - powiedziałem - nie możesz być pewny, że sypiała z kapelanem jednostki, majorem Eamesem, lub adiutantem, pułkownikiem Fowlerem.

- Pewny nie jestem. Ale twierdziła, że uwiodła ich obu. Myślę jednak, że przynajmniej pułkownik Fowler nie uległ jej. Fowler powiedział mi kiedyś, że wie o tym wszystkim i że mój udział w zabawie go martwi. Chyba chciał przez to powiedzieć, że się nie dał. Jest jedyną osobą, której generał całkowicie ufa nie bez powodu.

Pokiwałem głową. Potrafiłem wyobrazić sobie pułkownika Fowlera, który zwraca się do Ann Campbell: „Nie próbuj ze mną takich sztuczek, młoda damo. Ja ciebie nie potrzebuję.”

- To jest takie dziwne - powiedziała Cynthia do Kenta. - To znaczy, takie... chore.

Kent przytaknął.

- Ann powiedziała mi kiedyś, że przeprowadza eksperyment polowy z zakresu wojny psychologicznej, w której jej wrogiem jest tatuś. - Roześmiał się, ale niewesoło. I jeszcze raz powtórzył: - Nienawidziła go. I to tak prawdziwie, z trzewi i serca. Nie mogła go zniszczyć, ale stawiała na głowie, by go zranić.

Znowu długo milczeliśmy, wreszcie odezwała się Cynthia, jakby do siebie.

- Ale dlaczego?

- Nigdy mi nie powiedziała - odparł Kent. - I chyba nikomu. Ona wiedziała, on wiedział, może jeszcze pani Campbell. Tak naprawdę to nie była szczęśliwa rodzina.

- I może - wtrąciłem - wiedział także pułkownik Moore.

- Na pewno. Ale nie wiem, czy się kiedyś tego dowiemy. Powiem wam coś, w co głęboko wierzę. To Moore stał za całą tą sprawą. On powiedział Ann, jak się odegrać na ojcu za wszystko, co jej zrobił. Cokolwiek to było.

Byłem w stanie mu uwierzyć. Tyle że sprawa motywu jeszcze bardziej się gmatwała. Ann Campbell była *protege* Moore'a. Jego tarczą ochronną przed generałem i najwspanialszym eksperymentem w jego życiu. Ten skurwiel zasługiwał na śmierć, ale powinien umrzeć za to, co rzeczywiście zrobił.

- I gdzie odbywały się twoje schadzki z córką generała? - zapytałem Kenta.

- Tu i ówdzie - odpowiedział. - Przeważnie w motelach przy autostradzie, ale nie miała nic przeciwko zakazanym przyjemnościom na miejscu. W jej biurze, w moim biurze.

- Au niej w domu?

- Od czasu do czasu. Przyznaję, że jeśli o to chodzi, wprowadziłem was w błąd. Ale dom był twierdzą jej prywatności.

Albo nie wiedział o pokoju w piwnicy, albo myślał, że ja nie wiem, a jeśli został uwieczniony na jednym z tych zdjęć, nie chciał sam się wyrwać z informacją.

- Więc gdyby Moore był zabójcą - powiedział Kent - obyłoby się bez specjalnego uszczerbku dla wojska i ludzi z Hadley. Ale jeśli to nie Moore i szukacie dalszych podejrzanych, to liczcie się z tym, że będziecie zadawać pytania wielu mężczyznom z tej jednostki, Paul. Wyszedłem z tego czysty i powinniście innym pomóc także się oczyścić. Jak sam powiedziałaś, to jest sprawa o zabójstwo, i do diabła z karierami, reputacją, porządkiem i dyscypliną. - Przerwał, a potem dodał: - Jezu, czy wyobrażacie sobie te nagłówki? I artykuły pod nimi. Cały sztab generalski i większość kadry oficerskiej zdemoralizowana i skompromitowana przez jedną kobietę-oficera. Cofniemy się o kilka dziesiątków lat. Mam nadzieję, że to był Moore - mruknął jeszcze - i że to zakończy sprawę.

- Jeśli sugerujesz - odparłem - że pułkownik Moore jest najlepszym kandydatem do powieszenia, chociaż raczej to nie on, muszę ci przypomnieć twoją przysięgę.

- Przecież właśnie wam powiedziałem, że macie kopać, aż się dokopiecie. Ale gdyby to był Moore, nie pozwólcie, by wciągnął do dołu także innych. Jeśli on popełnił morderstwo, niezgodne z moralnością zachowania innych osób nie mają znaczenia i nie są okolicznością łagodzącą dla jego zbrodni. Tak stanowi prawo. Nie mieszajmy różnych spraw.

Okazało się, że Kent wcale nie jest taki sztywny, jakim go pamiętałem. Zadziwiająco wyostrza się człowiekowi widzenie problemów, kiedy spodziewa się on utraty własnego honoru, rozwodu lub nawet postawienia przed sądem. Wojsko wciąż oskarża nie za to, za co należy, a pułkownik Kent wyraźnie został wystrychnięty na dudka. Czasami stoję w zdumieniu, jak wielka jest siła seksu i jak wielu ludzi gotowych jest zaryzykować honor, majątek, a nawet życie - za godzinę między dwoma udami. Z drugiej jednak strony, jeśli te uda należą do Ann Campbell... ale nie to jest tematem rozważań.

- Doceniam twoją uczciwość, pułkowniku - powiedziałem. - Kiedy jeden człowiek zaczyna głosić prawdę, inni pójdą w jego ślady.

- Może - niepewnie zgodził się Kent - ale byłbym wdzięczny, gdybyś nie wymieniał mojego nazwiska.

- Dobrze, choć na dłuższą metę nie ma to znaczenia.

- Rzeczywiście nie ma. Jestem skończony. - Wzruszył ramionami. - Wiedziałem to już dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy się z nią umówiłem - dodał prawie pogodnie. - Musiała prowadzić jakiś grafik swoich usług, bo za każdym razem, kiedy już prawie udawało mi się przekonać samego siebie, że nigdy z nią nie spałem, wpadała do mojego biura i zapraszała na drinka.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, żeby powiedzieć „nie”? - dopytywała się Cynthia.

Kent uśmiechnął się do niej.

- Czy zdarzyło ci się, że zaprosiłaś faceta do łóżka, a on powiedział „nie”?

Cynthia wydawała się lekko zbита z tropu, ale odpowiedziała:

- Nie składam mężczyznom takich propozycji.

- No, to spróbuj kiedyś - poradził jej Kent. - Wybierz jakiegokolwiek żonatego mężczyznę i zaproponuj mu seks ze sobą.

- Ja nie jestem podmiotem sprawy, pułkowniku - powiedziała lodowato Cynthia.

- Prawda, przepraszam. Ale odpowiadając na twoje pytanie: Ann Campbell nie uznawała odpowiedzi odmownej. Nie chcę przez to powiedzieć, że szantażowała kogokolwiek. Nigdy tego nie robiła, ale czasami pojawiał się element przymusu. Poza tym wymagała drogich podarunków -

perfum, ubrań, biletów lotniczych i takich tam. Było w tym coś szalonego, bo tak naprawdę nie dbała o rzeczy. Chciała chyba od czasu do czasu, aby mężczyzna poczuł, że traci nie tylko chwilę czasu. W ten sposób kontrolowała nas - stwierdził. - Pewnego razu poprosiła mnie o butelkę dobrych perfum. Już nie pamiętam marki, ale kosztowały mnie ze czterysta dolarów, musiałem wziąć pożyczkę ze związku, żeby ukryć to w domu. I przez miesiąc jadałem obiady w podłych jadłodajniach. - Roześmiał się na samo wspomnienie, a potem powiedział: - Mój Boże, jak dobrze, że to już jest poza mną.

- No, niezupełnie - przypomniałem mu.

- Dla mnie tak.

- Mam nadzieję, Bill - powiedziałem poważnie i zapytałem: - Czy prosiła cię kiedyś, żebyś wykorzystał dla niej swoją pozycję służbową?

Zawahał się, ale rzekł:

- Drobne sprawy. Jakies talony dla przyjaciół, raz pochwalna notka na jej temat. Nic poważnego,

- Chciałbym umieć to odróżniać.

Skinął głową.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Właśnie tak powie przed sądem. Jedyna i najlepsza rzecz, którą mógł powiedzieć. Zastanawiałem się, jak demoralizowała innych mężczyzn - poza sferą łóżka, oczywiście. Tu jakaś grzeczność, tam specjalne potraktowanie, kto wie... Od dwudziestu lat jestem w wojsku, w tym piętnaście w CID, i nigdy dotąd nie słyszałem o tak szeroko zakrojonej demoralizacji.

- I generał nie mógł jej ani powstrzymać, ani pozbyć się z jednostki? - zapytała wreszcie Cynthia.

- Nie mógł. W każdym razie nie narażając siebie na opinię złego dowódcy. Zanim zdążył się zorientować, że jego córka z plakatu dla rekrutów skompromitowała wszystkich w promieniu kilku kilometrów, było już za późno na jakąkolwiek oficjalną akcję. Mógł uzdrowić sytuację jedynie informując o sprawie zwierzchników z Pentagonu, zmuszając oficerów z Fortu Hadley do złożenia rezygnacji oraz składając ją osobiście - powiedział Kent. - A najlepsze, co mógł zrobić, to popełnić samobójstwo.

- Albo ją zabić - podsunęła Cynthia. Kent znowu wzruszył ramionami.

- Może. Ale nie w taki sposób.

- Wracając do ciebie - powiedziałem - jeśli nie będziemy mieli głównego oskarżonego, to staniesz się jednym z wielu, pułkowniku.

- Tak. Na szczęście nie pogrzyłem się tak głęboko jak niektórzy. Paru naprawdę się w niej

zakochało. Wręcz dostali bzika i szaleli z zazdrości. Jak ten dzieciuch, Elby. Tygodniami, kiedy go ignorowała, wyglądał jak zbity pies. Spytajcie o to Moore'a. Zapytajcie go o listę podejrzanych. Ten skurwiel wiedział wszystko na jej temat, a jeśli powie, że to informacja zastrzeżona, zawołajcie mnie. Włożę mu pistolet do ust i poinformuję, że może sobie ją zabrać do grobu.

- Postaram się być bardziej subtelny - obiecałem. - A biuro Moore'a niech zostanie zamknięte, dopóki go tutaj nie sprowadzę.

- Powinieneś mu od razu założyć kajdanki. - Kent spojrział na mnie i dodał: - Teraz już rozumiesz, dlaczego nie chciałem, żeby tutejsza CID zajęła się tą sprawą.

- Chyba tak. Czy któryś z nich był z nią związany?

Zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

- Komendant CID, major Bowes.

- Jesteś tego pewien?

- Zapytaj go. To jeden z twoich ludzi.

- Czy dogadujesz się jakoś z Bowesem?

- Próbujemy.

- Co wam przeszkadza?

- Wchodzimy sobie w drogę. Dlaczego pytasz?

- Chodzi o aktywność zawodową, czy coś innego?

Spojrział na mnie.

- No... - niechętnie powiedział - major Bowes stał się zaborczy.

- Nie lubi się dzielić.

Kent skinął głową.

- Rzadko który z jej chłopców tak reagował. Nie podobało jej się, kiedy któryś się przywiązywał. - I dodał: - Żonaci mężczyźni to prawdziwe świny. - Zastanowił się przez moment. - Nie ufaj nikomu w tej jednostce, Paul - powiedział jeszcze.

- Tobie też nie?

- Też - Kent spojrział na zegarek. - Czy to wszystko? Chciałeś się ze mną spotkać w jakiejś konkretnej sprawie?

- Cokolwiek to było, teraz już nie ma znaczenia.

- Dobrze. Wracam do domu. Możesz mnie tam łapać do siódmej rano, potem będę w biurze. Gdzie cię zastanę, w razie czego?

- Oboje mieszkamy w kwaterach oficerskich - odpowiedziała Cynthia.

- Dobrze. No cóż, żona prawdopodobnie próbuje się do mnie dodzwonić z Ohio. Już na pewno zaczęła podejrzewać, że mam romans. Życzę wam dobrej nocy. - Odwrócił się i wyszedł. Jego krok wydawał się znacznie mniej sprężysty, niż kiedy wchodził do hangaru.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Cynthia. - Czy on nam właśnie powiedział, że Ann Campbell sypiała z prawie wszystkimi oficerami tej jednostki?

- Tak, to właśnie powiedział. Teraz już wiemy, co to za mężczyźni są na zdjęciach.

Pokiwała głową.

Tak więc, pomyślałem, pułkownik Kent, wzór cnót, przedstawiciel prawa i porządku złamał wszystkie możliwe zasady. Ten sztywny jak-kij-połknął mężczyzna miał przecież libido i to zaprowadziło go na ciemną stronę księżycą.

- Czy Bill Kent popełniłby morderstwo, aby uratować swoją „reputację”? - zapytałem Cynthii.

- To możliwe - odpowiedziała. - Ale raczej uważał, że jego sekret jest tajemnicą poliszynela i tylko czekał, kiedy spadnie na niego karzący miecz generała Campbella.

- Jeśli więc nie dla uniknięcia upokorzenia i hańby, jak to określają w podręczniku, co powiesz o zazdrości?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Kent sugerował, że jego związek z Ann Campbell był rodzajem sportu. Pożądanie, ale bez prawdziwego zaangażowania. I ja mu wierzę. - Zobaczyła, że czekam na coś więcej, zastanowiła się jeszcze przez chwilę, a potem powiedziała: - Z drugiej jednak strony, motyw, który przypisywał majorowi Bowesowi, zaborczość, mógł być przeniesiony z własnych uczuć. Pamiętaj, że on jest gliną i czytał te same podręczniki co my. Wie, jaką drogą idzie nasze rozumowanie.

- Właśnie. Jednak jakoś trudno mi myśleć o nim jako o człowieku namiętym, zazdrosnym, a nawet emocjonalnie związanym z jakąkolwiek kobietą.

- Wiem. Ale to ci najzimniejsi najmocniej płoną wewnątrz. Spotykałam już takich wcześniej, Paul. Kontrolujący się odmieńcy, konserwatywni i zbikowani na punkcie reguł i regulaminów. Używają tych mechanizmów, ponieważ boją się własnych namiętności. Sami bowiem wiedzą, jakie piekło wrze pod ich mundurami. Nie umieją w sposób naturalny regulować tych rzeczy i jeśli się zagalopują, są zdolni do wszystkiego.

Przytakiwałem, słuchając tego wywodu.

- Czy nie stajemy się za bardzo opętani psychologią?

- Może - wzruszyła ramionami. - Ale lepiej nie spuszczaćmy oka z pułkownika Kenta. On kieruje się nieco innymi zasadami niż my.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Cal Seiver powiedział, że skończył z gabinetem Ann Campbell czy raczej z tym, co kiedyś było jej gabinetem, więc usiadłem na sofie i puściłem następną kasetę z serii wykładów. Wokół mnie kręcili się ludzie z laboratorium medycyny sądowej, zajęci badaniem mikroskopijnych cząstek świadczących o ludzkiej obecności, czyli czegoś, co normalni ludzie nazywają brudem - włosów, włókien, kurzu, odcisków palców i plam.

Same w sobie włosy, włókna, ślady zabrudzenia i tym podobne są całkiem niewinne, ale gdyby, na przykład, zdjęto odciski palców z butelki stojącej w kredensie Ann Campbell i gdyby potem okazało się, że są to odciski palców pułkownika George'a Fowlera, to istniały dwie możliwości: albo podarował jej tę butelkę i zabrała ją później do domu, albo był u niej. Ale gdyby jego odciski zostały znalezione, powiedzmy, na lustrze w jej łazience, można by założyć, że na pewno tam był. Jednakże jak na razie, nie zidentyfikowano żadnych odcisków palców poza moimi, Cynthii, Ann Campbell i pułkownika Kenta - co również mogło być tłumaczone na dwa sposoby. Kiedyś wreszcie odkryją odciski komendanta policji, Yardleya, i znowu Yardley, jako jeden z tych, którzy kręcili się w hangarze z dowodami, będzie miał wytłumaczenie. Znajdą też odciski Moore'a, ale ponieważ on był szefem i sąsiadem Ann, nie miało to specjalnego znaczenia. A skoro teraz już nie my, tylko Yardley miał dostęp do łazienki kapitan Campbell i jej prysznic, to znaczy do miejsc, skąd odciski byłyby znaczące, już on się postara mieszkanie starannie oczyścić. I wszystkie ślady, które byłyby mu nie na rękę, na przykład jego syna, znikną jak sen złoty.

Poznanie ludzi, którzy bywali u niej w domu, mogłoby doprowadzić do odkrycia zabójcy. Gdybym wiedział, kto odwiedzał jej podziemny buduar, dysponowałbym listą mężczyzn, którzy nagle mieliby wiele do stracenia - chyba że zgodziliby się w pełni współpracować. Ale ów buduar był teraz zamknięty, a poza tym ślad, choć bardzo spektakularny, mógł się okazać fałszywy.

Bardziej interesowało mnie, kto przebywał w miejscu morderstwa, a byliśmy bardzo blisko ustalenia, że pojawił się tam pułkownik Charles Moore, chociaż kiedy i po co, trzeba było jeszcze wyjaśnić.

Pułkownik William Kent. Jego kariera wisiała obecnie na włosku, nie wspominając już o takim drobiazgu, że czekała go rozmowa z panią Kent. Dzięki Bogu, ja nie miałem tego typu problemów.

Kent przyznał się do obrazy moralności publicznej, zaniedbania pracy i postępowania niegodnego oficera. To były podstawowe trzy zarzuty, jakie mógł mu postawić prokurator wojskowy. W sprawie o morderstwo ludzie często zachowują się właśnie tak, jakby składali niewielką ofiarę na ołtarzu bogini sprawiedliwości, mając nadzieję, że ją zadowolą i kapłani pójną gdzie indziej szukać krwi na poświęcenie.

Zaciekawiła mnie ocena Cynthii, ponieważ naprawdę trudno było Kenta uznać za namiętnego, zaborczego lub zazdrosnego człowieka. Ale ona instynktownie ujrzała lub wyczuła coś, co dla mnie nie istniało. Wiedzieliśmy teraz, że Kenta i Ann Campbell łączyło łóżko. A ja nie wierzę, by Kent traktował seks jak sport. Ergo, Kent kochał ją i zabił z zazdrości. Ale tego już nie byłem pewny i na drodze do tego „ergo” stało zbyt wiele „jeśli”.

Wróciłem myślami do ekranu telewizora i skupiłem się na Ann Campbell. Staliśmy twarzą w twarz i mówiła wprost do mnie. Ubrana była w letni zielony mundur, bluzkę z krótkimi rękawami i spódnicę. Co jakiś czas odchodziła od pulpitu, stawiała na skraju podium i nie przerywając wykładu rozglądała się. Była bardzo naturalna i swobodna jeśli chodzi o gesty, grę ciała i twarzy.

Mimo że tak wiele słyszeliśmy o jej chłodzie, podczas wykładów wydawała się po prostu miła. Uśmiechała się, patrzyła wprost na swoich słuchaczy, śmiała się z własnych dowcipów i rzucanych od czasu do czasu żartobliwych uwag z sali, gdzie zebrało się około stu mężczyzn. Miała zwyczaj zmysłowego odrzucania w tył głowy i odgarniania długich blond włosów z twarzy. Kiedy kolega weteran opowiadał jakąś anegdotę, zagryzała w zamyśleniu wargę i patrzyła szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, a potem zadawała kilka inteligentnych pytań. To nie był humanoidalny android, wygłaszający mechanicznie wykład, jak wielu innych wojskowych wykładowców, w tym na pewno pułkownik Moore. To była kobieta o otwartym umyśle i zdrowym rozsądku, który podpowiadał jej, kiedy mówić, a kiedy słuchać. Od czasu do czasu kamera pokazywała publiczność i wtedy widać było wyraźnie zainteresowanych tematem mężczyzn, którzy z przyjemnością jej słuchali i patrzyli na nią.

Ann Campbell mówiła na temat operacji psychologicznych. W tej chwili dotarły do mnie jej słowa:

„Mówiliśmy o operacjach psychologicznych wymierzonych w wroga wojsko, służby pomocnicze i w całą ludność cywilną. Teraz chciałabym porozmawiać o operacjach psychologicznych wymierzonych w jednostki, szczególnie dowódców wojskowych i przywódców politycznych.”

Cynthia usiadła koło mnie z filiżanką świeżej kawy i talerzem pączków.

- Dobry film? - zapytała.

- Niezły.

- Czy możemy to wyłączyć?

- Nie.

- Paul, dlaczego się chwilę nie prześpisz?

- Cicho.

Cynthia wstała i odeszła. Ann Campbell mówiła dalej: „Ostatnim razem użyliśmy skutecznie tego narzędzia podczas drugiej wojny światowej przeciwko politycznym i wojskowym liderom partii nazistowskiej. Oczywiście wiedzieliśmy coś na temat konkretnych osób: czego się boją, jakie mają preferencje seksualne, czy wierzą lub nie w okultyzm, przepowiednie i tak dalej. A brakujące dane zdobyli dla nas przedstawiciele wywiadu. W ten sposób otrzymaliśmy biograficzne i psychologiczne portrety wielu z tych mężczyzn, którzy mieli w rękach władzę i mogliśmy celować w nich indywidualnie, wyzyskując ich słabości, wprowadzając fałszywe i złudne elementy do procesu powstawania decyzji. Krótko mówiąc, naszym celem było osłabienie ich pewności siebie, obniżenie samooceny i zdemoralizowanie w procesie, który niekiedy nazywany jest pieprzeniem mózgu. Wybaczcie, proszę, to wyrażenie.” Przeczekała, aż umilkły śmiechy i brawa, a potem mówiła dalej: „My będziemy nazywać to skołowaceniem mózgu. W porządku. Jak byście manipulowali mózgiem kogoś, kto znajduje się o tysiące kilometrów od was, w samym sercu terytorium wroga? No cóż, mniej więcej tak samo, jak robicie to swojej żonie, dziewczynie, szefowi lub uciążliwemu sąsiadowi. Po pierwsze musicie sobie uświadomić, że jest coś, co chcecie zrobić, a nawet musicie to zrobić. Następnym krokiem będzie poznanie umysłu tej osoby, musicie wiedzieć, co ją smuci, co złości, co budzi w mej lęk. Nie możecie manipulować, póki nie zrozumiecie, jak działają te wszystkie dźwignie, przyciski i guziki. Wreszcie musicie być z tą osobą w kontakcie. Osiąga się go na różnych poziomach - kontakt osobisty, zastępczy przez osobę trzecią, pisemny w formie dokumentów, gazet, listów, ulotek zrzucanych z nieba - tylko nie róbcie tego w przypadku waszego szefa lub żony - kontakt radiowy czyli transmisja propagandowa i tak dalej.”

Przez chwilę zagłębiała się jeszcze w szczegóły, a potem stwierdziła:

„Jeśli chodzi o kontakt zastępczy lub osobisty z wrogimi dowódcami, to jest on znany od wieków i najbardziej efektywny. Jest to rodzaj kontaktu aktywnego i chociaż trudno do niego doprowadzić, opłaca się sownie. Jedynym typem osobistego kontaktu z wrogiem, jakiego my w Armii Stanów Zjednoczonych oficjalnie nie wybaczymy i nie stosujemy, jest kontakt seksualny - taki jaki stosowała Mata Hari, Dalila i inne słynne uwodzicielki, syreny seksu.

Jeśli kiedyś kobiety obejmą stanowiska dowódcze, będziemy potrzebowali takich chłopców jak wy, by wślizgiwali się w nocy do ich namiotów.”

Rozległy się śmieszki i usłyszałem, jak ktoś mówi o położeniu flagi na twarzy jakiejś nadgryzionej zębem czasu damy-generała i zrobieniu jej dobrze na chwałę ojczyzny.

Wtedy ktoś zapytał:

„Jeśli podeszło się już tak blisko dowódcy nieprzyjaciela, dlaczego go nie zabić?”

„No właśnie, dlaczego? - powtórzyła pytanie Ann Campbell. - Najważniejsze jest to, pomijając moralne i prawne problemy, że taki skompromitowany, przestraszony lub całkowicie oszalały dowódca po stronie wroga, na przykład Hitler czy Hussein, to jak dobre dziesięć dywizji piechoty na

naszym froncie. Szkody, które może wyrządzić zły dowódca, są niepoliczalne. Musimy się nauczyć jeszcze raz tego, czego uczyła nas historia, co wiedziały wszystkie armie podczas minionych wojen: wszystkie oddziały wątpią w zwycięstwo i marzą o powrocie do domu, przed bitwami czują lęk i łatwo ulegają zabobonnym strachom. Do takiego samego stanu trzeba doprowadzić generałów.”

Obraz znikł. Wstałem i zgasilem telewizor. To wszystko było bardzo sprytne, brzmiało bardzo logicznie i profesjonalnie, kiedy siedziało się na sali wykładowej. Ann Campbell najwyraźniej zorganizowała również jeden eksperyment polowy. Tak przynajmniej sugerował Kent. Jeśli mu wierzyć, prowadziła planową, celową i zjadliwą kampanię przeciwko własnemu ojcu, którego traktowała jak wroga. A może należało mu się? Co takiego Moore powiedział o jej mordercy? Że kimkolwiek był, uważał się za usprawiedliwionego. Prawdopodobnie Ann Campbell również myślała, że postępuje słusznie. Z czego wniosek, że ojciec coś jej zrobił, i cokolwiek to było, popchnęło ją na drogę zemsty, która wreszcie doprowadziła tę młodą kobietę do samozniszczenia. Jako motyw tak wielkiej nienawiści córki do własnego ojca i samej siebie nasuwało mi się wyłącznie seksualne nadużycie i kazirodztwo.

To by mi powiedział każdy teraps i to pasowało do wszystkich aspektów psychologicznych sprawy. Ale jedyna osoba zdolna potwierdzić moją wersję nie żyła. Mógł to zrobić generał, ale nawet Paul Brenner nie zamierzał go zapytać. W grę wchodziło tylko dyskretne śledztwo i może, może, dałoby się delikatnie wypytać panią Campbell na temat stosunków córki z ojcem. Co, u diabła, robię w tym już dwadzieścia lat!

Z drugiej jednak strony, jak sugerował Kent, po co kopać się w gnoju, który nie miał nic wspólnego ze sprawą o morderstwo? Ale kto wie z góry, którym gnojem warto się ubabrać, a którym nie?

Tak więc generał mógł zabić swoją córkę, by powstrzymać jej gniew albo żeby zamknąć jej usta. A co, jeśli zrobiła to pani Campbell, zresztą z tych samych powodów? I jaką rolę odegrał w tym wszystkim pułkownik Moore? Im więcej zgarniałem gnoju, tym bardziej opryskiwał on damy i dżentelmenów z Fortu Hadley.

Podeszła Cynthia i wsadziła mi do ust kawałek pączka. Najwyraźniej zbliżaliśmy się do czegoś bardziej intymnego niż wspólny samochód, łazienka i pączek. Ale jeśli mam być szczery, w moim wieku i o drugiej nad ranem najbardziej chłopięca część mojego ciała nie stanęła na wysokości zadania.

- Może dostaniesz z Sądu Wojskowego kilka tych taśm, jak zamkniemy sprawę.
- Chybabym wolał te z jej piwnicy.
- Nie bądź niesmaczny, Paul. - Zwyczajem kobiet nie potrafiła skończyć we właściwym momencie. - Chyba wiesz, że to nie jest zdrowe.

Odmówiłem odpowiedzi.

- Jako nastolatka kochałam się w Jamesie Deanie. Oglądałam „Buntownika bez powodu” i

„Olbrzyma” w nocnej telewizji i zapłakiwałam się w poduszkę.

- Cóż za zadziwiający przypadek nekrofilii. Do czego zmierzasz?

- Zapomnij o tym. Posłuchaj dobrych wieści. Ślady opon ze strzelnicy numer pięć pasują do tych z samochodu pułkownika Moore'a, a przynajmniej do tego, który uważamy za jego samochód. Odciski palców na szczotce Moore'a, a zakładamy, że pozostawił je nasz teraps, pasują do dwóch odcisków na śledziach namiotowych, przynajmniej sześciu na łaziku i jednego w męskiej latrynie. Poza tym na rurze umywalki znaleziono jeszcze jeden podobny włos. Odciski na torbie pozostawili Moore i Ann Campbell, podobnie odciski na jej butach, kaburze, hełmie, z czego można wyciągnąć wniosek, że oboje dotykali tych rzeczy. Tak więc wydaje się, że twoją rekonstrukcję zbrodni, przemieszczania się, działań Ann Campbell i pułkownika Moore'a potwierdzają dowody rzeczowe. Gratulacje.

- Dziękuję.

- Czy ten facet wylądował na stryczku?

- Oficerom przysługuje chyba kula. Sprawdzę przed rozmową z pułkownikiem Moore'em.

- A jeżeli się nie przyzna, czy pójdziesz do Sądu Wojskowego z tym, co mamy?

- Nie wiem. W sprawie jest jeszcze sporo dziur.

- Tak - zgodziła się Cynthia - jest. Z jednej strony mamy twoją teorię na temat kolejności pojawiania się na drodze świateł samochodowych. Można by udowodnić, że Moore znajdował się w miejscu zbrodni, ale trudno włożyć mu w ręce linę dokładnie w godzinie morderstwa. Poza tym nie znamy motywu.

- To prawda. A bez motywu czeka nas ciężka przeprawa z sędziami. - Po namyśle dodałem: - Istnieje jeszcze możliwość, że był to wypadek.

- I jeśli on się do czegoś przyzna, to tylko do tego.

- Właśnie. Sprowadzi kilku kolesiów, którzy wytłumaczą sądowi, co to jest duszenie seksualne i że działał za zgodą swojej przyjaciółki Ann, ale źle ocenił objawy orgazmu i za bardzo ją stymulował. A to całkowicie oszołomi i zafascynuje oficerów zasiadających w sądzie. Rezultat będzie taki, że zrodzą się w nich zrozumiałe wątpliwości, a na dodatek będą się musieli zgodzić, że dowody rzeczowe nie potwierdzają aktu gwałtu. Tak więc przyjmą, że jeszcze raz potwierdziła się zasada: miłe złego początki, lecz koniec żaloszny. Może nawet nie zostanie oskarżony o zabójstwo. Mamy przecież do czynienia z przypadkiem dwojga dorosłych, zgodnie uprawiających dość nietypową odmianę seksu, która w wyniku nieszczęsnej pomyłki spowodowała śmierć jednego z nich. Najwyżej oskarżą go o nieumyślne wystawienie partnerki na niebezpieczeństwo.

- Zbrodnie związane z seksem są trudne - skomentowała Cynthia. - Łączy się tu tyle różnych elementów.

Skinąłem głową, przypominając sobie sprawę, którą prowadziła CID, chociaż bez mojego udziału. Facet lubił lewatywy z wody kolońskiej. Kobieta zaaplikowała mu o jedną za dużo i popękały jelita. Nastąpiła śmierć na skutek krwotoku i infekcji. Zespół z Falls Church i chłopcy z sądu mieli przy tym dobrą zabawę, ale wreszcie zdecydowali się sprawę umorzyć. Kobieta, młoda porucznik, została poproszona o złożenie rezygnacji, a faceta, podstarzałego starszego sierżanta, z piersią pokrytą medalami, pochowano z pełnymi honorami. Czego się nie robi dla dobra służby.

Seks. Dziewięćdziesiąt procent ludzkiego popędu płciowego ma swoje źródło w mózgu, a kiedy tam coś szwankuje, z seksem jest podobnie. Ale jeśli jest przyzwolenie, to nie ma gwałtu, a gdy zdarza się wypadek, to nie mamy do czynienia z morderstwem. Tyle że trzeba mieć dobrego adwokata.

- Więc? - zapytała Cynthia. - Idziemy go zaaresztować?

Potrząsałem głową.

- Masz rację - powiedziała.

Podniosłem słuchawkę i wystukałem numer pułkownika Fowlera. Odebrała zaspana kobieta. Przedstawiłem się i adiutant generała zaraz się zgłosił.

- Słucham, panie Brenner. - W jego głosie brzmiało lekkie zniecierpliwienie.

- Pułkowniku, zdecydowałem, że nie będę konfiskować zawartości biura pułkownika Moore'a. Chciałem, żeby pan o tym wiedział.

- Teraz już wiem.

- Prosił mnie pan, żebym powiadomił pana o planowanym aresztowaniu, a właśnie ponownie zastanawiam się, czy go nie aresztować.

- Nie wiedziałem, że już raz zamierzał pan go aresztować, panie Brenner, ale jeśli kolejny raz pan to przemyśli, proszę mnie zawiadomić, żebym nie stracił rachuby.

- Oczywiście. - To było zabawne. Podobał mi się ten facet i jego poczucie humoru. Powiedziałem: - Tylko proszę o tym z nikim nie rozmawiać, to może zaszkodzić sprawie. Właściwie po to dzwoniłem.

- Rozumiem. Ale złożę raport generałowi.

- Przypuszczam, że nie ma pan wyboru.

- Na razie nie. - Odchrząknął. - Czy ma pan innych podejrzanych?

- Z tym musimy jeszcze chwilę poczekać. Ale podążam kilkoma obiecującymi śladami.

- To podnosi na duchu. Coś jeszcze?

- Zaczynam zbierać dowody, że kapitan Campbell... jakby to ująć...? Że kapitan Campbell prowadziła bardzo ożywione życie towarzyskie.

Odpowiedziała mi martwa cisza. Więc mówiłem dalej:

- To musiało wyjść na jaw. Nie wiem jeszcze, w jakim stopniu sprawa związana jest z morderstwem, ale zrobię co w mojej mocy, żeby jej nie rozdmuchać i zminimalizować szkody, które ta informacja może wyrządzić armii, a w szczególności Fortowi Hadley, jeśli się przedostanie do prasy.

- Może byśmy się spotkali, powiedzmy, o siódmej rano w moim domu na kawie.

- No cóż, nie chciałbym sprawiać panu kłopotu o tak wczesnej porze.

- Panie Brenner, przekracza pan granice niesubordynacji i zdecydowanie mnie pan wkurza. Proszę być tutaj dokładnie o siódmej.

- Tak jest, sir. - W słuchawce zapanowała głucha cisza. Zwróciłem się do Cynthii: - Muszę porozmawiać z ludźmi od telefonów w tej jednostce.

- Co powiedział?

- Pułkownik Fowler zaprosił nas na kawę, na godzinę siódmą rano, do swego domu.

Spojrzała na zegarek.

- To oznacza, że możemy się chwilę zdrzemnąć. Jesteś gotów?

Rozejrzałem się. Prawie cały hangar był już pogrążony w ciemnościach, na pryczach spali mężczyźni i kobiety, chociaż kilku twardzieli siedziało jeszcze nad maszynami do pisania, testami i mikroskopami.

- Dobrze, już mamy nowy dzień.

Szliśmy przez hangar.

- Czy w torbie z ubraniami znaleźli jej sygnet z West Point? - zapytałem Cynthię.

- Nie.

- Nie znalazł się również w rzeczach przywiezionych z jej domu?

- Nie. Pytałam Cala.

- Dziwne.

- Może go zgubiła - podpowiedziała Cynthia. - Albo został oddany do czyszczenia.

- Może.

- Paul - powiedziała Cynthia - gdybyś znalazł ją na strzelnicy żywą i byłaby teraz z nami, co byś jej powiedział?

- Co ty byś powiedziała? Ja nie zajmuję się gwałtami.

- Pytałam ciebie.

- Dobrze. Powiedziałbym jej, że cokolwiek wydarzyło się w przeszłości, powinno być załatwione w zdrowy, a nie destrukcyjny sposób. Że potrzeba jej lepszego niż ten doradcy, że powinna uporać się z bólem, postarać się wybaczyć osobie lub osobom, które... źle potraktowały ją i wykorzystały. Powiedziałbym, że jest godną szacunku i ważną istotą ludzką, która ma po co żyć, i że ludziom będzie na niej zależało, jeśli jej będzie zależać na samej sobie. To bym jej powiedział.

- Tak - przytaknęła Cynthia - to właśnie ktoś powinien był jej powiedzieć. Może nawet powiedział. Ale przydarzyło jej się coś bardzo złego. Takie zachowanie u osoby inteligentnej, wykształconej, atrakcyjnej i odnoszącej sukcesy zawodowe jest często wynikiem... urazów z przeszłości.

- Na przykład?

Wyszliśmy z hangaru w chłodną noc. Księżyc wisiał wysoko i widzieliśmy milion gwiazd na jasnym niebie Georgii. Spojrzałem przed siebie w wielką ciemną przestrzeń Pola Jordana, przypominając sobie czasy, kiedy było ono wciąż oświetlone i gdy dwa lub trzy razy na tydzień przylatywał pewien szczególny samolot.

- Wyładowywałem tutaj ciała z Wietnamu - powiedziałem do Cynthii.

Milczała.

- Jeśli nie pochowają jej w Midland, tu właśnie zbiorą się wszyscy po mszy, by ją pożegnać. - I dodałem: - Przypuszczam, że jutro albo pojutrze.

- Przyjdziemy?

- Ja mam zamiar.

Podeszliśmy do samochodu.

- Odpowiem na twoje pytanie - powiedziała. - Przypuszczam, że kluczem do zachowania Ann Campbell musi być jej ojciec. Wiesz, o co chodzi. Dominująca osobowość, może zmusił ją, żeby wstąpiła do wojska, starał się kontrolować jej życie. A do tego słaba matka, przedłużające się nieobecności, częste podróże, całkowite uzależnienie od kariery głowy rodziny. Sprzeciwiała się tak, jak umiała. Podręcznikowa sprawa.

Wsiedliśmy do samochodu.

- Zgoda - powiedziałem. - Tylko że miliony córek znakomicie się do tego przystosowuje.

- Wiem. Ale wszystko zależy od tego, jak to znosisz.

- Ja myślę, że wytłumaczeniem dla jej nienawiści musiały być bardziej... nienormalne stosunki z ojcem.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć, i ja się również nad tym zastanawiałam. Ale jeśli gwałtu i morderstwa trudno dowieść, to co dopiero kazirodztwa. Gdybym była na twoim miejscu, Paul, nie ruszałabym tego. Uderzy rykoszetem w ciebie.

- Wiem. Pierwsza sprawa, jaką się zajmowałem w CID, dotyczyła złodzieja koszarowego. Zobacz, jak daleko zaszedłem. Następny krok to otchłań.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cynthia zaparkowała przed kwaterami gościnnymi.

- No cóż - powiedziała. - Dobrej nocy.

- No cóż - powtórzyłem. - Kipię energią, złapałem drugi oddech, za bardzo jestem rozbudzony, żeby teraz spać, wprost czuję, jak mi napływa adrenalina do mózgu i w ogóle. Co byś powiedziała na trochę telewizji i jakiegoś drinka?

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Doszliśmy już do takiego stanu, że nie warto kłaść się spać. Kiedy wstaniesz, będziesz się czuć znacznie gorzej. Zrelaksujemy się, potem weźmiemy prysznic, przebierzemy się i pojedziemy do pułkownika Fowlera.

- No... może... ale...

- Chodź. - Otworzyłem drzwi do mojego pokoju, weszła za mną do środka. Podniosła słuchawkę i poprosiła dyżurnego, żeby obudził nas o piątej trzydzieści.

- Na wypadek, gdybyśmy przegapili godzinę - powiedziała.

- Dobry pomysł - zgodziłem się. - Ale okazuje się, że nie mogę ci zaproponować drinka, telewizora też nie mam. Co powiesz na zgadywanki?

- Paul...

- Tak?

- Ja nie mogę tego zrobić.

- No to może kamień, nożyczki, papier? Wiesz, jak się w to gra? To łatwe...

- Nie mogę u ciebie zostać. Ten dzień mnie bardzo przygnębił. To byłoby nie w porządku. Zresztą i tak nie zdałoby się na nic. - I tak dalej.

- Rozumiem - powiedziałem. - Idź się przespać. Zawołam cię, gdy mnie obudzą.

- Dobrze. Przepraszam. Nie zapomnę otworzyć drzwi do łazienki.

- Fajnie. Zobaczymy się za parę godzin.

- Dobranoc. - Odeszła parę kroków, odwróciła się i zawróciła. Pocałowała mnie delikatnie w usta, rozplakała się, a potem uciekła do łazienki. Słyszałem szum wody, wreszcie otworzyły się drzwi do sąsiedniego pokoju i zapadła cisza.

Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Musiałem usnąć w sekundę, ponieważ następne, co pamiętam, to dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę przekonany, że usłyszę głos oficera na służbie lub Cynthię proszącą, żebym przyszedł do jej pokoju. Ale to był pułkownik Fowler.

- Brenner?

- Tak jest, sir.

- Śpisz?

- Nie, sir.

- Dobrze. Czy pijesz z mlekiem?

- Słucham?

- Nie mam ani mleka, ani śmietanki, Brenner.

- To dobrze...

- Chciałem tylko, żebyś wiedział.

- Dziękuję, pułkowniku.

Wydawało mi się, że usłyszałem stłumiony chichot, zanim mój rozmówca rozłączył się. Dochodziła piąta, więc wstałem, poczłapałem do łazienki, włączyłem prysznic i wszedłem pod strumień wody. Co za dzień! Połowa z tego, co się wydarzyło, wydawała się jakby nierealna. Pracowałem na dwóch cylindrach i mój bak był już prawie pusty. Ale potrzebowałem jeszcze jakichś

czterdziestu ośmiu godzin, żeby rozwiązać tę sprawę. Potem odejdę w blasku chwały lub zapadnę się w otchłań piekieł.

W Forcie Hadley działo się coś bardzo niedobrego, coś jak ropiejący wrzód, który powinien zostać wycięty i oczyszczony. Tyle przynajmniej mogłem zrobić.

Przez zalaną wodą i zaparowaną szybę kabiny zobaczyłem postać majaczącą w drzwiach do pokoju Cynthii.

- Masz coś przeciwko temu, żebym weszła? - Skądże, wchodź.

Ubrana była w coś białego, prawdopodobnie koszulę nocną. Zniknęła w kabinie z ubikacją. Kilka minut później pojawiła się znowu i podeszła do umywalki, stając do mnie plecami. Umyła twarz i zawołała, przekrzykując szum prysznicza;

- Jak się czujesz? Dobrze. A ty?

- Nie najgorzej. Słyszałam, że ktoś dzwonił,

- To był pułkownik Fowler. Chciał się ze mną podrażnić.

- Zasłużyłeś sobie - roześmiała się. Zaczęła szorować zęby. Znowu zadzwieczał dzwonek telefonu u mnie w pokoju.

- Tym razem to na pewno oficer dyżurny - powiedziałem. - Możesz odebrać?

Wytarła usta.

- Jasne. - Przeszła do sypialni. Wróciła w kilka sekund.

- Jest za pięć piąta. - Podeszła do umywalki, wypłukała gardło, a potem zapytała: - Czy bierzesz jeden z tych swoich maratońskich pryszniców?

- Tak. Chcesz zaoszczędzić trochę czasu?

Cisza. Może to było zbyt subtelne.

- Cynthia?

Oparła się o umywalkę i usłyszałem, jak mówi do siebie;

- Co tam, do diabła!

Zobaczyłem, jak ściąga koszulę nocną, potem otworzyła drzwi do kabiny i weszła do środka.

- Umyj mi plecy.

Zrobiłem to. Następnie zająłem się przodem. Przytulaliśmy się i całowaliśmy, spływała po nas

woda, a nasze ciała przywierały mocno do siebie. Ciało pamięta dawnego kochanka, pomyślałem. Powódź dobrych wspomnień zalała mnie, znowu się czułem tak, jak w Brukseli. Mój ptaszek też wszystko dobrze pamiętał i podniósł się radośnie jak stary, wierny pies, kiedy jego pan staje na progu domu po rocznej nieobecności. Hau, hau.

- Paul... wszystko w porządku... nie przerywaj.

- O tak, całkiem w porządku. Nawet bardzo dobrze. Tutaj czy w łóżku?

- Tutaj. Teraz.

Ale - jak można się było spodziewać przy naszym szczęściu - znowu zadzwonił telefon.

- Lepiej odbierz - powiedziała.

- A niech to! - Rozdzieliliśmy się, Cynthia powiesiła myjkę na jedynej części mojego ciała, która przypominała hak, i parsknęła śmiechem.

Zdjąłem myjkę.

- Nie ruszaj się stąd - powiedziałem.

Wyszedłem spod prysznic, złapałem po drodze ręcznik i podniosłem słuchawkę.

- Brenner, słucham.

- Słuchaj no, znaleźć cię to nie lada sztuka.

- Kto mówi?

- Na pewno nie twoja mamusia, synu.

- Aha.

- Bill Kent właśnie mi powiedział - poinformował mnie komendant Yardley - że zamierzasz pozostać na terenie jednostki. Dlaczegoż to nie przyjedziesz do domciu?

- Co?

- Przez cały cholerny dzień starałem się ustalić, gdzie mieszkasz. Teraz tu jestem, a ciebie nie ma. Przyjedź do domu, chłopaczku.

- Co u diabła... czy pan jest w mojej przyczepie?

- Trafieś w dziesiątkę - roześmiał się. - Powiem ci coś: wysprzątałem za ciebie to miejsce do czysta. Przecież nie ma sensu płacić za lokum, z którego już nie masz zamiaru korzystać.

- Nie ma pan prawa...

- Chwilę się nad tym zastanów, synu. Może potem pogadamy. Na razie przyjedź do mojego biura i zabierz rzeczy.

- Komendancie, to jest własność rządowa...

- Tak, właśnie widzę. Musiałem rozwalić zamek. Co my tu mamy? Rewolwer, trochę oficjalnie wyglądających papierów, jakaś dziwna książka pełna kodów czy czegoś w tym guście. I co jeszcze? Para kajdanek, kilka mundurów, dokumenty jakiegoś White'a... sypiasz z tym gościem?

Owinięta w ręcznik kąpielowy Cynthia weszła do pokoju i usiadła na łóżku.

- W porządku, wygrałeś - powiedziałem do Yardleya.

- Zobaczmy dalej... paczka prezerwatyw, dół od bikini... czy to też twojego kochasia?

- Komendancie...

- Coś ci powiem, synu. Przyjedź na posterunek i zabierz te rzeczy. Będę na ciebie czekał.

- Dostarczy pan własność rządu do biura żandarmerii. Spotkamy się tam w południe.

- Niech no się nad tym zastanowię.

- Będzie pan tam. I proszę przyprowadzić ze sobą Wesa. Chciałbym z nim porozmawiać.

Cisza.

- Możesz pogadać z nim u mnie w biurze - oświadczył po chwili.

- Albo poczekam, aż przyjedzie na pogrzeb. Przypuszczam, że się zjawi.

- Pewnie tak. Ale my tutaj nie mamy w zwyczaju załatwiać interesów na pogrzebach.

- Wobec tego powinniście je zmienić. Bo po morderstwie właśnie tam wszyscy się schodzą.

- Coś ci powiem. Pozwolę ci z nim porozmawiać, ponieważ chcę zobaczyć za kratkami tego, który to naprawdę zrobił. Ale już teraz mogę cię poinformować, że kiedy mordowano Ann Campbell, mój syn był na służbie. Jego partner to potwierdzi. Poza tym mamy nagrane jego zgłoszenia radiowe z całej nocy.

- Co do tego nie mam wątpliwości. I jeszcze coś. Jeśli sobie życzysz, możesz mieć dostęp do hangaru. Chcę wysłać moich techników do domu Campbell.

- Tak? A po co? Zabraliście wszystko do ostatniej szpilki. Moi chłopcy musieli przynieść ze sobą nawet cholerny papier toaletowy.

- Widzimy się z tobą i Wesem w południe. Przynieś moje rzeczy i wszystko, co należy do rządu.

- Wyluzuj się, chłopcze.

Odłożyłem słuchawkę i owinąłem się ręcznikiem.

- Burt Yardley? - spytała Cynthia.

- Jasne, chłopaczku.

- Czego chciał?

- Głównie mojego tyłka. Wyczyścili przyczepę. - Roześmiałem się. - Podoba mi się ten facet. Za dużo w dzisiejszych czasach słabeuszy. To prawdziwy skurwiel na starą modłę.

- Taki będziesz w przyszłym roku.

- Mam nadzieję. - Spojrzałem na zegarek przy łóżku. Dziesięć po szóstej. Mieliśmy jeszcze trochę czasu.

Podniosła się.

- Muszę wysuszyć włosy, ubrać się, umalować...

- Jasne.

Ruszyła w stronę łazienki, potem odwróciła się i zapytała:

- Spotykasz się z kimś?

- Tak. Z pułkownikiem Fowlerem o siódmej, potem Moore o ósmej...

- Czy jesteś z kimś uczuciowo związany? Zapomniałam, że nie lubisz tamtego wyrażenia.

- Nie, można powiedzieć, że jestem pomiędzy dwoma ważnymi związkami. Prawdę mówiąc, nie byłem z nikim blisko od historii z tobą.

- Dobrze. To ułatwia pewne sprawy.

- Tak. Tyle tylko że komplikuje je major jak mu tam? Twój mąż.

- Ta sprawa jest już wyjaśniona.

- Brzmi nieźle. Nie chcemy powtórzyć Brukseli, prawda?

Roześmiała się.

- Przepraszam. Sama nie wiem, co mnie tak rozbawiło.

- To nie do ciebie mierzono z automatu.

- Nie, ale ty za to nie musiałeś wysłuchiwać go przez następny rok. Ale niech ci będzie, Paul, jestem ci coś dłużna. Odplączę dzisiaj w nocy, a potem zobaczymy.

- Już nie mogę się doczekać.

- Ja też. - Zawahała się, ale powiedziała: - Ta sprawa zbyt cię... pochłania. Powinieneś się zrelaksować.

- Jesteś bardzo wrażliwą i myślącą partnerką.

Zniknęła w łazience, a ja znalazłem wczorajsze spodenki i skarpetki. Ubierając się myślałem, że życie to łańcuch problemów. Jedne drobne, jak na przykład, gdzie uprać bieliznę, inne większe, dotyczące na przykład osoby, która właśnie opuściła mój pokój. To, jak sobie radzimy z życiem, zależy w dużej mierze od tego, jak dajemy sobie radę z tymi większymi i czy je w ogóle mamy.

W każdym razie kiedy sprawdzałem, czy mój glock ma iglicę i czy jest załadowany, myślałem jednocześnie, że czas się trochę ustatkować i że seks dla sportu przestał mnie już po prostu bawić.

Właśnie. To, co wydarzyło się tej nocy między mną a Cynthia, było autentyczne. Z całego tego bałaganu wynikło coś dobrego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wzgórze Bethany to odpowiednik Shaker Heights* na skalę Fortu Hadley, to znaczy odpowiednio mniejsze i nie tak wygładzone. Na terenie sześćdziesięciu akrów porośniętych dębami, bukami, klonami i innymi szlachetnymi drzewami, bez śladu pospolitej sosny, stoi jakieś trzydzieści solidnych domów w stylu kolonialnym, zbudowanych w latach dwudziestych i trzydziestych, kiedy oficerowie byli dżentelmenami, mieszkali na terenie fortu i nie było ich tak wielu.

Czasy się zmieniły, populacja oficerów wzrosła ponad potrzeby armii i jej możliwości zapewnienia każdemu z nich domu, konia i służącego. Ale najważniejsze szczy wcióż jeszcze mają rezydencje na wzgórzu, jeśli tylko chcą, a pułkownik Fowler chyba uważał mieszkanie na terenie jednostki za rozsądne posunięcie. Pani Fowler również mogła przedkładać siedzibę w forcie nad takąż w Midland - nie żeby miasteczko pozostawało bastionem starego Południa w stosunku do czarnych - to nie wytrzymało próby czasu, zwłaszcza w sąsiedztwie jednostki wojskowej - ale Wzgórze Bethany, czasami nazywane gettem pułkowników, było najprawdopodobniej wygodniejsze ze względów towarzyskich niż jakakolwiek dzielnica miasta.

Jedyną wadą tego miejsca była bliskość strzelnic. Podczas nocnych ćwiczeń i przy południowym wietrze, do domów dobiegał odgłos strzałów. Ale dla niektórych weteranów piechoty brzmiało to jak łagodna melodia kołysanki.

Cynthia miała na sobie zieloną jedwabną bluzkę i brązową spódnicę, a pod nią pewnie czystą bieliznę.

- Wyglądasz dzisiejszego ranka bardzo ładnie - powiedziałem.

- Dziękuję. Jak długo będę jeszcze musiała oglądać ten niebieski garnitur?

- Traktuj go jak urzędowy uniform w tym tygodniu- I dodałem: - Makijaż nie ukrył głębokich cieni pod oczami, które są czerwone i spuchnięte.

- Potrzeba mi tylko porządnie przespanej nocy. Tobie przydałoby się ująć kilka lat.

- Czyżbyś była dzisiaj w nieco zgryźliwym nastroju?

- Tak. Przepraszam. - Położyła dłoń na moim kolanie. - To nie są najlepsze okoliczności do odnawiania przyjaźni.

- Nie. Ale staniemy się sobie naprawdę bliscy.

Znaleźliśmy dom, słusznych rozmiarów ceglana budowla ze standardowo zielonymi drzwiami i okiennicami. Na podjeździe stały ford kombi i dżip cherokee. Oficerowie nie mają obowiązku jeździć amerykańskimi samochodami, ale nie jest to źle widziane.

Zaparkowaliśmy na ulicy, wysiedliśmy z mustanga Cynthii i ruszyliśmy chodnikiem przed domami. O siódmej rano na wzgórzu było chłodno, ale słońce już pojawiało się nad drzewami i zapowiadało kolejny typowy dla Georgii dzień.

** Dzielnica rezydencji pod Cleveland.*

- Pułkownicy, którzy mają wystarczający staż i wiek odpowiedni, by stać się generałami - powiedziałem - tacy jak Fowler i Kent, są wręcz przewrażliwieni na punkcie problemów mogących zaszkodzić ich karierze.

- Każdy problem jest jednocześnie okazją - stwierdziła Cynthia.

- Czasami problem to po prostu problem - skwitowałem - Kent, na przykład, jest skończony. - Była dokładnie godzina siódma, więc zastukałem do drzwi.

Otworzyła je atrakcyjna Murzynka w ładnej letniej sukience. Uśmiechała się sztucznie. Zanim, zgodnie ze zwyczajem, zdążyłem nas przedstawić, powiedziała:

- Och... pani Sunhill i pan Brenner? Nie mylę się?

- Zgadza się. - Byłem skłonny wybaczyć jej, że na pierwszym miejscu wymieniła oficera

młodsze go zarówno wiekiem, jak i stopniem. Cywile, nawet kiedy są żonami pułkowników, nie bardzo się orientują w naszej etykiecie, a szczerze mówiąc, rozmowa o randze wśród chorążych, to jak dyskusja o dziewictwie wśród prostytutek.

Przez chwilę staliśmy, nie bardzo wiedząc, co dalej. Wreszcie zaprosiła nas gestem do środka i weszliśmy do holu.

- To bardzo piękny dom - odezwała się Cynthia.
- Dziękuję - odparła gospodyni.
- Czy pani znała kapitan Campbell? - zapytała Cynthia.
- Och, nie... nie za dobrze.

To była raczej dziwna odpowiedź. Czyż jako żona adiutanta generała Campbella mogła nie znać córki generała? Najwyraźniej pani Fowler była wytrącona z równowagi i zapomniała o tych wszystkich drobnych towarzyskich zwyczajach, które powinny być stać się drugą naturą żony pułkownika.

- Czy widziała się pani z panią Campbell od czasu tragedii?
- Z panią Campbell? Nie... ja byłam... zbyt wstrząśnięta.

Ale chyba nie tak bardzo jak matka ofiary, a grzeczność wymagała, by złożyć wizytę kondolencyjną.

Już miałem zadać kolejne pytanie, ale doszliśmy właśnie do miejsca przeznaczenia: oszklonej werandy na tyłach domu, gdzie siedział pułkownik Fowler i właśnie rozmawiał przez telefon. Był już w zielonym mundurze, w koszuli zapiętej na ostatni guzik i w krawacie, chociaż kurtką wisiała na oparciu krzesła. Wskazał nam dwa wiklinowe krzesła po przeciwnej stronie stolika, przy którym siedział.

Wojsko to najprawdopodobniej ostatni amerykański bastion sztywnych i jasno sformułowanych zwyczajów towarzyskich, uzależnionych od rangi, odpowiedzialności i wymogów grzeczności. Jeśli ktoś potrzebuje przewodnika na ten temat, to istnieje sześciusetstronicowa książka dla oficerów, która wyjaśnia, jakie jest życie, a jakie powinno być. Więc kiedy coś zaczyna kuleć, zaczynasz się zastanawiać, czemu kuleje.

Pani Fowler wymówiła się obowiązkami i zniknęła. Pułkownik przysłuchiwał się komuś po drugiej stronie Unii telefonicznej, wreszcie powiedział:

- Rozumiem, sir. Powiem im. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na nas.
- Dzień dobry.
- Dzień dobry, pułkowniku.

- Kawy?

- Chętnie.

Nalał kawę do dwóch filiżanek i wskazał na cukier.

- Właściwie nie spotkałem się z problemem dyskryminacji w wojsku - powiedział bez żadnych wstępów - i mogę spokojnie stwierdzić, że armia jest takim miejscem, gdzie rasa czy wyznanie nie mają wpływu na żadną dziedzinę życia. Problem pojawia się czasem wśród poborowych, ale ogólnie w wojsku nie ma systemu dyskryminacji rasowej.

Nie bardzo wiedziałem, do czego zmierza, więc po prostu włożyłem kostkę cukru do kawy. Pułkownik Fowler spojrzał na Cynthię.

- Doświadczyła pani dyskryminacji z powodu swojej płci?

Cynthia zawahała się.

- Może... - powiedziała po chwili - tak, kilką razy.

- Czy była pani molestowana w związku z pani płcią?

- Tak.

- Bywała pani obiektem plotek, insynuacji i pomówień?

- Może... raz przynajmniej o tym wiedziałam.

Pułkownik Fowler skinął głową.

- Tak więc widzicie, że ja jako czarny mężczyzna mam mniej problemów niż biała kobieta.

- Wiem, że w wojsku kobiety są mniej akceptowane niż mężczyźni - powiedziała Cynthia. - Ale to nie dotyczy tylko armii. Do czego pan zmierza?

- Zmierzam do tego, że kapitan Ann Campbell miała tutaj w Hadley trudne życie. Gdyby była synem generała, a na dodatek walczyła w Zatoce, Panamie lub Grenadzie, stałaby się idolem wszystkich oddziałów, tak jak to bywało z synami wielkich wojowników. Znamy to z historii. Natomiast o niej plotkowano na potęgę. Mówiono, proszę wybaczyć wyrażenie, że pieprzyła się z każdym mężczyzną w tej jednostce.

- A gdyby kapitan Campbell była synem walecznego generała - odpowiedziałem - który wrócił w chwale z pola bitwy, a potem przeleciał cały żeński personel fortu, nigdy by nie musiała sama sobie kupić drinka w klubie O.

Pułkownik Fowler spojrzał na mnie.

- Właśnie. Mamy dwie normy, różne dla mężczyzn i kobiet, czego byśmy nie tolerowali w przypadku ras. Tak więc, jeśli słyszeliście coś na temat prowadzenia się kapitan Campbell, chciałbym i ja to usłyszeć, bez względu na to czy są to plotki, czy prawda.

- Na tym etapie śledztwa nie wolno mi zdradzać źródeł informacji - odparłem. - To, jak prowadziła się kapitan Campbell, obchodzi mnie tylko o tyle, o ile ma jakiś związek z morderstwem. Nie czerpię lubieżnej przyjemności z grzebania się w jej życiu erotycznym, którego nie traktuję jako zabawnej strony gwałtu i zaduszenia na strzelnicy. - Tak naprawdę nie była wcale zgwałcona, ale nie miałem zamiaru podawać za darmo wyników sekcji.

- Jestem pewny, że to prawda, panie Brenner - powiedział Fowler - i nie zamierzam kwestionować pańskiej etyki zawodowej. Ale byłoby dobrze, gdyby pan wszelkie plotki na ten temat zatrzymał dla siebie. Nie chciałbym rozpętywać tu polowania na czarownice.

- Proszę posłuchać, pułkowniku. Rozumiem, że i pan, i rodzina zmarłej jesteście zaniepokojeni. Ale my nie rozmawiamy o plotkach i pomówieniach, tak jak pan sugeruje. Rozmawiamy o faktach. Ann Campbell nie tylko prowadziła bardzo aktywne życie seksualne, co przy jej pozycji w armii o zdecydowanej przewadze mężczyzn wcale nie było jej prywatną sprawą. Jej życie seksualne było potencjalnie niebezpieczne. Możemy dyskutować na temat podwójnych norm przez całe rano, ale kiedy słyszę, że córka generała sypiała z połową wyższych oficerów tej jednostki, na dodatek żonatych, zaczynam myśleć o podejrzanych, nie o nagłówkach gazet. W moim mózgu detektywa nie pojawiają się takie słowa jak „dziwka” czy „kurwa”, tylko „szantaż” i „motyw”. Czy wyrażam się jasno, sir?

Najwyraźniej pułkownik Fowler uważał, że tak, ponieważ pokiwał głową. A może tylko potakiwał jakimś własnym myśлом.

- Jeśli dokona pan aresztowania - zwrócił się teraz tylko do mnie - czy mogę mieć pewność, że w raporcie pojawią się wyłącznie związane z tym konieczne informacje?

O mało mu nie powiedziałem o ukrytym składziku rozkoszy cielesnych Ann Campbell i o tym, że już poszedłem na kompromis z samym sobą, żeby zminimalizować szkody.

- Dowodami z domu kapitan Campbell powinniśmy byli podzielić się z komendantem Yardleyem. Ale podjęliśmy z panią Sunhill kroki ostrożności, by upewnić się, że nic z domu niezamężnej, atrakcyjnej kobiety-oficera, co mogłoby wprawić w zakłopotanie jej rodzinę czy wojsko, nie zostanie wystawione na publiczną uciechę. Działania mówią więcej niż słowa, więc niech pan to potraktuje jako zapewnienie, którego pan oczekuje ode mnie.

Znowu przytaknął.

- Jestem z was bardzo zadowolony - powiedział całkiem niespodziewanie. - Sprawdziłem was oboje i wiem, że macie jak najlepsze rekomendacje. Czujemy się zaszczytzeni, że zajęliście się tą sprawą.

Wstałem, ponieważ poczułem, że poziom gówna zaczyna się podnosić. Ale odpowiedziałem:

- To bardzo miło z pana strony.

Dolał nam kawy.

- Więc macie pierwszego podejrzanego - rzekł, - Pułkownika Moore'a.

- Zgadza się.

- Dlaczego właśnie jego podejrzewacie?

- Ponieważ mamy dowód z laboratorium medycyny sądowej, że przebywał na miejscu zbrodni.

- Rozumiem... ale nie macie dowodu, że ją zamordował?

- Nie. Istnieje możliwość, że był tam wcześniej lub później, niekoniecznie w czasie popełnienia morderstwa.

- Ale na to, że był tam ktoś inny, nie ma dowodu?

- Rozstrzygającego dowodu nie ma.

- Jest więc najbardziej prawdopodobnym podejrzanym?

- Jak na razie.

- Zaskarżycie go, jeśli się nie przyzna?

- W takiej sprawie jak ta ja mogę tylko zalecać jakieś działanie. Decyzja o aresztowaniu przyjdzie niewątpliwie z Waszyngtonu.

- Wydaje mi się, że wasz raport i zalecenia będą miały znaczenie decydujące.

- To możliwe, zwłaszcza że nikt inny nie ma klucza do sprawy. - Po chwili dodałem: - Chcę panu powiedzieć, że plotki na temat związków Ann Campbell z oficerami tej jednostki mogą również dotyczyć innych osób, na przykład pracowników Sądu Wojskowego, których bezstronność obowiązująca przy tego typu sprawie może pozostawiać wiele do życzenia. Nie chciałbym zasiewać ziarna nieufności; powtarzam tylko to, co słyszałem.

- Od kogo pan to słyszał?

- Nie mogę powiedzieć. Ale z dobrego źródła. I podejrzewam, że pan wie, jakie rozmiary i zasięg ma problem, z którym mamy do czynienia. Nie sądzę, by panu udało się wysprzątać dom do czysta, pułkowniku. Ponieważ pańska miotła jest brudna. Ale może nam się to uda.

- Właśnie na ten temat rozmawiałem z generałem Campbellem, kiedy przyszliście - powiedział. - Sprawa przybrała nowy obrót.

Aha. Nie lubię, gdy sprawy przybierają nowy obrót.

- Tak?

- Departament Sprawiedliwości podczas spotkania waszego przełożonego, pułkownika Hellmanna, szefa Sądu Wojskowego oraz innych zainteresowanych stron, zdecydowało się włączyć do sprawy FBI.

A niech to.

- W takim razie nie jestem już w stanie zapobiegać szkodom - powiedziałem do pułkownika Fowlera. - Pan i każdy, kto nosi zielony mundur, wiecie o tym dobrze.

- Tak. Pewnych ludzi to trochę zdenerwowało. Nie wszyscy w Pentagonie zdają sobie sprawę, jak ważna jest ochrona dobrego imienia armii, więc działają w dobrej wierze. Ale zgodzili się na kompromis.

Ani Cynthia, ani ja nie pokusiliśmy się o to, żeby zapytać jaki, ale pułkownik Fowler poinformował nas i tak:

- Wy dwoje prowadzicie sprawę do południa jutrzejszego dnia. Jeśli do tego czasu nie doprowadzicie do aresztowania ani nie wskażecie winnego, zostaniecie zwolnieni z obowiązków śledczych. Aczkolwiek FBI zatrzyma was tutaj jako konsultantów.

- Rozumiem.

- Grupa działania zbiera się właśnie w Atlancie. Będzie się składać z personelu FBI, zespołu z Sądu Wojskowego i starszych oficerów przysłanych z waszej rodzimej jednostki w Falls Church.

- Mam nadzieję, że wszyscy będą musieli zamieszkać w kwaterach dla oficerów.

Pułkownik Fowler zmusił się do uśmiechu,

- Oczywiście wcale tego nie chcemy i podejrzewam, że wy również nie. Ale jeśli się nad tym zastanowić, to było nieuniknione.

- Pułkowniku - powiedziała Cynthia - wprawdzie nie co dzień w wojsku morduje się kapitana, ale taka akcja wygląda raczej na zawody niż normalną pracę policyjną.

- Wyraziliśmy tę wątpliwość. Kłopot jednak w tym, że była to kobieta, że została zgwałcona i że na dodatek chodzi o córkę generała Campbella. - I dodał: - Prawo jest jednakowe dla wszystkich, ale dla niektórych jest go trochę więcej.

- Zdaję sobie sprawę, że nie ma pan nic wspólnego z tą decyzją, pułkowniku - powiedziałem - ale powinien pan przedyskutować to jeszcze z generałem Campbellem i dowiedzieć się, czy można ją zmienić, a przynajmniej zmodyfikować.

- Już to zrobiłem. W ten sposób uzyskaliśmy kompromis. Mniej więcej o dwudziestej trzeciej wczoraj wieczorem pan i pani Sunhill zostaliście zwolnieni. Generał Campbell i pułkownik Hellmann wywalczyli dla was trochę czasu. Twierdzili, że jesteście bardzo blisko aresztowania. Więc jeśli wasze dowody wskazujące na pułkownika Moore'a są mocne, może aresztujcie go. Macie naszą zgodę, jeśli uważacie, że to słuszna decyzja.

Przez chwilę się zastanawiałem. Pułkownik Moore wydawał się bardzo popularnym kandydatem na stryczek. I niby dlaczego nie? Nawet jeśli pominąć dowody, był przecież odmieńcem wykonującym jakąś podejrzaną pracę, w dodatku sekretną, nosił wygnieciony mundur, a zgodnie z tym, co powiedział nam Kent, generałowi Campbellowi nie podobały się jego bliskie kontakty z Ann. Na dodatek nie miał żadnych nagród i medali i nie był popularnym oficerem. Nawet kapral żandarmerii tylko czeka, by rzucić go lwom na pożarcie. Ten facet szedł prosto na szubienicę zaczytany w cytatach z Nietzschego.

- No cóż, jeśli mam trzydzieści godzin - zwróciłem się do pułkownika - zamierzam je wykorzystać.

Fowler wyglądał na nieco zawiedzionego.

- Co wstrzymuje pana przed użyciem tych dowodów, które już macie w ręku?

- Jest ich za mało, pułkowniku.

- Wydawało się, że raczej dość.

- Czy powiedział to panu pułkownik Kent?

- Tak... a poza tym i pan sugerował, że dowody zebrane przez laboratorium medycyny sądowej potwierdzają obecność pułkownika Moore'a na miejscu zbrodni.

- Zgadza się. Ale ważny jest czas, motyw i charakter samego przestępstwa. Pułkownik był w jakiś sposób zamieszany w to, co się tam stało. Tego jestem właściwie pewien. Ale nie mogę stwierdzić, czy działał samodzielnie, a nawet czy było to działanie o charakterze przestępczym i czy można mu zarzucić zbrodnię pierwszego stopnia. Muszę przygotować sprawę przeciwko niemu wyjątkowo starannie, a nie tylko aresztować go i postawić przed sądem.

- Rozumiem. Jak pan myśli, czy on się przyzna?

- Tego nigdy się nie wie, dopóki się nie zapyta.

- Kiedy pan zapyta?

- Zazwyczaj pytam w chwili, kiedy obie strony są gotowe do tego rodzaju rozmowy.

- Czy potrzebuje pan pomocy CID?

- Poinformowano mnie, że również major Bowes był kochankiem zamordowanej.

- To insynuacja.

- Zgadza się. Pułkowniku, jeśli pan go zapyta i poprosi, by przysiągł na honor oficera, prawdopodobnie powie panu prawdę. Prawdopodobnie... Nie, z tej sprawy trzeba go wyłączyć. Nie chcę mieć również do czynienia z jego ludźmi.

- Mogę zrozumieć pańskie podejście, panie Brenner, ale niejasne oskarżenie - nawet przyznanie, że miało się stosunki seksualne z ofiarą - wcale nie dyskwalifikują majora Bowesa jeśli chodzi o samo śledztwo.

- Myślę, że jednak tak. Uważam również, że kwalifikuje go to na listę podejrzanych do chwili, kiedy sprawdzę jego alibi. A jeśli już pan skończył, pułkowniku, na ten sam temat chciałbym porozmawiać z panem.

Pułkownik Fowler nalał sobie następną filiżankę kawy, ręka mu nawet nie zdrząła. Słońce stało już wysoko i pod dachem werandy panował cień. W brzuchu mi zaburczało i od kawy, i braku czegoś

innego, a mój umysł nie był tak czujny, jak powinien być. Spojrzałem na Cynthię i pomyślałem, że ona wygląda lepiej, niż ja się czuję, ale granica czasu, jaką nam wytyczono, oznaczała wybór między snem, seksem, jedzeniem i pracą.

- Czy mogę zaproponować wam śniadanie? - zapytał pułkownik Fowler

- Nie, dziękujemy.

Spojrzał na mnie.

- Proszę strzelać.

- Czy był pan seksualnie związany z Ann Campbell? - otworzyłem ogień,

- Nie.

- Czy znał pan kogoś, kto był?

- Pułkownik Kent przyznał się wam do tego. Nie mam zamiaru wymieniać nazwisk, jeśli oznacza to umieszczenie tych osób na liście podejrzanych.

- Dobrze, przejdźmy od razu do tej listy. Czy zna pan kogoś, kto miał motyw, żeby ją zabić?

- Nie, nie znam.

- Czy wie pan, że młodszy adiutant generała Campbella, porucznik Elby, był na nią rozwścieczony?

- Tak, wiem. Okazywanie względów córce przełożonego jest dość powszechne i nawet rozsądne. Oboje byli wolni i atrakcyjni. Oboje przebywali w tym samym kręgu zawodowym i towarzyskim. Takie sytuacje często kończą się małżeństwem. - Po chwili pułkownik Fowler dodał: - Młodzi ludzie nie zawsze myślą głową.

- Amen. Czy ona również się nim interesowała?

Pułkownik Fowler przez chwilę zastanawiał się.

- Nigdy nie okazywała zainteresowania żadnym mężczyzną - powiedział wreszcie. - Pobudzała zainteresowanie, a potem po prostu odwracała się.

- To raczej zaskakujące stwierdzenie, jak na pana, pułkowniku.

- Panie Brenner, dajmy sobie z tym spokój. Już i tak pan wszystko wie. Nie staram się chronić jej reputacji przed waszą dwójką. Ta kobieta była... Boże, chciałbym znaleźć na to odpowiednie słowo - więcej niż uwodzicielką, trudno też powiedzieć, że pobudzała apetyty - raczej je zaspokajała - nie była na pewno zwykłą dziwką... - Spojrzał na Cynthię. - Proszę mi podpowiedzieć.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli odpowiednie słowo na to, czym była. Może „mścicielka”.

- Mścicielka?

- Nie była ofiarą plotek - mówiła dalej Cynthia - jak to usiłował pan na początku zasugerować, nie była też cudzołożnicą w konwencjonalnym sensie tego słowa ani kliniczną nimfomanką. Używając swoich wdzięków i ciała, mściła się - i pan o tym wie.

Pułkownik Fowler nie był zachwycony tym podsumowaniem. Podejrzewałem, że pułkownik Kent złożył mu tylko skrócony raport z tego, co nam powiedział. Najwyraźniej zapomniał nadmienić, że zachowania seksualne Ann Campbell miały na celu wystawienie jej tatusia na pośmiewisko.

- Rzeczywiście nienawidziła wojska. - Pułkownik Fowler powiedział to do Cynthii.

- Nienawidziła swego ojca - odparła Cynthia.

Po raz pierwszy pułkownik Fowler wyglądał, jakby stracił grunt pod nogami. Był z niego chłodny twardziel, zaprawiony w bojach, a Cynthia właśnie go poinformowała, że ma odsłonięte tyły.

- Generał naprawdę kochał swoją córkę - powiedział Fowler. - Proszę, uwierzcie w to. A ona obsesyjnie i zupełnie bez podstaw go nienawidziła. Prawdę mówiąc, rozmawiałem na ten temat z psychologiem z zewnątrz i zasugerowałem, że mogła być na granicy zachwiania osobowości.

- Nic, co dotąd usłyszałam - wtrąciła Cynthia - nie świadczy, że była na granicy.

- Nie bardzo nadażalem za jego wywodem, ale wynikało z niego, że dzieci silnych mężczyzn, starające się kroczyć drogą ojca, stają się sfrustrowane, zaczynają kwestionować własną wartość, i wreszcie próbują ochronić ego robiąc to, co w swoim mniemaniu robią najlepiej. Na dodatek wybierają dziedzinę nie mającą nic wspólnego ze światem rodzica, żeby z nim nie współzawodniczyć, ale za to dziedzinę społecznie ważną. Dlatego - cytuję słowa tego psychologa - często zajmują się pracą społeczną, stają się nauczycielami, nawet pielęgniarkami, lub chwytają się innego zawodu związanego z nauczaniem. Niekiedy są psychologami.

- Psychologia wojny - zauważyłem - niezupełnie wiąże się z pomaganiem ludziom.

- Nie, w tym miejscu Ann odbiega od normy. Psycholog powiedział mi, że kiedy syn albo córka pozostają mimo wszystko w świecie ojca, często starają się go zranić. Nie mogą współzawodniczyć, a nie potrafią odejść na swoje, więc trzymają się blisko źródła swego gniewu i prowadzą coś w rodzaju wojny podjazdowej; od drobnych uszczypliwości po poważne sabotáže.

Przez chwilę rozmyślał.

- Zachowują się tak, ponieważ jest to jedyny sposób, by się zemścić - to są pani słowa, pani Sunhill - zemścić za wszystkie wyimaginowane niesprawiedliwości. Kapitan Campbell była w wyjątkowo dogodnej sytuacji. Ojciec nie mógł jej wyrzucić, ponieważ zbudowała własny bastion. Wielu synów i wiele córek będących w opozycji do swych ojców - tak mówił ten psycholog - zbacza na drogę cudzołóstwa, picia, hazardu i innych niezgodnych ze społecznymi normami zachowań, które

mają postawić w kłopotliwej sytuacji postawioną na świeczniku osobę ich rodziciela. Kapitan Campbell, prawdopodobnie w wyniku znajomości psychologii, poszła o krok dalej i najwyraźniej postanowiła uwieść mężczyzn z otoczenia swego ojca,

Pułkownik Fowler pochylił się nad stołem.

- Chciałbym przekonać was, że zachowanie Ann Campbell było irracjonalne i nie miało nic wspólnego ze stosunkiem ojca do niej. Wszyscy mamy wymyślonych wrogów, a jeśli jest to rodzic, żadna miara miłości ani dbałości nie jest w stanie zdławić gniewu w umyśle dziecka. To była bardzo skłopotana kobieta, która potrzebowała pomocy i nie otrzymała jej. Prawdę mówiąc, ten podlec Moore podsycił tylko płomień jej gniewu dla własnych, chorych celów. Uważam, że chciał sprawdzić, jak daleko może się posunąć i nadal kontrolować sytuację.

Nikt nie odezwał się przez pełną minutę.

- Dlaczego generał nie zastosował żadnych drastycznych środków? - zapytała wreszcie Cynthia. - Przecież był to ten sam mężczyzna, który poprowadził wojska pancerne przez rzekę Eufrat.

- Tamto było proste - oświadczył pułkownik Fowler. - Kierowanie Ann Campbell to znacznie trudniejsza sprawa. Generał rozpatrywał tę możliwość jakiś rok temu. Ale - zdaniem specjalisty - gdyby spowodował na przykład odesłanie pułkownika Moore'a, albo skierował Ann na terapię, co mógł jej polecić jako dowódca, sprawy mogłyby się tylko pogorszyć. Tak więc generał posłuchał porady i pozwolił, żeby rzecz rozwijała się w sposób naturalny.

- Nie pomogłoby karierze generała - stwierdziłem - gdyby wystąpił przeciwko Moore'owi i córce. Wyszłoby na jaw, że w jego jednostce nie dzieje się dobrze.

- Sytuacja była bardzo delikatna - odparł pułkownik Fowler. - Pani Campbell... matka Ann uważała, że wszystko wróci do normy, jeśli pozwoli się dziewczynie w naturalny sposób odreagować gniew. Ale generał zdecydował się działać, właśnie tydzień temu. Tylko, że wtedy... no cóż, już było za późno.

- Co - zapytałem - postanowił zrobić generał?

Pułkownik Fowler przez chwilę zastanawiał się.

- Nie jestem pewien - powiedział wreszcie - czy dalsza rozmowa na ten temat ma związek ze sprawą.

- Proszę mi powiedzieć, a ja to ocenię.

- No cóż... niech będzie. Generał parę dni temu postawił swojej córce ultimatum. Zaproponował jej kilka rozwiązań. Pierwsze - rezygnacja z patentu oficerskiego. Drugie - rezygnacja z pracy w szkole i poddanie się terapii, którą wybierze dla niej generał. Trzecie - jeśli odrzuci dwie poprzednie propozycje, generał poleci zbadać sprawę jej niewłaściwego prowadzenia się i postawi ją w stan oskarżenia przed Sądem Wojskowym.

Skinąłem głową. Czułem, że jeśli pułkownik mówi prawdę, to, co wydarzyło się na strzelnicy numer sześć, było skutkiem ultimatum.

- Czy podjęła jakąś decyzję? - zapytałem.

- Obiecała odpowiedzieć w ciągu dwóch dni. Ale nie zdążyła. Zginęła.

- Może to była odpowiedź - zasugerowałem.

Pułkownik Fowler spojrzał, zaskoczony.

- Co pan przez to rozumie?

- Proszę się nad tym zastanowić, pułkowniku.

- Chodzi panu o to, że pułkownik Moore asystował jej przy czymś w rodzaju niezwyklego samobójstwa?

- Być może. Czy zdarzył się w przeszłości jakiś incydent, który wyjaśniałby gniew kapitan Campbell na ojca?

- Na przykład?

- Na przykład... współzawodnictwo w uczuciach... matka, córka, no, rozumie pan.

Pułkownik Fowler przyglądał mi się uważnie przez chwilę, jakbym przekraczał właśnie linię śledztwa w sprawie o morderstwo i naruszał zasady etyki.

- Nie wiem, do czego pan zmierza, panie Brenner - odparł zimno - i lepiej, żeby nawet nie próbował pan tego tłumaczyć.

- Tak jest, sir.

- Czy to wszystko?

- Obawiam się, że nie. Wchodzimy na bardziej grząski teren, pułkowniku. Powiedział pan, że nie łączyły pana żadne związki seksualne z nieboszczką. Dlaczego?

- O co właściwie mnie pan pyta?

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego panu tego nie zaproponowała, a jeśli zaproponowała, dlaczego pan odrzucił jej ofertę?

Wzrok pułkownika Fowlera na chwilę utkwiał w drzwiach, jakby chciał się upewnić, czy żona nie stoi za blisko i czy czegoś nie usłyszy.

- Nigdy niczego takiego mi nie zaproponowała - oświadczył.

- Rozumiem. Dlatego, że jest pan czarny, czy też wiedziała, że nie ma co próbować?

- Ja... mnie się raczej wydaje..., nieraz umawiała się z czarnymi oficerami... nie tutaj, w Hadley, ale w przeszłości, więc to nie było to. Chyba wiedziała... - Po raz pierwszy uśmiechnął się. - ... wiedziała, że mnie nie da się zdemoralizować. - I dodał, wciąż jeszcze uśmiechając się: - Albo uważała, że jestem brzydki.

- Ależ pan wcale nie jest brzydki, pułkowniku - wtrąciła Cynthia - a nawet gdyby pan był, nie miałyby to znaczenia dla Ann Campbell. Podejrzewam, że jednak próbowała i z panem, tylko pan ją odtrącił, ponieważ jest pan lojalny w stosunku do swojej żony i swego dowódcy. Ponieważ jest pan człowiekiem moralnym. W związku z tym stał się pan drugim z kolei wrogiem Ann Campbell.

Fowler najwyraźniej miał dość.

- W życiu nie prowadziłem takiej rozmowy - powiedział.

- Prawdopodobnie nie był pan również zamieszany w śledztwo w sprawie morderstwa.

- Nie, nie byłem. Gdybyście tylko dokonali aresztowania, to śledztwo także zostałoby zamknięte.

- Niezupełnie. Trwałoby dalej w toku postępowania przed sądem. Nieczęsto popełniam błędy, pułkowniku, a na myśl, że mógłbym popełnić, staram się pracować jeszcze pilniej,

- Czy kapitan Campbell miała jakichś braci czy siostry? - zapytała Cynthia.

- Campbellowie mają jeszcze syna.

- Co może nam pan o nim powiedzieć?

- Mieszka na Zachodnim Wybrzeżu. W jakiejś miejscowości o hiszpańskiej nazwie. Nie mogę sobie teraz przypomnieć,

- Nie jest wojskowym?

- Nie. On... chyba zmieniał kilka razy zawód.

- Rozumiem. Spotkał go pan kiedyś?

- Tak. Zazwyczaj przyjeżdża do domu na wakacje.

- Czy nie zauważył pan, że ma te same problemy, co siostra?

- Do pewnego stopnia... ale zdecydował się odsunąć od rodziny. On w taki sposób radzi sobie z problemami. Podczas wojny w Zatoce na przykład, kiedy jakaś kalifornijska stacja telewizyjna chciała przeprowadzić z nim wywiad, nie mogli go w ogóle znaleźć.

- Czy określiłby go pan jako wyobcowanego z rodziny? - zapytała Cynthia.

- Wyobcowanego, nie... po prostu odsunął się. Kiedy zjawia się w domu, wszyscy bardzo się cieszą, a potem jest im smutno, kiedy wyjeżdża.

- A jakie były stosunki między bratem a siostrą?

- Z tego, co widziałem, bardzo dobre. Ann Campbell całkowicie go akceptowała.

- Co akceptowała? Jego styl życia?

- Tak. John - tak mu na imię - jest homoseksualistą.

- Rozumiem. A czy generał Campbell akceptował to?

Fowler zastanawiał się chwilę.

- Chyba tak. John zawsze był bardzo dyskretny, nigdy nie przyprawdzał swoich męskich kochanków do domu, ubierał się bardzo zwyczajnie. Wydaje mi się, że gdyby generał nie był tak przejęty córką i jej postępowaniem, może bardziej by się martwił synem. Ale w porównaniu z Ann John to wzór obywatela.

- Rozumiem - powiedziała Cynthia, - Czy myśli pan, że generał Campbell mógł popychać córkę, by zajęła miejsce, które tradycyjnie zajmował męski potomek - chodzi mi o West Point i wojsko - żeby zrekompensować brak zainteresowań w tym kierunku syna?

- To pewnie od wszystkich usłyszycie. Ale życie nie jest takie proste. Prawdę mówiąc, Ann bardzo entuzjazmowała się studiami na West Point. Chciała tam być i radziła sobie wprost znakomicie. Po czteroletniej obowiązkowej służbie pozostała w wojsku. Więc nie przypuszczam, żeby generał popychał ją, zachęcał, czy wręcz groził utratą miłości ojcowskiej, gdyby nie zdecydowała się na wojskową karierę. Ann Campbell, tak jak ją pamiętam z młodszych lat, była niezłym urwisem, świetną kandydatką do kariery w armii. I bardzo chciała kontynuować tradycję rodzinną. Ojciec jej ojca również był oficerem.

- Mówił pan, że nienawidziła wojska - przypomniała mu Cynthia.

- Tak... powiedziałem to, ale sami zasugerowaliście, że chodziło o nienawiść do ojca.

- Więc mówiąc to, pomylił się pan?

- No...

Podczas przesłuchania zawsze należy zwrócić uwagę na kłamstwo, nawet najdrobniejsze. Podejrzany czy świadek zaczyna się bronić, co stawia oficera śledczego w dogodniejszej pozycji.

Pułkownik Fowler chciał poprawić swoje wcześniejsze oświadczenie. Zwrócił się do Cynthii:

- Kiedyś lubiła wojsko. Trudno mi powiedzieć, co czuła ostatnio. Było w niej zbyt wiele gniewu, inne motywy skłaniały ją do pozostawiania w służbie.

- Wydaje mi się, że rozumiem, co chce pan powiedzieć - rzekła Cynthia. - Czy mógłby pan rzucić trochę światła na stosunki między Ann Campbell i jej matką?

Pułkownik Fowler znowu się chwilę zastanawiał.

- To były zupełnie poprawne stosunki - powiedział wreszcie. - Pani Campbell nie jest, jak niektórzy myślą, kobietą słabą. Zdecydowała się dostosować do swego męża, jego kariery, częstej zmiany miejsc pobytu, w tym również wyjazdów tam, gdzie nie mogła mu towarzyszyć, spotkania się z ludźmi, których sama mogła nie akceptować i tak dalej. Użyłem słowa „zdecydowała”, ponieważ to właśnie była decyzja. Pani Campbell jest przedstawicielką starej szkoły, angażuje się w małżeństwo poważnie, a jeśli zmieni zdanie, po prostu odejdzie. Nie ciska się ani nie narzeka, jak niektóre nowoczesne żony, które chciałyby mieć ciasto, a jednocześnie je zjeść.

Obrzucił spojrzeniem Cynthię, ale mówił dalej:

- Nie jest to kobieta, która zawstydzalaby męża niestosownym prowadzeniem się. Wie, że małżeństwo zawiera się na dobre i złe, zna swoją wartość jako żony i partnerki i nie próbuje patetycznie udowodniać niezależności stając się handlarką nieruchomości. Nie nosi gwiazdek generalskich, ale wie, że również on by ich nie miał, gdyby nie jej pomoc, oddanie i lojalność. Pytaliście mnie o stosunki między Ann i jej matką, a ja opowiedziałem o pani Campbell i jej mężu, ale teraz sami sobie możecie odpowiedzieć na to pytanie.

Skinął głową.

- Tak. Czy Ann starała się zmienić postępowanie matki lub jej filozofię?

- Myślę, że na początku tak, ale pani Campbell powiedziała córce, by pilnowała własnego nosa i nie wtrącała się do jej małżeństwa.

- Dobra rada - skomentowała Cynthia. - Ale czy to nie wprowadziło napięcia w ich stosunkach?

- Nie bardzo znam się na układach między córkami a matkami. Miałem czterech braci, a teraz sam mam trzech synów. W ogóle nie bardzo rozumiem kobiety i nigdy z bliska nie widziałem, jak układają sobie życie matka z córką. Ale wiem, że one nigdy nie robiły razem zakupów, nie grały w tenisa i nie zapraszały wspólnych znajomych. Za to od czasu do czasu jadły tylko we dwie obiady. Czy to coś wam mówi?

Cynthia skinęła głową.

- Czy pani Fowler znała dobrze Ann Campbell?

- Zupełnie nieźle - odparł pułkownik. - Spotykały się na gruncie towarzyskim.

- Oczywiście pani Fowler zna również panią Campbell, więc może ona mogłaby nam opowiedzieć o stosunkach między matką a córką?

Pułkownik Fowler wahał się odrobinę za długo.

- Pani Fowler jest bardzo zdenerwowana, jak zapewne zauważyliście. Jeśli więc się nie upieracie, wolałbym poczekać z tym kilka dni.

- Czy pani Fowler będzie uchwytna? - dopytywała się Cynthia. - A może jest aż tak zdenerwowana, że ma zamiar wyjechać gdzieś na odpoczynek?

Pułkownik popatrzył na Cynthię.

- Jako osoba cywilna może wyjeżdżać kiedy i dokąd chce. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem pani słowa?

- Zrozumiał mnie pan doskonale, pułkowniku. Wolałabym nie być zmuszona do wysyłania jej wezwania do sądu. Pragnę porozmawiać z nią dzisiaj. Zresztą, jak się okazało, nie mamy już kilku dni.

Pułkownik Fowler westchnął ciężko. Miał trudniejszy orzech do zgryzienia, niż przypuszczał. Nie był przyzwyczajony do takiego nacisku ze strony ludzi niższych stopniem. Prawdopodobnie fakt, że mieliśmy na sobie cywilne ubrania, pomógł mu się opanować, inaczej po prostu wyrzuciłby nas za drzwi. Z tego zresztą powodu pracownicy CID często używali cywilnych ubrań.

- Sprawdź, czy ma wolne popołudnie - odpowiedział wreszcie.

- Dziękuję - powiedziała Cynthia. - Prawdopodobnie lepiej będzie, jak porozmawia z nami, nie z FBI.

Pułkownik Fowler zrozumiał, co miała na myśli, i skinął głową. - Tak dla porządku - zapytałem go - czy mógłby mi pan powiedzieć, pułkowniku, co pan robił tej nocy, kiedy kapitan Campbell została zamordowana?

Uśmiechnął się.

- Myślałem, że to będzie pierwsze pytanie - powiedział. - Dobrze, gdzież to ja byłem? Pracowałem do jakiejś dziewiętnastej, potem wziąłem udział w pożegnalnym przyjęciu dla oficerów przy klubowym grillu. Pożegnałem się jednak dość wcześnie i byłem w domu przed dwudziestą drugą. Posiedziałem jeszcze nad papierkową robotą, wykonałem kilka telefonów i oboje z żoną poszliśmy spać mniej więcej o jedenastej.

Głupotą z mojej strony byłoby pytać, czy pani Fowler potwierdzi jego słowa. Zadałem więc inne pytanie:

- I nic nadzwyczajnego nie wydarzyło się tamtej nocy?

- Nie.

- O której się pan obudził?

- O szóstej,

- A potem?

- Wziąłem prysznic i ubrałem się. W pracy zjawiłem się o siódmej trzydzieści. - I dodał: - Teraz też powinienem już tam być.

- A o ósmej zadzwonił pan do domu kapitan Campbell i zostawił pan wiadomość automatycznej sekretarce.

- Zgadza się. Generał zatelefonował do mnie z domu i poprosił o to.

- Nie chciał z nią sam rozmawiać?

- Był rozgniewany, wiedział też, że pani Campbell czuje się zawiedziona, dlatego poprosił mnie.

- Rozumiem. Tak się jednak zdarzyło, że my zjawiliśmy się u niej w domu przed godziną ósmą, a wiadomość już była nagrana.

Nastąpił moment brzemiennej - chyba tak to się nazywa - ciszy. Pułkownik Fowler musiał podjąć błyskawiczną decyzję: czy to blef z mojej strony, czy wymyślić lepszą historyjkę. Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

- W takim razie musiałem coś pomylić. Widocznie przyszedłem do pracy trochę wcześniej. O której godzinie zjawiliście się u niej w domu?

- Musiałbym sprawdzić w swoich notatkach. Czy mogę założyć, że nie dzwonił pan przed siódmą rano, by sprawdzić, czemu nie zjawiła się o siódmej na śniadaniu?

- To byłoby logiczne założenie, panie Brenner, chociaż zdarzało mi się również dzwonić do niej przed spotkaniem i o nim przypominać.

- Ale tym razem powiedział pan: „Ann, miałaś wpaść rano do domu generała”. Potem było coś o śniadaniu, a wreszcie: „Teraz prawdopodobnie śpisz”. Tak więc, jeśli skończyła służbę powiedzmy o siódmej, a pan zadzwonił do niej o siódmej trzydzieści, z trudem zdążyłaby dojechać do domu, a co dopiero pójść spać.

- To prawda... Coś mi się musiało poplątać. Może zapomniałem, że miała służbę i chodziło mi o to, że jeszcze się nie obudziła.

- Ależ wspomniał pan o służbie! Całe zdanie brzmiało: „Miałaś wpaść do domu generała rano, kiedy wracałaś ze służby”.

- Naprawdę tak powiedziałem?

- Tak.

- W takim razie niech pan to potraktuje jako mój błąd. Mogłem zadzwonić do niej nawet o siódmej trzydzieści. Wiem, że zrobiłem to zaraz po telefonie generała. Najwyraźniej kapitan

Campbell obiecała przyjść do rodziców o siódmej. Normalnie zostałaby zastąpiona mniej więcej w tym właśnie czasie przez oficera przejmującego służbę, ale gdyby wyszła trochę wcześniej, zostawiając na służbie sierżanta, nie byłoby w tym nic dziwnego. Jakiś problem, panie Brenner? - zapytał.

- Żaden. - Ja nie miałem problemu, natomiast on całkiem spory. Zapytałem: - Skoro kapitan Campbell i jej ojciec nie byli w najlepszych stosunkach, dlaczego miała z nim jeść śniadanie?

- No, zdarzały im się od czasu do czasu wspólne posiłki. Mówiłem panu, że z matką spotykała się dość często.

- Czy podczas tego śniadania Ann Campbell miała odpowiedzieć na ultimatum generała? Fowler zastanawiał się przez chwilę, potem powiedział:

- No cóż, możliwe, że tak.

- Nie zastanowiło pana, że kilka godzin przed odpowiedzią na ultimatum znaleziono ją martwą? Jak pan myśli, czy był jakiś związek między tymi dwoma zdarzeniami?

- Nie. Uważam, że to przypadek.

- Nie wierzę w przypadki. Chciałbym pana zapytać jeszcze o jedno, pułkowniku: czy generał Campbell zażądał czegoś więcej w swoim ultimatum?

- Na przykład?

- Powiedzmy nazwisk. Nazwisk mężczyzn, z którymi sypiała. Czy generał Campbell zamierzał przeprowadzić czystkę?

Pułkownik Fowler zastanowił się, a potem powiedział:

- To bardzo możliwe. Tyle że Ann Campbell nie kryła, z kim chodzi do łóżka i z najwyższą rozkoszą opowiadałaby o wszystkim ojcu.

- Ale żonaci oficerowie nie byli tak beztroscy ani zachwyceni podobną perspektywą.

- Na pewno - zgodził się Fowler. - Chociaż prawie wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie mogą liczyć na jej dyskrecję - powiedział. - Pan wie, panie Brenner, że większość żonatych mężczyzn ma ambiwalentny stosunek do niedyskrecji na tematy seksualne. - Spojrzał na Cynthię, a potem mówił dalej. - Z jednej strony są przerażeni, że o ich postępowaniu dowie się żona, rodzina oraz niektórzy z przełożonych. Z drugiej zaś są dumni ze swych podbojów i nieraz sami o nich opowiadają. Kiedy zdobyczą jest piękna córka szefa, trudno im się zazwyczaj powstrzymać i nie pochwalić. Wszyscy o tym wiemy.

- To prawda, wszyscy, pułkowniku. - Uśmiechnąłem się i dodałem: - Ale co innego gadanie, a co innego zdjęcie i listy. Powiedzmy, że któryś z kochanków dowiedział się, może nawet od samej Ann Campbell, iż generał ma dość tego wszystkiego i żąda od córki kompletnego spisu uwiedzionych.

Ktoś mógł dojść do wniosku, że nadszedł czas, by pozbyć się dowodów. Czyli pozbyć się Ann Campbell.

- Taka myśl przemknęła mi przez głowę - przytaknął pułkownik Fowler. - Prawdę mówiąc, nigdy nie sądziłem, żeby za jej śmierć odpowiedzialny był ktoś kompletnie obcy. Ale czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego osoba, która chciałaby ją uciszyć, mordowałaby ją w taki właśnie sposób, zwracając uwagę na seksualne zachowania ofiary?

Słuszne pytanie.

- To mogła być przykrywka, chciał ukryć naturę samego morderstwa. Dodał gwałt, by skomplikować śledztwo. Dwa razy prowadziłem sprawy mężów, którzy zamordowali swe żony w sposób sugerujący, że napastnik był obcą osobą.

- To jest pański teren działań - powiedział Fowler - nie mój. Rozumiem ten punkt widzenia, ale kto morduje kobietę tylko po to, by jej zamknąć usta? Znacznie mniej ryzykowne jest stanąć przed sądem pod zarzutem zachowań niegodnych oficera, niż być przez tenże sąd oskarżonym o morderstwo.

- Zgadzam się, pułkowniku, tylko pan rozumuje racjonalnie. W świecie irracjonalnym jednym z podstawowych motywów morderstwa jest pragnienie uniknięcia hańby i upokorzenia. Tak piszą w podręczniku.

- No cóż, mogę tylko jeszcze raz powtórzyć, że jesteśmy teraz na pańskim gruncie, nie na moim.

- Ale proszę się zastanowić, który spośród kochanków Ann Campbell mógł wziąć pod uwagę morderstwo, żeby uratować honor, nie dopuścić do rozwodu, sprawy w sądzie czy wyrzucenia ze służby.

- Panie Brenner, pańskiego pierwszego podejrzanego, pułkownika Moore'a, z tego przynajmniej, co słyszałem, nie łączył z nią seks, nie mogła więc nim kierować chęć zamknięcia jej ust, ale to nie wyklucza innych motywów. Więc może raczej powinien pan skoncentrować się na jego motywach, skoro ich nieznajomość powstrzymuje pana przed aresztowaniem tego człowieka.

- Tym szlakiem podążam również, pułkowniku. Lubię przeprowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa w taki sposób, jak dowódcy piechoty i wojsk pancernych przeprowadzają swoje kampanie - uderzają z wielu stron, stosują podejście pozorowane, próbny atak, główne natarcie, przedarcie się przez linię wroga, a na koniec okrążenie. - I spoglądając na niego dodałem: - Okrążyć i wykończyć.

Uśmiechnął się krzywo, tak właśnie, jak się spodziewałem.

- To najlepsza droga, by zmarnotrawić siły i stracić inicjatywę - powiedział. - Niech pan uderza, panie Brenner, a wszystkie wymyślne manewry zostawi mądralom wykładającym taktykę.

- Może ma pan rację, pułkowniku. - Ale zapytałem: - Czy przypadkiem przyszedłszy do pracy tamtego ranka natknął się pan na sierżanta na służbie, St. Johna?

- Nie. Prawdę mówiąc, później powiedziano mi, że całym fortem zawiadywał w tym czasie kapral na służbie. Kiedy zjawił się wreszcie jakiś oficer, rozpętało się piekło. Kapral zameldował, że sierżant na służbie opuścił stanowisko kilka godzin wcześniej i już nie wrócił. Nikt nie miał pojęcia, gdzie są sierżant i oficer. Ale mnie nikt o tym nie zameldował. Major Sanders, oficer sztabowy, zdecydował się zadzwonić do żandarmerii, gdzie poinformowali go, że sierżant St. John znajduje się w ich areszcie, chociaż nie chcieli powiedzieć dlaczego. O tym wszystkim dowiedziałem się o godzinie dziewiątej i natychmiast złożyłem raport generałowi Campbellowi, który polecił mi rzecz zbadać.

- I nikt nie pomyślał, żeby zapytać, gdzie zniknęła kapitan Campbell?

- Nie... Dziś widać, że to wszystko jest powiązane. Ale tamtego ranka myślałem, że kapitan Campbell po prostu wcześniej zesłał ze służby, zostawiając na posterunku sierżanta, który z kolei zostawił kaprala, bo sam wykorzystał okazję, żeby sobie gdzieś pójść - na przykład sprawdzić, co porabia jego żona. To jest bardzo powszechne. Mężczyzna, który spędza nocę poza domem, wbija sobie do głowy, że jego żona nie jest mu wierna, więc wymyka się sprawdzić, co się dzieje w domu. To są problemy życia w wojsku.

- Tak, pracowałem przy dwóch zabójstwach, które zaczynały się właśnie od tego.

- W takim razie nie muszę panu nic tłumaczyć. To mi właśnie wtedy przyszło do głowy. Dowiedziałem się też, że gdzieś trafili na niego żandarmi, gdyż nie zdołał wrócić do budynku dowództwa. Nie badałem sprawy bliżej, ponieważ wydawało mi się oczywiste, że sierżant St. John opuścił stanowisko w wyniku zaniedbania obowiązków przez kapitan Campbell. Komu mogłoby przyjść do głowy, że aresztowanie sierżanta St. Johna miało cokolwiek wspólnego z tym, co odkryliśmy później?

Wszystko trzymało się kupy. Ale oczywiście, gdyby go przycisnąć, na pewno ujawniłyby się słabe miejsca.

- Powiedział pan, że poprzedniego wieczoru pracował pan do późnych godzin.

- Tak.

- Czy widział pan kapitan Campbell, kiedy przyszła zameldować się wieczorem?

- Nie. Mój gabinet znajduje się na parterze, obok pokoju generała. Oficer i sierżant na służbie dyżurują w dużym biurze na pierwszym piętrze. Pobierają księgę zapisów i rozkazy od wyznaczonego oficera i potem wybierają sobie jakieś biurko. Rzadko zdarza mi się widzieć meldujących się oficerów na służbie. Czy to panu coś daje? - zapytał.

- Nie będę wiedział, czy mi coś daje, dopóki wszystkiego nie sprawdzę. Na tym polega moja praca, pułkowniku, i nie mogę jej wykonywać w żaden inny sposób.

- Jestem pewien, że istnieje jakieś pasmo tolerancji, panie Brenner.

- Niewielkie. Centymetr w lewo i centymetr w prawo. Posunę się kawałek dalej i spadam na łeb

na szyję prosto w rozwarte szczęki mojego szefa, który uwielbia połykać chorążych, a boi zadawać pytania oficerom starszym stopniem.

- Naprawdę?

- Tak jest, sir.

- Powiem mu, że wykonał pan wspaniałą robotę i nie okazał lęku.

- Dziękuję, pułkowniku.

- Czy pana to bawi?

- Kiedyś mnie bawiło. Dzisiaj nie. I wczoraj też nie.

- W takim razie mamy ze sobą coś wspólnego.

- Mam nadzieję.

Siedzieliśmy tak dobrą minutę. Moja kawa całkiem ostygła, ale nie dbałem o to.

- Pułkowniku, czy mógłby pan zaaranżować dla nas na dziś spotkanie z panią Campbell? - zapytałem wreszcie.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Jeśli jest rzeczywiście tak dobrą żoną wojskowego, jak pan mówił, zrozumie, że to konieczne. - I dodałem: - Chcielibyśmy także spotkać się dzisiaj z generałem Campbellem.

- Umówię was. Gdzie mógłbym się z panem skontaktować?

- W komendzie żandarmerii.

- Czy przygotowania do pogrzebu zostały zakończone?

- Tak. Ciało będzie wystawione w kaplicy po capstrzyku i pozostanie tam do jutra rana, tak że każdy, kto zechce, będzie ją mógł pożegnać. Jutro o jedenastej odbędzie się nabożeństwo, potem ciało przeniosą na Pole Jordana, włożą do samolotu i przetransportują do Michigan, gdzie znajduje się grób rodziny Campbellów.

- Rozumiem. - Zawodowi oficerowie zazwyczaj trzymają testament i instrukcje dotyczące pochówku w teczce personalnej. - Taka była wola nieboszczki?

- Czy to pytanie ma coś wspólnego ze śledztwem o morderstwo?

- Przypuszczam, że data na jej ostatniej woli i data na instrukcji co do pochówku mogą mieć związek z tym śledztwem.

- Zarówno testament jak i szczegóły związane z pogrzebem zostały spisane na tydzień przed wyjazdem kapitan Campbell do Zatoki. A tak dla pańskiej informacji: chciała zostać pochowana w grobie rodzinnym, a jedynym jej spadkobiercą jest brat John.

- Dziękuję. Doceniamy pańską gotowość do współpracy, pułkowniku. - Mimo że próbował pan trochę zaciemnić sytuację.

Oficerowie starsi rangą pierwsi siadają i pierwsi wstają, więc poczekałem, aż zrozumie, że już skończyłem, i podniesie się. Ale on jeszcze zapytał:

- Czy znalazł pan w domu Ann Campbell coś, co mogłoby przynieść szkodę jej lub komukolwiek na terenie bazy?

Teraz przysłała na mnie kolej, by okazać wstrzemięźliwość, więc zapytałem:

- Na przykład?

- No... pamiątniki, zdjęcia, korespondencję, listę jej podbojów. Wie pan, co mam na myśli.

- Moja ciotka, stara panna, mogłaby spędzić tydzień samotnie w domu kapitan Campbell i nie znalazłaby ani jednej rzeczy, której nie mogłaby aprobować, w tym również muzyki - powiedziałem, nie mijając się z prawdą, ponieważ ciotka Jean, chociaż wścibska, była mało spostrzegawcza.

Pułkownik Fowler wstał, więc my podnieśliśmy się również.

- W takim razie czegoś nie zauważyliście - oświadczył. - Ann Campbell prowadziła szczegółową dokumentację. Jako wyszkolony psycholog, wiedzona pragnieniem zdemoralizowania jednostki, nie ufała zawodnej pamięci, z której mogło ulecieć wspomnienie jakichś figli-migli w motelu lub czyimś biurze na terenie jednostki. Poszukajcie dokładniej.

- Tak jest, sir, - Muszę przyznać, że nie sprawiało mi przyjemności wysłuchiwanie tego typu uwag o Ann Campbell z ust Kenta czy Fowlera. Ta kobieta była dla mnie przede wszystkim ofiarą przestępstwa. Prawdopodobnie znajdę jej mordercę, ale ktoś powinien

również odkryć, dlaczego stała się tym, kim się stała, i powiedzieć to takim ludziom jak Fowler, Kent i cała reszta. Życie Ann Campbell nie wymagało przeprosin ani żalów, ale z pewnością racjonalnego wytłumaczenia i może oczyszczenia.

Pułkownik Fowler odprowadził nas do frontowych drzwi: Prawdopodobnie żałował, że gdy przyszliśmy, rozmawiał właśnie przez telefon i musiała nam otworzyć jego żona. Przy drzwiach wymieniliśmy uściski rąk.

- A tak przy okazji - powiedziałem jeszcze - nigdzie nie znaleźliśmy sygnetu kapitan Campbell z West Point. Czy miała zwyczaj go nosić?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nigdy nie zwróciłem na to uwagi - powiedział wreszcie.

- Na palcu, gdzie powinien być sygnet, widnieje jaśniejsza linia.

- W takim razie widocznie go nosiła.

- Wie pan co, pułkowniku - powiedziałem - gdybym był generałem, chciałbym mieć pana za adiutanta.

- Gdyby pan był generałem, panie Brenner, potrzebowałby pan koniecznie takiego adiutanta jak ja. Życzę miłego dnia. - Zielone drzwi zaniknęły się, zeszedliśmy ścieżką ku drodze.

- Stoimy w przedsionku wielkiego sekretu Ann i jej tatusia, robimy krok do przodu i uderzamy o ścianę - powiedziała Cynthia.

- To prawda. - Co za pokrętna metafora. - Ale wiemy, że ten sekret istnieje i wiemy, że te wszystkie historie z wymagowanym poczuciem niesprawiedliwości i irracjonalnym gniewem skierowanym w ojca nic nie wyjaśniają. - Przynajmniej mnie.

Cynthia otworzyła drzwi do samochodu.

- Mnie też nie.

Wślizgnąłem się na miejsce dla pasażera.

- Żona pułkownika Fowlera miała to spojrzenie. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak.

- Trzeba się lepiej przyjrzeć pułkownikowi Fowlerowi.

- Na pewno trzeba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Śniadanie w Szkole Operacji Psychologicznych? - zapytała Cynthia.

- Właśnie. Schrapiemy pułkownika Moore'a.

Każdy dom na Wzgórzu Bethany ma regulaminową białą tabliczkę z czarnymi literami, zawieszoną przy podjeździe. Jakies pięć domów od rezydencji pułkownika Fowlera zobaczyłem napis: „Pułkownikostwo Kent”. Wskazałem go Cynthii.

- Ciekaw jestem, gdzie Bill Kent zamieszka w przyszłym miesiącu.

- Mam nadzieję, że nie w Leavenworth w Teksasie. Żal mi go.

- Ludzie sami pracują na swojego pecha.

- Okaż choć trochę współczucia, Paul.

- Dobrze. Biorąc pod uwagę zakres zepsucia, z jakim mamy tutaj do czynienia, posypią się jak grad rezygnacje, odejścia na emeryturę i przeniesienia. Może też być kilka rozwodów. Ale jeśli szczęście dopisze, nikt nie stanie przed sądem za czyny niegodne oficera. - Po chwili dodałem: - Potrzebowaliby całego budynku w Leavenworth dla kochanków Ann Campbell. Czy możesz to sobie wyobrazić? Jakies dwa tuziny byłych oficerów siedzących jeden koło drugiego w kolejnych celach...

- Mam wrażenie, że zbaczasz ze ścieżki współczucia.

- Masz rację. Przepraszam.

Zjechaliśmy ze Wzgórza Bethany i wmieszaliśmy się w poranny ruch bazy - mieszaninę samochodów prywatnych, ciężarówek z wojskiem, szkolnych autobusów, furgonetek dostawczych i łazików, a w tym wszystkim jeszcze żołnierzy, maszerujących lub biegnących w zwartym szyku. Tysiące mężczyzn i kobiet w ruchu. Wszystko niby jak w pierwszym lepszym miasteczku o godzinie ósmej rano, a jednocześnie kompletnie inaczej, Służba garnizonowa w czasach pokoju w najlepszym przypadku jest po prostu nudna, zaś w czasach wojny takie miejsca jak Fort Hadley są znośniejsze od pierwszej linii, acz niewiele.

- Niektórzy mają kłopoty z następstwem faktów - stwierdziła Cynthia. - Prawie uwierzyłam w kolejność wydarzeń, jaką nam zaserwował pułkownik Fowler.

- Uważam, że wiedział wcześniej o jej śmierci, ale musiał zadzwonić, by stworzyć pozory, że wszystko jest w porządku, tylko nie przyszła na umówione spotkanie. Nie przypuszczał natomiast, że dotrzemy do domu ofiary tak rano.

- To jest jakieś wyjaśnienie, ale jak dowiedział się, że nie żyje?

- Są trzy odpowiedzi: ktoś mu powiedział, w jakiś sposób odkrył ciało albo sam ją zamordował.

- On jej nie zabił - oświadczyła Cynthia. Zerknąłem na nią.

- Ty lubisz tego gościa.

- Lubię. Ale poza tym, to nie typ mordercy.

- Każdy jest mordercą, Cynthia.

- To nieprawda.

- Ale chyba zorientowałaś się, jaki mógł mieć motyw.

- Tak. Chciał chronić generała i pozbyć się źródła demoralizacji w jednostce.

Skinąłem głową.

- Jest to rodzaj altruistycznego motywu, który takiego człowieka jak pułkownik Fowler mógł popchnąć do zbrodni. Ale nie wykluczałbym i bardziej osobistego motywu.

- Może. - Cynthia skrzyła w drogę prowadzącą do Szkoły Operacji Psychologicznych.

- Gdybyśmy nie trzymali pułkownika Moore'a za jego kręconą czuprynę, pułkownik Fowler znalazłby się na szczycie listy. Sam telefon wystarczy, aby go pogrążyć, że nie wspomnę o wyrazie twarzy pani Fowler.

- Może - powtórzyła Cynthia. - Jak daleko posuniemy się z Moore'em?

- Tylko trochę go nastraszymy.

- Nie sądzisz, że powinniśmy z nim porozmawiać o włosach, odciskach palców i opon?

- Niekoniecznie. Ciężko na to zapracowaliśmy i nie mam zamiaru dzielić się z nim wynikami. Chcę, by pogrążył się głębiej własnoustnie.

Cynthia minęła znak „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Nigdzie nie widać było budki żandarmerii, ale zauważyłem patrol.

Zaparkowaliśmy przed budynkiem komendy szkoły. Napis na froncie głosił „Parking dla kadry”, zobaczyłem tam szarego forda fairlane, najprawdopodobniej własność pułkownika Moore'a.

Weszliśmy do budynku. W pustym korytarzu przy biurku siedział sierżant. Na nasz widok podniósł się.

- Czym mogę służyć?

Pokazałem mu swoje dokumenty.

- Proszę zaprowadzić nas do pułkownika Moore'a - powiedziałem.

- Zadzwoń do niego - odparł.

Nie spodobało mi się, że potraktował mnie jak cywila.

- Chyba mnie nie usłyszeliście, sierżancie. Zaprowadźcie nas do jego biura.

- Tak jest. Proszę za mną.

Ruszyliśmy długim korytarzem. Ściany z bloków betonu pomalowane były na kolor szlamu.

Podłogi nie wyłożono nawet kafelkami, zwykła szlichta pomalowana na szaro. Mniej więcej co cztery metry solidne, stalowe drzwi, wszystkie otwarte. Za nimi mieściły się niewielkie biura, w których siedzieli przy szarych stalowych biurkach porucznicy i kapitanowie, prawdopodobnie wszyscy specjalizujący się w psychologii, pogrążeni w pracy.

- Zapomnij o Nietzschem - powiedziałem do Cynthii. - To jest terytorium Kafki.

Sierżant zerknął na mnie, ale nie odezwał się.

- Od jak dawna pułkownik jest w biurze? - zapytałem go.

- Mniej więcej dwadzieścia minut.

- Czy to jego ford fairlane stoi na zewnątrz?

- Tak jest, sir. Czy chodzi o morderstwo Campbell?

- Na pewno nie o kwit parkingowy.

- Oczywiście, sir.

- Gdzie znajduje się biuro kapitan Campbell?

- Drzwi po prawej od biura pułkownika Moore'a. - Spojrzał na mnie i dodał: - Jest puste.

Doszliśmy do końca korytarza, który wieńczyły drzwi oznaczone tabliczką „Pułkownik Moore”.

- Czy mam was zaanonsować? - zapytał sierżant.

- Nie. To byłoby na tyle, sierżancie.

Zawahał się.

- Ja... - powiedział.

- Tak?

- Pokładam nadzieję w Bogu, że znajdziecie faceta, który to zrobił. - Odwrócił się i odszedł długim korytarzem.

Ostatnie drzwi po prawej również były zamknięte, a napis na nich głosił: „Kapitan Campbell”. Cynthia otworzyła je i weszliśmy do środka.

Pokój rzeczywiście był pusty, tylko na podłodze leżał bukiet kwiatów. Bez karteczki.

Wyszliśmy na korytarz i zapukałem do drzwi pułkownika Moore'a, - Wejść, wejść - odkrzyknął.

Posłuchaliśmy zaproszenia. Pułkownik, zgarbiony nad biurkiem, nie podniósł wzroku. Pokój był

duży, ale równie bezbarwny jak te, które mijaliśmy. Przy ścianie na prawo stały regały na akta, na lewo mały konferencyjny stół, w kącie otwarta metalowa szafka, w której pułkownik Moore zawiesił kurtkę. Na podłodze stał włączony wentylator, papiery przypięte do tylnej ściany szeleściły w podmuchach powietrza. Biurko Moore'a zdobił symbol statusu rządowego: maszynka do niszczenia papieru. Pułkownik podniósł wzrok.

- Co jest...? Och...

Rozejrzył się nerwowo, jakby sprawdzał, w jaki sposób dostaliśmy się tutaj.

- Przykro mi, że tak pana nachodzimy, pułkowniku - powiedziałem - ale akurat przejeżdżaliśmy tędy. Czy możemy usiąść?

- Tak, proszę. - Wskazał na dwa krzesła stojące przed biurkiem. - Byłbym jednak wdzięczny, gdybyście następnym razem wcześniej się umawiali.

- Tak jest, sir. Następnym razem wyznaczymy panu spotkanie w komendzie żandarmerii.

- Po prostu chciałbym wiedzieć wcześniej.

Jak wielu naukowców pułkownik Moore zdawał się nie zauważać subtelności zorganizowanego wokół niego świata. Prawdopodobnie nawet by nie zrozumiał, gdybym powiedział: „Następnym razem nasza rozmowa odbędzie się na policji.”

- Czym mogę wam służyć?

- Cóż - odparłem - chciałbym, żeby jeszcze raz zapewnił mnie pan, pułkowniku, że noc, kiedy wydarzyła się tragedia, spędził pan w domu.

- Zgadza się. Byłem w domu między godziną dziewiętnastą a siódmą trzydzieści, kiedy wyjechałem do pracy.

To była mniej więcej ta godzina, o której dotarliśmy z Cynthia do Ogrodów Zwycięstwa.

- Mieszka pan sam? - zapytałem.

- Tak.

- Czy może pan w jakiś sposób potwierdzić swoją obecność w domu?

- Nie.

- Zadzwoił pan o dwudziestej trzeciej do dowództwa jednostki, by porozmawiać z kapitan Campbell. Zgadza się?

- Owszem.

- Rozmowa dotyczyła waszej pracy?

- Tak.

- Ponownie zadzwonił pan koło południa do niej do domu i zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce.

- Tak.

- Ale próbował pan dzwonić wcześniej, a numer nie odpowiadał.

- To prawda.

- Po co pan do niej dzwonił?

- Żeby opowiedzieć dokładniej o wszystkim. Przyszli żandarmi i całkowicie opróżnili jej biuro. Kłóciłem się z nimi, ponieważ w jej aktach znajdował się zastrzeżony materiał, ale nie chcieli słuchać. - Po chwili dodał: - Wojsko jest rządzane jak państwo policyjne. Czy zdaje pan sobie sprawę, że oni nawet nie potrzebowali nakazu sądowego?

- Pułkowniku, gdyby to była centrala IBM, strażnicy mogliby zrobić to samo z polecenia kogoś z zarządu firmy. Tutaj wszystko i wszyscy należą do Wujka Sama. Ma pan pewne konstytucyjne prawa w związku ze śledztwem, ale nie radziłbym ich dochodzić wcześniej, niż założę panu kajdanki i poprowadzę do więzienia. Wtedy to wszyscy, ze mną na czele, będziemy pilnować, by pańskie prawa nie zostały naruszone. Tak więc proszę nam powiedzieć, pułkowniku, czy dziś rano jest pan w nastroju do współpracy?

- Nie. Ale pod przymusem będę z wami współpracował.

- Dobrze. - Jeszcze raz rozejrzałem się po jego biurze. Na górnej półce metalowej szafki leżała kosmetyczka z przyborami toaletowymi, z której to najprawdopodobniej zabrano szczotkę. Zastanowiłem się, czy Moore zauważył jej brak.

Spojrzałem na pojemnik przy maszynie do niszczenia papieru, ale był pusty, co mnie ucieszyło. Moore nie był ani głupcem, ani też nieobecny duchem profesorkiem. Prawdę mówiąc, jak już mówiłem, wyglądał groźnie i niebezpiecznie. Ale miał też w sobie niedbałą arogancję. Gdybym na jego biurku zobaczył namiotowe śledzie i młotek, nie zdziwiłbym się bardzo.

- Panie Brenner. Dzisiaj rano jestem bardzo zajęty.

- Dobrze. Mówił pan, że pomoże nam rozgryźć osobowość kapitan Campbell.

- Co byście chcieli wiedzieć?

- No więc po pierwsze, dlaczego nienawidziła swego ojca?

Przyglądał mi się przez długą chwilę.

- Widzę, że dowiedział się pan kilku rzeczy od czasu naszej ostatniej rozmowy.

- Tak jest, sir. Pani Sunhill i ja chodzimy sobie i rozmawiamy z różnymi ludźmi, i każdy mówi nam co nieco, a potem wracamy, przesłuchujemy, i już po kilku dniach wiemy, o co i kogo pytać. Krok po kroku odkrywamy, kto jest dobry, a kto zły, i tych złych aresztujemy. W porównaniu z psychologią wojny to banalne.

- Jest pan zbyt skromny.

- Dlaczego nienawidziła swego ojca?

Głęboko odetchnął, oparł się o krzesło i powiedział:

- Chciałbym na wstępie powiedzieć, że moim zdaniem generał Campbell cierpi na obsesyjno-kompulsywne zaburzenia osobowości. Mówiąc wprost, nastawiony jest wyłącznie na siebie, musi dominować nad otoczeniem, nie potrafi znieść krytyki, we wszystkim, co robi, dąży do perfekcji, ma kłopoty z okazywaniem uczuć, ale jest też w pełni kompetentny i sprawny.

- Opisuje pan dziewięćdziesiąt procent generałów armii. I co z tego?

- Fakt, że Ann Campbell nie różniła się specjalnie od niego, nie jest znowu taki niezwykły, jeśli się weźmie pod uwagę dziedziczność. Tak więc dwie podobne osobowości obok siebie, w tym samym domu, starszy wiekiem osobnik rodzaju męskiego i młodsza kobieta. To ogromny potencjał kłopotów.

- Co prowadzi nas do jej nieszczęśliwego dzieciństwa.

- Niezupełnie. Wszystko zaczęło się zupełnie dobrze. Ann widziała siebie jako odbicie ojca i to, co widziała, podobało jej się. A jej ojciec widział w niej siebie i był równie zadowolony. Prawdę mówiąc Ann przedstawiała zawsze dzieciństwo jako szczęśliwe, była wtedy z ojcem blisko związana.

- Potem coś poszło nie tak?

- Właśnie. Musiało. Kiedy dziecko jest małe, stara się zdobyć aprobatę ojca. Ojciec nie widzi zagrożenia dla swej dominacji i myśli, że syn lub córka to kaszka z mleczkiem, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć. Ale z czasem jedno w drugim zaczyna dostrzegać wady. Ironia polega na tym, że są to również ich własne najgorsze wady, ale ludzie nie potrafią być wobec siebie obiektywni. Poza tym pojawia się rywalizacja o dominację, zaczynają padać słowa krytyki. A ponieważ żadne nie jest jej w stanie znieść, a na dodatek i jedno, i drugie jest naprawdę kompetentne i ma duże osiągnięcia, lecą iskry.

- Czy mówimy ogólnie - zapytałem - czy szczególnie o generale i kapitan Campbell, ojcu i córce?

Zawahał się na moment. Prawdopodobnie głęboko zakorzeniony nawyk powstrzymywał go przed odsłanianiem zastrzeżonych informacji.

- Ja mogę mówić ogólnie, a wy wyciągniecie odpowiednie wnioski - powiedział.

- Jeśli pani Sunhill i ja zadajemy szczegółowe pytania, a otrzymujemy ogólne odpowiedzi - oświadczyłem - możemy coś źle zrozumieć. Jesteśmy dość tępi.

- Nie sądzę i nie oszukacie mnie, mówiąc w ten sposób.

- W porządku, wróćmy do tematu. Powiedziano nam, że Ann współzawodniczyła ze swym ojcem, a kiedy uświadomiła sobie, że w jego świecie nie ma możliwości wygrać, zamiast znaleźć sobie inną działkę, zaczęła akcję sabotażową przeciwko niemu.

- Kto wam powiedział coś takiego?

- Ktoś, kto z kolei usłyszał to od psychologa.

- Ten psycholog się mylił. Ludzie, którzy charakteryzują się osobowością obsesyjno-kompulsywną, zawsze uważają, że dadzą sobie radę i dojdą do mety łeb w łeb z osobą dominującą.

- Jaki więc był prawdziwy powód nienawiści Ann Campbell do ojca, jeśli nie przeszkadzało im wodzenie się za rogi?

- Nie przeszkadzało. Prawdziwym powodem jej głębokiej nienawiści do ojca była zdrada.

- Zdrada?

- Tak. W Ann Campbell nie wykształciło się irracjonalne uczucie wynikające z rywalizacji, zazdrości czy też lęku, że nie dorównuje jego standardom. Mimo że ich współzawodnictwo wzmagało się, nie musiało się to koniecznie skończyć źle. Prawdę mówiąc, do chwili zdrady bardzo kochała swego ojca. Ale zawód, który jej sprawił, był tak wielki, tak całkowity i wywołał taki uraz, że prawie ją zniszczył. Mężczyzna, którego kochała, podziwiała i któremu ufała bardziej niż komukolwiek na świecie, zdradził ją i złamał jej serce. - Po chwili pułkownik zapytał: - Czy to jest dla was wystarczająco szczegółowe?

Po kilku sekundach milczenia Cynthia pochyliła się do przodu.

- W jaki sposób on ją zdradził? - zapytała. Moore nie odpowiedział. Po prostu na nas patrzył.

- Czy ją zgwałcił? - zapytała Cynthia.

Potrząsnął głową.

- W takim razie co zrobił?

- To naprawdę nie ma znaczenia, co właściwie zrobił - odparł Moore. - Ważne jest tylko to, że zdrada była całkowita i niewybaczalna.

- Pułkowniku, dość tego pieprzenia. Co on jej zrobił?

Moore był lekko zaskoczony, ale szybko się z tego otrząsnął.

- Nie wiem - powiedział.

- A jednak wie pan, że nie był to gwałt ani cudzołóstwo - przypomniała Cynthia.

- Tak. Wiem, ponieważ sama mi to powiedziała. Kiedy dyskutowaliśmy nad jej problemem, odnosiła się do traumatycznego wydarzenia jako do zdrady.

- Więc - powiedziałem sarkastycznie - mógł na przykład zapomnieć kupić jej urodzinowy prezent.

Pułkownik Moore wyglądał na podrażnionego, mój sarkazm osiągnął cel.

- Nie, panie Brenner - powiedział. - To zazwyczaj nie jest tak banalne. Chyba potrafi pan zrozumieć, że jeśli się kogoś kocha i ufa mu bez granic, a ta osoba popełni zdradę z premedytacją i w sprawie fundamentalnej, nie przez zapomnienie czy bezmyślność, jak pan sugeruje, ale z pobudek całkowicie osobistych i dla własnych interesów - wtedy nigdy się jej nie wybacza. - I dodał: - Klasycznym przykładem jest kochająca żona, która idealizuje męża, a dowiaduje się o jego burzliwym romansie z inną kobietą.

Oboje z Cynthia zadumaliśmy się nad tym przez chwilę i przypuszczam, że przemknęło nam przez myśl parę osobistych refleksji. Żadne z nas nie odezwało się.

Wreszcie Moore powiedział:

- Weźmy przykład bliższy tematowi: dojrzewająca lub młoda kobieta kocha i uwielbia swego ojca. Pewnego dnia niechcący słyszy, jak mówi on do swych przyjaciół czy współpracowników: Jane to dziwaczka, ciągle siedzi w domu, bez przerwy płacze mi się pod nogami, fantazjuje na temat chłopców, ale nigdy nie umawia się na randki, ponieważ jest niezgrabna i bardzo przeciętna. Chciałbym, żeby od czasu do czasu wychodziła albo po prostu znalazła sobie jakieś własne mieszkanie. - Spojrzał na nas. - Czy coś takiego nie zniszczyłoby młodej kobiety, która idealizuje swego ojca? Czy nie złamałoby jej serca?

Na pewno tak. Mnie krajało się serce, kiedy tego słuchałem, a trudno mnie posądzać o wrażliwość.

- Myśli pan, że to było coś takiego? - zapytałem.

- Być może.

- Ale nie wie pan, co to było. Dlaczego tego nie powiedziała?

- Często osoba zraniona nie może znieść rozmowy o tym, co się wydarzyło, ponieważ przedstawienie sytuacji jest zaproszeniem do oceny, a osoby te zazwyczaj nie życzą sobie oceny. Wiedzą, że obiektywnemu słuchaczowi zdrada może wcale nie wydać się tak całkowita. Chociaż zdarza się również, że jest taka i obiektywnie - na przykład gdy chodzi o cudzołóstwo. W tym przypadku to było coś innego, ale wierzę, że sprawa musiała być równie okropna.

Przytaknąłem, jakby zgadzając się z jego rozumowaniem i chyba tak nawet było.

- Czy nie zgaduje pan, o co chodziło? - zapytałem.

- Nie. I nie muszę wiedzieć, co ojciec jej zrobił. Wystarczyła mi wiedza, że to zrobił i jego czyn okazał się traumatyczny. Całkowite pogwałcenie zaufania, po którym nic już nie było takie jak wcześniej.

Starłem się dopasować własne oceny do tego, co właśnie usłyszałem, ale nie mogłem. W mojej pracy muszę wiedzieć kto, co, gdzie, kiedy, jak i dlaczego. Może Moore wiedział przynajmniej kiedy? Zapytałem go więc:

- Kiedy? Kiedy to się wydarzyło?

- Jakies dziesięć lat temu - odparł.

- Dziesięć lat temu była w West Point.

- Zgadza się. To zdarzyło się jej, kiedy była na drugim roku w West Point.

- Rozumiem.

- A kiedy zaczęła szukać sposobów zemsty? - zapytała Cynthia. - Nie od razu?

- Nie, nie od razu. Przeszła przez naturalne w tej sytuacji stadium szoku, zaprzeczenia, następnie popadła w depresję, a wreszcie ogarnął ją gniew. Dopiero sześć lat temu zdecydowała, że woli zemścić się, niż w inny sposób radzić sobie z tą sytuacją. Najpierw stała się niezrównoważona, a potem popadła w obsesję, że tylko rewanż może wyrównać rachunki.

- I kto popchnął ją na tę ścieżkę? - zapytałem. - Pan czy Fryderyk Nietzsche?

- Nie wezmę na siebie odpowiedzialności za jej kampanię przeciwko ojcu, panie Brenner. Moja praca polegała na słuchaniu.

- W takim razie równie dobrze mogła przemawiać do kanarka - zauważyła Cynthia. - Nie powiedział jej pan, że takie działanie jest destrukcyjne?

- Oczywiście, że powiedziałem. Klucznie rzecz biorąc, postępowała niesłusznie. Ale nigdy nie sterowałem nią, jak to właśnie zasugerował pan Brenner.

- Gdyby jej akcja skierowana była przeciwko panu - powiedziałem - nie byłby pan tak klinicznie chłodny.

Chwilę wpatrywał się we mnie.

- Proszę zrozumieć, że czasami osoba zraniona nie chce rozpocząć procesu leczenia metodą terapeutyczną, ponieważ jedyne, czego pragnie, to nadal żałować samej siebie i wyrównywać

rachunki na swój własny sposób. Zazwyczaj rani tą samą bronią, którą została zraniona - ty mnie zdradziłeś, to i ja ciebie zdradzę. Ty uwiodłeś moją żonę, ja uwiodę twoją. Zwykle próba użycia tej samej broni jest nierealistyczna i niemożliwa. Czasami może się jednak udać. Konwencjonalna psychologia powie, że to nie jest zdrowe, ale przeciętny laik wie, że rewanż może być oczyszczający i terapeutyczny. Problem polega na tym, że zemsta zbiera własne psychiczne żniwo i mściciel staje się prokuratorem.

- Rozumiem, co pan chce powiedzieć, pułkowniku Moore - powiedziałem - chociaż zastanawiam się, czemu upiera się pan przy terminach ogólnych i klinicznych. Czy w ten sposób dystansuje się pan do tragedii? Unika osobistej odpowiedzialności?

To mu się nie podobało,

- Czuję się urażony sugestią - odparł - że nie udało mi się jej pomóc i że zachęcałem ją do tego, co robiła,

- Czy jest pan urażony, czy nie - poinformowałem go - niektórzy o to właśnie pana podejrzewają.

- Czego można oczekiwać od... - wzruszył ramionami i powiedział: - Ani ja, ani moja praca tutaj, w szkole i z Ann Campbell me była specjalnie doceniana czy rozumiana przez ludzi z tego fortu,

- Jestem w stanie to zrozumieć - powiedziałem. - Wie pan, widziałem na wideo kilka wykładów kapitan Campbell i myślę, że to, co robicie, jest naprawdę ważne. Ale może ludzie się denerwują, jak się błąkacie po całym terenie.

- Wszystko, co robimy, jest usankcjonowane przez wyższe władze

- Cieszę się słysząc te słowa. Ale tak sobie myślę, że Ann Campbell wyszła z sali wykładowej, żeby poćwiczyć na własnym polu bitwy.

Moore nic na to nie odpowiedział.

- Czy wie pan, czemu Ans Campbell trzymała akta dotyczące sesji leczniczych z kryminalistami? Przestępcami na tle seksualnym?

Zastanowił się przez chwilę.

- Nie wiedziałem o tym. Ale jeśli je miała, to były jej prywatne zainteresowania. Rzadko zdarza się psycholog, który nie ma jakichś dodatkowych zainteresowań. Zazwyczaj jest to praca związana z doktoratem.

- Jak się pan czuł wiedząc, że kapitan Campbell uprawia seks z wieloma partnerami? - zapytała Cynthia, Najpierw nic me odpowiedział, ale wreszcie wybąkał;

- No... ja... Kto wam to powiedział?

- Wszyscy poza panem - poinformowała go Cynthia.

- Nigdy o to nie pytaliście.

- Więc teraz pytam. Co czuł pan, wiedząc o jej seksualnych powiązaniach z mężczyznami, o których dbała tylko tyle, że dzięki nim mogła dobrać się do swego tatusia?

Kasznął zasłoniwszy usta ręką.

- Więc... ja uważałem, że to niezbyt mądre, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę jej pracę

- Czy był pan zazdrosny?

- Oczywiście, że nie. Ja...

Cynthia przerwała mu

- Czy czuł się pan zdradzony?

- Zdecydowanie nie. Nasze stosunki były dobre, platoniczne, intelektualne i pełne zaufania.

Chciałem zapytać go, czy należało do nich przyszpilanie jej nagiej do ziemi, ale chodziło mi o motyw, nie o sam fakt. Właściwie chyba już je znałem, i poza tym, że muszę znaleźć mordercę, wysłuchawszy wszystkiego, co pułkownik Moore powiedział o zdradzie, wiedziałem, że muszę zrozumieć życie Ann Campbell i zrozumieć, dlaczego była nieszczęśliwa.

Spróbowałem strzału w ciemno.

- Rozumiem, że kiedy byliście z kapitan Campbell w Zatoce; to pan zaproponował Operację Szaleństwo?

- Nie mam prawa o tym dyskutować - odparł.

- Kapitan Campbell pokładała wielką wiarę w moc seksu jako sposobu na osiągnięcie całkiem nie związanych z nim celów. Zgadza się?

- Ja... Tak.

- Jak powiedziałem, oglądałem jej wykłady nagrane na wideo i rozumiem, z czego wynikało to przekonanie. Ale chociaż nie neguję siły seksu, postrzegam ją raczej jako stwórczą, wyraz miłości i uczuć opiekuńczych. Ann Campbell jednak coś tu pokręciła. Zgadza pan się z tym?

Odparł inaczej:

- Seks sam w sobie nie jest ani dobry, ani zły. Ale to prawda, że niektórzy ludzie - głównie kobiety - używają go jako narzędzia, broni, by osiągnąć swoje cele.

- Zgadzasz się z tym? - zwróciłem się do Cynthii.

Wyglądała na nieco rozgniewaną, chociaż nie byłem pewien na kogo. Mimo to odpowiedziała:

- Zgadzam się, że niektóre kobiety używają niekiedy seksu jako broni, ale to jest zachowanie przyjęte społecznie. Ann Campbell mogła postrzegać seks jako stwoją jedyną broń przeciw niesprawiedliwości i uczuciu bezradności. Myślę, pułkownikowi Moore, że jeśli pan wiedział, co ona robi, pańskim moralnym obowiązkiem, nie mówiąc już o obowiązku dowódcy, było ją od tego powstrzymać.

Moore wpatrywał się w Cyntinę tymi swoimi oczami jak paciorki.

- Nie byłem w stanie jej powstrzymać.

- Dlaczego nie? - odparła. - Jest pan oficerem czy chłopcem okrętowym? Był pan jej przyjacielem, prawda? A jeśli nie uległ pan jej czarom, potrafił pan z nią rozmawiać rozsądnie. Może jednak jej seksualne doświadczenia interesowały pana jako przypadek kliniczny? Albo podniecała pana świadomość, że uprawia seks z tyloma partnerami?

Moore spojrzał na mnie.

- Odmawiam odpowiedzi i rozmowy z tą kobietą - powiedział.

- Nie może się pan okryć za piątym przykazaniem - poinformowałem go - dopóki nie odczytam panu praw jako oskarżonemu. A tego nie mam na razie zamiaru robić. Wiem, że to frustrujące. Zapomnijmy na razie o tym pytaniu, a ja przyrzekam, że pani Sunhill spróbuje tak wyrazić swoje wątpliwości, by nie potraktował ich pan jako niesubordynacji.

Pułkownik Moore zrozumiał najwyraźniej, że nic mu nie da odgrywanie skrzywdzonej niewinności. Skinął głową i bardziej zapadł się w swym krześle, jakby chciał zakomunikować: Jesteście poniżej wszelkiej krytyki. Strzelajcie dalej.

Cynthia wzięła się w garść i bez cienia wrogości w głosie zapytała:

- Kiedy Ann Campbell zamierzała uznać, że rachunki są wyrównane?

Moore nie patrząc na Cynthię ani na mnie odpowiedział beznamiętnym głosem profesjonalisty:

- Niestety, tylko ona to wiedziała. Najwyraźniej to, co mu robiła, nie satysfakcjonowało jej do końca. - Uśmiech, jaki pojawił się na twarzy Moore'a, bardziej przypominał grymas. Mówił dalej: - Generał Campbell jest typem żołnierza, który nie przyzna się, że został zraniony, a tym bardziej pobity. On nie wywiesi białej flagi. Z tego, co wiem, nigdy nie poprosił o przerwanie obstrzału, jeśli już nadal posługiwać się językiem wojska, nigdy też nie zaproponował jej rozmów pokojowych. Uważał, że to, co jej zrobił, zostało przekreślone przez działania córki.

- Innymi słowy - powiedziała Cynthia - oboje byli zbyt uparci, by negocjować. On nigdy nie przeprosił jej za zdradę, która to wszystko zapoczątkowała.

- Może i ją przeprosił w pewien sposób, ale można sobie wyobrazić, jaki był to rodzaj

przepraszam ze strony takiego mężczyzny.

- Kiedy wyjeżdżał pan z domu w dniu morderstwa - zapytała Cynthia - czy zauważył pan samochód Ann Campbell przed jej domem?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Mogłem zauważyć. Podświadomie.

- Czy normalnie zwraca pan uwagę na jej samochód?

- Nie.

- Więc nie zawsze pan wie, czy pańska podwładna, sąsiadka i przyjaciółka jest jeszcze w domu czy już w drodze do biura?

- Przypuszczam, że zazwyczaj wiem.

- Czy czasami jeździliście razem?

- To się zdarzało.

- Czy wiedział pan, że kapitan Campbell umówiona była tamtego ranka z rodzicami na śniadanie?

- Nie... zaraz, tak, teraz kiedy pan o tym powiedział, przypominam sobie, że mi o tym mówiła.

- Jaki był cel tego spotkania?

- Cel?

- Czy Campbellowie często spotykali się, żeby się cieszyć własnym towarzystwem?

- Przypuszczam, że nie.

- Z tego, co wiem, pułkowniku - powiedziała Cynthia - generał Campbell dał córce ultimatum. Odpowiedzi na nie Ann Campbell miała udzielić właśnie przy tym śniadaniu. Zgadza się?

Po raz pierwszy pułkownik Moore był zbity z tropu. Prawdopodobnie zastanawiał się, jak dużo wiemy i skąd.

- Zgadza się?

- Ja... Powiedziała, że ojciec chce rozwiązać ten problem.

Cynthia natychmiast poszła za ciosem.

- Pułkowniku, albo panu powiedziała o tym, albo nie. Albo użyła takich słów jak ultimatum, Sąd Wojskowy, rozkaz poddania się terapii i dymisja albo nie. Czy ufała panu całkowicie, czy też nie?

Przysła do pana po poradę czy nie?

Pułkownik Moore był najwyraźniej znowu rozgniewany tonem Cynthii, ale poruszyły go również pytania, które widocznie dotknęły czegoś, co napawało go lękiem. Doszedł jednak do wniosku, że nie możemy wiedzieć dość, by go ukrzyżować, bo odparł:

- Powiedziałem wam już wszystko. Nie mówiła mi o jego propozycji i nie prosiła o radę. Zadaniem moim jako terapeuty było słuchać, ograniczałem pytania do minimum, a rady dawałem tylko na wyraźne życzenie.

- Nie wierzę - odpowiedziała Cynthia - żeby ktoś zdolny był do takiego umiarkowania, gdy chodzi o kobietę, którą zna od sześciu lat

- W takim razie nie rozumie pani, na czym polega terapia, pani Sunhill. Oczywiście udzielałem jej rad w sprawach kariery, przydziału, mieszkania, wakacji i tak dalej. Ale o problemach rodzinnych rozmawialiśmy tylko podczas sesji terapeutycznych - były to oddzielne dyskusje, których nigdy nie prowadziliśmy w pracy czy po pracy. Ani razu nie odstępiliśmy od tej zasady. Lekarze medycyny czy adwokaci też nie lubią, gdy przyjaciele proszą ich o poradę podczas gry w golfa albo w barach. Ci, którzy mają do czynienia ze zdrowiem psychicznym, zachowują się podobnie.

- Dziękuję za informację, pułkowniku - powiedziała Cynthia. - Widzę, że pan to przemyślał. Z tego wynika, że nieboszczka po prostu nie miała sposobności, aby zaaranżować formalną sesję z panem i przedyskutować ultimatum i jego termin?

- Właśnie.

- Tak więc po tych wszystkich latach, w chwili kiedy rozpacz i gniew miały dojsć do głosu, byliście zbyt zajęci, by o tym rozmawiać.

- To Ann zdecydowała, że będzie o tym rozmawiać ze mną dopiero po rozmowie z ojcem. Umówiliśmy się na sesję na wczoraj po południu.

- Nie wierzę panu, pułkowniku - powiedziała Cynthia. - Myślę, że istnieje powiązanie między ultimatum generała a tym, co się jej przydarzyło, a pan zna naturę tego powiązania.

- Nie pozwolę, aby nazywano mnie kłamcą - pułkownik Moore zerwał się na równe nogi.

Cynthia wstała także. Wpatrywali się w siebie płonąącym wzrokiem.

- Wiedzieliśmy już wcześniej, że jest pan kłamcą - powiedziała.

Co było prawdą. Wiedzieliśmy, że pułkownik Moore był na strzelnicy numer sześć razem z Ann Campbell. I chyba właśnie w tej chwili zrozumiał, że to wiemy. No bo inaczej jak mogłoby nam ujsć na sucho obrażanie pułkownika? Udało nam się właśnie zrobić pół kroku w kierunku wyjścia z przedsionka wielkiego sekretu i to na razie wystarczyło. Wstałem także.

- Dziękujemy, że poświęcił nam pan trochę czasu, pułkowniku. Niech pan nie wysila się na skargi

u pułkownika Kenta. - Po chwili dodałem: - Postawię przy pańskich drzwiach żandarmeria i gdyby zniszczył pan choć jeden papier w tym pomieszczeniu albo usiłował coś wynieść, podejmę odpowiednie działania i uniemożliwię panu opuszczanie bazy.

Facet cały dygotał, ale trudno powiedzieć czy ze strachu, czy z wściekłości. Właściwie było mi wszystko jedno.

- Zamierzam złożyć oficjalną skargę na was oboje - powiedział.

- Naprawdę nie robiłbym tego na pańskim miejscu. Jesteśmy pańską nadzieją na uniknięcie stryczka... czy może w pańskim przypadku byłby to pluton egzekucyjny. Muszę to sprawdzić. A tak przy okazji: niech pan nie struga ze mnie wariata. Wie pan, pułkowniku, co mam na myśli. Życzę dobrego dnia.

Kiedy wychodziliśmy, stał jeszcze kontemplując pewnie, co robić. Na pewno nie brał pod uwagę strugania ze mnie wariata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Cynthia zatrzymała mustanga na parkingu przed komendą żandarmerii o kilka kroków od mojego blazera. W chwili gdy ruszyliśmy w stronę budynku, ujrzyliśmy trzy furgonetki ekipy dziennikarskiej. W tym samym momencie reporterzy również nas zobaczyli i widocznie ktoś im musiał wcześniej nas opisać, ponieważ ruszyli ku nam niby chmura szarańczy. Jak już wcześniej powiedziałem, Fort Hadley jest bazą otwartą, nie można więc - i zwykle nie trzeba - trzymać płacących podatki obywateli za płotem, ale tym razem wolałbym się obyć bez dziennikarzy.

Pierwszy dopadł nas dobrze ubrany młody człowiek o starannie wymodelowanych włosach i z mikrofonem w ręku, a za nim ruszyli niechlujnie z naszykowanymi w rękach notesami i długopisami. Byłem świadomy, że w naszą stronę kieruje się również oko kamery.

- Czy pan jest chorążym Brennerem? - zapytał picuś i podetknął mi mikrofon pod nos.

- Nie, proszę pana - odparłem. - Konserwuję maszyny do coca-coli.

Szara chmura otaczała nas przez całą drogę do drzwi.

- Czy pani jest chorążym Sunhill? - Jakaś kobieta-reporter dopadła Cynthii.

- Nie, proszę pani. Ja jestem z tym panem od coli.

Ale nie kupili tego i grad pytań spadał na nas z tej szarej chmury, dopóki nie dotarliśmy na

stopnie prowadzące do budynku, gdzie stało dwóch potężnych i uzbrojonych żandarmów. Wdrapałem się na schody, odwróciłem do tłumu, który nie miał dalej wstępu, i powiedziałem:

- Dzień dobry.

Dziennikarze ucichli. Teraz już widziałem trzy kamery telewizyjne i z tuzin fotografów strzelających zdjęcie po zdjęciu.

- Śledztwo w sprawie śmierci Ann Campbell trwa. Natrafiliśmy na kilka tropów, ale nie mamy podejrzanych. Jednakże wszystkie dostępne siły Fortu Hadley, CID i miejscowej policji zostały zmobilizowane i ściśle ze sobą współpracują. Wkrótce podamy państwu termin konferencji prasowej. - *Akurat.*

Trach! Rozszalała się burza, kilka pytań nawet do mnie dotarło: „Czy została zgwałcona?”, „Czy znaleziono ją związaną i nagą?”, „Śmierć przez uduszenie?”, „Kto pańskim zdaniem to zrobił?”, „Czy był to drugi gwałt w tym tygodniu?” A jedno nawet interesujące: „Czy przesłuchiwał pan już jej chłopaka, syna miejscowego komendanta policji?” I tak dalej.

- Na wszystkie pytania odpowiemy podczas konferencji prasowej.

Weszliśmy z Cynthia do budynku i od razu wpadliśmy na pułkownika Kenta. Wyglądał na nieszczęśliwego i zaniepokojonego.

- Nie mogłem ich zmusić, by odeszli - powiedział.

- Nie, nie mogłeś. Za to właśnie kocham ten kraj.

- Wolno im chodzić tylko po centrum bazy, ale należy do niej również posiadłość Beaumont. Postawiłem tam kilku żandarmów. Natomiast nie mogą pójść na strzelnice ani na Pole Jordana. Obstawiałem drogę patrolami. Na pewno jednak będą węszyć, gdzie tylko uda im się wsadzić nos.

- Może bardziej się im poszczęści niż nam.

- Nie podoba mi się to - oświadczył i zapytał: - Coś nowego?

- Rozmawialiśmy z pułkownikiem Fowlerem i pułkownikiem Moore'em. Chciałbym, żebyś wysłał jak najszybciej dwóch żandarmów do biura pułkownika Moore'a, niech się nim zaopiekują. Nie wolno mu używać maszynki do niszczenia papierów i nic wynosić z biura.

- Dobrze, zaraz to zrobię. Czy zamierzacie zaaresztować Moore'a?

- Wciąż jeszcze próbujemy uzyskać od niego psychologiczny portret nieboszczki.

- Kogo to obchodzi?

- No cóż - odparłem. - Mnie i panią Sunhill.

- Dlaczego? Co to ma wspólnego z pułkownikiem Moore'em?

- Im więcej wiem, tym bardziej jestem przekonany, że pułkownik Moore nie miał motywu, żeby zabić swoją podkomendną. Natomiast zaczynam dostrzegać istnienie ludzi, którzy mieli bardzo silne motywy, by się jej pozbyć.

Kent wyglądał na rozdrażnionego.

- Paul - powiedział - wszystko, co dotychczas zrobiłeś, jest dla mnie zrozumiałe, dla innych również. Ale tego nie pojmuję! Jeśli teraz nie zaaresztujesz Moore'a, a on okaże się mordercą i FBI go przymknie, będziesz wyglądał naprawdę kiepsko.

- Wiem o tym, Bill. Ale jeśli aresztuję go, a on nie jest mordercą, będę wyglądał jeszcze gorzej.

- Pokaż, że masz jaja.

- Odpieprz się.

- Hola! Mówisz do oficera wyższego stopniem.

- Odpieprz się, sir. - Odwróciłem się i poszedłem korytarzem w stronę naszego biura. Cynthia ruszyła za mną, Kent - nie.

Powitał nas stos spisanych wiadomości telefonicznych, paczka raportów z laboratorium medycyny sądowej i od koronera oraz góra papierów z nadrukiem: „Przeczytaj i podpisz”, które okazały się wewnętrzną korespondencją biura żandarmerii i z których połowa mnie nie dotyczyła. Wojsko potrafi pomylić twoje pobory i przysługujący ci urlop, wysłać twoje meble do Alaski, a rodzinę do Japonii - ale ledwie stawisz się gdzieś do służby czasowej, zarzuci cię mnóstwem nic nie wartego śmiecia, nawet jeśli pracujesz pod fałszywym nazwiskiem w pożyczonym biurze.

- To nie było najrozsądniejsze - skrzywiła się Cynthia.

- Że mam pokazać jaja? Nie, nie najrozsądniejsze.

- No, jego słowa też, ale chodzi mi o to, co ty mu powiedziałeś. Cytuję: odpieprz się.

- Mniejsza z tym. - Przerzuciałem stos informacji telefonicznych. Cynthia przez moment milczała.

- Ale on naprawdę zrobił coś nie tak, prawda? - powiedziała wreszcie.

- Złapałaś. I dobrze o tym wie.

- Jednak... nie musisz wycierać mu tym twarzy. Chociażby dlatego, że go potrzebujemy.

Podniosłem wzrok znad kartek.

- Nie mam w sobie zbyt wiele współczucia dla oficera, który zawodzi zaufanie.

- Chyba że oficerem tym jest Ann Campbell.

Na to odmówiłem odpowiedzi.

- A tak przy okazji, co byś powiedział na kawę i pączki?

- Może być.

Cynthia nacisnęła guzik interkomu i poprosiła specjalistkę Baker o złożenie raportu.

Usiadłem i otworzyłem lekarskie akta Ann Campbell. Były nadzwyczaj cienkie jak na tyle lat służby, z czego wnioskowałem, że korzystała z porad cywilnych lekarzy. Znalazł się tam jednak raport ginekologa przeprowadzony przed przyjęciem jej do West Point. Lekarz zanotował: „H. imperforatus”. Pokazałem to Cynthii i zapytałem:

- Czy to oznacza nietkniętą błonę dziewiczą?

- Tak, nietkniętą i bez żadnych otworów. Ale nie jest to wystarczające świadectwo dziewictwa, chociaż stwierdza, że nic bardzo dużego nie dotarło tak głęboko.

- Więc możemy wykluczyć, że ojciec zgwałcił ją w dzieciństwie.

- Prawie na pewno. Ale nie możemy odrzucić innych form napastowania seksualnego. - A po namyśle dodała: - Wyjaśnienia pułkownika Moore'a chyba potwierdzają, że cokolwiek zrobił jej ojciec, wydarzyło się to na drugim roku w West Point, a wątpię, by gwałcił dwudziestoletnią córkę-kadeta... Ale to interesujące, że w chwili wstąpienia na uczelnię była dziewicą. Są tu jeszcze jakieś raporty ginekologa?

Przejrzałem papiery, ale niczego nie znalazłem.

- Dziwne, ale nie ma. Podejrzewam, że gdy tylko mogła, chodziła do prywatnych lekarzy.

- Tak. To za długi czas bez wizyty u ginekologa. - Milczała chwilę. - Dlaczego uważasz, że to, co się wydarzyło w West Point, miało związek z seksem?

- Ponieważ to pasuje. Kojarzy się ze starą zasadą oko za oko.

- Może ojciec zmusił ją, by uległa jakiemuś wyższemu rangą oficerowi, albo może...

- Zgoda. Zbliżamy się do czegoś. Ale poczekajmy, aż dowiemy się więcej. - Podałem Cynthii akta lekarskie. - Przeczytaj raport psychiatry, który znajdziesz na końcu.

Weszła specjalistka Baker. Przedstawiłem ją Cynthii, ale okazało się, że zdążyły już się poznać.

- Co pani myśli? - zapytałem Baker.

- Sir?

- Kto to zrobił?

Wzruszyła ramionami.

Cynthia podniosła wzrok znad papierów i również zwróciła się do Baker:

- Jej chłopak czy obcy?

Kobieta przez moment zastanawiała się nad tym.

- Chłopak - odpowiedziała. Po chwili jednak dodała: - Ale miała ich wielu.

- Naprawdę? - zapytałem - Czy ktoś tutaj z komendy żandarmerii lub ktokolwiek inny wypytywał panią o tę sprawę?

- Tak jest, sir.

- Kto?

- Przez cały dzień wczoraj i dzisiejsze rano odbierałam telefony do was i każdy, kto dzwonił, zadawał pytania. Pułkownik Moore, to jest przełożony ofiary, pułkownik adiutant Fowler, komendant CID major Bowes, komendant policji z Midland, Yardley, i cała masa innych, w tym dziennikarze. Wszystkie telefony notowałam.

- I wszyscy byli bardzo wścibscy?

- Tak jest, sir. Ale każdemu powtarzałam, że muszą rozmawiać bezpośrednio z wami.

- Dobrze. Proszę mi powiedzieć, czy ktoś tutaj na terenie komendy żandarmerii powiedział pani coś takiego, co my powinniśmy wiedzieć?

Specjalistka Baker zrozumiała pytanie, chwilę się z sobą mocowała, a wreszcie wyrzuciła z siebie:

- Dużo się tutaj gada, plotki i takie tam, co wcale nie musi być prawdą.

- Zgoda. To już wiem, Baker. To jest zastrzeżona informacja i ja gwarantuję pani nie tylko anonimowość, ale również przeniesienie w każde miejsce na świecie, gdzie tylko będzie się pani chciała znaleźć. Hawaje, Japonia, Niemcy, Kalifornia. Proszę tylko je podać. Rozumiemy się?

- Tak jest, sir...

- Najpierw niech mi pani opowie o pułkowniku Kencie. Co słychać u niego w biurze?

Odchrząknęła.

- No... zawsze mówiło się, że pułkownik Kent i kapitan Campbell... - wydusiła z siebie.

- Pieprzą się. Wiemy o tym. Co jeszcze?

- No... to wszystko.

- Jak długo stacjonuje pani tutaj?

- Dopiero od dwóch miesięcy.

- Czy sądzi pani, że on ją kochał?

Wzruszyła ramionami.

- Tego nikt nie powiedział. Chodzi mi o to, że trudno coś takiego powiedzieć, bo kiedy byli razem, zachowywali się całkiem oficjalnie. Ale jednak widać było, że coś między nimi jest.

- Przychodziła tutaj do jego biura?

- Czasami, zazwyczaj za dnia. Nocą to on chodził do niej, do biura. Kiedy żandarmi widzieli, że jego samochód kieruje się w stronę Szkoły Operacji Psychologicznych, nastawiali na częstotliwość dla wszystkich patroli i mówili coś takiego: Pożądliva Szóstka goni do Słodziutkiej Jedyunki. To był żart, ale pułkownik Kent też to słyszał w swoim radiu i na pewno domyślał się, że te pogaduszki dotyczą jego i kapitan Campbell, więc strażnicy nigdy nie wymieniali własnych nazwisk i zmieniali głosy. Nic nie mógł na to poradzić. Zresztą myślę, że i tak by nic nie zrobił, bo jeszcze więcej byłoby płotek. Garnizon niewielki, wszędzie łązą żandarmi, niewiele da się tu ukryć. Ale jeśli nie jest to sprzeczne z prawem ani regulaminem, nie wtrącają się, zwłaszcza gdy chodzi o wyższych oficerów. - I dodała: - Szczególnie szefów.

Bytem naprawdę zadowolony, że zadałem to pytanie. Miałem jeszcze następne:

- Kapitan Campbell była oficerem na służbie tej nocy, kiedy została zamordowana. Wiedziała pani o tym?

- Tak.

- Czy pułkownik Kent miał zwyczaj pracować długo w te noce, kiedy ona była na służbie?

- No... podobno tak.

- Czy tej nocy, kiedy została zamordowana, pułkownik Kent był tutaj?

- Był. Mówi się, że wyszedł z biura o osiemnastej, a potem wrócił o dwudziestej pierwszej, pracował do północy i dopiero wtedy poszedł na dobre. Widziano jego samochód, jak mijał budynek dowództwa jednostki, a potem na drodze na Wzgórze Bethany, gdzie mieszkał.

- Rozumiem. I wszyscy wiedzieli również, że pani Kent wyjechała?

- Tak, sir.

- I zakładam, że przynajmniej jeden patrol żandarmerii krąży po Wzgórzu Bethany co wieczór.

- Tak jest, sir. Co najmniej jeden.

- I co się mówiło wtedy o Pożądliwej Szóstce?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie miał żadnych gości i nikt nie widział jego służbowego samochodu przez całą noc. Ale mógł użyć prywatnego i nikt by wtedy nie zwrócił na niego uwagi.

Mógł też zabrać samochód żony, chociaż nie widziałem żadnego auta na podjeździe jego domu, kiedy przejeżdżałem tamtędy dziś rano.

- Rozumie pani, do czego prowadzą te pytania? - zapytałem Baker.

- O, tak.

- Proszę nie poruszać tego tematu w żadnych rozmowach biurowych.

- Oczywiście, sir. - Odwróciła się i wyszła.

Siedzieliśmy z Cynthia przez chwilę w milczeniu. Wtem ona odezwała się.

- To był dobry pomysł.

- Dzięki, ale nie ufam za bardzo plotkom biurowym.

- To jest jednak komenda żandarmerii.

- Prawda - powiedziałem. - Widzisz, dlaczego gniewam się na Kenta. Ten głupi skurczybyk stał się pośmiewiskiem własnych podwładnych.

- Rozumiem.

- Jeśli chcesz, zapomnij o moralności. Ale nigdy, nigdy nie figluj w pracy. Ludzie się śmieją.

- Idę o zakład, że śmiali się z nas w Brukseli i w Falls Church.

- Jestem tego pewien.

- Czuję się zakłopotana.

- O to chodzi. Mam nadzieję, że dostałaś dobrą nauczkę.

Uśmiechnęła się, a potem spojrzała na mnie.

- Co próbowałaś ustalić z Baker? Że Kent stał się pośmiewiskiem jednostki?

Wzruszyłem ramionami.

- Odległość od Wzgórza Bethany do strzelnicy numer sześć wynosi dwa, może trzy kilometry. Zdązysz dojechać szybciej niż w dziesięć minut, nawet jeśli ostatni odcinek pokonasz na zgaszonych światłach, zwłaszcza gdy świeci jasny księżyc, jak tamtej nocy - powiedziała.

- Myślałem o tym. A z posiadłości Beaumont, jeśli się pospieszysz, droga na strzelnicę zajmie ci nie więcej niż dziesięć minut.

- Warto zapamiętać - skinęła głową. Spojrzała na rozłożone przed sobą akta lekarskie i powiedziała: - Co wywnioskowałeś z raportu psychiatry?

- Ann Campbell cierpiała po jakimś poważnym urazie, o którym nie chciała z nikim rozmawiać. A co ty sądzisz?

- To samo - odparła. - Niewiele więcej da się wywnioskować z tego raportu, ale nie przypuszczam, żeby chodziło o narastanie napięcia i zmęczenie. To jakieś jedno wydarzenie wywołało ostry uraz i zostało przez nią potraktowane jako zdrada ojca. A tatuś był daleko, kiedy zdarzyło się to, co się zdarzyło. Czy to jakoś pasuje?

- Chyba tak. - Zastanowiłem się przez chwilę. - Ciągłe wydaje mi się, że było to jakoś związane z seksem i z facetem, który miał o jedną lub dwie gwiazdki więcej niż jej tatuś i któremu tatuś się podłożył, a córeczkę przekonał, żeby zrobiła to samo.

- Coś w tym rodzaju.

- Muszę dostać jej akta z czasów akademii - dodałem - ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby w nich nie było śladu tego, o czym mówił Moore.

Przyniesiono nam kawę w dużym dzbanku ze stali nierdzewnej, do tego plastikową tacę z pączkami, zimnymi, twardymi i tłustymi. Wgryźliśmy się w nie.

Telefon dzwonił właściwie bez przerwy, ale odbierała go specjalistka Baker i ktoś jeszcze. Tym razem jednak zaraz po sygnale telefonu rozległo się brzęczenie interkomu. Specjalistka Baker zaanonsowała:

- Pułkownik Hellmann.

- Ja odbiorę. - Włączyłem głośnik telefonu, tak że Cynthia mogła zarówno słyszeć jak i mówić, i powiedziałem do słuchawki:

- Brenner i Sunhill, sir.

- O nikim innym się tu dzisiaj nie mówi.

Głos Karla brzmiał pogodnie tego ranka, co mnie trochę wytrąciło z równowagi.

- Naprawdę?

- Tak. Dobrze się czujecie?

- Znakomicie, pułkownik - odparła Cynthia.

- To świetnie. Otrzymałem kilka skarg na temat waszego zachowania.

- W takim razie wie pan, że pracujemy - odparłem.

- Wiem, że zaczynacie denerwować ludzi, co może czasami wskazywać, że odwalacie porządną robotę. Ale dzwonię, żeby sprawdzić, czy wiecie, że zabierają nam tę sprawę.

- Tak jest, sir, wiemy.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by utrzymać ją w gestii CID, ale FBI ma więcej wpływów niż ja.

- Już wkrótce uda nam się zamknąć sprawę - zapewniłem go.

- Naprawdę? W takim razie mam nadzieję, że mówisz o najbliższych piętnastu minutach, bo FBI już wysłało swoje siły do Fortu Hadley.

- Powinni schodzić nam z drogi do jutra do dwunastej.

- Powinni, ale o kilku możecie się potknąć.

- Odnoszę wrażenie, że czuje pan ulgę, pozbywając się tej sprawy - powiedziałem.

- Co sprawia, że odnosi pan takie wrażenie, panie Brenner?

- Ton pańskiego głosu, sir. Słysząc, że jest pan zachwycony.

Po małej pauzie powiedział:

- Wy też powinniście być szczęśliwi. Nic dobrego nie mogło z tej sprawy wyniknąć ani dla was, ani dla CID.

- To nie jest kryterium, według którego wybieram sobie sprawy. - Choć tak naprawdę niekiedy bywało. Ale czasami bierze się sprawę z poczucia obowiązku lub z jakiegoś wewnętrznego przymusu, lub po prostu dlatego, że chce się być tym, kto zamknie szczególnie nieprzyjemnego gościa. - Zamierzam rozwiązać tę sprawę - poinformowałem Karla - i zdobyć dla nas wszystkich laury i zaszczyty.

- No cóż, szanuję twoje podejście, Paul, naprawdę. Z drugiej jednak strony utrata zaufania i klęska może być ogromna. - I dodał: - FBI nas z tego wyciągnęło. Ci idioci chcą się babrać w tym morderstwie.

- Podobnie jak dwoje idiotów tutaj.

Karl zmienił temat:

- Ludzie z laboratorium medycyny sądowej twierdzą, że masz podejrzanego. Pułkownika Moore'a.

- To ktoś, kto był na miejscu zbrodni. Jest podejrzany.

- Ale nie zaaresztowaliście go.

- Nie, sir.

- Oni chcą, żebyście to zrobili.

- Co za oni?

- Sam wiesz. Róbcie to, co uważacie za stosowne. Ja się nigdy nie wtrącam.

- Prawie nigdy.

- Jeszcze jacyś podejrzani?

- Nie, sir...

Cisza, a po chwili:

- Chorąży Sunhill, w swoim raporcie napisała pani, że na gwałt mogło być przyzwolenie ofiary.

- Tak jest, sir.

- Z tego można wnioskować, że przestępca był znajomym. Czy to możliwe?

- Tak jest, sir.

- Ale nie chodzi o jej przełożonego, pułkownika Moore'a, który pojawił się na miejscu zbrodni?

Cynthia spojrzała na mnie i powiedziała:

- To się nieco zagmatwało, pułkowniku. - I dodała: - Kapitan Campbell miała wielu chłopców.

- Tak, słyszałem. - Dodał z rzadkim u niego zrozumieniem: - Niezły bigos tam macie, co?

- Tak jest, sir.

- Paul, nie kontaktowałeś się jeszcze z majorem Bowesem? - zapytał Hellmann.

- Nie, pułkowniku. Major Bowes jest zamieszany w tutejsze kłopoty. Na razie to tylko pogłoski,

ale wydaje mi się, że powinien pan pomyśleć o wezwaniu go do Falls Church na pogawędkę.

- Rozumiem. - Przez długą chwilę milczał, wreszcie powiedział: - CID tego nie potrzebuje.

- Nie.

- Czy zaangażowałeś się w oszacowanie szkód?

- To nie należy do moich obowiązków - odparłem. I dodałem z satysfakcją: - Chyba wspomniałem już wcześniej, że to może być delikatna sprawa.

Cisza, a po chwili:

- Dbam tylko o reputację moich oficerów.

- W takim razie niech pan zabierze stąd Bowesa.

- Dobrze. Czy możecie przefaksować mi raport przed osiemnastą?

- Nie, pułkowniku, nie będzie już żadnych raportów. Jesteśmy niezwykle zajęci, starając się znaleźć mordercę. Zamelduj się panu osobiście, jak tylko nas stąd wykopią.

- Rozumiem. Czy jest coś, co możemy dla was zrobić?

- Tak, sir - odparła Cynthia. - Zdobyliśmy informację, że kapitan Campbell i jej ojciec przeżyli poważny kryzys, kiedy ona była na drugim roku West Point. Cokolwiek się wtedy zdarzyło, ma prawdopodobnie związek z tą sprawą. Możliwe, że chodzi o jakieś wydarzenie znane szerzej ludziom z akademii czy przynajmniej cywilnej społeczności skupionej wokół West Point.

- Dobrze, w tej chwili wyślę kilku ludzi, żeby się tym zajęli. Sprawdzą księgi uczelni, miejscowe gazety, przepytają kogo trzeba. Skontaktuję się także z Archiwum CID w Baltimore. Wystarczy?

- Tak. Tylko konieczny jest pośpiech.

- Kręcimy się w kółko, wciąż dotykając drażliwych tematów, Karl - powiedziałem - ale wreszcie będziemy musieli uderzyć w jądro problemu. Mówię o generale.

- Rozumiem. Róbcie to, co trzeba. Stoję za wami.

- Dobrze. A może chciałbyś stanąć przede mną?

Znowu chwila ciszy, a potem:

- Jeśli chcecie, mogę tam przylecieć.

Spojrzelśmy po sobie z Cynthia.

- Doceniamy to, co powiedziałaś, Karl - odparłem - ale ty po prostu trzymaj krótko chłopców w

Pentagonie, to nam się przyda.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Dzięki.

- Czy dobrze wam się układa współpraca? - zapytał.

Żadne z nas nie odpowiedziało od razu, dopiero po dobrej chwili odezwała się Cynthia:

- Bardzo dobrze.

- To świetnie. Nie ma nic lepszego niż wysoka temperatura, by scementować dobry zespół.

Powiedziałem do Cynthii na tyle głośno, że Karl mógł usłyszeć:

- Poinformuj go, że przeprosiłaś mnie za Brukselę i że to była całkowicie twoja wina.

Uśmiechnęła się i powiedziała do mikrofonu:

- To prawda, pułkowniku.

- Zanotowałem. Skontaktuję się z wami, jak tylko zdobędę informacje z West Point. Zobaczymy, czy mi szczęście dopisze.

- Świetnie.

- Az innej beczki: nie zachwyca mnie sposób, w jaki poradziłeś sobie ze sprawą przemytu broni.

- W takim razie przekaz ją FBI.

Milczenie.

- Mam przed sobą twoje akta osobowe, Paul. Przepracowałeś ponad dwadzieścia lat.

- Trudno mi wyżyć z całej pensji. Jak miałbym sobie poradzić z połową?

- Martwię się o ciebie. Nie lubię tracić dobrych ludzi, ale czuję, że jesteś zmęczony. Chciałbyś papierkową robotę tutaj w Falls Church?

- W tym samym budynku co ty?

- Rozważ swoje możliwości. - I dodał: - Gdybyście chcieli porozmawiać, jestem tutaj. Powodzenia. - Odwiesił słuchawkę, a ja wyłączyłem mikrofon i zwróciłem się do Cynthii:

- Mówił, jakby był naprawdę człowiekiem.

- Jest zmartwiony, Paul.

- I powinien być.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Następną godzinę spędziliśmy przedzierając się przez papiery zalegające biurka, odpowiadając na telefony lub telefonując, między innymi po to, by przyszpilić pułkownika Fowlera w sprawie spotkania z jego żoną, z panią Campbell i z generałem Campbellem.

Zadzwoiłem do Grace Dixon, naszej specjalistki od komputerów, która przyleciała z Falls Church i była właśnie na Polu Jordana, starając się dobrać do zapisów w komputerze Ann Campbell.

- Jak idzie, Grace?

- Teraz już nieźle. Niektóre pliki zostały odkryte. Znaleźliśmy wreszcie listę haseł - była w domowej biblioteczce, w książce kucharskiej - i już wyciągnęłam najróżniejsze rzeczy.

Pokazałem Cynthii, żeby sięgnęła po drugą słuchawkę.

- Jakże? - zapytałem Grace.

- Listy, wykaz ludzi i numerów telefonów, ale najważniejszy jest dziennik. Porno i duszno, Paul. Nazwiska, daty, miejsca, preferencje seksualne. Przypuszczam, że tego właśnie szukałeś.

- Chyba tak. Przeczytaj mi parę nazwisk.

- Dobrze... poczekaj... porucznik Peter Elby... pułkownik William Kent... major Ted Bowes...
- wymieniła kolejno dwadzieścia parę nazwisk, z których niektóre znałem, jak na przykład pułkownika Michaela Weemsa, prokuratora wojskowego, kapitana Franka Swicka, oficera korpusu medycznego, majora Arnolda Eamesa, naczelnego kapelana i kilku, których nie znałem, ale wszyscy byli wojskowymi z kręgu generała. Grace czytała dalej:

- Wes Yardley, Burt Yardley...

- Burt?

- Tak. Widocznie lubiła tę rodzinę.

Popatrzyliśmy na siebie z Cynthia.

- Dobrze... - zwróciłem się do Grace. - A natrafiłaś gdzieś na nazwisko Fowler?

- Jeszcze nie.

- Charles Moore?

- Tak... ale wydaje się, że z nim prowadziła tylko rozmowy. Wynika z tego, że to teraps. Pisała pamiętnik mniej więcej od dwóch lat, zaczyna się słowami: „Raport ze służby w Forcie Tatusia. Rozpoczęcie operacji Koń Trojański”. - I dodała: - To czyste wariactwo, Paul.

- Podaj mi przykład wariactwa.

- No, posłuchaj tego... Ostami zapis... Czytam z monitora: „Czternasty sierpnia - zaprosiłam nowego oficera operacyjnego tatusia, pułkownika Sama Davisa do mnie na drinka, ot tak, żeby nawiązać znajomość. Sam ma koło pięćdziesiątki, jest trochę przyciężkiej budowy, ale nie wygląda najgorzej, żonaty, dorosłe dzieci, jedno z nich mieszka nadal z rodzicami na Wzgórzu Bethany. Wygląda na mężczyznę oddanego rodzinie, a jego żona, Sarah, którą spotykam na przyjęciach w jednostce, jest całkiem atrakcyjna. Sam przyjechał do mojego domu o dziewiętnastej. Wypiliśmy kilka mocnych drinków w salonie, potem włączyłam powolną muzykę i poprosiłam, żeby pomógł przeciwyczyć mi nowy krok w tańcu. Trochę był zdenerwowany, ale alkohol pomógł mu to przeczwiczyć. Miał na sobie letni mundur, a ja byłam w białej bawełnianej sukience, bez biustonosza i na bosaka. Już po paru minutach zaczęliśmy się pieścić i facet miał... i facet miał...”

- Grace?

- „Miał erekcję.”

- Aha. - Grace Dixon, typ matrony w średnim wieku, jest cywilną pracownicą prowadzącą szczęśliwe życie domowe, a większość jej pracy polega na sprawdzaniu cyferek i podwójnych zapisów stosowanych przy oszustwach podatkowych. Dla niej taka sprawa to naprawdę ciężki orzech do zgryzienia. Chociaż może nie. - Mów dalej.

- Dobrze... przy czym to ja byłam?

- Przy erekcji.

- Tak... „Kiedy zaczęłam go pieścić dłonią, przejął wreszcie inicjatywę, zsunął mi ramiączka sukienki, którą zrzuciłam na podłogę i tańczyliśmy, ja w samych majtkach. Sam znajdował się w stanie pośrednim między ekstazą a utratą przytomności z przerażenia, ale wzięłam go za rękę i poprowadziłam do piwnicy. Razem z drinkami całe uwiedzenie zabrało mi niecałe dwadzieścia minut. Kiedy znaleźliśmy się w pokoiku w piwnicy, zdjęłam majtki...”

- Jesteś tam jeszcze, Grace?

- Tak... mój Boże... czy to prawda, czy jej fantazje?

- Dla Sama Davisa zaczęło się jak przygoda prowadząca prosto w świat jego fantazji.

- Każdego mężczyznę prowadziła do tej piwnicy. Miała tam takie pomieszczenie ze wszelkimi przedmiotami, które można używać do seksu.

- Naprawdę? Mów dalej.

- Och... niech no spojrzę... - wróciła wzrokiem do monitora i podjęła czytanie. - „Włączyłam muzykę, potem uklęknęłam i odpięłam suwak jego spodni. Penis był twardy jak skała, bałam się, że skończy, kiedy tylko go dotknę. Oświadczyłam, że może robić ze mną wszystko, na co mu tylko przyjdzie ochota, i powiedziałam też, żeby rozejrzał się po pokoju i zobaczył, co go interesuje. Był tak napalony, że chciał ściągać od razu spodnie, ale powiedziałam, że wolę jak jest ubrany i chcę, aby uczynił mnie swoją niewolnicą, wydawał mi polecenia i używał mnie do woli, ale to był jego pierwszy raz i nie bardzo potrafił współpracować. Wreszcie rzucił mnie po prostu na łóżko i wszedł we mnie od tyłu, a wyszedł po jakichś dwóch sekundach.” - Grace przerwała czytać. - Czyżbym słyszała ciężki oddech?

- To Cynthia - zapewniłem ją. - Na tym zapis się kończy?

- Nie, zanotowała jeszcze więcej. „Zdjęłam z niego ubranie i poszliśmy razem pod prysznic. Chciał kontynuować i bardzo przepraszał, że tak szybko skończyło się za pierwszym razem. Kazałam mu położyć się nago na łóżku, włożyłam mu na twarz śmieszoną świńską maskę i zrobiłam dwa zdjęcia polaroidem. Jedno dałam jemu i chwilę żartowaliśmy na ten temat, a on był zbyt grzeczny, by poprosić o drugie, ale widać było, że się boi. Obiecałam mu kolejne spotkanie i zapewniłam, że to będzie nasz mały sekret. Ubrał się, a potem poprowadziłam go na górę do frontowych drzwi. Ja byłam nadal naga. Wyglądał na spanikowanego, jakby bał się nawet pokazać w drzwiach mojego domu. Na pewno nie zamierzał jechać prosto do siebie, serce mu jeszcze waliło, a kolana się trzęsły. Wreszcie powiedział, że nie chce się już ze mną spotykać i czy nie miałabym nic przeciwko temu, żeby oddać mu zdjęcie. Zastosowałam sztuczkę z płaczem, a on zaczął mnie ścisnąć i całować, i musiałam wycierać mu szminkę z twarzy. Kiedy wyszedł, patrzyłam za nim przez okno. Ruszył aż się kurzyło, oglądając się przez ramię. Następnym razem poproszę go, żeby przyniósł mi skrzynkę wina. Ciekawa jestem, jak szybko będzie biegł z takim bagażem.” I na tym to się kończy - powiedziała.

- Grace, nie wolno ci szepnąć ani słówka na ten temat nikomu ani nie wydrukować, a hasel do komputera będziesz strzegła jak źrenicy własnego oka. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Zastanawiałem się przez moment.

- Poprawka - powiedziałem. - Wydrukuj kilka opisów spotkań Burta Yardleya, włóż je do koperty, zaklej i przyślij jak najszybciej do mnie tutaj.

- Rozumiem - powtórzyła. - Podczas tych dwóch lat przez jej pamiętnik przewijają się ponad

trzydziestu różnych mężczyzn. Czy jedna kobieta może sypiać z tyloma facetami w ciągu dwudziestu czterech miesięcy?

- A skąd mam wiedzieć?

- I sposób, w jaki ona opisuje te spotkania... mój Boże, wyraźnie ma - miała - poważny problem z mężczyznami. Chodzi mi o to, że pozwalała im się wykorzystywać, ale to ona ich kontrolowała i uważała za kompletnych durniów.

- I miała rację - powiedziałem. - Wywołaj ostatnie zapisy ze spotkań z pułkownikiem Weemsem i majorem Bowesem, i powiedz, czy to gorący materiał.

- Dobrze... poczekaj... Mam Weemsa, trzydziesty pierwszy lipca tego roku. Tak, to bardzo duszny kawałek. Chcesz, żeby ci przeczytać?

- Nie jestem w stanie znieść aż tyle. A co z Bowesem?

- Jest... Czwarty sierpnia tego roku... ooo! Ten facet był naprawdę pokrzywiony. Kto to?

- Nasz człowiek.

- O... nie!

- Tak. Słowo. Pogadamy później. - Odłożyłem słuchawkę. Siedzieliśmy przez jakiś czas z Cynthią w milczeniu.

- No... - odezwałem się wreszcie - gdybym był żonatym pułkownikiem, nowym oficerem operacyjnym generała, którego piękna córka zaprosiła na drinka...

- Tak?

- Uciekłbym.

- W którą stronę?

Uśmiechnąłem się.

- Ale mógł wytrzymać przecież dłużej niż dwadzieścia minut.

- Wiesz co, Paul, badając przypadki gwałtów, nauczyłam się, że niektórym mężczyznom bardzo trudno jest kontrolować swoje żądze. Powinniście, chłopcy, bardziej używać swojej wielkiej głowy, nie tej małej.

- Podnoszący się ptaszek nie ma świadomości, Cynthio. - I dodałem: - W przypadku Sama Davisa nie zrzucaj winy na ofiarę.

- Masz rację. Tylko że ona także była ofiarą. I nie chodzi o seks.

- Nie. Chodzi o operację Koń Trojański. - Po chwili zastanowienia powiedziałem: - W takim razie możemy przyjąć, że Burt Yardley wie o pokoju w piwnicy.

- Najprawdopodobniej - zgodziła się Cynthia. - Ale wątpię, czy sprowadzała tam Wesa.

- Raczej nie. Był jej chłopakiem. Nie miał żadnej władzy ani na terenie jednostki, ani poza nią, nie jest żonaty i nie bał się kompromitacji ani szantażu. Ale zastanawiam się, czy Wes wiedział, że jego starszyzna dobrał się do tej samej dziupli z miodem.

- Ty to umiesz dobierać słowa, Paul.

Do pokoju weszła specjalistka Baker.

- Komendant policji Yardley i oficer policji Yardley przyszli, żeby się z wami spotkać - zameldowała nam.

- Dam znać, kiedy ma pani ich wprowadzić.

- Tak jest, sir.

- Niedługo zjawi się tu ktoś z Pola Jordana. Przywiezie kopertę. Proszę ją przynieść, jak tylko się zjawi.

- Tak jest, sir. - Wyszła.

- W którymś momencie musimy ich rozdzielić - powiedziałem do Cynthii.

- Zgadza się.

Wstałem.

- Idę spotkać się z kumplem w areszcie.

Wyszedłem z biura i podążyłem gmatwaną korytarzy w stronę cel. Znalazłem Dalberta Elkina w tej samej narożnej celi, gdzie go zostawiłem. Leżał na pryczy i czytał pismo dla myśliwych. Nie dali mu munduru, więc był nadal w szortach, podkoszulku i sandałach. Powiedziałem:

- Cześć, Dalbert.

Podniósł wzrok, potem usiadł, a wreszcie wstał.

- O... cześć...

- Dobrze cię traktują, chłopie?

- Taaa.

- Chciałeś pewnie powiedzieć „tak jest, sir”.

- Tak jest, sir.

- Czy napisałeś porządne przyznanie się do winy?

Skinął głową. Teraz już był mniej przestraszony, a bardziej posępny. Mam zwyczaj, podobnie jak większość śledczych CID, odwiedzać ludzi, których aresztowałem. Kontrolujemy, czy żandarmi nie nadużywają swojej władzy, co niestety zdarza się w wojskowych aresztach od czasu do czasu. Sprawdzamy, czy wszystko w porządku z ich rodzinami i czy mają pieniądze na niezbędne drobiazgi, materiały piśmienne i znaczki. A także chętnie słuchamy tego, co mają do powiedzenia. Wypytałem Elkina, czy nic mu nie brakuje, a on zapewnił mnie, że nikt go źle nie potraktował i że ma wszystko, co potrzeba.

- Wolisz zostać tutaj, czy pójść do więzienia? - zapytałem.

- Tutaj.

- Tam można grać w baseball.

- Wolę zostać tutaj.

- Czy udzieliłeś wszystkich informacji facetom z CID?

- Tak jest, sir.

- Czy chcesz prawnika?

- No...

- Masz prawo do adwokata. Możesz mieć go za darmo z Sądu Wojskowego albo wynająć prywatnego.

- No... a co pan myśli?

- Myślę, że jeśli weźmiesz sobie adwokata, pogniewam się na ciebie.

- Tak jest, sir.

- Czy czujesz się najbardziej pożałowania godnym skurczybykiem, jaki kiedykolwiek żył?

- Tak jest, sir.

- W takim razie wszystko będzie dobrze.

- Tak jest, sir.

- A tak przy okazji, jestem chorąży Brenner. To był żart z tym sierżantem White'em. Jeśli byś potrzebował czegokolwiek lub twoja rodzina chciała się z kimś skontaktować, pytajcie o Brennera.

Dobrze?

- Tak jest, sir... dziękuję.

- Nie pozostanę tutaj bardzo długo, ale przekażę twoją sprawę następnemu facetowi z CID, który się tobą zaopiekuje. Postaram się wyciągnąć cię z aresztu i umieścić w koszarach, ale pamiętaj, Dalbert, jeśli uciekniesz, znajdę cię, a potem zabiję. Rozumiesz?

- Tak jest, sir. Jeśli mnie pan stąd wyciągnie, zostanę tam, gdzie mi pan każe. Słowo.

- A jeśli nie, to ja cię zabiję. Obiecuję.

- Tak jest, sir.

Wróciłem do biura, gdzie Cynthia czytała akta osobowe Ann Campbell. Zatelefonowałem do miejscowej CID, połączono mnie z kapitanem Andersem. Przez chwilę dyskutowaliśmy o sprawie Dalberta Elkina. Zaproponowałem przeniesienie go do baraków. Anders nie był przekonany, ale zgodził się wypuścić więźnia, jeśli ja podpiszę decyzję. Powiedziałem, że to zrobię, i poprosiłem o połączenie z majorem Bowesem. Czekaając na rozmowę, zastanawiałem się, dlaczego nadstawiam karku dla ludzi, których sam wsadziłem do więzienia? Pewnie szukam w mojej pracy czegoś mniej ekscytującego.

Kiedy kończyłem gryzmolić rekomendację zwolnienia z aresztu, zgłosił się major Bowes.

- Mówi Bowes.

- Dzień dobry, majorze.

- O co chodzi, Brenner?

Nigdy z tym facetem nie pracowałem, a nawet go nie spotkałem. Nie wiedziałem też o nim nic oprócz tego, że był komendantem oddziału CID w Forcie Hadley i że w pamiętniku Ann Campbell figurował na jego temat „duszny” zapis.

- Brenner?

- Tak jest, sir. Po prostu chciałem wejść z panem w kontakt.

- To nie jest mecz bokserski. Czym mogę służyć?

- Przypuszczam, że jest pan niezadowolony, ponieważ prosiłem, by nie włączano pana do sprawy, którą prowadzę.

- Dobrze pan przypuszcza.

- Właśnie. Tyle tylko, że to pułkownik Kent zdecydował, żeby skorzystać ze śledczego z zewnątrz.- A teraz pewnie tego gorzko żałuje.

- Pułkownik Kent nie podejmuje tego typu decyzji. A pan powinien był do mnie zadzwonić, tego wymagała zwykła przyzwoitość.

- Tak jest, sir. Byłem zajęty. Telefon działa w obydwie strony.

- Proszę uważać na to, co pan mówi.

- Jak się miewa pani Bowes?

- Co?

- Czy jest pan żonaty?

Cisza, a potem:

- A cóż to za pytania?

- To jest oficjalne śledztwo. I pytanie w ramach śledztwa. Proszę odpowiedzieć.

Znowu cisza, a następnie:

- Tak, jestem żonaty.

- Czy pani Bowes wie o kapitan Campbell?

- Co, u diabła?

Cynthia podniosła na mnie wzrok.

- Majorze - zwróciłem się do Bowesa - mam dowody pańskiego związku z Ann Campbell, dowody, że bywał pan u niej w domu i odbywał z nią niedozwolone stosunki seksualne w pokoju w piwnicy, że uprawiał pan seks, który jest niezgodny z Kodeksem Prawa Wojskowego, a także z prawem stanu Georgia. - Tak naprawdę nie miałem pojęcia, co jest niezgodne z prawem stanu Georgia ani w co się bawili Bowes i Ann Campbell, ale co za różnica. Jeśli rzuci się dość gówna, kawałek wreszcie trafi celu.

Cynthia podniosła słuchawkę, ale Bowes milczał. Czekalem, nie przerywając tego milczenia, aż wreszcie major powiedział:

- Myślę, że powinniśmy się spotkać.

- Jestem dość zajęty, majorze. Ktoś z Falls Church zadzwoni do pana. Może pan zacząć się pakować. Życzę miłego dnia.

- Poczekaj pan! Musimy porozmawiać. Kto o tym wie? Sądzę, że uda mi się wytłumaczyć...

- Wytłumaczyć zdjęcia, które znalazłem w piwnicy?

- Ja... nie da się udowodnić, że to ja.

- Maską nie kryje ani ptaszka ani pańskich tyłów, majorze. Może powinienem dać te zdjęcia pańskiej żonie, aby zgadła, które przedstawia pana?

- Proszę mnie nie straszyć.

- Na litość boską, jest pan gliniarzem. I oficerem. Co się z panem, u diabła, dzieje?

Po jakichś pięciu sekundach powiedział:

- Spieprzyłem to.

- Na pewno.

- Czy może mnie pan kryć?

- Radziłbym przyznać się do winy i zdać na łaskę szefów z Falls Church. Nie zaszkodziłoby zablefować i zagrozić, że pójdzie pan z tym do mediów. Potem zgodzić się na układ, wziąć połowę pensji i odejść.

- To dobre. Też mi rada.

- No, no, ja nie pieprzyłem córki generała.

- Ale robiłby pan to.

- Majorze, jeśli chodzi o seks w pracy, trzeba pamiętać, że nie sięga się po miód tam, gdzie się dostaje chleb.

- Zależy od miodu.

- Warto było?

Roześmiał się.

- O tak. Pewnego dnia opowiem panu.

- Czytałem już jej pamiętnik. Życzę dobrego dnia, majorze. - Odłożyłem słuchawkę.

Cynthia położyła również swoją.

- Dlaczego byłeś dla niego taki twardy? Ci mężczyźni nie popełnili właściwie żadnego przestępstwa, Paul.

- Nie, ale są głupi. Mdli mnie od głupich mężczyzn.

- Myślę, że jesteś zazdrosny.

- Zachowaj swoje opinie dla siebie.

- Tak jest, sir.

Pomasowałem się po skroniach.

- Przepraszam, po prostu jestem zmęczony.

- Nie chciałbyś się już zobaczyć z Yardleyami?

- Nie. Pieprzyć ich. Niech poczekają. - Znowu sięgnąłem po telefon, zadzwoniłem do biura miejscowego Sądu Wojskowego i poprosiłem o rozmowę z pułkownikiem Weemsem. Połączono mnie z jego sekretarzem, mężczyzną, który zaczął wypytywać, z czym dzwonię.

- Proszę powiedzieć pułkownikowi Weemsowi, że ma to związek ze sprawą morderstwa - powiedziałem.

- Tak jest, sir.

Cynthia sięgnęła po swoją słuchawkę.

- Bądź miły - poprosiła.

- Czy pan jest oficerem śledczym przydzielonym do tej sprawy? - odezwał się pułkownik Weems.

- Tak jest, sir.

- Dobrze. Polecono mi wypisać akt oskarżenia przeciwko pułkownikowi Charlesowi Moore'owi i potrzebuję kilku informacji.

- Dobrze, oto więc pierwsza informacja, pułkowniku: pułkownik Moore nie zostanie oskarżony, dopóki ja nie powiem, że tak ma być.

- Przepraszam, panie Brenner, ale otrzymałem instrukcje z Pentagonu.

- Mógłby je pan otrzymać nawet od ducha Douglasa MacArthura, jeśli o mnie chodzi. -
Wojskowych prawników, nawet w stopniu pułkownika, można traktować trochę z góry, ponieważ ich stopień, podobnie jak stopnie wojskowych lekarzy, psychologów i tym podobnych, wynikają z widełek płacowych, i sami zainteresowani nie traktują swoich stopni zanadto poważnie. Właściwie, wszyscy oni powinni być chorążymi, tak jak ja. I im byłoby lepiej, i tym, którzy mają z nimi do czynienia.

- Pańskie nazwisko pojawiło się w związku z ofiarą - powiedziałem mu.

- Przepraszam?

- Czy jest pan żonaty, pułkowniku?

- Tak...

- Czy chce pan pozostać w związku małżeńskim?

- O czym, u diabła, pan mówi?

- Otrzymałem informację, że był pan seksualnie związany z ofiarą, czyli pogwałcił pan Kodeks Prawa Wojskowego, a mianowicie artykuł 125 dotyczący czynów niemoralnych, artykuł 133 o zachowaniu niegodnym oficera i dżentelmena oraz artykuł 134 o naruszaniu porządku i dyscypliny i przynoszeniu wstydu siłom zbrojnym. Co pan na to powie, panie prokuratorze?

- To nieprawda.

- Wie pan, po czym można poznać, że prawnik kłamie? Nie? Po tym, że jego usta się poruszają.

Jakoś nie docenił mojego dowcipu.

- Lepiej, żeby umiał pan tego dowieść - oświadczył. Powiedziane, jak na dobrego prawnika przystało.

- Czy wie pan, jak się nazywa dno oceanu? Nie? Dobry początek.

- Panie Brenner.

- Czy budził się pan w nocy na wspomnienie pokoju rozrywek w piwnicy? Znalazłem go i jest pan na kasecie. - Może.

- Ja nigdy... ja...

- Na zdjęciach polaroidowych.

- Ja...

- I w jej pamiętniku.

- Och...

- Proszę posłuchać, pułkowniku, nie dbam o to, ale pan naprawdę nie może zajmować się tą sprawą. Niech się pan nie pogrąża. Proszę zadzwonić do prezesa, a jeszcze lepiej polecieć do Waszyngtonu i poprosić o zwolnienie ze stanowiska. Może pan przygotować dla siebie oskarżenie. A tymczasem to dotyczące pułkownika Moore'a proszę powierzyć komuś, kto potrafi trzymać swego dziobaka w spodniach. Albo jeszcze lepiej: czy macie kobietę ze stopniem oficerskim?

- No... major Goodwin...

- W takim razie to ona będzie odpowiedzialna za sprawę Campbell.

- Pan nie może mi rozkazywać.

- Pułkowniku, gdybyśmy mogli degradować oficerów, już jutro byłby pan szeregowcem. Tak czy siak, zanim miesiąc upłynie, będzie pan szukał pracy w jakiejś niedużej firmie albo zostanie pan adwokatem-rezydentem w Leavenworth. Niech się pan nie upiera, tylko załatwi sobie taki układ jak najszybciej. Może być pan pozwany na świadka.

- Czego?

- Proszę się nad tym zastanowić. Życzę dobrego dnia. - Odwiesiłem słuchawkę.

- Czy nie dość rozpaczy jak na jeden dzień? - zapytała Cynthia, również odkładając słuchawkę.

- Życzyłem im dobrego dnia.

- Paul, chyba lekko przeholowałeś. Wiem, że trzymasz większość kart...

- Trzymam tę bazę za jej kolektywne jaja.

- Potraktuj to lżej. To nie jest twoja osobista sprawa.

- Okay... Po prostu jestem wściekły. U diabła, to już kodeks oficerski się nie liczy? Przysięgamy wykonywać nasze obowiązki, dbać o wysoki poziom moralności, prawości i etyki i zgadzamy się, że słowo jest dla nas ważne. A teraz okazuje się, że trzydziestu facetów odrzuca to wszystko - i dlaczego?

- Dla plastra miodu?

Mogłem się tylko roześmiać.

- Masz rację. Plaster miodu. Dostawa prosto z piekła.

- Ty też nie jesteś taki nieskalany.

- Nigdy nie skompromitowałem służby.

- Naszym zadaniem jest odnaleźć zabójcę, a nie dochodzić poziomu etyki w tej jednostce.

Wszystko po kolei.

- Właśnie. Przyślij tych błaznów.

Cynthia wezwała Baker przez interkom i powiedziała:

- Proszę przysłać tych... cywilów.

- Tak jest, proszę pani.

- A teraz uspokój się - zwróciła się Cynthia do mnie.

- Nie jestem zły na tych chłopaków. Jak sama powiedziałaś, to cywile.

Otworzyły się drzwi i specjalistka Baker zaanonsowała:

- Komendant Yardley i oficer Yardley.

Wstaliśmy z Cynthią, kiedy Yardleyowie, obaj w mundurach, weszli do biura.

- Długie czekanie nie wprawiło nas w najlepszy nastrój. Ale zapomnijmy o tym. - Komendant rozejrzał się po pokoiku i skomentował: - Do diabła, u siebie nawet cele mam większe i ładniejsze.

- My też - poinformowałem go. - Pokażę panu jedną.

Roześmiał się.

- Oto mój syn, Wes - powiedział. - Wes, poznaj panią Sunhill i pana Brennera.

Wes Yardley był wysokim, bardzo smukłym mężczyzną około dwudziestu pięciu lat, z długimi ciemnymi włosami, przez które miałby ustawiczne kłopoty w każdej komendzie policji, poza tą, w której był.

Nie wymieniliśmy uścisków rąk, ale Wes dotknął dłonią runda kowbojskiego kapelusza i kiwnął głową w stronę Cynthii.

Mężczyźni na Południu nie mają zwyczaju zdejmować kapeluszy, kiedy wchodzą do jakiegoś budynku, ponieważ wejść z kapeluszem w dłońi oznacza przyznać się do niższej pozycji. Zwyczaj ten sięga czasów plantacji, dżentelmenów i dzierzawców, niewolników, białej nędzy, dobrych rodzin i

złych rodzin, i tak dalej. Niezupełnie to chwytam, ale ponieważ w wojsku też jest mnóstwo nakazów dotyczących nakryć głowy, respektuję lokalny obyczaj.

W pokoju nie było wystarczającej liczby krzeseł, więc staliśmy.

- Posłuchaj - zwrócił się do mnie Burt Yardley - wszystkie twoje rzeczy leżą porządnie popakowane u mnie w biurze. W każdej chwili możesz wpaść i je odebrać.

- Czy przyniósł pan ze sobą wszystko, co należy do rządu? - zapytałem go.

- Jasne. Nie potrzebuję kłopotów z rządem. Oddałem tej podfruwajce. Możesz to potraktować jako wyciągnięcie ręki na zgodę, Paul. Czy mogę do ciebie mówić Paul?

- Jasne, Burt.

- Dobrze. Zaczynam się zastanawiać, czy nie wpuścić cię do domu zmarłej.

- Sprawiasz mi prawdziwą przyjemność, Burt.

- Chcesz teraz porozmawiać z moim synem o całej tej sprawie? - Spojrzał na Wesa. - Powiedz tym ludziom wszystko, co wiesz na temat dziewczyny.

- Była kobietą i oficerem Armii Stanów Zjednoczonych - wtrąciła się Cynthia. - Specjalistka Baker też jest kobietą i żołnierzem Armii Stanów Zjednoczonych.

Burt lekko schylił głowę i przytknął dłoń do kapelusza.

- Przepraszam panią.

Naprawdę miałem ochotę postraszyć glockiem tych dwóch brutalni i coś bym im na pewno zrobił, gdyby nie brak czasu. W każdym razie Wes zaczął swoją gadkę.

- No tak, spotykałem się z Ann od czasu do czasu, ale z innymi kobietami spotykałem się także, a ona umawiała się z innymi mężczyznami. Żadne z nas nie traktowało tego naprawdę poważnie. Tej nocy, kiedy została zabita, jeździłem w patrolu po Midland, miałem służbę od dwunastej do ósmej rano. Widziała mnie cała masa ludzi, od mojego partnera poczynając, przez pracowników na stacji benzynowej i takich tam. To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Dziękujemy, oficerze Yardley.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Wreszcie Cynthia zapytała Wesa:

- Czy zmartwił pan się na wieść o śmierci Ann Campbell?

Przez chwilę zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Tak, proszę pani - rzekł wreszcie.

- Czy mógłbym podać panu coś na uspokojenie? - zapytałem.

Burt zarechotał.

- Zapomniałem ci wspomnieć, chłopcze, że ten gość jest naprawdę zabawny.

- Chciałbym porozmawiać z tobą sam na sam - zwróciłem się do Burta.

- Wszystko, co chcesz powiedzieć, możesz powiedzieć przy chłopaku.

- Nie wszystko, komendancie.

Przez chwilę przyglądał mi się.

- No... - zwrócił się do syna. - Zostawiam cię samego z tą młodą damą, Wes, ale pamiętaj, bądź grzeczny. - Znowu wybuchnął śmiechem. - Ona nie wie, jaki jesteś szybki. Pewnie myśli, że cała ta sprawa trochę wytrąciła cię z równowagi.

Po tym oświadczeniu obaj z Burtem wyszliśmy z biura. Znalazłem wolny pokój przesłuchań. Usiedliśmy naprzeciw siebie po dwóch stronach długiego stołu.

- Ci cholerni dziennikarze - zaczął Burt - strasznie hałasują. Zaczynają interesować się plotkami krążącymi na temat córki generała. Rozumiesz?

Nie przypominałem sobie, żeby ktokolwiek z prasy zadał choćby jedno związane z tym pytanie, ale powiedziałem:

- Oficerowie śledczy nie angażują się w spekulacje, stojąc przed dziennikarzami.

- Pewnie, że nie. Ja i generał nieźle się dogadujemy i wcale nie chcę, żeby o jego dziewczynce gadano po śmierci.

- Jeśli zmierzasz do czegoś, komendancie, wyrzuć to z siebie.

- No, wydaje mi się, że może ludzie z CID są trochę za bardzo w gorącej wodzie kąpani, i kiedy ty złapiesz gościa, nie będę miał żadnej zasługi.

Burt Yardley denerwował mnie coraz bardziej.

- Zapewniam, komendancie, że twój posterunek zostanie doceniony należycie.

- Taaa, tego się właśnie obawiam - zaśmiał się. - Musimy włączyć się w sprawę na terenie jednostki.

- Zabierz ją od FBI. Jutro przejmują prowadzenie.

- Naprawdę?

- To pewne.

- Dobra. Do tego czasu napiszesz ładniutki raport o tym, jak ci to pomogła policja w Midland.

- Dlaczego?

- Ponieważ głośno się chwaliłeś, że zabierzesz mi raporty mając nakaz sądowy, a na dodatek cholerni reporterzy opowiadają, że mój chłopak związany był z nieboszczką. Ponieważ przez ciebie zaczynam wyglądać jak dureń, a co więcej, do jasnej cholery, potrzebujesz mnie. - I dodał: - Doprowadzisz do porządku to, co nabałaganiłeś.

Facet był naprawdę rozgniewany i właściwie trudno go winić. Garnizon i miejscowa społeczność żyją w symbiozie, szczególnie na Południu. W najgorszych przypadkach przypomina to okupację wojskową starego Południa. W najlepszych, miejscowi uświadamiają sobie, że większość oficerów i poborowych to także południowcy, i jednostkę tolerują mniej więcej tak jak dużą fabrykę samochodów. Ale fabryki samochodów nie mają własnych praw i zwyczajów, więc prawda leży gdzieś pośrodku. Ponieważ byłem w nastroju do współdziałania, powiedziałem:

- Przedstawię cię facetowi z FBI, który przejmie sprawę, kiedy tylko będę wiedział, co to za jeden. Dam mu też pochwalny raport na temat naszej współpracy.

- Naprawdę bardzo przyzwoity z ciebie gość, Paul. Napisz też coś dla tych na górze. Bill Kent robi to właśnie w tej chwili. Może byś go tu poprosił i zrobilibyśmy wielką burzę mózgow, o której mówiła twoja mała asystentka.

- Nie mam teraz czasu na nasiadówki, szefie. Zostaniesz wciągnięty do śledztwa tak głęboko, jak tylko się da, już ty się nie martw.

- Dlaczego cały czas mi się wydaje, że robisz mnie w konia, Paul?

- Nie wiem.

- Powiem ci dlaczego. Ponieważ uważasz, że ja nie mam nic, na czym by tobie zależało, a ty nie dajesz nic za darmo. Natomiast ja myślę, że mam w ręku atutowego asa, który pomógłby zakończyć całą grę.

- Naprawdę?

- Jasne. Przegapiłeś pewien drobiazg w domu nieboszczki. Ale żeby to doprowadzić do porządku, musimy zdrowo razem popracować.

- Chodzi ci o pokój w piwnicy?

Jego oczy zrobiły się całkiem okrągłe i przez dobrych kilka sekund nie odzywał się wcale, co było dość przyjemne. Wreszcie zapytał:

- Dlaczego zostawiłeś całe to gówno?

- Myślałem, że jesteś za głupi, żeby je znaleźć.

- A teraz kto jest głupi? - roześmiał się.

- Tylko że wcale nie zostawiliśmy wszystkiego. Zabrałem paczkę zdjęć i kasety wideo. - Nie zrobiłem tego, a powinienem być.

Przez chwilę przyglądał mi się z uwagą. Widać było, że go to nie bardzo ucieszyło.

- No, no - powiedział wreszcie - jaki to z nas sprytny chłopiec.

- No właśnie.

- Gdzie masz to wszystko?

- W mojej przyczepie. Przegapiłeś.

- Nie stawiaj mi się, chłopcze. W przyczepie nic nie zostało.

- Dlaczego obchodzi cię, gdzie to jest?

- Ponieważ to należy do mnie.

- Mylisz się.

Odchrząknął.

- Są tu myślący kutasami faceci, którzy będą się musieli gęsto tłumaczyć, dlaczego ich odciski znalazły się w tym pokoju, zwłaszcza kiedy się je połączy z ich nagimi tyłkami na zdjęciach.

- Właśnie. Ty będziesz jednym z nich.

Gapił się na mnie, a ja na niego. Wreszcie powiedział:

- Mnie tak łatwo nie nabierzesz.

- Posłuchaj, szefie, myślę, że między Ann i Wesem było coś więcej, niż przyznaje twój synalek. Nie byli najszcześniejszą parą, ale chodzili ze sobą prawie dwa lata i z tego, co wiem, zależało im na sobie. Teraz chciałbym ci zadać pytanie - czy twój syn wiedział, że pieprzysz jego dziewczynę?

Komendant Yardley przetrwał moje pytanie, więc żeby wypełnić ciszę, zapytałem:

- I czy pani Yardley wiedziała, że pieprzysz córkę generała? Wiesz co, Burt, nie chciałbym być u was dzisiaj na kolacji.

Komendant nadal nic nie mówił, więc dodałem jeszcze:

- Nie znalazłeś tego pokoju przez przypadek, choć tak powiedziałeś Wesowi. Może i Wes

wiedział, że jego dziewczyna umawia się od czasu do czasu na boku, ale kiedy chodził z nią do łóżka, to w jej normalnej sypialni, ponieważ gdyby zobaczył buduarek na dole, najpierw by ją pobił, a potem zostawił, jak każdy porządny dżentelmen z Południa. Z drugiej jednak strony ty wiedziałeś na jej temat wszystko, ale nie powiedziałaś synowi, bo o to cię poprosiła Ann Campbell. Lubiła Wesa. Ciebie tylko dlatego zadowalała, że miałaś wpływ na syna i że mogłaś dla niej załatwiać różne sprawy w mieście, gdyby było trzeba. Byłaś kimś na dokładkę, dodatkowym zabezpieczeniem. Tak więc ty i Wes macie więcej wspólnego niż krew, a dzięki Ann Campbell twoje życie stało się znowu podniecające i przerażające. W jakimś momencie musiała ci powiedzieć, że choćbyś włamał się do niej pewnego dnia i zabrał wszystko, to nie ma znaczenia, ponieważ porobiła sobie duplikaty i trzyma kopie zdjęć i kaset w jakimś innym miejscu. Nie byłoby tak trudno zidentyfikować twoje grube dupsko na zdjęciu. Więc zaczęłaś myśleć o swojej żonie, synu, pozostałych synach, pastarze i niedzielnych spotkaniach w kościele, pozycji społecznej, trzydziestu latach mozolnej wspinaczki po szczeblach kariery, i pewnego dnia stwierdziłaś, że musisz się pozbyć tej bomby z opóźnionym zapłonem. - Spojrzałem na niego i zapytałem: - Zgadza się?

Czerstwa twarz Yardleya nie pobrała, tylko zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Wreszcie wykrztusił:

- Nie byłem taki głupi, żeby pozwolić jej robić zdjęcia.
- Jesteś tego pewien? Jesteś pewien, że nie nagrała twojego głosu na kasecie?
- To nie jest wystarczający dowód.
- Wystarczy, żeby wetrzeć cię jak gówno w nowy dywan burmistrza.

Siedzieliśmy obaj przez chwilę jak dwaj szachiści, próbujący przewidzieć z góry trzeci ruch przeciwnika. Yardley pokiwał głową do własnych myśli, potem spojrzał mi w oczy.

- Raz czy dwa myślałem o tym, żeby ją zabić.
- Naprawdę?
- Nie mogłem jednak zabić kobiety za coś, co sam zrobiłem z głupoty.
- Rycerskość nie umarła.

- Taa... W każdym razie tej nocy, kiedy to się stało, byłem w Atlancie w interesach. Mam mnóstwo świadków.

- Dobrze. Porozmawiam z nimi.
- Idź i zrób z siebie głupca.

- To nie ja miałem motyw, żeby popełnić tę zbrodnię. - Prawdę mówiąc, wcale nie myślałem, że to był Burt Yardley, ale ludzie stają się nerwowi, kiedy chcesz sprawdzić ich alibi. To każdego stawia w niezręcznej sytuacji. Właśnie dlatego policjanci robią to ludziom, którzy ich denerwują.

- Możesz wziąć swoje motywy i wsadzić sobie gdzieś. Mnie interesuje, co masz o mnie i nieboszczce.

- Naprawdę? Może mam zdjęcie pokazujące, jak śpisz u niej w łóżku.

- Może masz, a może nie.

- W takim razie skąd wiedziałem, że twoje grube dupsko przewalało się po jej pokoju?

- To jest właśnie pytanie, prawda, synu? - Odsunął krzesło, jakby chciał odejść, i powiedział: - Opowiadasz banialuki. Nie mam na to czasu.

Rozległo się pukanie do drzwi, które natychmiast się otworzyły. Specjalistka Baker wręczyła mi zalepioną kopertę i wyszła. Otworzyłem ją i znalazłem kilka kartek zadrukowanego papieru. Bez żadnego wstępu wyciągnąłem na chybił trafił jedną i przeczytałem:

- „Dwudziesty drugi lipca - Burt Yardley wpadł około dwudziestej drugiej. Byłam zajęta raportami, ale bardzo chciał zejść na dół. Dzięki Bogu facet potrzebuje tego tylko raz w miesiącu. Zeszliśmy do piwnicy i zażyczył sobie rewizji ze striptizem. Myślę, że przeszukuje każdą kobietę, gdy tylko ma cień powodu. Więc rozebrałam się dla niego, a on stał z rękami na biodrach i patrzył. Następnie kazał mi odwrócić się, pochylić i rozsunąć pośladki. Zrobiłam, co kazał. Włożył palec w mój odbył twierdząc, że szuka narkotyków, trucizny lub sekretnych wiadomości. Potem kazał mi się położyć na łóżku na wałkach, by przeszukać moją pochwę i...”

- Dość, synu.

Podniosłem głowę znad kartek.

- Czy to ci czegoś nie przypomina, szefie?

- No... musiałbym się zastanowić. - I zapytał: - Skąd to wzięłeś?

- Jej komputer.

- Nie wydaje mi się, by był to dopuszczalny dowód.

- W niektórych sprawach uznany został za dopuszczalny.

- To wszystko mogą być kobiece fantazje. Wiesz, chciała, żeby się to zdarzyło.

- Może. Prześlę to do Sądu Wojskowego i prokuratora stanu Georgia. Może zostaniesz oczyszczony.

- Oczyszczony z czego? Nawet jeśli każde słowo jest prawdziwe, nie złamałem żadnego prawa.

- Nie jestem ekspertem, więc nie wiem, jak się w Georgii traktuje pewne nietypowe odmiany seksu. Ale tak sobie myślę, że złamałeś choćby przysięgę małżeńską.

- Daruj sobie, synu. Jesteś mężczyzną. Zachowuj się jak mężczyzna. Myśl jak mężczyzna. Cudak z ciebie, czy co. Jesteś żonaty?

Zignorowałem go i przerzuciłem kartki.

- Mój Boże, Burt, używałaś swojej latarki, żeby obejrzeć jej... a tutaj pisze, że pałką... i pistoletem? To naprawdę grubsza sprawa. Widzę, że masz uczuciowy stosunek do długich, twardych przedmiotów. Ale jakoś nigdzie nie jest napisane, żeby twój własny instrument stawał się tak długi i twardy...

Burt wstał.

- Pilnuj swojego, chłopcze, bo go możesz stracić, kiedy tylko wystawisz go poza teren bazy. - Podszedł do drzwi, ale wiedziałem, że nigdzie się nie wybiera, więc nie zwracałem na niego uwagi. Wrócił do stołu, wziął krzesło stojące obok mnie, obrócił je i siadł, pochylając się w moją stronę. Nie jestem pewien, co ma symbolizować odwrócone krzesło, poza tym, że trudno wtedy na nim wygodnie usiąść. Może chodziło o ochronę, może o agresję, ale na pewno denerwowało mnie. Wstałem i usiadłem na stole.

- Dobra, Burt, chcę, żebyś mi dał każdy, nawet najmniejszy dowód, jaki wyniosłeś z tego pokoju.

- Nie ma mowy.

- W takim razie wyślę kopie stron pamiętnika do wszystkich z książki telefonicznej Midland.

- Wtedy cię zabiję.

No, do czegoś dochodziliśmy. Powiedziałem więc:

- Wymieńmy się dowodami.

- Nie, do diabła. Mam dość materiału, by dołożyć większości chłopców z samego szczytu w tej bazie. Chcesz tego?

- Ty masz tylko zdjęcia facetów w maskach. Ja mam pamiętnik.

- Mam odciski palców z całego pokoju w piwnicy. Dam je do sprawdzenia FBI i wojsku.

- Czy wszystko pozostało tam na miejscu?

- To już moja sprawa.

- Co byś powiedział o małym pożarze? Na pierwszy ogień pójdą kartki opisujące twoje perwersje. Są takie gorące, że pewnie nawet nie trzeba będzie przykładać zapalki.

Zastanawiał się przez chwilę.

- A mogę ci ufać?

- Masz moje słowo oficera.

- Co?

- Czy ja mogę ufać tobie?

- Nie, ale nie chcę, żebyś opowiadał o odwrotnej stronie mojego medalu żonie i dzieciakom.

Stałem i wyjrzałem przez okno. Dziennikarze wciąż tam tkwili, ale kordon żandarmów przesunął ich teraz o jakieś pięćdziesiąt metrów w stronę drogi, więc ludzie mogli wchodzić i wychodzić z budynku nie zaczepiani. Myślałem o tym, co zamierzałem zrobić z komendantem Yardleyem. Zniszczenie dowodów mogło kosztować mnie kilka lat w Kansas. Z drugiej jednak strony niszczenie życia nie należało do moich obowiązków. Odwróciłem się i podszedłem do Yardleya.

- Umowa stoi.

Wstał i uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Wrzucisz wszystko na wywrotkę: meble, prześcieradła, dywan, kasety, zdjęcia, bicze i kajdany i cały ten majdan zawieziesz do miejskich zakładów spalania śmieci.

- Kiedy?

- Jak tylko dokonam aresztowania.

- A to nastąpi...

- Wkrótce.

- Taaa? Chcesz mi coś powiedzieć na ten temat?

- Nie.

- Wiesz, układanie się z tobą to jak rwanie papieru ściernego.

- Dziękuję - wręczyłem mu wydruki z komputera. - Kiedy spalisz wszystko - powiedziałem - wykasujemy to z pamięci, możesz być przy tym obecny.

- Taaa. Mydełko Fa, tralalala. No cóż, mam zamiar ci zaufać, synu, ponieważ jesteś oficerem i dżentelmenem. Ale jeśli mnie wrobisz, przysięgam na Boga, że cię zabiję.

- Chyba cię rozumiem. I składam ci tę samą obietnicę. Myślę, że po raz pierwszy od dawna będziesz dzisiaj w nocy spał spokojnie. Sprawa została prawie zamknięta.

Wyszliśmy na korytarz, a potem do biura. Po drodze powiedziałem:

- Prześlij moje osobiste rzeczy do gościnnych kwater dla oficerów, dobrze, Burt?

- Jasne, synu.

Cynthia i Wes siedzieli przy biurkach. Nasze wejście przerwało ich rozmowę.

- Przeszkodził nam w czymś? - zapytał Burt i ryknął śmiechem.

Spojrzenie Cynthii skierowane na Burta wyraźnie mówiło: „Gnojek z ciebie”.

Wes wstał i podszedł do drzwi. Zobaczył papiery w rękach ojca.

- Co to? - zapytał.

- To... takie tam wojskowe śmieci, które muszę przeczytać. - Burt spojrzał na Cynthię i dotknął dłonią runda kapelusza. - Zawsze miło panią widzieć. - Potem zwrócił się do mnie: - Informuj mnie na bieżąco. - I wreszcie wyszedł razem z synem.

- Czy Baker znalazła cię?

- Tak.

- Gorący towar?

- Nawet Burt się trochę zawstydził. - Opowiedziałem jej prawie wszystko, co wyszło na jaw, po czym powiedziałem: - Obciążające zdjęcia i inne dowody z pokoju zabaw Ann Campbell zostaną usunięte, ale im mniej wiesz na ten temat, tym lepiej.

- Nie bądź taki opiekuńczy, Paul. Nie lubię tego.

- Postąpiłbym tak samo mając do czynienia z każdym innym oficerem. Pewnego dnia będziesz musiała zeznawać pod przysięgą, a wtedy unikniesz kłamstwa.

- Przedyskutujemy to innym razem. Na razie Wes Yardley okazał się trochę mniej macho, niż na to wygląda.

- Wszyscy są tacy sami.

- Właśnie. Bardzo przeżywa śmierć Ann Campbell i przewrócił Midland do góry nogami, szukając tego, kto to zrobił.

- Dobrze. Odniosłaś wrażenie, że traktował Ann jako swoją osobistą własność?

- Coś w tym rodzaju. Zapytałam, czy wolno jej było umawiać się z innymi mężczyznami, a on na to, że godził się tylko na kolacje, drinki i temu podobne przy oficjalnych okazjach na terenie fortu. Nigdy nie chciał jej towarzyszyć na takie przyjęcia, więc łaskawie zezwalał na koleżeństwo z tymi dupkami oficerami. Cytowałam.

- Wreszcie mężczyzna, który mi się podoba.

- Właśnie. Ale trudno kogoś pilnować przez cały czas, a gdzie jest ochota, tam i droga się znajdzie.

- Zgadza się. Wiec najwyraźniej nie miał pojęcia, że jego przyjaciółka steruje swoją karierą w całkiem nietradycyjny sposób.

- Jestem przekonana, że nie.

- I gdyby odkrył, że własny ojciec dobiera się do tego samego garnka miodu, nie byłby zachwycony.

- Delikatnie mówiąc.

- Dobrze. Nigdy w życiu nie trzymałem tylu facetów za jaja.

- Nie pozwól, żeby ci to uderzyło do głowy.

- Mnie to nie grozi. Ja po prostu odwalam swoją robotę.

- Chcesz kanapkę?

- Stawiasz?

- Jasne. - Podniosła się. - Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Podjadę do klubu oficerskiego.

- Cheeseburger, frytki i cola.

- Posprzątaj tu, kiedy mnie nie będzie. - I wyszła. Zawołałem Baker przez interkom, a kiedy się zameldowała, dałem jej moją odręczną notatkę dotyczącą Dalberta Elkina i poprosiłem, żeby ją przepisała.

- Czy mógłby dać mi pan rekomendację do szkoły CID? - zapytała.

- To nie jest takie zabawne, jak wygląda, Baker.

- Naprawdę chciałabym zostać śledczym do spraw kryminalnych.

- Dlaczego?

- Bo to jest podniecające.

- Może byś porozmawiała z panią Sunhill na ten temat?

- Rozmawiałam z nią wczoraj. Powiedziała, że to dobra zabawa, mnóstwo wrażeń, podróży i spotkań z interesującymi ludźmi.

- Właśnie, a ty ich aresztujesz.

- Powiedziała, że pana spotkała w Brukseli. To brzmi romantycznie.

Nic nie odpowiedziałem.

- Powiedziała, że ma rozkazy, przenoszące ją na stałą służbę w Panamie, po zakończeniu tej sprawy.

- Możesz mi zrobić kawy?

- Tak jest, sir.

- To wszystko.

Wyszła.

Panama.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Pułkownik Fowler zadzwonił o szesnastej czterdzieści pięć. Przyjąłem telefon, dając znak Cynthii, by sięgnęła po drugą słuchawkę.

- Możecie spotkać się z moją żoną o siedemnastej trzydzieści, u nas w domu, z panią Campbell o osiemnastej w siedzibie Beaumont, a generał zobaczy się z wami w swoim gabinecie w budynku dowództwa dokładnie o osiemnastej trzydzieści.

- To znaczy, że rozmowy mają się odbywać jedna po drugiej.

- Właściwie znaczy to - powiedział - że będą one krótkie.

- To właśnie miałem na myśli.

- Wszystkie trzy osoby, z którymi chce pan rozmawiać, są w dużym stresie, panie Brenner.

- Ja również, ale dziękuję.

- Panie Brenner, czy przyszło panu do głowy, że może pan denerwować ludzi?

- Przyszło.

- Pogrzeb, jak już powiedziałem, odbędzie się jutro rano. Może pan i pani Sunhill spotkalibyście się przedtem z ludźmi z FBI i złożyli im krótkie sprawozdanie. Potem moglibyście pójść na pogrzeb,

a następnie opuścić bazę. Śledztwo potoczy się dalej bez was i morderca w odpowiednim czasie zostanie postawiony przed sądem. To nie są ćwiczenia na czas.

- No cóż, nie były, ale jakiś idiota z Waszyngtonu zdecydował inaczej.

- Panie Brenner, od samego początku postanowił pan działać jak Grant, który zdobywał Richmond. Bez szacunku dla protokołu i wrażliwości innych ludzi.

- Tak właśnie Grant wziął Richmond, pułkownika.

- I do dziś w Richmond plują na Granta.

- Właśnie. Pułkownika, od samego początku wiedziałem, że ta sprawa zostanie mi odebrana. I że CID zostanie z niej wykluczone. Pentagon i Biały Dom z politycznego punktu widzenia zachowały się słusznie, i niech Bóg błogosławi kontrolę cywilów nad wojskiem. Ale jeśli pozostało mi dwadzieścia godzin, spożytkuję je na mój własny sposób.

- Jak pan sobie życzy.

- Proszę mi zaufać. Zakończę tę sprawę, nie ściągając hańby na wojsko. Natomiast niech pan nie ufa FBI i Sądowi Wojskowemu.

- Zostawię to bez komentarza.

- I słusznie.

- Zmieniając temat, panie Brenner: pańska prośba o przeniesienie zawartości gabinetu pułkownika Moore'a dotarła drogą służbową do Pentagonu i została odrzucona ze względu na bezpieczeństwo narodowe.

- To najlepszy ze względów, sir. Ale zastanawia mnie, że ludzie z Waszyngtonu chcą aresztowania pułkownika Moore'a za morderstwo, ale nie chcą udzielić zgody na przejrzenie jego akt

- Tak to jest, jak się o coś poprosi. Pan o tym dobrze wie.

- Rzeczywiście wiem. Dlatego ostatni raz użyłem oficjalnych kanałów.

- Pański wybór. Pentagon twierdzi, że jeśli zaaresztuje pan pułkownika Moore'a, przyślą tu kogoś upoważnionego, kto będzie asystował panu przy przeglądaniu wybranych akt. Ale to nie może być szukanie na rybkę. Musi pan wiedzieć, o co panu chodzi.

- Tak. Znam tę procedurę. Gdybym, u diabła, wiedział, czego szukam, prawdopodobnie nie szukałbym tego.

- Nic więcej nie zdołałem osiągnąć. Czy sprawa rozjaśniła się w jakiś sposób?

- Tak, na obszarze półtora metra na trzy. - Ponieważ nie roześmiał się, powiedziałem: - Tajne

przejsście.

- Dobrze, nie będę o to teraz pytał. Tymczasem Szkoła Operacji Psychologicznych wysłała ludzi na Pole Jordana, mają zabrać wszystko, co zostało wyniesione z biura Ann Campbell i odnieść na miejsce. Co prawda ani pan, ani pułkownik Kent nie będziecie oskarżeni o wyniesienie zawartości, ale w waszych aktach znajdzie się nagana. - i dodał: - Musi pan przestrzegać prawa, jak my wszyscy.

- No, robię to zazwyczaj, kiedy wiem, jakie prawo właśnie obowiązuje.

- Nie konfiskuje się tajnych materiałów bez zezwolenia.

- Ktoś próbuje mnie załatwić, pułkowniku.

- To mało powiedziane. Dlaczego?

- Nie wiem.

- Starał się pan dowiedzieć czegoś o życiu kapitan Campbell z okresu w West Point. Zgadza się?

- Zgadza. Pytanie się nie podobało?

- Najwyraźniej.

Spojrzałem na Cynthię.

- Może mi pan na ten temat coś więcej powiedzieć? - spytałem.

- Nic nie wiem poza tym, że wypytyują mnie, dlaczego pan o to pyta.

- Co za oni?

- Nie mogę powiedzieć. Ale nadepnął im pan na odcisk.

- Czy mi się wydaje, czy chce mi pan pomóc, pułkowniku?

- Po namyśle stwierdziłem, że pan i pani Sunhill możecie być najlepszymi ludźmi do prowadzenia tej sprawy. Ale ponieważ nie zakończycie jej na czas, radzę wam zadbać o samych siebie. - I dodał: - Kryć się.

- Ani pani Sunhill, ani ja nie jesteśmy kryminalistami. Natomiast prowadzimy sprawę kryminalną.

- Nagana to ostrzeżenie. Następny strzał będzie prosto w serce.

- Tak, ale to ja oddam ten strzał.

- Jest pan cholernym głupcem. Potrzebujemy takich ludzi. - I dodał: - Proszę się upewnić, czy pańska partnerka wie, w co się pakujecie.

- Nie jestem pewien, czy sam to rozumiem.

- Ja też nie, ale zdecydowanie zadał pan nie to pytanie, co trzeba, jeśli chodzi o West Point. -
Życzę dobrego dnia. - I odłożył słuchawkę.

Spojrzałem na Cynthię.

- Mój Boże.

- Zdecydowanie trafiliśmy w sedno pytając o West Point - powiedziała.

- Najwyraźniej. - Zadzwoiłem na Pole Jordana i poprosiłem do telefonu Grace Dixon. - Grace, miałem właśnie przeciek, że ludzie ze Szkoły Operacji Psychologicznych jadą do was, żeby odebrać materiały kapitan Campbell. Jestem pewien, że będzie im również chodziło o jej komputer.

- Wiem. Już tu są.

- A niech to.

- Żaden problem. Po naszej rozmowie przekopiowałam wszystko na dyskietkę. - I dodała: -
Właśnie zabierają komputer, ale nie sądzę, by ktoś się mógł dostać do zawartości, nie znając haseł.

- Znakomita robota, Grace. - Zapytałem: - Jakie są te hasła?

- Używała trzech. Jeden do prywatnej korespondencji, drugi do listy z nazwiskami, adresami i numerami telefonów, a ostatni do pamiętnika. Hasło do listów brzmi „Brzydkie uwagi”, do książki adresowej narzeczonych „Przyjaciele tatusia”, a do pamiętnika „Koń Trojański”.

- Dobrze... opiekuj się tą dyskietką.

- Strzegę jej jak źrenicy własnego oka.

- Dobrze. Nawet śpij z nią w nocy. Porozmawiamy później. - Rozłączyłem się, a potem zadzwoniłem do Falls Church i dopadłem Karla.

- Słyszałem, że moje pytania dotyczące West Point zdenerwowały pewnych ludzi, zmartwiły ich, a nawet przestraszyły.

- Kto ci to powiedział?

- To ja pytam. Czego się dowiedziałeś?

- Niczego.

- To ważne - naciskałem.

- Robię, co mogę.

- Powiedz mi, co zrobiłeś.
- Parne Brenner, proszę tak ze mną nie rozmawiać.
- Dobrze. Ale prosiłem cię, byś użył swoich źródeł i zdobył dla mnie pewne informacje.
- Zadzwonię, kiedy będę coś miał.

Cynthia podsunęła mi kartkę ze słowem „Uszczelniony?”. Ścinałem głowę. Głos Karla zdecydowanie brzmiał nieswojo.

- Dobrali się do ciebie? - zapytałem go. Odpowiedział po paru sekundach.
- Wszystkie drzwi zatrzaśkiwały mi się przed nosem. Masz prowadzić śledztwo bez tej informacji. Zapewniono mnie, że jej nie potrzebujesz.
- Dobrze. Dzięki, że próbowałeś.
- Zobaczymy się jutro albo pojutrze.
- Jasne. Ponieważ nie jesteś już zajęty zdobywaniem dla mnie informacji, może załatwisz trzydziestodniowy urlop dla mnie i pani Sunhill, i zarezerwujesz lot w miejsce, które wybierzesz.
- Pentagon tylko o tym marzy.
- I wyciągnij tę pieprzoną naganę z moich akt. - Odwiesiłem słuchawkę.
- Co się tu, u diabła, dzieje? - zapytała Cynthia.
- Przypuszczam, że otworzyliśmy puszkę Pandory, wyjęliśmy garść robaków i cisnęliśmy w nieskalane gniazdo - mruknąłem.
- Możesz to powtórzyć?

Nie zrobiłem tego. Rzekłem tylko:

- Zostaliśmy odcięci od pępowiny. - Zastanowiłem się chwilę i dodałem: - Ale być może damy sobie radę sami.
- Raczej nie mamy innego wyjścia. Tyle że ja nadal chciałabym wiedzieć, co się wydarzyło w West Point.
- Karl zapewnia, że dla sprawy nie ma to znaczenia. Cynthia przez moment milczała.
- Karl zawiódł mnie - powiedziała wreszcie. - Nigdy nie myślałam, że wycofa się z takiego śledztwa jak to.
- Ja również nie.

Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut, zastanawiając się, gdzie by zdobyć informacje o West Point. Spojrzałem na zegarek.

- Dobrze, chodźmy na Wzgórze Bethany. - Właśnie wstaliśmy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Weszła specjalistka Baker z kartką w ręku. Usiadła przy moim biurku, wpatrując się w papier.

- Proszę usiąść, Baker - powiedziałem sarkastycznie. Spojrzała na nas i powiedziała pewnym siebie głosem:

- Tak naprawdę to jestem chorąży Kiefer z CID. Przysłał mnie tu dwa miesiące temu pułkownik Hellmann. Prowadziłam dobrze śledztwo w sekcji drogówki. Pułkownik Hellmann kazał mi potem zatrudnić się w roli waszej sekretarki. - Podniosła na nas wzrok. - Co też zrobiłam.

- Mówi pani poważnie? - zapytała Cynthia. - Szpiegowała nas pani z polecenia pułkownika Hellmanna?

- Nie szpiegowałam, tylko pomagałam. Takie rzeczy dzieją się cały czas.

- To prawda, ale mimo wszystko jestem wkurzony - stwierdziłem.

Specjalistka Baker, czyli chorąży Kiefer, powiedziała:

- Nie miejcie do mnie pretensji, bo sprawa jest delikatna, a pułkownik Hellmann bardzo się nią przejmuje.

- Pułkownik Hellmann właśnie rzucił nas na głęboką wodę - poinformowałam ją.

Nie zwróciła uwagi na moje słowa.

- Przez te dwa miesiące - ciągnęła - słyszałam tutaj wiele na temat pułkownika Kenta i kapitan Campbell. Wszystko wam powtórzyłam, ale nie złożyłam na niego raportu, bo nie lubię robić ludziom takich rzeczy. Nigdy nie widziałam, żeby zaniedbał przez to obowiązki, a poza tym mogłabym się oprzeć tylko na biurowych plotkach. Teraz jednak to może mieć znaczenie.

- Ma znaczenie - odparła Cynthia - ale może być dowodem wyłącznie na głupotę.

Panna Kiefer wzruszyła ramionami. Wręczyła mi papier i powiedziała:

- Parę minut temu otrzymałam przez telefon polecenie z Falls Church, żebym poinformowała was, kim jestem naprawdę, i żebym stanęła przy faksie. To właśnie z niego wyszło.

Spojrzałem na kartkę faksu. Była zaadresowana do mnie i Sunhill, via Kiefer. Przeczytałem na głos:

- „W sprawie śledztwa dotyczącego West Point, tak jak zostało powiedziane w rozmowie telefonicznej, wszystkie akta są tajne lub zlikwidowane, każde pytanie napotyka na mur milczenia. Jednakże skontaktowałem się z dawnym pracownikiem CID, emerytem, który stacjonował w West

Point w interesującym nas okresie. Osoba ta zgodziła się mówić pod warunkiem, że pozostanie anonimowa i przekazała mi, co następuje. Latem pomiędzy pierwszym a drugim rokiem studiów kadet Campbell była przez kilka tygodni hospitalizowana w prywatnej klinice. Oficjalnie uległa wypadkowi podczas nocnych ćwiczeń w obozie Buckner. Według moich źródeł generał Campbell dzień po tym wypadku odleciał do Niemiec. Oto historia, jaką poskładał z plotek mój informator: W sierpniu, podczas ćwiczeń z rekonesansu, kadeci uczestniczyli w nocnych patrolach w lesie. Przez przypadek lub celowo kadet Campbell została oddzielona od większej grupy i znalazła się sama z pięcioma czy sześcioma mężczyznami - kadetami albo szeregowcami z Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznej, również uczestnikami treningu. Wszyscy byli wymalowani farbą kamuflażową, panowały ciemności i tak dalej. Ci mężczyźni złapali kadet Campbell, zerwali z niej ubranie, przyszpilili ją do ziemi za pomocą śledzi namiotowych, a potem kolejno ją zgwałcili. Co stało się później, nie jest do końca jasne, ale najprawdopodobniej gwałciciele postraszyli ofiarę grożąc czymś, co jej zrobią, jeśli zamelduje o incydencie. Następnie rozwiązali ją i uciekli. Nad ranem została zgłoszona jako zaginiona, ale wkrótce potem pojawiła się na terenie biwaku w okropnym stanie fizycznym i psychicznym. Najpierw zabrano ją do wojskowego szpitala w Keller, tam opatrzono jej drobniejsze skaleczenia i obtarcia. W karcie lekarskiej nie było najmniejszej wzmianki o napaści seksualnej. Zjawił się generał Campbell i wtedy przeniesiono ją do prywatnej kliniki. Nikt nie został oskarżony, nie podjęto żadnego dochodzenia, incydent został wyciszony dla dobra uczelni, a kadet Campbell zgłosiła się na zajęcia we wrześniu. Mówiło się, że to ojciec wywarł na nią nacisk, by nie rozgrzebywała sprawy, a na generała naciskali najprawdopodobniej ludzie postawieni jeszcze wyżej. I to wszystko. Zniszczyć wiadomość po przeczytaniu i wymazać ją z raportu faksowego. Powodzenia, (podpisane) Hellmann.” Podałem faks Cynthii.

- Teraz to wszystko zaczyna się trzymać kupy, prawda? - powiedziała.

Skinąłem głową.

- Czy wiecie, kto ją zabił? - zapytała Kiefer.

- Nie, ale chyba wiemy, dlaczego zjawiała się na terenie strzelnicy - odparłem.

Cynthia wpuściła kartkę z wiadomością od Karla w maszynkę do niszczenia papieru i powiedziała do Kiefer:

- Więc chciałaby pani zostać detektywem?

Kiefer spojrzała nieco zakłopotana.

- Specjalistka Baker chciała być detektywem.

- Specjalistka Baker może jeszcze jakiś czas pozostać sekretarką - odparła Cynthia. - Nie potrzebujemy trzeciego detektywa.

- Tak jest - odparła Kiefer wracając do swojej uprzedniej roli. - Będę miała oczy i uszy otwarte.

- Znakomicie.

- Proszę powiedzieć pułkownikowi Kentowi, że pan Brenner życzy sobie, by pułkownik Moore pozostawał na terenie jednostki i był w każdej chwili przygotowany na rozmowę.

- Tak jest, sir.

Opuściliśmy z Cynthią biuro i wyszliśmy na parking nie napastowani już przez dziennikarzy.

- Teraz ja prowadzę - powiedziałem. Wyciągnąłem kluczyki i wsiałem do mojego blazera.

Kiedy jechałem w stronę Wzgórza Bethany, powiedziałem:

- Jak na skurwiela, Karl jest całkiem w porządku.

- Nawet jeśli napuścił ją na nas - Cynthia uśmiechnęła się. - Podeszła cię tak samo jak mnie. Boże, muszę skończyć z tą robotą.

- A co z Panamą? - Zerknąłem na nią. Nasze spojrzenia spotkały się.

- Złożyłam podanie o stały przydział poza terenem Stanów Zjednoczonych, ponieważ chciałam uciec od mojego niedługo już byłego.

- Dobrze kombinujesz. - Zmieniłem temat. - Więc ta sprawa z West Point jest dość drażliwa.

- Tak. Nie do wiary, że jej ojciec wziął udział w tuszowaniu tej historii... chociaż, jeśli się nad tym zastanowić... Jest tyle napięć w West Point od czasu, kiedy stało się koedukacyjne! No, a generał musiał dbać o własną karierę, a może także myślał o karierze i reputacji córki. Ale nie zrobił jej przysługi.

- Na pewno nie.

- Kobiety, które muszą udawać, że seksualna napaść nie zdarzyła się, albo które zostały zmuszone do takiego udawania, zazwyczaj płacą za to później.

- Albo każą innym za to płacić - podsunąłem.

- To prawda. Czasami to działa w obie strony. To, co zdarzyło się na strzelnicy numer sześć, było powtórzeniem gwałtu z West Point, prawda?

- Obawiam się, że tak.

- Tyle tylko, że tym razem ktoś ją zabił.

- Właśnie.

- Jej ojciec?

- Zdobądźmy ostatni kawałek układanki, który jest nam potrzebny dla odtworzenia zbrodni od

początku do końca.

Przez chwilę milczała.

- Czy wiesz, kto ją zabił? - zapytała wreszcie.

- Wiem, kto jej nie zabił.

- Nie bądź taki enigmatyczny, Paul.

- A ty kogoś podejrzewasz?

- Mam kilka typów.

- Przygotuj dla nich oskarżenie, a wieczorem w kwaterach oficerskich przeprowadzimy nad nimi sąd.

- Dobry pomysł. Mam nadzieję, że rano kogoś powiesimy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Stanęliśmy pod rezydencją Fowlerów na Wzgórzu Bethany i zadzwoniliśmy do drzwi.

Powitała nas pani Fowler. Teraz wyglądała na odrobinę mniej zdenerwowaną niż rano. Zaprowadziła nas do salonu i zapytała, czy mamy ochotę na kawę lub coś innego, ale odmówiliśmy. Usiadła na kanapie, a my w fotelach klubowych.

Przygotowaliśmy wcześniej kilka pytań i ustaliliśmy, że rozmowę powinna zacząć kobieta. Panie wymieniały uwagi na temat życia, wojska i Fortu Hadley, a kiedy pani Fowler rozluźniła się, Cynthia zaczęła:

- Chciałabym parną zapewnić, że nam dwojgu chodzi tylko o sprawiedliwość. Nie jesteśmy tu po to, by zniszczyć czyjąś reputację. Mamy znaleźć mordercę, a także upewnić się, że niewinni mężczyźni i kobiety nie staną się ofiarami fałszywych oskarżeń.

Pani Fowler przytaknęła.

- Wie pani, że Ann Campbell była seksualnie związana z wieloma mężczyznami z tej jednostki. Po pierwsze chciałam zapewnić parną, że nie ma śladu dowodu, iż nazwisko pani męża może być połączone z nazwiskiem Ann Campbell.

Kolejne przytaknięcie, tym razem bardziej energiczne.

- Rozumiemy, że pułkownik Fowler jest nie tylko adiutantem generała Campbella, ale także jego przyjacielem - mówiła dalej Cynthia. - Doceniamy uczciwość pani męża i fakt, że umożliwił nam rozmowę z panią. Jestem przekonana, że polecił pani rozmawiać z nami równie szczerze, jak my będziemy rozmawiali z panią.

Niepewne kiwnięcie.

Cynthia mówiła dalej, krążąc wokół pytań, które miała zadać. Mówiła uspokajające frazesy, okazywała zrozumienie i tak dalej, i tak dalej. Tak właśnie należy postępować z cywilnymi świadkami, którzy nie otrzymali nakazu sądowego. Cynthia radziła sobie z tym znacznie lepiej niż ja.

Ale kiedy nadeszła odpowiednia chwila, zapytała:

- Czy była pani w domu tego wieczoru, kiedy popełniono morderstwo?

- Tak, byłam.

- Pani mąż wrócił do domu z klubu O mniej więcej o dziesiątej?

- Zgadza się.

- Spać poszliście o jedenastej?

- Tak mi się wydaje.

- I jakoś między drugą czterdzieści pięć a trzecią obudził panią dzwonek do drzwi.

Brak odpowiedzi.

- Pani mąż zszedł na dół i otworzył. Potem wrócił do sypialni, powiedział, że to generał i że musi pojechać z nim w pilnej sprawie. Pułkownik Fowler ubrał się, a pani zrobiła to samo. Zgadza się?

Nadal brak odpowiedzi.

- Pojechała pani razem z nim - powiedziała Cynthia i dodała: - Nosi pani buty rozmiar siedem, prawda?

- Tak - pani Fowler odzyskała głos - oboje ubraliśmy się i pojechaliśmy.

Na kilka sekund zapanowało milczenie, wreszcie znowu odezwała się Cynthia:

- Oboje pojechaliście na strzelnicę. Czy generał Campbell został u was w domu?

- Tak.

- Czy była z nim pani Campbell?

- Nie, nie było jej.

- Tak więc generał został tutaj, a pani towarzyszyła mężowi na strzelnicę numer sześć. Zgadza się?

- Tak. Generał powiedział nam, że Ann jest naga, więc wzięłam sukienkę. Powiedział też, że jest związana, i mój mąż wziął nóż, żeby przeciąć linę.

- Dobrze. Pojechaliście Drogą Strzelnic, ostatnie pół kilometra na zgaszonych światłach.

- Tak. Mąż nie chciał zwracać na siebie uwagi wartowników. Powiedział, że dalej przy drodze stoi posterunek.

- Zatrzymaliście się, zgodnie z instrukcjami generała, na drodze za łazikiem. Która wtedy była godzina?

- Jakaś... trzecia trzydzieści.

- Była trzecia trzydzieści. Wysiedliście z samochodu i...

- Zobaczyłam coś na strzelnicy. Mąż poprosił, żebym tam poszła, odcięła linę i ubrała ją w sukienkę. Gdybym potrzebowała pomocy, miałam go zawołać. - Pani Fowler zamilkła na chwilę. - Powiedział mi, żebym ją spoliczkowała, jeśli nie będzie chciała współpracować. Był bardzo rozgniewany.

- To całkowicie zrozumiałe - zgodziła się Cynthia. - Więc poszła pani na strzelnicę.

- Tak. Chwilę potem mąż zdecydował się pójść za mną. Myślę, że bał się trochę reakcji Ann. Przypuszczał, że może zachować się dość gwałtownie.

- Szła pani w stronę Ann Campbell. Czy coś pani mówiła?

- Tak, zawołałam ją po imieniu, ale ona nie... nie odpowiedziała. Dotarłam do niej i... uklęknęłam obok, jej oczy były szeroko otwarte, ale... zaczęłam krzyczeć... mąż dobiegł... - Pani Fowler zakryła twarz dłońmi i zapłakała. Cynthia była chyba na to przygotowana, ponieważ zerwała się z fotela, usiadła obok pani Fowler na kanapie, objęła ją ramieniem i podała chusteczkę.

Siedziały tak z minutę, wreszcie Cynthia powiedziała:

- Dziękuję. Nie musi pani mówić już nic więcej. Sami trafimy do wyjścia. - Co też zrobiliśmy.

Wsiedliśmy do mojego blazera i odjechaliśmy.

- Czasami strzał na ślepo opłaca się - powiedziałem.

- Ale to przecież nie był strzał na ślepo. Teraz, kiedy znamy fakty i wiemy coś o tych ludziach, wszystko układa się w logiczną całość.

- Dobra robota.

- Dziękuję. Ale to ty przygotowałeś.

Co prawda, to prawda. Więc powiedziałem:

- Tak.

- Chyba nie lubię fałszywej skromności u mężczyzn.

- W takim razie dobrze trafiłaś - powiedziałem. - Jak myślisz, czy pułkownik Fowler powiedział jej, żeby mówiła prawdę, czy sama się zdecydowała?

Cynthia przez chwilę się zastanawiała.

- Myślę, że pułkownik Fowler domyślał się, że coś już wiemy - stwierdziła wreszcie. - Powiedział swojej żonie, że jeśli zapytamy o niewiadomą, powinna opowiedzieć, żeby zrzucić ciężar z piersi i zapomnieć o tym.

- Dobrze. Poza tym pani Fowler jest świadkiem, że Ann Campbell nie żyła już, kiedy dotarli tam z mężem, więc pułkownik Fowler nie mógł jej zabić.

- Zgadza się. I ja jej wierzę, ponieważ moim zdaniem on nie zabił Ann Campbell.

Jechaliśmy w milczeniu w stronę centrum fortu, oboje pogrążeni w myślach.

Zjawiliśmy się przed rezydencją Beaumont nieco za wcześnie, ale protokół musiał ustąpić przed potrzebami śledztwa. Podeszliśmy więc do frontowych drzwi, gdzie żandarm sprawdził nasze dokumenty, a potem nacisnął za nas dzwonek.

Szczerliwym trafem otworzył nam młody i przystojny porucznik Elby.

- Jesteście dziesięć minut za wcześnie.

- Możemy pójść sobie i wrócić o czasie albo możemy porozmawiać z panem przez parę minut - powiedziałem.

Porucznik Elby był miłym gościem i poprosił nas do środka. Weszliśmy do tej samej, znanej nam już poczekalni. Powiedziałem do Cynthii:

- Zdaje się, że chciałaś skorzystać z toalety?

- Co? O... tak.

- Łazienka jest od holu w lewo.

- Dziękuję - wyszła. Zwróciłem się do Elby'ego:

- Poruczniku, dowiedziałem się, że umawiał się pan z kapitan Campbell.

Elby przyjrzał mi się uważnie.

- Zgadza się - odparł.

- Czy wiedział pan, że spotykała się ona również z Wesem Yardleyem?

Kiwnął głową i z wyrazu jego twarzy mogłem wyczytać, że wspomnienie jest dla niego nadal bolesne. Potrafiłem to oczywiście zrozumieć - taki elegancki oficerek musiał się dzielić córką swojego szefa z miejscowym gliną, na dodatek niedobrym chłopcem.

- Czy pan ją kochał? - zapytałem Elby'ego.

- Na to nie zamierzam odpowiedzieć.

- Już pan to zrobił. Czy pańskie zamiary były poważne?

- Dlaczego zadaje mi pan takie pytania? Przyszedł pan tutaj spotkać się z panią Campbell.

- Przyjechaliśmy za wcześnie. Więc wiedział pan o Wesie Yardleyu. Czy dotarły do pana plotki, że Ann Campbell umawia się z żonatymi oficerami?

- O czym, do cholery, pan mówi?

Widocznie nie słyszał plotek. Pewnie też nic nie wiedział na temat pokoju w piwnicy.

- Czy generał aprobował pański związek z jego córką?

- Tak. Czy muszę odpowiadać na te pytania?

- No cóż, trzy dni temu mógłby pan odmówić i kazać mi pójść do diabła. Za kilka dni będzie pan najprawdopodobniej mógł zrobić to samo. Ale akurat w tym momencie, tak, musi pan odpowiadać. Następne pytanie: czy ten związek akceptowała również pani Campbell?

- Tak.

- Czy poruszał pan z Ann Campbell temat małżeństwa?

- Tak.

- Proszę mi o tym opowiedzieć, poruczniku.

- No cóż... wiedziałem, że była związana z tym Yardleyem i... gniewało mnie to... ale to nie wszystko... Powiedziała, że musi być pewna aprobaty rodziców... i jeśli generał da nam błogosławieństwo, możemy ogłosić zaręczyny.

- Rozumiem. Czy przeprowadził pan męską rozmowę z generałem?

- Tak. Kilka tygodni temu. Wyglądał na bardzo zadowolonego, ale poprosił o miesiąc na przemyślenie sprawy. Powiedział mi, że jego córka jest kobietą o bardzo silnej woli.

- Dobrze. A czy ostatnio nie otrzymał pan przeniesienia na drugi koniec świata?

Spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony.

- Tak... Na wyspę Guam.

O mało się nie roześmiałem. Miał wyższy stopień od mojego, ale mógł być moim synem. Położyłem mu rękę na ramieniu.

- Poruczniku - powiedziałem mu - mógł pan być czymś najlepszym, co mogło spotkać Ann Campbell, ale do tego nie doszło. Dostał się pan pomiędzy ścierających się ze sobą ojca i córkę. Przesuwali pana po szachownicy tak, jak im pasowało. Czasami, w głębi duszy, rozumiał pan, co się dzieje. Dalej niech pan podąża własną ścieżką i robi karierę. A kiedy następnym razem pomyśli pan o małżeństwie, proszę wziąć dwie aspiryny, położyć się w ciemnym pokoju i poczekać, aż uczucie minie.

Niestety, w tym właśnie momencie wróciła Cynthia. Obrzuciła mnie bardzo nieprzyjaznym spojrzeniem.

Porucznik Elby był zmieszany i poirytowany, ale coś tam musiało zaskoczyć w jego umyśle. Spojrzał na zegarek i powiedział:

- Pani Campbell oczekuje już państwa.

Elby przeprowadził nas przez hol do dużego wiktoriańskiego salonu.

Pani Campbell ubrana w prostą, czarną sukienkę podniosła się z krzesła. Podeszliśmy do mej i zobaczyłem, jak bardzo córka była do niej podobna. W wieku lat sześćdziesięciu pani Campbell przeobraziła się z pięknej w atrakcyjną, ale minie jeszcze co najmniej dziesięć lat, zanim ludzie zaczną w odniesieniu do niej używać neutralnego, bezpłciowego określenia „przystojna kobieta”.

Cynthia pierwsza wyciągnęła rękę i złożyła kondolencje. Ja zrobiłem to samo w chwilę później.

- Usiądźcie państwo - powiedziała i wskazała szeszlony pod oknem. Usiedliśmy, a ona zajęła miejsce naprzeciwko. Pomiędzy nami stał niewielki okrągły stolik, a na nim kilka karafek i szklanki. Pani Campbell piła herbatę, ale zapytała:

- Macie państwo ochotę na sherry lub porto?

Prawdę mówiąc, przydałby mi się kieliszek alkoholu, ale nie aż tak, żebym zmuszał się do sherry lub porto. Podziękowałem, za to Cynthia zgodziła się na sherry, a pani Campbell nałała jej.

Zdziwił mnie południowy akcent pani Campbell, ale przypomniałem sobie, że widziałem ją raz w telewizji podczas wojny w Zatoce. Oboje z mężem zrobili na mnie wtedy wrażenie pary politycznie

doskonałej: twardy jak skała generał ze Środkowego Wschodu i kulturalna dama z Południa.

Cynthia zaczęła lekką rozmowę o niczym, a pani Campbell, mimo żałoby, podjęła ją w tym samym tonie. Okazało się, że pochodzi z Karoliny Południowej i sama jest córką oficera. June Campbell - tak się nazywała - była, ucieleśnieniem wszystkiego, co najlepsze na Południu. Grzeczna i czarująca. Pamiętałem też, co powiedział o niej pułkownik Fowler, i dodałem do tego opisu: lojalna, prawdziwa dama, choć twarda.

Zdawałem sobie sprawę, że czas płynie, ale Cynthia najwyraźniej nie spieszyła się z trudnymi tematami. Albo uznała, że nie wypada ich poruszać, albo bała się, że gospodyni się załamie. A może jedno i drugie. Trudno ją było za to winić. Ale nagle powiedziała:

- Przypuszczam, że pani Fowler, a może pułkownik Fowler, telefonowali do pani przed naszym przybyciem.

Dobry strzał, Cynthia.

Pani Campbell odstawiła filiżankę i odpowiedziała spokojnie:

- Tak, dzwoniła pani Fowler. Bardzo się cieszę, że miała okazję z wami porozmawiać. To jej ciążyło. Teraz czuje się znacznie lepiej.

- Na pewno - zgodziła się Cynthia. - To typowa reakcja. Chciałabym pani powiedzieć, że zajmuję się często sprawami o gwałt na tle seksualnym, i kiedy zaczynam przesłuchiwać ludzi, którzy - o czym wiem - mają mi coś do powiedzenia, czuję wręcz napięcie w powietrzu. A potem, w miarę rozmowy jakby rozwijała się zrazu napięta sprężyna.

W ten sposób Cynthia powiedziała, że jeśli raz przerwie się znową milczenia, jeden z drugim mknie na wyścigi, by stać się świadkiem strony rządowej. Robią wszystko, żeby zrzucić z siebie podejrzenia.

Cynthia mówiła dalej:

- Z tego, co powiedziała mi pani Fowler, i z tego, co odkrył pan Brenner, wynika, że Ann zadzwoniła do generała nad ranem, prosząc go o spotkanie na strzelnicy numer sześć, prawdopodobnie żeby przedyskutować pewne sprawy. Czy to się zgadza?

Kolejny strzał w ciemno, i to znakomity, muszę oddać Cynthiai sprawiedliwość.

- Czerwony telefon, który stoi koło łóżka, zadzwonił około pierwszej czterdzieści pięć - odparła pani Campbell. - Generał od razu podniósł słuchawkę. Natychmiast się rozbudził. Przyglądałam mu się, kiedy słuchał. Nie odezwał się ani jednym słowem, tylko odłożył słuchawkę, wstał i zaczął się ubierać. Nigdy go nie pytałam o nocne telefony, ale on sam zawsze mi mówił, gdzie idzie i kiedy powinnam się go spodziewać z powrotem. - Uśmiechnęła się i dodała: - Od czasu, kiedy przyjechaliśmy do Fortu Hadley, nocne telefony zdarzały się bardzo rzadko, ale w Europie na pierwszy dzwonek wyskakiwał z łóżka, łapał zapakowaną torbę i wkrótce lądował w Waszyngtonie, na granicy z NRD czy kto tam wie gdzie. Ale zawsze mi mówił... Tym razem powiedział tylko, że

będzie mniej więcej za godzinę. Włożył cywilne ubranie i wyszedł. Wyrzesał przez okno i zobaczyłam, że wziął mój samochód.

- Co to za samochód?

- Buick.

Cynthia kiwnęła głową.

- Potem, mniej więcej o czwartej trzydzieści rano, generał wrócił do domu i powiedział pani, co się wydarzyło.

Pani Campbell zapatrzyła się przed siebie i po raz pierwszy zobaczyłem twarz zmęczonej matki, której złamano serce. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jakim brzemieniem były dla mej ostatnie lata. Z pewnością jako żona i matka nie mogła popierać tego, co ojciec i mąż zrobił ich córce w imię większego dobra, w imię kariery i zachowania dobrego wizerunku publicznego. Ale jakoś musiała z tym sobie poradzić.

- Mąż pani wrócił do domu o jakiejś czwartej trzydzieści - odpowiedziała Cynthia.

- Tak. Czekałam na niego... Tutaj, w tym właśnie pokoju. Kiedy wszedł, zrozumiałam, że moja córka nie żyje. - Wstała. - I to wszystko, co wiem. Teraz, kiedy kariera mojego męża legła w gruzach, pozostaje nam tylko nadzieja, że odkryjecie, kto to zrobił. Wtedy będziemy mogli żyć dalej, próbując odzyskać spokój ducha.

My wstaliśmy także.

- Robimy, co w naszej mocy - powiedziała Cynthia. - Dziękujemy, że mimo żałoby zechciała pani z nami rozmawiać.

Ja natomiast powiedziałem, żeby nas nie odprowadzała, i wyszliśmy z pokoju.

Już w drodze do samochodu, zauważyłem:

- Kariera generała skończyła się dziesięć lat temu w wojskowym szpitalu w Keller. Musiało tylko upłynąć trochę czasu, zanim się o tym przekonał.

- Tak, nie tylko zdradził córkę, ale także samego siebie i swoją żonę. Wsiedliśmy do blazera i ruszyliśmy sprzed rezydencji Beaumont.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- O czym rozmawiałeś z porucznikiem Elbym? - zapytała Cynthia.

- O miłości i małżeństwie.

- Tak, słyszałam, jak wygłaszałeś swoje mądrości.

- No... wiesz, on jest jeszcze za młody, żeby się ustatkować. Zaproponował Ann Campbell małżeństwo.

- Nie nazwałabym małżeństwa z Ann Campbell ustatkowaniem się.

- Prawda. - Powtórzyłem Cynthii moją krótką rozmowę z Elbym i dodałem: - A teraz tego biednego skurczybyka wysyłają na wyspę Guam. Sytuacja, jak w tych starych greckich dramatach; kiedy śmiertelnicy poznawali fizyczną stronę bogini, wariowali, byli zamieniani w zwierzęta lub przedmioty albo skazywani na banicję na wyspę Guam lub jakiegoś egejskiego jej odpowiednika.

- Seksistowskie nonsensy.

- Zgoda. W każdym razie mam wrażenie, iż napięcia w rodzinie Campbellów były tak patologiczne, że na miłość i szczęście nie starczyło już miejsca i tylko Bóg może pomóc biedakom, którzy zaplątali się w ich nieszczęścia i ból.

Skinęła głową.

- Myślisz, że przed jej wstąpieniem do West Point wszystko było w porządku?

- No... jeśli zgodzić się z tym, co mówił pułkownik Moore, tak. Myślę, że to wierny obraz. A skoro jesteśmy przy obrazach, przypomina mi się album ze zdjęciami, który znaleźliśmy w domu Ann... Przyjrzyj się zdjęciom sprzed i po gwałcie - możesz dostrzec różnicę.

- Tak. Prawie każdą rodzinną tragedię da się dostrzec, jeśli już się wie, czego szukać. - I po chwili dodała: - Ci faceci, którzy zbiorowo ją zgwałcili, frajdy mieli mało, a potem żyli sobie dalej, i nawet do głowy im nie przyszło, że zniszczyli czyjeś życie.

- Wiem. Oboje to widzimy, kiedy wystarczająco długo pozostajemy na scenie jakichś gwałtownych zdarzeń. Ale zazwyczaj przynajmniej częściowo sprawiedliwości staje się zadość. W tym przypadku nikt nie wzywał policji.

- Nie, wtedy nie. Ale teraz my tu jesteśmy. Jak poradzimy sobie z generałem Campbellem?

- Mam ochotę się po nim przejechać. Ale sądzę, że już zapłacił, i to z nawiązką, za swój błąd. Nie wiem... trudny orzech. Trzeba to rozegrać na intuicję. Ostatecznie jest generałem.

- Właśnie.

Parking przed budynkiem dowództwa był prawie pusty. Pomiedzy nielicznymi samochodami stało oliwkowe, służbowe auto generała. Obok zaparkowany był łazik. Zazwyczaj kilka przydzielonych jest dla dowództwa, przypuszczam, że ten, który znalazł się na Polu Jordana, został już zastąpiony innym.

Stanęliśmy po prawej stronie parkingu.

- Wyszła bocznymi drzwiami mniej więcej o godzinie pierwszej, wsiadła do łazika i odjechała na konfrontację z duchami przeszłości.

- I duchy zwyciężyły.

Szliśmy ku frontowi budynku. Piętrowa budowla z ciemnej cegły przywodziła na myśl szkołę średnią, zbudowaną w latach trzydziestych, tyle że wzdłuż chodnika leżały otuliny od haubic kalibru 155 mm, z których, jak na ironię, wyrastały kwiaty. Na trawniku stały także stare armaty z różnych epok, dowód technicznego rozwoju.

Weszliśmy przez frontowe drzwi. Młody szeregowy zerwał się od biurka z tabliczką „Informacja”. Powiedziałem mu, że jesteśmy umówieni z generałem Campbellem. Sprawdził w książce spotkań i skierował nas w głąb budynku.

Szliśmy z Cynthią pustym, odbijającym echo kroków długim korytarzem, wyłożonym lśniącem linoleum.

- Nigdy wcześniej nie aresztowałem generała. Pewnie jestem bardziej zdenerwowany niż on.

Spojrzała na mnie i powiedziała:

- On tego nie zrobił, Paul.

- Skąd wiesz?

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić, a skoro nie potrafię sobie wyobrazić, to znaczy, że to się nie zdarzyło.

- Nie pamiętam, żeby coś takiego było w podręczniku.

- Tak czy owak nie jestem pewna, czy masz prawo aresztować generała. Sprawdź w podręczniku.

Weszliśmy do czegoś w rodzaju drugiego korytarza, który również był pusty. Znaleźliśmy się

przed drzwiami z mosiężną tabliczką, na której widniał napis: „Generał porucznik Joseph I. Campbell”.

Zapukałem. Otworzyła mi kobieta-kapitan, na jej plakietce zobaczyłem nazwisko Bollinger.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Jestem starszym adiutantem generała Campbella.

Wymieniliśmy uściski rąk i zaprowadziła nas do małego sekretariatu. Kapitan Bollinger miała mniej więcej trzydzieści pięć lat, twarz czerstwą, ale przyjazną i pełną życia.

- Nie wydaje mi się, żebym słyszał o adiutancie płci żeńskiej jakiegoś generała od czasu tej przyjaciółki Ike'a - powiedziałem do niej.

Uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście jest nas niewiele - odparła. - Drugim adiutantem generała jest mężczyzna, porucznik Elby.

- Tak, spotkaliśmy się z nim. - Uzmysłowiłem sobie, że kapitan Bollinger z pewnością nie była, jak porucznik Elby, pionkiem w rozgrywce między ojcem a córką. Nie mogła zostać uwiedziona przez Ann, a była zbyt pospolita i pani Campbell nie mogła mieć żadnych zastrzeżeń. Nie jest łatwo żyć tym na świeczniku.

Kapitan Bollinger zaprowadziła nas do pustego biura i powiedziała:

- Generał zarezerwował dla was czas, zgodnie z waszym życzeniem. Ale proszę zrozumieć, że on jest... no, po prostu przytłoczony żałobą.

- Rozumiemy to - odparła Cynthia.

Ja zrozumiałem również, że spotkanie zostało wyznaczone po godzinach urzędowania, żeby w razie czego personel nic nie mógł usłyszeć ani zobaczyć.

Kapitan Bollinger zapukała w solidne dębowe drzwi, otworzyła je i zaanonsowała nas jako chorążych Brennera i Sunhill. Potem odsunęła się, a my weszliśmy do środka.

Generał stał. Podeszedł do nas. Wymieniliśmy krótkie saluty, a potem uściski rąk.

Gospodarz wskazał na miękkie krzesła i wszyscy usiedliśmy. Generał miał w pokoju różne rodzaje miejsc do siedzenia, choć generałowie zawsze jeszcze mogą postawić cię na baczność, a co łaskawsi na spocznij. Ale nam z Cynthią okazano znacznie więcej grzeczności, niż wymagały tego nasze stopnie. Musiało to mieć coś wspólnego z faktem, że wysłuchaliśmy dwóch wyznań dwóch żon na temat wydarzeń związanych ze zbrodnią, a mianowicie na temat współudziału po fakcie i ukrywania. Ale może po prostu nas lubił.

- Czy któreś z was ma ochotę na drinka? - zapytał.

- Nie, dziękujemy, sir. - W tym właśnie momencie usłyszeliśmy wystrzał armatni, flaga poszła w dół, co dla żołnierza jest tym samym, czym dzwonek dla psa Pawłowa.

Przez dobrą minutę nikt nic nie mówił, a ja rozglądałem się po gabinecie. Ściany otynkowane na biało, wykończenia biurka, stołu i pozostałych mebli z naturalnego dębu. Dębową podłogę pokrywał orientalny dywan, prawdopodobnie przywieziony z jakiejś zamorskiej placówki. Nie było tu wiele trofeów wojennych, suvenirów, oprawnych w ramy certyfikatów, nic w tym stylu, ale na małym stoliku w kącie pokoju leżała jak serweta niebieska peleryna, a na niej szabla w pochwie, pistolet o długich lufach, niebieski kapelusz i inne dodatki.

Generał zauważył, że na to patrzę.

- To należało do mojego ojca. Był pułkownikiem kawalerii w latach dwudziestych.

- Służyłem w Pierwszym Batalionie ósmej Kawaleryjskiej w Wietnamie, tylko nie mieliśmy tam koni - powiedziałem.

- Naprawdę? To pułk mojego ojca. O wspaniałych tradycjach walk z Indianami, chociaż już nie za jego czasów.

Jednak mieliśmy coś wspólnego. Prawie. Cynthię na pewno nudziły te wspominki kościanych dziadków, ale faceci zanim złapią się za jaja, lubią poczuć, że istnieje między mmi więź.

- Więc nie zawsze był pan detektywem? - zapytał generał Campbell.

- Nie, sir. Kiedyś zajmowałem się uczciwą robotą.

Uśmiechnął się.

- Odznaczenia? Medale?

Powiedziałem mu, a on słuchając kiwał głową. Myślałem, że łatwiej mu będzie przełknąć to, co dla niego szykowałem, od weterana walk. Nawet gdybym nie był w Wietnamie, powiedziałbym mu, że byłem. Dla dobra prawdy mam prawo kłamać, a nie zaprzysiężony świadek też może kłamać, choć pod przysięgą lepiej tego nie robić. Ale podejrzany może skorzystać z prawa do milczenia przez cały czas, żeby nie oskarżać samego siebie. Tylko często trudno jest dociec, kto jest kim.

Generał spojrzał na Cynthię, a ponieważ wypadało i ją włączyć do rozmowy, zapytał o jej przeszłość wojskową, cywilne korzenie i tak dalej. Odpowiedziała mu, dzięki czemu ja też dowiedziałem się paru rzeczy, chociaż oczywiście mogła kłamać. Generałowie, a czasami też pułkownicy, jak zauważyłem, zawsze pytają poborowych i niższych rangą oficerów o ich miasta rodzinne, szkoły, jakie ukończyli w cywilu, ćwiczenia wojskowe i wszystkie te rzeczy. Nie wiem, czy ich to naprawdę obchodzi, czy jest to jakiś zapożyczony od Japończyków sposób pracowania z ludźmi, którego nauczyli się na wojskowych studiach. A ty musisz odpowiadać, choćbyś chciał ukryć przestępczą przeszłość.

W ten sposób z całego przeznaczonego na to spotkanie czasu przegadaliśmy o niczym dobre

piętnaście minut. Dopiero wtedy generał powiedział:

- Rozmawialiście z panią Fowler i panią Campbell, więc wiecie mniej więcej, co się wydarzyło tamtej nocy.

- Tak jest, sir - odparłem - ale szczerze mówiąc, niejednego domyśliliśmy się jeszcze przed tymi rozmowami.

- Naprawdę? Jestem pod wrażeniem. Robimy dobrą robotę, jeśli tak szkolimy ludzi w CID.

- Tak jest, sir. A poza tym, chociaż ta sprawa jest wyjątkowa, mamy dużo doświadczenia.

- Na pewno. Czy wiecie, kto zabił moją córkę?

- Nie, sir.

Przyjrzał mi się uważnie.

- To nie był pułkownik Moore?

- Mógł to być on.

- Widzę, że nie przyszliście tu po to, by odpowiadać na pytania.

- Nie, sir, nie po to.

- W takim razie jak chcecie przeprowadzić to przesłuchanie?

- Myślę, sir, że byłoby wszystkim łatwiej, gdyby zechciał pan powiedzieć, co stało się tego wieczoru, kiedy popełniono morderstwo. Zaczniemy od telefonu o godzinie pierwszej czterdzieści pięć. Jeśli coś będzie dla mnie niejasne, przerwę panu.

- Dobrze - skinął głową. - Spałem, kiedy zadzwonił czerwony telefon na mojej nocnej szafce. Podniosłem słuchawkę i powiedziałem: „Campbell, słucham”, ale nie było odpowiedzi. Potem coś brzdęknęło, a wreszcie usłyszałem głos mojej córki, ale jestem pewien, że był nagrany.

Kiwnąłem głową. Na strzelnicach były telefony w wieżach kontroli przeciwpożarowej, ale na noc je zamykano. Ann Campbell i Charles Moore musieli mieć ze sobą przenośny telefon i magnetofon.

Mówił dalej:

- Wiadomość... nagrana wiadomość brzmiała jak następuje: „Tato, mówi Ann. Chcę z tobą przedyskutować coś niezwykle pilnego. Musimy spotkać się na strzelnicy numer sześć nie później niż o drugiej piętnaście...”

- Powiedziała jeszcze, że jeśli nie przyjdę, ona się zabije - dodał generał.

Znowu skinąłem głową.

- Czy powiedziała, żeby przyprowadził pan ze sobą panią Campbell? - zapytałem.

Zerknął na mnie i Cynthię, zastanawiając się, jak wiele naprawdę wiemy. Może sądził, że znaleźliśmy nagranie.

- Tak - odparł - powiedziała coś takiego, ale nie miałem zamiaru jej posłuchać.

- Rozumiem, sir. Czy domyślał się pan, o czym to tak ważnym chciała z panem dyskutować aż tak pilnie, że wyciągała pana z łóżka i kazała jechać na strzelnicę?

- Nie... ja... Ah, jak się pewnie już dowiedzieliście, była niezrównoważona emocjonalnie.

- Tak jest, sir. Ktoś jednak zdaje się wspomniał, że dał jej pan ultimatum i właśnie upływał termin odpowiedzi. Oczekiwał pan jej przy porannym śniadaniu.

- Zgadza się. Jej zachowanie było nie do przyjęcia i kazałem jej albo się uspokoić, albo odejść z wojska.

- Więc kiedy usłyszał pan jej głos o tej godzinie, musiał pan zdać sobie sprawę, że nie chodzi o przypadkowy wybuch, ale że spotkanie ma związek z tym ultimatum.

- No cóż, tak. Zdawałem sobie z tego sprawę.

- Jak pan myśli, dlaczego komunikowała się z panem za pomocą nagrania?

- Przypuszczam, że nie chciała wdawać się ze mną w rozmowę. Postępowałem z nią bardzo zdecydowanie, a z nagraniem głosem nie mogłem się kłócić, po prostu więc zrobiłem to, co by zrobił na moim miejscu każdy ojciec, i pojechałem na wyznaczone miejsce spotkania.

- Rozumiem, sir. I jak się okazało, pańska córka już była na terenie strzelnicy. Dzwoniła do pana stamtąd z przenośnego telefonu. Wyjechała z budynku dowództwa około godziny pierwszej. Czy zastanawiał się pan, dlaczego wybrała odległy teren ćwiczebny na to spotkanie? Dlaczego nie przyszła po prostu na śniadanie, żeby zakomunikować panu swoją odpowiedź na ultimatum?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem.

No, może z początku rzeczywiście nie wiedział, ale kiedy zobaczył ją, to już raczej tak. Widziałem, że był pogrążony w prawdziwej żalobie, ledwo się trzymał. Ale będzie się trzymał niezależnie od tego, jak mocno będę naciskał. Z własnej woli nie zdradzi, dlatego córka pokazała mu się naga i przyszpilona do ziemi.

- Powiedziała, że zabije się, jeśli pan się nie zjawi - przypomniałem mu. - Jak pan myśli, czy mogła brać pod uwagę zabicie pana, gdyby się pan zjawił?

Nie odpowiedział.

- Czy zabrał pan ze sobą broń? - zapytałem. Skinął głową.

- Nie miałem pojęcia, na co mogę natrafić tam w nocy.

Nie, idę o zakład, że nie miałeś. Dlatego nie wziąłeś ze sobą pani Campbell.

- Więc był pan ubrany po cywilnemu, wziął pan broń, samochód swojej żony i pojechał pan na strzelnicę numer sześć. Światła samochodu były włączone. O której godzinie dotarł pan na miejsce?

- To była jakaś... druga piętnaście. Godzina, którą ona wyznaczyła.

- Tak. Zgasił pan światła i...

Nastąpiła długa cisza, generał Campbell zastanawiał się, co powiedzieć po tym moim „i...”.

- Wysiadłem z samochodu i podszedłem do łazika, ale tam jej nie było - wykrztusił wreszcie. - To mnie zaniepokoiło, zawołałem ją po imieniu, ale nie było odpowiedzi. Zawołałem jeszcze raz i wtedy usłyszałem jej głos, odwróciłem się w stronę strzelnicy i zobaczyłem... Zobaczyłem ją na ziemi... zobaczyłem jakąś postać na ziemi... była naga, a ja byłem... chyba zaszokowany, zmieszany... Nie wiedziałem, co począć... Ale ona żyła, i tylko to się liczyło. Zapytałem, czy wszystko w porządku, a ona odparła, że była... podszedłem do niej... i... strasznie trudno mi o tym mówić.

- Tak jest, sir. Dla nas to też jest trudne. Nie próbuję porównywać pańskiej straty z naszymi uczuciami, ale - mówię to również w imieniu pani Sunhill - podczas śledztwa my... no, polubiliśmy pańską córkę. - Chyba jednak nie mówiłem tego w imieniu pani Sunhill. - Detektywi pracujący nad sprawami o zabójstwo często wiążą się uczuciowo z ofiarami, choćby ich nigdy nie znali. Ta sprawa jest niezwykła. Kiedy oglądałem kasety z wykładami pańskiej córki, czułem, że jest to ktoś, kogo chciałbym poznać... Ale powinienem pozwolić panu powiedzieć, co się zdarzyło później.

Generał Campbell nie mógł się pozbierać. Znowu siedzieliśmy dobrą minutę w niezręcznym milczeniu, a on ciężko oddychał. Wreszcie odchrząknął i powiedział:

- No, wtedy spróbowałem ją odwiązać... to było bardzo krępujące i dla niej, i dla mnie... ale nie mogłem rozsupłać liny i nie mogłem wyciągnąć tych śledzi z ziemi... Próbowałem... Chodzi mi o to, że ktoś wbił je bardzo głęboko i zawiązał te węzły... więc powiedziałem jej, że zaraz wrócę... Poszedłem do samochodu, ale ani u siebie, ani w łaziku nie znalazłem nic do przecięcia lin... więc jeszcze raz wróciłem do niej i powiedziałem... powiedziałem... że pojedę na Wzgórze Bethany i wezmę nóż od pułkownika Fowlera... Od Wzgórza Bethany do strzelnic jest niecałe dziesięć minut drogi... Kiedy patrzę wstecz, powinienem był... właściwie nie wiem, co powinienem był zrobić.

Znowu skinął głową.

- A w czasie, gdy próbował pan rozwiązać te liny - zapytałem - oczywiście rozmawialiście?

- Padło tylko parę słów.

- Ale chyba zapytał pan, kto jej to zrobił?

- Nic...

- Generale, musiał pan przecież powiedzieć coś w rodzaju: „Ann, kto ci to zrobił?”

- Och... tak, oczywiście. Ale nie wiedziała.

- A właściwie - uściśliłem - nie powiedziała.

Generał spojrzał mi w oczy.

- Zgadza się. Nie powiedziała. Ma pan rację.

- Więc odjechał pan Drogą Strzelnic w stronę Wzgórza Bethany.

- Tak. Pojechałem do pułkownika Fowlera po pomoc.

- Czy wiedział pan, że tylko o kilometr dalej znajduje się posterunek przy składzie amunicji?

- Nie znam lokalizacji każdego posterunku w tym forcie. - I dodał: - Zresztą wątpię, czybym tam pojechał, nawet gdybym wiedział. Na pewno nie chciałem, żeby młodzi mężczyźni zobaczyli moją córkę w takim stanie.

- Tak się składało, że tam była kobieta. Ale to nie ma znaczenia. Natomiast zastanawiam się, dlaczego zwracał pan na zgaszonych światłach i dlaczego przez co najmniej sto metrów ich pan nie włączył.

Musiło go zaniepokoić, skąd wiem o tym, ale chyba uświadomił sobie, że przesłuchiwałem strażników.

- Mówiąc całkiem szczerze - odpowiedział wreszcie - nie chciałem zwracać na siebie uwagi.

- Dlaczego?

- A pan by chciał? Gdyby zostawił pan własną córkę nagą i związaną na ziemi - chciałby pan, żeby ktoś jeszcze się do tego wtrącał? Nie miałem wątpliwości, że muszę pojechać po pomoc do pułkownika i pani Fowler. To oczywiste, że nie chciałem, by incydent ten dotarł do wiadomości publicznej.

- Ale ten incydent, sir, był zbrodnią, prawda? Czy nie pomyślał pan, że została napadnięta przez jakiegoś szaleńca albo kilku szaleńców? Dlaczego chciał pan zachować to w tajemnicy?

- Chyba nie chciałem jej zawstydząć.

- Gwałt nie powinien być wstydlivy dla ofiary - odezwała się Cynthia.

- Ale jest - odparł generał Campbell.

- Czy w jakiś sposób dała panu do zrozumienia, że ma ochotę tak leżeć, podczas gdy pan pojechał do pułkownika i pani Fowler? - zapytała Cynthia.

- Nie, ale myślałem, że to najlepsze, co mogę zrobić.

- Czy nie była śmiertelnie przerażona - dopytywała się dalej Cynthia - czy nie obawiała się, że gwałciciel lub gwałciciele wrócą, kiedy pana nie będzie?

- Nie... no, może tak. Powiedziała, żebym szybko wracał. Posłuchajcie, jeśli sugerujecie, że nie zrobiłem tego, co było najwłaściwsze, prawdopodobnie macie rację. Może powinienem był bardziej starać się ją uwolnić, może powinienem był włożyć jej do ręki pistolet, żeby miała się czym obronić w czasie mojej nieobecności, może powinienem był wystrzelić z pistoletu, żeby zwrócić uwagę żandarmerii, a może po prostu powinienem był usiąść z nią i czekać na jakiś przejeżdżający samochód. Zastanawiałem się nad tym tysiące razy. Jeśli kwestionujecie to, co zrobiłem, macie rację, ale nie kwestionujcie tego, co czułem.

- Generale - odparła Cynthia - ja tylko kwestionuję to, co się tam naprawdę przydarzyło.

Miał coś na końcu języka, ale uznał, że lepiej przemilczeć tę uwagę.

- Więc przybył pan do Fowlerów - ciągnąłem - powiedział im wszystko, a oni pojechali na strzelnicę, by pomóc kapitan Campbell.

- Zgadza się. Pani Fowler wzięła sukienkę i nóż, żeby przeciąć liny.

- I nie widział pan nigdzie na miejscu wydarzeń ubrań pańskiej córki?

- Nie, nie widziałem.

- Nie pomyślał pan, by okryć ją swoją koszulą?

- Nie... Nie myślałem jasno.

I to był mężczyzna, który jako podpułkownik poprowadził zmechanizowany batalion piechoty do obleganego miasta Quang Tri i uratował kompanię strzelców złapaną w pułapkę na terenie starej francuskiej cytadeli! Ale swojej córce nie umiał pomóc. Najprawdopodobniej nie miał wcale zamiaru ofiarować jej pomocy ani współczucia. Musiał być cholernie rozwścieczony.

- Dlaczego nie towarzyszył pan Fowlerom, generale?

- Nie byłem im potrzebny. Wystarczyłaby pani Fowler, ale oczywiście pułkownik pojechał razem z nią na wypadek kłopotów.

- Jakich kłopotów?

- No, gdyby ten ktoś, kto to zrobił, wciąż był w pobliżu.

- Ale skoro pan myślał, że to możliwe, dlaczego pan zostawił córkę samą, związaną, nagą i bezbronną?

- Przyszło mi to do głowy dopiero, gdy dojeżdżałem do domu Fowlerów. Muszę podkreślić, że oddalonego o najwyżej dziesięć minut drogi.

- Tak jest sir, ale droga tam i z powrotem, obudzenie i ubieranie się Fowlerów, wszystko to razem trwało prawie trzydzieści minut. Naturalną reakcją każdej osoby - ojca, dowódcy - byłoby obudzić ich, poprosić o pomoc, i jak najszybciej powrócić na miejsce wydarzeń. Żeby użyć wojskowej terminologii: zabezpieczyć teren do przyjazdu kawalerii.

- Czy kwestionuje pan mój osąd, czy moje motywacje, panie Brenner?

- Pańskiego osądu na pewno nie, sir. Pański osąd byłby bezbłędny, gdyby motywacje były czyste. Chyba więc kwestionuję pańskie motywacje. - Normalnie poglądów generała w ogóle się nie kwestionuje. Ale sytuacja była raczej nietypowa.

- Przypuszczam, że oboje wiecie więcej, niż ujawniacie - powiedział kiwając głową. - Jesteście bardzo sprytni. Widziałem to od samego początku. Może więc powiecie mi, jakie motywacje mną kierowały?

- Chciał ją pan trochę podręczyć - odpowiedziała Cynthia. Fortyfikacje zostały nadkruszone, by dalej się posługiwać terminologią wojska, a Cynthia strzeliła prosto w wyłom.

- Prawdę mówiąc, generale, wiedział pan doskonale, że pańska córka nie padła ofiarą żadnego gwałciciela i że wcale nie została zaatakowana. Ona i jej pomocnik wezwali pana za pomocą nagranej wiadomości i ściągnęli na teren strzelnicy tylko po to, żebyście - pan i pani Campbell - znaleźli córkę w tej pozycji. Tak jedynie można logicznie wytłumaczyć wypadki. To mianowicie, że zostawił ją pan samą, że udał się pan do Fowlerów i kazał im się tym zająć, że pozostał pan u nich w domu i czekał, aż przywiozą panu córkę. I że nie pisał pan na ten temat ani słówka aż do tej chwili. Bardzo pana rozgniewało to, co panu zrobiła.

Generał Campbell siedział zatopiony w myślach i być może rozważał swoje szanse, swoje życie, błąd, jaki popełnił kilka nocy wcześniej i ten sprzed dziesięciu lat.

- Moja kariera jest skończona - powiedział wreszcie - przygotowałem już rezygnację, którą złożę po pogrzebie córki. Zastanawiam się teraz, ile musicie wiedzieć, by znaleźć mordercę, z czego mogę się zwierzyć zarówno wam jak i światu, i co dobrego może wyniknąć z dalszego obdzierania z honoru pamięci mojej córki. Wiem, że myślę o sobie, ale muszę pamiętać o żonie i synu. A także o armii. - i dodał: - Nie jestem cywilem i to, co robię, jest odbiciem mojego zawodu. Cień na moim honorze może jedynie obniżyć morale korpusu oficerskiego.

Chciałem mu powiedzieć, że morale starszych oficerów Fortu Hadley było już wystarczająco

niskie, a każdy z nich czeka ciosu topora, i że rzeczywiście nie jest cywilem, wobec czego nie powinien być jak cywil traktowany. I że w gruncie rzeczy, to co mówił, brzmi jakby myślał o własnej osobie, bo nie chodzi mu o reputację córki, i że niech mnie zostawi zmartwienie, ile muszę wiedzieć, żeby znaleźć mordercę. I ostatnie, choć nie najmniej ważne, że jego kariera faktycznie jest skończona. Ale zamiast tego powiedziałem mu:

- Rozumiem, dlaczego nie poinformował pan żandarmerii, że pańska córka leży naga, rozpięta na ziemi na terenie strzelnicy - rzeczywiście, generale, do pewnego momentu to była sprawa prywatna i przyznam, postąpiłbym tak samo. Wiem też, dlaczego wmieszał pan w tę sprawę Fowlerów. I znowu, przyznaję, zrobiłbym pewnie na pana miejscu to samo. Ale kiedy pułkownik wrócił i powiedział, że pańska córka nie żyje, nie miał pan prawa wciągać ich w ukrywanie prawdziwej natury przestępstwa. Podobnie jak nie miał pan prawa wciągać w to swojej żony. A na dodatek nie miał pan prawa, sir, utrudniać naszej pracy, kierując nas na fałszywy trop.

- Ma pan całkowitą rację - zgodził się. - Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Głęboko odetchnąłem.

- Muszę panu powiedzieć, sir - poinformowałem go - że pańskie działania są wykroczeniami, które zgodnie z Kodeksem Prawa Wojskowego podlegają karze.

Znowu skinął głową powoli.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę. - Spojrzał najpierw na mnie, a potem na Cynthię. - Chciałbym was prosić o jedną przysługę.

- Tak, sir?

- Chciałbym was spytać, czy moglibyście nie mieszać do tej sprawy pułkownika Fowlera.

Byłem przygotowany na to pytanie i borykałem się z odpowiedzią na długo przedtem, zanim generał je zadał. Spojrzałem na Cynthię, potem na generała.

- Nie mogę przymykać oczu na to przestępstwo, bo wtedy sam byłbym winny wykroczenia. - Prawdę mówiąc, już jedno popełniłem, kiedy poszedłem na układ z Burtem Yardleyem. Ale wtedy chodziło o sprawę poza jednostką. Teraz nie. - Fowlerowie znaleźli ciało. Nie zameldowali o tym.

- Zameldowali. Mnie.

- Generale - wtrąciła się Cynthia. - Moje stanowisko jest nieco inne niż pana Brennera, i chociaż zasadą współpracujących detektywów jest zawsze wyrażać wspólną opinię, powiem, że być może uda nam się trzymać Fowlerów z daleka od sprawy. Rzeczywiście pułkownik Fowler zameldował panu o morderstwie, a pan powiedział mu, że poinformuje o tym pułkownika Kenta. Ale był pan w szoku, pani Campbell również, i tak się stało, że odkryto ciało wcześniej, niż zdążył pan zadzwonić na żandarmerię. Trzeba wyszlifować szczegóły, ale chyba sprawiedliwość nie ucierpi za bardzo, jeśli nie wciągniemy Fowlerów w tę sprawę.

Generał Campbell przez długą chwilę przyglądał się Cynthii, potem skinął głową.

Ja zaś nie byłem uszczęśliwiony, ale ulżyło mi. Mimo wszystko pułkownik Fowler był jedynym oficerem nie pozbawionym honoru i prawości, jedynym, który nie pieprzył Ann. Muszę się przyznać, że sam nie posiadam tak silnej woli i podziwiałem mężczyznę, który się nią wykazał. Ale nie daje się czegoś za nic i Cynthia rozumiała to, ponieważ powiedziała do generała:

- Jednak chciałabym, sir, żeby pan nam opowiedział, co tam się naprawdę stało i dlaczego.

Generał Campbell poprawił się na krześle.

- W takim razie dobrze - powiedział - ale cała sprawa naprawdę zaczęła się dziesięć lat temu...
Również dziesięć lat temu w West Point.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Generał Campbell zrelacjonował nam to, co wydarzyło się w Obozie Buckner, miejscu ćwiczeń kadetów West Point. Jeśli chodzi o samą sprawę gwałtu, nie wiedział wiele więcej niż my czy - prawdopodobnie - władze akademii. Ale kiedy zobaczył swoją córkę w wojskowym szpitalu w Keller, była w stanie szoku, rozhisteryzowana i upokorzona tym, co ją spotkało. Powiedział nam, że przywarła do niego, płakała i błagała, by zabrał ją do domu.

Powiedział nam również, że jego córka była dziewicą i gwałciciele naigrawali się z tego. Opowiedziała mu, jak zdarli z niej ubranie, a potem przytwierdzili ją do ziemi, używając namiotowych śledzi. Jeden z napastników zaciskał jej linę na szyi podczas gwałtu, grożąc, że jeśli zamelduje o tym, co się dzieje, zadusi ją.

Ani ja, ani Cynthia nie oczekiwaliśmy, że generał dostarczy nam tych drobnych, intymnych szczegółów. Wprawdzie wiedział, że incydent wiąże się z morderstwem, ale również zdawał sobie sprawę, że opowiadając o nim, nie dostarcza nam klucza do znalezienia mordercy. Jednak najwyraźniej czuł potrzebę wyrzucenia tego wszystkiego z siebie, a myśmy mu na to pozwolili.

Chociaż nie dotknął tej sprawy bezpośrednio, córka chyba oczekiwała od ojca, że dopilnuje, aby sprawiedliwości stało się zadość. Nikt by wtedy nie kwestionował, że została brutalnie zgwałcona, a mężczyźni, którzy tego dokonali, zostaliby wyrzuceni z wojska i stanęliby przed sądem.

To, oczywiście, były zupełnie rozsądne oczekiwania ze strony młodej kobiety, która robiła wszystko, by sprostać standardom tatusia i która ze wszystkich sił starała się dorównać najwyższym wymaganiom West Point, a potem została brutalnie napadnięta.

Ale pojawiły się problemy. Po pierwsze, ktoś postawił pytanie, dlaczego kadet Campbell znalazła się sama w lesie, w nocy, w towarzystwie pięciu mężczyzn. Jak oddzieliła się od czterdziestoosobowego patrolu? Przypadkiem? Celowo? Po drugie, kadet Campbell nie była w stanie

zidentyfikować tych mężczyzn. Mieli na twarzach kamuflażową farbę i siatki przeciwko moskitom. Było tak ciemno, że nie potrafiła nawet rozróżnić mundurów. Nie umiała powiedzieć nic pewnego poza tym, że byli to kadeci, członkowie korpusu oficerskiego West Point lub żołnierze z 82 Dywizji Sił Powietrznych. Na terenie ćwiczebnym przebywało tej nocy około tysiąca mężczyzn i kobiet, więc szansa rozpoznania pięciu napastników była niemal równa zeru, tak przynajmniej powiedziano generałowi Campbellowi.

Ale to nie była do końca prawda, i Cynthia o tym wiedziała. W procesie eliminacji dałoby się znacznie zawęzić pole poszukiwań. A im bardziej się zbliżasz do tych, którzy popełnili przestępstwo, tym większa szansa, że jeden z nich złamie się, w sypaniu innych szukając ratunku przed długim pobytem w więzieniu. No i istnieją jeszcze testy nasienia, śliny, włosów, odcisków palców i cała ta naukowa magia. W gruncie rzeczy sprawców gwałtów grupowych daje się łatwiej złapać niż pojedynczych. Ja to wiedziałem, Cynthia to wiedziała i podejrzewałem, że generał Campbell także to wiedział.

Prawdziwy problem leżał nie w identyfikacji tych mężczyzn. Kluczowy dla sprawy był fakt, że kadeci, oficerowie lub żołnierze okazali się przestępcami. Nie chodziło o robotę policyjną, lecz o wizerunek armii.

Pięć penisów w wzwodzie spenetrowało jedną pochwę i Wojskowa Akademia Stanów Zjednoczonych mogła przez to zostać zniszczona równie skutecznie jak błona dziewicza Ann Campbell. Właśnie w takich czasach żyjemy. Gwałt przestał być aktem seksualnym; seks za zgodą stron zainteresowanych jest zbyt łatwo dostępny. Gwałt to akt brutalności, naruszenie wojskowego porządku i dyscypliny, afront w stosunku do kodeksu honorowego West Point, wymierzony w ideę koedukacji i w ogóle zaistnienie kobiet w wojsku, w żeńską kadrę oficerską i pomysł, że kobiety mogą koegzystować z mężczyznami w ciemnych lasach Obozu Buckner lub nieprzyjaznym środowisku pola bitwy.

West Point, który pozostawał ekskluzywną domeną mężczyzn, został poddany infiltracji przez osobniki gatunku ludzkiego, które sikają w kucki, jakby to powiedział ów pułkownik z klubu oficerskiego. W salach wykładowych było to jeszcze do zniesienia. Ale w gęstwinie leśnej, w upalną letnią noc, po ciemku, mężczyźni wrócili do pierwotnych form zachowania.

Ćwiczenia polowe, pamiętam to bardzo dobrze, były nawoływaniem do walki, do okazania odwagi, miały budzić w młodych ludziach prymitywne instynkty. Kiedy ja przez to przechodziłem, w lasach nie było z nami kobiet, a gdyby były, żałowałbym ich i bałbym się o nie.

Ale ludzie z Waszyngtonu i Pentagonu usłyszeli krzyk o równouprawnieniu i zwrócili nań uwagę. Był to słuszny krzyk, konieczny i dochodzący od dawna. Wiele rzeczy zmieniło się od czasu, gdy jako młody człowiek brałem udział w ćwiczeniach przed wyjazdem do Wietnamu. Ale nie wszyscy się zmienili i marsz ku równouprawnieniu w różnych dziedzinach życia mierzony jest różnym krokiem. W tym systemie są słabsze miejsca, drobne enklawy oporu, osobnicy skłócenii z życiem, prymitywny ból w lędźwiach. I to właśnie zdarzyło się w sierpniową noc dziesięć lat temu. Komendant West Point nie ogłosił, że nie zgwałcono stu kobiet przebywających w lesie pomiędzy tysiącem mężczyzn podczas treningu rekonesansowego. Nie zamierzał też ogłosić, że jedna została zgwałcona.

Tak więc ludzie z Waszyngtonu, Pentagonu i Akademii zaczęli przemawiać generałowi Campbellowi do rozsądku. I to, co powtarzał teraz Cynthii, w moich uszach brzmiało naprawdę rozsądnie. Lepiej mieć jeden nie zgłoszony i nie ukarany przypadek gwałtu, niż uszkodzić fundamenty West Point, podać w wątpliwość ideę koedukacji, rzucić podejrzenie na tysiąc niewinnych mężczyzn, którzy nie dokonali zbiorowego gwałtu tamtej nocy. Jedyne, co miał zrobić generał, to przekonać swoją córkę, że dla niej - tak samo jak dla Akademii, wojska, narodu i sprawy równouprawnienia - najlepiej będzie, jeśli po prostu zapomni o tym, co jej się przydarzyło.

Ann Campbell otrzymała środek zapobiegający zajściu w ciążę, została przebadana na okoliczność zarażenia chorobami przenoszonymi drogą płciową, jej matka przyleciała z Niemiec i przywiozła ulubioną lalkę z czasów dzieciństwa, zadrapania i rany zagoiły się, a wszyscy wstrzymali oddech.

Tatusz został przekonany, mamusia nie tak bardzo. Ann ufała tatusiowi, i mimo swych dwudziestu lat i podróży po całym świecie w męskim głównie towarzystwie, pozostała córeczką tatusia, która robi wszystko, by mu sprawić przyjemność. Więc zapomniała o gwałcie. Ale potem przypomniała sobie i z tego właśnie powodu siedzieliśmy tego wieczoru w biurze generała.

To była smutna historia. Głos generała załamywał się, drżał, od czasu do czasu zamierał. Cynthia kilka razy pociągnęła nosem, a byłbym kłamcą, gdybym twierdził, że i ja nie miałem w gardle grudy.

Generał podniósł się.

- Proszę wybaczyć mi na moment - powiedział. Zniknął za drzwiami, usłyszeliśmy sphywającą wodę. Teraz to może zabrzmieć melodramatycznie, ale prawie spodziewałem się odgłosu wystrzału.

Cynthia nie spuszczać wzroku z drzwi, powiedziała cicho:

- Rozumiem, dlaczego zrobił to, co zrobił, ale jako kobieta jestem oburzona.

- Ja jako mężczyzna też jestem oburzony, Cynthio. Pięciu mężczyzn pamięta, że miało tamtej nocy dobrą zabawę, a my się teraz musimy babrać w tym całym brudzie. Pięciu mężczyzn, jeśli to byli kadeci, ukończyło szkołę. Stali się oficerami i dżentelmenami. To byli jej koledzy z akademii i prawdopodobnie widywali ją co dzień. Pośrednio, a może nawet bezpośrednio, są odpowiedzialni za jej śmierć. A już z pewnością byli odpowiedzialni za jej stan psychiczny.

Cynthia skinęła głową.

- A jeśli to byli żołnierze, wrócili do swoich jednostek i powiedzieli kumplom, jak to wszyscy po kolei wsadzili tej małej dziwce z West Point.

- Tak. I wszystko uszło im na sucho.

Wrócił generał i znowu usiadł. Po dobrej chwili powiedział:

- Jak więc widzicie, ja dostałem za swoje, ale to Ann zapłaciła za moją zdradę. W ciągu kilku miesięcy zmieniła się z ciepłej, otwartej, spontanicznej dziewczyny w podejrzliwą, cichą, zamkniętą

w sobie kobietę. W Point radziła sobie całkiem dobrze, skończyła jako jedna z najlepszych w swojej klasie, a potem poszła na studia podyplomowe. Ale między nami nigdy już nie było jak przedtem. Powiniennem przewidzieć, jakie będą skutki mojego zachowania. - I dodał: - Straciłem córkę w chwili, kiedy ona straciła do mnie zaufanie. - Odetchnął głęboko. - No cóż, dobrze było wam to wszystko opowiedzieć.

- Tak jest, sir.

- Wiecie, jak się prowadziła. Specjaliści wyjaśnili mi, dlaczego. Nie tylko dlatego, że chciała zdemoralizować ludzi, którzy mnie otaczali i tym samym mnie zawstydzić. To była przede wszystkim informacja dla mnie: „Zlekceważyłeś moją czystość i decyzję, że pozostanę dziewicą aż do właściwej chwili, więc to, co daję teraz każdemu, kto kiwnie palcem, nie powinno mieć dla ciebie również znaczenia. Nie pouczaj mnie.”

Kiwnąłem głową, ale nie mogłem nic powiedzieć.

- Tak mijały lata - ciągnął generał - i zjawiała się tutaj. Nie przez przypadek. To zostało zaplanowane. Pewna osoba z Pentagonu, ta sama, która bardzo mocno optowała za zatuszowaniem sprawy, zaproponowała mi wybór. Mogłem zrezygnować z kariery w armii, a wtedy Ann albo także porzuciłaby wojsko lub uznała, że jej proceder nie ma już sensu - jej po prostu bali się zaproponować, żeby złożyła dymisję, bo miała na nich haka - albo mogłem przyjąć dowództwo w Forcie Hadley, gdzie znajduje się Szkoła Operacji Psychologicznych. Wiedziałem, że Ann zostanie tu przeniesiona, zgodnie z jej specjalnością, a wtedy będziemy mieli okazję rozwiązać jakoś nasze problemy. Wybrałem to drugie rozwiązanie, chociaż moja rezygnacja byłaby całkiem naturalna po sukcesach w Zatoce i wielu latach służby. - Milczał chwilę. - Ale Ann powiedziała mi kiedyś, że jeżeli przyjmę zaproszenie do Białego Domu, czy w ogóle jakąś polityczną nominację, ona opublikuje swoją historię. Tak więc moja córka trzymała mnie w wojsku jako zakładnika. Mogłem jedynie zostać tutaj albo odejść na emeryturę.

To, pomyślałem, tłumaczyło rezerwę generała Campbella do politycznych stanowisk. Wszystko, co wiązało się z tą sprawą: życie w jednostce, ludzie tutaj, to, co widzieliśmy i słyszeliśmy, nie było prawdziwe.

Rozejrzał się po swym gabinecie, jakby go oglądał po raz pierwszy, a może ostatni.

- Tak więc wybrałem przydział tutaj - powiedział. - Chciałem doprowadzić do rozejmu, naprawić błąd nie tylko swój, ale także moich przełożonych, z których wielu nadal bierze czynny udział w życiu publicznym. Większość nazwisk znacie. - Zamilkł na chwilę. - Nie winię ich, że naciskali na mnie. To, co robili, było niesłuszne, ale decyzja współpracy w ukrywaniu tej historii należała wyłącznie do mnie. Wtedy wydawało mi się, że kierują mną czyste i ważne pobudki - że działałem dla dobra Ann i armii - ale po ostatecznej analizie okazało się, że nie były czyste. Sprzedałem moją córkę dla własnych korzyści. - I dodał: - W niecały rok po tym incydencie otrzymałem drugą gwiazdkę.

Miałem obawy, że moje słowa zabrzmiały jak wyraz współczucia, ale powiedziałem:

- Generale, za wszystko, co robią lub czego nie robią pańscy podwładni, pan jest odpowiedzialny. Ale w tym przypadku to pan był podwładnym. Przełożeni nie mieli prawa żądać od pana czegoś takiego.

- Wiem. Oni też to wiedzą. Wszyscy ci utalentowani, doświadczeni i mądrzy politycy spotykali się jak kryminaliści w motelu pod Nowym Jorkiem, w środku nocy, i sami siebie namawiali do podjęcia niehonorowych, głupich i złych decyzji. Jako ludzie popełniamy omyłki. Jednakże ludzie prawi, ludzie honoru, za których się uważamy, mają obowiązek przeciwstawić się takim decyzjom, choćby trzeba było za to zapłacić.

Zgadzałem się z nim całym sercem i wiedział o tym. Więc powiedziałem tylko:

- Zatem przez dwa lata pan i pańska córka prowadziliście, że tak powiem, walkę wręcz.

Uśmiechnął się ponuro.

- Tak. To, co się tu działo, w najmniejszym stopniu nie przypominało leczenia. Była przygotowana do walki lepiej niż ja. Miała po swojej stronie racje i to dodawało jej siły. Na każdy mój ruch z propozycją pokoju odpowiadała uderzeniem. Myślałem, że jeśli wygra, przyjmie moją skruchę i przeprosiny. Cierpiałem jako ojciec, widząc, co robi samej sobie i swojej matce. Mniejsza o mnie. Ale obchodzili mnie także mężczyźni, których wykorzystywała... - Zamyślił się na chwilę. - Chociaż w jakiś dziwny sposób byłem też szczęśliwy, że mam ją niedaleko. Zawsze kiedy wyjeżdżała, brakowało mi jej. Teraz już też mi jej brakuje.

Siedzieliśmy z Cynthia w milczeniu, a generał ciężko oddychał. W ciągu dwóch dni postarzał się o dobre dziesięć lat, a ostatnie dwa lata też pewnie kosztowały go z dziesięć. Nie był to już ten sam mężczyzna, który nie tak dawno temu wracał w chwałę z Zatoki. To zadziwiające, myślałem, że nawet królowie, imperatorzy i generałowie mogą znaleźć się na dnie tylko dlatego, że w ich domu źle się dzieje. Gniew kobiecy to wielka siła. W naszym skomplikowanym świecie zapominamy, że sprawą najważniejszą jest dbać o własne gniazdo i nigdy nie zdradzać tych, w których płynie nasza krew.

- Niech pan opowie nam o strzelnicy numer sześć, generale - powiedziałem - a potem już sobie pójdziemy.

Skinął głową.

- Tak... dobrze. Zobaczyłem ją na ziemi i... i ja... naprawdę w pierwszej chwili pomyślałem, że została zgwałcona... ale wtedy zawołała do mnie... powiedziała: „Oto masz odpowiedź na swoje cholerne ultimatum”.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co jej chodzi, ale natychmiast, oczywiście, przypomniałem sobie, co jej zrobili w West Point. Zapytała, gdzie jest matka. Odpowiedziałem, że matka o niczym nie wie. Nazwała mnie cholernym tchórzem, potem krzyknęła: „Czy widzisz, co mi zrobili?” I ja... ja zobaczyłem... Jeśli chciała, żebyśmy zobaczył, to osiągnęła swój cel.

- Co pan jej powiedział, generale?

- Ja... po prostu krzyknąłem: „Ann, nie musiałaś tego zrobić!” Ale ona aż wrzała od gniewu, jakby kompletnie postradała zmysły. Wrzeszczała, żebym podszedł bliżej, żebym zobaczył, co jej zrobili, jak cierpiała. Trwało to chwilę. Wreszcie powiedziała, że ponieważ ja jej dałem wybór, ona da mi go również. - Generał Campbell zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej. - Powiedziała, że ma na szyi linę... jeśli mam ochotę, mogę ją zadzierzgnąć... albo mogę zatuszować sprawę, tak jak już raz zrobiłem... mogę też podejść, rozwiązać ją i zabrać... zabrać ją do Beaumont... do matki. Powiedziała, że jeszcze mogę ją zostawić, aż nadejdzie patrol żandarmerii lub ktokolwiek inny, a ona wtedy wszystko opowie. Taki dała mi wybór.

- I pan podszedł do niej, żeby ją rozwiązać, tak jak nam to wcześniej opowiedział? - zapytała Cynthia.

- Nie... Nie mogłem. Nie zbliżyłem się do niej... nie próbowałem nawet jej rozwiązać... Po prostu stałem koło samochodu i wtedy... coś się we mnie załamało... Cały gniew minionych lat wezbrał we mnie... Odkrzyknąłem, że nie dbam za grosz o to, co zrobili jej dziesięć lat temu... Wrzeszczałem, że odchodzę, niech ją znajdzie patrol albo pluton, który pierwszy przyjdzie tu na ćwiczenia, czy ktokolwiek, i że niech cały świat zobaczy ją nagą, nie dbam już o to i... - Urwał w połowie zdania, spojrzał na podłogę, a potem dokończył: - ...że już bardziej nie może mnie zranić. A ona zaczęła wykrzykiwać te bzdury Nietzschego: „Wszystko co mnie rani, czyni mnie silniejszą, wszystko, co nie może mnie zniszczyć, czyni mnie silniejszą”, i tak dalej. Powiedziałem jej, że jedynym hakiem, jakiego na mnie ma, jest moja pozycja w wojsku, że mam zamiar złożyć dymisję, że zniszczyła wszystko, co do niej czułem, i że już wyrównała rachunki z nawiązką.

Generał nalał sobie wody z karafki i wypił ją.

- A ona, że to dobrze, że jest zadowolona... „Niech ktoś inny mnie znajdzie... ty nigdy mi nie pomogłeś...” A potem zaczęła płakać i nie mogła przestać, ale wydawało mi się, że powiedziała... że powiedziała „tatusiu”... - Wstał. - Proszę... ja nie mogę.

Podnieśliśmy się również.

- Dziękuję, generale - powiedziałem. Skierowaliśmy się w stronę drzwi, zanim zdążył się rozplakać. Ale przyszło mi coś do głowy, więc odwróciłem się i powiedziałem:

- Jeszcze jedna śmierć w rodzinie niczego nie załatwi. To nie byłoby po męsku. Tak postępują tchórze. - Ale stał do nas tyłem i nawet nie wiem, czy mnie słyszał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Wyjechałem z parkingu przed budynkiem dowództwa, przejechałem kilkaset metrów, a potem zatrzymałem się na skraju drogi. Dopadło mnie coś w rodzaju spóźnionej reakcji na przesłuchanie. Naprawdę byłem wstrząśnięty.

- Teraz już wiemy, dlaczego ludzie z laboratorium medycyny sądowej znaleźli na jej policzkach zaschnięte łzy - powiedziałem.

- Niedobrze mi - stwierdziła Cynthia.

- Muszę się napić.

Odetchnęła głęboko.

- Nie. Trzeba to skończyć. Gdzie jest Moore?

- Lepiej, żeby był gdzieś na terenie bazy. - Wrzuciłem bieg i ruszyłem w stronę Szkoły Operacji Psychologicznych.

Kiedy jechaliśmy, Cynthia powiedziała, jakby do siebie:

- Ale w końcu generał nie opuścił swojej córki tak, jak w West Point. Odjechał ze strzelnicy w gniewie, lecz gdzieś po drodze zdał sobie sprawę, że to ostatnia szansa dla nich obojga. - Wahała się przez moment. - Prawdopodobnie zastanawiał się, czy nie zawrócić, jednak pomyślał o tym, co mu będzie potrzebne - nóż do przecięcia liny, ubranie, obecność kobiety. Myśl o tych detalach pozwalała przetrwać szok i zakłopotanie, kiedy jechał na Wzgórze Bethany, do jedynej osoby tutaj, któremu mógł zaufać. - Cynthia zamilkła, potem zapytała: - Ciekawa jestem, czy kiedy Fowlerowie dotarli na miejsce, pomyśleli, że generał sam ją udusił?

- Coś takiego musiało im przyjść do głowy - odparłem. - Ale kiedy wrócili do domu i powiedzieli mi, że jego córka nie żyje... po wyrazie jego twarzy poznali, jakiego doznał szoku.

Cynthia kiwnęła głową.

- Dlaczego nie... Czy nie powinni byli odciąć liny i zabrać ciała?

- Nie. Fowler wiedział, że przeniesienie ofiary pogorszy tylko sprawę. A jestem pewien, że ze swoim doświadczeniem wojskowym umiał stwierdzić, że jest ona naprawdę martwa. Jestem pewien, że błogosławił chwilę, kiedy on sam, generał czy pani Fowler zaproponowała, że z nim pojedzie, bo przecież jego by podejrzewano.

- Tak, gdyby pułkownik Fowler wybrał się tam sam, byłby w bardzo złej sytuacji.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Więc teraz wiemy - powiedziałem - że poza ofiarą na strzelnicy pojawiło się czworo ludzi: pułkownik Moore, generał, pułkownik Fowler i jego żona. I żadne z nich nie jest chyba mordercą. Musimy znaleźć piątą osobę, która znalazła się tam podczas krytycznych trzydziestu minut. Ta osoba, oczywiście, zamordowała Ann Campbell.

- Może powinniśmy byli zapytać generała Campbella, czy kogoś nie podejrzewa.

- On chyba wierzy, że to pułkownik Moore. Gdyby sądził, że zrobił to kto inny, powiedziałby nam. Nie ma pojęcia, że Moore był nie zabójcą, lecz pomocnikiem. Ale nie chciałem pogrążyć człowieka jeszcze bardziej. I tak jest na dnie.

- Wiem. Nienawidzę przesłuchań rodziny ofiary. Odbierasz wszystkie emocjonalne...

- Poszło ci świetnie. Mnie poszło świetnie. Generałowi poszło świetnie.

Podjechałem pod Szkołę Operacji Psychologicznych, ale samochodu Moore'a nie było na parkingu. Ruszyłem dalej, w stronę stołówki, ale tam również nie zobaczyłem szarego forda.

- Jeśli ten skurczybyk opuścił jednostkę, wsadzę jego ptaszka w maszynkę do mięsa.

Obok mnie pojawił się dżip żandarmerii, a w nim mój stary przyjaciel, kapral Stroud.

- Szukacie pułkownika Moore'a?

- Nie kogo innego.

Stroud uśmiechnął się.

- Udał się do komendanta żandarmerii w sprawie wycofania zakazu opuszczania jednostki.

- Dzięki. - Zawróciłem i ruszyłem ku centrum. Powiedziałem do Cynthii: - Powieszę go za tyłek na haku.

- A co z maszynką do mięsa?

- To później.

Dziennikarze wciąż tkwili przed komendą. Zaparkowałem na drodze przed głównym wejściem, wysiedliśmy i pomaszerowaliśmy prosto do biura Kenta. Pracownik sekretariatu powiedział, że szef ma konferencję.

- Z pułkownikiem Moore'em?

- Tak jest, sir.

Otworzyłem drzwi, W pokoju siedzieli pułkownik Moore, Kent i jeszcze jeden mężczyzna w mundurze, kapitan. Kent na nasz widok powiedział:

- Chyba cieszę się, że was widzę.

Trzeci mężczyzna podniósł się. Zobaczyłem insygnia na mundurze, był to oficer z Sądu Wojskowego, prawnik. Nazwisko na plakietce: Collins.

- Chorąży Brenner? - zapytał mnie.

- Tu ja zadaję pytania, kapitanie.

- Pewnie tak - odparł. - Pułkownik Moore zażądał adwokata, więc jeśli ma pan mu cokolwiek do powiedzenia...

- To powiem... jemu.

Moore siedział nieruchomo przed biurkiem Kenta i starał się nie podnosić na nas wzroku.

- Jest pan aresztowany - poinformowałem go. - Proszę za mną.

Kapitan Collins dał znak swemu klientowi, aby się nie ruszał, i powiedział do mnie:

- Czego dotyczy oskarżenie?

- Postępowania niegodnego oficera i dżentelmena...

- Doprawdy, panie Brenner, to śmieszne i szyte grubymi nićmi...

- Artykuł 134, zaniedbanie obowiązków i tak dalej. Plus ukrywanie informacji i składanie fałszywych zeznań. A pan, kapitanie, jest drugi z brzegu, artykuł 98, nieprzestrzeganie procedury.

- Jak pan śmie?

Zapytałem Kenta:

- Czy masz pod ręką dwie pary kajdanków?

Pułkownik robił wrażenie zmartwionego.

- Paul, nie możesz aresztować... to znaczy możesz, ale jestem właśnie w trakcie rozmowy z podejrzanym i jego adwokatem,..

- Pułkownik Moore nie jest podejrzany o morderstwo, więc nie ma powodu do rozmowy, a jeśliby nawet był, to ja będę ją przeprowadzał, nie ty, pułkowniku.

- Niech cię, Brenner, posuwasz się za daleko...

- Pułkowniku, zabieram stąd więźnia. - Zwróciłem się do Moore'a: - Proszę wstać.

Podniósł się nie patrząc na swego adwokata.

- Proszę za mną.

Opuściliśmy z Cynthia biuro Kenta, holując biednego Moore'a.

Eskortowaliśmy go korytarzami w stronę cel. Prawie wszystkie były puste. Znalazłem otwartą, sąsiadującą z tą, w której siedział Dalbert Eikin. Popchnąłem lekko Moore'a do celi i zatrzasnąłem za nim drzwi.

Elkin spojrzał na Moore'a, potem na mnie i powiedział zdziwiony:

- Hej, przecież to pełny pułkownik.

Zignorowałem go i zwróciłem się do Moore'a.

- Ciężą na panu zarzuty, które wymieniłem. Ma pan prawo zachować milczenie, ma pan prawo do adwokata, którego sam pan wybierze.

- Mam adwokata - przypomniał mi Moore, odzyskując głos. - Właśnie groził mu pan aresztowaniem.

- Właśnie. I wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu przed sądem wojennym.

- Nie wiem, kto to zrobił.

- Czy powiedziałem, że pan wie?

- Nie... ale.

Dalbert Elkin przysłuchiwał się uważnie rozmowie. Powiedział do Moore'a przez pręty:

- Pułkowniku, nie powinien pan brać sobie adwokata. Jego to doprowadza do szału.

Moore spojrział na Elkina, potem zwrócił się do mnie.

- Pułkownik Kent poinformował mnie, że nie wolno mi opuszczać fortu. Nie miałem wyjścia, musiałem poszukać sobie obrońcy...

- Teraz fort został zamieniony na celę.

- Wypuszczają mnie - pochwalił się Dalbert. - Będę ograniczony do terenu koszar. Dziękuję,

Znowu go zignorowałem.

- Mam niepodważalny dowód, że był pan na miejscu zbrodni, pułkowniku. Wystarczy, żeby wsadzić pana do więzienia na dziesięć do dwudziestu lat - powiedziałem do Moore'a.

Cofnął się, jakbym go uderzył, a potem usiadł ciężko na pryczy.

-Nie... ja nic złego nie zrobiłem. Tylko to, o co mnie prosiła...

- Pan podsunął jej ten pomysł,

- Nie! To ona! Sama to wymyśliła.

- Wiedział pan cholernie dobrze, co jej zrobił ojciec, kiedy była w West Point.

- Dowiedziałem się tego dopiero tydzień temu, kiedy postawił ją przed tym ultimatum.

Elkin spojrział na Cynthię i zapytał:

- Co on ci zrobił?

- Morda w kubek - warknąłem na Elkina.

- Tak jest, sir.

- Chcę, by odszedł pan z wojska - powiedziałem do Moore'a. - Może pozwolę panu złożyć dymisję. Wszystko zależy od tego, czy będzie pan współpracował.

- Jestem gotów współpracować.

- Nie obchodzi mnie, czy pan jest gotów czy nie, pułkowniku. Będzie pan współpracował. Zwolni pan adwokata.

Moore kiwnął głową.

- Co pan miał na sobie wtedy, na strzelnicy numer sześć?

- Mundur. Myślałem, że tak będzie najlepiej, na wypadek gdybym spotkał żandarmów...

- Te buty?

- Tak.

- Niech pan je zdejmie.

Zawahał się, potem ściągnął obuwie.

- Proszę mi je dać.

Podał mi buty przez pręty.

- Zobaczymy się później, pułkowniku - powiedziałem do niego. Odwróciłem się do Elkina. - Jak się ma mój kumpel?

Wstał.

- Znakomicie, sir. Wypuszczają mnie jutro rano.

- Dobrze. Jeśli uciekniesz, zginiesz.

- Tak jest, sir.

Odszedłem od cel, Cynthia za mną.

- Co to za jeden, ten facet?

- Mój kumpel. To z jego powodu wylądowałem w Hadley. - Opowiedziałem jej pokrótce o Elkinie, gdy zsiłszy do biura sierżanta zajmującego się aresztantami. Wylegitymowałem się.

- W celi siedzi pułkownik Moore. Proszę go dokładnie przeszukać i dać dziś tylko wodę. Nic do czytania.

Sierżant popatrzył na mnie oczami okrągłymi ze zdziwienia.

- Zamknął pan oficera? Pułkownika?

- Nie może się kontaktować z obrońcą aż do jutra. Dam panu znać, kiedy zakaz zostanie cofnięty.

- Tak jest, sir.

Położyłem buty pułkownika Moore'a na biurku.

- Proszę je opisać i dostarczyć do hangaru trzeciego na Polu Jordana.

- Tak jest, sir.

Skierowaliśmy się do naszego biura.

- Nie wiedziałam, że chcesz go zamknąć - powiedziała Cynthia po drodze.

- Ja też nie, do chwili kiedy zobaczyłem adwokata. No cóż, wszyscy chcieli, żebym go przymknął.

- Ale pod zarzutem morderstwa. Poza tym nie zamyka się oficera w zwykłym areszcie.

- Głupi zwyczaj. To będzie dobra zaprawa przed Leavenworth. - I dodałem: - Poza tym ludzie chętniej mówią, kiedy zakosztują więzienia.

- To prawda. Nie wspomnę już o rewizji i głodówce. Zgodnie z przepisami powinien dostać przynajmniej chleb i wodę.

- W ciągu dwudziestu czterech godzin. Ja sam od czterdziestu ośmiu godzin nie zjadłem nic porządnego.

- Oberwiesz oficjalną naganę za sposób prowadzenia tej sprawy.

- To jest ostatni na liście moich kłopotów w tej chwili.

Weszliśmy do biura. Przerzuciłem wiadomości telefoniczne. Poza tymi od dziennikarzy było ich niewiele. Teraz już nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Była jednak wiadomość od zmartwionego majora Bowesa z CID i zmartwionego pułkownika Weemsa i niespokojnego pułkownika Hellmanna. Zatelefonowałem do tego ostatniego, do jego domu w Falls Church. Żona pułkownika poinformowała mnie rzeczowo, że przerywam im obiad.

- Cześć, Karl.

- Witaj, Paul - odezwał się jowialnym głosem.

- Dzięki za faks.

- Nie ma o czym mówić. Nigdy już o tym nie wspominaj.

- Dobrze. Rozmawialiśmy z generałem i panią Campbell, a także z panią Fowler.

Zrekonstruowaliśmy z Cynthia prawie wszystko, co wydarzyło się tamtego wieczoru od chwili, gdy kapitan Campbell zjadła w klubie oficerskim kurczaka na kolację, do czasu kiedy zgłosiła się na służbę, a potem wzięła łazik, żeby demonstracyjnie sprawdzić posterunki, to znaczy morderstwo i

wszystko, co wydarzyło się po nim, aż do świtu, kiedy to ja zostałem wciągnięty w sprawę.

- Bardzo dobrze. Kto ją zabił?

- No, tego akurat nie wiemy.

- Rozumiem. Czy będziecie wiedzieli do jutrzejszego południa?

- Mamy to w programie.

- Byłoby bardzo dobrze, gdyby CID rozwiązała tę sprawę.

- Tak jest, sir. Oczekuję promocji i podwyżki.

- Nie dostaniesz ani jednego, ani drugiego. Ale wyciągnę z twoich akt naganę, o co tak grzecznie poprosiłeś.

- Rewelacja. Bardzo dobrze. Może znajdzie się inna na to miejsce. Przymknąłem pułkownika Moore'a, wrzuciłem go do aresztu, kazałem go przeszukać i nie pozwoliłem mu podawać nic poza wodą.

- Może wystarczyłby zakaz opuszczania terenu jednostki.

- To właśnie zrobiłem, ale poleciał i wziął sobie prawnika z Sądu Wojskowego.

- Jego prawo.

- Oczywiście. Prawdę mówiąc, aresztowałem go w obliczu jego adwokata i o mały włos nie aresztowałem także adwokata, za wtrącanie się.

- Rozumiem. Pod jakim zarzutem, jeśli nie morderstwa?

- Udział w ukrywaniu zbrodni, zachowanie niegodne, bycie dupkiem i tak dalej. Chyba nie chcesz o tym dyskutować przez telefon?

- Nie. Może byś przefaksował mi raport?

- Żadnych raportów. Niech chorąży Kiefer przefaksuje ci raport.

- O tak. Mam nadzieję, że się przydała.

- Nie wiedzieliśmy, że mamy partnera.

- Teraz już wiecie. Ale mam do was inną sprawę. Szef CID telefonował do Falls Church i był dość przygnębiony.

Nie odpowiedziałem.

- Major Bowes. Pamiętasz go?

- Nie spotkaliśmy się.

- Tak czy owak rzucał różne groźby.

- Karl, na terenie tej jednostki jest trzydziestu oficerów, w większości żonaty, którzy byli związani seksualnie z ofiarą. Oni wszyscy będą grozić, błagać, prosić, przypoehlebiać się i...

- Trzydziestu?

- Przynajmniej. Kto by ich tam zliczył.

- Trzydziestu? Co tam się dzieje?

- Nawarzyli sobie piwa. A ja nie będę go pił.

Cynthia stłumiła chichot, ale chwilę za późno, bo Karl powiedział:

- Chorąży Sunhill? Jest pani tam?

- Tak jest, sir. Właśnie podniosłam słuchawkę.

- Skąd wiecie, że trzydziestu żonatyh oficerów miało romans z nieboszczką?

- Znaleźliśmy pamiętnik, sir - odpowiedziała Cynthia. - Właściwie pliki w komputerze. Grace dobrała się do peceta ofiary. - I dodała: - Są to głównie oficerowie z otoczenia generała.

Ponieważ nie było reakcji, powiedziałem:

- Myślę, że jesteśmy w stanie kontrolować sytuację, jeżeli tego właśnie chcą w Pentagonie. Sugerowałbym transfer do trzydziestu różnych jednostek, a po pewnym czasie indywidualne dymisje. Nie powinny zwrócić uwagi. Ale to nie moje zmartwienie.

Nadal milczenie.

- Generał Campbell ma zamiar złożyć dymisję jutro - dodała Cynthia. - Po pogrzebie córki,

- Będę u was wieczorem - powiedział Karl.

- Wstrzymaj się chwilę - zaproponowałem. - Tutaj rozpętał się prawdziwy sztorm, może nadejść tornado, wiatr...

- Dobrze, jutro. Coś jeszcze?

- Nie, sir.

- Porozmawiamy jutro.

- Z przyjemnością. Życzę smacznego, sir.

Odłożył słuchawkę, a my zrobiliśmy to samo.

- Myślę, że on cię lubi - oświadczyła Cynthia.

- Tego się właśnie obawiam. Co powiesz na drinka?

- Jeszcze nie. - Nacisnęła dzwonek interkomu i poprosiła pannę Kiefer.

Kiefer weszła z własnym krzesłem. Teraz, kiedy byliśmy sobie równi, mogliśmy wszyscy siedzieć.

- Jak idzie? - zapytała.

- Świetnie - odparła Cynthia. - Dzięki, że siedzi pani tutaj.

- Centrum akcji.

- Właśnie. Chciałabym, żeby przejrzała pani raporty patroli żandarmerii z nocy morderstwa, przesłuchała taśmy z rozmów radiowych, sprawdziła zapisy w książce sierżanta na służbie, zobaczyła, czy zostały wystawione jakieś bilety parkingowe i porozmawiała z żandarmami, którzy tej nocy patrolowali teren. Ale wszystko dyskretnie. Wie pani, czego trzeba szukać?

- Tak - Kiefer kiwnęła głową. - Samochodów i ludzi, którzy byli nie tam, gdzie być powinni po godzinie dwudziestej czwartej. Dobry pomysł.

- Prawdę mówiąc, to pani mi go podsunęła informując o Pożądliwej Szóstce. Takie sprawy mogą mieć znaczenie. Zobaczymy się później.

Zostawiliśmy pannę Kiefer w naszym biurze. W korytarzu powiedziałem do Cynthii:

- Coś może z tego wyjść.

- Mam nadzieję. Niewiele więcej nam pozostało.

- Drink?

- Myślę, że powinieneś pójść porozmawiać z pułkownikiem Kentem. Byłeś dla niego bardzo ostry. Poczekam na ciebie przed budynkiem. Zaproś go, niech napije się z nami. Dobrze, Paul?

Przez chwilę patrzyłem na Cynthię, nasze spojrzenia spotkały się. Z tonu jej głosu i z zachowania wynikało, że chce od Kenta czegoś więcej niż deklaracji przyjaźni. Skinąłem głową.

- Dobrze. - Poszedłem w stronę jego biura, a Cynthia ruszyła do głównego holu.

Szedłem wolno, głowa pracowała mi szybciej niż nogi. Pułkownik William Kent - motyw,

możliwość, wola działania, silne domniemanie niewinności, ale słabe alibi.

Pozycja określa perspektywę. Albo, żeby ująć rzecz prościej, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Ja stałem w złym miejscu. Zbyt blisko Williama Kenta. Musiałem cofnąć się o krok i przyrzeć mu się pod innym kątem.

Od dwóch dni nie mogłem zmusić siebie, żeby to powiedzieć, a nawet pomyśleć. Przecież właśnie Kent poprosił mnie, żebym zajął się tą sprawą i przez to w odniesieniu do jego osoby mój umysł pozostawał w stanie jakby zawieszenia. Kent był moim jedynym sprzymierzeńcem w Forcie Hadley. Każdy poza nim stawał się podejrzanym, świadkiem, skompromitowanym oficerem lub ofiarą. Kent także przyznał, że został skompromitowany, ale zrobił to ponieważ i tylko dlatego, że i tak byliśmy na tropie jego związku z Ann Campbell. Poza tym mógł przypuszczać, że znaleźliśmy z Cynthią pokój w piwnicy. Teraz, gdy się nad tym zastanawiałem, przyszło mi do głowy, że Burt Yardley prawdopodobnie powiedział mu o zaklejonych drzwiach. Pewnie podejrzewali, że to ja zrobiłem. Kiedy Burt dostał się do piwnicy, wszystko w pomieszczeniu wydawało się nietknięte, ale nie mogli być pewni, czy czegoś nie znalazłem i nie zabrałem.

Burt Yardley, sprytny skurczybyk, udał zdziwienie, gdy mu powiedziałem, że wiem o pokoju, ale zdawał sobie przecież sprawę, że Ann nie pakowała by kleju we framugę. Więc musiał podejrzewać niejakiego Brennera. Burt Yardley przekazał tę informację Kentowi, a Kent doszedł do wniosku, że lepiej przyznać się do złego prowadzenia się, ale nie wspominać o pokoju. Teraz wszystko stamtąd znajdowało się w rękach Burta, a ja nie byłem wcale pewny, kto kogo trzyma za jaja i jakie są powiązania między tymi dwoma facetami. Ale jeśli jeden z nich ją zabił, drugi o tym nie wiedział.

Przypominałem sobie, jak Kent oponował przeciwko mojej wyprawie do domu ofiary. To było nawet zrozumiałe - łamałem przepisy. Ale teraz pomyślałem, że Kent miał zamiar telefonować do Yardleya jak najwcześniej rano, może nawet próbował go łapać, zanim zadzwonił do mnie albo zaraz po tym, i powiedzieć coś w tym rodzaju: „Komendancie, Ann Campbell została zamordowana na terenie jednostki. Chyba powinieneś zdobyć nakaz sądowy i przeszukać dom tak szybko, jak to możliwe. Zbierz dowody.” A Yardley już by wiedział, które dowody powinien zebrać i tak szybko jak to możliwe wyrzucić. Ale na szczęście, czy nieszczęście szef policji Midland był wtedy w Atlancie. I Kent znalazł się w kropce.

Właśnie. Tak więc ja dotarłem do domu ofiary pierwszy, a Kent musiał wykonać nieco inny telefon do Atlanty i wytłumaczyć Yardleyowi, co się stało. Potem Kent i Yardley zacisnęły kciuki, mając nadzieję, że nikt nie zauważy ukrytego pokoju. Myśmy z Cynthią mieli nadzieję na to samo, nie wiedząc jeszcze, że szef policji Midland i komendant żandarmerii Fortu Hadley gościli w nim całkiem często.

Poza tym Kent ociągał się jak mógł z wizytą u generała i pani Campbell. Reakcja naturalna u człowieka, który nie chce być posłańcem przynoszącym złe wieści, dość jednak znamienita u Kenta, bo nieprofesjonalna. Ale jeśli to Kent zabił córkę generała, jasne że trudno mu było zebrać się na odwagę i wykonać ten obowiązek.

Kent nie poinformował o niczym majora Bowesa, ponieważ Kent wiedział, że Bowes wie o pokoju, w którym major się również zabawiał. A Kent nie chciał, żeby Bowes tam poszedł i znalazł

dowody obciążające Kenta. Sam Kent zaś nie mógł pójść do domu kapitan Campbell, bowiem - jeśli to on dokonał morderstwa - miejscem, w którym chciał się jak najszybciej znaleźć, był jego własny dom. Musiał tam zdążyć przed żandarmami, którzy wkrótce mogli się zjawić, by go zawiadomić o odkryciu zwłok.

Prawie to sobie wyobrażałem... prawie. Kent, z jakichś powodów, których wciąż nie znałem, był tamtej nocy na strzelnicy numer sześć lub w pobliżu. Nie miałem pojęcia, co się tam działo, ale wyobraźnia podsuwała mi ten obraz. Po odjeździe generała wielki, wysoki Bill Kent, prawdopodobnie w mundurze, maszeruje w stronę nagiej i związanej Ann Campbell. Zatrzymuje się i patrzy sobie w oczy. On uświadamia sobie, że los zesłał mu wymarzoną okazję. Ann Campbell i jej gotowość, by każdego pograżyć - to był jego problem. Odpowiedź stanowiła lina gotowa już na jej szyi.

Mógł wiedzieć lub nie, co oznacza ta scena, mógł słyszeć lub nie jej rozmowę z ojcem. Jeśli uznał, że przygotowała się na spotkanie z innym mężczyzną, zawrzał z zazdrości. W każdym razie na pewno rozmawiali i bardzo możliwe, że Ann Campbell powiedziała złe słowo w złym czasie.

A może to, co powiedziała, nie liczyło się - Kent miał dość. Zdawał sobie sprawę, że na miejscu wydarzeń są ślady innych ludzi i wiedział, że wróci na to miejsce w związku ze swoją funkcją, za kilka godzin. Wszystkie jego ślady można będzie łatwo wytłumaczyć. Jest gliniarzem, więc obmyślił wszystko bardzo szybko. Nie tylko będzie to zbrodnia doskonała, ale na dodatek zbrodnia konieczna. Wystarczyło uklęknąć i zaciągnąć linę. Ale czy miał dość woli, żeby to zrobić? Czy nie błagała o życie? Czy mógł być aż tak nieczuły? A może doprowadziła do tego właśnie wrząca wściekłość?

Co tak naprawdę wiedziałem o człowieku, z którym w ciągu ostatnich dziesięciu lat spotkałem się kilkanaście razy? Grzebałem w pamięci, ale jedyne, czego byłem pewien, to że zawsze bardziej dbał o pozór niż istotę rzeczy. Był bardzo drażliwy na punkcie swej reputacji Nieskazitelnego Gliniarza. Nigdy nie robił uwag z podtekstem seksualnym ani nie mówił świńskich dowcipów, a dla mężczyzn, którzy nie potrafili sprostać jego wysokim wymaganiom, był twardy. A jednak uwiodła go córka generała. Wiedział, że stał się pośmiewiskiem, że podkomendni już go nie szanują, i wiedział też, że nie można dostać się w szeregi generałów, pieprząc jedną z ich córek.

Możliwe też, iż gdzieś w mrocznych meandrach jego umysłu czaiła się myśl, że niektórzy ludzie z jego jednostki, jego podwładni, będą zastanawiać się, pełni podziwu, czy też czasem nie zrobił tego pułkownik Kent. Czy to przypadkiem nie najważniejszy gliniarz Hadley rozwiązał problem trzydziestu oficerów i ich żon? Przeciętny człowiek czuje odrazę do zabójcy, lecz zabójca wzbudza także strach i szacunek.

Ale biorąc to wszystko pod uwagę, w tym również, że te spekulacje i dedukcje miały sens i pasowały do faktów, czy można było podejrzewać właśnie pułkownika Williama Kenta, komendanta żandarmerii Fortu Hadley, o popełnienie morderstwa na Ann Campbell? Przy tylu innych mężczyznach, a może i kobietach, którzy również mieli motyw - zemsta, zazdrość, ukrycie przestępstwa, lęk przed poniżeniem i utratą honoru czy nawet mordercza mama - dlaczego właśnie Kent? A jeśli jednak on, jak to udowodnić? Rzadki przypadek, kiedy gliniarz pojawiający się na scenie morderstwa jest jednocześnie przestępcą, to dla oficera śledczego prawdziwy problem.

W tym momencie stanąłem przed drzwiami Kenta i zapukałem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Skierowałem blazera w stronę klubu O. Jechaliśmy w milczeniu. Wreszcie zapytałem Cynthii:

- Dlaczego myślisz, że to Kent?

- Instynkt.

- Instynkt umieścił Kenta między udami Campbell. Dlaczego uważasz, że on ją zamordował?

- Nie wiem, czy to zrobił, Paul. Ale wyeliminowaliśmy innych podejrzanych. Yardleyowie mają niepodważalne alibi, wiemy, co zrobił pułkownik Moore, Fowlerowie są dla siebie nawzajem świadkami, a generał - i jeśli już i to brać pod uwagę, również jego żona - według mnie są czysti. Ani sierżant St. John, ani szeregowiec Casey, którzy znaleźli ciało, nie wyglądają na podejrzanych, a o nikim innym nie słyszeliśmy ani nie mówiliśmy.

- Ale pozostają jeszcze major Bowes, pułkownik Weems, porucznik Elby, kapelan, oficer-medyk i około trzydziestu innych, każdy z motywem. Po namyśle można do tego dodać żony tych oficerów.

- Prawda. I mógł to być równie dobrze ktoś z zewnątrz, o kim nawet nie słyszeliśmy. Ale trzeba wziąć pod uwagę możliwość i wolę popełnienia morderstwa.

- Właśnie. Niestety, nie mamy czasu, żeby przesłuchać wszystkich mężczyzn wymienionych w jej pamiętniku. A na samą myśl, że mogłoby się tym zająć FBI, robi mi się niedobrze. O każdym napisaliby raport na dwieście stron. Kent jest potencjalnym podejrzany, ale nie chciałbym z niego zrobić kozła ofiarnego, co on, choć nie tylko on, próbował zrobić z pułkownikiem Moore'em.

- Rozumiem cię. Po prostu uderzyło mnie, że Kent pasuje.

- Kiedy cię to uderzyło?

- Nie wiem. Pod prysznicem.

- Nie będę tego komentował.

- Myślisz, że dołączy do nas na drinka?

- Był jakiś niewyraźny. Ale jeśli jest mordercą, przyjdzie. To jeszcze nigdy nie zawiodło. Chcą być blisko. Widzieć, słyszeć, manipulować prowadzącymi śledztwo. Inteligentni nie rzucają się w

oczy. Oczywiście nie twierdzę, że jeśli Kent dołączy do nas, jest mordercą. Ale jeśli się nie pokaże, idę o zakład, że nie jest.

- Rozumiem.

Podczas moich długich lat w CID udało mi się unikać organizowanych przez Departament Obrony szkoleń z zakresu kierowania podwładnymi, takich jak „sesje wrażliwości”, „kursy współdziałania płci” i tym podobnych. Pewnie dlatego miałem problemy z nowym stylem w armii. Natomiast uczestniczyłem w wielu kursach dowodzenia i tam nauczyłem się wszystkiego, co powinienem wiedzieć na temat stosunków międzyludzkich. Można to streścić do kilku zasad: szanuj podwładnych i przełożonych, nigdy nie proś swoich ludzi, by zrobili coś, czego sam nie zrobisz, zasłuż na szacunek, a nie wymagaj go, chwal za zasługi. Więc w tym właśnie duchu powiedziałem do Cynthii:

- Wykonujesz dobrą robotę, wykazałaś pożyteczną inicjatywę, znakomicie rozpoznałaś sytuację i dzielnie znosisz naciski. Jesteś prawdziwą profesjonalistką, masz dużą wiedzę i nie narzekasz na trudy. Przyjemnie się z tobą pracuje.

- Czy to nagrany komunikat?

- Nie, ja...

- Brak w tym uczucia, Paul. Mów z serca, jeśli w ogóle je posiadasz.

- Odrzucam poprawkę. - Zaparkowałem przed klubem oficerskim i zapatrzyłem się w przestrzeń.

- To było powiedziane językiem biurokracji wojskowej.

- Kocham cię. Powiedz to.

- Mówiłem w zeszłym roku. Ile razy...?

- Powiedz.

- Kocham cię.

- Dobrze. - Wyskoczyła z blazera, trzasnęła drzwiami i pomaszerowała przez parking. Dogoniłem ją. Milcząc weszliśmy do holu. Była ósma piętnaście. Ludzie wypełniali jadalnię, ale bar był pustawy, ponieważ Czas Wolny, kiedy serwowano drinki za połowę ceny, już minął. Góra nowoczesnej armii krzywiła się na niskie ceny w Czasie Wolnym, ale kluby są quasi-niezależne i niektóre nadal honorują starą i zasłużoną tradycję taniej whisky przez godzinę lub dwie, tę małą rekompensatę za wszystkie brednie, których trzeba wtedy wysłuchiwać. Wojsko ma jednak swoje dobre strony. Niestety w dzisiejszych czasach jest ich coraz mniej.

Podeszła kelnerka i Cynthia zamówiła bourbon z colą, a ja szkocką z piwem.

- Jestem odwodniony - powiedziałem. - Boże, ależ tu gorąco!

- Przez cały dzień pociłeś się jak mysz - zgodziła się. I dodała z uśmiechem: - Przydałby ci się

prysznic.

- Mamy czas.
- Może znowu musielibyśmy wykąpać się razem.
- Jeśli służba będzie tego od nas wymagać.

Pojawiły się drinki i wznieśliśmy toast.

- Za Ann Campbell - powiedziała Cynthia. - Zrobimy, co w naszej mocy, pani kapitan.

Wypiliśmy.

- Męczy mnie to śledztwo. Nie wiem, z powodu charakteru samej sprawy, czy też jestem zmęczony i stary?

- Charakter sprawy. I ponieważ ci zależy. Bo to nie tylko jakieś tam przestępstwo, ale i ludzka tragedia.

- Jakich jeszcze dramatów możemy się tu spodziewać? Każde z nas tylko uderzenie serca dzieli od rozpacz.

- Właśnie. Kiedy znajdziemy zabójcę, nie będzie czego świętować. Wyjdzie na jaw następna tragedia. Wskażemy na kogoś, kto ją znał. Może kochał.

- Tak jak Kent.

- Tak. Ciągłe przypomina mi się coś, co kiedyś czytałam... Myślę o tym zawsze, kiedy przesłuchuję zgwałconą kobietę. Brzmiało to mniej więcej tak: „W porównaniu ze wstydem śmierć jest niczym”. Wydaje mi się, że tutaj o to właśnie chodzi, ponieważ wszystko zaczęło się od wstydu i poniżenia Ann Campbell w West Point. Pomyśl o tym, Paul. Uczą oficerów, żeby byli dumni, stanowczy, szli przez życie z podniesionym czołem. Ludzie typu Ann Campbell są predestynowani do demonstrowania tego rodzaju cech, więc grawitują w stronę takich miejsc jak West Point. A kiedy zdarza się coś takiego jak gwałt, poniżenie, nie potrafią sobie z tym poradzić. Nie pochylają się jak inni. Stoją wyprostowani, a potem nagle padają.

- Rozumiem, co masz na myśli - skinąłem głową.

- Składają się po kawałku i idą dalej, ale już nigdy nie są tacy sami. Żadna kobieta po brutalnym gwałcie nie jest już taka sama, jak była, ale ktoś pokroju Ann Campbell nie potrafi nawet zacząć leczyć własnej duszy.

- Z tego, co wiem, dla niektórych ludzi jedynym lekarstwem na poniżenie jest rewanz.

- Zgadza się. Zrób więc krok dalej i pomyśl o przeciętnym mężczyźnie, oficerze. Uwiedzony przez Ann Campbell w ciągu dwudziestu minut, licząc czas picia drinków, sprowadzony do jej seks-

pokoju i zachęcony lub przymuszony do jakiegoś dziwnego zachowania. A potem ona albo go odrzuca, albo prosi, żeby złamał dla niej parę zasad. Szarpia nim różne emocje, począwszy od zwykłej męskiej dumy z podboju. Jeśli jednak jest żonaty i jeśli traktuje swój stopień oficerski poważnie, wreszcie zaczyna się wstydić. Większości mężczyzn nie męczą wyrzuty sumienia z powodu romansu pozamałżeńskiego, ale niektórzy - oficerowie, księża, osoby publiczne - czują się upokorzone. Więc wróciliśmy do zasady „śmierć jest niczym w porównaniu ze wstydem”. Można to również bardziej po wojskowemu nazwać dyshonorem. To się może odnosić do Ann Campbell, generała Campbella i wielu mężczyzn, którzy życzyli śmierci albo sobie, albo Ann. Dlatego myślę, że mordercą był ktoś, kogo znała, ktoś, kto czuł, że morderstwo zakończy wstyd i dyshonor zarówno jego jak i jej. Kent, który był policjantem sztywnym jak kij połknął, pasuje do tej teorii.

Znowu kiwnąłem głową. Patrzyłem na to tak samo, choć pod innym kątem. Wydało mi się interesujące, że każde z nas wymyśliło portret psychologiczny zabójcy, do którego mógł pasować Kent. Nie ma to jak spóźniony refleks.

- Kent - powiedziałem. - Kent...

- O wilku mowa...

Kiedy pułkownik wszedł do baru, kilka głów odwróciło się. Zawsze ludzie podążają wzrokiem za przechodzącym gliną. Ale dziś w Hadley sensacyjne morderstwo było wydarzeniem dnia, więc Kent budził szczególne zainteresowanie. Zobaczył nas i ruszył w naszą stronę.

Oboje z Cynthia wstaliśmy, jak nakazuje obyczaj. Prywatnie mogłem mu dać kopniaka, ale publicznie okazywałem szacunek, na który powinien być zasługiwać.

Usiadł i myśmy też usiedli. Podeszła kelnerka, Kent poprosił dla nas to samo, co mieliśmy wcześniej, a dla siebie dzin z tonikiem.

- Na mój rachunek - powiedział.

Przez chwilę wymienialiśmy zgodnie poglądy: że sytuacja jest napięta, czas ucieka, nie ma chwili na sen, we dnie jest upalnie i takie tam ple, ple. Kent gawędził równie obojętnie jak Cynthia i ja, ponieważ był zawodowcem, ale śmierdział jak szczur i być może czuł się jak szczur zagnany w róg klatki.

- Zostaniecie chwilę po pogrzebie, żeby przekazać sprawę FBI? - zapytał.

- Pewnie to właśnie powinniśmy zrobić - odparłem. - Ale chcielibyśmy stąd zniknąć jutro przed wieczorem.

Kiwnął głową, a potem uśmiechnął się do nas. - Wy dwoje razem? Czy to nie drażliwe pytanie?

Cynthia odpowiedziała uśmiechem.

- Odnawiamy starą przyjaźń.

- Aha. Gdzie się spotkaliście?

- W Brukseli.

- Świetne miasto.

I tak dalej. Ale od czasu do czasu nonszalancko zadawał pytanie w rodzaju:

- Więc Moore na pewno nie jest mordercą?

- Nic nie jest pewne - odparła Cynthia - ale nie sądzimy, żeby nim był. - I dodała: - To przerażające, jak blisko byliśmy oskarżenia niewłaściwego człowieka.

- Jeśli to niewłaściwy człowiek. Mówicie, że związał ją i odszedł?

- Tak - potwierdziłem. - Nie mogę zdradzić dlaczego, ale to wiemy.

- Więc brał udział w morderstwie.

- Z prawnego punktu widzenia nie - powiedziałem. - Chodziło o coś kompletnie innego.

- Niesamowite. Czy wasza pani od komputerów znalazła to, czego potrzebowała?

- Owszem. Tak się nieszczęśliwie dla kilku facetów składa, że Ann Campbell zostawiła w komputerze erotyczny pamiętnik.

- O Jezu... jestem w nim?

- Tak mi się wydaje, Bill. - I dodałem: - Wśród trzydziestu innych oficerów.

- Mój Boże... wiedziałem, że spotykała się z wieloma... ale żeby aż tylu... Jezu, czuję się wystrychnięty na dudka. Czy nie dałoby się tego pamiętnika utajnić?

- Tak jak tajemnice państwowe? - uśmiechnąłem się. - Jeśli udowodnisz, że ma on jakiś związek z bezpieczeństwem narodowym, zobaczę, co się da zrobić. Na razie decyzja leży w gestii szefa Sądu Wojskowego lub prokuratora, a może nawet ich obu. Ale nie przejmuj się, jesteś tam w tak licznych towarzystwie! Nie będą się chyba zajmowali każdym z osobna.

- No, ale ja jestem policjantem.

- Większość facetów z pamiętnika zajmuje wyższe stanowiska niż ty.

- To dobrze. A co z Fowlerem?

- Nie mogę powiedzieć. Posłuchaj, czy wiedziałeś, że Burt Yardley także spróbował tego miodu?

- Żartujesz...? Jezu...

- Widzisz, masz więcej wspólnego z Burtem, niż mogłeś przypuszczać. - Poważnie, Bill. - Dobrze go znasz?

- Tylko na gruncie zawodowym. Widywaliśmy się raz na miesiąc na spotkaniach gliniarzy tego regionu.

To dotyczyło spraw cywilnych. Ale dopiero teraz uświadomiłem sobie, że musieli kontaktować się dość często: dwaj komendanci, dwaj główni gliniarze omawiają, jak się wzajemnie kryć.

- Czy któreś z was było już w kaplicy? - zapytał Kent.

- Nie - odparła Cynthia. - Poczekamy pewnie do jutrzejszej ceremonii. A pan wybiera się dziś wieczorem?

- Tak, oczywiście - spojrzał na zegarek. - Byłem jej kochankiem.

- Duża ta kaplica? - zapytałem.

Obaj parsknęliśmy śmiechem, ale była to okrutna uwaga i Cynthia obrzuciła mnie naprawdę rozgniewanym wzrokiem.

- Czy pani Kent nadal bawi w Ohio? - zapytałem go.

- Tak... jeszcze kilka dni.

- Daleka droga... czy może leci samolotem?

Spojrzał na mnie.

- Leci - odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. - Na swojej miotle.

Odpowiedziałem mu równie sztucznym uśmiechem.

- Chciałbym zapytać, czy jej wyjazd miał coś wspólnego z plotkami na temat twojego związku z kapitan Campbell?

- No... może trochę. Tak mi się wydaje. Próbujemy jakoś przez to przejść. Ale ona nigdy do końca nie wiedziała. Po prostu podejrzewała. Jesteście wolni, ale może zrozumiecie.

- Ja byłem żonaty, Cynthia jest mężatką.

Przyjrzał się jej.

- Naprawdę? Wojskowy?

- Tak. Jest w Benning.

- Ciężkie życie.

I tak dalej. Bardzo miłutko. Dwóch chorążych z CID i starszy oficer, komendant żandarmerii, piją i rozmawiają o życiu, miłości, pracy, o wszystkim i o niczym, cały czas krążąc wokół tematu morderstwa. To ciekawa technika przesłuchiwania, całkiem efektywna w niektórych sytuacjach, takich jak ta. Nazywam to morderczą kanapką: trochę chleba, mięso, sałata, krew, ser, pomidor, krew i tak dalej.

Ale Bill Kent nie był przeciętnym podejrzanym i miałem wrażenie, że on wie, o co chodzi, a także wie, że my wiemy, że on wie, i tak dalej. Więc odbywało się coś w rodzaju baletu, ale w pewnym momencie nasze oczy się spotkały i wtedy on wiedział na pewno i ja wiedziałem na pewno.

Chwila, kiedy do faceta dociera, że stał się twoim celem, jest dla obu stron nieprzyjemna. Podejrzeni zaczynają się wtedy zachowywać z przesadną nonszalancją, próbując pokazać, że są na kompletnym luzie. Czasami zdarza się także, że działając na zasadzie przewrotnej, odwróconej logiki, podejrzanym czuje przypływ odwagi. Właśnie tak to podziałało na Kenta, który powiedział do nas:

- Cieszę się, że poprosiłem właśnie was o prowadzenie tej sprawy. Byłem prawie na sto procent pewien, że Bowes z nią sypiał, ale nie chciałem nic mówić. A nuż okazałoby się, że to nieprawda. Zresztą nie miał tutaj nikogo wyspecjalizowanego w morderstwach i w końcu musieliby przysłać kogoś z Falls Church. Albo od razu wezwaliby FBI. Więc cieszę się, że to wy. - Spojrzał na mnie i powiedział: - Pracowaliśmy już wcześniej razem, wiedziałem, że to sprawa dla ciebie. - I dodał: - Masz czas tylko do jutrzejszego południa, tak? Wiesz co? Myślę, że do tej pory będziesz go miał.

Siedzieliśmy tak jeszcze dobrą minutę, bawiąc się mieszadłami do koktajli i serwetkami. Cynthia i ja zastanawialiśmy się, czy siedzimy przy stole razem z mordercą. Bill Kent kontemlował koniec swojej kariery, a może zastanawiał się, czy nie powiedzieć czegoś, co skłoni nas do wcześniejszego wyjazdu.

Czasami ludzie potrzebują zachęty, więc odezwałem się do mego ze zrozumieniem.

- Bill, chciałbyś się przejść? A może wrócimy do twojego biura. Możemy pogadać.

Potrząsnął głową.

- Muszę iść. - Podniósł się. - No... mam nadzieję, że tych dwóch rzeźników z kostnicy nie spaprało roboty i będzie można zostawić trumnę otwartą. Chciałbym zobaczyć ją jeszcze raz... Nie mam żadnego zdjęcia... - Zdołał się uśmiechnąć. - Nie ma się zbyt wielu pamiątek z pozamałżeńskiego związku.

Prawdę mówiąc, był ich cały pokój. My z Cynthia podnieśliśmy się także.

- Weź jeden z tych rekrutanckich plakatów, zanim inni się połapią i zrobią to samo. To skarb dla kolekcjonera.

- Masz rację.

- Dzięki za drinki - powiedziałem. Odwrócił się i wyszedł.

Usiedliśmy. Cynthia patrzyła za nim, a potem powiedziała, jakby do siebie:

- Może się martwił tym, że jego kariera dobiegła końca, publiczną hańbą, kłopotami małżeńskimi i śmiercią osoby, na której mu zależało. Człowiek, na którego patrzyliśmy, mógł myśleć o tym wszystkim... Albo o tym, co zrobił.

Kiwnąłem głową.

- Trudno oceniać jego zachowanie po tym wszystkim, co przeszedł. Ale jest coś w oczach człowieka... co płynie prosto z serca i duszy. Można z nich wyczytać miłość, żal, nienawiść, niewinność i poczucie winy. Oczy mówią prawdę nawet wtedy, gdy człowiek kłamie.

- To prawda - zgodziła się Cynthia. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Więc? - zapytała wreszcie.

Spojrzałem na nią, a ona popatrzyła mi głęboko w oczy, pewnie w ramach eksperymentu, i bez słów zgodziliśmy się, że to Bill Kent jest naszym człowiekiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Zrezygnowaliśmy z kolacji i pojechaliśmy Drogą Strzelnic w stronę Pola Jordana. Zgodnie z tym, co powiedział wcześniej Kent, na drodze stali żandarmi. Musieliśmy zatrzymać się i wylegitymować. Koło budki strażników przy wjeździe na Pole Jordana procedura powtórzyła się, a potem jeszcze raz przy drzwiach do hangaru numer trzy. Wojsko lubi trzymać dziennikarzy w pokoju dla prasy, gdzie zdaniem wojska jest ich miejsce. Dziennikarze zaś uważają, że ich miejsce jest wszędzie, i lubią się włóczyć. Ta różnica opinii trwa już od paruset lat. Wojsko powołuje się na względy bezpieczeństwa, prasa na swoją tradycję i przywileje przyznane jej przez prawo. Ostatnio wojsko dostało przynajmniej raz po łapach; Wietnam był trudną lekcją.

Moje pierwsze własne doświadczenia z dziennikarzami sięgają również czasów Wietnamu. Pewien reporter podetknął mi pod nos mikrofon w momencie, kiedy byliśmy przyszpileni ogniem karabinu maszynowego. Kamera warczała cichutko, a dziennikarz zapytał:

- Co się dzieje?

Wydawało mi się, że sytuacja mówi sama za siebie, ale ponieważ byłem młody i głupi, powiedziałem:

- Znajdujemy się w zasięgu ognia karabinu maszynowego wroga.

Facet zapytał:

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Zostawić ciebie i tego gościa z kamerą tutaj - odparłem. Pospiesznie się wycofałem, mając nadzieję, że obsługa karabinu maszynowego nieprzyjaciela skupi się na dżentelmenach z prasy. To nagranie musiało się znajdować gdzieś w archiwach, zachowane dla potomności.

Hangar był prawie opuszczony, większość ludzi z zespołu medycyny sądowej wróciła razem ze swoim sprzętem do Fortu Gillem lub zajęła się innymi sprawami. Ale kilkoro jeszcze zostało, wystukiwali raporty i kończyli testy.

Dom Ann Campbell znajdował się ciągle tutaj, podobnie jak łazik i jej BMW, ale z biura nie pozostał nawet ślad. Mimo to Grace Dixon siedziała przy biurku i ziewając patrzyła w ekran IBM-a.

Spojrzała w naszą stronę.

- Zażądałam innego komputera. Sortuję pliki, czytam listy i pamiętnik, ale niczego nie drukuję, tak jak prosiliście. Dostaliście wydruki dotyczące Yardleya, które wam posłałam?

- Tak - odparłem. - Dzięki.

- Co za gorący materiał - powiedziała Grace. - Naprawdę podoba mi się.

- Weź dziś wieczorem zimny prysznic, Grace.

Roześmiała się i umościła wygodniej swój obszerny dół na krześle.

- Przykleiłam się do tego siedzenia.

- Gdzie śpisz? - zapytała Cynthia.

- W kwaterach dla gości na terenie jednostki Będę spała z dyskieta. Żadnych mężczyzn. Przynajmniej. - I dodała: - Kapelan jednostki też tu jest. Czy nie ma już nic świętego?

Chciałem wygłosić opinię, że spanie z boginią samo w sobie było jak sakrament, ale nie sądzę, by te dwie damy zrozumiały moją myśl.

- Czy możesz wydrukować wszystkie pliki, w których pojawia się nazwisko pułkownika Williama Kenta?

- Jasne. Widziałam je tu. Mogę przelecieć skanerem. Jakie ma stanowisko i tytuł, bo zapis może być pod innym hasłem?

- Komendant żandarmerii. Przyjaciele mówią do niego Bill.

- Tak. Widziałam go tutaj. Chcecie wydruki ze wszystkiego, nawet wzmianki?

- Właśnie. Posłuchaj, FBI może pojawić się tu dziś wieczorem albo jutro skoro świt. Żandarmi ich nie zatrzymają. Jeśli zobaczysz jakiegoś typa idącego przez hangar, zabierasz dyskietkę i udajesz, że wystukujesz raport. Dobrze?

- Jasne. Ale co, jeśli będzie miał nakaz sądowy czy coś w tym rodzaju?

Z wojskowymi łatwo się rozmawia, ponieważ słuchają rozkazów. Cywile oczekują wyjaśnień i zadają zbyt wiele pytań.

- Grace, ty tylko piszesz raporty - powiedziałem. - Wsadź dyskietkę pod bluzkę, a gdy będzie chciał tam zerknąć, daj mu po prostu po buzi.

- Nawet jeśli będzie przystojny?

Najwyraźniej coś rozgrzało jej libido.

- To bardzo ważne, Grace - powiedziała Cynthia - żeby nikt poza naszą trójką tego nie widział.

- Dobra.

- Czy Cal Seiver jest tu jeszcze? - spytałem.

- Tak. Chciał się chwilę zdrzemnąć, leży tam, na pryczy. - Palce Grace tańczyły znowu po klawiszach. Nie znam się specjalnie na komputerach, ale ludzie, którzy się nimi zajmują, tacy jak Grace, są nieco stuknięci. Nie potrafią oderwać wzroku od ekranu, nawet kiedy z tobą rozmawiają. Siedzą z palcami na klawiaturze, mruczając do siebie, przemawiając i przeklinając z wyraźnym upodobaniem. Prawdopodobnie niepotrzebny im seks, sen ani jedzenie. To właściwie odnosiło się także do mnie. Odeszliśmy z Cynthia, nie zwracając sobie głowy pożegnaniem Grace.

Przesunąłem tablicę tak, by ktoś wchodzący do hangaru nie widział w pierwszej chwili komputera, a potem znalazłem Cala Seivera, który spał snem sprawiedliwego. Obudziłem go. Podniósł się niepewnie jakby zaskoczony miejscem, w którym się znalazł.

Poczekaliśmy kilka sekund, a potem zapytałem:

- Znalazłeś coś nowego i interesującego?

- Nie, po prostu wszystko porządkujemy.

- Dostaliście odciski palców i stóp pułkownika Kenta?

- Jasne.

- Znaleźliście je na miejscu zbrodni? Na łaziku, jej torebce, w latrynie?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

- Nie. Ale odciski jego butów są wszędzie.

- Czy dostaliście buty pułkownika Moore'a?

- Jasne. Porównaliśmy je z nie zidentyfikowanymi odciskami. Prowadzą prosto do ciała, a potem z powrotem, do drogi.

- Masz już szkic?

- Jasne. - Podeszedł do wiszącej tablicy i zapalił podręczne światło. Do tablicy przyczepiony był szkic sytuacyjny sceny morderstwa wielkości sto dwadzieścia na dwieście czterdzieści centymetrów. Narysowano tam drogę z zaparkowanym łazikiem, skraj trybun i, po drugiej stronie, małą strzelnicę z paroma sylwetkami celów oraz rozciągniętą na ziemi postać, którą udało się artyście przedstawić całkiem bezpłciowo. Ślady butów zaznaczone były kolorowymi pinezkami, a na dole tablicy widniała legenda. Czarnymi pinezkami oznaczono odciski niewyraźne lub nie zidentyfikowane. Małe strzałki wskazywały kierunek kroków, a opisy obok informowały, czy odciski były świeże czy stare, po deszczu czy przed. Jeśli jeden odcisk nachodził na drugi, świeższy znak miał dłuższą szpilkę. Były też dodatkowe opisy porządkujące jakoś ten cały chaos. Później całą tablicę przeskanują do komputera, gdzie odtworzony zostanie graficzny obraz miejsca zbrodni, łącznie z postaciami chodzącymi po odpowiednich śladach. Na ekranie daje się eliminować lub nakładać dowolne ślady. Ale na razie musiało mi wystarczyć doświadczenie - moje, a także Cynthii i Cala Seivera.

- Tak dogłębnie jeszcze tego nie analizowaliśmy - powiedział Seiver. - To jest twoja robota.

- Tak piszą w instrukcji.

- Musimy to trochę podszykować dla FBI. Zbyt wiele tu niejasności i braków, dotyczy to również twojego obuwia.

- Może już jest w kwaterach.

- Kiedy ludzie się ociągają z dostarczeniem butów, zaczynam być podejrzliwy.

- Odczep się, Cal.

- W porządku. - Spojrzał na legendę i powiedział: - Pułkownik Moore oznaczony jest na żółto.

- Mnie chodzi o pułkownika Kenta.

Kent?

Przyglądaliśmy się szkicowi. W hangarze panowała taka cisza, że słyhać było wysuwanie się papieru z drukarki.

- Mów - powiedziałem do Cala Seivera.

- Niech będzie - zaczął Seiver. Z tego, co opowiedział, wynikało, że pułkownik Kent podchodził

do ciała co najmniej trzy razy. Cal tłumaczył: - Spójrzcie, tutaj idzie od drogi do ciała. Zatrzymuje się bardzo blisko, prawdopodobnie klęka lub przykuca, ponieważ kiedy się odwraca, ślad zakręca. Potem najwyraźniej wstał i wrócił do szosy. To było pewnie za pierwszym razem, kiedy przyszedł z tą kobietą z żandarmerii, która znalazła ciało... Zobaczcie, tutaj widać odcisk jej buta... tej Casey. Zaznaczyliśmy ją na zielono. Następnym razem przyszedł z tobą i Cynthią, tutaj masz jej tenisówki. Cynthia jest biała. Ty zaś czarny. - Kolejny raz udało mu się mnie upomnieć. - Czarnych śladów jest mnóstwo. Kiedy wrócisz z butami, przyszpilę cię na różowo. Na podstawie tego nie mogę ci powiedzieć...

- Dobrze. Rozumiem. Którędy za trzecim razem podchodził do ciała?

Cal wzruszył ramionami.

- Chyba wtedy mieliśmy już założony brezent. Przypuszczam, że podchodził do ciała więcej niż raz, zanim wy dwoje się zjawiliście, ponieważ wygląda na to, że mamy trzy szlaki. Ale trudno powiedzieć na pewno, ponieważ żaden ślad nie jest kompletny. Mamy ślady na śladach, mamy miękką ziemię i twardą, i trawę.

- Tak. - Wszyscy troje przyglądaliśmy się pinezkom, strzałkom i opisom.

- Byli tam także mężczyzna i kobieta w cywilnym obuwiu - powiedziałem. - Mogę ci je dostarczyć, ale tak naprawdę interesuje mnie pułkownik Kent. Myślę, że zjawił się na miejscu zbrodni wcześniej, powiedzmy jakoś między godziną drugą czterdzieści pięć a trzecią trzydzieści, najprawdopodobniej w mundurze i tych samych butach, które nosił później.

Cal Seiver zastanowił się. - Ale ciało zostało znalezione przez sierżanta St Johna dopiero... która to była godzina?... czwarta?

Nie odpowiedziałem. Seiver podrapał się po swojej łysej głowie i zapatrzył się w szkic.

- No... to możliwe... mam tu coś, co nie pasuje... Spójrz na odcisk buta St. Johna. Pomarańczowy. Jest bardzo wyraźny. Facet miał oderwaną gumę na podeszwie i to widać na śladzie. Dobra... Więc tutaj mamy odcisk St. Johna i on wydaje się nachodzić na odcisk, który, jak sądzimy, należy do pułkownika Kenta. Kent miał nowiutkie buty. Więc... chodzi mi o to, że jeśli St. John zjawił się o czwartej, a pułkownik Kent przybył na miejsce zbrodni dopiero po tym, jak go zawiadomiła żandarmeria... jakoś po piątej, to odcisk St. Johna na odcisku Kenta nie ma sensu. Ale musicie zrozumieć, że chociaż potrafimy zidentyfikować większość śladów, jeśli podłoże jest dobre - śnieg, błoto, miękka ziemia i te rzeczy - nigdy nie jest to równie precyzyjne jak odciski palców. Nawet mając dwa dobre ślady, nie możemy powiedzieć na pewno, który jest na którym.

- Ale jednak zaznaczyłeś, że ślad St. Johna znajduje się na śladzie Kentami!

~ Tak ocenili to technicy. Mogli się pomylić. I pewnie tak też się stało, bo jeśli St. John był tu pierwszy, nie mógł nastąpić na ślad Kenta,.. Ale ty mówisz, że Kent zjawił się na strzelnicy, zanim St. John znalazł ciało.

- To właśnie mówię - odparłem - ale ty nie powiesz o tym nikomu.

- Ja przekazuję informacje tylko waszej dwójce, a potem składowi sędziowskiemu.

- I tak ma być.

- Zobaczmy gipsowe odlewy - zaproponowała Cynthia.

- Dobrze, - Cal sprawdził coś na kartkach maszynopisu przyczepionych do tablicy, dopasował coś do czegoś, a potem poprowadził nas w odległy kąt hangaru, gdzie na podłodze leżało jakieś sto białych kształtów. Wyglądało to tak, jakby utrwalono w gipsie populację Pompei uciekającą z miasta.

Odlewy były ponumerowane czarnym tłustym ołówkiem. Znaleźliśmy ten, o który nam chodziło, i zataszczyliśmy go na stół. Do blatu przyczepiona była fluorescencyjna lampa, która dawała dobre światło.

Przez dobre parę sekund wszyscy przypatrywaliśmy się odlewowi, potem Cal powiedział:

- To jest ślad St. Johna zmierzającego w stronę ciała. Ten mały znak na brzegu pokazuje kierunek. Ten sam kierunek wskazuje inny odcisk, pułkownika Kenta.

Przyjrzałem się obu śladom. Nakładały się jeden na drugi, lewa strona lewego buta Kenta zachodziła na prawą stronę prawego buta St. Johna... A może to St. John zachodził na Kenta? Oto pytanie. Nic nie powiedziałem, Cynthia też milczała. Wreszcie odezwał się Cal:

- Dobra... Czy... czy widzicie to wytłoczenie tutaj? To właśnie ta oderwana guma na bucie St. Johna, ale to miejsce akurat nie zostało dotknięte przez but Kenta ani odwrotnie. Zobaczcie, mamy dwa wojskowe buty tego samego kształtu, o takiej samej podeszwie, a odciski powstały w odstępie kilku godzin... i mamy przecinające się i połączone ślady...

- Dlaczego ktoś umieścił krótszą szpilkę na odcisku Kenta?

- No, ja nie jestem od tego specjalistą.

- A kto?

- Ktoś, kto już wyjechał. Ale pozwól, że spróbuję. - Zmienił położenie lampy, potem zgasił światło i przyjrzał się odciskowi w słabym świetle górnej lampy, wiszącej pod sufitem hangaru. Następnie zapalił latarkę i zaczął oświetlać odlew pod różnym kątem i z różnych stron. Ja i Cynthia też przyglądaliśmy się temu. To badanie nie było do końca naukowe, raczej chodziło o zdrowy rozsądek. Prawdę mówiąc, prawie niemożliwością było określić z całą pewnością, który odcisk powstał wcześniej.

Cynthia przeciągnęła palcem w miejscu, gdzie oba odciski się krzyżowały. Przy miękkiej ziemi łatwo można stwierdzić, który jest głębszy, ale to jeszcze nie był dowód, że głębszy był zrobiony wcześniej. Każdy trochę inaczej chodzi, a poza tym ludzie różnią się wagą. Chociaż zazwyczaj

jednak głębszy odcisk jest zarazem wcześniejszy, ponieważ ugniata ziemię, śnieg lub błoto i następna osoba nie zapada się już tak głęboko, chyba że jest naprawdę ciężka,

- Odcisk St. Johna jest o włos wyżej niż Kenta - powiedziała Cynthia.

- Widziałem Kenta - wtrącił Cal - facet waży dobre sto kiło. Jaki jest St. John?

- Mniej więcej taki sam - odparłem.

- W takim razie - powiedział Seiver - zależy, jak mocno stąpali. Sądząc z tego, co widać na szkicu, i biorąc pod uwagę, że oba odciski są płaskie, żaden z nich nie biegł. Właściwie powiedziałbym, że obaj szli dość wolno. Więc jeśli odcisk Kenta jest o włos głębszy, można by wnioskować, że został zrobiony wcześniej, a St John przeszedł po nim. Ale to tylko domysł - I dodał:
- Nie posłałbym nikogo przez to na szubienicę.

- Nie, ale mógłbyś nim trochę potrząsnąć.

- Fakt.

- Czy można sprowadzić tego faceta od odcisków jeszcze dzisiejszej nocy?

Cal potrząsnął głową.

- Jest w bazie wojskowej w Oakland. Ale mogę sprowadzić kogoś innego helikopterem.

- Nie, chcę tego pierwszego. Wyślij ten odcisk do Oakland i każ mu go jeszcze raz zanalizować. Nie mów, co napisał za pierwszym razem. Dobrze? Nie będzie pamiętał jednego z setki.

- Dobra. Zobaczymy, czy wynik będzie taki sam. Zajmę się tym. Mogę sam pojechać.

- Nie ma mowy, koleś. Póki ja tu siedzę, jesteś zakotwiczony w Hadley.

- Niech to!

- Właśnie. Chcę, żeby przyjechał zespół do odcisków z Gillem. Mają być na terenie strzelnicy przed świtem. Niech znajdą więcej odcisków butów Kenta. Każ im szukać wzdłuż drogi, głębiej na terenie strzelnicy, jeszcze raz wokół ciała, koło latryn i tak dalej. Chcę mieć dokładny szkic pokazujący same tylko odciski Kenta. A najlepiej niech każdą informację wprowadzą do komputera. Chciałbym to zobaczyć jutro tuż przed południem.

- Zrobię co w mojej mocy. - Zawahał się i zapytał: - Jesteś tego pewny?

Lekko skinąłem głową. To wystarczyło. Wyciągnie ludzi z łóżek i ściągnie ich o świcie do Hadley.

- Cal, FBI może się tu zjawić jeszcze w nocy albo jutro rano. Mają prawo zajmować się tą sprawą od jutra w południe. Nie wcześniej.

- Słyszałem.

- Opracuj jakiś znak ostrzegawczy z żandarmami, którzy stoją na zewnątrz, i ostrzeż Grace, żeby zdążyła schować dyskietkę, na której pracuje.

- Nie ma problemu.

- Dzięki. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

Wróciliśmy z Cynthią do Grace Dixon, która naszykowała porządny stosik wydruków.

- To był ostatni - powiedziała. - Macie tutaj wszystkie zapisy z pamiętnika dotyczące Billa Kenta, Williama Kenta, Kenta i tak dalej.

- Dobrze. - Sięgnąłem po papiery i przerzuciłem je. Było tam co najmniej czterdzieści kartek, na niektórych po kilka zapisów. Pierwszy sprzed dwóch lat, z czerwca, ostatni z zeszłego tygodnia.

- Często się widywali - zauważyła Cynthia. Skinąłem głową.

- Dobrze, dzięki jeszcze raz, Grace. Może byś schowała dyskietkę w jakieś sekretne miejsce i poszła spać?

- Nic mi nie jest. Ale ty wyglądasz okropnie.

- Do zobaczenia jutro.

Zabrałem ze sobą wydruki. Ruszyliśmy przez długi hangar ku małym drzwiom. To była jedna z tych nocy, kiedy wilgoć wisi w powietrzu i nie czuje się zapachu sosen, chyba że człowiek usiadzie na czubku drzewa.

- Pysznic? - zapytałem.

- Nie - odparła Cynthia. - Komenda żandarmerii. Pułkownik Moore i panna Baker-Kiefer. Pamiętasz ich?

Wsiedliśmy do mojego blazera, zegar na tablicy wskazywał dziesiątą trzydzieści pięć. Pozostało nam mniej niż czternaście godzin. Cynthia zauważyła, że patrzę na zegar.

- Chłopcy z FBI prawdopodobnie ziewają, czekając na swoją kolej. Ale jutro rano będziesz się już o nich potykał na każdym kroku.

- Właśnie. - Wrzuciłem bieg i odjechałem z Pola Jordana. - Nie dbam o to, czy zasługa rozwiązania sprawy im przypadnie. Jestem ponad to. Przekażę im sprawę jutro w południe i mogą z nią robić, co chcą. Ale im bliżej dotrzemy do przestępcy, tym mniej będą się babrać w błocie. Popchnę ich w kierunku Kenta tak daleko, jak się tylko da.

- To bardzo wielkodusznie z twojej strony, że pozwolisz im zakończyć sprawę. Twoja kariera,

można powiedzieć, też jest na wykończeniu. Ale mnie przydałaby się zasługa.

Spojrzałem na nią.

- Jesteśmy w wojsku. My po prostu wykonujemy rozkazy. W tym przypadku ja wydaję rozkazy tobie.

- Tak jest, sir. - Spochmurniała na chwilę, potem powiedziała: - Ci z FBI są znakomici w pokazywaniu się z jak najlepszej strony, Paul. Przy ich wydziale od reklamy nasz zespół do kontaktów zewnętrznych wygląda jak budka informacji na dworcu autobusowym. Skończymy to sami, nawet gdyby miało to oznaczać przyłożenie Kentowi karabinu do głowy z groźbą, że odstrzelimy mu mózg, jeśli nie złoży zeznania.

- No, no, ale jesteśmy dzisiaj w bojowym nastroju!

- Paul, to jest ważne. I masz rację, mówiąc o FBI i brudzie. Kiedy położą na tym łapy, zawartość pamiętnika przesączy się do każdej gazety w tym kraju, a do tego jeszcze powiedzą, że złamali hasła i sami się dobrali do informacji. Ci chłopcy są nieźli, ale i bezwzględni. Prawie tak bezwzględni jak ty.

- Dziękuję.

- I mają w nosie wojsko. Żeby powołać się znowu na Nietzschego, to filozofią FBI jest „Wszystko, co sprawia, że inne siły lub instytucje porządkowe wyglądają gorzej, nas przedstawia w lepszym świetle.” Tak więc musimy skończyć sprawę do południa.

- Dobrze. Kto jest mordercą?

- Kent.

- Jesteś pewna?

- Nie. A ty?

Wzruszyłem ramionami.

- Lubię tego gościa.

Skinęła głową.

- Ja nie mogę powiedzieć, że bym go nie lubiła, ale za nim nie szaleję.

To zabawne, pomyślałem, jak często mężczyzna i kobieta mają różne zdania na temat tego samego człowieka. O ile pamiętam, ostatnim razem kiedy jakaś kobieta i ja zgadzaliśmy się, że oboje lubimy pewnego gościa, ta kobieta była moją żoną i uciekła z tym właśnie gościem.

- Co jest takiego w Kencie, że go nie lubisz? - zapytałem z ciekawości.

- Oszukiwał swoją żonę. To do mnie przemawiało.

- I może jest zabójcą - dodałem. - Drobiazg, ale warto o tym wspomnieć.

- Daruj sobie ten sarkazm. Jeśli zamordował Ann Campbell, zrobił to w afekcie. Żonę oszukiwał przez dwa lata, zdecydowanie i z premedytacją. To świadczy o słabości charakteru.

- Zgadza się. - Jechałem prostą, ciemną drogą w sosnowym lesie. W oddali widziałem światła Wzgórza Bethany. Ciekawe, co słychać u Fowlerów i w domu Kenta.

- Nie chciałbym być tam dziś wieczór na kolacji - powiedziałem.

Cynthia wyjrzała przez okno.

- Ale się narobiło. Przyjechałam do Hadley zająć się sprawą gwałtu, a skończyłam przy reakcji na gwałt, który wydarzył się dziesięć lat temu.

- Zbrodnia rodzi zbrodnię, która rodzi zbrodnię - rzuciłem sentencjonalnie.

- Prawda. Czy wiesz, że ze statystyk wynika, że ofiara gwałtu jest bardziej narażona na kolejny gwałt niż kobieta, której to się nigdy nie przydarzyło?

- Nie wiedziałem tego.

- Ale nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje. To nie ma nic wspólnego z kategorią pracy, wieku, środowiska i tak dalej. Po prostu jeśli coś się zdarzyło raz, jest bardziej możliwe. To nie ma sensu. Mróz chodzi po kościach, jakby istniała jakaś zła siła, która wie...

- Makabra - zgodziłem się. - W sprawach o morderstwo coś takiego się nie zdarza. Zabitym można być tylko raz.

Cynthia zaczęła mówić o swej pracy, o tym, jak czasami popadała w chandrę i jak to wpływało na jej małżeństwo.

Najwyraźniej potrzebowała się wygadać, wyleczyć przed następną sprawą. Cóż, kiedy w człowieku zawsze coś zostaje, jak trucizna, która się wsącza powoli w duszę i z każdym rokiem stajesz się duchowo coraz bardziej obolały. Ale ktoś tę pracę musi wykonywać i niektórzy podejmują się jej, a inni nie. Sądzę, że ci, którzy zostają, budują tkankę ochronną wokół serca, ale czasami jakiś szczególnie makabryczny przypadek tnie aż do głębi i rani na nowo.

Cynthia ciągle mówiła. Zorientowałem się, że mówi nie tylko o sobie, swoim małżeństwie czy pracy, ale także o mnie i o nas.

- Myślę, że mogłabym poprosić o transfer gdzie indziej - powiedziała.

- Na przykład?

- Do orkiestry wojskowej - roześmiała się. - Kiedyś grałam na flecie. A ty?

- Tylko radio. Co z Panamą?

Wzruszyła ramionami.

- Jedziesz tam, gdzie cię poślą. Nie wiem... Jeszcze nic nie zostało zdecydowane.

Pewnie powinienem był coś powiedzieć, zaproponować jakąś alternatywę. Ale prawdę mówiąc, znacznie trudniej mi podejmować decyzje w sprawach prywatnych niż zawodowych. Kiedy kobieta mówi „zobowiązanie”, biorę aspirynę i natychmiast zawiązuję sznurówki u butów, w których mi się najszybciej biega.

Tak, to coś między Cynthia a mną okazało się autentyczne, ponieważ zniosło próbę czasu i ponieważ tęskniłem za nią i myślałem o niej przez miniony rok. Ale teraz, kiedy była tuż obok, ogarnęła mnie panika. Lecz nie zamierzałem kolejny raz tego zepsuć, więc powiedziałem:

- Ciągle mam ten wiejski dom koło Falls Church. Może chciałabyś go zobaczyć?

- Z rozkoszą.

- Dobrze.

- Kiedy?

- Myślę, że... pojutrze. Jak wrócimy do dowództwa. Powiedzmy, że pojedziemy na weekend. Jeśli chcesz, to na dłużej.

- Muszę być w Benning w poniedziałek.

- Po co?

- Prawnicy. Papiery. Rozwodzę się w Georgii. Ślub brałam w Wirginii. Powinno być federalne prawo w sprawie rozwodów dla takich ludzi jak my.

- Niezła myśl.

- Pod koniec tego miesiąca będę już w Panamie. Do tego czasu chciałabym sfinalizować rozwód, bo jeśli wyjadę z kraju, potrwa to sześć miesięcy.

- Mnie papiery rozwodowe przywiózł śmigłowiec, znajdowałem się właśnie pod obstrzałem.

- Naprawdę?

- Tak. Do tego monitujący list w sprawie spłacenia pożyczki na samochód i antywojenna literatura od jakiejś pacyfistycznej grupy z San Francisco. Są dni, kiedy nie warto nawet wstawać z łóżka. Tylko że nie miałem łóżka. Ale zawsze może być gorzej.

- Albo lepiej. Spędzimy miły weekend.

- Nie mogę się już doczekać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Znowu byliśmy przed budynkiem dowództwa żandarmerii. Dziennikarze biwakowali, więc zostawiłem samochód przy drodze, pod znakiem zakazu parkowania. Weszliśmy do budynku, zabierając ze sobą wydruki z pamiętnika Ann Campbell.

- Najpierw porozmawiamy z pułkownikiem Moore'em - powiedziałem do Cynthii. - Potem zobaczymy, co znalazła pani Kiefer.

Kiedy szliśmy w stronę cel, Cynthia zauważyła:

- Trudno wyobrazić sobie, żeby człowiek, który zarządza takim miejscem, mógł być kryminalistą.

- Właśnie. To wprowadza bałagan do protokołów i instrukcji operacyjnych.

- Pewnie, że tak. Co myślisz o tym odcisku buta?

- Że to prawie wszystko, co mamy - odparłem.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Mamy też motyw i sposobność. Chociaż nie jestem pewna psychologicznej sylwetki zabójcy i woli działania Kenta. Poza tym, nie mamy prawie dowodów pośrednich. Ale po wspólnym drinku zaczynam poważnie sądzić, że intuicja nas nie zawodzi.

- W porządku. Powiedz to FBI.

Poprosiłem sierżanta, który miał w swej pieczy aresztantów, żeby nam towarzyszył, i poszliśmy do celi pułkownika Moore'a. Siedział na swojej pryczy, w ubraniu, tylko bez butów. Dalbert Elkin przysunął krzesło do prętów między dwiema celami i coś mówił do niego. Moore albo przysłuchiwał się bardzo uważnie, albo był w katatonicznym transie.

Obaj na nasz widok podnieśli się. Elkin wyraźnie zadowolony, że mnie widzi, za to Moore wyglądał na zaleknionego, a w dodatku stłamszonego.

- Jutrzejsza umowa bez zmian? - zapytał mnie Elkin. - Czy są jakieś problemy?

- Żadnych.

- Moja żona prosiła, żeby panu od niej podziękować.

- Naprawdę? Mnie prosiła, by cię tu jeszcze zatrzymać.

Elkin roześmiał się.

Zwróciłem się do sierżanta żandarmerii:

- Czy mógłby pan otworzyć celę pułkownika Moore'a?

- Tak jest, sir. - Otworzył drzwi celi. - Kajdanki?

- Tak, proszę, sierżancie.

Żandarm warknął do Moore'a:

- Nadgarstki przed siebie.

Moore wyciągnął zaciśnięte w pięści dłonie, a sierżant zatrzasnął kajdanki na przegubach.

Bez słowa powędrowaliśmy długim, odbijającym echo korytarzem, mijając po drodze puste cele. Moore szedł cicho w skarpetkach. Niewiele jest miejsc na tej ziemi bardziej ponurych niż areszt śledczy i mało co wygląda równie żałośnie jak aresztant w kajdankach. Moore, z całym swoim intelektualizmem, nie znosił tego dobrze, i o to właśnie chodziło.

Kiedy weszliśmy do sali przesłuchań, sierżant zostawił nas.

- Siadać - powiedziałem do Moore'a.

Usiadł.

Cynthia i ja zajęliśmy miejsca po drugiej stronie stołu.

- Mówiłem, że następna nasza rozmowa odbędzie się tutaj.

Milczał. Wyglądał po trosze i na przestraszonego, i zniechęconego, i rozgniewanego, chociaż starał się to ukryć, gdyż zdawał sobie sprawę, że może sobie zaszkodzić.

- Gdyby powiedział nam pan wszystko od razu - zacząłem - mógł się pan tu w ogóle nie znaleźć.

Brak odpowiedzi.

- Czy wie pan, co naprawdę, ale tak naprawdę rozwściecza detektywa? Kiedy traci on swój cenny czas i energię na sprytnego świadka.

Niszczyłem go tak przez dobrą chwilę, zapewniając, że robi mi się na jego widok niedobrze, że

jest hańbą dla munduru, stopnia, zawodu, kraju, Boga, rodzaju ludzkiego i całego wszechświata.

Przez cały ten czas Moore siedział cicho. Najwyraźniej nie miał zamiaru korzystać ze swych praw, i raczej doszedł do słusznego wniosku, że wolę, kiedy trzyma buzię na kłódkę.

Cynthia tymczasem przejrzała wydruki z dziennika, a potem wstała i wyszła, tak że większa część ustnych obelg jej umknęła. Po mniej więcej pięciu minutach wróciła bez wydruków, za to z plastikową tacą, na której stała filiżanka mleka, a obok leżał pączek.

Wzrok Moore'a powędrował w stronę jedzenia. Przestał zwracać na mnie uwagę.

- Przyniosłam to panu - powiedziała do niego Cynthia. Postawiła tacę tak, by mógł do niej sięgnąć i dodała: - Sierżant przyjdzie odpiąć panu kajdanki, jak tylko będzie miał wolną chwilę.

- Mogę jeść w kajdankach - zapewnił ją Moore.

- To niezgodne z przepisami kazać jeść więźniowi zakutemu w kajdanki - poinformowała go.

- Nie każecie mi. Sam chcę...

- Przykro mi. Musi pan poczekać na sierżanta.

Moore nie odrywał wzroku od pączka, który, podejrzewam, był pierwszym kantynowym pączkiem, jaki kiedykolwiek przykuł jego uwagę.

- Kontynuujmy - powiedziałem. - I niech pan nam nie wciska żadnego kitu jak poprzednio. No dobrze, żeby wykazać, jakie z pana gówno, powiem panu, co już wiemy. Pan tylko uzupełni szczegóły. Po pierwsze, pan i Ann Campbell planowaliście całą akcję przynajmniej przez tydzień - od dnia, kiedy ojciec dał jej ultimatum. Niech będzie, że nie wiem, kto wpadł na pomysł rekonstrukcji zdarzenia z gwałtem w West Point, ale pomysł był chory. - Patrzyłem na niego śledząc reakcję na moje słowa. - Zadzwoił pan do niej do dowództwa, ustaliliście czas, a potem pojechał pan na strzelnicę numer sześć. Zaparkował pan kawałek dalej, za trybunami. Wysiadł pan z samochodu, wyjął śledzie namiotowe, linę i wszystko, co było potrzebne, w tym także przenośny telefon i prawdopodobnie magnetofon. Poszedł pan ścieżką wyłożoną drewnem do latryny na terenie strzelnicy numer sześć i prawdopodobnie zadzwonił pan jeszcze raz do niej, żeby sprawdzić, czy wyszła już z dowództwa.

Przez następne dziesięć minut rekonstruowałem mu przebieg wydarzeń, opierając się na tych niewielu dowodach, które dostarczyły nam badania, przypuszczeniach i podejrzaniach. Pułkownik Moore był w sam raz pod wrażeniem, bardzo zdziwiony i coraz bardziej nieszczęśliwy.

- Zadzwoił pan do generała - mówiłem - a kiedy podniósł słuchawkę, odtworzył pan słowa nagrane przez Ann. Wiedzieliście, że macie jakieś dwadzieścia minut i zaczęliście przygotowywać waszą scenkę. Rozebrała się w dziupie albo koło niego. Pan włożył rzeczy do plastikowej torby, którą zostawił pan w samochodzie. Zgadza się?

- Tak.

- Zostawiła na ręku zegarek.

- Chciała wiedzieć, jak czas mija. Leżąc mogła patrzeć na tarczę zegarka i wydawało jej się, że to ułatwi oczekiwanie na rodziców.

Dziwne, pomyślałem, a jednak teraz wydawało się o wiele mniej dziwne niż wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją, leżącą nago na ziemi tylko z zegarkiem. Prawdę mówiąc, przeszedłem długą drogę od tamtego ranka, kiedy to myślałem, że patrzę na robotę gwałciciela-zabójcy. Bo ta zbrodnia miała swoje etapy, a wywodziła się z innego przestępstwa, które popełniono dziesięć lat wcześniej. To, co zobaczyłem, nie było wcale tym, na co wyglądało. Było ostatecznym zakończeniem tamtej koszmarnej nocy.

- A tak przy okazji - zwróciłem się do Moore'a - zauważył pan na jej palcu sygnet z West Point?

- Tak - odparł bez wahania. - To miało oznaczać symboliczne powiązanie z pierwszym gwałtem. Na wewnętrznej stronie sygnetu było wygrawerowane jej nazwisko. Zamierzała oddać pierścień ojcu - i w ten sposób powiedzieć, że oddaje mu złe wspomnienia, i nie chce, by jej o nich więcej przypomniano.

- Rozumiem... - Mój Boże, to była niezwykła, choć bardzo udręczona kobieta. Musiał istnieć rodzaj psychoseksualnego, głęboko ukrytego związku między ojcem a córką, który prawdopodobnie Moore rozumiał, może rozumieli go także Campbellowie, ale ja byłem całkowicie pewny, że nic nie chcę wiedzieć na ten temat.

Wymieniłem spojrzenia z Cynthia. Myślę, że odniosła takie samo wrażenie. Ale trzeba było wracać do pytań na temat morderstwa.

- Potem oboje poszliśmy na teren strzelnicy, wybraliśmy miejsce u podstawy najbliższego celu-sylwetki, jakieś pięćdziesiąt metrów od drogi, gdzie ona się położyła, rozkładając szeroko ramiona i uda. - Spojrzałem na niego i zapytałem: - Co czuł taki podręczny eunuch jak pan?

Poczerwieniał z gniewu, ale zapanował nad sobą.

- Nigdy nie wykorzystałem seksualnie żadnej pacjentki - powiedział. - Może pan sobie uważać taką terapię za dziwną, ale miała ona pomóc, zadziałać jako katharsis dla obu stron. A terapia nie zakładała uprawiania seksu czy gwałcenia unieruchomionej pacjentki.

- Jest pan wzorem doskonałości, perłą w swoim zawodzie, pułkowniku. Ale proszę mnie nie wkurzać. Chcę się dowiedzieć, co działo się po tym, jak pan ją związał. Proszę mówić.

- Dobrze... Chwilę rozmawialiśmy, podziękowała, że tak wiele ryzykowałem asystując jej....

- Może pan sobie darować hymny pochwalne na swoją cześć. Proszę dalej.

Zaczerpnął powietrza.

- Wróciłem do łazika, zabrałem torbę z ubraniami, a także moją torbę, w której przywiozłem

śledzie i linę. Później poszedłem do budynku latryny i tam czekałem.

- Na co? Na kogo?

- No, oczywiście na jej rodziców. Bała się, że kto inny może zjawić się wcześniej, zobaczyć łazik, więc poprosiła, bym zaczekał.

- A co pan miał zrobić, gdyby pojawił się ktoś inny? Schować głowę w pisuar?

Poczułem kopnięcie Cynthii pod stołem i pozwoliłem jej przejąć inicjatywę.

- Co zrobiłby pan w takiej sytuacji, pułkowniku? - spytała łagodnym głosem.

Spojrzał na nią, potem na pączek, jeszcze raz na nią.

- No - powiedział - miałem jej pistolet w plastikowej torbie. Ale... ja nie wiem dokładnie, co właściwie zrobiłbym, gdyby zjawił się ktoś przed jej rodzicami. Lecz musiałem dopilnować, żeby nie stała się jej krzywda.

- Rozumiem. I właśnie wtedy skorzystał pan z latryny? Moore wydawał się trochę zdziwiony, ale przytaknął:

- Tak... chyba skorzystałem z latryny.

- Chciało się panu sikać ze strachu - wtrąciłem. - Tak? Następnie, jak na porządnego żołnierza przystało, umył pan ręce. I co dalej?

Popatrzył na mnie, ale odpowiedź skierował do Cynthii:

- Stanałem za budynkami latryn i zobaczyłem światła na drodze. Pojazd zatrzymał się, a kiedy otworzyły się drzwi od strony kierowcy, zobaczyłem wysiadającego generała. Był księżyc w pełni i rozpoznałem samochód pani Campbell, chociaż jej nie widziałem. - I dodał: - Złąkłem się, że generał nie przywiózł ze sobą żony.

- Dlaczego?

- No... bez pani Campbell sytuacja mogła się wyniknąć spod kontroli. Nie sądziłem, by generał podszedł do córki... Byłem zupełnie pewny, że jeśli będzie ich tylko dwoje, posypią się iskry.

Cynthia przyglądała mu się przez długą chwilę.

- Czy został pan na miejscu podczas wymiany zdań między generałem Campbellem a jego córką?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Ustaliliśmy, że nie powinienem. Jak tylko upewniłem się, że to generał, rzuciłem plastikową torbę z ubraniem na dach latryny, a potem szybko odszedłem ścieżką. Droga do samochodu zajęła mi jakieś pięć minut. Nie byłem pewny, jak długo tamci będą ze sobą dyskutować, chciałem jak najszybciej odjechać. I to właśnie zrobiłem.

- Widział pan jakiś inny samochód na drodze, kiedy wracał pan do centrum?

- Nie.

Spojrzeliliśmy z Cynthia po sobie. Popatrzyłem na Moore'a.

- Pułkowniku, niech pan się dobrze zastanowi - powiedziałem. - Czy widział pan światła samochodu jadącego w przeciwnym niż pan kierunku?

- Nie. Na pewno nie. Przecież to by mnie zaniepokoiło...

- I nikt nie szedł na piechotę?

- Nie.

- Czy zauważył pan kogoś lub słyszał, kiedy był pan na strzelnicy pięć lub sześć? Albo gdy był pan w latrynie, koło łazika czy na ścieżce?

Potrząsnął głową.

- Nie.

- A więc pan odszedł, a potem ktoś ją zabił.

- Tak. Zostawiłem ją żywą.

- A jak pan myśli, kto ją zabił?

Spojrzał na mnie jakby zaskoczony.

- No, oczywiście generał.

- Dlaczego pan tak twierdzi?

- Dlaczego? Przecież wiecie, co się stało. Do mnie należała tylko pomoc w rekonstrukcji sceny gwałtu, żeby to zobaczyli rodzice. Przyjechał tam - widziałem go na własne oczy - a potem została znaleziona uduszona. Kto jeszcze mógł to zrobić?

- Czego spodziewała się po rodzicach? - zapytała go Cynthia. - Co Ann opowiedziała panu?

Moore zastanawiał się przez moment.

- No... spodziewała się, że oni... Nie była całkiem pewna, jak poradzą sobie z tym, co zobaczą,

ale oczekiwała, że jej pomogą, choćby to dla nich było nie wiem jak trudne. - I dodał: - Wiedziała, że nie zostawią jej tam, myślała, że zmusi ich, by stawili czoło sytuacji, jej nagości, jej wstydu i poniżeniu, że sami własnoręcznie rozetną jej więzy, a w ten sposób psychologicznie uwolnią nie tylko ją, ale samych siebie. - Spojrzał na nas. - Rozumiecie?

- Tak - odparła Cynthia - teorię rozumiem.

- Dla mnie to popieprzone - wyraziłem swoją opinię.

- Gdyby pani Campbell tam się zjawiała - wyjaśnił mi Moore - to mogłoby zadziałać. I nie doszłoby do tragedii.

- Najlepsze plany szajbusów to zawsze niewypały.

Zignorował mnie i powiedział do Cynthii:

- Czy mogłaby pani przynajmniej przysunąć mi mleko? W ustach mi zaschło.

- Oczywiście. - Cynthia włożyła filiżankę do jego połączonych dłoni, podniósł ją do ust i wypił jednym haustem. Odstawił filiżankę i przez chwilę wszyscy milczeliśmy, a Moore delektował się mlekiem, jakby to było sherry, które tak lubił.

- Nie podejrzewała, że jej ojciec może się zjawić sam, wpaść w szal i naprawdę ją zabić? - zapytała Cynthia.

Moore odpowiedział natychmiast.

- Nie! Gdyby wspomniała o tym, nie zgodziłbym się na jej plan.

Potakiwałem własnym myślom. Nie wiedziałem, czy to prawda czy nie. Wiedziało tylko dwoje ludzi. Jedna z nich nie żyła, a druga, siedząca przede mną, mogła kłamać, żeby umniejszyć swoją winę. Sam generał oczywiście wiedział, co czuł, kiedy córka postawiła go przed takim wyzwaniem, ale on nawet przed sobą nie potrafił się do tego przyznać, co dopiero powiedzieć mi o tym. Na dobrą sprawę to nie miało już znaczenia. Cynthia zapytała więźnia:

- Czy nie przyszło panu albo Ann Campbell do głowy, że generał przyjedzie nieprzygotowany do uratowania swojej córki? Nie mówię stanie psychicznym, tylko o nożu lub jakimś narzędziu do wyciągania śledzi.

- Braliśmy to pod uwagę - odpowiedział Moore. - Dlatego wbiłem w ziemię bagnet... znaleźliście go, prawda?

- Gdzie pan wbił? - zapytała Cynthia.

- No, jakoś tak między jej nogami... Mężczyźni, którzy gwałcili ją w West Point, zabrali jej bagnet i wbili w ziemię tuż przy jej... seksie. Jako ostrzeżenie, żeby nie składała raportu. Potem ją nim odcięli.

- Rozumiem... - powiedziała Cynthia.

- Oczywiście chciała go zaszokować, zaszokować ich oboje. Musieliby wyciągnąć bagnet z ziemi i odciąć ją. Wyobrażała sobie, że potem on proponuje jej kurtkę czy koszulę. Zostawiłem biustonosz tuż obok, a majtki miała na szyi. Właśnie tak zostawili ją wtedy w lesie. Porozrzucali jej ubranie dookoła i musiała go szukać po ciemku. Tym razem jednak chciała, żeby rodzice odprowadzili ją do łazika i dopiero wtedy miała zamiar powiedzieć ojcu, gdzie znajdzie jej ubranie: na dachu latryny. Żeby się musiał tam po nie wspinać. Torebkę i kluczyki zostawiła w samochodzie. Miała zamiar ubrać się i odjechać z powrotem do dowództwa, jak gdyby nigdy nic. A na śniadaniu w domu rodziców wspólnie mieli się zastanowić nad tym, co przeszli.

Cynthia znowu skinęła głową.

- Czy wiązała wiele nadziei ze spotkaniem przy śniadaniu?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Tak - odpowiedział - myślę, że bardzo wiele. Oczywiście wszystko zależało od tego, jak zachowają się jej ojciec i matka na scenie gwałtu. Okazało się jednak, że pani Campbell nie przyjechała. Ale myślę, że Ann zdała sobie wreszcie sprawę, jakie siły uwolniła tej nocy. Jakkolwiek zareagowałby jej ojciec, już nic gorszego nie mogło się stać. Terapia szokowa jest zawsze ryzykowna, ale kiedy nie masz nic do stracenia, kiedy dotknąłeś dna, gotowy jesteś zaryzykować wszystko i masz nadzieję na najlepsze z możliwych rozwiązań.

Cynthia znowu kiwnęła głową w taki sposób, jaki polecają w podręczniku dla prowadzących przesłuchania. Bądź otwarty, potwierdzaj przyjęcie przekazanej ci informacji. Nie miej kamiennej twarzy ani sceptycznej miny, kiedy podejrzany wpadł już w trans opowiadania. Po prostu potakuj, jak psycholog podczas sesji terapeutycznej. Być może Moore rozpoznawał tę technikę, co zakrawałoby na ironię, ale w tym stanie pragnął tylko przytaknięcia, uśmiechu i tego głupiego pączka.

- Czy powiedziała panu, dlaczego wiąże nadzieję z tym spotkaniem? - zapytała Cynthia. - Dlaczego właśnie teraz, po tych wszystkich latach?

- Chyba... wreszcie była gotowa wybaczyć. Tego ranka chciała powiedzieć wszystko, byle tylko ratować sprawy między nimi. Wojna zmęczyła ją, czuła potrzebę katharsis, jeszcze zanim pojechała na strzelnicę. Była pełna nadziei, wręcz wesoła, szczęśliwa, ponieważ wierzyła, że za chwilę zagna spokoju. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak pogodnej. - Westchnął głęboko i spojrzał na nas, a potem ciągnął: - Wiem, co o mnie myślicie, ale kierowałem się tylko jej dobrem. Mnie także uwiodła, chociaż inaczej. Dla niej działałem w sposób, który był... dobrze to wiedziałem... nieortodoksyjny. Ale gdybyście widzieli ją taką pełną entuzjazmu, prawie dziewczęcą! Oczywiście była jednocześnie zdenerwowana, przestraszona, ale też pełna nadziei, że długi koszmar wreszcie się kończy... A przecież wiedziałem, że krzywdy, jakie wyrządziła sobie i innym, nie znikną tak łatwo tylko dlatego, że ona powie rodzicom: „Kocham was i wybaczę wam, jeśli wy mi wybaczycie”... Ale ona w to wierzyła i zmusiła mnie, bym też w to uwierzył... przeliczyła się... Nie doceniła gniewu ojca... A spodziewała się szczęścia, co za ironia... Wciąż powtarzała, co im powie na strzelnicy... a potem przy śniadaniu...

Nagle stała się rzecz osobliwa. Po policzkach Moore'a ściekły dwie łzy, ukrył twarz w dłoniach.

Cynthia wstała, położyła mu rękę na ramieniu i dała mi znak głową. Wyszliśmy. Już na korytarzu, powiedziała:

- Puść go, Paul.

- Nie, do diabła.

- Miałeś swoje więzienne przesłuchanie. Pozwól, żeby się przespał w swoim biurze, a potem wziął udział w pogrzebie. Nigdzie stąd nie ucieknie.

- Dobrze - wzruszyłem ramionami. - A niech to, robię się miękki. - Poszedłem do pokoju strażnika i porozmawiałem z sierżantem. Wypełniłem formularz zwolnienia i podpisałem go. Nienawidzę wypełniać formularzy zwolnień. Potem wróciłem do Cynthii.

- Jest wolny, ale nie może opuszczać fortu - powiedziałem.

- Dobrze. To było słuszne posunięcie.

- Tego nie wiemy.

- Paul... gniew nie odwróci biegu rzeczy, a zemsta nie jest tym samym, co wymierzanie sprawiedliwości. Ann Campbell nigdy tego nie zrozumiała, ale ty powinieneś.

- Dziękuję.

Przeszliśmy do naszego pokoju, usiadłem na biurku i podzieliłem zapisy z pamiętnika między Cynthię i siebie. Zanim zaczęliśmy czytać, zapytałem:

- Co się stało z bagnetem?

- Nie wiem - odparła. - Ponieważ generał Campbell nawet nie podszedł do swojej córki, nie zobaczył go i nie dowiedział się, że mógł ją uwolnić. W jednej wersji swej opowieści starał się wyciągnąć śladzie, ale bez skutku, w drugiej nie potrafił się zmusić, żeby podejść bliżej. Tak naprawdę to nie podszedł do niej.

- Zgoda. Tak więc następna osoba, która pojawiła się na miejscu zbrodni, zobaczyła bagnet - powiedzmy, że to był Kent - i jeśli to był Kent, miał wtedy wybór. Potem przyszli Fowlerowie z własnym nożem... ale ona już nie żyła. Następnie zjawił się sierżant St. John, a po nim szeregowiec Casey... Nie wiem, ale to interesujące, że ktokolwiek wyciągnął bagnet z ziemi, zabrał go... - Przez chwilę zastanawiałem się nad tym. - Jeśli generał nie podszedł do córki, nie mógł wziąć bagnetu. Zabójca również nie miał powodu, by go zabrać. Podobnie z St. John i Casey.

- Czy chcesz powiedzieć, że to Fowlerowie?

- Chcę powiedzieć, że kiedy Fowlerowie znaleźli ją martwą, zobaczyli też bagnet tkwiący między

nogami dziewczyny. Zdali sobie wtedy sprawę, że generał oszukał ich, że nie próbował wcale jej uwolnić, a jestem pewien, że tak im powiedział. A jeśli druga wersja jego zeznania jest prawdziwa, to znaczy, że krzyczeli do siebie z córką na odległość. Więc kiedy Fowlerowie zobaczyli bagnet, zdali sobie sprawę, że generał mógł ją uwolnić, ale nie zrobił tego i w rezultacie ona zginęła. Nie chcieli mu tego mówić ani nie chcieli, by znalazł tę informację w oficjalnych raportach, więc zabrali bagnet i ukryli go. Oddali mu przysługę, ale nam nie.

Cynthia patrzyła na mnie z namysłem.

- Tak to się najprawdopodobniej odbyło - powiedziała. - A co z sygnetem z West Point?

- Zabij mnie, ale nie wiem.

- Również Fowlerowie?

- Możliwe. Jeszcze jedna przysługa, chociaż tego nie rozumiem, Może wziął go zabójca na pamiątkę? Nie sądzę, by Casey lub St. John pokusili się o coś tak głupiego. A może jednak generał podszedł trochę bliżej do córki, niż nam się przyznał. Wziął bagnet, miał zamiar ją uwolnić, ale zmienił zdanie, zabrał sygnety i powiedział, że przynosi hańbę twemu mundurowi już przez to, że go zdjęła, a potem odszedł - jednak wreszcie zmienił zdanie i pojechał do Fowlerów. Kto to wie? I kogo to tak naprawdę obchodzi?

- Mnie. Muszę wiedzieć, jakie namiętności rządzą ludzkimi działaniami i co się dzieje w sercach ludzi. To ważne, Paul, bo wtedy nasza praca jest czymś więcej niż tylko wykonywaniem instrukcji. Czy chcesz stać się taki jak Karl Hellmann?

Zmusiłem się do uśmiechu.

- Czasami tak.

- Wtedy nie będziesz w stanie określić motywu ani ustalić, kto jest dobry, a kto zły.

- Brzmi całkiem nieźle.

- Nie drocz się.

- Skoro już mówimy o motywach: namiętności, zazdrości i nienawiści, przeczytajmy szybko te papiery.

Pogrążyliśmy się w lekturze. Dowiedzieliśmy się, jakie preferencje seksualne miał William Kent, ale co ważniejsze, dowiedzieliśmy się, że Ann Campbell miała z nim coraz większe problemy.

- Tu jest zapis z zeszłego miesiąca - powiedziałem do Cynthii. Przeczytałem na głos: „Bill znowu zaczyna mnie traktować jak swoją własność. Myślałam, że już sobie z tym poradziłam. Przyszedł dziś w nocy, kiedy był tu Ted Boves. Nie zeszliśmy jeszcze z Tedem na dół, więc obaj napili się drinka w salonie i Bill był bardzo nieprzyjemny, wykorzystując wyższą rangę. Wreszcie Ted wyszedł, a my z Billem pokłóciliśmy się. Powiedział, że gotów jest opuścić twoją żonę i zrezygnować z wojska,

jeśli obiecuję z nim wyjechać, wyjść za niego czy coś w tym rodzaju. Dobrze wie, dlaczego robię to, co robię z nim i innymi mężczyznami, ale najwyraźniej wydało mu się, że między nami jest coś więcej. Ponieważ starał się wymusić na mnie zgodę, powiedziałam mu, żeby się uspokoił. Nawet nie chciał seksu. Tylko rozmowy. Pozwoliłam mu się wygadać, ale nie podobało mi się to, co mówił. Dlaczego niektórzy mężczyźni myślą, że muszą być rycerzami na białych koniach? Ja nie potrzebuję żadnego księcia. Sama jestem własnym księciem, mam własnego smoka i mieszkam we własnym zamku. Reszta to pionki w grze. Bill nie bardzo to pojmuję, nie rozumie, o co chodzi, więc nawet nie staram się mu wytłumaczyć. Powiedziałam, że zastanowię się nad jego propozycją, ale na razie niech przychodzi tylko wtedy, gdy jesteśmy umówieni. To wprawiło go w prawdziwą wściekłość i nawet mnie uderzył, a potem zerwał ze mnie ubranie i zgwałcił na podłodze salonu. Zdaje się, że po tym mu ulżyło i wreszcie wyszedł, przygnębiony. Zdałam sobie sprawę, że może być niebezpieczny, ale nie dbam o to. Prawdę mówiąc, z nich wszystkich tylko on, oprócz Wesa, groził mi i uderzył mnie, i to jest jedyne, co czyni Billa Kenta interesującym.”

Podniosłem wzrok znad kartki, wymieniliśmy z Cynthią spojrzenia. A więc pułkownik Kent był niebezpieczny. Nie ma nie bardziej niebezpiecznego niż sztywny, wykrochmalony kołnierzyk, który zawilgnie od potu pożądania. Już miałem zacząć czytać na nowo, kiedy rozległo się pukanie. Oczekiwałem chorążego Kiefer, ale pojawił się pułkownik Kent. Ciekaw byłem, jak długo stał za drzwiami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Zgarnąłem wydruki i włożyłem je do koperty. Kent patrzył, ale nic nie powiedział.

Miał na głowie hełm. Zazwyczaj nie używa się go we wnętrzach, chyba że jest się pod bronią. Wtedy trzeba mieć hełm na głowie. Interesujące zalecenie, prawdopodobnie wynikające z tego, że gdy ma się bron, nie można trzymać hełmu w rekach, albo hełm na głowie ma z daleka ostrzec ludzi, że jest się uzbrojonym. W kaburze Kenta tkwił rewolwer.

Ja zresztą też byłem uzbrojony, Cynthia podobnie, tylko że nasze pistolety były ukryte, poza tym nie nosiliśmy ostrzegawczych nakryć głowy.

W biurze panował mrok, niewielkie lampki oświetlały tylko blaty biurka. Z miejsca, w którym siedziałem, nie widziałem wyraźnie rysów twarzy Kenta, ale wyglądał ponuro, a może smutno. Przypomniałem sobie, że był przecież w kaplicy obejrzyć ciało.

Zapytał cichym, prawie pozbawionym wyrazu tonem:

- Dlaczego specjalistka Baker wtyka nos w nie swoje sprawy?

Wstałem.

- Wcale nie wtyka nosa w nie swoje sprawy, tylko zbiera informacje, o które ją poprosiłem - wyjaśniłem mu.

- Ja jestem komendantem żandarmerii. Jeśli czegoś potrzebujecie, wystarczy mnie zapytać.

Właściwie miał całkowitą rację. Tyle że w tym wypadku nie miała zastosowania.

- Chodziło o mało ważną administracyjną sprawę, pułkowniku - powiedziałem.

- Nic, co dzieje się w tym budynku, nie jest mało ważne.

- Moim zdaniem kwity parkingowe tak.

- Po co wam one?

- Standardowa procedura. Gdy chce się ustalić, czy jakiś pojazd był w miejscu, które...

- To wiem. Zażądaliście raportów patroli żandarmerii, książki zapisów i nagrań z rozmów radiowych krytycznej nocy. Czy szukacie jakiegoś konkretnego pojazdu?

Właściwie tak. Twojego. Ale odparłem:

- Nie. Gdzie jest Baker?

- Zwolniłem ją z obowiązków i rozkazałem, żeby opuściła budynek.

- Rozumiem. Zamierzam poprosić oficjalnie, byś cofnął ten rozkaz.

- Przydzielę wam innego pracownika. Pod żadnym pozorem nie będę tolerował naruszania zasad bezpieczeństwa wewnętrznego. Złamane zasady, być może przepisy. Omówię to jutro z pracownikami Sądu Wojskowego.

- To oczywiście twoje prawo, pułkowniku. Chociaż myślę, że pułkownik Weems ma w tej chwili inne problemy na głowie.

Kent zdawał się rozumieć, co mam na myśli.

- Kodeks Prawa Wojskowego obowiązuje wszystkich, w tym również was oboje.

- To prawda. Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za to, co zrobiła Baker.

Teraz podniosła się Cynthia.

- Właściwie ja jestem za to odpowiedzialna pułkowniku. To ja wydałam Baker rozkaz.

- Wystarczyło mnie o to najpierw poprosić - powtórzył Kent patrząc na nią.

- Tak jest, sir.

Kent atakował nas w dalszym ciągu, chociaż jakby stracił entuzjazm

- Nie powiedziałem nic, kiedy zabraliście pułkownika Moore'a do aresztu, ale złożę oficjalny raport w sprawie waszego zachowania w stosunku do niego. Nie traktuje się tak oficerów. - Najwyraźniej Kent już myślał o przyszłości, a jego skargi wcale nie dotyczyły pułkownika Moore'a.

- Oficerowie zazwyczaj nie postępują w ten sposób - wyjaśniłem mu, - Obraził swój stopień, profesję i urząd.

- Tak czy owak, mogliście zakazać mu opuszczać fort i przydzielić odpowiednią kwaterę do chwili oficjalnego zakończenia śledztwa.

- Pułkownikowi, tak sobie myślę, że im wyżej się wejdzie, tym boleśniejszy jest upadek. Młody poborowy, który coś spartaczy przez głupotę, niedojrzałość lub to, że ma zielono w głowie, dostaje po niej lekko. Dojrzały oficer, który łamie zasady, powinien zostać przykładowo ukarany.

- Jednak stopień ma swoje przywileje, a jednym z nich jest ten, że oficer nie może zostać uwięziony przed procesem, panie Brenner.

- Ale jeśli łamie się prawo, kara powinna być wprost proporcjonalna do rangi, stanowiska i znajomości prawa. Prawa i przywileje oficerskie pociągają za sobą poważną odpowiedzialność i każde zaniedbanie obowiązków oraz dyscypliny należy ukarać odpowiednio surowo. - Mówię o tobie, Bill, i dobrze to wiesz.

- Przeszłość żołnierska też ma znaczenie - odparł. - Jeśli jakaś osoba zachowywała się honorowo przez dwadzieścia lat... tak jak pułkownik Moore, to powinna być traktowana z honorem i szacunkiem. Sąd Wojskowy zdecyduje, czy i jak ją ukarać.

Patrzyłem na Kenta przez długą chwilę.

- Moim zdaniem oficer, któremu przyznano specjalne przywileje i który złożył przysięgę oficerską, ma obowiązek przyznać się do popełnionego przestępstwa i zwolnić Sąd Wojskowy od smutnego obowiązku wyciągania na widok publiczny wojskowych brudów. Stąd zrodził się stary zwyczaj popełniania samobójstwa za pomocą własnego miecza. Dzisiaj wprawdzie nikt nie jest już takim chojrakiem, ale myślę, że oficer, który popełnił zbrodnię pierwszego stopnia lub splamił honor swój i munduru, powinien się przynajmniej zastanowić, czy nie palnąć sobie w łeb.

- Moim zdaniem jesteś szalony - odparł Kent.

- Prawdopodobnie. Może powinienem porozmawiać z lekarzem od głowy. Charlie Moore naprawi mnie. Na pewno z radością usłyszysz, że wypisałem dla niego nakaz zwolnienia. Teraz pewnie już szuka miejsca na nocleg. Chcesz go znaleźć, to sprawdź oficerskie kwatery Szkoły Operacji Psychologicznych. A tak przy okazji: on myśli, że to generał zamordował córkę. Ja wiem, że nie. Tak więc, ktokolwiek to zrobił i nie przyznaje się, będzie musiał podjąć decyzję, czy pozwoli Moore'owi pójść do FBI i rzucić oskarżenie na uczciwego człowieka. A może ten, kto popełnił zbrodnię, uratuje swój honor i jednak przyzna się do winy?

Spoglądaliśmy na siebie.

- Myślę, że ten, kto to zrobił - powiedział wreszcie Kent - nie uważał, że popełnia przestępstwo. Lubisz gadać o honorze, o dawnych zwyczajach, o prawach i obowiązkach oficerów. Ja idę o zakład, że morderca nie widział powodu, żeby zawracać sobie głowę systemem sprawiedliwości wojskowej, gdy w grę wchodził akt... osąd osobisty i honor. To jest też twoja filozofia, jeśli spojrzysz na nią z innego punktu widzenia.

- Fakt. Niestety żyjemy w czasach prawa i to, co ja czuję, jest tak samo nie do przyjęcia jak twoje teorie. Zajmuję się sprawami morderstw od ponad dziesięciu lat, a ty także sporo ich widziałeś. I prawie w każdym przypadku morderca uważał, że słuszość była po jego stronie. Cywilne ławy przysięgłych też zaczynają ulegać takiemu rozumowaniu. Problem jednak w tym, że jeśli czujesz się usprawiedliwiony, powiedz dlaczego. - W jakiś sposób dotarliśmy bezpośrednio do zaimka ty, co mógł traktować bardzo osobiście. Spojrzał na mnie, potem na Cynthię, wreszcie powiedział:

- Byłem w kaplicy. Nie jestem szczególnie religijnym człowiekiem, ale odmówiłem za nią modlitwę. Nawiasem mówiąc, wyglądała na uspokojoną. Przypuszczam, że dzięki sztuce charakteryzatora, który ją przygotował, ale chciałbym wierzyć, że jej dusza jest znowu wolna i szczęśliwa... - Odwrócił się i wyszedł.

Siedzieliśmy w ciszy mrocznego biura. Wreszcie odezwała się Cynthia:

- No cóż, wiemy, gdzie udręka i męczarnia Ann Campbell umościła się w tym momencie.

- Tak.

- Myślisz, że się przyzna?

- Nie wiem. Zależy od tego, kto wygra batalię, która będzie się toczyć między tą chwilą a świtem.

- Ja nie uznaję samobójstwa, Paul, i nie miałeś prawa nawet wspomnieć mu o tym.

Wzruszyłem ramionami.

- Myśl o samobójstwie jest wielkim pocieszeniem i pozwoliła ludziom przetrwać wiele ciężkich nocy.

- Nonsens.

- Nie, Nietzsche.

- To chore. - Wstała. - Znajdźmy Baker.

- Kiefer. - Podniosłem się także, zabrałem teczkę z wydrukami i wyszliśmy z pokoju, a potem z budynku w noc.

Ze stopni schodów ujrzałem odległe błyskawice, wzmagął się wiatr.

- Nadchodzi sztorm.

- Typowe dla Georgii - odparła Cynthia. I dodała: - Gdyby sztorm rozszalał się dwie noce temu...

- Tak. A jeszcze lepiej: gdyby mężczyźni nie gwałcili, gdyby urzędnicy nie tuszowali spraw, chroniąc swe urzędnicze tyłki, gdyby rodzice potrafili się dogadać z dziećmi i gdyby zemsta nie była tak słodka, a monogamia nakazem biologii i gdyby każdy traktował każdego tak, jak sam chciałby być traktowany, wtedy stracilibyśmy pracę, a w aresztach mogłyby się rozmnażać policyjne psy.

Cynthia objęła mnie ramieniem, zesłiśmy po stopniach do blazera. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, spadły pierwsze krople deszczu.

- Jak znajdziemy Kiefer? - zapytała.

- Kiefer nas znajdzie.

- Gdzie nas znajdzie?

- Tam, gdzie się nas spodziewa. Na kwaterze. - Przekręciłem kluczyk, wrzuciłem bieg i włączyłem światła.

Ponieważ padało coraz mocniej, włączyłem też wycieraczki. Jechaliśmy w milczeniu przez opustoszałą główną ulicę bazy. Na moim zegarku była za dziesięć dwunasta, ale mimo późnej godziny i za krótkiego snu poprzedniej nocy, czułem się świetnie. Po kilku minutach byłem już przed kwaterami i w tej właśnie chwili lunęło jak z cebra. Prawie nie słyszałem sam siebie, kiedy mówiłem do Cynthii:

- Chcesz, żebym cię podwiózł pod drzwi?

Przekrzyknęła szum deszczu:

- Czy chcesz, żebym cię podwiozła pod drzwi?

To jest właśnie przegięcie u tych nowoczesnych kobiet: nie roztopiają się na deszczu. Prawdę mówiąc, mój garnitur wyglądał na znacznie droższy od jej sukienki i już miałem się zgodzić, ale przeczekaliśmy minutę, żeby deszcz nieco ustał, a potem rzuciliśmy się biegiem przez parking.

Był zdrenowany - słowa uznania dla korpusu inżynieryjnego - ale dotarliśmy do drzwi kompletnie przemoczeni. Właściwie było to całkiem przyjemne.

W małym holu siedział młody kapral.

- Był tu policjant z Midland - poinformował mnie - i zostawił pański bagaż, sir.

Otrząsnąłem się.

- Dobrze.

Mój kumpel Burt udowodnił, że można mu wierzyć na słowo.

- Gdzie to jest? - zapytałem. - W moim pokoju, rozpakowane, uprasowane i rozwieszane?

- Nie, sir, stoi tu, na podłodze.

- Ile gwiazdek ma ten hotel, kapralu?

- No, gdyby ktoś o nie występował, pewnie dostalibyśmy coś koło zera.

- Zgadza się. Jakież wiadomości?

- Dwie. - Wręczył mi kartki. Od Kiefer i Seivera. Podszedłem do mojego bagażu, który składał się z dwóch cywilnych walizek, wojskowego worka i torby podręcznej. Cynthia zaproponowała swoją pomoc i wzięła jedną walizkę i torbę. Wdrapaliśmy się po schodach i już po kilku chwilach byliśmy w moim pokoju. Rzuciliśmy bagaże na podłogę.

Cynthia złapała oddech i powiedziała:

- Idę się przebrać. Czy chcesz odpowiedzieć na te telefony?

- Tak. - Powiesiłem marynarkę na oparciu krzesła, usiadłem na łóżku i wykręcając numer, który mi zostawiła Kiefer, zsunąłem buty.

Odezwał się kobiecy głos:

- Pięćset czterdzieści pięć. Kompania Żandarmerii. Słucham.

- Mówi pułkownik Hellmann - powiedziałem trochę dla żartu, a trochę, bo musiałem się jakoś przedstawić. - Czy mogę mówić ze specjalistką Baker.

- Tak jest, sir, już łączę.

Cynthia wyszła, a ja czekałem i ściskając słuchawkę między uchem a ramieniem, ściągałem z siebie mokrą koszulę i krawat, a potem skarpetki i spodnie. Baker-Kiefer wybrała sobie mieszkanie w koszarach, miejsce nie rzucające się w oczy, ale niewygodne. Wiedziałem, że poszedł po nią goniec, co stanowiło wojskowy odpowiednik telefonu w każdym pokoju.

Usłyszałem w słuchawce brzęk, a potem rozległ się głos:

- Tutaj specjalistka Baker, sir.

- Czy może pani mówić?

- Nie, sir, ale zadzwonię do pana z automatu, jak tylko otworzą kabinę. Kwatery oficerskie?

- Zgadza się. - Odłożyłem słuchawkę, usiadłem na podłodze i zacząłem grzebać w walizce w poszukiwaniu szlafroka. Ten skurwiel Burt powrzucał wszystko jak leci, razem z brudnymi rzeczami, butami i przyrządami do golema.

- Skurwiel.

- Kto?

Spojrzałem przez ramię. Cynthia wróciła do pokoju. Miała na sobie jedwabne kimono i wycierała głowę ręcznikiem.

- Szukam szlafroka - wyjaśniłem.

- Poczekaj, musimy to jakoś uporządkować. - Zaczęła układać moje rzeczy, wieszając je w szafie, składać i tak dalej.

Kobiety mają jakiś dar, jeśli chodzi o rzeczy, w ich rękach wszystko zaczyna wyglądać porządnie, podczas gdy mnie nie udaje się powiesić równo pary spodni.

Czułem się nieco głupio, siedząc tak na podłodze tylko w slipach, ale wreszcie znalazłem szlafrok w worku wojskowym i właśnie zawiązywałem pasek, kiedy zadzwonił telefon.

- Kiefer oddzwania - powiedziałem.

Podniosłem słuchawkę.

- Słucham, Brenner.

Ale to nie była Kiefer, tylko Cal Seiver.

- Paul, wpatrywałem się w tę tablicę ze śladami butów, aż prawie oślepiłem i oglądałem odciski, aż prawie dostałem przepukliny. Nie mogę znaleźć żadnego kolejnego dowodu na to, że pułkownik był na miejscu zbrodni wcześniej, niż się do tego przyznaje. Myślałem, że jeśli już wiemy, czego szukamy, sprowadzimy zespół jeszcze raz rano, ale teraz deszcz wszystko zmyje.

- Zostawiłeś na miejscu brezent i pawilon?

- Nie. Może powinienem był, lecz pułkownik Kent obiecał, że zajmie się bezpieczeństwem miejsca i pokryje cały teren rozwiniętym płótnem. Ale byłem tam niedawno i nie ma ani płótna, ani nawet żandarma. Miejsce zbrodni zostało zniszczone.

- Taaa. Na pewno.

- Przykro mi.

- Nie ma sprawy. Czy wysłałeś odlew do Oakland?

- Tak. Śmigłowcem do Gillem, a stamtąd lotem wojskowym na Zachodnie Wybrzeże. Do rana będę coś wiedział.

- Dobrze.

- Ciągłe chcesz tego zespołu od śladów?

- A jak ty myślisz?

- Że wszystko to jedna wielka breja.

- Dobrze, zapomnijmy o tym. I tak mieliśmy dość szczęścia jak na jedną sprawę. Gdzie jest Grace?

- Jak przyklepiona do ekranu. Chciała ci powiedzieć, co znalazła w liście nieboszczki do pani Williamowej Kent. Wciąż interesujesz się Kentem?

- Wciąż. Co jest w tym liście?

- Generalnie chodziło o to, że pułkownik Kent chciałby otrzymać nieco więcej niż platoniczną przyjaźń, jaką mu ofiarowuje Ann Campbell, i czy pani Kent byłaby tak miła i porozmawiała ze swoim mężem, zanim ona - to znaczy kapitan Campbell - będzie zmuszona złożyć oficjalne zażalenie. Sugerowała wręcz postawienie Kenta przed sądem. - I dodał: - Nie chciałbym, żeby moja żona dostała coś takiego.

- Jaka jest data na liście?

- Poczekaj.

Przyglądałem się Cynthii, która rozdelała przybory toaletowe od bielizny. Co za skurwiel z tego Burta. Usłyszałem głos Cala na linii:

- Dziesiąty sierpnia.

Jedenaście dni temu. A więc pani Kent opuściła Wzgórze Bethany właśnie po otrzymaniu listu. Najwyraźniej został napisany w reakcji na nie zapowiedzianą wizytę Kenta w domu Ann Campbell, jeśli już pominąć jego niewłaściwe zachowanie w stosunku do jej chłopaka z tego dnia i gwałt. Mój Boże. Więc jednak Ann Campbell zdecydowała się zrobić coś w sprawie Kenta, ale trzymała w rękach materiał wybuchowy, a ten list był detonatorem.

- Potrzebuję kopii listu - powiedziałem do Cala. - Zatrzymaj ją dla mnie.

- Dobrze. Poza tym trzech dżentelmenów z Federalnego Biura zjawilo się tu pół godziny po twoim wyjściu.

- Czy byli czarujący?

- Nie mogli zachować się grzeczniej. Komplementowali mnie za to, co zebrałem w hangarze, dziękowali za każdy skatalogowany odcisk palców. Kręcili się tu prawie godzinę. Grace udawała, że śpi. Jeden zaczął bawić się komputerem, ale dyskietkę miała Grace. Powiedzieli, że będą rano z własną ekipą.

- Dobrze. Do południa ich nie wpuszczaj. Coś jeszcze?

- Nie. Jest późno, pada, zbyt mokro na grzebanie się w ziemi, a za bardzo jestem zmęczony, żeby tańczyć.

- Dobrze. Skontaktuj się z tym facetem z Oakland. Cała sprawa zależy teraz od tego, który odcisk był wcześniejszy. Porozmawiamy jutro. - Odłożyłem słuchawkę i zrelacjonowałem Cynthii rozmowę, pomagając jej uporządkować resztę rzeczy.

Od czasu do czasu miewałem przyjaciółki, które mieszkały ze mną. Lubię mieć na krótko w domu kobietę. Dzielą się one na dwie kategorie: porządnickie i bałaganiary. Prawdopodobnie jest jeszcze trzecia kategoria: megier, które starają się zmusić cię, byś sam wszystko zrobił, ale jakoś nigdy na taką nie trafiłem. Co dziwniejsze, nie jestem w stanie powiedzieć, czy wolę te bałaganiary, czy porządnickie, przynajmniej dopóki nie próbują wybierać mi ubrań. To kobiety żywią i leczą, a wszyscy mężczyźni to mniej lub bardziej psychicznie chorzy pacjenci, którymi trzeba się zajmować. Kiedy ludzie działają zgodnie z wyznaczonymi im rolami, wszystko kręci się tak jak trzeba. Ale oczywiście nikt nie jest ideałem, więc po jakichś sześciu, powiedzmy siedmiu dobrych miesiącach odkrywacie oboje, czego nawzajem u siebie nie możecie znieść i cała scena z rozpakowywaniem przebiega jak na cofniętym filmie, a potem trzaskają drzwi.

Cynthia złożyła ostatnią parę skarpet i powiedziała do mnie:

- Kto ci pierze i prasuje rzeczy?

- Mam kogoś w rodzaju gospodyni. Pilnuje też domu, kiedy mnie nie ma.

- Czy jesteś typem bezradnym?

- Chyba tak, wobec ubrań i igły z nitką na pewno. Ale umiem przeszukać teren, a także rozłożyć i złożyć M-16 w trzy minuty.

- Ja też.

- Świetnie. Mam w domu jeden, który wymaga oczyszczenia.

Zadzwoił telefon, dałem znak Cynthii, żeby go odebrała. To była Kiefer. Poszedłem do łazienki i wysuszyłem włosy ręcznikiem. Cynthia ułożyła moje przybory toaletowe, więc uczesałem włosy, umyłem zęby i ściągnąłem slipy pod szlafrokiem. Jest tylko jedna przyjemniejsza czynność na świecie.

Wrzuciłem slipy do kosza na brudy i wróciłem do sypialni. Cynthia siedziała na brzegu łóżka, wsłuchana w głos w słuchawce, ze skrzyżowanymi nogami, wolną ręką masując się po łydce.

Cynthia, jak już zauważyłem w przeszłości, ma dobre nogi.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie, a do słuchawki powiedziała:

- W porządku, dziękuję, dobra robota. - Odłożyła słuchawkę i wstała.

- No cóż, Kiefer trafił się interesujący smakołyk. Wygląda na to, że pani Kent jeździ czarnym džipem cherokee i znana jest w żargonie żandarmów jako Bat Lady, a na jej samochód mówią Batmobile. Kiefer wysłuchała jednego nagrania odnoszącego się do Batmobile. Jakiś nie zidentyfikowany patrol podał wiadomość. „...Batmobile z Pożądliwą Szóstką zaparkowany na parkingu przed biblioteką. Czuj duch.” To typowe ostrzeżenie przed dowódcą. A na wypadek, gdybyś nie skojarzył, biblioteka jest naprzeciwko dowództwa.

- Zgadza się. O której to było godzinie?

- Zero trzydzieści dwie. A około pierwszej Ann Campbell opuściła dowództwo, wsiadła do łazika i odjechała na strzelnicę numer sześć. Co robił Kent w samochodzie swojej żony po przeciwnej stronie ulicy?

- To, co każdy zakochany. Po prostu siedział i wpatrywał się w okno.

- Może miał na myśli coś mniej grzecznego?

- Może. Chociaż mógł po prostu zastanawiać się, czy nie wpaść, żeby powiedzieć jej „cześć”. Albo miał nadzieję, że St. John wyjdzie w jakiejś sprawie. Lub że to samo zrobi obiekt jego westchnień, co się zresztą stało.

Cynthia podciągnęła nogi pod siebie i usiadła w pozycji zbliżonej do lotosu. Nie wiem, jak ludzie mogą tak siedzieć. Ja zająłem jedyne w pokoju krzesło, ustawiłem je przodem do łóżka. Zauważyłem, że ona ma wciąż na sobie majteczki. Skromnie obciągnęła kimono.

- Gdyby moja żona dostała taki list od mojej dziewczyny - powiedziałem - szlag by mnie trafił i trzymałbym się od niej na dystans. Z drugiej jednak strony, gdyby moja żona wyjechała z miasta z powodu listu, a moja dziewczyna pracowałaby do późna, nie miałbym zahamowań, aby próbować złapać z nią kontakt.

- Mówisz zupełnie tak, jakbyś tam był.

- Posłuchaj, każdy z nas tam był.

- Ja nie - powiedziała Cynthia - poza tym jednym razem w Brukseli, a wtedy włożyłam ci w oczy, żebyś mnie wreszcie zauważył.

- Prawdopodobnie zauważyłem cię wcześniej, niż myślisz, tyle tylko że zapowiadałaś kłopoty.

- Bez komentarza. - Zadumała się (pewnie pozycja lotosu nastraja do kontemplacji), a potem powiedziała: - Najwyraźniej ją śledził.

- Właśnie. Może nawet zaczął ją już na parkingu, gdy wyszła. Tego nie wiemy.

- Gdyby za nią jechał, zauważyłaby przecież samochód.

- Jechał wozem swojej żony.

- Czy Ann wiedziała, czym jeździ pani Kent?

- Każda narzeczona zna samochód żony - odpowiedziałem. - Ale na terenie bazy jest dość dżipów, żeby przetransportować cały batalion, więc tym razem bym na jej wiedzę nie liczył. Fowlerowie też mają cherokee.

- Mimo wszystko, Paul, jak daleko mógł Kent jechać za nią, nie wzbudzając podejrzeń?

- Nie za daleko. Ale wystarczająco. - Wstałem, poszperałem w bocznej kieszeni torby z przyborami toaletowymi i znalazłem tam pisak. Między oknami znajdował się spory kawałek białej ściany, więc zacząłem rysować. - Popatrz, droga biegnie z centrum bazy na południe i kończy się ślepo przy ostatniej strzelnicy, po mniej więcej pięciu kilometrach. Są tylko dwa zakręty. Pierwszy tutaj, na Drogę Generała Pershinga, w lewo. Drugi pół kilometra dalej, w prawo, na Pole Jordana. - Narysowałem to na ścianie. - Powiedzmy, że jechał za nią w normalnej odległości z zapalonymi światłami, zobaczył, że nie skręciła w Drogę Generała Pershinga. Nie skręciła także w drogę prowadzącą na Pole Jordana, ale on wiedział, że musi tam skręcić, gdyż w przeciwnym wypadku ona zorientuje się, że jest śledzona. Zgadza się?

- Jak dotąd.

- Więc on skręca w stronę Pola Jordana, ona widzi to we wstecznym lusterku i oddycha z ulgą. A Kent teraz wie, że Ann jest na drodze prowadzącej do strzelnic i może tylko pojechać naprzód i z powrotem. Zgadza się?

Przyjrzała się moim bazgrołom na ścianie i pokiwała głową.

- W porządku. I co on wtedy robi? Jedzie za nią bez świateł? Idzie? Czeka?

- No cóż... Co ja bym zrobił na jego miejscu? Jest księżycowa noc i samochód, nawet z wygaszonymi światłami, można zobaczyć z kilkuset metrów. Poza tym dodaj jeszcze hałas silnika i światło wewnętrzne, które zapala się, kiedy otwierasz drzwi, światła hamulcowe. To też widać z pewnej odległości. Jeśli chcesz zachować bezpieczeństwo, pozostaje marsz albo bieg. On wrzuca więc napęd na cztery koła i wjeżdża między sosny w miejscu, gdzie droga na Pole Jordana i Droga Strzelnic się krzyżują. Wysiada i rusza na piechotę na południe Drogą Strzelnic.

- To tylko założenie.

- Częściowo. A po trosze intuicja i dedukcja oraz logiczne rozwiązanie przeciętnego problemu polowego. Wszyscy przechodziliśmy tę samą szkołę i wszyscy mieliśmy te same nocne ćwiczenia. Musisz wziąć pod uwagę zadanie, pogodę, odległość, czas, bezpieczeństwo i tak dalej, i dokonać wyboru: czy zostać ze zmotoryzowanym środkiem transportu, czy wysiąść z niego i ukryć go w buszu.

- Niech będzie, że on wysiada i idzie lub biegnie.

- Właśnie. Do tego czasu mamy już jakąś pierwszą piętnaście, pierwszą trzydzieści. Pułkownik Moore przyjechał i czeka na Ann Campbell. To jedno przynajmniej wiemy na pewno. Nikt jeszcze nie dzwonił do generała Campbella. Kent biegnie drogą, wypatrując przed sobą świateł łazika. Ale w pewnym momencie Ann je gasi. Teraz już jest na strzelnicy razem z pułkownikiem Moore'em. Rysuję X, by oznaczyć strzelnicę numer sześć.

Cynthia, wciąż siedząca na łóżku, najwyraźniej niewiele sobie robi z mojej kartografii. Pyta:

- O czym teraz myśli Bill Kent? Co jest jego celem?

- No... bardzo go ciekawi, dlaczego przyjechała tutaj. Chociaż... mogła przecież sprawdzać ostatni posterunek. Jeśli tak, kiedy będzie z niego wracała, on stanie na drodze, zatrzyma ją i będą mogli porozmawiać. Gwałt sprzed kilku tygodni zasmakował mu i ma ochotę go powtórzyć.

- Ona jest uzbrojona.

- On też. Zresztą nawet w nowoczesnych związkach nie straszy się narzeczonych rewolwerem. Zwłaszcza kiedy one są również uzbrojone. Jednakże on uważa, że sobie poradzi. Może rzeczywiście po prostu chciał z nią pogadać.

- Może. Ale ja nie chciałabym spotkać eks-kochanka na opustoszałej drodze. Uciekałabym co siłą.

- Zapamiętam to. Lecz on nie wie, jak reagują kobiety. Nie potrafi wyobrazić sobie, co kobieta czuje, gdy się ją śledzi i napada na nią. Wszystko, co wie, to że są kochankami i że ten związek jest dla niego ważny. Jego żona wyjechała, a on jest podniecony i chory z miłości. Chce porozmawiać. Choć tak naprawdę to chce seksu, wszystko jedno w jakiej formie. Właściwie można powiedzieć, że jest opętany seksem.

- Więc idzie pustą, ciemną drogą, wypatrując jej łazika.

- Właśnie. Coś innego jeszcze przychodzi mu do głowy. Że ona ma romantyczne spotkanie z kimś innym. To pasowałoby do charakteru Ann Campbell i serce Billa Kenta mocniej bije na samą myśl, że przyłapie ją na gorącym uczynku. Ogarnia go szal z zazdrości. Czy twoim zdaniem ma to sens?

- Jeśli ty to mówisz...

- W porządku. Teraz mamy mniej więcej drugą piętnaście, a pułkownik Moore zadzwonił do generała Campbella z nagraniem wiadomością, związał Ann Campbell i czeka w pobliżu latryn na pojawienie się generała. Bill Kent idzie swoją drogą. Wie, że światła samochodu zobaczy w ciemności przynajmniej na dwieście metrów. Droga jest prosta, więc samochód jadący - powiedzmy - dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę znalazłby się w minutę koło niego, chyba że ostrzegą go zbliżające się światła. Więc co trzydzieści sekund odwraca się przez ramię i patrzy za siebie. Mniej więcej o drugiej piętnaście rzeczywiście widzi za sobą światła, chowa się więc do rowu na poboczu drogi i czeka, by samochód przejechał.

- Myśli, że to jej kochanek.

- Prawdopodobnie. Jakoś perwersyjnie pragnie ją złapać in flagranti. Naładowało go wyrzucenie majora Bowesa z domu Ann, a potem jej zgwałcenie. To bardzo pokrzywiony i nierozumny mężczyzna, który myśli, że Ann Campbell zareaguje pozytywnie na jego męską agresję, lśniąca zbroję i zabijanie dla niej smoka. Zgadza się?

Skinęła głową.

- Jest taki typ. Połowa gwałcicieli, których przesłuchiwałam, twierdziła, że kobiety to lubią. Żadna tego nie potwierdziła.

- Właśnie. Ale by oddać choć trochę sprawiedliwości Billowi Kentowi, Ann Campbell nigdy go nie zniechęcała.

- Prawda. Jednak list do żony powinien go przekonać, że między nimi już koniec. Lecz nie przekonał, gdyż Kent jest tak samo szalony jak ona. Widzi samochód, który go mija...

- Tak. Jadący drogą na włączonych światłach o godzinie drugiej piętnaście. To są właśnie światła, które zobaczyła Robbins. Moore przejechał ostatnie pół kilometra na zgaszonych światłach, tak samo Ann Campbell. Tylko generał miał włączone światła. Kiedy samochód generała przejechał, Kent podniósł się na jedno kolano. Mógł rozpoznać buicka pani Campbell, choć niekoniecznie.

- Tak więc mamy dwóch mężczyzn z zasadami: pułkownika Kenta i generała Campbella przemykających się nocą w samochodach swoich żon.

- Gdyby każdy na terenie jednostki znał twój służbowy samochód i nazywał cię w rozmowach radiowych Pożądliwą Szóstką, może też byś szukała innego środka transportu.

- Może po prostu siedziałabym w domu. Dobrze. Teraz Kent przyspiesza kroku. W tym samym

czasie Moore wraca biegiem na strzelnicę numer pięć, a potem odjeżdża na północ Drogą Strzelnic, z powrotem do centrum. Ale twierdzi, że nie widział idącego w jego stronę Kenta.

- Nie - odparłem - Kent albo minął już strzelnicę numer pięć, albo zauważył światła samochodu wyjeżdżającego ze zwirowanego parkingu i znowu schował się w rowie. Teraz Kent jest już pewien, że jego dziewczyna umówiła się z całą procesją kochanków, jeden co dwadzieścia minut. A może jest speszony tą sytuacją?

- Speszony czy nie - odparła Cynthia - stawia na najgorszy wariant. Nie przychodzi mu do głowy, że ona albo może po prostu wykonywać swoją pracę, albo że jest w niebezpieczeństwie, albo że te dwa samochody w ogóle nie mają z nią nic wspólnego. Jest pewien, że ona się tam pieprzy. Czy to byś właśnie pomyślał na jego miejscu?

- Jasne, jakem samiec. Myślę za wiele moją małą główką, a za mało dużą.

Mimo wszystko Cynthia nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Dobrze, wystarczy. Mów dalej...

Usiadłem znowu na krześle i zastanawiałem się przez chwilę.

- W porządku... teraz właśnie nadchodzi ten moment, o którym nic nie wiemy... Kent staje na zakręcie, gdzie łączą się strzelnice pięć i sześć, patrzy przed siebie i widzi w świetle księżyca dwa samochody zaparkowane przy drodze. To łazik i buick, który wcześniej go mijał. Wiemy, że do tego czasu rozwinęła się dyskusja między generałem a jego córką, a może się już nawet skończyła.

- Tak czy owak Kent stoi, gdzie stał.

- Tak, wiemy na pewno, że Kent nie włączył się w ich rozmowę. Przyglądał się z pewnej odległości - powiedzmy dwustu lub trzystu metrów - i może coś nawet usłyszał, ponieważ wiatr wiał z południa. Ale postanowił nie robić z siebie kompletnego durnia i nie ryzykować konfrontacji z innym mężczyzną, który mógł być na dodatek uzbrojony.

- Albo - powiedziała Cynthia - rozmowa między generałem a jego córką skończyła się już, i generał wrócił do swego samochodu.

- Całkiem możliwe. W takiej sytuacji buick generała jechałby w stronę Kenta na zgaszonych światłach i on musiałby jeszcze raz chować się do rowu na poboczu. Tylko tak mogło się to odbyć, ponieważ ani Moore, ani generał nie widzieli żadnego pojazdu.

- A kiedy generał odjechał, Bill Kent podniósł się i ruszył w stronę łazika Ann Campbell.

- Tak. Szedł bardzo szybko, może z wyciągniętym pistoletem, gotów na wszystko - gwałt, miłość, pojednanie lub morderstwo.

Siedzieliśmy przez chwilę, ona na łóżku, ja na krześle i wsłuchiwalismy się w odgłos deszczu na zewnątrz. Zastanawiałem się i myślę, że Cynthia też, czy nie ukęciliśmy właśnie stryczka na szyję

niewinnego człowieka. Ale jeśli nawet brakowało kilku szczegółów, on sam powiedział czy zasygnalizował nam, że to zrobił. W jego tonie, zachowaniu, oczach była prawda. Ale mówił też, że ona zasłużyła na to i że nigdy nie udowodnimy jego winy. Mylił się.

Cynthia zrezygnowała z pozycji lotosu i przerzuciła nogi przez krawędź łóżka.

- I w ten sposób Kent znalazł Ann Campbell unieruchomioną na strzelnicy numer sześć, prawdopodobnie zapłakaną, więc pomyślał, że została zgwałcona albo że po prostu czeka na kolejnego przyjaciela.

- Tak... kto wie, co się wtedy stało. Na pewno jednak podszedł do niej powoli, tak jak opisał to Cal Seiver, i uklęknął obok. Ale jej nie uszczęśliwił jego widok.

- Musiała się przerazić.

- Nie... to nie ten typ. Ale wiedziała, że jest w słabszej pozycji. On coś powiedział, ona coś powiedziała. Głowę miała nabitą tym, że ojciec ją porzucił, może nastawiała się na długie czekanie, bo dopiero o siódmej miała przejeżdżać ciężarówka ze strażnikami. Może sądziła, że zrewanżuje się tatusiowi za tę drugą zdradę, jeśli jego nagą córeczkę znajdzie grupa dwudziestu strażników.

Cynthia skinęła głową.

- Ale chyba wiedziała, że ojciec wreszcie uzmysłowi sobie to samo i będzie musiał wrócić, żeby temu zapobiec. Tak czy owak chciała, by Kent sobie poszedł.

- Prawdopodobnie. On nie mieścił się w jej scenariuszu. Zobaczył wbity w ziemię bagnet - zrozumiał, że generał go nie wziął - i zaoferował się, że przetnie więzy. Albo uznał, że ona nie może uciec przed rozmową z nim, więc zapytał, co się dzieje, albo poprosił, by wyszła za niego za mąż czy coś takiego, i tak dialog rozwinął się, a Ann, która często bywała przywiązana do kolumnienek swego łóżka w piwnicy, nie tyle bała się czy czuła zakłopotanie, co raczej była niezadowolona i zniecierpliwiona. My po prostu nie wiemy, jakie słowa tam padły, co się tam działo.

- Nie, nie wiemy. Ale wiemy za to, jak się ta rozmowa skończyła.

- Tak. Mógł zaciągnąć linę, żeby uważnie go słuchała, mógł ją nawet stymulować seksualnie, sztuczka, której nauczył się od niej... ale w którymś momencie nie mógł przestać ciągnąć.

Siedzieliśmy dobrą minutę, odtwarzając to jeszcze raz w myślach. Wreszcie Cynthia wstała.

- Tak to się mniej więcej stało. Potem wrócił na drogę, uświadomił sobie, co zrobił, i wrócił biegiem do swego dżipa. Mógł biec do niego, zanim jeszcze Fowlerowie wybrali się w drogę i dotarł do Wzgórza Bethany właśnie wtedy, gdy tamci wyjeżdżali. Mógł się nawet z nimi minąć. Zamknął samochód swojej żony w garażu, wszedł do domu, prawdopodobnie ogarnął się, a potem czekał na telefon od żandarmów. - I dodała: - Ciekawe, czy zdołał zasnąć.

- Nie wiem. Kiedy zobaczyłem go parę godzin później, wyglądał na pozbieranego, chociaż gdy teraz się nad tym zastanawiam, myślami był jakby gdzie indziej. Odgrodził się od zbrodni,

kryminaliści zazwyczaj tak robią podczas kilku pierwszych godzin. Ale to do mego wraca.

- Czy możemy coś z tego udowodnić?

- Nie.

- Więc co zrobimy?

- Doprowadzimy do konfrontacji. Nadszedł czas.

- Zaprzeczy wszystkiemu i pójdzie sobie szukać pracy w sektorze cywilnym.

- Prawdopodobnie. Ale wiesz co? Możemy się mylić.

Cynthia przemierzała pokój długimi krokami, bijąc się z myślami.

Nagle stanęła.

- A co byś powiedział na odszukanie miejsca, gdzie zaparkował dzipa?

- Tak, słońce wstaje o piątej trzydzieści sześć. Czy mam do ciebie zadzwonić, czy cię szturchnąć?

Nie zwracając na to uwagi powiedziała:

- Ślady opon będą zmyte, ale jeśli połamał gałęzie, zobaczymy, w którym miejscu zjechał z drogi.

- Masz rację. To by rozwiało pewne wątpliwości. Ale nadal pozostanie ich aż za wiele.

- Może znajdziemy jakieś gałązki albo igły przyczepione do samochodu, które pasują do zniszczonych roślin.

- Moglibyśmy znaleźć, gdyby facet był idiotą, ale nie jest. Ten dziup będzie tak samo czysty jak łazik, który czeka na inspekcję głównego intendenta.

- Niech to.

- Musimy stawić mu czoło i to w najlepszym pod względem psychologicznym momencie... jutro, po pogrzebie. To jest nasza pierwsza, ostatnia i jedyna szansa wydobywania z niego zeznania.

- Jeśli w ogóle ma zamiar mówić, to tylko wtedy - zgodziła się Cynthia. - Jeśli chce zrzucić ciężar z piersi, porozmawia z nami, nie z FBI.

- Właśnie.

- Czas do łóżka. - Sięgnęła po telefon i poprosiła dyżurnego, żeby obudził nas o czwartej, co dawało mi trzy godziny na sen, gdybym w tej sekundzie usnął. Ale miałem inny pomysł.

- Weźmy razem prysznic, to zaoszczędzimy czasu.

- Ale...

Źle. Mój ojciec powiedział kiedyś: „Kobiety kontrolują siedemdziesiąt procent majątku tego kraju i sto procent miodu”. Oboje z Cynthią byliśmy nieco wstydlivi, jak to eks-kochankowie, którzy próbują znowu się zejść. A wszystkie te rozmowy o gwałtach na pewno nie poprawiły nam nastroju. Wicie, o co mi chodzi, nie było muzyki ani szampana, ani świec. Był tylko duch Ann Campbell, świadomość, że jej morderca śpi na Wzgórzu Bethany i dwoje wykończonych ludzi z daleka od domu. - Może to nie najlepszy pomysł - powiedziałem.

- Nie, nie najlepszy. Poczekajmy, żeby ta chwila stała się naprawdę szczególna. Ten weekend u ciebie. Będziemy zadowoleni, te czekaliśmy.

Zgoda, jestem wstrząsająco szczęśliwy, że muszę czekać. Ale nie byłem w nastroju ani do kłótni, ani do uwodzenia. Więc ziewnąłem i odrzuciłem narzutę na łóżku.

- *Bon soir*, jak to się mówi w Brukseli.

- Dobranoc...

Ruszyła w stronę łazienki i tak samo jak poprzedniej nocy, odwróciła się. Powiedziała:

- Coś, na co warto czekać.

- Właśnie. Zgasłem lampę, zrzuciłem szlafrok i wpełznąłem pod kołdrę.

Słyszałem w łazience szum prysznica, słyszałem na zewnątrz szum deszczu, słyszałem jakąś parę chichoczącą w korytarzu. Telefonu o czwartej nie usłyszałem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Cynthia była ubrana, słońce zaglądało do okna i czułem zapach kawy.

Przycupnęła na skraju mojego łóżka i kiedy podciągnąłem się do pozycji siedzącej, podała mi

filiżankę.

- Na dole jest bar.

- Która godzina? - zapytałem.

- Tuż po siódmej.

- Siódmej? - Już miałem się zerwać z łóżka, ale przypomniałem sobie w porę, że jestem całkiem nagi. - Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Ile osób potrzeba do oglądania połamanych krzaków?

- Byłaś tam! Znalazłaś coś?

- Tak. Jakiś pojazd z całą pewnością zjechał z drogi prowadzącej na Pole Jordana, pięćdziesiąt metrów od Drogi Strzelnic. Pozostawił koleiny, chociaż ślady opon zmył deszcz. Ale krzaki są stratowane, a na dodatek kora zdarta z sosny.

Sączyłem kawę i usiłowałem oprzytomnieć. Cynthia miała na sobie niebieskie dzinsy i białą tenisową koszulkę. Wyglądała naprawdę dobrze.

- Obdarta kora? - powtórzyłem pytająco.

- Tak. Więc pojechałam na Pole Jordana i obudziłam biednego Cala. Wziął ze sobą technika, wrócili ze mną na miejsce i odcięli zniszczoną część drzewa.

- 1?

- Wróciliśmy do hangaru i pod szkłem powiększającym obejrzelśmy ślady farby. Cal wysłał próbki drewna do Fortu Gillem. Przyznałam mu się, że podejrzewamy czarnego dżipa cherokee, powiedział, że da się to stwierdzić, musi się jednak skontaktować z producentem samochodów albo porównać próbki farb.

- Tak. Poza tym znajdziemy rysy na samochodzie pani Kent.

- Mam nadzieję. Wtedy będziemy już mieli dowód potwierdzający naszą rekonstrukcję działań Kenta.

- Właśnie. - Ziewnąłem i odkaslnąłem. - Niestety, jeśli jest to farba z czarnego dżipa cherokee, dowodzi to tylko tego, iż dżip cherokee obtarł w tym miejscu drzewo. Ale to upewnia mnie, że mamy rację.

- Mnie też.

Skończyłem kawę i odstawiłem filiżankę na nocny stolik.

- Chciałem, żeby mnie obudzono. Próbowałaś to zrobić?

- Nie. Spałeś jak zabity.

- No... niech będzie. Dobra robota.

- Dzięki. Przy okazji zawiozłam twoje buty do hangaru. Cal dopasował je do niezidentyfikowanych odcisków i mógł oznaczyć twoje ślady na szkicu.

- Dzięki. Czy jestem podejrzany?

- Jeszcze nie. Ale Cal musi wykluczyć twoje odciski.

- Czy buty wypastowałaś?

Zignorowała pytanie.

- Cal dostał program z Fortu Gillem i teraz komputer w hangarze może pokazać drogę każdej zidentyfikowanej i niezidentyfikowanej osoby. Opowiedziałam mu, co właściwie wydarzyło się tamtej nocy. - Wstała i podeszła do okna. - Deszcz ustał. Słońce świeci. Dobra pogoda na żniwa. I na pogrzeb.

Zauważyłem na łóżku skrawek papieru i podniosłem go. Był to komputerowy wydruk listu Ann Campbell do pani Kent. Zaczynał się tak:

Droga pani Kent,

Piszę do Pani w związku z sytuacją, jaka powstała między Pani mężem a mną.

A kończył się jak następuje:

Szanuję Pani męża jako oficera, lecz prywatnie mnie on nie interesuje. Może powinien poszukać pomocy u specjalisty od problemów rodzinnych, sam albo z Panią, lub wystąpić o przeniesienie czy zwolnienie ze służby. Chodzi mi tylko o jego karierę, reputację oraz moją reputację. Chcę uniknąć choćby pozoru niestosownych zachowań w jednostce, której dowódcą jest mój ojciec.

Pozostaję z szacunkiem, Ann Campbell

Powtórzyłem na głos:

- Pozoru niestosownych zachowań w jednostce, której dowódcą jest mój ojciec. - O mało się nie roześmiałem, a kiedy Cynthia spojrzała na mnie, uznałem za stosowne skomentować. - To była baba z jajami. Trzeba jej to oddać.

Rzuciłem list na szafkę.

- Na pewno Kent widział oryginał listu. Musiał się nieźle wściec. A tak przy okazji, czy Cal miał wiadomość od tego faceta z Oakland?

- Jeszcze nie.

- Dobrze, mam zamiar teraz wstać, ale świecić mogę tylko nagością.

Cynthia rzuciła mi szlafrok i odwróciła się w stronę okna. Wstałem, owinąłem się w ręcznik i poszedłem do łazienki. Przez szum lecącej wody niewiele było słychać, ale po jakiejś minucie, gdy właśnie się goliłem, Cynthia wsadziła głowę i powiedziała:

- To był Karl.

- Czego chciał?

- Chciał wiedzieć, czy zadzwonił do właściwego pokoju.

- Aha.

- Jest w Atlancie. Będzie tu około dziesiątej.

- Oddzwoń do niego i powiedz, że właśnie rozszalało się tornado.

- Już jest w drodze.

- Świetnie. - Skończyłem się golić i zacząłem myć zęby. Cynthia wróciła do mojego pokoju. Kiedy zakręciłem kurek prysznic, usłyszałem, że tym razem telefon dzwoni u niej. Ponieważ raczej nie mogła go słyszeć, wetknąłem głowę przez drzwi do swego pokoju, ale właśnie rozmawiała z mojego telefonu. W przekonaniu, że sprawa jest oficjalna i bardzo ważna, przeszedłem do jej pokoju i podniosłem słuchawkę.

- Halo?

- Kto mówi? - zapytał męski głos.

- A kim pan jest?

- Mówi major Sholte. Co robi pan w pokoju mojej żony?

Dobre pytanie. Mogłem powiedzieć, że dyżurny połączył go nie z tym pokojem, co trzeba, mogłem powiedzieć wiele różnych rzeczy, ale wyrwało mi się co innego:

- Właściwie robię to samo, co w Brukseli.

- Co? Kto u diabła... Brenner? Czy to Brenner?

- Do usług, majorze.

- Ty skurwielu. Już nie żyjesz. Wiesz o tym, Brenner? Nie żyjesz.

- Miał pan swoją szansę w Brukseli. Tylko tę jedną szansę.

- Ty skurwy...

- Pani Sunhill nie ma. Czy mam jej przekazać jakąś wiadomość?

- Gdzie ona jest?

- Pod prysznicem.

- Ty skurwielu.

Dlaczego facet był tak zdenerwowany, jeśli rozwodził się i miał dziewczynę? No cóż, mężczyźni bywają zabawni, swoje były żony traktują jak własność, nawet po rozwodzie. Czy rzeczywiście? Nie, coś tu nie grało i czułem, że popełniam jakiś poważny błąd.

- Leżysz już dwa metry pod ziemią, Brenner, i to ja cię nią zasypuję - powiedział major Sholte.

Interesująca metafora.

- Czy pan i Cynthia rozwodzicie się? - zapytałem go.

- Rozwód? Co pan pieprzysz? Dawaj tę kurwę do telefonu!

- Separacja?

- Daj ją do tego cholernego telefonu. Już!

- Proszę poczekać. - Położyłem słuchawkę na łóżku i zadumałem się. Życie naprawdę potrafi niekiedy dołożyć, i kiedy coś pójdzie lepiej i nastroi cię optymistycznie, gdy poczujesz, że lekko ci na sercu, a nogi same cię niosą, ktoś raptem rzuca przed nie kłody i lądujesz znowu na tyłku. Podniosłem słuchawkę i powiedziałem:

- Powiem jej, żeby oddzwoniła do pana później.

- Lepiej, żebyś to zrobił, ty pieprzony...

Odłożyłem słuchawkę na widełki i wróciłem do wspólnej łazienki. Zrzuciłem ręcznik i wszedłem znowu pod prysznic. Cynthia stanęła w drzwiach i starała się przekrzyczeć szum wody.

- Dzwoniłam do Szkoły Operacji Psychologicznych. Pułkownik Moore tam właśnie spędził noc. Zostawiłam dla mego wiadomość, żeby spotkał się z nami za godzinę w komendzie żandarmerii. W porządku?

- W porządku.

- Naszykowałam ci mundur. Powinieneś być w mundurze na pogrzebie.

- Dzięki.

- Idę się także przebrać w mundur.

- Dobrze.

Widziałem przez szybę, jak szła do swego pokoju. Kiedy jej drzwi zamknęły się, zakręciłem prysznic i wyszedłem z kabiny.

Zanim wybiła ósma, byliśmy ubrani w galowe mundury i podjeżdżaliśmy moim blazerem pod budynek żandarmerii.

- Czy coś cię martwi? - zapytała Cynthia.

- Nie.

W biurze wypilem kolejną filiżankę kawy, a potem przejrzałem pozostawione dla mnie wiadomości. Pojawił się pułkownik Moore. Wyglądał na nieco złachmanionego, chociaż też był ubrany galowo na pogrzeb. Zdołał skądś wytrzasnąć parę butów. Cynthia zaproponowała mu, by usiadł.

- Pułkowniku - powiedziałem bez wstępów - mamy powody podejrzewać, że to pułkownik Kent zamordował Ann Campbell.

Patrzył zdziwiony bez słowa.

- Czy to pasuje? - zapytałem go.

Zastanowił się nad tym.

- Zaczynał stanowić problem - odpowiedział - ale...

- Co Ann mówiła na jego temat?

- No... wydzwaniał do niej o różnych porach dnia i nocy, pisał do niej listy, wpadał bez zapowiedzi do domu i biura.

No właśnie.

- A tej nocy, kiedy została zamordowana, gdy pan do niej dzwonił do dowództwa, czy wspomniała coś na jego temat? Może widziała go albo dzwonił do niej?

Znowu chwilę pomyślał:

- Powiedziała, że nie pojedzie swoim BMW, tak jak to planowaliśmy na początku. Kazała mi wyglądać łazika. Mówiła, że Bill Kent znowu ją niepokoił, a w łaziku będzie zwracała mniej uwagi. Chciała, żeby widział jej samochód zaparkowany przez całą noc przed dowództwem. To oznaczało problem, ponieważ w jej samochodzie był telefon, a ja miałem telefon przenośny. Chcieliśmy być w kontakcie. Ale to nie był taki znowu duży kłopot, więc pojechała na strzelnicę łazikiem i spotkaliśmy się zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

- Czy mówiła coś na temat Kenta, kiedy się spotkaliście?

- Nie...

- Nie wspomniała, że była śledzona?

- Nie... No, mówiła, że jakiś samochód jechał za nią, ale skręcił na Pole Jordana. Uważała, że wszystko jest w porządku, więc zadzwoniłem do domu jej rodziców.

- A potem poszliście na strzelnicę? - zapytała Cynthia.

- Tak.

- Po wykonaniu swojej części roboty czekał pan przy latrynach, aby upewnić się, że wszystko poszło zgodnie z planem.

- Tak.

- Nie przyszło panu do głowy - dopytywała się Cynthia - że pułkownik Kent może pojawić się w tym miejscu?

Odparł po dobrej chwili.

- Pewnie coś takiego przemknęło mi przez myśl. Wyglądało na to, że starał się koło niej kręcić.

- I wcale nie pomyślał pan, że mógł ją śledzić, a potem zamordować?

- No... teraz, kiedy pan o tym mówi...

- Bardzo błyskotliwy z pana detektyw, pułkowniku - powiedziałem.

Był nieco zbity z tropu.

- Sądziłem, że to generał... No, teraz nie wiem, co myśleć. W pierwszej chwili, kiedy usłyszałem, że została zamordowana, byłem pewien, że zrobił to jej ojciec... chociaż wiedziałem, że równie dobrze mógł ją po prostu tam zostawić, a wtedy ktoś... jakiś maniak... przyplątał się... Po prostu nigdy w taki sposób nie myślałem o Kencie...

- Dlaczego? - zapytałem.

- On jest... komendantem żandarmerii... żonatym mężczyzną... kochał ją... Ale tak, teraz, kiedy już o tym wspomnieliście, to pasuje. To logiczne. Działał obsesyjnie, przestał myśleć racjonalnie. Ann nie potrafiła go już kontrolować.

- Ann - podpowiedziałem - stworzyła potwora.

- Tak.

- Czy ona to rozumiała?

- W głębi duszy. Ale nie była przyzwyczajona do mężczyzn, których nie da się kontrolować. Poza ojcem i, być może, Wesem Yardleyem. Kiedy patrzę wstecz, widzę, że nie zwracała specjalnej uwagi na Billa Kenta. Źle go oceniła.

- W porządku. Teraz niech pan idzie do swego pokoju i to spisze.

- Co spisze?

- Wszystko. W jaki sposób był pan zamieszany w tę sprawę. Proszę oddać mi swoje zeznanie w kaplicy po pogrzebie. Ma pan prawie dwie godziny. Wystarczy, jeśli pan szybko stukna na maszynie. I nikomu na ten temat ani słowa.

Pułkownik Moore wstał i wyszedł. Wygląda, pomyślałem, jak cień tego człowieka, którego spotkałem tak niedawno.

- Ta sprawa wyglądała na trudną i wszyscy nad nią bardzo ciężko pracowaliśmy - powiedziała Cynthia - a odpowiedź leżała tuż pod nosem.

- Właśnie dlatego niełatwo ją było zobaczyć.

Cynthia przez parę minut mówiła o niczym, a ja milczałem. Nie odrywała ode mnie wzroku.

Chcąc zapobiec naprawdę nieprzyjemnej sytuacji, sięgnąłem po słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do pułkownika Fowlera, do dowództwa. Odpowiedział natychmiast.

- Pułkowniku - powiedziałem - chciałbym, żeby wziął pan buty, w których chodziliście z panią

Fowler po strzelnicy i zniszczył je. To po pierwsze. Po drugie, proszę zgrać pańską opowieść z wyjaśnieniami generała Campbella. Nie byliście na strzelnicy. Po trzecie, niech pan wsadzi panią Fowler do samochodu lub samolotu i natychmiast po pogrzebie stąd odeśle.

- Doceniam pańskie dobre chęci - odparł - ale czuję, że powinienem przyznać się do udziału w sprawie.

- Pański dowódca sobie tego nie życzy. A życzenie generała jest rozkazem.

- To nie jest wiążący rozkaz.

- Proszę oddać wszystkim tę przysługę - samemu sobie, pańskiej żonie, rodzinie, wojsku, mnie, Campbellom - i zapomnieć o sprawie. Niech się pan nad tym zastanowi.

- Pomyślę.

- Jedno pytanie - czy zabrał pan jej sygnet, ten z West Point?

- Nie.

- Czy kiedy pan podszedł do ciała, bagnet był wbity w ziemię?

- Nie w ziemię. Rączkę wetknięto w jej pochwę.

- Rozumiem.

- Wyjąłem go i usunąłem.

- Co pan z nim zrobił?

- Zrzuciłem z mostu do rzeki Chickasaw. - I dodał: - Przypuszczam, że chciałby pan sprawdzić na nim odciski palców.

- Chciałbym, tak. - Tyle tylko że Kent nie zostawiłby żadnych odcisków.

- Przepraszam. Zrobiłem to odruchowo.

- Zdarza się.

- Zrobił się z tego straszny bałagan.

- Zdarza się - powtórzyłem.

- Mnie się nie zdarzało. W każdym razie dopóki dwa lata temu ona się tu nie zjawiała. Ale wie pan co? To była nasza wina, nie jej.

- Chyba się z tym zgadzam. - I dodałem: - Aresztowanie nastąpi dziś po południu.

- Kogo?

- Nie mogę powiedzieć. Zobaczymy się na pogrzebie.

- Dobrze.

Odłożyłem słuchawkę. Kiedy już myślisz, że spadła na ciebie dzienna racja gówna, ktoś dorzuca dokładkę. W tym wypadku dorzucającym okazał się major żandarmerii nazwiskiem Doyle. Wszedł do biura, spojrzał na Cynthię, a potem zwrócił się do mnie:

- Panie Brenner, to pan podpisał rozkaz zwolnienia sierżanta Dalberta Elkina. Zgadza się?

- Tak jest, sir.

- Przydzieliliśmy mu kwatery w koszarach żandarmerii.

- Świetnie. Kogo to obchodzi?

- Zgodnie z zasadami miał obowiązek meldować się co trzy godziny.

- Brzmi rozsądnie.

- O godzinie ósmej nie zameldował się.

Jezu Chryste. Co?

- I nikt od tego czasu go nie widział.

Cynthia spojrzała na mnie, a potem odwróciła wzrok.

Major Doyle poinformował mnie:

- Wysłaliśmy biuletyn o jego aresztowaniu do wszystkich jednostek, poinformowaliśmy policję w Midland i policję stanową. Komendant CID, major Bowes domaga się od pana pełnego raportu w tej sprawie. - Major Doyle uśmiechnął się nieprzyjemnie i powiedział: - Spieprzyłeś. - Odwrócił się i wyszedł.

Wpatrywałem się przez chwilę w przestrzeń. Wreszcie Cynthia odezwała się: .- Mnie też to się raz przydarzyło.

Nie odpowiedziałem.

- Ale tylko raz, więc nie dochodź do pochopnych wniosków na temat natury ludzkiej.

Natura ludzka, pewnie. Ponieważ na wszystko przychodzi odpowiedni czas, teraz była właściwa chwila, by napomknąć o telefonie jej męża. Ale wycucie czasu Karla Hellmanna nie było tak dobre, bo wybrał dokładnie ten moment, aby pojawić się w biurze.

Oboje z Cynthia podnieśliśmy się, gdy ten duży mężczyzna wkroczył, wypełniając sobą małe pomieszczenie. Skinął głową pro forma, a potem uściśnął nam ręce, rozglądając się wokoło. Cynthia jako osoba najniższą rangą zaproponowała mu swoje krzesło, które przyjął, sama usiadła na dodatkowym krześle, a ja za swoim biurkiem.

Karl, podobnie jak ja, służył kiedyś w piechocie. Obaj byliśmy w Wietnamie mniej więcej w tym samym czasie. Nasze mundury ozdabiały mniej więcej takie same odznaczenia i medale, w tym Brązowa Gwiazda za odwagę i ceniona bardzo Odznaka Bojowa Piechoty. Byliśmy produktem tego samego tygła, obaj osiągnęliśmy wiek średni, dawaliśmy sobie dyspensę od tych samych formalności. Ale ja nie byłem tego ranka w tym samym nastroju co Karl, więc zamierzałem trzymać się protokołu.

- Kawy, sir? - zapytałem.

- Nie, dziękuję.

Karl jest przystojnym mężczyzną z grzywą szpakowatych włosów, mocno zarysowaną szczęką i ma niebieskie oczy. Jednak kobiety nie uważają go za seksownego. Może to przez jego sztywne i formalne zachowanie. Prawdę mówiąc, zawsze zachowuje się tak, jakby miał ściśnięte półdupki. Gdyby tam włożyć kawałek węgla, po tygodniu dostałoby się czysty diament. A poza tym jest profesjonalistą.

Przez mniej więcej trzy sekundy wymienialiśmy grzeczności. Potem Karl powiedział do mnie z tym swoim lekkim akcentem:

- Rozumiem, że nasz gwiazdor, świadek w sprawie sprzedaży broni, zbiegł.

- Tak jest, sir.

- Czy mógłbyś przypomnieć sobie, co cię skłoniło do zwolnienia go?

- W tej chwili nie, sir.

- Nasuwa się pytanie, czemu człowiek, któremu zaproponowano immunitet, zdecydował się popełnić kolejne przestępstwo i uciekł.

- Nasuwa się.

- Czy wytłumaczyłeś mu, że zostanie zwolniony?

- Tak, sir, ale widocznie nie najlepiej.

- Tak to jest, Paul, kiedy ma się do czynienia z głupcami. Przenosisz własną inteligencję i racjonalne myślenie na kogoś, kto jest kompletnym idiotą, i on zostawia cię na lodzie. Przerażony, słucha tylko własnych instynktów. Otwierają się drzwi więzienia, więc ucieka. Całkiem zrozumiałe.

Odchrząknąłem.

- Myślałem, że przekonałem go i zdobyłem jego zaufanie.

- Oczywiście, tak właśnie myślałeś. O tym chciał cię przekonać, kiedy był po tamtej stronie krat. Tacy są sprytni.

- Tak jest, sir.

- Może następnym razem poradziłbyś się mnie, zanim zwolnisz oskarżonego w tak poważnej sprawie.

- To był świadek, sir.

Karl pochylił się w moją stronę i powiedział:

- Co to dla niego za pieprzona różnica? Wsadziłeś go do więzienia, wypuściłeś go, to uciekł.

- Tak jest, sir.

- Artykuł 96 Kodeksu Prawa Wojskowego dotyczy niesłusznego zwolnienia więźnia przez zaniedbanie lub świadomą decyzję. Jesteś w tarapatkach.

- Tak jest, sir.

Rozparł się na krześle.

- A teraz powiesz mi, jak się tutaj sprawy mają.

Żeby zacząć od najważniejszego, nie udało mi się przespać z Cynthia, okłamała mnie w sprawie swego męża, jestem stłamszony i zmieszany z błotem, wciąż nie mogę zapomnieć Ann Campbell, komendant tutejszej żandarmerii jest prawdopodobnie zabójcą, idiota Dalbert uciekł, a ja mam beznadziejny dzień.

Hellmann odwrócił się do Cynthii:

- Może ty mi powiesz.

- Tak jest, sir. - Cynthia zaczęła od opisanie dowodów z laboratorium medycyny sądowej, potem mówiła o odkryciu przez Grace Dixon zawartości komputera, o Yardleyach i niefortunnych związkach majora Bowesa, pułkownika Weemsa i pozostałych oficerów sztabu z nieboszczką.

Karl słuchał.

Wreszcie Cynthia przytoczyła oficjalną wersję naszej rozmowy z generałem Campbellem, panią Campbell, pułkownikiem Fowlerem, panią Fowler i pułkownikiem Moore'em. Słuchałem jednym uchem, ale zauważyłem, że nie puściła pary z ust ani na temat prawdziwej roli państwa Fowlerów w minionych wypadkach, ani pokoju Ann Campbell, ani Billa Kenta. Dokładnie w ten sam sposób ja bym relacjonował tę sprawę; byłem naprawdę pod wrażeniem, jak wiele nauczyła się w czasie

ubiegłych dwóch dni.

- Tak więc widzisz - powiedziała do Karla - to wszystko związane jest z zemstą, karą, perwersyjnym eksperymentem psychologicznym i tym, co wydarzyło się w West Point dziesięć lat temu.

Karl kiwnął głową.

Jakby po namyśle Cynthia wspomniała o Fryderyku Nietzsche, w kontekście osobistej filozofii Ann Campbell. Karla to wyraźnie zainteresowało, zrozumiałem, że Cynthia czuje nastrój słuchacza.

Karl siedział i zastanawiał się, złożyłszy palce jak wielki mędrzec, który ma odpowiedzieć na fundamentalne pytanie dotyczące życia.

- Paul wykonał znakomitą robotę - zakończyła Cynthia - praca z nim była dla mnie bardzo kształcąca.

Karl siedział nieporuszony przez dobrą minutę; przyszło mi do głowy, że wielki mędrzec nie ma pieprzonego klucza.

Cynthia próbowała spotkać się ze mną wzrokiem, ale unikałem jej spojrzenia.

Wreszcie pułkownik Hellmann odezwał się:

- Nietzsche. Tak. W zemście i miłości kobiety są bardziej barbarzyńskie od mężczyzn.

- Czy to opinia Nietzschego, czy pańska, sir?

Spojrzał na mnie dając mi wyraźnie do zrozumienia, że kroczę po cienkim lodzie.

- Bardzo dobrze - powiedział do Cynthii. - Ujawniliście motywy, masowe zepsucie i wielki sekret tego miejsca.

- Dziękuję.

Spojrzał na mnie, a potem na zegarek.

- Czy nie powinniśmy już pójść do kaplicy?

- Tak jest, sir.

Wstał i my również. Wzięliśmy nakrycia głowy i wyszliśmy. Wsiedliśmy do mojego blazera. Karl zajął honorowe miejsce na tylnym siedzeniu. Kiedy jechałem w stronę kaplicy, zapytał wreszcie:

- Wiesz, kto to zrobił?

- Tak sądzę - odparłem.

- Czy miałbyś ochotę podzielić się tym ze mną? Jak wiele jest to dla ciebie warte?

- Kilka dowodów pośrednich, parę zeznań, a także część odkryć ekipy badawczej wskazuje na pułkownika Kenta. - Patrzyłem w lusterko wsteczne i po raz pierwszy tego dnia poczułem dreszcz satysfakcji, widząc, jak oczy Karla rozszerzają się. Jednakże kamienna szczęka nie opadła. - Komendant żandarmerii - podpowiedziałem.

Karl odzyskał panowanie nad sobą.

- Czy jesteście gotowi złożyć formalne oskarżenie?

Dzięki, Karl, za kubek zimnej wody.

- Nie. Przekażę wszystko, co mamy, FBI.

- Dlaczego?

- Sprawa wymaga jeszcze zbadania.

- Powiedz mi, co wiecie.

Zajechałem na parking przed kaplicę, potężną budowlę w stylu georgiańskim, akurat na wojskowe śluby, pogrzeby, niedzielne msze i samotne modlitwy przed wyruszeniem w bój. Wyszliśmy z blazera i staliśmy teraz w gorącym słońcu. Parking był prawie pełny, ludzie stawiali samochody na drodze i trawniku.

Cynthia wyjęła kartkę papieru z torebki i wręczyła ją Karlowi.

- To było w komputerze Ann Campbell. List do pani Kent.

Karl przeczytał list, skinął głową i oddał kartkę Cynthii.

- Tak, rozumiem, że pułkownik Kent czuł się rozgniewany i poniżony, gdy jego żona dostała taki list. Ale z tego powodu miałby zabijać?

Właśnie w tej chwili minął nas pułkownik William Kent. Machnął na powitanie ręką. Cynthia poinformowała Karla:

- To jest pułkownik Kent.

Karl odprowadził go wzrokiem do kaplicy.

- Nie wygląda na zgnębionego - powiedział.

- Waha się - odparła Cynthia. - Przypuszczam, że jest prawie gotów przekonać samego siebie, że

zrobił dobrze, a potem powiedziec nam to samo.

- Tak, w tym właśnie tkwi wielki sekret tej roboty - pokiwał głową Karl. - Nie stawiać kryminalisty przed pytaniem, czy postąpił słusznie czy nie, tylko dać mu możliwość przedstawienia własnych racji. - I zapytał Cynthii: - Jakimi dowodami jeszcze dysponujecie?

Cynthia pokrótce opowiedziała mu o pamiętniku, krytycznym odcisku buta, dziupie w krzakach i naszej rozmowie z podejrzanym.

- Miał motyw, sposobność i prawdopodobnie wolę działania, przynajmniej w tamtym momencie - stwierdziła. - Nie jest zabójcą, ale jako policjantowi zabójstwo nie jest mu obce. Poza tym był od początku śledztwa w samym centrum wydarzeń, mógł wszystko kontrolować i manipulować zdobywaniem dowodów - na przykład dopuścił do zniszczenia sceny zbrodni - a jego alibi na czas morderstwa jest słabe lub wręcz nie istnieje, jak to się często zdarza w przypadku zbrodni nie dokonywanych z premedytacją.

Hellmann słuchając Cynthii, kiwał głową. Potem nasz wielki wygłosił opinię:

- Jeśli macie rację i zdołacie jej dowieść, zakończycie sprawę, zanim pochłonie ona wszystkich. Jeśli mylicie się, sprawa pożre was, a potem będzie niszczyć coraz więcej ludzkich istnień, w miarę jak śledztwo będzie się rozwijać.

- Tak, sir - odparła Cynthia - dlatego pracowaliśmy dniem i nocą. Ale teraz sprawa jest już w zasadzie poza naszym zasięgiem. - Spojrzała na mnie i mówiła dalej: - Paul ma rację, że nie chce formułować oficjalnych zarzutów. Nic to nie da ani nam, ani panu, ani CID, ani armii.

Karl kontemplował szachownicę, którą miał w głowie, potem odwrócił się do mnie,

- Jesteś niezwykle małomówny.

- Nie mam nic do powiedzenia, pułkowniku - odparłem, tytułując go na znak, że i jego srebrny orzeł może się nie wspiąć wyżej.

- Czy rozpaczasz, bo uciekł twój więzień?

- Świadek. I nie, nie rozpaczam.

- Od rana jest jakiś markotny - wyrwało się Cynthii. - Nawet jeszcze zanim tutaj przyjechałeś. - Uśmiechnęła się do mnie, ale odpowiedziałem jej kamiennym spojrzeniem i mina jej zrzędała. Naprawdę chciałem zniknąć z Hadley, z tej rozgrzanej gorącym słońcem ziemi, z Georgii, z miejsca, gdzie można mnie było zranić.

- Nie będziemy mieli gdzie usiąść - powiedziałem. Odwróciłem się w stronę kaplicy i ruszyłem ku bramie.

Karl i Cynthia podążali za mną.

- Powinnaś dać mu ostatnią szansę przyznania się - powiedział Karl do Cynthii.

- Masz na myśli Paula? - zapytała frywolnie.

- Nie, pani Sunhill. Pułkownika Kenta.

- Zgoda. Rozważaliśmy to.

- Ludzie potrafią się przyznać do najbardziej haniebnych czynów pod wpływem nastroju i jeśli trafi się na odpowiednią chwilę. Mordercy, którzy popełnili zbrodnię na ukochanej osobie, chcą się z kimś podzielić nieznośnym ciężarem. To nie zawodowcy. Odizolowani, nie mają współników ani powierników, żywej duszy, której by mogli zwierzyć się z najwięźszego sekretu ich życia.

- Tak jest, sir - odpowiedziała Cynthia.

- Myślicie, że prośba pułkownika Kenta, abyście to wy zajęli się sprawą, była wybiegiem? Nie. On podświadomie pragnął ujawnienia przestępstwa.

Dalej mówił w tym stylu to, co sam i tak dobrze wiedziałem, popychał nas do konfrontacji z podejrzanym, który - choć jego pozycja zawodowa zachwiała się - był przecież oficerem starszym stopniem, a na dodatek człowiekiem reprezentującym władzę. Już sobie wyobrażałem, jak stoję przed sądem i próbuję oskarżyć pułkownika Williama Kenta, a siedmiu oficerów o stalowych oczach czeka, by obciąć mi jaja i rzucić psom na pożarcie. Ale mimo wszystko zamierzałem oddać strzał. Postanowiłem jednak trzymać Karla na wodzy tak długo, aż wyda mi rozkaz konfrontacji z Kentem.

Spojrzałem w stronę kaplicy. Ceremonia związana z wyprowadzeniem trumny nie została zakończona, warta honorowa nie ustawiła się jeszcze na schodach, a stary jaszcz, zabrany z muzeum, czekał pusty.

Liczbę dziennikarzy, zgodnie z pismem, jakie znalazłem wcześniej na biurku, ograniczono do grupy reporterów, a fotografów przysłało Wojskowe Biuro Informacji Publicznej. W piśmie podpisanym przez pułkownika Fowlera zawarta była sugestia, by nie rozmawiać z dziennikarzami.

Weszliśmy na schody do kruchty, gdzie zebrało się kilkanaście osób; rozmawiano przyciszonymi głosami, stosownie do tego miejsca. Każdy z nas podpisał się w księdze gości i wkroczyliśmy do ciemnej kaplicy, gdzie nie było chłodniej niż na zewnątrz, a wszystkie ławki wypełnione po brzegi. Udział w pogrzebie córki dowódcy nie jest obowiązkowy, ale tylko idiota nie pokazałby się tutaj, a przynajmniej na ceremonii pochówku.

Wszyscy oficerowie Fortu Hadley z rodzinami oraz urzędnicy z Midland nie pomieściliby się w kaplicy - było tu miejsca na pięćset do sześciuset osób - lecz reszta na pewno czekała już na Polu Jordana.

Organy grały cicho do wtóru chórowi. Zatrzymaliśmy się na chwilę w środkowej nawie, każde z nas zastanawiało się, czy podejść do trumny ustawionej na katafalku u stóp ołtarza. Wreszcie podjąłem długą wędrówkę, a Cynthia z Karlem ruszyli za mną.

Podszedłem do osłoniętej sztandarem, na wpół otwartej trumny, zatrzymałem się i spojrzałem na nieboszczkę.

Ann Campbell wyglądała spokojnie, tak jak to określił Kent, jej głowa spoczywała na różowej poduszce z atlasu, a długie włosy okalały twarz. Zauważyłem, że była bardziej umalowana po śmierci niż za życia.

Ubrali ją w oficjalny galowy mundur. Pomyślałem, że to odpowiedni strój. W białej kurtce ze złotym sznurem i białej bluzce wyglądała delikatnie, jeśli nie dziewczęco. Na lewej piersi medale, dłonie, w których na ogół trzyma się krzyż lub różaniec, w zależności od wyznania, zaciskały się na klindze szabli z West Point. Prawdę mówiąc, ten widok robił wrażenie: piękna twarz, złote włosy, złoty sznur, lśniący mosiądz i srebro szabli, śnieżnobiały mundur na różowej wyściółce.

Ogarnąłem to wzrokiem w jednej chwili, a potem, jako dobry katolik, którym jestem, zrobiłem znak krzyża, obszedłem trumnę i ruszyłem z powrotem główną nawą.

Rodzinę Campbellów zobaczyłem w pierwszych dwóch rzędach: generała, panią Campbell, młodego człowieka, ich syna, którego widziałem wcześniej na zdjęciach, różnych innych członków rodziny, starych i młodych, wszyscy na czarno i z czarnymi opaskami na rękawach, zwyczaj, który zachował się chyba tylko w rodzinach wojskowych.

Odwróciłem wzrok i ruszyłem wolno nawą, a moja podgrupa dołączyła do mnie.

Znaleźliśmy trzy miejsca obok siebie w tej samej ławce, gdzie siedział już major Bowes, którego poznałem tylko dzięki plakietce, i kobieta, która najprawdopodobniej była jego żoną. Bowes skinął głową pułkownikowi Hellmannowi, ale on zignorował obecność cudzołożnika i dupka. Pani Bowes okazała się atrakcyjną kobietą, jeszcze jedno potwierdzenie, że mężczyźni to świnie.

Dopiero co widziałem zwłoki młodej kobiety, niemniej jednak poczułem się nieco lepiej, jak zwykle kiedy porówna się własną sytuację do gorszej sytuacji innych ludzi; na przykład tych z poważnymi problemami zawodowymi, jak Bowes, czy podejrzany o morderstwo, jak Kent, żonatymi, jak generał, chorymi, umierającymi lub wręcz zmarłymi.

Kapelan, major Eames, ubrany tylko w zielony mundur bez insygniów kapłańskich, podszedł do pulpitu. Zapadła cisza.

- Najmilsi - zaczął - zebraliśmy się tu po to, by w obecności Boga pożegnać się z naszą siostrą, Ann Campbell.

Wiele osób łkało.

- Kapelan też ją pieprzył - szepnąłem do Karla.

Tym razem jego szczeka opadła. Dzień mógł jeszcze okazać się nie najgorszy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Ceremonia była bardzo skromna: modlitwy, muzyka organowa, parę hymnów. Starsi oficerowie oczywiście bardzo pilnie chadzają do kościoła, to ma coś wspólnego z ziemią od Boga daną i Ojczyzną. Ale na ogół nie lubią przypisywać się do konkretnego wyznania, co jest bezpieczne i nieokreślone, jak większość elementów ich karier.

Na wojskowe śluby i pogrzeby wybiera się to co najlepsze z różnych liturgii, hymnów i modlitw, byle ceremonie były krótkie. Zapewniam was, a wiem to z doświadczenia, że katolicka msza za zmarłych może być tak długa i męcząca, iż niejeden bardziej podeszły wiekiem wierny nie wytrzyma i potrafi zejść z tego padołu łez.

W każdym razie w wyznaczonym czasie pułkownik Fowler wszedł na mównicę wygłosić przemówienie.

Na początku wyraził wdzięczność rodzinie, przyjaciołom, kolegom-oficerom, współpracownikom i dygnitarzom z Midland. Potem powiedział:

- W wybranym przez nas zawodzie częściej niż w innych spotykamy się ze śmiercią młodych ludzi. Nie umiemy do tego przywyknąć ani się na to nie uodporniamy, dzięki temu jednak bardziej cenimy życie. Wiemy, że praca w wojsku wiąże się z zagrożeniem, i kiedy składamy przysięgę, doskonale rozumiemy, że możemy zostać wezwani, by poświęcić życie dla ojczyzny. Kapitan Ann Campbell wiedziała o tym, przyjmując patent oficerski wojskowej akademii, rozumiała to, jadąc do Zatoki i zdawała sobie z tego sprawę, kiedy w czasie, gdy większość innych ludzi siedziała bezpiecznie w domach, zgłaszała się na ochotnika, by bronić bezpieczeństwa Fortu Hadley. Była to służba całkowicie dobrowolna, nie związana z jej obowiązkami, ale do takich rzeczy Ann Campbell nie trzeba było namawiać.

Słuchałem. Uświadomiłem sobie, że gdybym wiedział mniej o jej życiu, kupiłbym to. Oto młoda, pełna entuzjazmu kobieta-oficer zgłosiła się na ochotnika do nocnej służby, potem z własnej inicjatywy postanowiła sprawdzić strażę i została zamordowana w czasie wykonywania dobrego uczynku. Smutne. Nie tak się to wszystko odbyło, lecz prawda była jeszcze smutniejsza. Pułkownik Fowler mówił dalej:

- Przypomina mi się wers z księgi Izajasza 21:11: „Stróžu, która to godzina nocy?”

Powtórzył:

- „Stróžu, która to godzina nocy? Stróż odrzekł: Przychodzi ranek.” A czyż my wszyscy nie jesteśmy stróżami? To zawołanie odnosi się do nas, żołnierzy, którzy, aby inni mogli spokojnie spać do rana, muszą stać na straży dzień i noc, wiecznie czujni, aż do dnia, kiedy Bóg zażyczy sobie wezwać nas do swojego Królestwa, gdzie nie będziemy już musieli stać na straży ani lękać się nocy.

Fowler miał dobry, głęboki głos, przemawiał bezbłędnie. Najwyraźniej ten człowiek mógłby być kaznodzieją lub politykiem, gdyby nie był tak opętany ideą dobra i zła.

Nie jestem najlepszym słuchaczem publicznych przemówień, moje myśli mają tendencję do umykania. I teraz też przypomniła mi się otwarta trumna z Ann Campbell w środku, jej twarz, szabla i dłonie złożone na klindze. Nagle uświadomiłem sobie, co mi się nie zgadza w tym obrazku: ktoś wsunął jej na palec sygnet West Point. Ale czy to był jej sygnet? A jeśli tak, kto go włożył? Fowler? Generał Campbell? Pułkownik Moore? Pułkownik Kent? Skąd wziął się tam sygnet? I czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Pułkownik Fowler wciąż przemawiał, zacząłem znowu go słuchać.

- Znałem Ann jako dziecko bardzo rozwinięte, energiczne, nawet nieznośne dziecko. - Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. - Piękne dziecko, nie tylko piękną fizyczną, ale też piękne duchem. Specjalnie obdarzone przez Boga wieloma talentami. I wszystkim, którzy ją znali i kochali...

Przemawiał gładko, jednak nie mógł równie gładko prześlizgnąć się nad podwójnym znaczeniem ostatniego słowa. Ale zamilkł tylko na chwilę, jakby dla nabrania oddechu, co zauważyli tylko ci, którzy znali ją bardziej intymnie.

- ...tym wszystkim będzie jej bardzo brakować.

Teraz już płakało wiele osób. Zrozumiałem, dlaczego właśnie jemu Campbellowie polecili wygłoszenie mowy. No i pułkownik Fowler nie sypiał z nieboszczką, dzięki czemu trafił na niezwykle krótką listę potencjalnych mówców. Ale robię się znowu cyniczny. Mowa Fowlera była wzruszająca, nieboszczka wiele przecierpiała, w tym straszną i przedwczesną śmierć. Znowu poczułem się jak śmieć.

Pułkownik Fowler nie zagłębiał się w to, jak umarła, powiedział tylko:

- Pole bitwy, w nowoczesnym wojskowym żargonie, opisane jest jako wrogie środowisko, czym oczywiście jest. A jeśli rozszerzyć znaczenie pola bitwy na wszystkie miejsca, gdzie żołnierz może się znaleźć i pełnić swą służbę, możemy powiedzieć, że Ann Campbell zginęła podczas bitwy. - Powiódł wzrokiem po tłumie. - I powinniśmy zapamiętać ją niejako ofiarę, ale jako dobrego żołnierza, który zginął na służbie. - Spojrzał na trumnę i zakończył: - I właśnie taką ją zapamiętamy. - Pułkownik Fowler zszedł z mównicy, zatrzymał się przy trumnie, zasalutował, a potem wrócił na swoje miejsce.

Zagrały organy i nabożeństwo toczyło się jeszcze przez kilka minut. Kapelan Eames zaintonował dwudziesty trzeci psalm, ulubiony psalm wiernych, a potem zakończył błogosławieństwem i słowami: „Idźcie w pokój”.

Organista zagrał „Opokę wieków” i wszyscy wstali. Można powiedzieć, że było to pierwszorzędne nabożeństwo żałobne.

Ośmiu oficerów poczty sztandarowego przeszło teraz sprzed pierwszej ławki na lewą stronę

trumny, a sześciu wyznaczonych do niesienia trumny ustawiło się po jej drugiej stronie. Zauważyłem, że ci, którzy dostąpili honoru niesienia trumny, zostali wybrani spośród młodych poruczników płci męskiej, prawdopodobnie ze względu na swoją siłę, ale może też i dlatego, że nie byli związani z nieboszczką. Nawet porucznik Elby, którego zamiary były honorowe, został wykluczony.

Podobnie rzecz się miała z poczem sztandarowym. Normalnie byliby to wysokiej rangi oficerowie z otoczenia generała lub przyjaciele zmarłej. Tym razem wybrano tych, którzy mieli czyste ręce. Prawdę mówiąc, były to - co do jednej - kobiety, w tym adiutant generała, kapitan Bollinger. Damski kontyngent w tych okolicznościach wydawał się całkiem na miejscu, choć tym, którzy zdawali sobie sprawę, dlaczego starsi stopniem oficerowie zostali wykluczeni, mogło się wydawać, że generał postanowił choć w tej ostatniej godzinie trzymać zbyt bliskich przyjaciół z daleka od córki.

Sześć kobiet-oficerów ruszyło w stronę wyjścia z kaplicy, a sześciu wyznaczonych do niesienia zamknęło wieko trumny, okryło ją amerykańską flagą, złapało za uchwyty i uniosło z katafalku.

Kapelan Eames szedł przed trumną, a Campbellowie tuż za nią. Zgodnie ze zwyczajem, kiedy tak niosą trumnę, wszyscy mundurowi zwracają się do niej i salutują, co też zrobili.

Kapelan wyprowadził trumnę na zewnątrz, gdzie osiem kobiet stało i salutowało, kiedy ją przenoszono między nimi. W tym też momencie żałobnicy zaczęli wychodzić z ławek.

Stojąc w pełnym słońcu, przyglądałem się, jak układają owiniętą we flagę trumnę na starym drewnianym jaszczu, który został przyczepiony do łożnika.

Na dużym trawniku przed kaplicą stały samochody eskorty - służbowe wozy i autobusy dla rodziny, zespołu muzycznego, oficerów warty honorowej, grupy przewidzianej do oddania salwy honorowej i oficerów z flagą. Każdy weteran ma prawo zostać pochowany na cmentarzu za państwowe pieniądze z pełnymi honorami, ale tak naprawdę całe to halo robią wtedy, kiedy ktoś umrze na służbie. Podczas wojny jednak wielu grzebie się w obcej ziemi, lub, jak to było w przypadku Wietnamu, ciała w workach odsyła się samolotami, dowożącymi w drugą stronę świeże mięso armatnie. W każdym razie czy jesteś generałem, czy szeregowym, należy ci się dwadzieścia jeden salw.

Ludzie kręcili się, jak to zwykle przy takich okazjach, rozmawiali między sobą, z kapelanem, pocieszali Campbellow.

Zauważyłem kilku dziennikarzy rozglądających się nerwowo, z kim by tu porozmawiać, i fotografów wojskowych, którzy dyskretnie i z pewnej odległości robili zdjęcia. Wydarzenie dnia było jeszcze pilnie strzeżone.

Koło Campbellow stał młody mężczyzna, którego, jak już mówiłem, rozpoznałem dzięki rodzinnym zdjęciom jako ich syna Johna. Ale i tak bym go poznał - wysoki, przystojny, w oczach, włosach i zarysie szczęki dostrzegąło się rodzinne podobieństwo.

Zdawał się lekko zagubiony, kiedy stał tak na uboczu, więc podszedłem do mego i przedstawiłem

się jako chorąży Brenner.

- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci pańskiej siostry - powiedziałem.

Skinął głową.

Chwilę rozmawialiśmy, złożyłem mu kondolencje, a potem gawędziliśmy o niczym. Wyglądał na sympatycznego faceta, grzeczny, schludny i uważny, pod wieloma względami znakomity materiał na oficera. Pewnie nim nie został, bo nie chciał iść w ślady ojca albo uważał, że jego wolny duch może ponieść uszczerbek. Może miał rację, ale jak wielu synów ważnych ludzi, nie znalazł sobie miejsca w świecie.

John z wyglądu bardzo przypominał swoją siostrę. Rozmawiałem z nim nie tylko po to, by wyrazić współczucie.

- Czy zna pan pułkownika Kenta? - zapytałem. Zastanowił się przez moment.

- Nazwisko brzmi znajomo. Pewnie spotykałem go na przyjęciach.

- Był bliskim przyjacielem Ann i chciałbym, żeby pan się z nim spotkał.

- Oczywiście.

Zaprowadziłem go do Kenta, który stał na chodniku, w grupie swoich oficerów. Wśród nich znajdował się również niedawno poznany przeze mnie major Doyle. Przerwałem im rozmowę, zwracając się do Kenta:

- Pułkowniku, chciałbym przedstawić panu brata Ann, Johna.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Tak, spotkaliśmy się już parę razy - powiedział John. - Dziękuję, że pan przyszedł.

Kent najwyraźniej nie potrafił znaleźć słów odpowiedzi i tylko patrzył na mnie.

- Pułkownik Kent - powiedziałem - nie tylko był wielkim przyjacielem Ann, ale okazał się bardzo pomocny w czasie śledztwa.

- Dziękuję - powtórzył John Campbell. - Wiem, że robicie wszystko, co w waszej mocy.

Kent przytaknął.

Przeprosiłem i zostawiłem ich, żeby mogli spokojnie porozmawiać.

Ktoś może skrytykuje fakt przedstawienia podejrzanego o popełnienie zbrodni bratu ofiary na jej pogrzebie. Ale pozwólcie sobie powiedzieć, że jeśli w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone, to w śledztwie w sprawie o morderstwo tym bardziej..

Czułem wyraźnie, że pułkownik Kent jest na krawędzi i wszystko, co zrobię, aby popchnąć go w otchłań, jest słuszne i honorowe.

Tłum przeredzał się, ludzie wsiadali do samochodów. Zobaczyłem obu Yardleyów, ojca i syna, w towarzystwie kobiety, która była tak podobna do nich obu, że mogła być ich krewną, ale najprawdopodobniej była żoną Burta - i zarazem niezbyt daleką kuzynką. Podejrzewałem, że w drzewie genealogicznym Yardleyów nie ma zbyt wielu odgałęzień.

Poza nimi było sporo cywilów, w tym burmistrz miasta z rodziną, ale tłum przed kościołem składał się jednak głównie z oficerów z żonami, choć niektóre na pewno odmówiły udziału w ceremonii. Żołnierzy służby zasadniczej prawie nie było poza jednym starszym sierżantem, który - zgodnie z tradycją - reprezentował ich. Nie na wszystkie uroczystości zapraszano szeregowców i podoficerów, zwłaszcza że ich mnogość mogła być przyczyną problemów. W wojsku nie ma fraternizacji między żołnierzami i oficerami ani za życia, ani po śmierci.

Zauważyłem, że Karl rozmawia z majorem Bowesem, komendantem CID na wylocie. Bowes stał na baczność i kiwał energicznie głową jak zepsuta zabawka mechaniczna. Karl nie jest tego typu facetem, co to zwalnia z pracy w wieczór wigilijny, urodziny osoby zainteresowanej, w dzień jej ślubu czy coś w tym guście. Ale nie wiem, czy pogrzeb zaliczał do tej kategorii.

Cynthia rozmawiała z pułkownikostwem Fowlerami i z generałostwem Campbellami. Byłem jej za to wdzięczny. Zawsze staram się uniknąć sytuacji, które wydają mi się niezręczne. Jeśli chodzi o znanych kochanków, to zauważyłem też pułkownika Weemsa z Izby Wojskowej, bez żony, i młodego porucznika Elby'ego, który starał się sprostać sytuacji. Próbował przybrać wyraz twarzy jednocześnie zmartwiony i smutny, a zarazem czujnie spoglądać na szychy wokół.

W pewnej odległości stała chorąży Kiefer, teraz już we własnym mundurze, który był jednocześnie biletem wstępu na rozgrywającą się właśnie imprezę. Podszedłem i podziękowałem za wiadomość o Batmobilu. Mimo smutnej okazji wyglądała świeżo jak zwykle. Ponieważ jestem łobuzem, a potrzebowałem nieco podbudować swoje ego, bezwstydnie z nią flirtowałem.

Doszła do wniosku, że jestem zabawny i interesujący, więc umówiliśmy się na drinka albo jeszcze tu, albo po powrocie do Falls Church.

Cynthia złapała mnie za ramię.

- Powinniśmy jechać.

- Dobrze. - Pożegnałem się z Kiefer i ruszyłem w stronę samochodu.

Dołączył do nas pułkownik Hellmann. Wpadliśmy na pułkownika Moore'a, który wyraźnie mnie poszukiwał, trzymając w ręce kartkę papieru. Przedstawiłem Moore'a Hellmannowi, który zignorował wyciągniętą dłoń psychologa i obrzucił go wzrokiem, jakim nigdy nie patrzył na mnie.

Jednakże pułkownik Moore, tak zdenerwowany, że nic nie mogło go poruszyć jeszcze bardziej, powiedział:

- To jest raport, o który pan prosił.

Wziąłem raport i ruszyłem za swoim dowódcą, nawet nie dziękując Moore'owi.

- Proszę pozostać do naszej dyspozycji przez dzisiejszy dzień i niech pan nie rozmawia z FBI ani z pułkownikiem Kentem - poleciłem mu.

Wsiadłem do blazera i zapaliłem silnik. Cynthia i Karl wsiedli dopiero wtedy, gdy zaczęła działać klimatyzacja. Sunęliśmy w długim sznurze pojazdów na południe, w stronę Pola Jordana.

- Obiecałem pułkownikowi Moore'owi immunitet, jeśli będzie współpracował - powiedziałem do Karla.

- I tego świadka również zwolniłeś z aresztu?

A niech cię, Karl.

- To było piękne nabożeństwo - wtrąciła Cynthia.

- Jesteś pewien co do tego kapelana? - zapytał mnie Karl.

- Tak jest, sir.

- Czy tutaj wszyscy wszystko wiedzą o wszystkich?

- Do pewnego stopnia - odparłem. - Nie była dyskretna.

- Musicie teraz o tym rozmawiać? - zapytała Cynthia.

- Nasz dowódca ma prawo uzyskać każdą potrzebną informację w każdym czasie - wyjaśniłem jej.

Wyglądała przez boczne okienko, nie odzywając się. Spojrzałem na Karla w lusterku wstecznym i spostrzegłem, że jest zaskoczony.

- Sygnet z West Point należący do zmarłej, którego nie mogliśmy odszukać podczas śledztwa, znalazł się teraz na jej palcu - powiedziałem do niego.

- Naprawdę? Może kopia?

- Możliwe.

Cynthia spojrzała na mnie, ale i tym razem się nie odezwała.

Minęliśmy siedzibę Beaumont, potem Szkołę Operacji Psychologicznych, objechaliśmy Wzgórze Bethany i znaleźliśmy się na Drodze Strzelnic.

Było południe, słońce grzało tak mocno, że widziałem falowanie powietrza nad czarną szosą.

- Od tej chwili oficjalnie CID przestaje się zajmować tą sprawą - poinformowałem pułkownika Hellmanna.

- Uzyskałem dla nas dodatkową godzinę ze względu na mój przyjazd, a potem mogę dostać jeszcze jedną.

Ale z nas szczęściarze.

- Świetnie - powiedziałem, wykazując zero entuzjazmu. Skręciłem za długim sznurem pojazdów na drogę prowadzącą na Pole Jordana. Minęliśmy budkę żandarmerii, gdzie dwóch pechowych kaprali stało w słońcu, salutując każdemu przejeżdżającemu samochodowi.

Żandarmi kierowali nadjeżdżające pojazdy na obszerny parking przed hangarami. Jeździłem chwilę wokoło, aż zobaczyłem służbowy samochód Kenta zaparkowany w pobliżu hangaru numer trzy. Stałem obok, wysiedliśmy i ruszyliśmy za tłumem, który kierował się na wyznaczone miejsce. Zazwyczaj do tego czasu ciało już jest w ziemi, ale to miało zostać przesłane do Michigan, a siły powietrzne były tak miłe, że dostarczyły środek transportu: duży, oliwkowy C-130, który siedział na betonowej płycie w pobliżu.

Tak jak podejrzewałem, ci którzy nie zjawili się w kaplicy na mszę, przyszli od razu na Pole Jordana, w tym mniej więcej setka wojskowych ze służby zasadniczej, trochę ciekawskich z Midland i okolic, plus grupa weteranów z miasta i pozostałych czterystu oficerów z Fortu Hadley z małżonkami.

Zebrali się już wszyscy: orkiestra, poczet sztandarowy oraz oficerowie mający oddać salut honorowy. Dobosze zaczęli wybijać powolny, przytłumiony rytm, a sześciu poruczników wyłoniło się spomiędzy dwóch hangarów, ciągnąc jaszcz do miejsca przy otwartej klapie w C-130. Ci, którzy byli w mundurach zaszalutowali, a cywile przyłożyli prawe dłonie do serc. Ustawiono trumnę w cieniu ogona C-130. Werbel ucichł i wszyscy opuścili ręce.

Panował straszliwy upał, a powietrze było nieruchome, tak że sztandar zwisałby bezwładnie, gdyby ktoś z pocztu go nie trzymał. Zaczęła się krótka ceremonia.

Osiem kobiet-oficerów podniosło flagę, którą była przykryta trumna, i trzymało ją na wysokości pasa.

- Módlmy się - powiedział kapelan Eames. Na zakończenie pogrzebu zaintonował: - Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków. Amen.

Siedmiu oficerów przygotowało się do salutu honorowego i wystrzeliło trzy razy w powietrze. Kiedy przebrzmiał ostatni wystrzał, trębacz, który stał koło trumny, zagrał sygnał. Lubię capstrzyk i myślę, że słusznie ostatni sygnał, jaki żołnierz słyszy w nocy, został wybrany jako sygnał do ostatniego, długiego snu. To przypomina wszystkim zebranych, że tak samo jak po dniu przychodzi noc, tak po ostatnim capstrzyku nadejdzie też Wielka Pobudka.

Flaga została złożona, kapelan Eames przekazał ją pani Campbell, która wyglądała naprawdę

godnie. Powiedzieli coś do siebie; wszyscy zebrani stali nieruchomo.

To zapewne z powodu słońca, a może także strzałów i capstrzyku, dopadły mnie wspomnienia związane z Fortem Hadley i Polem Jordana. Jakakolwiek była przyczyna, wróciłem myślą do lata 1971. I ze wszystkich możliwych miejsc przypomniał mi się motel Biała Kamelia i przyjęcie w środku nocy w basenie, gdzie stroje kąpielowe nie były wymagane. Mój Boże, pomyślałem, ależ byliśmy młodzi, przewracaliśmy wszystko w mieście do góry nogami, tysiące młodych ludzi, w których buzowały hormony i alkohol. Ale nie byliśmy typowymi, nie dbającymi za grosz o przyszłość młodzikami. Wręcz przeciwnie - przyszłość była w każdej naszej myśli, w każdym słowie, w każdym szalonym stosunku seksualnym. Jedz, pij i raduj się, mówiliśmy, ponieważ worki z ciałami leżą na Polu Jordana.

Pamiętam dwóch koleżków ze Szkoły Piechoty, którzy na miesiąc czy coś koło tego zostali przydzieleni do rozładowywania tych worków. I pewnego dnia dostali przydziały - nie do Wietnamu, ale do Niemiec. Czytali raz po raz kartki rozkazu i kazali wszystkim w baraku czytać je raz po raz, jakby to był list od prawnika, który zawiadamia, że otrzymali tytuł lub majątek. Musiał być jakiś związek przyczynowo-skutkowy między rozładowywaniem ciał z Wietnamu a uniknięciem wyjazdu w to miejsce, więc nagle setki piechociarzy zgłosiło się na ochotnika do tej upiornej służby, mając nadzieję, że to im zapewni bilety do Niemiec czy do innego równie znakomitego miejsca. Więc i ja rozładowywałem te ciała, ale założenie, że armia może okazać wrażliwość wobec uczuć tych, którzy zajmują się trupami, okazało się błędne. Otrzymałem rozkaz, w którym napisane było: „Proszę się zgłosić do bazy wojskowej w Oakland po dalszy przydział do południowo-wschodniej Azji.” W wojsku nawet nie używano słowa, które zaczynało się na w...

Wróciłem do terażniejszości, która nie była łatwiejsza niż przeszłość. Zobaczyłem, że generał i pani Campbell rozmawiają stojąc w grupie kilku osób: rodzina, Fowlerowie i pracująca z generałem kapitan Bollinger. Trumna zniknęła. Została umieszczona w samolocie transportowym, gdy byłem nieobecny duchem.

Nagle ruszyły cztery silniki odrzutowe, warcząc ogłuszająco. Generał zasalutował tym, którzy stali koło niego, wziął panią Campbell pod ramię, John Campbell ujął ją pod drugie i weszli po trapie do samolotu. Przez chwilę myślałem, że wsiadają tam, by powiedzieć ostatnie słowa pożegnania, ale nagle uświadomiłem sobie, że może wybrali ten moment, aby rozstać się na zawsze z Fortem Hadley i z wojskiem. Po chwili kłapa samolotu zamknęła się. Kontroler na ziemi zaczął podawać pilotowi sygnały i wielki transportowiec ruszył po płycie w stronę pasa startowego.

Myślę, że większość zebranych zdumiał nagły wyjazd Campbellów tym samym samolotem, który zabierał ciało ich córki. Ale po chwili - wydawało się, że wszyscy pomyśleli to samo - doszedłem do wniosku, że było to najlepsze dla Campbellów, dla jednostki i dla armii.

Patrzyliśmy, jak C-130 oddalał się na pasie, zwiększył prędkość, a potem nagle uniósł się z ziemi, zamajaczył na tle zielonych sosen, a wreszcie pojawił się na błękitnym niebie. Było to jak sygnał, tłum zafalował i wszyscy - poczet sztandarowy, orkiestra, gwardia honorowa i cała reszta, ruszyli do oczekujących autobusów.

Kiedy w pierwszych samochodach zapalano silniki, odwróciłem się i ruszyłem ku nim z Cynthią i

Karlem. Cynthia wycierała oczy chusteczką.

- Nie czuję się za dobrze - powiedziała. Dałem jej kluczyki do samochodu.

- Usiądź na chwilę przy włączonej klimatyzacji. Spotkamy się w hangarze trzecim, gdy poczujesz się lepiej.

- Nie, nic mi nie będzie. - Wzięła mnie pod rękę.

Karl zwrócił się do mnie:

- Paul, chciałbym, żebyś ruszył do działania. Nie mamy już czasu i nie mamy wyboru.

- To prawda, że nie mamy czasu, ale wybór mamy.

- Czy mam ci wydać rozkaz?

- Nie możesz mi rozkazać, abym zrobił coś, co uważam za taktycznie niesłuszne i co w dodatku może utrudnić sprawę FBI.

- Nie, nie mogę. Czy uważasz, że konfrontacja z Kentem jest w tej chwili niesłuszna?

- Nie.

- Więc?

- Ja podejmuję się tej konfrontacji - powiedziała Cynthia. Spojrzała na mnie. - W hangarze, dobrze?

Nic nie powiedziałem.

- Dobrze - zgodził się Karl. - My z panem Brennerem poczekamy na ciebie w samochodzie.

Uznałem, że dość się już boczyłem, więc mruknąłem:

- No dobrze. Zrobię to. I tak tonę już po szyję w kłopotach.

Cynthia dała nam znak dłonią. Kent w towarzystwie dwóch młodszych stopniem oficerów szedł w stronę swojego samochodu.

- Poczekaj dziesięć minut - powiedziałem do Cynthii - potem dołącz do mnie.

Ruszyłem za Kentem, dogoniłem go i trzepnąłem w ramię. Odwrócił się. Przez sekundę staliśmy tak, patrząc jeden na drugiego. Wreszcie powiedziałem:

- Pułkowniku, czy mogę z panem porozmawiać na osobności?

Zawahał się, ale odparł:

- Jasne.

Odesłał swoich podwładnych, a my staliśmy na gorącym betonie przed hangarami. Samochody wokół nas zaczęły powoli odjeżdżać.

- Na słońcu jest za gorąco - powiedziałem. - Wejźmy do hangaru.

Ruszyliśmy ramię w ramię, jak koledzy-gliniarze mający to samo zadanie, i przypuszczałem, że kiedy wszystko zostanie powiedziane i wykonane, tak właśnie będzie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W hangarze było nieco chłodniej niż na zewnątrz i dużo spokojniej.

Przeszliśmy koło BMW Ann Campbell do miejsca, gdzie leżały jej domowe sprzęty. Wskazałem na wyściełany fotel z jej gabinetu. Kent usiadł.

Cal Seiver, także w galowym mundurze, najwyraźniej także wrócił w tej chwili z ceremonii. Wziąłem go na stronę.

- Cal, niech wszyscy poza Grace stąd wyjdą. Ona ma mi wydrukować odpowiednie zapisy z pamiętnika kapitan Campbell. - Skinąłem głową w stronę Kenta. - Potem może też wyjść. Ale niech zostawi dyskietkę tutaj.

- Dobrze.

- Czy miałeś wiadomość od tego faceta od śladów z Oakland?

- Tak. Wychodzi na to, że on nie może stwierdzić nic na pewno. Ale gdyby musiał się wypowiedzieć, to jego zdaniem odcisk pułkownika Kenta był wcześniejszy niż St. Johna.

- W porządku. A co ze śladami farby na drzewie?

- Wysłałem trzy próbki helikopterem do Gillem parę godzin temu. Twierdzą, że jest to czarna farba, nieobowiązuje mogą potwierdzić, że pasuje do tej używanej w chryslerach typu džip. A nawiasem mówiąc, gdzie jest ten samochód?

- Najprawdopodobniej w garażu pułkownika Kenta. Mieszka na Wzgórzu Bethany. Może byś tam kogoś posłał, kto obfotografowałby rysy i zdrapał trochę farby dla porównania.

- Czy wolno mi to zrobić?

- Dlaczego nie?

- Potrzebuję czegoś na piśmie od jego bezpośredniego zwierzchnika,

- Jego bezpośredni zwierzchnik właśnie złożył rezygnację i odleciał do Michigan. Ale wcześniej powiedział mi, że możemy robić wszystko, co uznamy za słuszne. Nie udawaj przy mnie cywila, Cal, Tu jest wojsko.

- Niech ci będzie.

- Czy możesz zademonstrować mnie i pułkownikowi Kentowi szkic śladów na monitorze?

- Jasne.

- Dobrze. Pierwsze ślady Kenta.

- Rozumiem. - Spojrzał na Kenta siedzącego w gabinecie Ann Campbell, potem na mnie. - On?

- Być może.

- Jeśli uważasz, że tak, to próbuj.

- Dobrze. A jak on mi założy kajdanki i zamknie w areszcie, przyjdiesz z wizytą?

- Nie, muszę wracać do Gillem. Ale będę pisał.

- Dzięki. I powiedz tym żandarmom na zewnątrz, żeby przytrzymali FBI, póki tu jestem.

- Zrobione. Powodzenia. - Trzepnął mnie po ramieniu i odszedł. Wróciłem do Kenta i usiadłem na kanapie.

- Staramy się powykańczać pewne sprawy, zanim przyjdzie tu FBI - powiedziałem.

Skinął głową.

- Zdaje się, że twój świadek w sprawie handlu bronią wyfrunął - zauważył.

- Coś wygrywasz, coś tracisz.

- A co w tej sprawie?

- Piszcz. Czas ucieka. FBI nadchodzi, mamy tylko jednego podejrzanego.

- Kogo?

Wstałem, zdjąłem kurtkę, ujawniając przy okazji pod ramieniem kaburę z glockiem 9 mm. Kent zrobił to samo, pod jego ramieniem tkwiła trzydziestka ósemka, ulubiona broń policjantów, dla mnie trochę za bardzo na pokaz. Usiedliśmy, połuźniliśmy krawaty.

- Kto jest podejrzanym? - zapytał ponownie.

- Właśnie na ten temat chciałem z tobą porozmawiać. Musimy poczekać na Cynthię.

- Dobrze.

Rozejrzałem się po hangarze. Reszta ekipy właśnie wychodziła, tylko Grace siedziała przy pececie i drukowała.

Spojrzałem w stronę wejścia, ale Cynthia jeszcze się nie pokazała. Mimo tego, co czułem do niej w tej chwili, zasługiwała, żeby uczestniczyć w tym do końca, jakkolwiek będzie ten koniec. Wiedziałem, że Karl usunie się w cień, kierowany nie instynktem chronienia swojego tyłka, co byłoby normalne, ale szacunkiem do mnie i mojej pracy. Karl nigdy nie wtrąca się do szczegółów i nigdy nie przypisuje sobie zasług swoich ludzi. Z drugiej strony, nie najlepiej radzi sobie z porażką, zwłaszcza kiedy błąd popełnił ktoś inny.

- Cieszę się, że już po wszystkim - powiedział Kent.

- Wszyscy się cieszymy.

- Dlaczego chciałeś, żebym spotkał Johna Campbella? - zapytał.

- Myślałem, że możecie powiedzieć sobie coś pocieszającego.

Kent milczał.

Zauważyłem, że lodówka z kuchni Ann Campbell została podłączona do prądu, przekroczyłem niewidzialną ścianę, otworzyłem drzwiczki i zobaczyłem wewnątrz wypełnione piwem i różnymi napojami. Wyjąłem trzy puszki coorsa, przyniosłem do gabinetu i jedną z nich podałem Kentowi.

Otworzyliśmy i wypiliśmy.

- Zabrali ci już sprawę, tak? - zapytał Kent.

- Dostałem jeszcze parę godzin.

- Szczęściarzem z ciebie. Czy w CID płacą za nadgodziny?

- Tak. Podwójnie po pierwszych dwudziestu czterech godzinach każdego dnia, a potrójnie, jeśli dotyczy to niedzieli.

Uśmiechnął się.

- Mam całą stertę roboty, która czeka na mnie w biurze - stwierdził.

- To nie zajmie dużo czasu.

Wzruszył ramionami i skończył piwo. Podałem mu następne. Otworzył je.

- Nie wiedziałem, że Campbellowie odlecą tym samolotem - powiedział.

- Mnie też zaskoczyli. Ale to było sprytnie posunięcie.

- On jest skończony. A mógł być następnym wiceprezydentem, a może nawet pewnego dnia prezydentem. Był czas na kolejnego generała.

- Nie znam się na polityce. - Zobaczyłem, że Grace układa wydruki na stoliku, a na nich kładzie miękki dysk. Wstała, pomachała do mnie i wyszła. Cal podszedł do komputera, załadował swój graficzny program i zaczął się nim bawić.

- Co oni robią? - zapytał Kent.

- Starają się ustalić, kto to zrobił.

- Gdzie jest FBI?

- Prawdopodobnie za drzwiami, czekają, kiedy mój czas się skończy.

- Nie lubię pracować z FBI - oznajmił Kent. - Oni nas nie rozumieją.

- Rzeczywiście, nie. Ale żaden z nich nie spał ze zmarłą.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Cynthia. Weszła do gabinetu, przywitała się z Kentem, wyjąłem dla mej dietetyczną colę z lodówki i kolejne piwo dla Kenta. Usiedliśmy. Teraz już Kent zaczął tracić pewność.

- To było bardzo smutne - powiedziała Cynthia. - Taka młoda... czułam się okropnie, patrząc na jej rodziców i brata.

Kent milczał.

- Bill, natrafiliśmy z Cynthiś na kilka spraw - odezwałem się - które nas niepokoją i wymagają wyjaśnienia.

Wypił kolejny łyk piwa.

- Po pierwsze, chodzi o ten list - powiedziała Cynthia. Wyjęła z torby papier i wręczyła go Kentowi.

Przeczytał go, choć może właściwie nie czytał, bo prawdopodobnie znał go na pamięć, i oddał Cynthii.

- Rozumiem, że musiało cię to wzburzyć - powiedziała. - Taka daje każdemu na prawo i lewo, a jednemu mężczyźnie, któremu na niej zależy, grozi kłopotami.

Zmieszał się nieco, znowu pociągnął tęgi łyk piwa.

- Dlaczego myślicie, że mi na niej zależało? - zapytał.

- Intuicja - powiedziała Cynthia. - Myślę, że obchodziła cię, ale była zbyt zajęta sobą i zbyt niezrównoważona, żeby odpowiedzieć na twoje zainteresowanie i uczciwe zamiary.

Gdy jesteś policjantem, który zajmuje się morderstwem, oczywiście musisz mówić źle o ofierze, rozmawiając z podejrzanym. Morderca nie chce słyszeć, że zabił wzór doskonałości, dziecko Boże, jak to przedstawił Ann Campbell pułkownik Fowler. Nie odrzucasz też tak do końca pytania, co jest słuszne, a co nie z moralnego punktu widzenia, jak to sugerował Karl. Po prostu sugerujesz podejrzanemu, że to, co zrobił, można zrozumieć.

Ale Bill Kent nie był idiotą i wiedział, gdzie go prowadzimy, więc nic nie powiedział.

Cynthia mówiła dalej:

- Mamy też zapisy z pamiętnika dotyczące każdego jej spotkania z tobą.

- Leżą tam, koło komputera - podpowiedziałem.

Cynthia przeszła do komputera i wróciła z wydrukami. Usiadła naprzeciwko Kenta przy stoliku kawowym i zaczęła czytać. Opisy były oczywiście dosadne, ale właściwie nie erotyczne. Kliniczne relacje, bez jednego słowa na temat miłości, czego można by się spodziewać po pamiętniku. Tylko skatalogowany seks. Oczywiście było to krępujące dla Kenta, ale potwierdzało, że Ann Campbell nie miała dla mego więcej uczucia niż dla swego wibratora. Widziałem po wyrazie jego twarzy, że ogarnia go złość, która jest emocją najtrudniejszą do opanowania i która prowadzi zawsze do samozniszczenia.

- Nie muszę tego wysłuchiwać - wykrzyknął Kent wstając.

Wstałem również.

- Myślę, że powinieneś. Proszę, usiądź. Naprawdę cię tu potrzebujemy.

Wyglądało na to, że zastanawia się, czy zostać, czy odejść, ale to była tylko gra. Tutaj i teraz rozgrywała się najważniejsza sprawa w jego życiu, a jeśli wyjdzie, rozegra się bez niego.

Usiadł z pozorną niechęcią. Poszedłem w jego ślady.

Cynthia kontynuowała czytanie, jakby nic się nie wydarzyło. Znalazła właśnie fragment, którego szukała.

- „Bill naprawdę zasmakował w duszeniu seksualnym, a tak długo się opierał. Najbardziej lubi założyć pętlę na szyję i zaczepić się na gwoździu na ścianie, podczas gdy ja się nim zajmuję. Ale lubi także przywiązać mnie do łóżka, to właśnie zrobił dziś w nocy, i zaciskać mi pętlę, pobudzając mnie wibratorem. Jest w tym bardzo dobry, miałam wiele bardzo silnych orgazmów.” - Cynthia przez

chwilę patrzyła na Kenta, a potem wróciła wzrokiem do kartek.

Teraz Kent nie wyglądał już ani na zagniewanego, ani zakłopotanego. Prawdę mówiąc wydawało się, że jest myślami gdzieś daleko i albo wspomina lepsze dni, albo myśli o złej przyszłości.

Cynthia doszła do ostatniego zapisu, tego, który Grace przeczytała nam przez telefon.

- „Bill znowu zaczyna mnie traktować jak swoją własność. Myślałam, że już sobie z tym poradziłam. Przyszedł dziś w nocy, kiedy był tu Ted Bowes. Nie zeszliśmy jeszcze z Tedem na dół, więc obaj napili się drinka w salonie i Bill był bardzo nieprzyjemny, wykorzystując swoją wyższą rangę. Wreszcie Ted wyszedł, a my z Billem pokłóciliśmy się. Powiedział, że gotów jest opuścić swoją żonę i zrezygnować z wojska, jeśli obiecuję z nim wyjechać, wyjść za niego czy coś w tym rodzaju. Dobrze wie, dlaczego robię to, co robię z nim i innymi mężczyznami, ale najwyraźniej wydało mu się, że między nami jest coś więcej. Ponieważ starał się wymusić na mnie zgodę, powiedziałam mu, żeby się uspokoił. Nawet nie chciał seksu. Tylko rozmowy. Pozwoliłam mu się wygadać, ale nie podobało mi się to, co mówił. Dlaczego niektórzy mężczyźni myślą, że muszą być rycerzami na białych koniach? Ja nie potrzebuję żadnego księcia. Sama jestem własnym księciem, mam własnego smoka i mieszkam we własnym zamku. Reszta to pionki w grze. Bill nie bardzo to pojmuje. Nie rozumie, o co chodzi, więc nawet nie staram się mu wytłumaczyć. Powiedziałam, że zastanowię się nad jego propozycją, ale na razie niech przychodzi tylko wtedy, gdy jesteśmy umówieni. To wprawiło go w prawdziwą wściekłość i nawet mnie uderzył, a potem zerwał ze mnie ubranie i zgwałcił na podłodze salonu. Zdaje się, że po tym mu ulżyło i wreszcie wyszedł przygnębiony. Zdałam sobie sprawę, że może być niebezpieczny, ale nie dbam o to. Prawdę mówiąc, z nich wszystkich tylko on prócz Wesa groził mi i uderzył mnie, i to jest jedyne, co czyni Billa Kenta interesującym.”

Cynthia odłożyła papiery i przez chwilę wszyscy siedzieliśmy w milczeniu.

- Zgwałciłeś ją tam, na podłodze salonu? - zapytałem pokazując głową sąsiedni pokój.

Kent nie odpowiedział.

- Jeśli masz zamiar mnie upokorzyć, wykonałeś dobrą robotę - stwierdził tylko.

- Moim celem, pułkowniku - odparłem - jest znaleźć mordercę Ann Campbell i, co również jest ważne, dowiedzieć się, dlaczego ktoś ją zabił.

- Czy uważacie, że ja... że ja wiem coś, czego ci nie powiedziałem?

- Tak właśnie myślimy. - Sięgnąłem po pilota i włączyłem telewizor i wideo. Pojawiła się Ann Campbell, była w połowie wykładu.

- Nie przeszkadza ci? - zapytałem Kenta. - Ta kobieta fascynuje mnie równie mocno, jak fascynowała, jestem pewien, ciebie i innych. Co jakiś czas muszę na nią popatrzeć. To pomaga.

Kapitan Ann Campbell mówiła:

„Powstaje moralna wątpliwość, czy psychologię, którą traktujemy jako dziedzinę medycyny, naukę mającą na celu leczenie, można traktować jako broń.” - Ann Campbell wyjęła mikrofon ze stojaka i zbliżyła się do kamery. Usiadła na podium, z nogami przewieszonymi przez krawędź. - „Teraz was lepiej, chłopcy, widzę” - powiedziała.

Spojrzałem na Kenta, który wpatrywał się w obraz. I jeśli mogłem osądzić jego uczucia po moich, pragnął ją widzieć żywą w tym właśnie pokoju, aby móc się do niej odezwać i jej dotknąć.

Ann Campbell mówiła dalej o moralnym aspekcie operacji psychologicznych i potrzebach oraz lękach wszystkich istot ludzkich.

„Psychologia to miękka broń. To nie pocisk artyleryjski kalibru 155 mm, ale więcej wrogich batalionów można usunąć z pola walki za pomocą ulotek i audycji radiowych niż dzięki materiałom wybuchowym. Nie trzeba zabijać ludzi, wystarczy ich tylko nakłonić, żeby się poddali. Znacznie więcej satysfakcji daje widok nieprzyjaciół biegnących ku wam z rękami na głowie, padających na kolana u waszych stóp, niż zabijanie ich.”

Wyłączyłem telewizor.

- Miała prezencję, co, Bill? - stwierdziłem. - Była z tych, które działają na ciebie wzrokiem, słowem, umysłem. Szkoda, że jej nie znałem.

- Nie, nie żałuj - powiedział Kent.

- Dlaczego?

Wziął głęboki oddech i odparł:

- Była... zła.

- Zła?

- Tak... ona była... ona była jedną z tych kobiet... niewiele takich się spotyka... była kobieta, którą każdy kochał, wydawała się taka czysta i zdrowa, i słodka... Ale to było tylko wielkie oszustwo. W rzeczywistości nie dbała o nikogo i o nic. Wiesz... udawała taką dziewczynę z przeciwka, taką, którą każdy mężczyzna chciałby mieć, ale jej umysł był chory.

- Zaczęliśmy właśnie do tego dochodzić - powiedziałem. Możesz nam o tym opowiedzieć?

Zrobił to. Przez następne dziesięć minut opowiadał nam o Ann Campbell, tak jak on ją widział. Czasami dotykał prawdy, ale często rozmijał się z nią. Cynthia przyniosła mu kolejne piwo.

Można by powiedzieć, że Bill Kent formułował moralne oskarżenie w ten sam sposób, jak to trzysta lat temu robili polujący na czarownice. Była zła, rządziła umysłami, ciałami i duszami mężczyzn, rzucała czary, udawała, że czci Boga i wykonuje swoje codzienne obowiązki, ale nocami bratała się z ciemnymi siłami.

- Możecie zobaczyć ją na tych kasetach, czarującą i miłą w otoczeniu mężczyzn, ale wystarczy przeczytać pamiętnik, by przekonać się, że była do cna zepsuta. Mówiłem wam, że fascynowała się Nietzschem - człowiek i nadczłowiek, antychryst i wszystkie te sprawy. - Odetchnął głęboko i mówił dalej. - Chodzi mi o to, że potrafiła wejść nocą do biura mężczyzny i mieć z nim akt seksualny, a następnego dnia wręcz go nie zauważać.

I dalej w tym stylu.

Kent zrozumiał, że powiedział trochę za dużo i zamilkł. Ale myślę, że siedząc tutaj, jakby w domu Ann Campbell, mówił w równym stopniu do nas, co do niej. Myślę także, że jej wizerunek wzmocniony obrazem w telewizorze, tkwił mocno w jego umyśle. Wprawialiśmy go z Cynthią w odpowiedni nastrój i na pewno w jakimś stopniu zdawał sobie z tego sprawę.

Trochę pomogły cztery piwa, co jest moją odpowiedzią na problem stosowania środków wywołujących potrzebę mówienia prawdy. Działa prawie za każdym razem.

Wstałem.

- Spójrzmy na to - powiedziałem,

Przeszliśmy do dalszej części hangaru, gdzie Cal Seiver siedział nad komputerem.

- Półkownik Kent chciałby zobaczyć ten obraz - powiedziałem do Cala.

- Proszę - Cal wywołał całkiem niezły graficzny obraz sceny morderstwa, na którym było widać drogę, strzelnicę, trybuny, a także kiwającą się planszę-cel. Natomiast nie było ciała. - Dobrze - powiedział - teraz mamy mniej więcej pierwszą trzydziestą, podjeżdża łazik ofiary. - Na ekranie od lewej ku prawej jechał pojazd, który widzieliśmy jakby z lotu ptaka. - Zatrzymuje się, ofiara wysiada. - Zamiast postaci, czy choćby jej widoku z góry, na ekranie pokazały się obok łazika dwa ślady stóp. - Tutaj z latryn wychodzi pułkownik Moore... - Pojawiły się żółte ślady, przeszły od górnej krawędzi ekranu do łazika i zatrzymały się. - Rozmawiają, ona zdejmuje ubranie, w tym buty i skarpetki - tego oczywiście nie widzimy, natomiast możemy zobaczyć, gdzie schodzą z drogi i którądy idą strzelnicą... ona to czerwone ślady, on niebieskie... obok siebie. Znaleźliśmy jej ślad tutaj i tutaj, a resztę wyekstrapolowaliśmy. To samo z nim. Jedziemy dalej?

Spojrzałem na Kenta.

- Jedziemy dalej?

Wpatrywał się w ekran.

- Dobrze, zatrzymują się przy sylwetce-celu - mówił dalej Seiver... i ona się kładzie. - Na ekranie pojawiła się czerwona postać z rozłożonymi rękami i nogami. - Już nie zobaczymy więcej jej śladów, a pułkownik Moore, zwiąawszy kapitan Campbell odejdzie. Widać gdzie zawrócił i którądy dotarł do drogi. - Tu Seiver dodał: - Pańskie psy, pułkowniku, pochwyciły jego zapach na

trawie między drogą a latrynami.

- Taki graficzny obraz robi znakomite wrażenie na sędziach - stwierdziłem.

Kent nic nie mówił.

- Dobra. Mniej więcej o drugiej siedemnaście zjawia się generał Campbell w samochodzie swojej żony - mówił dalej Seiver.

Spojrzałem na Kenta, którego ta rewelacja zaskoczyła tak samo, jak wcześniejsza informacja, że to pułkownik Moore przywiązał Ann, a potem sobie poszedł.

- To nie takie proste, zmusić generała, by dał ci buty, w których chodził po miejscu zbrodni - oświadczył Seiver - ale podejrzewam, że nie odszedł daleko od drogi i nie zbliżył się do ofiary. Pogadali, a potem on wrócił do samochodu.

- Nadażasz? - zwróciłem się do Kenta.

Spojrzał na mnie , ale i tym razem nic nie powiedział.

- Pułkownik, tłumaczmy panu właśnie, że ani pułkownik Moore, ani generał Campbell nie zabili Ann - podpowiedziała Cynthia. - To była skomplikowana akcja, zaplanowana z wojskową precyzją, coś w rodzaju psychicznej pułapki na generała. Nie miała zamiaru spotkać się tam z kochankiem, co niektórzy podejrzewali, nie napadł na nią maniak. Mściła się na swym ojcu.

Kent nie prosił o wyjaśnienia, nadal wpatrywał się w ekran.

- Została zgwałcona przez grupę mężczyzn, kiedy była kadetką w West Point - wyjaśniła Cynthia - i ojciec zmusił ją do milczenia, ponieważ postanowił wraz z wysokimi rangą oficerami zatuszować sprawę. Czy wiedział pan o tym?

Patrzył na Cynthię, ale nic nie wskazywało na to, że rozumiał choć słowo.

- Ona odtwarzała to, co się wydarzyło w West Point, bo chciała zaszokować i zawstydzić ojca.

Nie jestem pewien, czy chciałem, żeby Kent o tym wszystkim wiedział, ale może i dobrze się stało, że usłyszał prawdę, będąc w tym stanie.

- Myślałeś, że ona odgrywa na strzelnicy jakąś seksualną fantazję?

Nie odpowiedział.

- Na przykład, że kolejni mężczyźni ją gwałcą? - dodałem.

Wreszcie odezwał się:

- Niejeden by tak uważał znając ją.

- Tak. Nam też coś takiego przyszło do głowy, bo oglądaliśmy pokój w piwnicy. Na pewno pomyślałeś to samo, kiedy zobaczyłeś ją na ziemi. Wyglądało to na scenariusz Ann Campbell i to był scenariusz. Tyle że źle go odczytałeś.

Brak reakcji.

- Mów dalej - powiedziałem do Cala.

- No więc generał odjeżdża, i tutaj widzimy ślady... to są pańskie ślady, pułkownika... niebieskie...

- Nie - powiedział Kent - moje pojawią się później. Po St. Johnie i Casey.

- Nie, sir - odparł Cal - pańskie ślady pojawiają się przed St. Johnem. Proszę zobaczyć w tym miejscu. Tu jest pański ślad, a na niego nałożony ślad St. Johna. A to znaczy, że pan był tam wcześniej niż on. Co do tego nie ma wątpliwości.

- W rzeczywistości, Bill - dodałem - przyszedłeś tam po odjeździe generała, a Ann jeszcze żyła. Generał odjechał po Fowlerów, a kiedy oni przybyli na miejsce zbrodni, Ann Campbell już nie żyła.

Kent stał kompletnie bez ruchu.

- Dżip cherokee twojej żony, z tobą w środku - powiedziałem - został zauważony przez jednego z twoich żandarmów o godzinie zero trzydzieści. Stał zaparkowany przed biblioteką, naprzeciwko budynku dowództwa. Potem widziano cię - skłamałem - kiedy jechałeś w kierunku Drogi Strzelnic. Znaleźliśmy miejsce, gdzie skręciłeś z drogi na Pole Jordana i ukryłeś dżipa w krzakach. Zostały ślady opon i uderzyłeś w drzewo. Porównaliśmy odpryski farby, które zostały na drzewie, z farbą samochodu twojej żony, zresztą pozostał na nim ślad zadrapania. Znaleźliśmy także twoje odciski stóp - kłamałem dalej - w rowie przy Drodze Strzelnic, prowadziły na południe, w stronę miejsca zbrodni. Czy chcesz, żebym ci zrekonstruował przebieg całego wydarzenia?

Potrząsnął głową.

- Biorąc to wszystko pod uwagę - powiedziałem - to znaczy motyw, którym jest pamiętnik i list do żony, te i inne dowody świadczące o zaangażowaniu seksualnym i obsesji seksualnej na punkcie zmarłej, oraz dowody zdobyte przez laboratorium, proszę cię, żebyś natychmiast poddał się testowi na prawdomówność, który przygotowaliśmy dla ciebie.

Co prawda nie przygotowaliśmy, ale teraz czy później - nie miało to znaczenia.

- Jeśli odmówisz, nie mam wyboru i muszę cię aresztować, a potem zwrócę się do kogoś w Pentagonie, aby rozkazał ci poddać się badaniu.

Kent odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę sprzętów z domu Ann Campbell. Wymieniliśmy spojrzenia z Cynthią i Calem, potem ja i Cynthia podążyliśmy za nim.

Usiadł na oparciu wyściełanego fotela w salonie, przez chwilę wpatrywał się w podłogę.

Przypuszczam, że patrzył na miejsce, w którym ją gwałcił.

Stałem przed nim.

- Oczywiście znasz swoje prawa jako oskarżony i nie będę cię obrażał odczytywaniem ich. Ale obawiam się, że muszę ci odebrać broń i założyć kajdanki.

Spojrzał na mnie, ale nadal nic nie mówił.

- Nie zabiorę cię do aresztu w budynku żandarmerii - powiedziałem. - To byłoby dla ciebie zbyt wielkie upokorzenie. Ale mam zamiar cię zamknąć w areszcie śledczym. - I dodałem: - Czy mogę ci odebrać broń?

Oczywiście wiedział, że już po wszystkim, ale jak każde złapane w potrzask zwierzę, musiał ryknąć ostatni raz.

- Nigdy nie uda się wam tego udowodnić - powiedział. - A kiedy zostanę zwolniony przez równych mi sędziów, już ja dopilnuję, żeby was oboje oskarżono o cudzołóstwo.

- Tak jest, sir - odparłem. - To pańskie prawo. Będzie pan sądzony przez równych sobie. I jeśli uznają pana za niewinnego, może pan postawić nam zarzuty. Ale dowody na pańskie złe prowadzenie się są raczej ewidentne. Może pan się wybronić od zarzutu morderstwa, ale i tak radziłbym nastawić się na spędzenie kilku lat w Leavenworth za poważne uchybienia w wykonywaniu obowiązków, ukrywanie faktów związanych z przestępstwem, uprawianie niedozwolonych form seksu, gwałt i naruszenie paru innych artykułów Kodeksu Prawa Wojskowego.

Kent jakby zastanawiał się nad tym.

- Nie bardzo czysto gracie - stwierdził wreszcie.

- Czyżby?

- Z własnej woli opowiedziałem o moim związku z nią, żeby wam pomóc ująć mordercę, a wy teraz oskarżacie mnie o rozwiązłość i naginacie dowody, próbując wykazać, że popełniłem zbrodnię na tle seksualnym. Działacie w desperacji.

- Bill, daruj sobie.

- O nie, to ty sobie daruj. A tak dla twojej informacji, owszem, byłem tam przed St. Johnem, ale kiedy zjawiłem się na miejscu, ona już nie żyła. Jeśli chcecie wiedzieć, co myślę na ten temat, to powiem wam, że moim zdaniem zabił ją Fowler z generałem.

- Bill, to się na nic nie zda. Naprawdę. - Położyłem mu rękę na ramieniu i powiedziałem: - Bądź mężczyzną, bądź oficerem i dżentelmenem. Na miłość boską, bądź policjantem. Nie powinienem był cię nawet prosić, żebyś zgodził się na test prawdomówności. Powinienem poprosić cię po prostu, żebyś powiedział mi prawdę bez używania detektora kłamstwa, bez demonstrowania dowodów, bez spędzania całych dni w pokoju przesłuchań. Nie rób wstydu nam wszystkim, zachowując się w ten

sposób.

Widziałem, że jest bliski płaczu. Spojrzał na mnie, a potem na Cynthię sprawdzając, czy to zauważyła.

- Bill, wiemy, że ty to zrobiłeś - mówiłem dalej - ty wiesz, że to zrobiłeś, i wszyscy wiemy, dlaczego to zrobiłeś. Istnieje wiele usprawiedliwiających cię okoliczności i racji umniejszających twoją winę. To także wiemy. Do diabła, nie mogę nawet stanąć tutaj i patrząc ci w oczy powiedzieć: „Ona na to nie zasługiwała...” - Prawdę mówiąc mogłem, bo nie zasługiwała, ale tak jak skazańcowi daje się na ostatni posiłek to, o co poprosi, tak mówi mu się to, co chciałby usłyszeć.

Kent zdusił łzy i próbował obudzić w sobie gniew.

- Zasłużyła na to! - krzyczał. - Zasłużyła! Była dziwką, pieprzoną kurwą, zniszczyła moje życie, moje małżeństwo...

- Wiem. Ale teraz musisz to naprawić. Zrób to dla wojska, dla twojej rodziny, dla Campbellów i dla siebie.

Łzy zaczęły mu już płynąć po policzkach, a wiedziałem, że wolałby nie żyć, niż płakać przede mną, Cynthia i Calem Sewerem, który przyglądał się nam z drugiego końca hangaru.

- Nie mogę tego naprawić. Już teraz nie... - wykrztusił z trudem.

- Możesz. Wiesz, że to prawda. I wiesz, w jaki sposób. Nie walcz! Nie pozbawiaj honoru siebie i innych. To wszystko, co jeszcze możesz zrobić. Po prostu spełnij swój obowiązek. Zrób to, co powinien zrobić oficer i dżentelmen.

Podniósł się powoli, wytarł rękami twarz.

- Oddaj mi broń - powiedziałem. Spojrzał mi w oczy.

- Nie zakładaj mi kajdanek, Paul.

- Przykro mi, muszę. Takie są przepisy.

- Na litość boską, jestem przecież oficerem. Jeśli chcesz, żebym się zachowywał jak oficer, traktuj mnie odpowiednio.

- Najpierw zacznij się zachowywać jak oficer. - I zawołałem do Cala: - Daj mi parę kajdanek.

Kent wyciągnął trzydziestkę ósemkę z kabury i krzyknął:

- W porządku, w porządku! Uważajcie! - Przyłożył rewolwer do prawej skroni i nacisnął spust.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Ludzkie oko potrafi rozróżnić piętnaście lub szesnaście odcieni szarości. Procesor w komputerze, analizując odcisk palca, potrafi odróżnić dwieście pięćdziesiąt sześć odcieni szarości. To robi wrażenie. Jednak największe wrażenie robi fakt, że ludzkie serce, umysł i dusza potrafią rozróżnić nieskończoną ilość emocjonalnych, psychologicznych i moralnych odcieni. Od najczarniejszej czerni po najbielszą biel. Nigdy nie ujrzałem granicy tego spektrum, ale rozpoznawałem mnóstwo stanów pośrednich.

Właściwie osobowość człowieka jest nie bardziej stała i jednoznacznie określona niż kolory u kameleona. A ludzie tutaj, w Fort Hadley, nie różnią się od tych, których widziałem w setkach innych jednostek na całym świecie. Ale Ann Campbell z pewnością różniła się od innych. Próbowałem sobie wyobrazić ją żywą. Ciekawe, jak by przebiegała nasza rozmowa, gdyby na przykład przydzielono mnie wcześniej do zbadania tego, co się dzieje w Forcie Hadley. Myślę, iż rozpoznałbym, że nie stoję wobec zwykłej uwodzicielki, lecz wobec niezwyklej, silnej i pociągającej osobowości. Może także mógłbym uzmysłwić jej, że to, co rani innych, nie czyni człowieka silniejszym, tylko mnoży cierpienia.

Nie sądzę, żebym skończył tak jak Bill Kent, ale nie odrzucam tej możliwości i dlatego go nie osądzam. Kent osądził samego siebie. Ujrzał, kim się stał, przeraziło go odkrycie, jaka osobowość wpełzła w jego schludny, uporządkowany umysł, więc ją zabił.

Hangar pełen był teraz żandarmów, ludzi z FBI, personelu medycznego i tych z laboratorium medycyny sądowej, którzy nie zdążyli wyjechać z Hadley.

- Kiedy już skończycie z ciałem - powiedziałem do Cala Sewera - daj do czyszczenia dywan i meble, spakujcie wszystko i wyślijcie do Mitchigan Campbellom. Będą chcieli mieć rzeczy swojej córki.

- Dobrze. - A po chwili dodał: - Ledwo mi to przechodzi przez gardło, ale zaoszczędziłeś wszystkim, poza mną, mnóstwa kłopotów.

- Był dobrym żołnierzem.

Odwróciłem się, minąłem faceta z FBI, który usiłował zwrócić na siebie moją uwagę, i wyszedłem na zewnątrz, w gorący żar dnia.

Karl z Cynthia stali koło ambulansu i rozmawiali. Karl podszedł do mnie, gdy stanąłem już koło blazera.

- Nie powiem, żeby mi sprawiło satysfakcję to rozwiązanie.

Nie zareagowałem.

- Cynthia uważa, że spodziewałaś się tego po nim.

- Karl, nie zawsze ja jestem winny, gdy coś nie gra.

- Nikt cię nie oskarża.

- Wydawało mi się.

- No, mogłaś przewidzieć coś takiego i zabrać mu broń...

- Pułkowniku, jeśli mam być całkiem uczciwy, nie tylko przewidziałem, ale zachęciłem go do tego. Cholernie się nad tym napracowałem, i dobrze o tym wiecie oboje.

Nie przyznał się, że wie, ponieważ było to coś, o czym wolał nie wiedzieć. Takiego rozwiązania nie podawali w instrukcjach. Postawienie oficera okrytego hańbą przed możliwością palnięcia sobie w łeb to uświęcony tradycją zwyczaj wielu armii. Ale nie tej. Zresztą ostatnio nigdzie nie patrzą na to łaskawym okiem. A jednak taka idea istnieje w podświadomości każdego oficera. Gdyby mi grożono sądem wojennym za gwałt, morderstwo i niemoralne czyny, czego nikt nie byłby w stanie udowodnić, i dano do ręki trzydziestkę ósemkę, może bym wybrał tę łatwiejszą drogę. Lecz nie potrafiłem wyobrazić sobie samego siebie w sytuacji Billa Kenta. Trzeba przy tym pamiętać, że Bill Kent sprzed paru miesięcy też by nie potrafił.

Karl coś mówił, ale nie słuchałem. Wreszcie dotarły do mnie jego słowa:

- Cynthia jest bardzo zdenerwowana. Jeszcze się trzęsie.

- Taka to praca. - Chociaż trzeba przyznać, że nie każdego dnia ktoś odstrzelał sobie mózg stojąc przed tobą. Kent powinien był przeprosić i pójść do męskiej toalety. Tymczasem kawałki mózgu i czaszki rozprysnęły się wokół, a część obryzgała twarz Cynthii.

- Spotkało mnie coś takiego w Wietnamie - powiedziałem. - Właściwie raz dostałem w głowę pociskiem, który przeleciał przez inną głowę. Zmywa się wodą z mydłem.

Karl wyglądał na rozgniewanego.

- Panie Brenner, to nie jest zabawne - zachnął się.

- Czy mogę odejść?

- Proszę bardzo.

Odwróciłem się i już otwierając drzwi samochodu, powiedziałem:

- Powtórz proszę, pani Sunhill, że mąż dzwonił do niej rano i chce, żeby oddzwoniła. - Wsiadłem do blazera, włączyłem silnik i odjechałem.

W piętnaście minut byłem z powrotem w kwaterach. Wyskoczyłem z munduru i zobaczyłem plamę

posoki na koszuli. Umyłem twarz i ręce, przebrałem się w sportową koszulę, spodnie, potem zgarnąłem rzeczy, które Cynthia porozkładała. Obrzuciłem pokój ostatnim spojrzeniem i zniosłem bagaże na dół.

Wymeldowałem się, zapłaciłem bardzo skromną kwotę za usługi i podpisałem oświadczenie w sprawie zniszczenia ściany rysunkiem. Zostanę tym obciążony w późniejszym terminie. Kocham wojsko. Urzędnik pomógł mi zanieść bagaże do blazera.

- Uporał się pan z tą sprawą? - zapytał.

- Tak.

- Kto to zrobił?

- Wszyscy. - Wrzuciłem ostatnią torbę do bagażnika, zatrzasnąłem klapę i usiadłem za kierownicą.

- Czy pani Sunhill też się wymeldowuje? - zapytał urzędnik.

- Nie wiem.

- Chce pan zostawić adres, pod jaki należy przysyłać korespondencję?

- Nie. Nikt nie wie, że jestem tutaj. Byłem tylko chwilowo. - Włączyłem silnik i ruszyłem przez centrum bazy na północ, ku bramie, a potem Aleją Zwycięstwa.

Minąłem osiedle Ann Campbell, dojechałem do skrzyżowania i wybrałem zjazd na północ. Włożyłem kasetę z Willie Nelsonem, usiadłem wygodnie i jechałem. W Wirginii, w Andrews, będę przed świtem, a stamtąd złapię poranny wojskowy lot z bazy sił powietrznych. Dokąd to będzie lot, nie miało znaczenia, byle poza kontynent.

Mój czas w wojsku dobiegał końca. W porządku. Wiedziałem o tym, zanim przyjechałem do Fortu Hadley. Nie żałuję, nie waham się i nie czuję goryczy. Służymy, dopóki nam starcza sił, a kiedy stajemy się niezdolni do służby, bezużyteczni, odchodzimy. A jeśli nie potrafimy odejść, proszą nas, byśmy sobie poszli. Bez urazy. Najważniejsze jest zadanie, wszyscy i wszystko muszą się do tego dostosować. Tak piszą w instrukcjach.

Pewnie powinienem był porozmawiać z Cynthią, zanim odjechałem, ale co by to komu dało. Wojskowe życie to życie na walizkach, ludzie przychodzą i odchodzą i wszelkie związki, żeby nie wiem jak bliskie i gorące, są rozumiane jako czasowe. Ludzie zamiast „żegnaj” wolą mówić „do zobaczenia” albo „spotkamy się wkrótce”.

Jednak tym razem ja odchodzę na dobre. W jakiś sposób czułem, że czas odejść właśnie teraz, odłożyć miecz i zbroję, która i tak była nieco zardzewiała, już nie mówiąc o tym, że zaczęła mi ciążyć. Rozpocząłem służbę w najgorszym momencie zimnej wojny, w czasie gdy wojsko było zaangażowane w potężną wojnę w Azji. Spełniłem swój obowiązek, a potem przedłużałem pracę w armii i tak przeszło dwadzieścia lat. Naród się zmienił, świat się zmienił. Zaczął się powolny upadek

wojska: „Dzięki za wszystko, dobra robota, wygraliśmy, wychodząc proszę zgasić światło/”

Świetnie. I tak o to tylko chodziło. Przecież ta wojna nie miała trwać wiecznie, chociaż czasami tak się mogło zdawać. Nie miała dawać zatrudnienia mężczyznom i kobietom, którzy nie sprawdzają się gdzie indziej, chociaż i tak się zdawało.

Amerykańska flaga została ściągnięta we wszystkich amerykańskich placówkach wojskowych na całym świecie i w całym państwie. Jednostki bojowe zostały rozwiązane, a ich sztandary schowane do magazynu. Może pewnego dnia zamkną też dowództwo NATO w Brukseli. Naprawdę rodziła się nowa era i witałem ją z prawdziwą radością. Ale jeszcze bardziej cieszyłem się, że nie muszę już w tym uczestniczyć.

Moje pokolenie zostało ukształtowane przez wypadki, które już dzisiaj nie mają znaczenia, i być może dlatego nasze wartości i opinie też nie mają znaczenia. Więc jeśli jeszcze tkwi w nas chęć walki, stajemy się, jak to Cynthia podpowiedziała, anachroniczni niby konna kawaleria. Odwaliliście kawał dobrej roboty, dzięki, połowa pensji na drogę i cześć pieśni.

Ale w ciągu dwudziestu lat człowiek się wiele uczy i przeżywa sporo niezłych chwil. Nie wybrałbym innej drogi. Było ciekawie.

Willie wyśpiewywał: „Georgia on My Mind”, zmieniłem kasetę na Buddy’ego Holly.

Lubię prowadzić, szczególnie kiedy odjeżdżam skądś. Chociaż aby skądś wyjechać, trzeba najpierw przyjechać. Ale nigdy nie patrzę na to w ten sposób.

W lusterku wstecznym pojawił się samochód policyjny, więc sprawdziłem prędkość, ale przekroczyłem limit zaledwie minimalnie, co na terenie Georgii oznacza, że jesteś zawalidrogą.

Łobuz zapalił czerwone światło i pokazał, żebym zjechał na pobocze. Zahamowałem, lecz nie wysiadłem.

Z policyjnego samochodu wyszedł oficer i zbliżył się do mojego okna; odsunąłem szybę w dół. Zobaczyłem, że to gliniarz z Midland.

- Odjechałeś kawałek od domu, co? - zagadnąłem go.

- Prawo jazdy i karta wozu, sir.

Podąłem mu jedno i drugie.

- Sir, przy następnym zjeździe zawróćimy i pojedziemy z powrotem do Midland.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Dostałem polecenie przez radio.

- Od komendanta Yardleya?

- Owszem, od niego.

- A co, jeśli się nie zgodzę?

- Wtedy będę musiał założyć panu kajdanki. Może pan wybierać.

- Czy jest jakieś trzecie wyjście?

- Nie, sir.

- Dobrze. - Wjechałem z powrotem na autostradę. Samochód policyjny trzymał się w pewnej odległości ode mnie, zjechaliśmy na przeciwny pas, do Midland.

Opuściliśmy autostradę na następnym zjeździe prowadzącym na zachodni skraj miasta, dojechaliśmy do miejskiego centrum odzyskiwania surowców, które kiedyś nazywano śmietniskiem. Policjant zatrzymał się przed piecem do spalania, ja stanąłem za nim i wysiedliśmy z samochodów.

Burt Yardley stał obok potężnego transportera i przyglądał się ludziom rozładującym ciężarówkę i przenoszącym jej zawartość na pas transmisyjny.

Stałem i patrzyłem także, jak piwniczna sypialnia Ann Campbell znika w płomieniach.

Yardley ledwo raczył na mnie spojrzeć i przerzucając stosik zdjęć polaroidowych powiedział:

- Spójrz na to, synu. Widzisz ten gruby tyłek? To ja. A teraz zobacz ten drobniutki. Jak myślisz, do kogo należy? - Wrzucił wszystko do transportera, potem podniósł kasety wideo, które leżały u jego stóp i cisnął je za zdjęciami. - Myślałem, że byliśmy umówieni. Chcesz, żebym całą robotę sam odwalał. Łap się też za to gównu, synu.

Więc pomogłem mu wrzucać na taśmociąg meble, przyrządy do zabaw erotycznych, prześcieradła i całą resztę.

- Moje słowo ma swoją wagę, synu - powiedział. - Ufałeś mi, prawda?

- Pewnie, że ufałem. Jesteś gliniarzem.

- Zgadza się. Co za pieprzony tydzień. Wiesz ty co? Płakałem przez cały pogrzeb.

- Nie zauważyłem.

- Wewnątrz. Wielu facetów, którzy tam byli, płakało tak wewnętrznie. Powiedz, pozbyłeś się tego paskudztwa z komputera?

- Sam spaliłem dyskietkę.

- Tak? Żadne świństwo nie paskudzi już powietrza?

- Nie. Wszyscy są czyściuteńcy.

- Do następnego razu. - Roześmiał się i cisnął do pieca czarną skórzaną maskę. - Niech Bóg nam wybaczy, ale będziemy teraz spać spokojniej. Ona także.

Nie odpowiedziałem.

- Hej, słyszałem o Billu, przykra sprawa - powiedział.

- Przykra.

- Może tych dwoje rozmawia teraz przy bramie do raju. - Zajrzał do wnętrza pieca. - Albo i gdzie indziej.

- To wszystko, komendancie?

Rozejrzał się.

- Prawie.

Wyjął zdjęcie z portfela, przyjrzał mu się, a potem mi je podał.

- Prezent.

Była to fotografia całkowicie nagiej Ann Campbell. Stała, a właściwie skakała na łożku w piwnicy, włosy jej fruwały, nogi miała szeroko rozsunięte, ramiona też, a na twarzy malował się radosny uśmiech.

- Była kobietą w każdym calu - powiedział Yardley. - Tylko nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co się dzieje w jej głowie. Doszedłeś do tego?

- Nie. Ale powiedziała nam więcej o nas samych, niż chcielibyśmy wiedzieć. - Rzuciłem zdjęcie na transporter i ruszyłem do blazera.

- Uważaj na siebie! - krzyknął Yardley.

- Ty też, szefie. Pozdrowienia dla rodziny.

Otworzyłem drzwi samochodu, kiedy Yardley krzyknął znowu.

- Prawie zapomniałem. Ta twoja przyjaciółka - to ona powiedziała mi, że będziesz jechał na północ miedzystanową.

Popatrzyłem na niego ponad dachem samochodu.

- Prosiła, żeby powiedzieć ci do widzenia. I że spotkacie się wkrótce.

- Dzięki. - Wsiadłem do blazera i wyjechałem ze śmietniska. Skręciłem w prawo, znowu na

drogę międzystanową, mijając po drodze magazyny i małe zakłady przemysłowe. Otoczenie świetnie pasowało do mojego nastroju.

Dogonił mnie czerwony mustang. Wjechaliśmy razem na autostradę, a potem Cynthia jechała nadal za mną, mimo że minęliśmy zjazd do Fortu Benning.

Zjechałem na pobocze, ona zrobiła to samo. Wysiedliśmy z samochodów i staliśmy tak o kilka metrów od siebie. Miała na sobie niebieskie dzinsy, biały podkoszulek i tenisówki. Pomyślałem, że me należymy do jednego pokolenia.

- Minęłaś swój zjazd - powiedziałem.

- To lepsze niż minąć swoją szansę.

- Okłamałaś mnie.

- No... tak. Ale co byś powiedział na to, że wciąż jeszcze z nim mieszkam, ale poważnie myślę o rozwodzie?

- Żebyś zadzwoniła do mnie, kiedy się dogadacie.

- Widzisz? Jesteś zbyt bierny.

- Nie kradnę cudzych żon.

Duża ciężarówka przetoczyła się obok i nie dosłyszałem, co powiedziała Cynthia.

- Co?

- To samo zrobiłeś w Brukseli.

- Nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

- Stolica Belgii.

- A co z Panamą?

- Powiedziałam Kiefer, że ciebie trzeba zmusić, żebyś coś zrobił.

- Znowu kłamiesz.

- Jasne. Czemu ja się w ogóle tym przejmuję?

Policjant stanowy na motorze zatrzymał się koło naszych samochodów. Dotknął hełmu i zapytał Cynthii:

- Wszystko w porządku?

- Nie, ten facet jest idiotą.

Popatrzył na mnie.

- Jakieś problemy, kolego?

- Tak, ona mnie śledzi.

Przeniósł wzrok na Cynthię.

- Co by pan powiedział o mężczyźnie, który spędza z kobietą trzy dni i nawet jej nie mówi do widzenia - zapytała go Cynthia.

- No... to doprawdy...

- Nawet jej nie dotknąłem. Mieliśmy tylko wspólną łazienkę.

- Ja... no...

- Zaprosił mnie do swego domu w Wirginii na weekend i wcale nie podał mi adresu ani telefonu.

Policjant popatrzył na mnie.

- Czy to prawda?

- Dowiedziałem się, że wciąż jeszcze jest mężatką - wyjaśniłem. Policjant kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Nikt nie potrzebuje takich kłopotów.

- Nie uważa pan, że mężczyzna powinien walczyć o to, czego pragnie?

- Jasne, że powinien.

- Właśnie to robi jej mąż - powiedziałem. - O mało mnie nie zabił.

- Chciałbym to zobaczyć.

- Ja tam się go nie boję - oznajmiła Cynthia. - Jadę do Benning powiedzieć mu, że między nami wszystko skończone.

- Radzę pani uważać - powiedział policjant.

- Niech pan go zmusi, żeby mi dał numer telefonu

- No... ja nie.... - Odwrócił się do mnie. - Dlaczego po prostu nie da pan jej tego numeru?
Przecież inaczej usmażymy się wszyscy na tym słońcu.

- Niech będzie. Ma pan ołówek?

Wyciągnął kartkę i ołówek z kieszeni, a ja podałem mu adres i numer telefonu. Oderwał kartkę i podał ją Cynthii.

- Oto on, proszę pani. A teraz wszyscy do samochodów i w drogę. W porządku?

Wróciłem do blazera, a Cynthia do mustanga. Zawołała do mnie:

- Niedziela.

Pomachałem, wsiałem do samochodu i odjechałem na północ. Widziałem we wstecznym lusterku, jak nieprzepisowo zawróciła przez ciągłą linię, a potem ruszyła w kierunku zjazdu na Fort Benning.

Bierny? Paul Brenner, tygrys z Falls Church bierny! Zjechałem na prawe pobocze, skręciłem kierownicę ze wszystkich sił w lewo, przejechałem trawnik i krzaki, które w tym miejscu dzieliły dwa kierunki, a potem ruszyłem na południe. Zobaczmy, kto jest bierny!

Dogoniłem ją na autostradzie do Fort Benning i już jej nie straciłem z oczu.